

HENNING MANKELL

FALSZYWY TROP

Na próżno giąć mi, potrząsać na próżno,
boć stara jest i nieczuła ta krata,
nie rozewrze się, myślę o tym trwożno,
jako że we mnie mocno tkwi ta krata,
dopokąd nie szeszczę, nie szczęźnie i krata,

Gustaf Froding, Gazda

Jonowi

Dominikana

Prolog

Tuż przed świtem Pedra Santanę obudził śwąd kopczącej się lampy naftowej. Otworzył oczy i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Został wyrwany ze snu, który chciałby jeszcze śnić. Wędrował przez przedziwny skalisty pejzaż, powietrze było tam rozrzedzone i wydawało mu się, że opuszczają go wszystkie wspomnienia. Kopcząca lampa naftowa przeniknęła do świadomości, przywołując słaby zapach wulkanicznego popiołu. Ale nagle pojawiło się coś jeszcze: głos udręczonego, dyszącego człowieka. Wtedy sen prysł i Pedro wrócił do ciemnego pokoju, w którym spędził sześć dni i sześć nocy, śpiąc zaledwie po kilka minut.

Lampa naftowa zgasła. Wokół panowały ciemności. Siedział bez ruchu. Noc była bardzo ciepła. Koszula kleiła się od potu. Zdał sobie sprawę, że cuchnie. Dawno się nie mył. Nie miał na to siły.

Znów usłyszał głos dyszącego człowieka. Podniósł się ostrożnie i szukał w ciemnościach plastikowego kanistra z naftą. Powinien stać przy drzwiach. Musiało padać, kiedy spałem, pomyślał. Czuł pod stopami wilgotną ziemię. Z oddali dobiegło go pianie koguta. Wiedział, że to kogut Ramireza.

Zawsze piał we wsi pierwszy, przed świtem. Był jak niecierpliwý człowiek. Jak jeden z tych miastowych, którym się zdaje, że tyle ich czeka pracy, a nie starcza im czasu na nic więcej prócz troski o własny pośpiech. Nie to, co tutaj, na wsi, gdzie wszystko wyznacza rytm życia. Po co mieliby dokądś pędzić, skoro rośliny, które zapewniają im byt, rosną wolno?

Uderzył dłonią o kanister. Wyjął szmacianą zatyczkę i odwrócił się. Dyszenie, które słyszał w ciemnościach, stawało się coraz bardziej nieregularne. Znalazł lampę, wyciągnął korek i ostrożnie wlał naftę. Próbował sobie przypomnieć, gdzie położył zapalki. Pamiętał, że pudełko było prawie puste, powinny w nim być dwie albo trzy. Odstawił kanister i obmacywał rękami ziemię. Wyczuł je niemal od razu. Zapalił zapalkę, podniósł szklany klosz i patrzył, jak knot zaczyna się palić.

Odwrócił się z udręką. Nie chciał tam patrzeć. Kobieta leżąca pod ścianą umierała. Już to wiedział, mimo że próbował sobie wmawiać, że kryzys niedługo minie. Dotąd sen był jego jedyną ucieczką. Teraz nie miał już szans. Człowiek nigdy nie ucieknie od śmierci. Ani od swojej, ani od śmierci bliskiej osoby.

Kucnął obok jej łóżka. Lampa rzucała niespokojne cienie na ściany. Spojrzał na jej bladą twarz. Była młoda i mimo zapadniętych policzków nadal piękna. Tylko uroda nie opuszcza mojej żony, pomyślał. W oczach zakręciły mu się łzy. Dotknął jej czoła.

Gorączka znów podskoczyła.

Obrzucił spojrzeniem załataną kawałkiem tektury okno. Jeszcze nie świta. Kogut Ramireza nie miał na razie konkurencji. Oby do świtu, pomyślał. Ona umrze w nocy. Nie w dzień. Żeby tylko starczyło jej sił do świtu. Wtedy jeszcze mnie nie zostawi.

Nagle otworzyła oczy. Chwycił jej dłoń i próbował się uśmiechać.

- Gdzie dziecko? - spytała tak słabym głosem, że ledwie mógł ją zrozumieć.

- U mojej siostry - odpowiedział. - Tak jest najlepiej. Jego odpowiedź chyba ją uspokoiła.

- Długo spałam?

- Wiele godzin.

- Siedziałeś tutaj cały czas? Musisz odpocząć. Za kilka dni już mnie tu nie będzie.

- Spałem - odparł. - Wkrótce wyzdrowiejesz.

Zastanawiał się, czy wyczuła jego kłamstwo. Zastanawiał się, czy ona wie, że już nigdy nie wstanie z łóżka. Czyżby się nawzajem, w rozpacz, okłamywali? Żeby to, co nieuniknione, było mniej bolesne?

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała.

- Musisz spać, żeby wyzdrowieć - odpowiedział, odwracając głowę, żeby nie zobaczyła, jak słabo nad sobą panuje.

Chwilę później do chaty zajrzał świt. Zanurzyła się w nieświadomości. Siedział na ziemi przy jej łóżku. Zmęczenie odebrało mu kontrolę nad myślami. Wędrowały swobodnie, nie miał siły ich okiełznać.

Spotkał Dolores, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Przeszli z bratem Juanem kawał drogi do Santiago de los Treinta Caballeros, żeby popatrzeć na karnawał. Dwa lata starszy Juan był już w mieście, Pedro znalazł się tutaj po raz pierwszy. Wędrowali trzy dni. Czasami udało im się podjechać parę kilometrów na wozie zaprzężonym w woły. Przeważnie jednak szli. Raz chcieli się zabrać na gapę autobusem. Ale zostali przyłapani, kiedy wdrapywali się na dach, żeby dać nura między torby i tobołki. Kierowca ich przegonił i poczęstował obelgami. Wykrzykiwał, że nie powinno być takich biedaków, których nie stać nawet na bilet autobusowy.

- Taki kierowca autobusu musi być bardzo bogaty - powiedział Pedro, kiedy szli zapyłoną drogą, wijącą się wśród niezliczonych plantacji trzciny cukrowej.

- Głupi jesteś - odparł Juan. - Pieniądze z biletów idą do właściciela autobusu.

Nie do tego, kto nim kieruje.

- A kto to jest? - spytał Pedro.

- Skąd mam wiedzieć? - obruszył się Juan. - Kiedy będziemy w mieście, pokażę ci domy, w których tacy mieszkają.

W końcu dotarli do celu. Był lutowy dzień i całe miasto ogarnęła gorączka karnawału. Pedro, oniemiały, patrzył na kolorowe stroje z naszytymi, połyskującymi lusterkami. Przeraziły go maski diabłów i zwierząt. Całe miasto wydawało się kołysać w rytm tysięcy bębnow i gitar. Juan pewnie i swobodnie prowadził go ulicami i zaułkami. Noce spędzali na ławce w Parque Duarte. Pedro niepokoił się, że Juan zniknie mu z oczu w tym nieprzebranym tłumie. Czuł się jak dziecko, które boi się zgubić rodzica. Ale nie dawał tego po sobie poznać. Nie chciał, żeby Juan się z niego śmiał.

A jednak stało się. Ostatniego dnia, wieczorem. Byli na Calle del Sol, największej ulicy w mieście, kiedy Juan nagle przepadł w tłumie roztańczonych ludzi. Nie ustalili żadnego miejsca spotkania na wypadek, gdyby się rozdzielili. Szukał brata do późna, zapadła już noc, i nie znalazł. Nie było go na parkowej ławce, gdzie wcześniej spali.

Następnego dnia, o świcie, Pedro usiadł pod jednym z pomników na Plaža de Cultura. Ugasił pragnienie wodą z fontanny. Nie miał pieniędzy na jedzenie. Pomyślał, że pozostaje mu jedynie odszukać drogę powrotną do domu. Jak tylko wyjdzie z miasta, zakradnie się na jedną z wielu plantacji bananów i naje do syta.

Nagle zauważył, że ktoś koło niego siedzi. Dziewczyna w jego wieku. Pomyślał, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Kiedy na niego spojrzała, speszony opuścił wzrok. Ukradkiem zobaczył, jak zdejmuje sandały i rozciera obolałe stopy.

Tak właśnie poznał Dolores. Często później wspominali, że połączyło ich zniknięcia Juana w karnawałowym tłumie i jej obolałe stopy.

Siedzieli przy fontannie i rozmawiali. Okazało się, że Dolores jest w mieście od niedawna. Szukała posady służącej, chodząc od drzwi do drzwi zamożnych domów. Ale bez powodzenia. Tak jak Pedro, była dzieckiem campesino i pochodziła z wioski położonej niedaleko wioski Pedra. Razem wyszli z miasta, ogołocili bananowiec, żeby zaspokoić głód, i im bliżej byli celu, tym wolniej szli.

Dwa lata później, w maju, przed porą deszczową, pobrali się i zamieszkali w jego wiosce, w małym domku, który dostali od jednego z wujów Pedra. Pedro

pracował na plantacji trzciny cukrowej, a Dolores uprawiała warzywa i sprzedawała je przejeżdżającym kupcom. Żyli biednie, ale byli młodzi i szczęśliwi.

Było tylko jedno ale. Po trzech latach Dolores nadal nie mogła zająć w ciąży. Nigdy o tym nie rozmawiali. Ale Pedro widział, że żona coraz bardziej się tym martwi. W tajemnicy przed nim pojechała pod granicę z Haiti szukać pomocy u curioistas, nic się jednak nie zmieniło.

Minęło osiem lat. Pewnego wieczoru, kiedy Pedro wrócił z plantacji, wyszła mu na spotkanie i powiedziała, że jest w ciąży. Pod koniec ósmego roku ich małżeństwa urodziła córkę. Ledwie Pedro zobaczył dziecko, od razu wiedział, że odziedziczyło urodę po matce. Tego samego wieczoru poszedł do kościoła i ofiarował złotą biżuterię, podarunek od matki, kiedy jeszcze żyła. Ofiarował ją Marii Dziewicy. Pomyślał, że ze swoim dzieckiem w powijakach przypomina Dolores i ich nowo narodzoną córkę. Wracając do domu, śpiewał tak głośno i donośnie, że mijający go ludzie zastanawiali się, czy przypadkiem nie wypił za dużo sfermentowanego soku z trzciny cukrowej.

Dolores spała. Oddychała coraz gwałtowniej i poruszała się niespokojnie.

- Nie możesz umrzeć - szepnął Pedro i zdał sobie sprawę, że nie potrafi już zapanować nad rozpaczą. - Nie możesz zostawić mnie i córki.

Dwie godziny później było po wszystkim. Przez chwilę oddychała spokojnie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Musisz ochrzcić naszą córkę - powiedziała. - Musisz ją ochrzcić i musisz się nią zająć.

- Niedługo wyzdrowiejesz - odparł. - Razem pójdziemy do kościoła i ją ochrzcimy.

- Mnie już nie ma - odpowiedziała i zamknęła oczy. Potem odeszła.

Dwa tygodnie później Pedro wyszedł z wioski, niosąc córkę w koszu na plecach. Brat Juan kawałek go odprowadził.

- Wiesz, co robisz? - zapytał.

- Robię tylko to, co konieczne - odparł Pedro.

- Dlaczego musisz ochrzcić córkę w mieście? Dlaczego nie tutaj, w wiosce? Ten kościół był dobry i dla ciebie, i dla mnie. I dla naszych rodziców.

Pedro zatrzymał się i popatrzył na brata.

- Przez osiem lat czekaliśmy na dziecko. Kiedy w końcu nasza córka przyszła na świat, Dolores zachorowała. Nikt nie mógł jej pomóc. Ani lekarze, ani leki. Nie skończyła trzydziestu lat i musiała umrzeć. Bo jesteśmy biedni. Bo chorujemy z nędzy.

Poznałem Dolores w czasie karnawału, kiedy zniknąłeś w tłumie. Chcę pójść do dużej katedry przy placu, gdzie się spotkaliśmy. Moja córka będzie ochrzczona w największym kościele w naszym kraju. Tylko tyle mogę zrobić dla Dolores.

Nie czekając na odpowiedź Juana, odwrócił się i poszedł. Kiedy późnym wieczorem dotarł do rodzinnej wioski Dolores, zatrzymał się przed domem jej matki. Powiedział, dokąd idzie. Stara kobieta ze smutkiem pokręciła głową.

- Smutek wpędza, cię w szaleństwo - powiedziała. - Pomyślałbyś raczej o córce, której na pewno nie zrobi dobrze podskakiwanie na twoich plecach taki szmat drogi aż do Santiago.

Pedro milczał. Następnego dnia wcześniej rano podjął wędrówkę. Cały czas mówił do dziecka, które siedziało w koszu na jego plecach. Opowiedział wszystko, co pamiętał, o Dolores. Kiedy nie miał już nic do dodania, zaczął od początku.

Był w mieście po południu, kiedy na horyzoncie gromadziły się ciężkie deszczowe chmury. Usiadł pod wrotami katedry Santiago Apostoła i czekał. Od czasu do czasu karmił córkę tym, co zabrał z domu. Przyglądał się wszystkim przechodzącym księżom. Albo wydawali mu się zbyt młodzi, albo zbyt się spieszyli, by mógł im powierzyć chrzest córki. Czekał wiele godzin. W końcu zobaczył starego księdza, który wolno przemierzał plac, kierując się do katedry. Wtedy wstał, zdjął z głowy kapelusz z łyka i wyjął córkę z kosza. Stary ksiądz cierpliwie go wysłuchał, po czym skinął głową.

- Ochrzczę twoją córkę - powiedział. - Z daleka przyszedłeś wiedziony wiarą. W naszych czasach to bardzo rzadkie. Ludzie rzadko odbywają tak dalekie wędrówki, powodowani wiarą. Dlatego świat wygląda tak, jak wygląda.

Pedro udał się za księdzem do mrocznej katedry. Czuł obecność Dolores. Jej dusza unosiła się nad nimi, była z nimi, gdy szli do chrzcielnicy.

Stary ksiądz oparł łaskę o kolumnę.

- Jak dziewczynka będzie miała na imię? - spytał.

- Jak jej matka. Dolores. A na drugie Maria. Dolores Maria Santana.

Po chrzcie Pedro wyszedł na plac i usiadł pod pomnikiem, tam, gdzie dziesięć lat wcześniej spotkał Dolores. Córka spała w koszu. Siedział bez ruchu, zatopiony w myślach.

Ja, Pedro Santana, jestem prostym człowiekiem. Po rodzicach nie odziedziczyłem nic prócz nędzy i ubóstwa. Nie udało mi się zatrzymać żony. Ale obiecuję ci, że nasza córka będzie żyć inaczej. Zrobię wszystko, żeby nie musiała żyć

tak jak my. Obiecuję ci, Dolores, że twoja córka będzie miała długie, szczęśliwe i godne życie.

Tego samego wieczoru Pedro opuścił miasto. Z córką, Dolores Marią, wrócił do swojej wioski.

Było to 9 maja 1978 roku.

Ubóstwiana przez ojca Dolores Maria Santana miała wtedy osiem miesięcy.

Skania

21-24 czerwca 1994

O świcie rozpoczął przemianę. Wszystko dokładnie zaplanował, żeby nie było żadnej wpadki. Poświęci na to cały dzień, nie chciał ryzykować, że nagle zabraknie mu czasu. Wziął pędzelek i trzymał go w dłoni, przed sobą. Ze stojącego na posadzce magnetofonu dobiegały go głosy bębnow. Spojrzał na swoją twarz w lustrze. I zrobił na czole pierwsze czarne kreski. Zauważył, że dłoń ma pewną. Nie jest więc zdenerwowany. Mimo że po raz pierwszy nakładał makijaż wojownika nie dla zabawy. Dotychczas była to tylko forma ucieczki, sposób obrony przed niesprawiedliwościami, na jakie był nieustannie narażony. Teraz wielka przemiana nabrała innego charakteru. Powagi. Każda namalowana kreska zdawała się go oddalać od poprzedniego życia. Nie było odwrotu. Zabawa raz na zawsze się skończyła, wyruszy na wojnę, w której ludzie umrą naprawdę.

Światło było bardzo ostre. Żeby uniknąć niepotrzebnych odbić, precyzyjnie poustawiał lustra. Kiedy tutaj wszedł i zamknął za sobą drzwi, po raz ostatni sprawdził, czy o niczym nie zapomniał. Wszystko było na swoim miejscu. Starannie wyczyszczone pędzle, porcelanowe miseczki z farbami, ręczniki i woda. Obok małej tokarki, na kawałku czarnego materiału leżała broń: trzy siekiery, noże różnej długości i spray. W jednej tylko sprawie nic jeszcze nie postanowił. Będzie musiał wybrać broń. Nie mógł zabrać wszystkiego. Wiedział jednak, że decyzja zapadnie sama, kiedy przystąpi do przemiany.

Zanim usiadł przed ławą, żeby pomalować twarz, opuszkami palców sprawdził ostrza siekier i noży. Nie mogły być ostrzejsze. Nie oparł się pokusie i mocniej nacisnął palcem jeden z noży. Natychmiast pokazała się krew. Wytarł palec i nóż ręcznikiem. I usiadł przed lustrami.

Pierwsze kreski na czole powinny być czarne. Jakby nacinał dwie głębokie rany, otwierał mózg, opróżniając go ze wszystkich wspomnień i myśli, które mu towarzyszyły, dręczyły i upokarzały. Potem będą czerwone i białe kreski, koła,

czworokąty, a na końcu, na policzkach, węzowe ornamenty. Jego biała skóra w ogóle nie będzie widoczna. Tak dokona się przemiana. To, co było, przestanie istnieć. Narodzi się zwierzę, które nigdy nie przemówi ludzkim głosem. Pomyślał, że gdyby to było konieczne, bez wahania obetnie sobie język.

Przemiana zajęła mu cały dzień. Skończył tuż po szóstej po południu. Wtedy zdecydował się zabrać największą siekierę. Wetknął trzonek za gruby skórzany pas. Były tam już dwa noże. Rozejrzył się. O niczym nie zapomniał. Spray włożył do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

Po raz ostatni spojrzął na swoją twarz w lustrze. Wzdrygnął się. A potem wolno włożył kask na głowę, zgasił światło i wyszedł. Boso, tak jak tutaj przyszedł.

Pięć minut po dziewiątej Gustaf Wetterstedt ściszył telewizor i zadzwonił do matki. Zgodnie ze starym zwyczajem. Odkąd przeszło dwadzieścia pięć lat temu opuścił fotel ministra sprawiedliwości i zaniechał wszelkiej działalności politycznej, z niechęcią i niesmakiem oglądał telewizyjne wiadomości. Nie mógł się pogodzić z tym, że już go tam nie ma. Przez wiele lat ministrowania był w centrum życia publicznego i przynajmniej raz w tygodniu pokazywał się w telewizji. Pilnował, by sekretarki rejestrowały każde jego wystąpienie na taśmie wideo. Taśmy zajmowały teraz całą ścianę w jego gabinecie. Czasami je oglądał. I zawsze z zadowoleniem konstatował, że ani razu podczas tylu lat na stanowisku ministra sprawiedliwości żadne nieoczekiwane lub podchwytliwe pytanie złośliwego dziennikarza nie wyprowadziło go z równowagi. Z nietajoną pogardą myślał o kolegach, którzy bali się dziennikarzy telewizyjnych. Często coś dukali, sami sobie przeczyli i nie umieli z tego wybrnąć. Jemu nigdy coś podobnego się nie przydarzyło. Jego nikt nie usidlił. Dziennikarze nie byli w stanie go pokonać. Nigdy też nie udało im się wytropić jego tajemnicy.

Włączył telewizor o dziewiątej, na skrót wiadomości. Potem go ściszył, przysunął telefon i zadzwonił do matki. Urodziła go bardzo wcześnie. Teraz miała dziewięćdziesiąt cztery lata, jasny umysł i niespożytą energię. Mieszkała sama w dużym mieszkaniu w centrum Sztokholmu. Ile razy podnosił słuchawkę i wykręcał numer, zawsze miał nadzieję, że nie odbierze. Miał powyżej siedemdziesiątki i zaczynał się niepokoić, że matka go przeżyje. Niczego bardziej nie pragnął niż jej śmierci. Zostałby sam. Nie musiałby do niej wydzwaniać, szybko by zapomniał, jak wyglądała.

Sygnaly rozbrzmiewały. Czekając, patrzył na pozbawionego głosu lektora wiadomości. Po czwartym sygnale zaczął mieć nadzieję, że nareszcie umarła. I wtedy

ją usłyszał. Przybrał łagodny ton. Spytał, jak się czuje, jak minął dzień. Kiedy musiał uznać, że jednak żyje, chciał maksymalnie skrócić rozmowę.

Skończył i siedział z ręką na słuchawce. Ona nie umrze, pomyślał. Nie umrze, chyba że ją zabiję.

Siedział w ciszy. Szumiało morze, w pobliżu przejechał samotny motorower. Wstał z kanapy i podszedł do dużego okna tarasu z widokiem na morze. Był piękny, nastrojowy zmierzch. Na brzegu opodal jego dużej posesji było pusto. Ludzie siedzą przed telewizorami, pomyślał. Kiedyś mogli zobaczyć, jak chwytam reporterów za gardło. Byłem wtedy ministrem sprawiedliwości. Powinienem zostać premierem. Ale nie zostałem.

Starannie zaciągnął ciężkie zasłony, żeby nie było żadnych prześwitów. Chociaż w swoim domu na wschodnich przedmieściach Ystadu starał się żyć anonimowo, zdarzało się, że obserwowali go ciekawscy. Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd odszedł ze stanowiska, a mimo to nie został jeszcze całkiem zapomniany. Poszedł do kuchni i nalał sobie kawy z termosu. Kupił go pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas oficjalnej wizyty we Włoszech. Był tam bodaj w sprawie przedyskutowania wzrostu nakładów na powstrzymanie rosnącej fali terroryzmu w Europie. W jego domu wszędzie były pamiątki przywołujące na myśl dawne czasy. Powinien je wyrzucić. Uznał to jednak za bezsensowny wysiłek.

Usiadł na kanapie z filiżanką kawy. Pilotem wyłączył telewizor i myślał o mijającym dniu. Przed południem odwiedziła go dziennikarka z pewnego dużego miesięcznika, który publikował cykl reportaży o niegdyś znanych ludziach, obecnie na emeryturze. Nie udało mu się dociec, dlaczego wybrała akurat jego. Przyszła z fotografem, robili mu zdjęcia nad morzem i w domu. Zawczasu postanowił, że się zaprezentuje jako pogodny staruszek, pogodzony ze swoim życiem. Mówił, że jest bardzo szczęśliwy. Że żyje w odosobnieniu, żeby w spokoju oddać się medytacjom, i z dobrze udawanym zażenowaniem napomknął o ewentualnym spisaniu swoich wspomnień. Dziennikarka, kobieta około czterdziestki, była pod wrażeniem i traktowała go z pokornym respektem. Potem odprowadził gości do samochodu i pomachał im na pożegnanie.

Z satysfakcją pomyślał, że nie powiedział ani jednego słowa prawdy. Była to jedna z niewielu rzeczy, które go nadal bawiły. Oszukać i nie dać się przyłapać. Rozsiewać pozory i złudzenia. Po wielu latach obecności w życiu politycznym zdał sobie sprawę, że w konsekwencji zostaje jedynie kłamstwo. Prawda przebrana za

kłamstwo albo kłamstwo przebrane za prawdę.

Niespiesznie dopił kawę. Czuł narastające zadowolenie. Najlepsze były wieczory i noce. Wtedy oddalały się od niego myśli o wszystkim, co było kiedyś i co minęło bezpowrotnie. Nikt jednak nie mógł go pozbawić najważniejszego. Tajemnicy, którą znał tylko on sam.

Czasami myślał o sobie jak o obrazie w lustrze, który jest jednocześnie wklęsły i wypukły. Była w nim ta sama dwuznaczność. Inni widzieli jedynie powierzchnię, ot, zdolny jurysta, szanowany minister sprawiedliwości, pogodny emeryt, który przechadza się po skańskim nabrzeżu. Nikt nie podejrzewał, że jest swoim własnym sobowtórem. Składał wizyty królom i prezydentom, kłaniał się z uśmiechem i myślał: żebyście tylko wiedzieli, kim naprawdę jestem i co o was myślę. Kiedy stał przed kamerami telewizyjnymi, ta sentencja - żebyście tylko wiedzieli, kim jestem - nigdy nie opuszczała jego świadomości. Ale nikt tego nie odczytał, nie zgłębił jego tajemnicy, tej oto, że gardzi partią, którą reprezentuje, poglądami, których broni, większością ludzi, których spotyka. I z tą tajemnicą umrze. Przejrzał świat na wylot, wszystkie jego marność, widział bezsens egzystencji. Nikt jednak nie znał jego prawdziwych poglądów i nie pozna. Nie odczuwał potrzeby dzielenia się swoimi spostrzeżeniami i zapatrywaniami.

Coraz bardziej cieszył się na jutrzejszy dzień. Tuż po dziewiątej wieczorem mieli się u niego zjawić przyjaciele. Czarnym mercedesem z przydymionymi lustrzanymi szybami. Wjadą do garażu, on będzie na nich czekał w salonie, za starannie zaciągniętymi zasłonami, jak teraz. Jego oczekiwania natychmiast wzrosły, kiedy zaczął sobie wyobrażać, jaką dziewczynę mu tym razem przywiozą. Przekazał wiadomość, że ostatnio było za dużo blondynek. Niektóre były za stare, miały ponad dwadzieścia lat. Życzyłby sobie młodszą, najchętniej rasy mieszanej. Kiedy weźmie dziewczynę do sypialni, przyjaciele posiedzą w piwnicy, gdzie wstawił telewizor. Przed świtem już ich nie będzie, a on zacznie snuć fantazje o dziewczynie, którą przywiozą za tydzień. Na myśl o jutrzejszym dniu podniecił się, wstał z kanapy i wszedł do gabinetu. Zanim zapalił światło, zaciągnął zasłony. Przez moment miał wrażenie, że na brzegu ktoś stoi. Zdjął okulary i zmrużył oczy. Zdarzało się, że nocne marki wysiadywały akurat pod jego posesją. Kilka razy musiał wzywać policję, skarżąc się na młodych ludzi, którzy rozpalali ognisko na brzegu i hałasowali. Policjanci zjawiali się natychmiast i zabierali intruzów. Często myślał o tym, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy, jakie będzie miał wiadomości i kontakty jako minister sprawiedliwości. Nie

tylko poznał specyficzną mentalność szwedzkiej policji, pozyskał także przyjaciół w strategicznych punktach szwedzkiej maszyny prawniczej. Nie mniej ważne były kontakty, jakie nawiązał ze środowiskiem przestępczym. Zaprzyjaźnił się z działającymi w pojedynkę inteligentnymi bandziorami i z szefami dużych grup przestępczych. Mimo że sporo się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, jego stare kontakty nadal przysparzały mu dużo radości. Zwłaszcza ci jego przyjaciele, którzy dbali o to, by co tydzień odwiedzała go panienska w stosownym wieku.

Postać na brzegu była przywidzeniem. Poprawił zasłony i wysunął szufladę biurka, które odziedziczył po ojcu, surowym profesorze prawa. Wyjął kosztowny, pięknie zdobiony album i powoli, niemal nabożnie wertował swój zbiór zdjęć pornograficznych, pamiętających początki sztuki fotografowania. Najstarsze zdjęcie było prawdziwym rarytasem: dagerotyp z 1855 roku, który kupił kiedyś w Paryżu. Przedstawiało nagą kobietę obejmującą psa. Jego kolekcję dobrze znało jedynie doborowe grono mężczyzn o identycznych zainteresowaniach. Zdjęcia Lecadre'a z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, których był posiadaczem, ustępowały jedynie kolekcji pewnego leciwego potentata przemysłu hutniczego z okręgu Ruhry. Najdłużej zatrzymywał się przy zdjęciach bardzo młodych modelek, będących - sądząc po oczach - pod wpływem narkotyków. Często żałował, że sam nie poświęcił się fotografii. Byłby teraz w posiadaniu unikatowych zbiorów.

Przejrzał album i włożył go do szuflady. Od przyjaciół wymógł obietnicę, że po jego śmierci zaoferują zdjęcia pewnemu paryskiemu antykwariuszowi specjalizującemu się w tego typu transakcjach. Pieniądze ze sprzedaży miały trafić na konto fundacji dla młodych prawników, którą już założył, a której istnienie ujawniono by dopiero po jego śmierci.

Zgasił lampę na biurku i siedział w mroku. Cicho szumiało morze. Znow mu się wydawało, że słyszy przejeżdżający w pobliżu motorower.

Ciągle nie mógł sobie wyobrazić własnej śmierci, mimo że miał przeszło siedemdziesiąt lat. W USA dwukrotnie uczestniczył incognito w egzekucjach; widział śmierć na krześle elektrycznym i, co rzadkie, w komorze gazowej. Sprawilo mu to osobliwą przyjemność. Ale własnej śmierci sobie nie wyobrażał.

Wszedł do salonu i nalał sobie z borku kieliszek likieru. Zbliżała się północ. Przed snem pozostał mu jedynie krótki spacer nad morzem. Włożył kurtkę, wsunął stopy w parę zużytych drewniaków i opuścił dom.

Było bezwietrznie. Jego posiadłość leżała na uboczu, nie widział stąd światła w

oknach najbliższych sąsiadów. Z oddali dobiegał szum samochodów jadących w kierunku Kasebergi. Poszedł przez ogród do furtki, która wychodziła na brzeg. Ku swemu niezadowoleniu zauważył, że lampa przy furtce jest popsuta. Morze czekało. Wyjął klucze i otworzył furtkę. Po chwili był na brzegu. Morze było spokojne. Daleko na horyzoncie widział światła statku, który płynął na zachód. Rozpiął rozporek i sikał do wody, rozmyślając o jutrzejszej wizycie.

Nagle, choć nic nie słyszał, zorientował się, że ktoś za nim stoi. Zesztywniał, sparaliżowany strachem. Potem szybko się odwrócił.

Człowiek, którego zobaczył, przypominał zwierzę. Mężczyzna miał na sobie tylko krótkie spodnie. Z histerycznym przerażeniem spojrzał mu w twarz. Nie wiedział, czy jest zdeformowana, czy przesłania ją maska. Dostrzegł w jego ręku siekiere. Pomyślał mglście, że dłoń obejmująca trzonek jest bardzo mała, że mężczyzna przypomina karła.

Krzyknął i ruszył do bramy.

Zmarł w tym samym momencie, w którym ostrze siekiery przecięło mu kręgosłup, tuż pod łopatkami. Już nie widział, jak człowiek, który być może był zwierzęciem, klęka, przecina mu czoło, po czym jednym mocnym szarpnięciem zrywa włosy.

Minęła północ. Był wtorek, 21 czerwca.

W pobliżu odezwał się samotny motorower. Po chwili dźwięk silnika umilkł.

I znów było bardzo cicho.

21 czerwca, o dwunastej w południe, Kurt Wallander wyszedł z budynku komendy policji w Ystadzie. Żeby nikt nie zauważył jego zniknięcia, wymknął się przez garaż. A potem wsiadł do samochodu i pojechał do portu. Ponieważ było ciepło, zostawił marynarkę na krześle w swoim pokoju. Ci, którzy w ciągu najbliższych godzin będą go szukać, pomyślą, że jest w budynku. Zaparkował przed teatrem, udał się na najdalsze moło i usiadł na ławce pod czerwonym barakiem morskiej służby ratowniczej. Wziął ze sobą kołonoatnik i kiedy zamierzał zabrać się do pisania, zorientował się, że nie ma pióra. W pierwszym odruchu irytacji chciał wrzucić notatnik do basenu portowego i dać sobie z tym spokój. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Koledzy nigdy by mu tego nie wybaczyli.

Nie przejmując się jego protestami, wybrali go, żeby w ich imieniu wygłosił mowę pożegnalną na cześć ich komendanta Bjórka, który tego dnia, o trzeciej, kończył u nich pracę.

Wallander nigdy dotąd nie wygłaszał żadnych mów. Jedyne publiczne występy, w jakich musiał uczestniczyć, to niezliczone konferencje prasowe, organizowane na użytek prowadzonych śledztw. Ale jak się dziękuje odchodzącemu komendantowi? I za co się właściwie dziękuje? Czy w ogóle mieli za co być mu wdzięczni? Najchętniej powiedziałby kilka słów o tym, jak bardzo go niepokoją poważne i najwyraźniej nieprzemyślane reorganizacje i redukcje w policji.

Wyszedł z komendy, żeby się w spokoju zastanowić, co powie. Poprzedniego wieczoru siedział do późnej nocy przy kuchennym stole i nic nie wymyślił. Ale teraz musi. Za niespełna trzy godziny wręczą Bjórkowi prezent. Następnego dnia Bjórk zacznie pracę w Malmö jako szef wojewódzkiego wydziału do spraw cudzoziemców.

Wstał z ławki i poszedł do portowej kawiarni. Na cumach kołysały się rybackie kutry. Przypomniawszy sobie, że siedem lat temu był świadkiem wyławiania zwłok z basenu portowego. Otrząsnął się z tych wspomnień. Mowa, jaką miał wygłosić na cześć Bjórka, była teraz ważniejsza. Kelnerka pożyczyła mu długopis. Usiadł przy stoliku, zamówił kawę i zmusił się do skreślenia kilku słów. Do pierwszej udało mu się sklecić pół strony. Ponuro patrzył na rezultat. Wiedział jednak, że nic lepszego nie wymyśli. Przywołał kelnerkę, dołąła mu kawy.

- Lato każe na siebie czekać - powiedział Wallander.

- Może wcale nie przyjdzie - odparła.

Mimo swojego beznadziejnego przemówienia Wallander był w dobrym humorze. Za kilka tygodni pojedzie na urlop. Miał sporo powodów do radości. Zima była długa i męcząca. Wypoczynek bardzo mu się przyda.

O trzeciej zebrali się w stołówce i Wallander wygłosił mowę na cześć. Potem Svedberg wręczył byłemu szefowi spinning, a Ann-Britt Hóglund - kwiaty. Wallanderowi udało się nieco urozmaicić drętwe przemówienie, gdy w nagłym olśnieniu postanowił przytoczyć kilka zdarzeń, jakie się przytrafiły jemu i Bjórkowi. Ogólne rozbawienie wzbudziła opowieść o ich kąpielach w szambie, kiedy zawaliło się rusztowanie. Potem pili kawę i jedli tort. Bjórk w swojej mowie pożegnalnej życzył powodzenia następcy. A raczej następczyni. Była nią Lisa Holgersson, pracująca dotychczas w jednym z większych okręgów policji w Smalandii. Miała objąć stanowisko jesienią. Na razie obowiązki komendanta powierzono Hanssonowi.

Po uroczystości Wallander wrócił do siebie. Do uchylonych drzwi zapukał Martinsson.

- Ładne przemówienie - powiedział. - Nie wiedziałem, że to potrafisz.

- Bo nie potrafię - odparł Wallander. - Przemówienie było kiepskie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Martinsson ostrożnie usiadł na popsutym krześle przeznaczonym dla gości.

- Ciekawe, jak to będzie z szefem kobietą - zaczął.

- A dlaczego miałyby być źle? - zdziwił się Wallander.

- Martw się lepiej o redukcje.

- Właśnie dlatego przyszedłem. Chodzą słuchy, że w Ystadzie mają zmniejszyć liczbę personelu w czasie weekendów, z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek.

Wallander przyglądał się Martinssonowi z niedowierzaniem.

- Świetnie - powiedział. - A kto będzie pilnował aresztantów?

- Wieść niesie, że zajmie się tym prywatna firma ochroniarska.

Wallander patrzył na Martinssona zdziwiony.

- Firma ochroniarska?

- Tak słyszałem.

Wallander pokręcił głową. Martinsson wstał.

- Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć - powiedział.

- Rozumiesz, co tu jest na rzeczy i co się stanie z policją?

- Nie. Potraktuj to jako szczerą i wyczerpującą odpowiedź. Martinsson nie wychodził.

- Coś jeszcze?

Martinsson wyjął kartkę z kieszeni.

- Jak wiesz, zaczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Dwa do dwóch z Kamerunem. Obstawiłeś pięć do zera dla Kamerunu. Jesteś na ostatnim miejscu.

- Jak można być na ostatnim miejscu? Albo się typuje dobrze, albo źle.

- Prowadzimy statystykę, kto jak ląduje.

- Boże! A po co?

- Tylko jeden z drogówki obstawił dwa do dwóch - oznajmił Martinsson, ignorując pytanie Wallandera. - Teraz typujemy następny mecz, Szwecja - Rosja.

Wallander nie interesował się piłką nożną. Kilka razy obejrzał mecze piłki ręcznej, w których grała w swoim czasie jedna z najlepszych w Szwecji drużyn z Ystadu. Ostatnio nie mógł jednak nie dostrzec, że uwagę całego kraju zaprzęta tylko jedno: mistrzostwa świata w piłce nożnej. Ile razy włączał telewizor albo otwierał gazetę, zawsze trafiał na niekończące się spekulacje, jak też się powie szwedzkiej

drużynie. Miał jednak świadomość, że nie może się wymigiwać od ich wewnętrznego, policyjnego typowania. Mogłoby to zostać odebrane jako arogancja. Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Ile?

- Tyle samo, co przedtem. Sto koron. Dał pieniądze Martinssonowi, który to odnotował na swojej liście.

- A więc mam wytypować wynik?

- Szwecja z Rosją.

- Cztery do czterech - powiedział Wallander.

- Bardzo rzadko pada aż tyle bramek w piłce nożnej - ze zdumieniem zauważył Martinsson. - Co innego w meczu hokejowym.

- No to trzy jeden dla Rosji. Może być? Martinsson zapisał.

- Może za jednym zamachem obstawimy mecz z Brazylią - zaproponował Martinsson. - Trzy zero dla Brazylii - bez wahania powiedział Wallander.

- Nie masz zbyt wielkich oczekiwań wobec Szwecji.

- Nie w piłce nożnej - odparł Wallander i dorzucił jeszcze setkę.

Kiedy Martinsson wyszedł, Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Potem z irytacją odrzucił te myśli. Czas pokaże, co jest prawdą, a co nie. Było wpół do piątej. Wziął teczkę z materiałem dochodzeniowym w sprawie zorganizowanego wywozu kradzionych samochodów do byłych państw bloku wschodniego. Zajmował się tym od wielu miesięcy. Na razie rozpracowali tylko fragment tej rozległej działalności przestępczej. Zdawał sobie sprawę, że będzie nad tym śledził miesiącami. W czasie jego urlopu dochodzenie przejmie Svedberg, Wallander miał jednak nieodparte przeczucie, że bardzo mało się wtedy wydarzy.

Do drzwi zapukała Ann-Britt Hóglund. I weszła. Miała na głowie czarną czapeczkę baseballową.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Jak turystka.

- Takie będą nasze nowe czapki do munduru. Wyobraź sobie jeszcze napis „Policja” nad daszkiem. Widziałam zdjęcia.

- Coś takiego nigdy nie wyląduje na mojej głowie. Powinienem się chyba cieszyć, że już nie jestem w drogówce.

- Może któregoś dnia dojdziemy do wniosku, że Björk był fantastycznym szefem - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Fajnie mówiłeś.

- Wiem, że nie - odparł, poirytowany. - Ale odpowiedzialność spada na was. Nie powinniście mnie byli wybierać.

Ann-Britt Hóglund spojrzała w okno. Wallander pomyślał, że bardzo szybko potwierdziła się opinia o Ann-Britt, kiedy rok temu zjawiała się w Ystadzie. Już w szkole policyjnej miała wyraźne predyspozycje do pracy w tym zawodzie. Na swój sposób wypełniła pustkę, jaką od kilku lat Wallander odczuwał po śmierci Rydberga. W dużym stopniu to właśnie Rydberg wszystkiego go nauczył. Czasami myślał, że teraz na nim spoczywa obowiązek przekazania swojej wiedzy Ann-Britt Hóglund.

- Co z samochodami? - spytała.

- Kradną - odparł Wallander. - Wygląda to na dużą siatkę.

- Uda nam się zrobić wyłom?

- Prędzej czy później ich załatwimy. Przez kilka miesięcy nic się nie będzie działo, a potem znowu zaczną.

- To się nigdy nie skończy?

- Nie. Ystad jest tu, gdzie jest. Dwieście kilometrów dalej, po drugiej stronie Bałtyku, jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby żyć tak jak my. Problem polega na tym, że nie mają czym płacić.

- Ciekawe, ile kradzionych rzeczy wywozi się stąd na każdym promie - powiedziała w zamyśleniu.

- Lepiej tego nie wiedzieć.

Poszli po kawę. Ann-Britt Hóglund jeszcze w tym tygodniu wybierała się na urlop. Wallander domyślał się, że spędzi go w Ystadzie, bo mąż, monter, którego miejscem pracy był cały świat, właśnie bawił w Arabii Saudyjskiej.

- A ty co będziesz robił? - zapytała, kiedy zaczęli rozmawiać o urlopie.

- Jadę do Skagenu - powiedział Wallander.

- Razem z ryżanką? - zainteresowała się Ann-Britt Hóglund i uśmiechnęła.

Wallander, zdumiony, zmarszczył czoło.

- Skąd o niej wiesz?

- Wszyscy wiedzą. Nie wiedziałeś? Można by powiedzieć, że to rezultat naszego nieustającego wewnętrznego śledztwa. Wallander był autentycznie zaskoczony. Nikomu nic nie mówił o Bajbie, którą poznał kilka lat wcześniej w związku z pewnym dochodzeniem. Była wdową po zamordowanym łotewskim policjancie. Pół roku temu przyjechała do Ystadu w okresie świąt Bożego Narodzenia. Wielkanoc Wallander spędził u niej, w Rydze. Nigdy jednak o niej nie mówił. Nie przedstawił żadnemu z

kolegów. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego tego nie zrobił. Ich związek ciągle był kruchy, Bajba wyciągnęła go z melancholii, w jaką popadł po rozwodzie z Moną.

- Tak - przyznał. - Razem jedziemy do Danii. A resztę lata poświęcę ojcu.

- A Linda?

- Zadzwoiła tydzień temu i powiedziała, że będzie chodzić na kurs teatralny w Visby.

- Wydawało mi się, że chciała zostać tapicerem?

- Też mi się tak wydawało. Teraz wymyśliła, że zrobi z przyjaciółką coś w rodzaju przedstawienia teatralnego.

- To chyba interesujące?

Wallander z wahaniem pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że przyjedzie tutaj w lipcu. Dawno jej nie widziałem.

Rozstali się przed drzwiami Wallandera.

- Odwiedź mnie latem - powiedziała. - Z ryżką albo bez. Z córką albo bez.

- Ma na imię Bajba.

Obiecał, że ją odwiedzą.

Po rozmowie z Ann-Britt Hóglund przeszło godzinę siedział nad papierami. Dwa razy bezskutecznie dzwonił do Göteborga, próbując się skontaktować z komisarzem, który na swoim podwórku rozpracowywał tę samą sprawę. Za kwadrans szósta zamknął teczkę i wstał. Tego wieczoru postanowił zjeść poza domem. Obmacał brzuch i skonstatował, że wciąż chudnie. Bajba uznała, że jest za gruby, i od tej pory nie miał już kłopotów z jedzeniem mniejszych porcji. Kilka razy wbił się w dres i biegał, chociaż uważał, że to nudne.

Włożył kurtkę. Tego wieczoru postanowił napisać list do Bajby. Kiedy miał wyjść, zadzwonił telefon. Wahał się przez chwilę, czy odebrać. Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Miałeś dobre przemówienie - odezwał się Martinsson. - Bjórk był autentycznie wzruszony.

- Już to mówiłeś - zauważył Wallander. - Czego chcesz? Idę do domu.

- Przed chwilą odebrałem dosyć dziwny telefon. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

Wallander niecierpliwie czekał na ciąg dalszy.

- Zadzwoił rolnik spod Marsvinsholmu. Twierdzi, że w jego rzepaku jest

kobieta, która się podejrzanie zachowuje.

- To wszystko?

- Tak.

- Kobieta, która się podejrzanie zachowuje w rzepaku? A co takiego robi?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, nic nie robi. Dziwne, że w ogóle jest w rzepaku.

Wallander odpowiedział bez zastanowienia.

- Poślij tam patrol z drogówki. To ich działka.

- Problem polega na tym, że wszyscy są zajęci. Prawie w tym samym czasie doszło do dwóch wypadków samochodowych. Jeden przy wjeździe na Svarte, drugi przed „Continentalem”.

- Coś poważnego?

- Żadnych większych obrażeń. Tylko zrobiło się niezłe zamieszanie.

- Ale chyba mogą pojechać do Marsvinsholmu, kiedy będą mieli czas? - Ten rolnik był wyraźnie zaniepokojony. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, w każdym razie gdybym nie musiał odebrać dzieci, sam bym tam pojechał.

- Dobrze, pojedę - powiedział Wallander. - Spotkajmy się na korytarzu, dasz mi nazwisko i dokładny adres.

Kilka minut później Wallander opuścił komendę. Skręcił w lewo i z ronda pojechał na Malmö. Obok, na siedzeniu, położył mapkę, którą dostał od Martinssona. Rolnik nazywał się Salomonsson. Wallander znał drogę. Na E65 opuścił szybę. Po obu stronach szosy kołysały się żółte pola rzepaku. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze jak teraz. Puścił kasetę z Weselem Figara - Barbara Hendricks śpiewała partię Zuzanny - i myślał o Bajbie, z którą się niebawem spotka w Kopenhadze. Dojechał do bocznej drogi na Marsvinsholm, skręcił w lewo, minął zamek i kościół, potem znów skręcił w lewo. Zerknął na mapkę Martinssona i pojechał wąską drogą wśród pól. W oddali majaczyło morze.

Wysiadł przed starym, zadbanym, typowo skańskim domem Salomonssona i rozejrzał się. Wszędzie żółte pola rzepaku. Otworzyły się drzwi i na schodkach stanął bardzo stary mężczyzna. W ręku miał lornetkę. Wallander pomyślał, że pewnie wszystko sobie ubrdał. Samotni, mieszkający na wsi starcy często dzielili się z policją swoimi przywidzeniami. Podszedł do schodków i skinął głową.

- Kurt Wallander z ystadzkiej policji. Staruszek był nieogolony, na nogach miał zniszczone drewniaki.

- Edvin Salomonsson - przedstawił się i wyciągnął kościstą dłoń.

- Proszę opowiedzieć, co się stało.

Mężczyzna wskazał na pole rzepaku po prawej stronie domu. - Zobaczyłem ją dzisiaj rano. Budzę się wcześnie. Była tam już o piątej. Najpierw myślałem, że to sarna. Potem zobaczyłem przez lornetkę, że to kobieta.

- Co robiła?

- Stała tam.

- I nic poza tym?

- Stała i gapiała się.

- Na co się gapiała?

- A skąd mam wiedzieć?

Wallander westchnął. Prawdopodobnie staruszek widział sarnę. A potem wyobraźnia wzięła górę.

- Nie zna jej pan?

- Nigdy przedtem jej nie widziałem. Gdybym ją znał, to chyba bym nie dzwonił na policję, prawda? Wallander skinął głową.

- No więc zobaczył ją pan po raz pierwszy dzisiaj rano. A na policję zadzwonił pan dopiero późnym popołudniem.

- Po co sprawiać komuś kłopot bez potrzeby - odpowiedział zwyczajnie. - Policja pewnie ma mnóstwo pracy.

- Zobaczył ją pan przez lornetkę - podjął Wallander. - Była na polu rzepaku i pan jej nigdy wcześniej nie widział. I co było dalej?

- Ubrałem się i poszedłem jej powiedzieć, żeby się stąd wyniosła. Przecież zdeptuje rzepak.

- I co się stało?

- Pobieгла.

- Pobieгла?

- Schowała się w rzepaku. Kucnęła i straciłem ją z oczu. Najpierw myślałem, że sobie poszła, ale potem znowu ją zobaczyłem przez lornetkę. I tak w kółko. W końcu miałem tego dosyć i zadzwoniłem do was.

- Kiedy pan ją widział ostatni raz? - Tuż przed telefonem do was.

- Co wtedy robiła?

- Stała i gapiała się.

Wallander spojrzał na pole. Widział tylko kołyszący się rzepak.

- Policjant, z którym pan rozmawiał, powiedział, że sprawiał pan wrażenie

zaniepokojonego - powiedział Wallander.

- Co może zrobić człowiek w rzepaku? Musi być coś nie w porządku.

Wallander postanowił zakończyć tę rozmowę. Nie miał już wątpliwości, że staruszek wszystko sobie wymyślił. Następnego dnia zawiadomi opiekę społeczną.

- Niewiele mogę zrobić - powiedział. - Na pewno już sobie poszła. Tak czy inaczej, nie ma się czym przejmować.

- Wcale sobie nie poszła - zaprotestował Salomonsson. - Znowu ją widzę.

Wallander szybko się odwrócił i spojrzał tam, gdzie wskazywał palec Salomonssona.

Na polu, około pięćdziesięciu metrów od nich, stała kobieta. Wallander zwrócił uwagę na jej bardzo ciemne włosy. Odcinały się ostro na tle żółtego rzepaku.

- Porozmawiam z nią - powiedział. - Proszę tu poczekać.

Wyjął z bagażnika buty z cholewami. Włożył je i poszedł, czując w całej tej sytuacji coś nierzeczywistego. Kobieta stała nieruchomo i patrzyła na niego. Teraz widział, że ma nie tylko czarne włosy, ale i ciemną skórę. Zatrzymał się na skraju pola i podniósł rękę, żeby ją przywołać. Ani drgnęła. Choć była od niego daleko i falujący rzepak przesłaniał jej twarz, domyślał się, że jest piękna. Zawołał, żeby podeszła. Nie poruszyła się, a kiedy zrobił pierwszy krok w jej kierunku, natychmiast zniknęła. Tak szybko, że nasunęło mu to skojarzenia z płochliwym zwierzęciem. Był zirytowany. Szedł wśród rzepaku i wypatrywał. Zauważył ją i żeby znowu nie stracić jej z oczu, zaczął biec. Poruszała się bardzo szybko. Kiedy zadyszany, zbliżył się do niej na odległość około dwudziestu metrów, byli pośrodku pola.

- Stać! - krzyknął. - Policja!

Zaczął iść w jej stronę. Nagle stanął. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Chwyciła plastikowy kanister i zaczęła się oblewać jakimś bezbarwnym płynem. Przeleciało mu przez głowę, że pewnie cały czas miała kanister przy sobie. Teraz zrozumiał, jak bardzo się bała. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Policja! - zawołał. - Chcę tylko z tobą porozmawiać.

W tym momencie poczuł zapach benzyny. W jej ręku zapłonęła zapalniczka. Przytknęła ją do włosów. Gdy zajaśniała jak pochodnia, Wallander krzyknął. Patrzył, jak, zataczając się, chodzi po polu w syczących płomieniach. On krzyczał, płonąca kobieta milczała. Później nie mógł sobie przypomnieć, by w ogóle słyszał jej krzyk.

Już miał do niej podbiec, kiedy całe pole rzepaku stanęło w płomieniach. Osłoniwszy rękoma twarz, zaczął uciekać. Na oślep, w dymie i ogniu. Na skraju pola

potknął się i wpadł do rowu. Kiedy się odwrócił, zobaczył ją po raz ostatni, zanim upadła i zniknęła mu z oczu. Uniosła ramiona, jakby błagała o łaskę na widok wycelowanej w siebie broni.

Rzepak płonął.

Gdzieś z tyłu słyszał krzyk Salomonssona. Podniósł się na drżących nogach. A potem się odwrócił i zwymiotował. Wallander będzie pamiętał płonąca dziewczynę, jak się pamięta stary koszmar, o którym najchętniej chciałoby się zapomnieć. Mimo że wieczorem i do późna w nocy przynajmniej pozornie zachowywał spokój, nie udało mu się potem odtworzyć nic prócz mało znaczących drobiazgów. Martinssona, Hanssona, a przede wszystkim Ann-Britt Hóglund zdumiewało jego opanowanie. Nie mogli usunąć tarczy, którą się zasłonił. Były w nim zgliszcza, jak w ruinie zawalonego budynku.

Wrócił do domu po drugiej w nocy. I dopiero wtedy, kiedy w okopconym ubraniu i upaprzanych gliną butach usiadł na kanapie, tarcza pękła. Nalał sobie whisky. Drzwi balkonowe były otwarte, pokój otulała letnia noc. Wtedy się rozplakał. Jak dziecko.

Dziewczyna, która spłonęła, też była dzieckiem. Przypominała mu jego córkę, Linde. Pracując w policji, wykształcił w sobie zdolność godzenia się z tym, co zobaczy na miejscu zbrodni. Widział wisielców, samobójców, którzy strzałem w usta rozrywali się na strzępy. Na swój sposób nauczył się to znosić, a potem wyrzucać z pamięci. Co innego, jeśli chodziło o dzieci i ludzi młodych. Wówczas był równie bezbronny jak w pierwszych latach pracy w policji. Wiedział, że większość kolegów reaguje podobnie. Nagła bezsensowna śmierć dziecka niszczyła rutynę. I tak już będzie zawsze, dopóki pozostanie w policji.

Kiedy pękła tarcza, miał za sobą wstępną fazę dochodzenia. Wykonał wszystko bez zarzutu. Z resztkami wymiocin na ustach pobiegł do Salomonssona, który z niedowierzaniem patrzył na płonące pole rzepaku, i spytał, gdzie jest telefon. Ponieważ Salomonsson wydawał się nie rozumieć pytania, a może w ogóle go nie usłyszał, odsunął go na bok i wszedł do domu. Poczłł cierpkawy zapach, zapach starego niemyjącego się człowieka. Telefon był w przedpokoju. Wykręcił 90 000. Telefonistka, która przyjęła rozmowę, mówiła później, że był całkowicie spokojny, gdy opisywał, co zaszło, i zarządził przystąpienie do akcji. Za oknem palił się rzepak, płomienie rozjaśniały letni wieczór niczym ostre światła reflektorów.

Zadzwoił do Martinssona. Najpierw rozmawiał z najstarszą córką, potem z

żoną, zanim Martinsson przyszedł z ogrodu, gdzie strzygł trawę. W kilku słowach opowiedział, co się stało, i poprosił, żeby Martinsson powiadomił o wszystkim Hanssona i Ann-Britt Hóglund. Potem w kuchni dokładnie umył twarz. Kiedy wyszedł na podwórze, Salomonsson stał w tym samym miejscu, nieruchomo, pochłonięty tym niesamowitym widokiem. Przyjechali najbliżsi sąsiedzi. Wallander kazał im trzymać się z daleka i nie pozwolił się zbliżyć do Salomonssona. Usłyszał syreny wozów strażackich, które niemal zawsze zjawiały się pierwsze. Tuż za nimi przyjechały dwa radiowozy i karetka. Szefem ekipy strażackiej był Peter Edler, do którego Wallander miał pełne zaufanie.

- Co się dzieje? - spytał Edler.

- Później wszystko wyjaśnię - odparł Wallander. - Tylko nie zdeptujcie pola. Leży tam martwa kobieta.

- Dom nie jest zagrożony. To, co możemy zrobić, to odgrodzić teren.

Edler ruszył spytać Salomonssona o szerokość polnych dróg i rowów. W tym czasie do Wallandera podszedł kierowca karetki. Spotkał go wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

- Czy są ranni? - zapytał. Wallander pokręcił głową.

- Jedna osoba nie żyje. Jest w rzepaku.

- Wobec tego potrzebny nam karawan. Co się stało? Wallander zignorował pytanie i zwrócił się do Norena, tego policjanta, którego znał najlepiej.

- Na polu leży martwa kobieta. Dopóki nie ugasimy pożaru, możemy tylko odgrodzić teren. Noren skinął głową.

- Czy to wypadek?

- Raczej samobójstwo - odparł Wallander.

Kilka minut później, mniej więcej w tym czasie, kiedy zjawił się Martinsson, Wallander dostał od Norena kubek kawy. Wpatrywał się w swoją dłoń i zastanawiał, dlaczego nie drży. Po chwili przyjechał Hansson z Ann-Britt Hóglund. Zrelacjonował im, co się stało. Raz po raz używał tego samego sformułowania: Palila się jak pochodnia.

- To straszne - zauważyła Ann-Britt Hóglund.

- Więcej niż straszne - powiedział Wallander. - Nic nie mogłem zrobić. Obyście nigdy nie musieli przeżywać czegoś podobnego.

W milczeniu przyglądali się strażakom. Zebrała się spora grupa ciekawskich, których policjanci trzymali w odpowiedniej odległości.

- Jak ona wyglądała? - spytał Martinsson. - Widziałeś ją z bliska?

Wallander skinął głową.

- Ktoś powinien pomówić ze staruszką - powiedział. - Nazywa się Salomonsson.

Hansson wziął Salomonssona do kuchni. Ann-Britt Hóglund rozmawiała z Peterem Edlerem. Ogień zaczął dogasać. Kiedy wróciła, powiedziała, że za chwilę będzie po wszystkim.

- Rzepak pali się szybko - poinformowała. - Poza tym pole jest mokre. Wczoraj padał deszcz.

- Była młoda - mówił Wallander. - Miała czarne włosy i ciemną skórę. Była ubrana w żółtą wiatrówkę. Chyba w dżinsach. Co na nogach, nie wiem. Bała się. - Czego się bała? - spytał Martinsson. Wallander odpowiedział po namyśle.

- Mnie się bała. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy krzyknąłem, że jestem z policji. Czego się poza tym bała, oczywiście nie wiem.

- A więc rozumiała, co mówiłeś?

- Na pewno zrozumiała słowo „policja”. Po ogniu pozostał gęsty dym.

- Czy na polu nikogo innego nie było? - zapytała Ann-Britt Hóglund. - Jesteś pewien, że była sama?

- Nie, nie jestem pewien. Ale nikogo prócz niej nie widziałem.

W milczeniu zastanawiali się nad jego słowami.

Kim ona była? - pomyślał Wallander. Skąd się wzięła? Dlaczego się podpaliła? Jeśli chciała umrzeć, to dlaczego wybrała takie cierpienie?

Wrócił Hansson.

- Powinniśmy dostawać mentol, jak w Stanach - stwierdził. - Do smarowania pod nosem. Cuchnie tam jak jasna cholera. Starzy mężczyźni nie powinni żyć dłużej od swoich żon.

- Poproś kogoś z karetki, żeby go zbadał - powiedział Wallander. - Przeżył szok.

Martinsson poszedł przekazać wiadomość. Peter Edler zdjął kask i stanął obok Wallandera.

- Niedługo będzie po wszystkim - powiedział. - Ale zostawię tu na noc jeden wóz.

- Kiedy możemy wejść na pole?

- Za godzinę. Dym jeszcze będzie się unosił. Ale ziemia już się wychładza.

Wallander odciągnął Edlera na bok.

- Co zobaczą? - zapytał. - Oblała się pięcioma litrami benzyny. Wszystko eksplodowało, więc musiała wcześniej rozlać benzynę na pole. - To nie będzie ładny widok - bez ogródek zauważył Edler. - Niewiele z niej zostało.

Wallander nic już nie powiedział i podszedł do Hanssona.

- W każdym razie wiemy, że to samobójstwo - stwierdził Hansson. - Mamy najlepszego świadka, policjanta.

- Co powiedział Salomonsson?

- Nigdy przedtem jej nie widział, zobaczył ją po raz pierwszy dzisiaj o piątej rano. Nie ma powodów, by go podejrzewać o kłamstwo.

- Inaczej mówiąc, nie wiemy, kim ona jest - powiedział Wallander. - Ani przed czym uciekała.

Hansson spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego miałyby uciekać?

- Bała się. Ukryła się w rzepaku. A kiedy przyszedł policjant, wołała się podpalić.

- Nie wiemy, co myślała - powiedział Hansson. - Mogłeś sobie wmówić, że się bała.

- Nie. Napatrzyłem się w swoim życiu na strach, żeby wiedzieć, jak on wygląda.

Podszedł do nich człowiek z karetki.

- Zabieramy staruszkę do szpitala - oświadczył. - Jest w kiepskim stanie.

Wallander skinął głową.

Chwilę później przyjechali technicy. Wallander określił miejsce, w którym powinny być zwłoki.

- Może byś pojechał do domu - zaproponowała Ann-Britt Hóglund. - Chyba masz już dzisiaj dosyć.

- Nie. Zostanę.

O wpół do dziewiątej dym się rozwił i Peter Edler pozwolił im wejść na pole. Mimo jasnego wieczoru Wallander poprosił o reflektory. - Może jest tam coś więcej - powiedział. - Uważajcie, gdzie stawiacie stopy. Ci, którzy nie mają tam nic do roboty, niech zostaną.

Pomyślał potem, że nie chciał robić tego, co musiał. Najchętniej by odjechał, niech inni się tym zajmą. Sam ruszył na pole. Koledzy patrzyli na niego. Bał się tego, co zobaczy, bał się, że kamień, który czuł w żołądku, eksploduje.

Wszedł prosto na nią. Umarła z uniesionymi ramionami, tak jak ją widział po raz ostatni, zanim ją pochłonęły płomienie. Spalone włosy, twarz i ubranie, zwęglone ciało, w którym ciągle czaił się strach i opuszczenie. Wallander zawrócił. Przez chwilę wydawało mu się, że zemdleje.

Technicy przystąpili do pracy w ostrym świetle reflektorów, wokół których od razu zaczęły krążyć ćmy. Hansson otworzył okno w kuchni, żeby usunąć zatęchły zapach starego człowieka. Usiedli przy stole. Przystali na propozycję Ann-Britt Hóglund i zaparzyli kawę na pamiętającej dawne czasy kuchni Salomonssona.

- Ma tylko taką do gotowania - oznajmiła po przepatrzeniu szuflad i szafek. -
Może być?

- Może - odpowiedział Wallander. - Byleby była mocna.

Koło szafek wisiał staroświecki zegar. Wallander zauważył, że stanął. Przypomniał sobie, że u Bajby, w Rydze, widział podobny zegar, też z parą nieruchomych wskazówek. Coś się zatrzymuje, pomyślał. Jakby wskazówki chciały zapobiec czemuś, co ma się wydarzyć, zatrzymując czas. Mąż Bajby zginął pewnej chłodnej nocy w ryskim porcie. Na polu rzepaku, niczym rozbitek na morzu, pojawia się samotna dziewczyna i odbiera sobie życie w niesamowicie bolesny sposób.

Podpałiła się, pomyślał, jakby była swoim własnym wrogiem. To nie policjanta chciała się pozbyć, tylko siebie. Z zamyślenia wyrwała go cisza przy stole. Patrzyli na niego i czekali, aż przejmie inicjatywę. Za oknem majaczyły sylwetki techników kryminalnych. W świetle reflektorów pełzali wokół martwego ciała. Rozbłysł flesz aparatu, raz, potem jeszcze raz.

- Czy ktoś zadzwonił po karawan? - spytał nagle Hansson.

Pytanie zagrzmiało w uszach Wallandera z taką mocą, jakby jego bębrenki poraziło uderzenie młota kowalskiego. Proste i rzeczowe pytanie Hanssona przywróciło go rzeczywistości, czego najbardziej ze wszystkiego chciał uniknąć.

Obrazy przesuwały się i migotały, poruszały najczulsze zakamarki mózgu. Jadąc samochodem, myślał, że wokół niego trwa piękne szwedzkie lato. Silnie i czysto śpiewała Barbara Hendricks. A potem na polu rzepaku zobaczył dziewczynę, spłoszoną jak zwierzę. I nie wiadomo skąd przychodzi katastrofa. Staje się coś niewyobrażalnego.

Karawan jest w drodze, żeby zabrać lato.

- Prytz wie, co ma robić - powiedział Martinsson. Wallander przypomniał sobie, że tak się właśnie nazywa kierowca karetki. Uznał, że musi coś powiedzieć.

- Co wiemy - zaczął po omacku, jakby każde słowo stawiało opór. - Starszy samotny rolnik, ranny ptaszek, widzi w swoim rzepaku obcą kobietę. Woła do niej, próbuje ją przegonić, bo nie chce, żeby mu zdeptywała pole. Ona się chowa i co jakiś czas znowu pojawia. Staruszek dzwoni do nas późnym popołudniem. Przyjeżdżam, ludzie z drogówki są przy wypadkach samochodowych, i szczerze mówiąc, nie traktuję tego poważnie. Chcę odjechać i powiadomić opiekę społeczną, bo Salomonsson sprawia wrażenie zaburzonego. I wtedy nagle z rzepaku wyłania się kobieta. Próbuję nawiązać z nią kontakt. Ona się wycofuje, potem bierze plastikowy kanister, oblewa się benzyną i podpala zapalniczką. Resztę znacie. Była sama, miała kanister z benzyną, odebrała sobie życie. Zamilkł, jakby nie wiedział, co ma mówić.

- Nie wiemy, kim jest - podjął po chwili. - Nie wiemy, dlaczego popełniła samobójstwo. Mogę podać dość dokładny rysopis. I to wszystko.

Ann-Britt Hóglund wyjęła z szafki popękane filiżanki. Martinsson wyszedł na podwórze za potrzebą. Kiedy wrócił, Wallander przystąpił do podsumowania.

- Musimy się dowiedzieć, kim była. To, rzecz jasna, podstawa. Na dobrą sprawę tylko tego można od nas oczekiwać. Przejrzemy rejestry osób poszukiwanych. Spiszę jej rysopis. Mam wrażenie, że była ciemna, więc może od razu przyjrzyjmy się uważniej uchodźcom i obozom przejściowym. Potem poczekamy na wyniki badań technicznych.

- W każdym razie wiemy, że nie popełniono przestępstwa - skonstatował Hansson. - Naszym zadaniem będzie ustalenie jej tożsamości.

- Musiała się tutaj skądś wziąć - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Przyszła na piechotę? Przyjechała na rowerze? Samochodem? Skąd miała kanistry z benzyną? Jest dużo pytań.

- Dlaczego właśnie tutaj? - dodał Martinsson. - Dlaczego w rzepaku Salomonssona? Jego dom stoi dość daleko od szosy.

Pytania zawisły w próżni. Wszedł Noren z informacją, że pojawiło się paru dziennikarzy i chcieliby wiedzieć, co się stało. Wallander, który odczuł przemożną potrzebę ruchu, wstał z krzesła.

- Porozmawiam z nimi.

- Powiedz, jak jest - powiedział Hansson.

- A co innego miałbym mówić? - zdziwił się Wallander. Wszedł na podwórze. Od razu poznał dwoje dziennikarzy. Młoda kobieta pracowała w „Ystads Allehanda”, a starszy mężczyzna w „Arbetet”.

- Wygląda to jak zdjęcia do filmu - odezwała się kobieta, wskazując na reflektory wycelowane w spalone pole.

- Ale tak nie jest - odparł Wallander.

Opowiedział, co się stało. W pożarze zginęła kobieta. Zabójstwo nie wchodzi w grę. Ponieważ nie znają jej personaliów, nie chce im na razie mówić nic więcej.

- Czy można zrobić kilka zdjęć? - zapytał dziennikarz z „Arbetet”.

- Może pan robić tyle zdjęć, ile pan chce - odpowiedział Wallander. - Ale tylko z tego miejsca. Nie wolno wchodzić na pole.

Dziennikarze zadowolili się tym, co usłyszeli, i odjechali. Wallander już miał wrócić do kuchni, kiedy zawołał go jeden z techników. Starał się nie patrzeć na szczątki kobiety. Stanął ze Svenem Nybergiem, ich opryskliwym, ale zdolnym ekspertem technicznym, na skraju snopu światła reflektorów. Nad spalonym polem rzepaku przeciągnął słaby wiatr od morza.

- Chyba coś mamy - powiedział Sven Nyberg. W rękę trzymał plastikową torebkę. Wallander podszedł z nią bliżej reflektora. W środku był złoty medalik.

- Jest inskrypcja - dodał Sven Nyberg. - „D.M.S”. To wizerunek Matki Boskiej.

- Dlaczego się nie stopił? - spytał Wallander.

- Podczas pożaru na polu nie ma aż tak wysokiej temperatury - wyjaśnił Sven Nyberg.

Wallander słyszał zmęczenie w jego głosie.

- Właśnie tego nam było trzeba - powiedział. - Niewierny, kim ona jest, teraz mamy przynajmniej kilka liter. - Niedługo będzie można ją zabrać - oznajmił Sven Nyberg, patrząc na czekający obok czarny karawan.

- Jak to wygląda? - spytał ostrożnie Wallander. Nyberg wzruszył ramionami.

- Zęby może coś powiedzą. Mamy zdolnych patologów. Poznasz jej wiek. Dzięki tej nowej technice genowej mogą sprawdzić, czy urodziła się tutaj, w szwedzkiej rodzinie, czy poza Szwecją.

- W kuchni jest kawa.

- Nie, nie. Chcę jak najszybciej skończyć. Jutro z samego rana przeczeszemy całe pole. Nie popełniono zbrodni, więc możemy z tym poczekać.

Wallander wrócił do kuchni. Położył torebkę z medalikiem na stole.

- Mamy jakiś ślad - oznajmił. - Medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. I inskrypcja „D.M.S”. Proponuję, żebyście pojechali do domu. Ja tu jeszcze chwilę zostanę.

- Spotykamy się jutro, o dziewiątej rano - powiedział Hansson i wstał.

- Ciekawe, kim ona była - zastanawiał się Martinsson. - Nikt nie popełnił przestępstwa, ale to przecież morderstwo. Zamordowała samą siebie.

Wallander skinął głową.

- Zamordować siebie, a popełnić samobójstwo to nie zawsze to samo - powiedział. - To masz na myśli?

- Tak - przyznał Martinsson. - Nic to oczywiście nie znaczy, co ja mam na myśli. Szwedzkie lato jest zbyt piękne i zbyt krótkie, żeby coś takiego musiało się zdarzyć.

Pożegnali się na podwórku. Ann-Britt Hóglund zwlekała.

- Dobrze, że nie musiałam na to patrzeć - powiedziała. - Chyba wiem, jak się czujesz. Wallander nie odpowiedział. - Do zobaczenia jutro - rzucił po chwili.

Kiedy koledzy odjechali, usiadł na schodkach. Reflektory oświetlały pole niczym pęsną scenę, gdzie rozgrywała się sztuka, której był jedynym widzem.

Zerwał się wiatr. Ciągłe czekali na prawdziwe lato. Było chłodno. Wallander przemarzł. Tęsknił za ciepłem. Miał nadzieję, że wkrótce przyjdzie.

Po chwili podniósł się, wszedł do domu i umył filiżanki po kawie.

Wallander drgnął we śnie. Ktoś wrywał mu nogę. Kiedy się obudził, okazało się, że wetknął stopę między materac a popsute dno łóżka. Żeby ją uwolnić, musiał się odwrócić na bok. Leżał bez ruchu. Przez niedbale opuszczoną roletę wpadało światło. Spojrzał na zegarek stojący na stoliku koło łóżka. Wpół do piątej. Spał zaledwie parę godzin i był bardzo zmęczony. Znów stał na polu rzepaku. Wydawało mu się, że teraz widzi dziewczynę dużo wyraźniej. To nie mnie się bała, pomyślał. Nie chowała się ani przede mną, ani przed Salomonssonem. Tylko przed kimś innym.

Począł do kuchni. Czekając, aż zaparzy się kawa, wszedł do nieposprzątanego salonu i spojrział na automatyczną sekretarkę. Czerwona lampka migotała. Nacisnął guzik odsłuchiwanie. Najpierw odezwała się jego siostra, Kristina: „Zadzwoń do mnie. Najlepiej w ciągu dwóch dni”. Wallander pomyślał, że ma to pewnie związek z ich ojcem. Mimo że się ożenił ze swoją opiekunką i nie mieszkał już sam, ciągle był chimeryczny i nieobliczalny. Potem odsłuchał świszczącą i niewyraźną wiadomość ze „Skanska Dagbladet”. Chcieli się dowiedzieć, czy jest zainteresowany prenumeratą ich dziennika. Już miał iść do kuchni, kiedy usłyszał jeszcze jedną wiadomość: „Tu Bajba. Jadę na kilka dni do Tallina. Wracam w sobotę”. Ogarnęła go potworna, niekontrolowana zazdrość. Po co jedzie do Tallina? Nic o tym nie

wspominała, kiedy ostatnio rozmawiali. Poszedł do kuchni, nalał sobie kawy i zadzwonił do Rygi, chociaż wiedział, że Bajba na pewno śpi. Nikt się jednak nie zgłaszał. Zadzwonił jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Zaniepokoił się. Przecież nie pojechała do Tallina o piątej rano. Dlaczego jej nie ma? A jeśli jest, to dlaczego nie odpowiada? Wyszedł na balkon z widokiem na Mariagatan i usiadł z kawą na jedynym krześle, które się tam mieściło. Znow zobaczył dziewczynę na polu rzepaku. Przez moment przypominała mu Bajbę. Zmusił się do myślenia, że nie ma najmniejszych powodów do zazdrości. Wspólnie ustalili, że nie będą obwarowywać ich kruchego związku niepotrzebnymi obietnicami wierności. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia siedzieli do późnej nocy i rozmawiali o swoich oczekiwaniach wobec siebie. Wallander chciał, żeby się pobrali. Od razu jednak przyznał jej rację, kiedy powiedziała o potrzebie wolności. Żeby nie stracić Bajby, był gotowy zgodzić się na wszystko.

Mimo wczesnej pory było już ciepło. Bezchmurne, błękitne niebo. Niespiesznie popijając kawę, usiłował nie myśleć o dziewczynie, która się spaliła w żółtym rzepaku. Potem długo szukał w szafie w sypialni czystej koszuli. Zanim poszedł do łazienki, poznosił do salonu wszystkie brudne ubrania porozrzucane po całym mieszkaniu. Niezły stos. Tego samego dnia powinien to wyprać.

Wyszedł z domu za kwadrans szósta. Wsiadając do samochodu, przypomniał sobie, że najpóźniej ostatniego dnia czerwca musi zrobić przegląd. Skręcił w Regementsgatan, potem jechał Ósterleden. Nie planując tego zawczasu, zatrzymał się przed Nowym Cmentarzem na Kronoholmsvagen. Wolno chodził między nagrobkami. Niektóre nazwiska mgliście sobie przypominał. Kiedy widział ten sam rok urodzenia, co jego, odwracał głowę. Kilku młodych ludzi w niebieskich kombinezonach zdejmowało kosiarkę z przyczepy motoroweru. Usiadł na ławce opodal łąki pamięci. Nie był tutaj od pewnego wietrznego jesiennego dnia, cztery lata temu, kiedy rozsypywano prochy Rydberga. Przyszedł Bjórk i kilku dalekich, anonimowych krewnych zmarłego. Często myślał, że powinien tu wrócić. Ale się nie składało.

Byłoby łatwiej, gdyby miał nagrobek, pomyślał. Z wrytym nazwiskiem. Mógłbym się na nim skupić i wspominać. Nie widzę go pośród tylu unoszących się wokół, niewidzialnych dusz.

Nie do końca był w stanie sobie przypomnieć, jak Rydberg wyglądał. Umiera nawet we mnie, pomyślał. Niedługo i pamięć się rozwieje.

Podniósł się nagle z niemiłym uczuciem. Płonąca dziewczyna nie dawała mu spokoju. Pojechał na komendę, wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. O wpół do ósmej, chcąc nie chcąc, sporządził podsumowanie dochodzenia w sprawie kradzionych samochodów, które miał przekazać Svedbergowi. Potem położył dokumenty na podłodze, żeby opróżnić biurko.

Podniósł podkładkę do pisania, chciał sprawdzić, czy nie wsunął tam jakichś ważnych zapisków, o których zapomniał. Znalazł tylko zdrapkę sprzed kilku miesięcy. Kiedy ją starł linijką, okazało się, że wygrał dwadzieścia pięć koron. Na korytarzu usłyszał Martinssona, a po chwili Ann-Britt Hóglund. Odchylił się na krześle, położył stopy na biurku i zamknął oczy. Obudził go kurcz w łydce. Spał najwyżej dziesięć minut. W tym momencie zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce głos Pera Akesona z prokuratury. Przywitani się, wymienili kilka słów o pogodzie. Ich wieloletnia współpraca stopniowo - o czym nigdy nie rozmawiali, ale obaj wiedzieli - przekształciła się w przyjaźń. Niejednokrotnie mieli odmienne zdanie co do motywów czyjegoś zatrzymania lub ponownego osadzenia w areszcie. Było jednak w ich kontaktach coś jeszcze, wzajemne zaufanie, mimo że prawie nigdy nie spotykali się prywatnie.

- Przeczytałem w dzisiejszej gazecie o dziewczynie, która się podpaliła na polu koło Marsvinsholmu - powiedział Per Akeson. - Czy to coś dla mnie?

- To samobójstwo - odparł Wallander. - Nie licząc starego Salomonssona, byłem jedynym świadkiem.

- Coś ty tam, na miłość boską, robił?

- Salomonsson do nas zadzwonił. Normalnie powinni pojechać ludzie z drogówki, ale byli zajęci.

- Niepiękny widok.

- Gorzej. Musimy ją zidentyfikować. Podejrzewam, że w centrali już się rozdzwoniły telefony. Dzwonią ci, którzy chcieliby się czegoś dowiedzieć o swoich zaginionych krewnych.

- A więc zabójstwo nie wchodzi w grę? Nie wiedząc czemu, Wallander zawahał się, nim odpowiedział.

- Nie. Trudno o bardziej dobitne odebranie sobie życia.

- Nie wydajesz się jednak całkowicie przekonany.

- Źle dzisiaj spałem. To straszne przeżycie. Zapadła cisza. Wallander domyślił się, że Per Akeson ma coś jeszcze do powiedzenia.

- Jest też drugi powód, dla którego dzwonię - zaczął. - Tylko niech to zostanie między nami.

- Nie mam długiego języka.

- Pamiętasz, jak mniej więcej rok temu mówiłem, że chciałbym robić coś innego? Zanim będzie za późno, zanim będę za stary. ‘

- Pamiętam, że wspominałeś o uchodźcach i ONZ - powiedział po chwili Wallander. - Czy to chodziło o Sudan?

- O Ugandę. I dostałem propozycję, którą postanowiłem przyjąć. Od września przez rok będę na okresowym urlopie.

- Co na to żona?

- Właśnie dlatego dzwonię. Po moralne wsparcie. Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

- Czy chcesz, żeby z tobą pojechała?

- Nie.

- No to podejrzewam, że będzie zaskoczona.

- Masz jakiś dobry pomysł, jak jej o tym powiedzieć?

- Niestety, nie. Ale myślę, że dobrze robisz. Życie to nie tylko wsadzanie ludzi do więzienia.

- Opowiem ci potem, co i jak.

Kiedy mieli zakończyć rozmowę, Wallander coś sobie uświadomił.

- Czy to znaczy, że twoim zastępcą będzie Anette Brolin?

- Przeszła na drugą stronę i pracuje jako adwokat w Sztokholmie - odparł Per Akeson. - Czy ty się w niej nie podkochiwałeś?

- Nie. Pytam z ciekawości.

Odłożył słuchawkę. Nieoczekiwanie dopadło go uczucie zazdrości. Sam chętnie by pojechał do Ugandy. I robił coś zupełnie innego. Nie ma nic gorszego, niż patrzeć na młodych samobójców płonących jak pochodnie. Zazdrościł Perowi Akesonowi, który nie poprzestał jedynie na mówieniu o wyjeździe.

Radość, jaką odczuwał dzień wcześniej, odpłynęła. Stał przy oknie. Wokół starej wieży ciśnięta zieleniła się trawa. Pomyślał o tym, co się stało rok wcześniej, kiedy zabił człowieka i przez dłuższy czas był na zwolnieniu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wyjdzie z depresji, w jaką wtedy wpadł. Powinienem zrobić tak, jak Per Akeson, pomyślał. I dla mnie musi być jakaś Uganda. Dla Bajby i dla mnie.

Długo stał przy oknie. Potem usiadł przy biurku i próbował złapać siostrę.

Dzwonił dość długo, ale bez przerwy było zajęte. Wyjął notatnik z szuflady biurka. Przez pół godziny pisał sprawozdanie z wydarzeń poprzedniego wieczoru. Potem zadzwonił do patologów z Malmö, ale nie udało mu się skontaktować z lekarzem, który mógłby coś powiedzieć o zwęglonych zwłokach. Za pięć dziesiąt nalał sobie kawy i poszedł do pokoju konferencyjnego. Ann-Britt Hóglund rozmawiała przez telefon, Martinsson wertował katalog sprzętu ogrodniczego, a Svedberg siedział na swoim miejscu i drapał się ołówkiem w szyję. Jedno z okien było otwarte. Wallander stanął w drzwiach z uczuciem, że był już w identycznej sytuacji. Jakby się już stało to, co się stało. Martinsson spojrzął na niego znad katalogu i skinął głową, Svedberg chrząknął, Ann-Britt Hóglund cierpliwie coś wyjaśniała swojemu dziecku. Wszedł Hansson. W jednej ręce niósł kawę, w drugiej torebkę z medalikiem, który technicy znaleźli na polu.;

- Nigdy nie śpisz? - zapytał Hansson.

Wallander się zirytował.

- Dlaczego pytasz?

- Widziałeś się w lustrze?

- Wczoraj zeszło mi do późna. Śpię tyle, ile trzeba.

- To te mecze piłki nożnej - skwitował Hansson. - Nadają je w środku nocy.

- Nie oglądam - powiedział Wallander.

Hansson spojrzął na niego ze zdumieniem.

- Nie interesujesz się? Myślałem, że wszyscy siedzą i patrzą. - Nieszczególnie - przyznał Wallander. - Ale rozumiem, że to dość nietypowe. O ile wiem, szef nie rozesłał peemki, że nieoglądanie meczów jest równoznaczne z zaniedbaniem obowiązków służbowych.

- Może przeżywamy coś takiego po raz ostatni - ponuro zauważył Hansson.

- Co takiego przeżywamy?

- Udział Szwecji w mistrzostwach świata. Mam cichą nadzieję, że nie wszystko szlag trafi. Najbardziej mnie martwi obrona.

- Aha - uprzejmie przytaknął Wallander. Ann-Britt Hóglund ciągle rozmawiała przez telefon.

- Ravelli - powiedział Hansson.

Wallander czekał na dalszy ciąg, ale się nie doczekał. Wiedział, że Hansson mówi o szwedzkim bramkarzu.

- Co z nim?

- Martwię się o niego.

- Dlaczego? Jest chory?

- Jest nierówny. Nie był dobry w meczu z Kamerunem. Dziwne wykopy, dziwne reakcje w polu bramkowym.

- To tak jak my - powiedział Wallander. - Policjanci też bywają nierówni.

- Trudno to porównywać. My nie musimy podejmować błyskawicznych ocen, czy wybiec, czy zostać na linii strzału.

- Cholera wie. Może jest jakieś podobieństwo między policjantem, który rusza do akcji, a wybiegającym bramkarzem.

Hansson spojrzał na niego. Nie rozumiał, nic jednak nie powiedział.

Milczeli. Usiedli przy stole i czekali, aż Ann-Britt Hóglund skończy rozmawiać przez telefon. Svedberg, który z trudem tolerował kobiety w policji, wkurzony bębnił ołówkiem w stół, żeby dać jej do zrozumienia, że czekają. Wallander doszedł do wniosku, że będzie musiał ukrócić te bezsensowne demonstracje. Ann-Britt Hóglund to dobra policjantka, pod wieloma względami znacznie bystrzejsza niż Svedberg.

Nad jego kawą krążyła mucha. Czekali.

Ann-Britt Hóglund skończyła i usiadła przy stole.

- Łańcuch w rowerze - wyjaśniła. - Dzieci nie bardzo potrafią zrozumieć, że mama może mieć coś ważniejszego na głowie niż natychmiastową naprawę roweru.

- Zrób to - powiedział Wallander. - Wstępne omówienie możemy zrobić bez ciebie. Pokręciła głową.

- Nie mogę ich do tego przyzwyczajać. Hansson położył na stole torebkę z medalikiem.

- Nieznana kobieta odbiera sobie życie - zaczął. - Wiemy, że nie popełniono przestępstwa. Musimy ustalić jej tożsamość.

Wallander miał uczucie, że Hansson przemawia jak Bjórk. Niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Pochwycił spojrzenie Ann-Britt Hóglund. Chyba myślała to sarno.

- Rozdzwoniły się telefony - poinformował Martinsson. - Posadziłem jednego człowieka, żeby odbierał wszystkie rozmowy.

- Dam mu rysopis - powiedział Wallander. - Skoncentrujemy się na osobach zaginionych. Może jest wśród nich. Jeśli nie, prędzej czy później ktoś zauważy jej zniknięcie.

- Zajmę się tym - powiedział Martinsson.

- Medalik. - Hansson otworzył torebkę. - Wizerunek Matki Boskiej i litery „D.M.S.” To chyba nie jest złoto.

- Mamy komputerowy rejestr skrótów i kombinacji literowych - powiedział Martinsson, który w ystadzkiej policji wiedział najwięcej o komputerach. - Wrzucimy ten wariant i zobaczymy, czy będzie jakaś odpowiedź.

Wallander wziął medalik do ręki. Były na nim ślady sadzy. - Bardzo ładny - stwierdził. - Ale większość ludzi w Szwecji, jeśli ma jakieś religijne symbole, to chyba krzyżyki? Matka Boska jest częściej spotykana w krajach katolickich.

- Zupełnie jakbyś mówił o uchodźcy albo imigrancie - powiedział Hansson.

- Mówię tylko o medaliku - odparł Wallander. - To ważny element rysopisu. Człowiek, który odbiera telefony, musi wiedzieć, jak on wygląda.

- Puścimy to do prasy? - zapytał Hansson. Wallander pokręcił głową.;

- Jeszcze nie. Wolałbym, żeby nikt przypadkowy nie przeżył szoku.

Svedberg zaczął wymachiwać rękami i jak szalony poderwał się z krzesła. Patrzyli na niego w osłupieniu. Po chwili Wallander przypomniał sobie, że Svedberg panicznie się boi os. Dopiero kiedy osa wyfrunęła przez okno, Svedberg usiadł przy stole.

- Na pewno są jakieś lekarstwa na takie uczulenia - powiedział Hansson.

- Nie jestem uczulony - burknął Svedberg. - Ja po prostu nie lubię os.

Ann-Britt Hóglund wstała i zamknęła okno. Wallander zastanawiał się nad reakcją Svedberga. Bezrozumny strach dorosłego faceta na widok malutkiej osy.

Pomyślał o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Samotna dziewczyna na polu rzepaku. W zachowaniu Svedberga było coś, co mu przypominało tę sytuację: musiał patrzeć, nie mogąc interweniować. Bezgraniczny strach. Nie podda się, dopóki się nie dowie, co ją skłoniło do samobójstwa. Żyję w świecie, w którym młodzi ludzie odbierają sobie życie, bo nie wytrzymują, pomyślał. Jeśli mam dalej pracować w policji, muszę zrozumieć, dlaczego tak jest. Drgnął, kiedy Hansson powiedział coś, co do niego nieś dotarło.

- Czy mamy coś jeszcze? - powtórzył Hansson.

- Ja zajmę się patologiami z Malmö - powiedział Wallander. - Czy ktoś się kontaktował ze Svenem Nybergiem? Jeśli nie, pojedę do niego.

Po spotkaniu Wallander poszedł do swojego pokoju po kurtkę. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz do siostry. Albo do Bajby. Ale dał sobie z tym spokój.

Pojechał do Marsvinsholmu. Kilku policjantów zносиło reflektory i zwijało kable. Dom był zaryglowany. Zanotował w pamięci, żeby w ciągu dnia dowiedzieć się o stan zdrowia Salomonssona. Może sobie o czymś przypomniał.

Pogorzelnisko ostro kontrastowało z żółtym rzepakiem na sąsiednich polach. Dwaj policjanci przepatrywali jego skraj. Nyberg klęczał na gliniastej ziemi. Skinął głową. Pot spływał mu po twarzy.

- No i jak? - spytał Wallander. - Masz coś?

- Musiała mieć dużo benzyny - odparł Nyberg i wstał z klęczek. - Znaleźliśmy pięć na wpół stopionych kanistrów. Kiedy wybuchł pożar, prawdopodobnie były puste. Jak się połączy te miejsca, w których leżały, wyraźnie widać, że się nimi obwarowała.

Wallander nie od razu zrozumiał.

- Co masz na myśli? Nyberg zatoczył ręką koło.

- Zbudowała sobie twierdzę. Rozlała benzynę dookoła. To była jej fosa, do twierdzy nie prowadziła żadna droga. Ona sama była pośrodku. Ostatni, pełny kanister zachowała dla siebie. Może była w histerii, w rozpaczy. Może była szalona albo poważnie chora. Nie wiem. Ale tak zrobiła. Wiedziała, na co się decyduje. Wallander w zamyśleniu pokiwał głową.

- Czy możesz coś powiedzieć o tym, skąd się tutaj wzięła?

- Zadzwoiłem po psa policyjnego. Ale raczej nie podejmie tropu. Ziemia jest przesycona zapachem benzyny. Będzie skołowany. Nie znaleźliśmy roweru. Przeszukanie polnych dróg wychodzących na E65 też nic nie dało. Równie dobrze mogła tu wylądować na spadochronie.

Nyberg wyjął z torby rolkę papieru toaletowego i otarł pot z twarzy.

- Co mówią lekarze? - spytał.

- Na razie nic. Przypuszczam, że czeka ich żmudna praca. Nyberg nagle spowaźniał.

- Dlaczego człowiek robi sobie coś takiego? Czy naprawdę można mieć aż takie powody, żeby nie chcieć żyć i skonać w potwornych męczarniach?

- Też sobie zadaję to pytanie - przyznał Wallander. Nyberg pokręcił głową.

- Co się dzieje?

Wallander milczał. Nie miał kompletnie nic do powiedzenia. Poszedł do samochodu i zadzwonił na komendę. Odebrała Ebba. Żeby uniknąć jej matczynych uwag, udawał, że bardzo mu się spieszy.

- Jadę teraz porozmawiać z rolnikiem, któremu spaliło się pole. Będę po południu.

Wrócił do Ystadu. W szpitalnej kafeterii wypił kawę i zjadł kanapkę. Potem zaczął szukać oddziału, na którym położono Salomonssona na obserwację. Zaczepił pielęgniarkę, przedstawił się i wyjaśnił, o co chodzi. Popatrzyła na niego obojętnie.

- Edvin Salomonsson?

- Imienia nie pamiętam - przyznał Wallander. - Czy przywieziono go wczoraj wieczorem w związku z pożarem pod Marsvinsholmem? Pielęgniarka pokiwała głową.

- Chciałbym z nim porozmawiać. Jeśli nie jest poważnie chory.

- Nie jest chory - odparła pielęgniarka. - Nie żyje. Wallander patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Nie żyje?

- Zmarł dzisiaj rano. Przypuszczalnie zawał. Zmarł we śnie. Niech pan porozmawia z lekarzem.

- Nie, to zbyt cenne. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak on się czuje. I już się dowiedziałem.

Wallander wyszedł ze szpitala na silne słońce. Nie miał pojęcia, co robić.

Wallander pojechał do domu. Jeśli chce jasno i sensownie myśleć, musi się wyspać. Ani on, ani nikt inny nie był winien śmierci starego Salomonssona. Osoba, którą można byłoby pociągnąć do odpowiedzialności, która podpaliła pole rzepaku, przyczyniając się do śmiertelnego szoku Salomonssona, nie żyła. Wyciągnął wtyczkę telefonu z gniazdka, i położył się na kanapie w salonie z ręcznikiem na twarzy. Ale sen nie przychodził. Pół godziny później poddał się. Włączył telefon, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Lindy, do Sztokholmu. Na kartce przy telefonie była długa lista wykreślonych numerów. Linda często się przeprowadzała, numery bez przerwy się zmieniały. Nikt nie podnosił słuchawki. Wykręcił do siostry. Odebrała niemal natychmiast. Rzadko ze sobą rozmawiali, a jeśli już, to prawie zawsze o ojcu. Wallander myślał czasem, że od dnia, w którym ojciec umrze, w ogóle przestaną się kontaktować. Wymienili zwyczajowe uprzejmości, mało zainteresowani, co usłyszą w odpowiedzi.

- Dzwoniłaś - powiedział Wallander.

- Martwię się o tatę.

- Czy coś się stało? Jest chory?

- Nie wiem. Kiedy byłeś u niego ostatnio?

- Mniej więcej tydzień temu - odpowiedział po namyśle i natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

- Naprawdę nie możesz odwiedzać go częściej? Wallander postanowił się bronić.

- Pracuję dobie na okrągło. Policja ma tragicznie mało ludzi. Odwiedzam go tak często, jak tylko mogę. Z jej milczenia wywnioskowałem, że mu nie wierzy.

- Rozmawiałam wczoraj z Gertrudą - kontynuowała, nie komentując jego słów.

- Kiedy spytałam, co u taty, odpowiadała dosyć wymijająco.

- Po co miałyby to robić? - zdziwił się Wallander.

- Nie wiem. Dlatego dzwonię.

- Tydzień temu był taki jak zwykle. Złościł się, że nie mam dla niego czasu. Nie siedziałem długo, ale i tak prawie ze mną nie rozmawiał, bo malował te swoje obrazy. Gertruda była jak zwykle pogodna. Chociaż nie bardzo rozumiem, jak ona z nim wytrzymuje.

- Gertruda go kocha. To miłość. A wtedy dużo się wytrzymuje.

Wallander chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę. W miarę upływu lat siostra coraz bardziej przypominała mu matkę. Nigdy nie miał szczególnie udanych kontaktów z matką. Kiedy dorastał, siostra i matka zmówiły się przeciwko niemu i ojcu. Rodzina podzieliła się na dwa obozy. Wtedy Wallander był z ojcem bardzo blisko. Dopiero kiedy postanowił zostać policjantem, doszło do konfliktu. Ojciec nie zaakceptował jego decyzji. I nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie znosi wybranego przez niego zawodu, nie zaproponował też nic w zamian. Kiedy Wallander skończył szkołę i podjął pracę w drogówce w Malmö, między nim a ojcem była już przepaść. Kilka lat później matka zachorowała na raka. Postawiono diagnozę w Nowy Rok, w maju już nie żyła. Latem siostra Kristina przeprowadziła się do Sztokholmu, gdzie dostała pracę w Ericssonie. Wyszła za męża, rozwiodła się i ponownie wyszła za męża. Wallander raz jeden spotkał jej pierwszego męża, o obecnym nie miał bladego pojęcia. Wiedział, że Linda ich czasem odwiedza w Karrtorpie, i z jej komentarzy wnioskował, że wizyty nie były zbyt udane. Dystans między nim a siostrą z okresu dzieciństwa i dorastania pozostał. W dniu, w którym umrze ich ojciec, rozstaną się na dobre.

- Odwiedzę go jeszcze dzisiaj wieczorem - obiecał Wallander i pomyślał o stercie brudnych ubrań na podłodze.

- I masz do mnie zadzwonić.

Wallander powiedział, że zadzwoni. Potem wybrał numer do Rygi. Kiedy ktoś

odebrał, w pierwszej chwili pomyślał, że to Bajba. Okazało się, że to jej sprzątaczką, która mówiła tylko po łotewsku. Szybko odłożył słuchawkę. W tym samym momencie telefon zadzwonił. Drgnął.

Usłyszał głos Martinssona.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Wpadłem zmienić koszulę - powiedział Wallander, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego zawsze musi się tłumaczyć, co robi w domu. - Czy coś się stało?

- Odebraliśmy kilka telefonów o osobach zaginionych - poinformował Martinsson. - Ann-Britt je przegląda.

- A co z twoimi komputerowymi poszukiwaniami?

- Od rana wszystko stoi - ponuro odparł Martinsson. - Przed chwilą dzwoniłem do Sztokholmu. Mówią, że za godzinę powinni uruchomić. Ale nie są pewni. - Nie ścigamy przestępców - skonstatował Wallander. - Możemy poczekać.

- Dzwoniła lekarka z Malmö. Malmstrom. Obiecałem, że się odezwiesz.

- Dlaczego nie porozmawiała z tobą?

- Nie wiem, chciała rozmawiać z tobą. Może dlatego, że to ty widziałeś tę dziewczynę żywą.

Wallander zanotował numer telefonu.

- Byłem tam - odezwał się po chwili. - Nyberg klęczał w glinie i pocił się. Czekał na psa.

- Sam jest jak pies - powiedział Martinsson, nie próbując ukryć, że nie przepada za Nybergiem.

- Bywa zrzędlawy - przyznał Wallander - ale jest zdolny. Już miał zakończyć, kiedy sobie przypomniał o Salomonssonie.

- Rolnik umarł - powiedział.

- Kto?

- Człowiek, w którego kuchni piliśmy wczoraj kawę. Miał zawał i umarł.

- Może powinniśmy zwrócić kawę - ponuro zauważył Martinsson.

Po rozmowie Wallander poszedł do kuchni i napił się wody. Potem długo siedział przy kuchennym stole. O drugiej zadzwonił do Malmö. Musiał poczekać, zanim Malmstrom podeszła do telefonu. Po głosie poznał, że jest bardzo młoda. Przedstawił się i przeprosił, że dzwoni dopiero teraz.

- Czy pojawiły się jakieś nowe dane, które przemawiałyby za przestępstwem? - spytała.

- Nie.

- Wobec tego nie musimy robić ekspertyzy sądowo-lekarskiej. To wszystko ułatwia. Podpaliła się benzyną ołowiową.

Wallanderowi zbierało się na mdłości. Wyobraził sobie zwęglone zwłoki leżące tuż obok kobiety, z którą rozmawiał.

- Nie znamy jej tożsamości - przyznał. - Musimy wiedzieć o niej jak najwięcej, żeby ustalić dokładny rysopis.

- Nie jest to łatwe w wypadku zwęglonego ciała - powiedziała obojętnie. - Naskórek jest spalony. Czekamy na wynik badania zębów. W każdym razie miała zdrowe zęby. Ani jednej plomby. Poza tym sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Żadnych złamań.

- Potrzebny mi jej wiek. To niemal najważniejsze.

- Ustalenie wieku zajmie jeszcze jeden dzień. Zęby są punktem wyjścia.

- A gdyby pani miała zgadywać?

- Wolę nie.

- Widziałem ją z odległości dwudziestu metrów. Myślę, że miała około siedemnastu lat. Mylę się?

- Nie lubię zgadywać - odparła po namyśle. - Wydaje mi się jednak, że jest młodsza.

- Dlaczego?

- Odpowiem, kiedy będę pewna. Ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że ma piętnaście lat.

- Czy piętnastoletnia dziewczynka może się podpalić z własnej woli? - spytał Wallander. - Trudno mi w to uwierzyć.

- W zeszłym tygodniu składałam to, co zostało po siedmioletniej dziewczynce, która wysadziła się w powietrze - powiedziała lekarka. - Bardzo starannie wszystko zaplanowała. Zadbala nawet o to, żeby nikomu innemu nic się nie stało. Ponieważ ledwie umiała pisać, zamiast listu pożegnalnego zostawiła rysunek. Słyszałam też o czterolatku, który próbował wydłubać sobie oczy, bo tak się bał ojca.

- To niemożliwe. Nie w Szwecji.

- Właśnie w Szwecji. W środku świata. Wallander miał łzy w oczach.

- Jeśli nie wiecie, kim ona jest, zatrzymamy ją u nas.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Wallander. - Prywatne. Śmierć przez podpalenie jest chyba potwornie bolesna?

- Ludzie wiedzą o tym od niepamiętnych czasów. Dlatego ogień był najsurowszą karą i największą męczarnią, jaką można zadać człowiekowi. Spalono Joannę d'Arc, palono czarownice. Zawsze ogień był torturą. Nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jaki to potworny ból. Poza tym nie tak szybko, niestety, traci się przytomność. Instynktowna chęć ucieczki od płomieni jest większa niż chęć uniknięcia cierpienia. Świadomość zmusza człowieka do zachowania przytomności. Potem dochodzi do punktu granicznego. Przez chwilę spalone nerwy są znieczulone. Ludziom, którzy doznali poparzeń dziewięćdziesięciu procent powierzchni ciała, wydawało się, że nie mają żadnych obrażeń. Ale kiedy znieczulenie przestaje działać...

Nie dokończyła.

- Płonęła jak pochodnia - powiedział Wallander.

- Najlepiej o tym nie myśleć. Czy tego chcemy, czy nie, czasami śmierć może być wybawieniem.

Po skończonej rozmowie Wallander wziął kurtkę i wyszedł. Zerwał się wiatr. Z północy nadciągały skłębione chmury. W drodze do komendy wstąpił na stację kontroli technicznej i zapisał się na przegląd. W pracy był parę minut po trzeciej. Chwilę poświęcił Ebbie z recepcji. Niedawno złamała rękę; przewróciła się u siebie w łazience. Zapytał, jak się czuje.

- To mi uświadomiło, że się starzeję - powiedziała.

- Nigdy nie będziesz stara.

- Jesteś miły, ale to nieprawda.

Potem zajrzał do Martinssona. Siedział przed monitorem.

- Uruchomili dwadzieścia minut temu - powiedział. - Właśnie szukam w rysopisach, czy są zaginione osoby o interesujących nas cechach.

- Dopisz, że miała sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu - powiedział Wallander. - Wiek: od piętnastu do siedemnastu lat.

Martinsson spojrzał na niego zdziwiony.

- Piętnaście lat? To chyba niemożliwe?

- Oby tak było. Ale na razie musimy się tego trzymać. Co z kombinacją liter?

- Nie zdążyłem - przyznał Martinsson. - Ale posiedzę do wieczora.

- Próbujemy zidentyfikować martwą dziewczynę. Nie szukamy przestępcy.

- I tak nikogo u mnie nie ma. Nie lubię wracać do pustego domu.

Wallander zostawił Martinssona i zajrzał do otwartego pokoju Ann-Britt Hoglund. Nikogo. Poszedł do centrali operacyjnej, gdzie przyjmowano wszystkie

telefony. Ann-Britt Hoglund siedziała przy stole i razem z asystentem policji przeglądała stertę papierów.

- Jest coś? - zapytał Wallander.

- Mamy dwie informacje, które warto sprawdzić - odpowiedziała. - Pierwsza dotyczy pewnej dziewczyny z uniwersytetu ludowego w Tomelilli, która się nie pokazała się od dwóch dni, i nikt nie wie, dlaczego.

- Nasza dziewczyna miała sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, zdrowe zęby i piętnaście, siedemnaście lat.

- Taka młoda?

- Tak. Taka młoda.

- Wobec tego nie jest to dziewczyna z Tomelilli - powiedziała Ann-Britt Hoglund, odkładając kartkę z informacją. - Ta ma dwadzieścia trzy lata i jest dosyć wysoka.

Przez chwilę czegoś szukała w stercie papierów. - Druga ma szesnaście lat, nazywa się Mari Lippmansson, mieszka w Ystadzie i pracuje w piekarni. Nie była w pracy od trzech dni. Dzwonił piekarz. Był zły. Jej rodzice najwyraźniej się nią nie przejmują.

- Przyjrzyj się jej bliżej - zdecydował Wallander, chociaż wiedział, że to nie ona.

Poszedł po kawę i usiadł w swoim pokoju. Na podłodze piętrzyły się papiery dotyczące kradzieży samochodów. Pomyślał, że już teraz powinien je przekazać Svedbergowi. Jednocześnie miał nadzieję, że przed jego urlopem nie dojdzie do żadnych poważniejszych przestępstw.

O czwartej zebrali się w konferencyjnym. Nyberg wrócił z pogorzelniska, gdzie zakończył swoje prace. Spotkanie było krótkie. Hansson musiał się zapoznać z pilną notatką z Głównego Zarządu Policji.

- Załatwimy to szybko - zaczął Wallander. - Jutro musimy przejrzeć wszystkie sprawy, które nie mogą czekać.

Zwrócił się do Nyberga, który siedział na końcu stołu.

- Jak poszło z psem?

- Tak jak mówiłem - odparł Nyberg. - Nic nie znalazł. Wszystkie tropy, jeśli takie były, zniszczył zapach benzyny, który się do tej pory nie ulotnił.

- Znaleźliście pięć albo sześć stopionych kanistrów - powiedział po namyśle Wallander. - Znaczyłoby to, że musiała czymś przyjechać. Nie dałaby rady przynieść tylu litrów benzyny. Chyba że chodziła po nią kilka razy. Jest oczywiście inna

możliwość. Że nie przyszła tam sama. Ale to co najmniej niedorzeczne. Kto pomaga młodej dziewczynie w samobójstwie?

- Możemy się zająć kanistrami - powiedział z wahaniem Nyberg. - Ale czy to konieczne? - Dopóki nie wiemy, kim ona jest, musimy szukać wszędzie - zdecydował Wallander. - Skądś musiała przyjść. W jakiś sposób.

- Czy ktoś zaglądał do obory Salomonssona? - zapytała Ann-Britt Hóglund. - Może stamtąd te kanistry. Wallander pokręcił głową.

- Ktoś musi tam pojechać.

Ann-Britt Hóglund zgłosiła się na ochotnika.

- Trzeba teraz poczekać na wyniki poszukiwań Martinssona i efekty pracy patologów z Malmö - podsumował Wallander. - Jutro dowiemy się, ile naprawdę miała lat.

- Medalik - przypomniał Svedberg.

- Poczekamy z tym, dopóki się nie wyjaśni kombinacja liter - powiedział Wallander.

Nagle zdał sobie sprawę, że do tej pory nie pomyślał o jednym. Przecież z tą dziewczyną są związani inni ludzie. Którzy będą ją opłakiwać. Którzy też będą ją widzieć jak żywą pochodnię, chociaż całkiem inaczej niż on. Płomienie pozostaną w nich na zawsze, w nim pomału wygasną i rozwieją się jak zły sen.

Po zebraniu wrócili do swoich zajęć. Svedberg poszedł z Wallanderem po materiały dochodzeniowe w sprawie kradzieży samochodów. Wallander krótko je podsumował. Kiedy się z tym uporali i Svedberg ciągle siedział, Wallander uświadomił sobie, że chciał powiedzieć coś jeszcze.

- Powinniśmy się kiedyś spotkać i porozmawiać - zaczął z wahaniem. - O rym, co się dzieje w policji.

- Myślisz o redukcjach i o przejmowaniu aresztantów przez firmy ochroniarskie? - Svedberg, zniechęcony, pokręcił głową. - Co z tego, że nam dadzą nowe mundury, jeśli nie będziemy mogli normalnie pracować?

- Nasza rozmowa niczego nie załatwi - powiedział Wallander wymijająco. - Mamy związek zawodowy, któremu między innymi za to płacą.

- Tak czy inaczej, trzeba protestować. Trzeba mówić ludziom, na co się zanosi.

- Każdy ma chyba dosyć swoich spraw - powiedział Wallander, myśląc jednocześnie, że Svedberg oczywiście ma rację.

Z doświadczenia wiedział, że w obronie swoich komisariatów są gotowi na

bardzo wiele.

Svedberg wstał.

- To tyle.

- Zorganizuj zebranie - zaproponował Wallander. - Na pewno przyjdę. Ale poczekaj z tym do jesieni.

- Pomyślę o tym - powiedział Svedberg i wyszedł z kradzieżami samochodów pod pachą.

Była za kwadrans piąta. Wallander spojrział w okno. Będzie padać. Postanowił zjeść pizzę, a potem odwiedzić ojca w Lóderupie. Przynajmniej raz chciał do niego pojechać bez telefonicznej zapowiedzi.

Kiedy wychodził z komendy, zajrzał do Martinssona.

- Nie siedź za długo.

- Ciągle nic nie znalazłem - powiedział Martinsson znad swoich monitorów.

- Do zobaczenia jutro.

Wallander poszedł na parking. W samochód zaczęły uderzać pierwsze krople deszczu. Już miał wyjeżdżać, kiedy zobaczył biegnącego w jego stronę i wymachującego rękami Martinssona. Mamy ją, przemknęło mu przez głowę. I poczuł kamień w żołądku. Opuścił szybę.

- Znalazłeś ją? - spytał.

- Nie.

Z wyrazu twarzy Martinssona wywnioskował, że stało się coś poważnego. Wsiadł z samochodu.

- Co jest?

- Był telefon - powiedział Martinsson. - Na plaży pod Sandskogen znaleziono zwłoki.

Cholera, pomyślał Wallander. Tylko nie to. Nie teraz.

- Wygląda to na morderstwo - kontynuował Martinsson. - Dzwonił mężczyzna. Sprawiał wrażenie niezwykle rzeczowego, chociaż, rzecz jasna, był w szoku.

- Jedziemy. Idź po kurtkę. Będzie padać. Martinsson ani drgnął.

- Ten, co dzwonił, rozpoznał ofiarę. Wallander wyczytał z twarzy Martinssona, że odpowiedź nie wprawi go w dobry humor.

- Powiedział, że to Wetterstedt. Były minister sprawiedliwości.

Wallander wpatrywał się w Martinssona.

- Powtórz.

- Twierdził, że to Gustaf Wetterstedt. Minister sprawiedliwości. Powiedział jeszcze coś. Powiedział, że był oskalpowany. Patrzyli na siebie tępym wzrokiem. Była za dwie piąta, środa, 22 czerwca.

Deszcz przybrał na sile. Wallander czekał na Martinssona, kiedy ten pobiegł po kurtkę. W czasie jazdy niewiele rozmawiali. Martinsson pokazywał drogę. Skręcili w wąską uliczkę za kortami tenisowymi. Wallander rozmyślał, co ich czeka. Stało się to, czego najmniej ze wszystkiego pragnął. Wiedział, że jeśli mężczyzna, który zadzwonił na komendę, mówi prawdę, jego urlop jest pod znakiem zapytania. Hansson poprosił go o przesunięcie terminu, na co on się w końcu zgodzi. I tak spełzną na niczym jego nadzieje na puste biurko do końca czerwca.

Zobaczyli wydmy i zatrzymali się. Podszedł do nich mężczyzna, z którym mieli się spotkać. Wallandera zaskoczył jego wiek, nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Jeśli denatem jest Wetterstedt, mężczyzna mógł mieć około dziesięciu lat, kiedy Wetterstedt przestał piastować funkcję ministra sprawiedliwości i zniknął z życia publicznego. Wallander był wtedy młodym policjantem śledczym. Próbował przywołać w pamięci wygląd Wetterstedta: krótkie włosy, okulary bez oprawek, terkotliwy głos, zawsze pewny siebie, nieskłonny do przyznania się do błędu. Tak go zapamiętał.

Mężczyzna przedstawił się jako Góran Lindgren. Miał na sobie krótkie spodenki i cienką koszulkę. Był zdenerwowany. Poszli za nim brzegiem. Padało, byli sami. Góran Lindgren zaprowadził ich do dużej łodzi wiosłowej. Leżała do góry dnem.

- Jest pod spodem - drżącym głosem powiedział Góran Lindgren.

Wallander i Martinsson popatrzyli na siebie, jakby się nadal łudzili, że to nieprawda. W końcu uklękli i zajrzeli pod łódkę. Chociaż było ciemnawo, bez trudu rozróżnili zarys postaci.

- Przewróćmy łódź - szepnął Martinsson, jakby się bał, że umarły go usłyszy.

- Nie. Nie będziemy niczego przewracać. Szybko się podniósł.

- Ma pan chyba latarkę - zwrócił się do Górana Lindgrena. - Inaczej nie zauważyłby pan kilku szczegółów.

Mężczyzna ze zdziwieniem skinął głową i z reklamówki, która leżała obok łodzi, wyjął latarkę. Wallander przykucnął i poświecił. - Jasna cholera - wyrwało się Martinssonowi.

Twarz zmarłego była pokryta krwią. Mimo to mogli zobaczyć, że denat nie ma skóry na czole ani włosów. Goran Lindgren się nie pomylił. Pod łódką leżał

Wetterstedt. Wstali. Wallander zwrócił latarkę.

- Skąd pan wiedział, że to Wetterstedt? - spytał.

- Mieszka tutaj - odparł Grań Lindgren i pokazał na najbliższą willę. - Poza rym był znany. Pamięta się polityka, który często występował w telewizji.

Wallander pokiwał głową.

- Pełna mobilizacja - powiedział do Martinssona. - Idź zadzwoń. Ja poczekam tutaj.

Martinsson szybko odszedł. Deszcz przybierał na sile.

- Kiedy go pan zobaczył? - spytał Wallander.

- Nie mam zegarka - odparł Lindgren. - Ale jakieś pół godziny temu.

- Skąd pan dzwonił?

Lindgren wskazał na reklamówkę.

- Mam komórkę.

Wallander przyglądał mu się uważnie.

- Leży pod przewróconą łódką - powiedział. - Z zewnątrz nic nie widać. Musiał się pan pochylić, żeby go zobaczyć.

- To moja łódź. A dokładniej, mojego taty. Często tutaj przychodzę po pracy. A że zbierało się na deszcz, pomyślałem, że włożę reklamówkę pod łódkę. Uderzyła o coś, więc się schyliłem. Najpierw myślałem, że obluzowała się deska. No a potem go zobaczyłem.

- To nie moja sprawa, ale jestem ciekaw, dlaczego nosi pan z sobą latarkę?

- Mamy domek w Sandskogen, koło Myrgangen. Nie ma tam światła, bo wymieniamy przewody. Ojciec i ja jesteśmy elektrykami. Wallander skinął głową.

- Proszę tu zostać - powiedział. - Za chwilę powtórzmy te pytania. Czy czegoś pan dotykał? Lindgren pokręcił głową.

- Czy ktoś oprócz pana go widział?

- Nie.

- Kiedy ostatnio pan albo pana ojciec odwracaliście łódkę?

- Przeszło tydzień temu - odpowiedział po namyśle Góran Lindgren.

Wallander nie miał więcej pytań. Stał bez ruchu i zastanawiał się. Potem podszedł pod dom Wetterstedta. Dotknął furtki do ogrodu. Zamknięta.

Przywołał Górana Lindgrena.

- Mieszka pan w pobliżu?

- Nie. W Akesholmie. Zaparkowałem wyżej, przy drodze.

- I wiedział pan, że Wetterstedt mieszka właśnie tutaj?
 - Spacerował nad brzegiem. Czasami się przyglądał, jak się z ojcem krzątamy przy łodzi. Ale ani razu się do nas nie odezwał. Chyba był trochę bufonowaty.
 - Miał żonę?
 - Ojciec mówił, że się rozwiódł. Przeczytał to w jakimś tygodniku.
- Wallander skinął głową.
- No, dobrze, nie ma pan nic od deszczu w tej reklamówce?
 - Mam w samochodzie.
 - To proszę przynieść. Czy powiedział pan o swoim odkryciu jeszcze komuś prócz policji?
 - Nie, ale chciałbym zadzwonić do ojca. To jego łódź.
 - Proszę się z tym na razie wstrzymać - powiedział Wallander. - Niech pan teraz idzie po ubranie.

Kiedy Góran Lindgren odszedł, Wallander wrócił do łodzi. Patrząc na nią, próbował sobie wyobrazić, co się stało. Wiedział, że pierwsze wrażenie z miejsca zbrodni często bywa rozstrzygające. Później, w trakcie żmudnego śledztwa, będzie się odwoływał do tego pierwszego wrażenia.

Pewne rzeczy mógł stwierdzić od razu. Wetterstedta nie zamordowano pod łodzią. Został tam włożony. Schowany. Ponieważ dom ofiary był tuż obok, wiele przemawiało za tym, że tam właśnie zginął. Poza tym Wallander podejrzewał, że morderca nie działał sam. Żeby umieścić ciało pod łódką, trzeba ją było podnieść. Starego typu, drewniana łódź, budowana systemem klinkierowym, sporo ważyła.

Potem pomyślał o skalpie. Jakiego słowa użył Martinsson? Góran Lindgren powiedział, że mężczyzna został oskalpowany. Naturalnie mogły być inne powody okaleczenia głowy. Nie wiedzieli, jak zginął Wetterstedt. Myśl o celowym pozbawianiu kogoś włosów wcale nie jest taka oczywista.

Było jednak coś, co się nie zgadzało. Wallander poczuł się nieswojo. Zaniepokoiła go ta zdarta skóra.

Zaczęły się zjeżdżać wozy policyjne. Martinsson, bardzo mądrze, zabronił im używania syren i kogutów. Wallander odsunął się kilkanaście metrów od łodzi, żeby nie zadeptywali piasku.

- Pod łodzią jest martwy mężczyzna - powiedział, kiedy policjanci zebrali się wokół niego. - To prawdopodobnie Gustaf Wetterstedt, swego czasu nasz najwyższy zwierzchnik. Ci, którzy są w moim wieku, pamiętają, że był kiedyś ministrem

sprawiedliwości. Tutaj mieszkał na emeryturze. A teraz nie żyje. Musimy przyjąć, że został zamordowany. Zaczniemy od odgródzenia terenu.

- Całe szczęście, że dzisiaj w nocy nie ma meczu - odezwał się Martinsson.

- Kto wie, może nasz człowiek też się interesuje piłką nożną - powiedział Wallander, poirytowany ciągłymi uwagami o trwających mistrzostwach świata. - Nyberg już jedzie - poinformował Martinsson.

- Będziemy pracować całą noc - zdecydował Wallander.

- Zaczynajmy.

Przyjechał Svedberg z Ann-Britt Hóglund, chwilę później dołączył Hansson. Góran Lindgren wrócił w żółtym kombinezonie przeciwdeszczowym. Jeszcze raz opowiedział, jak zauważył martwego mężczyznę. Svedberg notował. Ponieważ padało na całego, stanęli pod drzewem na wydmie. Wallander poprosił Lindgrena, żeby jeszcze został. Nie chciał odwracać łodzi, więc wezwany lekarz musiał się pod nią podkopać, żeby stwierdzić zgon.

- Prawdopodobnie był rozwiedziony - powiedział Wallander. - Ale musimy to sprawdzić. Zostańcie tutaj, a ja z Ann-Britt obejrzymy willę.

- Klucze - przypomniał Svedberg.

Martinsson położył się na brzuchu przy łódce i wyciągnął rękę. Po kilku minutach wyjął z kieszeni kurtki Wetterstedta pęk kluczy. Upaprany mokrym piaskiem, wręczył je Wallanderowi.

- Musimy zadaszyc teren - powiedział Wallander z irytacją.

- Dlaczego Nyberga jeszcze nie ma? Dlaczego wszystko tak się ślimaczy?

- Przyjedzie - uspokajał Svedberg. - Dzisiaj środa. W środy przesiaduje w saunie.

Wallander i Ann-Britt Hóglund ruszyli do willi Wetterstedta.

- Pamiętam go ze szkoły policyjnej - powiedziała. - Ktoś powiesił jego zdjęcie na ścianie zamiast tarczy do gry w strzałki.

- Nigdy nie był popularny w policji - przyznał Wallander.

- To za jego czasów cichaczem zbliżało się nowe. Jakby nam ktoś nagle wciągnął kaptur na oczy. Człowiek się wstydził, że był policjantem. Lepiej się wtedy dbało o więźniów niż o spadek przestępczości.

- Niewiele pamiętam - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Ale czy on nie był zamieszany w jakąś aferę?

- Krążyły różne pogłoski. O tym i owym. Ale niczego mu nie udowodniono.

Słyszałem, że kilku policjantów ze Sztokholmu nieźle się wkurzyło.

- Może przyszedł jego czas.

Wallander spojrzał na nią, zdumiony. Ale nic nie powiedział.

Stanęli przed furtką w murze oddzielającym plażę od ogrodu Wetterstedta.

- Już tu kiedyś byłam - stwierdziła. - Wydzwaniał do nas i narzekał, że młodzież przesiaduje nocami na brzegu i śpiewa. Jeden z tych młodych ludzi napisał nawet w tej sprawie list do redakcji „Ystads Allehanda”. Bjork mnie poprosił, żebym tu przyjechała i popatrzyła.

- Popatrzyła? Na co?

- Nie wiem. Jak wiesz, Björk był bardzo czuły na krytykę.

- To była jedna z jego najlepszych stron. W każdym razie bronił nas. Nie zawsze tak jest.

Znaleźli właściwy klucz i otworzyli furtkę. Wallander zauważył, że lampa przy furtce jest popsuta. Weszli do zadbanego ogrodu. Na trawie ani śladu zeszłorocznych liści, mała fontanna: dwoje nagich gipsowych dzieci oblewało się tryskającą im z ust wodą. Wal tańce był hamak, a na kamiennej posadzce stał stół z marmurowym blatem i krzesła.

- Dobrze utrzymane i kosztowne - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Jak myślisz, ile kosztuje taki stół?

Wallander nie wiedział. Wydawało mu się, że willę zbudowano na początku stulecia. Brukowaną alejką doszli do drzwi frontowych. Wallander zadzwonił. Odczekał przeszło minutę i zadzwonił jeszcze raz. Potem odszukał klucz i otworzył. W przedpokoju paliło się światło. Zawołał. Cisza. Nikogo.

- Wetterstedt nie zginął pod łodzią - powiedział. - Naturalnie mógł zostać zaatakowany na plaży. Ale wydaje mi się, że to się stało tutaj.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem. Przeczucie.

Wolno przeszli przez cały dom, od piwnicy po strych, dotykając jedynie kontaktów. Przegląd był powierzchowny, ale dla Wallandera ważny. Nie wiedzieli, czego szukają. Kilka dni temu mężczyzna, który teraz leżał martwy na plaży, mieszkał tutaj. W najlepszym wypadku mogli szukać śladów tej nagłej pustki. Wszędzie panował wzorowy porządek. Wallander wypatrywał ewentualnego miejsca zbrodni. Obejrzał drzwi wejściowe, sprawdzając, czy nikt się nie włamał. Kiedy stali w przedpokoju, powiedział, żeby zdjęli buty. Poruszali się teraz bezgłośnie po willi, która

wydawała się rosnać z każdym ich krokiem. Wallander spostrzegł, że jego koleżanka w takim samym stopniu przypatruje się jemu, co sprzętom w pokojach. Nieraz, jako młody i nieopierzony policjant, zachowywał się identycznie w obecności Rydberga. Zamiast się cieszyć, że Ann-Britt Hóglund szanuje jego wiedzę i doświadczenie, był przygnębiony. Zbliża się zmiana warty, pomyślał. Chociaż są w jednej drużynie, ona wspina się na szczyt, a on pomału zaczyna z niego schodzić. Przypomniał sobie dzień, sprzed blisko dwóch lat, kiedy się pierwszy raz spotkali. Zobaczył bezbarwną, mało atrakcyjną młodą kobietę, która skończyła szkołę policyjną z najlepszymi ocenami. Wyraziła nadzieję, że nauczy ją tego wszystkiego o nieobliczalnej rzeczywistości, czego nie była w stanie poznać, przebywając w hermetycznym środowisku szkolnym. A powinno być odwrotnie, pomyślał, przyglądając się wyblakłej litografii o nierozpoznawalnym motywie. Zmiana już się niepostrzeżenie dokonała. Uczę się więcej od niej, na podstawie tego, jak na mnie patrzy, niż ona ode mnie. Bo jakie może mieć korzyści z mojego coraz bardziej wyjałowionego policyjnego mózgu.

Zatrzymali się przy oknie na piętrze, skąd widzieli brzeg. Na plaży zainstalowano reflektory. Nyberg, który się wreszcie pojawił, wściekle gestykulował, pokazując, jak zawiesić nad łodzią plastikowy dach. Policjanci w długich płaszczach pilnowali blokady. Łało na całego, za blokadą stało kilka osób.

- Chyba się pomyliłem - zauważył Wallander, patrząc, jak dach w końcu znalazł się na właściwym miejscu. - Nic nie wskazuje na to, żeby Wetterstedt został zamordowany w domu.

- Morderca mógł posprzątać - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

- Dowiemy się tego, kiedy Nyberg dokładnie wszystko przeszuka. W każdym razie mojemu pierwszemu przeczuciu zaprzecza drugie przeczucie. Myślę, że to się stało poza domem.

W milczeniu zeszli na dół.

- Nie było poczty przy drzwiach - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Pewnie skrzynka jest przed domem.

- Później się tym zajmiemy.

Wszedł do dużego salonu. Ann-Britt Hóglund zatrzymała się przy drzwiach, jakby czekała na wykład.

- Zwykle zadaję sobie pytanie - zaczął Wallander - czego nie widzę. Tutaj wszystko wydaje się oczywiste. To dom samotnego mężczyzny, gdzie wszystko jest na swoim miejscu, rachunki popłacone, gdzie samotność przenika ściany jak stary

papierosowy dym. Nie pasuje do tego wzoru tylko jedno: że ten mężczyzna leży teraz martwy pod łodzią Górana Lindgrena.

Po chwili dodał:

- Jest jeszcze coś. Popsuta lampa przy furtce.

- Mogła się przepalić żarówka. - Oczywiście, ale tak czy inaczej, nie pasuje do tego wzoru. Ktoś zapukał do drzwi. Wallander otworzył. W deszczu stał Hansson.

- Ani Nyberg, ani lekarz nic więcej nie zrobią bez podniesienia łodzi - oznajmił.

- No to podnieście - zdecydował Wallander. - Zaraz tam przyjdę.

Hansson rozplynął się w deszczu.

- Powinniśmy odszukać jego rodzinę - powiedział Wallander. - Musi tu gdzieś być notes z telefonami.

- Jedno mnie dziwi - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Wszędzie są pamiątki z jego długiego życia, licznych podróży, mnóstwa spotkań z różnymi ludźmi, ale nie ma fotografii rodzinnych.

Wallander rozejrzał się po salonie i przyznał jej rację. Zirytował się, że sam na to nie wpadł.

- Może nie chciał, żeby mu przypominały o jego podeszłym wieku - powiedział bez przekonania.

- Kobieta nie mogłaby mieszkać w takim domu, w którym nie ma zdjęć jej rodziny. Chyba dlatego o tym pomyślałam. Na stoliku koło kanapy stał telefon.

- W gabinecie też jest telefon - powiedział. - Popatrz tam, a ja poszukam tutaj. Kucnął przy stoliku. Obok telefonu leżał pilot do telewizora. Mógł rozmawiać i jednocześnie oglądać telewizję, pomyślał. Zupełnie jak ja. Żyjemy w świecie, w którym musimy mieć pełną kontrolę nad telewizorem i telefonem. Przejrzał książki telefoniczne, nie znalazł tam jednak żadnych prywatnych zapisków. Potem podszedł do komody i ostrożnie wysunął dwie szuflady. W jednej był klaser, w drugiej tubki kleju i pudełko z obrączkami do serwetek. Kiedy ruszył do gabinetu, zadzwonił telefon. Drgnął. Ann-Britt Hóglund pojawiła się w drzwiach. Wallander usiadł w rogu kanapy i podniósł słuchawkę.

- Halo - odezwała się kobieta. - Gustaf? Dlaczego nie dzwonisz?

- Kto mówi? - spytał Wallander.

- Jestem matką Gustafa Wetterstedta - powiedziała ostrym głosem. - Z kim rozmawiam?

- Nazywam się Kurt Wallander. Jestem z policji. Słyszał jej oddech. Pomyślał,

że jeśli jest matką Wetterstedta, to musi być bardzo stara. Dał znak Ann-Britt Hoglund.

- Czy coś się stało? - spytała kobieta.

Wallander nie wiedział, co powiedzieć. Powiadamanie o śmierci przez telefon kłóciło się ze wszelkimi pisаныmi i niepisаныmi regułami. Ale już powiedział, że jest policjantem.

- Halo! - zawołała kobieta. - Jest pan tam?

Wallander milczał. Wpatrywał się bezradnie w Ann-Britt Hoglund, a potem zrobił coś, czego nie potrafił później wyjaśnić: odłożył słuchawkę.

- Kto to był? - zapytała Ann-Britt Hoglund.

Wallander pokręcił głową, podniósł słuchawkę i zadzwonił na Kungsholmen, do komendy głównej sztokholmskiej policji.

Tuż po dziewiątej wieczorem telefon Gustafa Wetterstedta znów się odezwał. Koledzy ze Sztokholmu poinformowali matkę Wetterstedta o śmierci syna. Do Wallandera zadzwonił inspektor Hans Yikander z komisariatu na Óstermalmie. Za kilka dni, 1 lipca, dotychczasową nazwę posterunku zastąpi nowa, Citypolisen. - Już wie - powiedział Hans Yikander. - Z uwagi na jej wiek poszedłem do niej z pastorem. Ale była opanowana, mimo że ma czterdzieści cztery lata.

- Może właśnie dlatego - odparł Wallander.

- Szukamy dzieci Wetterstedta. Syn pracuje przy ONZ w Nowym Jorku, a córka, młodsza, mieszka w Uppsali. Powinniśmy ich złapać jeszcze dzisiaj wieczorem.

- A jego była żona?

- Która? Miał trzy żony.

- Wszystkie. Sami się z nimi skontaktujemy.

- Mam coś, co może cię zainteresuje. Dowiedzieliśmy się od jego matki, że dzwonił do niej codziennie, punktualnie o dziewiątej wieczorem.

Wallander spojrzał na zegarek. Trzy po dziewiątej. Od razu zrozumiał, że to bardzo ważne.

- Wczoraj nie zadzwonił - mówił Hans Yikander. - Czekala do wpół do dziesiątej. Wtedy sama zadzwoniła. Nikt nie odpowiadał, mimo że, jak twierdzi, przeczekała co najmniej piętnaście sygnałów.

- A przedwczoraj?

- Nie była pewna. W końcu ma czterdzieści cztery lata. Powiedziała, że jej bliska pamięć jest kiepska.

- Czy powiedziała coś jeszcze?

- Nie bardzo wiedziałem, o co pytać.

- Chcielibyśmy jeszcze z nią porozmawiać. Ponieważ ciebie już zna, może ty byś się tego podjął.

- W drugim tygodniu lipca idę na urlop - odparł Hans Yikander. - Ale do tego czasu mogę, czemu nie.

Wallander zakończył rozmowę. Ann-Britt Hóglund poszła wyjąć pocztę ze skrzynki i właśnie wróciła.

- Wczorajsze i dzisiejsze gazety - powiedziała. -1 rachunek telefoniczny. Żadnych prywatnych listów. Chyba długo nie leżał pod tą łodzią. Wallander wstał z kanapy.

- Obejrzyj dom jeszcze raz. Zorientuj się, czy coś nie zginęło. A ja pójdę na brzeg.

Wciąż łało. Idąc przez ogród, Wallander przypomniał sobie, że miał odwiedzić ojca. Zawrócił z grymasem niezadowolenia.

- Zrób mi przysługę - poprosił Ann-Britt Hóglund. - Zadzwoń do mojego ojca i powiedz mu, że jestem bardzo zajęty. Gdyby spytał, z kim rozmawia, możesz powiedzieć, że z nowym szefem policji.

Skinęła głową z uśmiechem. Wallander podał jej numer telefonu i wyszedł na deszcz.

Miejsce zbrodni, oświetlone silnymi reflektorami, wyglądało dosyć upiornie. Z przykrym uczuciem Wallander wszedł pod rozpięty dach. Gustaf Wetterstedt leżał na plecach na brezencie. Lekarz świecił mu latarką w gardło. Widząc Wallandera, przerwał.

- Jak się czujesz? - spytał.

Dopiero teraz Wallander go poznał. Pewnej nocy, kilka lat temu, przyjął go w przyszpitalnym pogotowiu, kiedy Wallander myślał, że ma zawał.

- Nie licząc tego tutaj, dobrze - odparł. - Nie miałem nawrotu.

- Posłuchałeś moich rad?

- Raczej nie - bąknął pokrętnie.

Przyglądał się martwemu mężczyźnie i pomyślał, że nawet teraz sprawia takie samo wrażenie, jak wtedy, gdy się pojawiał na ekranie telewizora. W jego twarzy, mimo że pokrywała ją zakrzepła krew, było coś stanowczego i odpychającego. Pochylił się i spojrzał na ranę na czole.

- Jak umarł? - spytał. - Od silnego ciosu w kręgosłup - odparł lekarz. - Jest przecięty tuż pod łopatkami. Śmierć musiała być natychmiastowa. Zanim upadł, już nie żył.

- Jesteś pewien, że to się stało poza domem?

- Tak myślę. Cios zadał mu ktoś, kto stał za nim. Upadł na brzuch. Ma piasek w ustach i w oczach. Prawdopodobnie wydarzyło się to gdzieś w pobliżu.

- No to muszą być ślady krwi.

- Deszcz wszystko utrudnia, ale przy odrobinie szczęścia może się dokopieć do krwi, jeśli spłynęła głębiej niż deszczówka.

Wallander pokazał na zdeformowaną głowę Wetterstedta.

- A jak to wytłumaczysz? - spytał. Lekarz wzruszył ramionami.

- Cięcie na czole jest od ostrego noża - powiedział - albo brzytwy. Nie ma skóry ani włosów. Nie mogę stwierdzić, czy zostało zrobione przed zadaniem ciosu w kręgosłup, czy później. To robota dla patologa w Malmö.

- Malmström ma dużo pracy.

- Kto?

- Malmström, patolożka, z którą rozmawiałem. Wczoraj podesłaliśmy im ciało dziewczyny, która się podpaliła. A teraz oskalpowany mężczyzna.

- Jest tam kilku patologów - powiedział lekarz. - Jej nie znam.

Wallander kucnął przy zwłokach.

- Powiedz mi, co się według ciebie stało? - spytał.

- Ten, kto go załatwił ciosem w plecy, wiedział, czego chce. Kat nie zrobiłby tego lepiej. Ale żeby skalpować! To by wskazywało na szaleńca.

- Albo na Indianina - powiedział Wallander w zadumie. Podniósł się. Poczul ukłucie w kolanach. Minęły już czasy, kiedy mógł kucać bezkarnie.

- Skończyłem - oznajmił lekarz. - Już zawiadomiłem Malmö, że go przywieziemy.

Wallander nic nie powiedział. Dostrzegł pewien szczegół w ubraniu Wetterstedta: rozporek był rozpięty.

- Sprawdzaleś jego ubranie? - spytał lekarza.

- Tylko na plecach, wokół rany.

Wallander pokiwał głową. Zrobiło mu się niedobrze.

- Mogę cię o coś prosić? Mógłbyś sprawdzić, czy w rozporoku Wetterstedta jest ciągle to, co być powinno? Lekarz spojrział na niego zdziwiony.

- Jeśli ktoś zrywa mu ciemę, to równie dobrze może wyrwać i co innego - wyjaśnił Wallander.

Lekarz skinął głową, włożył foliowe rękawice i ostrożnie wsunął dłoń w rozporek.

- Wygląda na to, że wszystko ma na miejscu - powiedział po oględzinach.

Wallander skinął głową.

Zabrano zwłoki. Wallander podszedł do Nyberga, który klęczał przy odwróconej łodzi.

- Jak idzie? - spytał.

- Nie wiem - odparł Nyberg. - Deszcz zniszczy wszystkie ślady.

- Ale jutro musicie kopać - powiedział Wallander i powtórzył słowa lekarza.

Nyberg pokiwał głową.

- Jeśli jest krew, to ją znajdziemy. Czy mamy szukać w jakimś konkretnym miejscu?

- Przy łodzi, a potem między furtką i wodą. Nyberg wskazał na otwartą torbę. Było w niej kilka plastikowych torebek. - Znalazłem w jego kieszeni tylko pudełko zapalek - powiedział Nyberg. - Klucze masz ty. Miał na sobie markowe ubranie. Z wyjątkiem drewniaków.

- Dom jest chyba nietknięty. Ale byłbym zadowolony, gdybyś tam zajrzał jeszcze dzisiaj.

- Nie mogę być w dwóch miejscach naraz - odburknął Nyberg. - Jeśli mamy zabezpieczyć jakieś ślady na brzegu, to musimy to zrobić natychmiast, zanim deszcz wszystko zmyje.

Wallander zamierzał pójść do willi, kiedy zobaczył Górana Lindgrena. Marzył na deszczu.

- Może pan już wracać do domu - powiedział.

- A czy mogę zadzwonić do ojca i mu o tym opowiedzieć?

- Tak.

- Co się tutaj stało?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Wallander.

Za blokadą nadal stała gromadka ciekawskich i przyglądała się pracy policji. Parę starszych osób, młodszy mężczyzna z psem i chłopiec na motorowerze. Wallander z niepokojem pomyślał o tym, co ich czeka w najbliższych dniach. Były minister sprawiedliwości z przetrąconym kręgosłupem, w dodatku oskalpowany - to

jedna z tych wiadomości, o jakich codziennie marzy prasa, radio i telewizja. Jedyne plus, jaki dostrzegął, to ten, że informacje o dziewczynie, która się spaliła w rzepaku Salomonssona, nie znajdują się na pierwszych stronach gazet.

Przypiliło go. Poszedł nad wodę i rozpiął rozporek. Może to tylko to, pomyślał. Gustaf Wetterstedt miał rozpięty rozporek, bo w momencie, w którym został zaatakowany, po prostu sikał.

Ruszył do willi. Nagle stanął. Miał uczucie, że coś przeoczył. Podeszedł do Nyberga.

- Wiesz, gdzie jest Svedberg? - spytał. Svedberg wstał i wyszedł. Wallander znalazł szmatę i wytarł do czysta podłogę w kuchni, a potem zajrzał do Ann-Britt Hóglund. Dochodziło wpół do jedenastej.

- Twój ojciec nie był zachwycony - poinformowała, kiedy stanął za nią. - Chyba najbardziej wkurzyło go to, że sam nie zadzwoniłeś.

- Ma rację. Co znalazłaś?

- Zaskakująco mało. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazuje na kradzież. Nikt nie próbował się włamywać do szaf. Żeby utrzymać taki duży dom w porządku, musiał zatrudniać pomoc domową.

- Dlaczego tak myślisz?

- Po pierwsze, widać różnicę w sprzątaniu mężczyzny i kobiety. Nie pytaj mnie, dlaczego. Tak po prostu jest.

- A po drugie?

- Znalazłam kalendarz z adnotacją: „wycierus”. Powtarza się co dwa tygodnie. - Naprawdę napisał „wycierus”?

- Stare, pogardliwe słowo.

- Kiedy była tu ostatnio?

- W czwartek.

- To tłumaczy te porządki.

Wallander usiadł na krześle po drugiej stronie biurka.

- Jak to wygląda tam na brzegu? - spytała.

- Cios siekierą w kręgosłup. Momentalna śmierć. Morderca bierze skalp i znika.

- Wcześniej mówiłeś, że było ich co najmniej dwóch.

- Tak. A teraz wiem tylko tyle, że wcale mi się to nie podoba. Dlaczego ktoś zabija starca, który od dwudziestu lat żyje w samotności? I dlaczego go skalpuje?

Milczeli. Wallander pomyślał o płonącej dziewczynie, o mężczyźnie, któremu zdarto włosy i o padającym deszczu. Próbował zastąpić te nieprzyjemne obrazy, wyobrażając sobie, jak on i Bajba chowają się przed wiatrem za wydumą w Skagenie. Ale dziewczyna dalej biegła, jej włosy płonęły, a Wetterstedt jechał na noszach do Malmö.

Odpędził te myśli i spojrzął na Ann-Britt Hóglund.

- Przedstaw mi obraz sytuacji. Co się twoim zdaniem stało? Opisz mi to. Bez zastanawiania się.

- Wychodzi - zaczęła. - Idzie na brzeg. Żeby się z kimś spotkać. Albo żeby się przejść. Tak, myślał o krótkim spacerze.

- Dlaczego?

- Drewniaki. Są stare i zniszczone. Niewygodne. Ale w sam raz na krótki spacer.

- Co dalej?

- To się stało wieczorem. Co powiedział lekarz?

- Jeszcze nie wie. Dlaczego wieczorem?

- W dzień jest za duże ryzyko. O tej porze roku plaże nigdy nie są wyludnione.

- Co dalej?

- Nie ma żadnego oczywistego motywu. Ale można założyć, że morderca działa planowo.

- Dlaczego?

- Poświęca czas na ukrycie zwłok.

- Dlaczego to robi?

- Żeby opóźnić odnalezienie ciała. Bo chce mieć czas na ucieczkę.

- Nikt go nie widział. Dlaczego mówisz, że to on?

- Kobieta raczej nie przeraża kręgosłupów. Zdesperowana, może uderzyć męża siekierą w głowę. Ale nie skalpuje. To mężczyzna.

- Co wiemy o mordercy?

- Nic. Chyba że ty wiesz coś, czego ja nie wiem. Wallander pokręcił głową. - Powiedziałaś mniej więcej to, co wiemy. Powinniśmy teraz przekazać dom Nybergowi i jego ludziom.

- Zrobi się niezłe zamieszanie.

- Tak. Jutro się zacznie. Ciesz się, że idziesz na urlop.

- Hansson już mnie pytał, czy nie mogłabym przesunąć. Zgodziłam się.

- Wracaj do domu. Spotkamy się jutro o siódmej rano i ustalimy plan działania.

Kiedy Wallander został sam, jeszcze raz obszedł willę. Jak najszybciej muszą sobie wyrobić zdanie o Gustafie Wetterstedcie. Poznali jeden z jego zwyczajów: co wieczór o określonej godzinie dzwonił do matki. A inne zwyczaje, o których nie mieli pojęcia? Wszedł do kuchni, z szuflady wyjął papier i spisał listę spraw do omówienia na jutrzejszym zebraniu.

Kilka minut później w willi pojawił się Nyberg. Zdjął mokry kombinezon.

- Czego mamy szukać? - spytał.

- Miejsca zbrodni. Którego nie ma. Chcę wykluczyć zabójstwo w willi. Przeszukaj ją w swój rutynowy sposób.

Nyberg skinął głową i wyszedł z kuchni. Po chwili Wallander usłyszał, jak wymyśla swojemu współpracownikowi. Uznał, że powinien pojechać do domu i przespać się kilka godzin. Przedtem jednak jeszcze raz postanowił obejrzeć dom. Zaczął od piwnicy. Godzinę później był na piętrze. Otworzył szafę w dużej sypialni. Rozsunął garnitury i przepatrywał podłogę. Z parteru dobiegł go poirytowany głos Nyberga. Już miał zamknąć szafę, kiedy w kącie zobaczył małą torbę. Pochylił się i podniósł ją. W środku był aparat fotograficzny. Chyba niezbyt drogi. Podobny do tego, który Linda kupiła sobie w zeszłym roku. Z trzydziestu sześciu zdjęć było zrobionych siedem. Włożył aparat do torby i zszedł do Nyberga. - Tutaj jest aparat fotograficzny - powiedział. - Wywołaj zdjęcia jak najszybciej.

Kiedy Wallander opuszczał willę Wetterstedta, dochodziła północ. Deszcz nie dawał za wygraną. Pojechał prosto do domu, usiadł w kuchni i zastanawiał się, co może być na zdjęciach. O szyby uderzał deszcz. Nagle ogarnął go lęk. Coś się stało. Przeczynał jednak, że to dopiero początek czegoś dużo poważniejszego. W czwartek rano, 23 czerwca, w ystadzkiej komendzie nie panował bynajmniej świętojański nastrój. O wpół do trzeciej w nocy obudził Wallandera dziennikarz z „Dagens Nyheter”, który dostał cynk o śmierci Gustafa Wetterstedta z stermalmskiej policji. Ledwie udało mu się zasnąć, kiedy zadzwonili z „Expressen”. Hanssona też nękali. Kiedy tuż po siódmej zebrali się w konferencyjnym, byli bladzi i zmęczeni. Nyberg też się stawił, mimo że skończył przeszukiwanie willi Wetterstedta o piątej nad ranem. Przed konferencyjnym Hansson odciągnął Wallandera na bok i powiedział, że musi tym wszystkim kierować.

- Björk chyba wiedział, co się stanie, i dlatego odszedł.

- Nie odszedł - zaprzeczył Wallander - tylko awansował. Poza tym nie jest

jasnowidzem. Miał dosyć kłopotów z rutynowymi sprawami.

Wallander wiedział, że odpowiedzialność za prowadzenie śledztwa i tak spadnie na niego. Pierwszym utrudnieniem był przetrzebiony latem personel. Z wdzięcznością pomyślał o Ann-Britt Hóglund, która zgodziła się przesunąć urlop. A co z jego urlopem? Za dwa tygodnie miał być w drodze do Skagenu, z Bajbą.

Usiadł przy stole i patrzył na zmęczone twarze. Przejaśniło się, ale deszcz nie ustał. Przed nim, na stole, piętrzyły się kartki z numerami telefonów, które przyniósł z recepcji. Odsunął je i popukał ołówkiem w stół.

- Zaczynamy - powiedział. - Stało się najgorsze, co się mogło stać. Morderstwo w sezonie urlopowym. Musimy wszystko jak najlepiej zorganizować. Przed nami sobótka, a to wyklucza pomoc drogówki. Wtedy prawie zawsze przydarza się coś, co podpada pod wydział kryminalny. Planując śledztwo, musimy to mieć na uwadze.

Nikt się nie odezwał. Wallander spytał Nyberga o przebieg badań technicznych.

- Żeby tak na kilka godzin przestało padać - westchnął Nyberg. - Żeby ustalić miejsce zbrodni, musimy zdjąć wierzchnią warstwę piasku. Ale najpierw musi wyschnąć. W takiej brei nic nie zwojujemy.

- Przed chwilą dzwoniłem do meteorologa ze Sturupu - wtrącił Martinsson. - Przewiduje, że w Ystadzie przestanie padać tuż po ósmej. Ale po południu zanoszą się na burzę. I więcej deszczu. Później się przejaśni.

- To zawsze coś - powiedział Wallander. - Zwykle mamy mniej kłopotów, kiedy w sobótkę jest brzydka pogoda.

- No i pomaga nam piłka nożna - zauważył Nyberg. - Ludzie nie będą pili mniej niż zwykle, ale będą siedzieć przed telewizorami.

- A co będzie, jeśli Szwecja przegra, z Rosją? - spytał Wallander.

- Nie przegra - stanowczo zaprzeczył Nyberg. - Wygramy.

- Obyś miał rację.

- Przy łódce nie znaleźliśmy nic ciekawego - kontynuował Nyberg. - Przeszukaliśmy plażę i zebraliśmy trochę drobiazgów, ale raczej bez znaczenia. No, może z jednym wyjątkiem.

Nyberg położył na stole torebkę foliową.

- Znalazł to jeden z policjantów, kiedy odgraniczał teren taśmami. To spray. Kobiety zachęca się do tego, żeby zawsze miały go przy sobie. Do obrony w razie napaści.

- Czy on nie jest u nas zabroniony? - zdziwiła się Ann-Britt Hóglund.

- Jest - powiedział Nyberg. - W każdym razie leżał w piasku, tuż za blokadą. Sprawdzimy odciski palców. Może to coś da. Nyberg schował spray do torby.

- Czy jeden człowiek byłby w stanie przewrócić tę łódź? - spytał Wallander.

- Nie, chyba że to jakiś wyjątkowy siłacz - odparł Nyberg.

- To znaczy, że było ich dwóch.

- Morderca mógł wygarnąć piasek - powiedział z wahaniem Nyberg - wciągnąć Wetterstedta pod łódź i zasypać.

- Oczywiście jest taka możliwość - zgodził się Wallander. - Ale czy to prawdopodobne? Nikt się nie odezwał.

- Nic nie wskazuje na to, żeby morderstwa dokonano w domu - kontynuował Nyberg. - Nie ma śladów krwi ani żadnych innych śladów. Nikt się nie włamał. Nie mogę stwierdzić, czy coś zginęło. Ale raczej nie.

- Czy poza tym znalazłeś coś godnego uwagi? - spytał Wallander.

- Moim zdaniem, cały dom jest godny uwagi - powiedział Nyberg. - Wetterstedt miał mnóstwo pieniędzy. Zastanawiali się przez chwilę nad jego słowami. Wallander uznał, że powinien już dokonać podsumowania. - Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, kiedy Wetterstedt został zamordowany - zaczął. - W ocenie lekarza, który badał denata, stało się to nad wodą. W ustach i oczach Wetterstedta były ziarenka piasku. Poczekamy jednak na opinię lekarzy sądowych. Ponieważ nie mamy żadnego punktu zaczepienia i nie znamy motywu morderstwa, musimy szukać wokół, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, kim był Wetterstedt. Z kim się spotykał, jakie miał zwyczaje. Musimy nakreślić coś w rodzaju mapy postaci, musimy przejrzeć go na wylot. Nie możemy, rzecz jasna, zapominać o tym, że dwadzieścia lat temu był bardzo znany. Był ministrem sprawiedliwości. W niektórych środowiskach ogromnie popularny, a w niektórych zniechęcony. Ciągłe otaczały go pogłoski o rozmaitych skandalach. Czy motywem może być zemsta? Został zarąbany i zdarto mu włosy. Został oskalpowany. Czy mieliśmy już kiedyś podobny przypadek? Czy istnieją jakieś podobieństwa do wcześniejszych morderstw? Martinsson, grzej swoje komputery. Wetterstedt zatrudniał sprzątaczkę. Musimy z nią już dzisiaj porozmawiać.

- Partia - podpowiedziała Ann-Britt Hóglund. Wallander skinął głową.

- Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Czy ciągle miał jakieś polityczne zadania? Czy był w kontakcie ze starymi partyjnymi przyjaciółmi? To też musimy sprawdzić. Czy ewentualny motyw nie kryje się w jego przeszłości?

- Kiedy wiadomość o jego śmierci wyszła na jaw, dwóch mężczyzn przyznało się

do morderstwa - powiedział Svedberg. - Pierwszy zadzwonił z budki w Malmö. Był tak pijany, że ledwie można go było zrozumieć. Poprosiliśmy kolegów z Malmö, żeby go przesłuchali. Drugi dzwonił z więzienia w Osterakerze. Ostatnią przepustkę dostał w lutym. Co dosyć oczywiste, Gustaf Wetterstedt ciągle wzbudza silne emocje. - Ci, którzy pracują tu dostatecznie długo, wiedzą, że podobne emocje wzbudza wśród policjantów - powiedział Wallander. - Za jego czasów wiele się wydarzyło. Wszyscy pamiętamy. W porównaniu z innymi ministrami sprawiedliwości i głównymi komendantami policji, którzy przychodzili i odchodzili, Wetterstedt najmniej dla nas zrobił.

Omówili różne zadania i podzielili je między siebie. Wallander miał przesłuchać sprzątaczkę. Uzgodnili, że znowu się zbiorą o czwartej.

- Zostały jeszcze dwie kwestie - powiedział Wallander. - Zaatakują nas dziennikarze i fotoreporterzy. Media kochają takie sprawy. W nagłówkach pewnie przeczytamy o „skalpującym mordercy” i „skalpowym morderstwie”. Dlatego równie dobrze już dzisiaj możemy zorganizować konferencję prasową. Wołałbym jednak nie brać w niej udziału.

- Nie możesz - zaprotestował Svedberg. - Musisz być za to odpowiedzialny. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś w tym najlepszy.

- Ale nie chcę być sam. Chcę, żeby był ze mną Hansson. I Ann-Britt. Powiedzmy, o pierwszej.

Już mieli się rozejść, ale Wallander poprosił o chwilę zwłoki.

- jest jeszcze druga kwestia. Nie możemy zapominać o dziewczynie, która spaliła się na polu rzepaku.

- Uważasz, że ma to jakiś związek z morderstwem? - zdziwił się Hansson.

- Jasne, że nie - odparł Wallander. - Po prostu musimy ustalić jej tożsamość.

- Komputerowe poszukiwania nic nie dały - poinformował Martinsson. - Kombinacja liter też nie. Ale będę nad tym pracował.

- Komuś musi jej brakować - powiedział Wallander. - Młoda dziewczyna. Myślę, że to dziwne.

- Jest lato - wtrącił Svedberg. - Dużo młodych ludzi podróżuje. Może minąć parę tygodni, zanim się zauważy czyjąś nieobecność.

- Tak, masz rację - przyznał Wallander. - Musimy się uzbroić w cierpliwość.

Skończyli za kwadrans ósma. Wallander poprowadził zebranie w zawrotnym tempie, bo wszystkich czekało mnóstwo pracy. U siebie w pokoju przejrzał kartki z

numerami telefonów. Nic naglącego. Wyjął notatnik z szuflady i na pierwszej stronie napisał: „Gustaf Wetterstedt”. Odchylił się na krzesło i zamknął oczy. Co mi mówi jego śmierć? Kto zabija go siekierą i skalpuje?

Pochylił się nad biurkiem i napisał: „Nic nie wskazuje na to, żeby Gustaf Wetterstedt został zamordowany na tle rabunkowym, chociaż naturalnie nie można tego na razie wykluczyć. Nie jest to raczej morderstwo przypadkowe, chyba że je popełnił ktoś niespełna rozumu. Morderca poświęcił czas na ukrycie ciała. Pozostaje motyw zemsty. Kto miał powód, żeby w rewanżu zabić Gustafa Wetterstedta?”

Odłożył długopis i z rosnącym niezadowoleniem czytał, co napisał. Za wcześniej, pomyślał. Wyciągam bezzasadne wnioski. Muszę wiedzieć więcej.

Wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy opuszczał komendę, deszcz ustał. Meteorolog z lotniska Sturup się nie pomylił. Prostą drogą pojechał do willi Wetterstedta.

Blokada opasywała brzeg. Nyberg już był. Razem ze swoimi ludźmi zdejmował plandeki z piasku. Tego ranka za blokadą zgromadziło się sporo osób. Wallander otworzył drzwi kluczem Wetterstedta i udał się do gabinetu. Metodycznie kontynuował przeszukiwanie, które poprzedniego wieczoru zaczęła Ann-Britt Hóglund. Po niespełna pół godzinie znalazł nazwisko kobiety, nazywanej przez Wetterstedta wycierusem. Sara Bjórklund. Mieszkała na Styrbordsgangen, tuż za centrum handlowym na zachodnim obrzeżu miasta. Podniósł słuchawkę i wykreślił numer. Po ośmiu sygnałach odebrał mężczyzna o schrypniętym głosie.

- Szukam Sary Bjórklund - powiedział Wallander.
 - Nie ma jej w domu.
 - Gdzie mogę ją znaleźć?
 - A kto pyta? - mało życzliwie spytał mężczyzna.
 - Kurt Wallander z ystadzkiej policji. Po drugiej stronie zaległa cisza.
 - Jest pan tam? - zniecierpliwził się Wallander.
 - Czy ma to związek z Wetterstedtem? Sara Bjórklund jest moją żoną.
 - Muszę z nią porozmawiać.
 - Jest w Malmö. Wróci po południu.
 - Kiedy mogę ją zastać? O której? Nie może pan powiedzieć dokładniej!
 - Na pewno będzie o piątej.
 - To przyjdę do was o piątej - powiedział Wallander i zakończył rozmowę.
- Poszedł do Nyberga. Przy blokadzie tłoczyli się gapie.
- Masz coś? - spytał. Nyberg stał z wiadrem piasku.

- Nic - powiedział. - Ale jeśli został zamordowany tutaj i upadł na piasek, musi być krew. Może nie z kręgosłupa, ale z głowy. Musiała trysnąć krew. Na czole są nieliczne żyły.

Wallander skinął głową.

- Gdzie znaleźliście spray? - spytał. Nyberg wskazał na miejsce za blokadą.

- Wątpię, żeby miał z tym związek - powiedział Wallander, - Ja też - zgodził się Nyberg.

Wallander już miał pójść do samochodu, kiedy sobie o czymś przypomniał.

- Lampa przy furtce jest popsuta. Mógłbyś ją obejrzeć?

- I co mam zrobić? - zdziwił się Nyberg. - Wymienić żarówkę?

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego się nie pali. Nic więcej. Wrócił do komendy. Niebo było szare. Ale nie padało.

- Bez przerwy dzwonią dziennikarze - powiedziała Ebba, kiedy mijał recepcję.

- Są mile widziani o pierwszej. Gdzie jest Ann-Britt?

- Przed chwilą wyszła. Nie powiedziała, dokąd.

- A Hansson?

- Chyba jest u Pera Akesona. Mam go poszukać?

- Musimy się przygotować do konferencji prasowej. Dopilnuj, żeby na sali było więcej krzeseł. Przyjdzie dużo ludzi.

Poszedł do siebie i zaczął się zastanawiać, co powie prasie. Mniej więcej pół godziny później zapukała do jego drzwi Ann-Britt Hóglund.

- Byłam u Salomonssona - powiedziała. - Chyba już wiem, skąd ta dziewczyna wzięła benzynę.

- Z obory Salomonssona? Twierdząco skinęła głową.

- No to mamy rozwiązanie - powiedział Wallander. - Może to oznaczać, że nie przyjechała tam samochodem ani na rowerze. Mogła przyjść na piechotę.

- A jeśli Salomonsson ją znał...

- Nie. Salomonsson nie kłaniał. Nigdy przedtem jej nie widział.

- No więc dziewczyna przychodzi pieszo. Idzie do obory Salomonssona i znajduje kanistry z benzyną. Zabiera pięć, a potem się podpala. - Mniej więcej. Nawet jeśli się dowiemy, kim była, przypuszczalnie nigdy nie poznamy całej prawdy.

Przynieśli sobie kawę i uzgadniali, co powiedzą na konferencji prasowej. Przed jedenastą dołączył do nich Hansson.

- Rozmawiałem z Perem Akesonem - powiedział. - Skontaktuje się z

prokuratorem generalnym.

Wallander zdziwiony spojrział znad papierów.

- Po co?

- Gustaf Wetterstedt był kiedyś ważną personą. Dziesięć lat temu został zamordowany premier. Teraz ktoś zarąbuje ministra sprawiedliwości. Chyba chce się dowiedzieć, czy nie powinniśmy prowadzić dochodzenia w jakiś szczególny sposób.

- Mógłbym to zrozumieć, gdyby ciągle był ministrem sprawiedliwości - przyznał Wallander. - Ale stary emeryt, który od dawna nie piastował żadnych funkcji publicznych...?

- Sam porozmawiaj z Akesonem. Ja tylko przekazuję to, co usłyszałem.

O pierwszej usiedli na niedużym podium pod krótszą ścianą konferencyjnego. Uzgodnili, że spotkanie z prasą będzie krótkie. Przede wszystkim powinni zapobiec dzikim spekulacjom. Postanowili udzielić dosyć mętnej odpowiedzi na pytanie, jak zginął Wetterstedt. Słowem nie wspomną o skalpie.

Konferencyjny pękął w szwach. Zgodnie z przewidywaniami Wallandera, dzienniki ogólnokrajowe uznały morderstwo Gustafa Wetterstedta za ważną sprawę. Wallander rozejrzał się po pokoju. Doliczył się trzech kamer z różnych stacji telewizyjnych.

Po konferencji, kiedy wyszedł ostatni dziennikarz, Wallander uznał, że wszystko przebiegło wyjątkowo dobrze. Odpowiadali tak lapidarnie, jak to tylko było możliwe, powołując się co chwila na dobro śledztwa, które nie pozwala na ujawnianie szczegółów. W końcu dziennikarze zdali sobie sprawę, że nie przebiją tego niewidzialnego muru, jakim się obwarował Wallander i jego koledzy. Kiedy dziennikarze opuścili pokój, udzielił wywiadu lokalnej rozgłośni radiowej, a Ann-Britt Hóglund stanęła przed kamerą telewizyjną. Popatrzył na nią i z zadowoleniem pomyślał, że przynajmniej raz nie musi się pokazywać.

Pod koniec spotkania z dziennikarzami niepostrzeżenie pojawił się Per Akeson i stanął w głębi pokoju. Teraz czekał na Wallandera.

- Podobno miałeś rozmawiać z prokuratorem generalnym - powiedział Wallander. - Dał ci jakieś wytyczne?

- Chce, żeby go informować. Na takich samych zasadach, na jakich ty mnie informujesz.

- Codziennie będziesz dostawał raporty. No i dowiesz się o ewentualnym przełomie w śledztwie.

- Nie masz na razie nic rozstrzygającego?

- Nic.

Grupa dochodzeniowa spotkała się o czwartej na bardzo krótko. Nie był to czas na składanie sprawozdań, teraz musieli pracować. Dlatego każdy tylko raz zabrał głos, po czym Wallander poprosił, by zabrali się do wyznaczonych zajęć. Mieli się zebrać następnego dnia o ósmej rano. Jeśli do tego czasu nic nadzwyczajnego się nie wydarzy.

Tuż przed piątą Wallander pojechał na Styrbordsgangen, do Sary Björklund. Bardzo rzadko bywał w tych okolicach. Zaparkował samochód i otworzył furtkę do ogrodu. Zanim podszedł do domu, w drzwiach stanęła kobieta. Była młodsza, niż myślał. Mogła mieć około trzydziestu lat. I Gustaf Wetterstedt nazywał ją wycierusem. Ciekawe, czy o tym wiedziała.

- Dzień dobry - przywitał się Wallander. - Dzwoniłem dzisiaj. Czy mam przyjemność z Sara Björklund?

- Poznałam pana - powiedziała i skinęła głową.

Zaprosiła go do środka. W salonie stał talerz z drożdżówkami i termos kawy. Z piętra dobiegł Wallandera głos mężczyzny besztającego hałasujące dzieci. Wallander usiadł na krześle i rozejrzał się. Jakby się spodziewał zobaczyć na jednej ze ścian obraz swojego ojca. Właściwie tylko tego tutaj brakuje, pomyślał szybko. Jest stary rybak, Cyganka i płaczące dziecko. Brakuje tylko pejzażu ojca. Z głuszcem albo bez.

- Napije się pan kawy? - spytała.

- Tak, chętnie - powiedział Wallander. - Proszę mi mówić „ty”.

- Do Gustafa Wetterstedta nie wolno się było tak zwracać. Musiałam mówić „panie Wetterstedt”. Rygorystycznie mi to nakazał, kiedy zaczynałam u niego pracę.

Wallander ucieszył się, że od razu mogą przejść do sedna. Wyjął z kieszeni notes i długopis.

- A więc wiesz, że Gustaf Wetterstedt został zamordowany - zaczął.

- To straszne - powiedziała. - Kto to mógł zrobić?

- Też się nad tym zastanawiamy.

- Naprawdę leżał na brzegu? Pod tą ohydną łodzią, którą widać z okna na piętrze?

- Tak. Ale zacznijmy od początku. Sprzątałaś u Gustafa Wetterstedta?

- Tak.

- Jak długo u niego pracowałaś?

- Prawie trzy lata. Byłam bezrobotna. Utrzymanie domu kosztuje. Nie miałam innego wyjścia. Znalazłam tę pracę z ogłoszenia w gazecie. - Jak często do niego chodziłaś?

- Dwa razy w miesiącu. Co drugi czwartek. Wallander zanotował.

- Zawsze w czwartki?

- Zawsze.

- Miałaś klucze?

- Nie. Nigdy by mi ich nie dał.

- Dlaczego?

- Zawsze, kiedy tam byłam, patrzył mi na ręce. To było dosyć męczące. Ale dobrze płacił.

- Nigdy nie zauważyłaś nic szczególnego?

- Na przykład?

- Nigdy nie było tam gości?

- Nigdy.

- Nie zapraszał nikogo na obiad?

- Nic o tym nie wiem. Nigdy nie musiałam zmywać.

- Jak byś go scharakteryzowała? - zapytał Wallander po namyśle.

- Był nabzdyczony - odpowiedziała bez chwili wahania.

- Co masz na myśli?

- Traktował mnie wyniośle, jak babę ze ścierą. Mimo że kiedyś reprezentował partię, która miała bronić naszych praw. Praw bab ze ścierami.

- Wiesz, że nazywał cię wycierusem?

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Ale nie zrezygnowałaś z tej pracy.

- Już powiedziałam, dobrze mi płacił.

- Byłaś tam w zeszłym tygodniu?

- Już o tym myślałam. Wszystko było tak jak zawsze.

- Czy w ciągu tych trzech lat nigdy nie wydarzyło się nic szczególnego, innego niż zwykle? Od razu zauważył jej wahanie. - Raz, w zeszłym roku - zaczęła niepewnie.

- W listopadzie. Nie wiem, jak to się stało, ale pomyliłam dni. Przyszłam w piątek rano zamiast w czwartek. Z garażu wyjeżdżał duży czarny samochód z takimi szybami, przez które nic nie widać. Jak zwykle zadzwoniłam do furtki. Długo czekałam, zanim wyszedł otworzyć. Wściekł się na mój widok i zatrzasnął mi furtkę przed nosem.

Myślałam, że mnie wyleje. Ale kiedy przyszedłam następnym razem, nic nie powiedział. Udawał, że nic się nie stało.

Wallander czekał na ciąg dalszy, który nie nastąpił.

- To wszystko?

- Tak.

- Z jego domu wyjeżdżał duży czarny samochód?

- Tak.

Wallander uznał, że niczego więcej już się nie dowie. Szybko dopił kawę i wstał.

- Gdyby coś ci się przypomniało, bardzo proszę o telefon - powiedział na pożegnanie.

Duży czarny samochód, pomyślał, kto w nim siedział? Muszę się tego dowiedzieć.

Była szósta. Zaczął wiać silny wiatr. Znow się rozpadało.

Wallander pojechał do Willi Wetterstedta. Nyberg i jego ludzie przekopali tony piasku i nie znaleźli miejsca zbrodni. Kiedy znow lunęło, Nyberg rozłożył plandeki. Musieli poczekać na lepszą pogodę. Wallander miał uczucie, że to, co usłyszał od Sary Björklund o pomyleniu dni i o dużym czarnym samochodzie, jest małą, bo małą, ale jednak rysą na nieskazitelnej jak dotąd postaci Wetterstedta. Zobaczyła coś, czego nikt nie powinien był widzieć. Wallander nie potrafił inaczej wytłumaczyć wściekłości Wetterstedta i jego późniejszego udawania, że nic się nie stało. Złość i milczenie to dwie odmiany tej samej reakcji.

Nyberg siedział na krześle w salonie Wetterstedta i pił kawę. Jego termos był chyba bardzo stary, przypominał Wallanderowi lata 50. Usiadł na gazecie, żeby nie pobrudzić obicia krzesła.

- Jeszcze nie znaleźliśmy tego twojego miejsca zbrodni - powiedział. - Na razie nic nie możemy zrobić, bo pada.

- A zabezpieczyliście plandeki? Dmucha coraz silniej.

- Nie sfruną.

- Będę dalej szukał w jego biurku.

- Dzwonił Hansson. Skontaktował się z dziećmi Wetterstedta.

- Dopiero teraz? - zdziwił się Wallander. - Myślałem, że już dawno to zrobił. - Nic mi o tym nie wiadomo. Przekazuję tylko to, co usłyszałem.

Wallander wszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Ustawił lampę tak, by je możliwie najlepiej oświetlała, i wysunął szufladę z lewej strony. Leżała tam kopia

ostatniej deklaracji podatkowej. Wetterstedt zadeklarował dochód w wysokości blisko miliona koron. Składały się nań przede wszystkim prywatne oszczędności i dywidenda. Z wyciągów wynikało, że Wetterstedt ma akcje w dużych szwedzkich firmach, w Ericssonie, ABB, Volvo i Rottneros AB. Poza tym wykazał honorarium z ministerstwa spraw zagranicznych i z wydawnictwa Tidens. W rubryce „majątek” wpisał pięć milionów. Wallander schował deklarację i wysunął następną szufladę. Leżało w niej coś, co wyglądało jak album fotograficzny. Zdjęcia rodzinne, pomyślał, których brakowało Ann-Britt. Otworzył na pierwszej stronie i przeglądał z rosnącym zdumieniem. W albumie były stare zdjęcia pornograficzne. Niektóre bardzo śmiałe. Zauważył, że Wetterstedt ze szczególnym upodobaniem oglądał zwłaszcza te z młodymi modelkami.

Usłyszał trzask drzwi wejściowych. Po chwili do gabinetu wszedł Martinsson. Wallander skinął głową i pokazał na otwarty album.

- Jedni zbierają znaczki - powiedział Martinsson - a inni takie zdjęcia.

Wallander zamknął album i włożył do szuflady biurka.

- Dzwonił adwokat Sjögren z Malmö - poinformował Martinsson. - Ma testament Gustafa Wetterstedta. Zostawił duży majątek. Zapytałem o jakichś nieoczekiwanych spadkobierców. Uwzględnił tylko rodzinę. Poza tym założył fundację, która będzie przyznawać stypendia młodym prawnikom. Ale te pieniądze już dawno tam ulokował i płacił podatki.

- No to już wiemy, że Gustaf Wetterstedt był zamożny. Ale czy nie urodził się w rodzinie biednego dokera?

- Svedberg się tym zajmuje. Podobno odszukał byłego sekretarza partii, który mu sporo opowiedział o Gustafie Wetterstedcie. Ale chciałem z tobą porozmawiać o dziewczynie z rzepaku Salomonssona.

- Znalazłeś ją?

- Nie. Ale dostałem odpowiedź w sprawie kombinacji liter. Komputer wypuł przeszło dwa tysiące propozycji. Wallander zastanawiał się. I co dalej?

- Wykorzystamy Interpol - zdecydował. - Czy jak to się teraz nazywa... Europol?

- Tak.

- Wyślij jej rysopis. Jutro sfotografujemy medalik. Musimy zamieścić to zdjęcie w gazetach. Nawet gdyby miało utonąć w powodzi doniesień o śmierci Wetterstedta.

- Jubiler obejrzał medalik. To czyste złoto.

- Ktoś jej w końcu zacznie szukać. Rzadko się zdarza, żeby ludzie nie mieli żadnych krewnych.

Martinsson ziewnął i spytał, czy będzie jeszcze potrzebny.

- Nie, nie dzisiaj - odparł Wallander.

Martinsson wyszedł i Wallander kontynuował przeszukiwanie biurka. Po godzinie zgasił lampę i siedział w półmroku. Kim był Gustaf Wetterstedt? - pomyślał. Ciągle mam dość mgliste pojęcie.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Poszedł do salonu, odszukał nazwisko w książce telefonicznej i ponieważ nie było jeszcze dziewiątej, wykreślił numer. Przedstawił się i zapytał, czy może wpaść. Rozmowa trwała bardzo krótko.

Poinformował Nyberga, który był na piętrze, że jeszcze wróci. Wiał silny, porywisty wiatr. Deszcz siekł go po twarzy, kiedy biegł do samochodu. Potem ruszył do śródmieścia i zaparkował przed kamienicą opodal szkoły.

Nacisnął guzik domofonu, drzwi się otworzyły. Kiedy wszedł na drugie piętro, Lars Magnusson już na niego czekał. Był w skarpetkach. Z mieszkania dobiegały dźwięki muzyki fortepianowej.

- Kopę lat - powiedział Lars Magnusson, ściskając Wallanderowi rękę.

- Tak, co najmniej pięć.

Kiedyś, dawno temu, Lars Magnusson był dziennikarzem. Po kilku latach pracy w stołecznym „Expressen” miał dosyć wielkiego miasta i wrócił do rodzinnego Ystadu. Poznali się za pośrednictwem swoich żon. Okazało się, że łączy ich zamiłowanie do opery. Spotykali się również później, kiedy Wallander i Mona się rozwiedli. Zupełnie przypadkowo Wallander dowiedział się, że Lars Magnusson jest alkoholikiem. Pewnego późnego wieczoru siedział jeszcze w komendzie, kiedy patrol z drogówki przywiózł Larsa Magnussona. Był tak pijany, że nie mógł się utrzymać na nogach. W takim stanie prowadził samochód. Stracił panowanie nad kierownicą i wylądował w witrynie banku. Odsiedział sześć miesięcy. Po przeprowadzce do Ystadu nie wrócił do pisania. Zostawiła go żona. Dzieci nie mieli. Lars Magnusson pił dalej, ale udawało mu się nie przekraczać pewnych granic. Utrzymywał się z wymyślania problemów szachowych dla różnych gazet. Dzięki temu zajęciu nie zapił się na śmierć. Codziennie wstrzymywał się od wychylenia pierwszego kieliszka, dopóki nie wymyślił przynajmniej jednego problemu. Od kiedy miał w domu faks, nie musiał chodzić na pocztę.

Wallander wszedł do skromnego mieszkania. Poczł, że Lars Magnusson pił.

Na ławie koło kanapy stała butelka wódki. I ani śladu kieliszka.

Lars Magnusson był kilka lat starszy od Wallandera. Burza siwych włosów opadała na brudny kołnierzyk koszuli. Miał czerwoną, opuchniętą twarz i zdumiewająco przytomne, jasne spojrzenie. Nikt nigdy nie wątpił w jego inteligencję. Chodziły słuchy, że kiedyś wydawnictwo Bonniers przyjęło jego tomik poezji, ale w ostatniej chwili go wycofał i zwrócił skromną zaliczkę.

- Zjawiasz się nieoczekiwanie - powiedział Lars Magnusson. - Siadaj. Czy mogę cię czymś poczęstować?

- Nie, dziękuję - odparł Wallander i usiadł na kanapie, odsunawszy stertę gazet.

Lars Magnusson, nie krępując się, napił się prosto z butelki i usiadł naprzeciwko Wallandera. Przyciszył muzykę.

- Stare dzieje - powiedział Wallander. - Próbuję sobie przypomnieć, kiedy to było.

- Prawie dokładnie pięć lat temu - bez wahania odpowiedział Lars Magnusson.

- Ty kupowałeś wino, a ja - wszystko, co mi wpadło w rękę.

Wallander pokiwał głową.

- Twoja pamięć jest bez zarzutu.

- Jeszcze się nie utopiła. Zachowuję ją na koniec.

- Nigdy nie myślałeś, żeby przestać?

- Codziennie o tym myślę. Ale chyba nie przyszedłeś po to, żeby mnie nakłonić do abstynencji.

- Na pewno czytałeś w gazetach o zabójstwie Gustafa Wetterstedta.

- Widziałem w telewizorze.

- Pamiętam jak przez mgłę, że kiedyś coś mówiłeś o skandalach, które go otaczały, a które zawsze wyciszano.

- Co było największym skandalem.

- Próbuję się dowiedzieć, kim on był. Pomyślałem, że możesz mi pomóc.

- Nie wiem, czy chcesz usłyszeć niesprawdzone pogłoski, czy chcesz poznać prawdę. Nie jestem pewien, czy potrafię od różnić jedno od drugiego.

- Pogłoski rzadko rodzą się bez powodu. Lars Magnusson odsunął butelkę, jakby nagle uznał, że stoi zbyt blisko.

- Zaczynałem jako piętnastoletni wolontariusz w jednej ze sztokholmskich gazet. To było wiosną pięćdziesiątego piątego. W redakcji pracował pewien starszy

gość, Turę Svanberg, mniej więcej tak samo zapijaczony jak ja teraz. Ale wszystko robił nienagannie. Poza tym genialnie wymyślał nagłówki. Nie znosił niechlujnie pisanych tekstów. Pamiętam, jak się kiedyś do tego stopnia wkurzył na byle jak sklecony reportaż, że podarł go na strzępy i zjadł. Wcinał papier, rozumiesz? A potem powiedział: „To zasługuje tylko na to, żeby wyszło jako gówno”. Taki był Turę Svanberg, który nauczył mnie dziennikarstwa. Mówił, że są dwa rodzaje publicystów. Pierwsi kopią w poszukiwaniu prawdy. Stoją w dole i wyrzucają żwir. A na górze są ci drudzy, którzy ten żwir wrzucają z powrotem. I jedni, i drudzy są dziennikarzami. I zawsze ze sobą walczą. Odwieczna walka trzeciej władzy o panowanie nad światem. Pierwsi chcą ujawniać i obnażać. Drudzy są na posyłki władzy i próbują wszystko zatuszować. Szybko się tego nauczyłem, mimo że miałem tylko piętnaście lat. Ludzie władzy nie mogą się obyć bez swoich pralni i zakładów pogrzebowych. Niejeden dziennikarz nie zawaha się zaprzedać duszy, byle tylko być na ich posyłki. Z powrotem wsypywać żwir. Grzebać skandale. Z pozorów tworzyć prawdę, tworzyć iluzję o nieskazitelnym społeczeństwie.

Z grymasem przysunął do siebie butelkę, wypił i chwycił się za brzuch.

- Co to właściwie było z Gustafem Wetterstedtem? - spytał Wallander.

Lars Magnusson wyjął z kieszonki koszuli zmiętą paczkę papierosów. Zapalił i wydmuchał kłęb dymu.

- Kurwy i sztuka - powiedział. - Przez lata było rzeczą powszechnie znaną, że poczciwy Gustaf raz w tygodniu sprowadzał panienki do niedużego mieszkanka na Yasagatan, o którego istnieniu nie wiedziała jego żona. Organizował to jego osobisty służący. Krążyły pogłoski, że był uzależniony od morfiny, którą dostawał dzięki przyjacielskim układom Wetterstedta z lekarzami. Zadawanie się z kurwami nie przedstawiało dla prasy szczególnej wartości. Wetterstedt nie był ani pierwszym, ani ostatnim szwedzkim ministrem, który się w to bawił. Interesujące mogłoby być pytanie, czy mówimy o regule, czy o wyjątku. Ale któregoś dnia miarka się przebrała. Pewna mewka zdobyła się na odwagę i oskarżyła go o dopuszczenie się aktu przemocy.

- Kiedy to było? - przerwał Wallander.

- W połowie lat sześćdziesiątych. Pobił ją skórzany pasem i pociął stopy brzytwą. Tak napisała w zgłoszeniu. I chyba ta brzytwa zrobiła swoje, bo perwersja stała się nagle modna i cieszyła się wzięciem u czytelników. Tyle tylko, że w tym wypadku chodziło o drugiego po królu, czołowego obrońcę szwedzkiej

praworządności. Nikt się jednak tym nie przejmował po tych wszystkich skandalach prawnych w latach pięćdziesiątych. Sprawę wyciszono. Doniesienie zniknęło.

- Zniknęło?

- Poszło z dymem.

- A dziewczyna? Co się z nią stało?

- Nagle została właścicielką intratnego sklepu z odzieżą w Yasterasie.

Wallander pokręcił głową.

- Skąd to wiesz?

- Znałem dziennikarza, który postanowił w tym pogrzebać. Nazywał się Steń Lundberg. Ale kiedy się rozniosło, że jest na tropie, odsunęli go. Dostał zakaz pisania.

- I zgodził się na to?

- Nie miał wyboru. Nie dało się ukryć jego słabego punktu. Grał i wpadł w długi. I podobno te długi nagle zniknęły. W taki sam sposób, jak meldunek kurwy o przemyocy. Wszystko wróciło na swoje miejsce. I Gustaf Wetterstedt dalej wysyłał morfinistę po panienki.

- Wspomniałeś o jeszcze jednej sprawie.

- Chodziły pogłoski, że Wetterstedt maczał palce w kradzieżach obrazów, które ginęły w Szwecji w tym okresie, kiedy był ministrem sprawiedliwości. Nigdy się nie odnalazły, a teraz wiszą na ścianach u kolekcjonerów, którzy nie zamierzają się nimi publicznie chwalić. Policja zdjęła kiedyś pasera, pośrednika. Przysięgał, że był w to zamieszany Gustaf Wetterstedt. Oczywiście nigdy się nie udało tego udowodnić. I sprawę pogrzebano. Zасыpujących dół było więcej od odkopujących.

- Przedstawiłeś dosyć ponury obraz - powiedział Wallander. - Pytałem, czy chcesz usłyszeć prawdę, czy pogłoski. Bo sądząc z pogłosek, Gustaf Wetterstedt był zręcznym politykiem i lojalnym bojownikiem swojej partii. Wykształcony, znający się na rzeczy, sympatyczny człowiek. I tak o nim napiszą w nekrologu. Jeśli żadna z dziewczyn, które bił, nie wykrzyczy wszystkiego, co o nim wie.

- A jak to było, kiedy odchodził?

- Myślę, że nie najlepiej się dogadywał z młodszymi ministrami. Zwłaszcza z kobietami. Dokonywała się wtedy duża zmiana pokoleniowa. Chyba zdał sobie sprawę, że jego czas minął. Mój też. Skończyłem z dziennikarstwem. Odkąd przyjechał do Ystadu, nie poświęciłem mu ani jednej myśli. Aż do dzisiaj.

- Czy przychodzi ci do głowy ktoś, kto po tylu latach byłby skłonny pozbawić go życia?

Lars Magnusson wzruszył ramionami.

- Nie można na to odpowiedzieć. Wallander miał jeszcze jedno pytanie.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o tym, żeby ktoś u nas skalpował swoje ofiary?

Oczy Larsa Magnussona zwięzły się. Patrzył na Wallandera z dużym zainteresowaniem.

- Został oskalpowany? W telewizji nie było o tym ani słowa. Na pewno by powiedzieli, gdyby wiedzieli.

- Niech to zostanie między nami - poprosił Wallander. Lars Magnusson skinął głową.

- Nie chcieliśmy tego na razie ujawniać - kontynuował Wallander. - Zawsze możemy się zasłonić dobrem śledztwa. Uniwersalna wymówka policji pozwalająca na przedstawianie półprawd. Ale tym razem rzeczywiście tak jest.

- Wierzę ci - powiedział Lars Magnusson. - Albo nie wierzę. To bez znaczenia, bo już nie jestem dziennikarzem. Ale nie przypominam sobie żadnego skalpującego mordercy. Na pewno świetnie by to wyglądało w nagłówkach. Turę Svanberg byłby wniebowzięty. Uda ci się zapobiec przeciekom?

- Nie wiem - przyznał Wallander. - Niestety, mam złe doświadczenia.

- Ja tego nie sprzedam.

Lars Magnusson odprowadził Wallandera do drzwi.

- Jak ty, u diabła, wytrzymujesz w policji? - spytał, kiedy Wallander był już za progiem.

- Nie wiem. Powiem ci, jak będę wiedział.

Burza rozszalała się na całego. Porywy wiatru dochodziły do sztormowych. Wallander pojechał do willi Wetterstedta. Kilku ludzi Nyberga zabezpieczało odciski palców na piętrze. Przez okno wychodzące na taras Wallander zobaczył Nyberga. Stał na drabinie przy furtce i kurczowo trzymał się słupa, żeby go wiatr nie zdmuchnął. Już miał mu pospieszyć z pomocą, ale Nybergowi udało się zejść.

Spotkali się w przedpokoju.

- To nie było takie pilne - powiedział Wallander. - Mogło cię zwać z drabiny.

- Gdybym zleciał, marnie bym skończył - oschle zauważył Nyberg. - Jasne, że oględziny lampy mogły poczekać. W ogóle można je było sobie darować. No ale ponieważ to ty o to prosiłeś, a ja doceniam twoje zawodowe umiejętności, postanowiłem obejrzyć tę lampę. Ale zrobiłem to wyłącznie dla ciebie.

Wallander zdumiał się tym wyznaniem. Próbował tego jednak nie okazywać.

- Co znalazłeś? - spytał.

- Lampa nie była popsuta. Ktoś wykręcił żarówkę. Wallander zastanawiał się przez chwilę i podjął decyzję.

- Poczekaj - rzucił do Nyberga, wszedł do salonu i zadzwonił do Sary Björklund. - Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze - zaczął. - Ale chciałbym uzyskać odpowiedź na jedno pytanie. Kto zmieniał żarówki u Wetterstedta?

- On sam.

- Przed domem też?

- Tak mi się wydaje. Sam się zajmował ogrodem. Chyba tylko ja jedna mogłam wchodzić do willi.

Nie licząc tych z czarnego samochodu, pomyślał Wallander.

- Przy furtce do ogrodu jest lampa - kontynuował. - Czy była zapalana?

- Zimą, kiedy było ciemno, zawsze ją zapalał.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć. Dziękuję za rozmowę.

- Czy mógłbyś jeszcze raz wejść na drabinę? - spytał Nyberga, kiedy wrócił do przedpokoju. - Dasz radę? Chciałbym, żebyś wkręcił żarówkę.

- Zapasowe żarówki są w pokoju koło garażu - wyjaśnił Nyberg i zaczął wkładać buty z cholewami.

Wyszli. Wallander trzymał drabinę. Nyberg wkręcił żarówkę. Zapaliła się. Potem założył klosz i zszedł. Ruszyli nad wodę.

- Jest duża różnica - stwierdził Wallander. - Oświetla cały brzeg.

- Powiedz, o czym myślisz.

- Myślę, że został zamordowany gdzieś w kręgu światła. Jeśli dopisze nam szczęście, może na kloszu znajdziemy odciski palców.

- Chodzi ci o to, że morderca to wszystko zaplanował? Wykręcił żarówkę, bo było za jasno?

- Tak. Mniej więcej o to mi chodzi. Nyberg zaniósł drabinę do ogrodu, Wallander stał jeszcze przez chwilę, czując na twarzy krople deszczu. Blokada była na swoim miejscu. Za wydmami parkował radiowóz. Oprócz jednej osoby na motorowerze nie było żadnych ciekawskich.

Wallander odwrócił się i ruszył do willi. Zszedł do piwnicy tuż po siódmej rano. Pod bosymi stopami czuł chłód posadzki. Stał nieruchomo i nasłuchiwał. Potem zamknął za sobą drzwi, kucnął i przyglądał się cienkiej warstwie mąki, którą za ostatniej bytności rozsypał, Nikt nie wszedł do jego świata. Nie było odcisków stóp.

Potem sprawdził pułapki na myszy. Udało mu się. We wszystkich czterech tkwiła zdobycz. W jednej była największa mysz, jaką kiedykolwiek widział. Pewnego razu, u schyłku swojego życia, Geronimo opowiedział o wojowniku pawnee, którego kiedyś, w latach swojej młodości, pokonał. Nazywał się (Niedźwiedź o Sześciu Pazurach, ponieważ u lewej ręki miał sześć palców. Niedźwiedź był jego największym wrogiem. Geronimo o mały włos wtedy nie umarł. Odciął wrogowi szósty palec i położył w słońcu, żeby wysechł. Potem przez wiele lat nosił go w małym skórzanym mieszku, przy pasku. Postanowił przetestować jedną ze swoich siekier na dużej myszy. Na mniejszych chciał sprawdzić skuteczność sprayu.

Miał na to dużo czasu. Najpierw musi dokonać wielkiej przemiany. Usiadł przed lustrem, ustawił światło, żeby nie było żadnych refleksów, i przyglądał się swojej twarzy. Lewy policzek delikatnie naciął. Teraz rana już się zagoiła. Pierwszy krok ku ostatecznej przemianie. Zadał doskonały cios. Uderzając w kręgosłup pierwszego potwora, miał wrażenie, że rozszczepia polano. Słyszał w sobie ogromną radość królestwa duchów. Przewrócił potwora na plecy i zerwał skalp. Teraz jest tam, gdzie jego miejsce, zakopany, spod ziemi wystaje tylko kosmyk włosów. Spędził wiele godzin przy blokadzie. Patrzył na policjantów usiłujących zrozumieć, co się stało i kto zabił mężczyznę, który leżał pod łodzią. Wspaniałe przeżycie. Parę razy miał ochotę krzyknąć, że to on. Tej słabości jeszcze do końca nie zwalczył. Podjął się zadania z Księgi Objawienia wyłącznie dla siostry, nie dla siebie. Tę słabość musi pokonać.

Namalował na czole drugą kreskę. Ledwie rozpoczął przemianę, czuł, jak się roztopia i odpływa jego tożsamość.

Nie wiedział, dlaczego ma na imię Stefan. Kiedyś, kiedy matka była w miarę trzeźwa, zapytał ją o to. Dlaczego Stefan? Dlaczego właśnie to imię? Odpowiedziała bardzo ogólnikowo. Bo jest ładne. Tyle zapamiętał. Ładne imię. Popularne. Po co mu takie imię, którego nie nosi nikt inny. Pamięta swoje oburzenie. Zostawił matkę na kanapie i pojechał rowerem nad morze. Spacerując plażą, wybrał sobie inne imię. Hoover. Po szefie FBI. Czytał o nim książkę. Podobno w jego żyłach płynęła indiańska krew. Zastanawiał się, czy i w jego rodzinie nie było Indian. Dziadek ze strony matki opowiadał, że dawno temu wielu członków ich rodziny wyemigrowało do Ameryki. Może któryś związał się z Indianami. Nawet jeśli on sam nie miał w sobie indiańskiej krwi, to mogła ją mieć rodzina.

Później, kiedy siostra została zamknięta w szpitalu, postanowił zlać w jedno dwa imiona: Geronimo i Hoover. Pewnego razu dziadek pokazał mu, jak się topi cynę

i wlewa do gipsowych form miniaturowych żołnierzy. Po śmierci dziadka odnalazł formy i czerpak. Leżały w kartonie w piwnicy. Przyniósł je do mieszkania i zmienił formę: figurka stanowiła teraz połączenie policjanta i Indianina. Późnym wieczorem, kiedy wszyscy spali, a ojciec siedział w więzieniu i nie mógł ich nachodzić, zamknął się w kuchni i dokonał tej wielkiej ceremonii. Zlewając w jedno Hoovera i Geronima, stworzył swoją nową tożsamość. Stał się budzącym postrach policjantem o odwadze indiańskiego wojownika. Niepokonanym. Nikt mu nie przeszkodzi w słusznej zemście.

Przeciągnął czarne kreski nad oczami, które zapadły się jeszcze głębiej. Czaiły się jak drapieźniki. Dwa drapieźniki, dwa spojrzenia. Długo myślał o tym, co go czeka. Była wigilia świętego Jana. Wiatr i deszcz utrudnią mu zadanie, nic go jednak nie powstrzyma. Musi się ciepło ubrać na tę podróż do Bjaresjó. Jednego nie wiedział: czy goście obecni na przyjęciu, na które się wybierał, nie przeniosą się z powodu złej pogody pod dach. Musi się zdać na cierpliwość. Hoover wpajał tę cnotę swoim rekrutom. Geronimo też jej hołdował. Zawsze jest taki moment, kiedy słabnie czujność. I wtedy powinno się uderzyć. To samo dotyczyło przyjęcia w domu. Prędzej czy później potwór wyjdzie na dwór. Wtedy będzie odpowiednia chwila.

Pojechał tam dzień wcześniej. Zostawił motorower w zagajniku i wszedł na wzgórze, skąd spokojnie mógł obserwować, co się dzieje. Dom Arne Carlmana stał na uboczu. Podobnie jak willa Wetterstedta. Wokół nie było żadnych sąsiadów. Wierzbowa aleja prowadziła do starej, pobielonej wapnem zagrody.

Trwały przygotowania do przyjęcia w wigilię świętego Jana. Widział ciężarówkę, z których wyładowywano składane stoły i krzesła. W kącie ogrodu stawiano namiot.

Arne Carlman też tam był. Patrzył na niego przez lornetkę. Człowiek, którego miał odwiedzić następnego dnia, kierował pracami w ogrodzie. Był w dresie. Na głowę naciągnął beret. Kiedy pomyślał o siostrze razem z tym mężczyzną, natychmiast zebrało mu się na mdłości. Nie musiał już widzieć więcej. Wiedział, co ma zrobić.

Po kreskach na czole i cieniach wokół oczu przyszła kolej na nos. Zrobił po obu stronach dwie grube białe kreski. Czuł,

Obecnie dzień św. Jana, poprzedzony wieczorem świętojańskim, obchodzi się w Szwecji w pierwszą sobotę po letnim przesileniu słonecznym (przyp. tłum.), jak w jego piersi bije serce Geronima. Włączył magnetofon. Bębny uderzały bardzo mocno. Odezwały się w nim duchy.

Późnym popołudniem był gotowy. Wybrał broń i wrzucił myszy do dużego pudła. Bezskutecznie próbowały się wydostać. Zamierzył się siekierą. Przepołowił największą mysz. Odbyło się to tak szybko, że nawet nie zdążyła pisnąć. Pozostałe myszy nerwowo drapały w ścianki pudła. Podszedł do wiszącej na haku skórzanej kurtki i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni, żeby wyjąć spray. Ale sprayu nie było. Przeszukał wszystkie kieszenie. Nie znalazł. Przez moment stał bez ruchu. Czyżby jednak ktoś tutaj wchodził? Nie, niemożliwe. Żeby się spokojnie zastanowić, usiadł przed lustrami. Spray musiał mu wypaść. Wolno i metodycznie przypominał sobie, co robił od chwili odwiedzin u Gustafa Wetterstedta. I zrozumiał, jak to się stało. Zgubił spray, kiedy przyglądał się pracy policji. Zdjął kurtkę, żeby włożyć sweter. Tak, tak to musiało być. Uznał, że nie stanowi to żadnego zagrożenia. Każdy mógł zgubić spray. Nawet jeśli zostawił odciski palców, policja nie ma ich w swoim rejestrze. Sam Hoover byłby bezradny. Podniósł się i wrócił do myszy. Na jego widok zaczęły szaleć. Zabił je trzema uderzeniami siekiery. Wrzucił ścierwa do plastikowej torebki, starannie ją zawiązał i włożył do drugiej torebki. Wytarł ostrze i sprawdził opuszkami palców.

Tuż po szóstej był gotowy. Broń i myszy schował do plecaka. Ponieważ padało i wiał silny wiatr, włożył skarpetki i adidas. Przedtem spiłował wzór na podeszwach. Zgasił światło i zamknął drzwi. Zanim wyszedł na ulicę, włożył kask.

Za boczną drogą na Sturup zjechał na parking i wrzucił torebkę z myszami do kosza na śmieci. I kontynuował podróż do Bjaresjö. Wiatr słabnął. Nagle zmieniła się pogoda. Wieczór powinien być ciepły. Wigilia świętego Jana była dla handlarza obrazów, Arne Carlmana, ogromnie ważnym dniem w roku. Od przeszło piętnastu lat urządził przyjęcia w swojej skańskiej zagrodzie, gdzie mieszkał latem. Artystom i właścicielom galerii bardzo zależało na tym, by się znaleźć wśród zaproszonych gości. Carlman miał decydujący wpływ na krajowych nabywców i sprzedawców obrazów. Mógł przysporzyć artyście sławy i pieniędzy. Mógł zniszczyć tych, którzy nie słuchali jego rad albo nie spełniali jego oczekiwań. Przeszło trzydzieści lat temu jeździł po kraju starym samochodem jako domokrażny handlarz obrazów. To były chude lata. Ale wtedy się nauczył, co i komu można sprzedać. Poznał branżę i raz na zawsze wyzbył się złudzeń, że sztuka wyrasta ponad rzeczywistość, którą rządzi pieniądź. Zaoszczędził wystarczająco dużo, żeby na Osterlanggatan w Sztokholmie otworzyć sklep z ramami i galerię. Pochlebstwami, alkoholem i nowiutkimi banknotami płacił za obrazy młodych artystów i budował ich pozycję. Dawał łapówki, groził i kłamał. Po dziesięciu latach miał około trzydziestu galerii w całej Szwecji. Wtedy rozpoczął

sprzedaż wysyłkową. W połowie lat 70. był człowiekiem zamożnym. Kupił gospodarstwo w Skanii i kilka lat później zaczął tam urządzać letnie przyjęcia. Ich nieprawdopodobny zbytek zyskał im niemały rozgłos. Każdy gość mógł liczyć na prezent wartości co najmniej pięciu tysięcy koron. W tym roku zamówił krótką serię wiecznych piór autorstwa pewnego włoskiego designera.

W wigilię świętego Jana Arne Carlman obudził się u boku swojej żony wcześniej rano. Podeszedł do okna i popatrzył na wietrzny, deszczowy krajobraz. Na jego twarzy pojawił się na krótko wyraz irytacji. Nauczył się jednak akceptować to, co nieuniknione. Nie miał władzy nad pogodą. Pięć lat temu, z myślą o gościach, kazał uszyć specjalny zestaw strojów przeciwdeszczowych. Ci, którzy będą chcieli, mogą się bawić w ogrodzie, dla innych jest miejsce w starej oborze, którą dawno temu przerobił na duży, przestronny salon.

Goście zaczęli się zjeżdżać o ósmej. Uporczywy deszcz ustal. Plucha zamieniła się w piękny letni wieczór. Arne Carlman, w smokingu, witał wszystkich, syn trzymał nad nim rozpięty parasol. Zawsze zapraszał sto osób, przy czym pięćdziesiąt po raz pierwszy. Tuż po dziesiątej zastukał w kieliszek i wygłosił tradycyjną mowę. Wiedział, że przynajmniej połowa obecnych nienawidzi go lub nim gardzi, ale teraz, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, przestał się przejmować tym, co o nim myślą. Jego imperium mówiło samo za siebie. Przejmą je po nim jego dwaj synowie. Ale na razie nie ma takiej potrzeby. I to właśnie powiedział gościom w swojej mowie, która traktowała wyłącznie o nim samym. Jeszcze nie jest wyliczony. Jeszcze mogą się cieszyć na następne przyjęcie, za rok, oby tylko pogoda była lepsza. Odpowiedzieli rachitycznym aplauzem. Potem w oborze zagrała orkiestra. Większość gości weszła do środka. Arne Carlman rozpoczął bal.

- Co myślisz o mojej krótkiej mowie? - zapytał żonę, kiedy tańczyli.

- Nigdy nie byłeś równie złośliwy - odparła.

- A niech mnie nienawidzą. Co mnie to obchodzi? Co nas to obchodzi? Jeszcze dużo przede mną.

Przed północą Arne Carlman udał się do położonej w głębi ogrodu altanki w towarzystwie młodej malarki z Góteborga. Pewien łowca talentów poradził mu, żeby ją zaprosił na przyjęcie. Obejrzał kolorowe zdjęcia jej obrazów i uznał, że jest w nich coś nowego, że stanowią ciekawą odmianę malarstwa sielankowego. Chłodne przedmieścia, kamienne pustynie, samotni ludzie na bajecznie pięknych, kwiatnych łąkach. Już wtedy postanowił wylansować malarkę jako czołową przedstawicielkę

nowego kierunku w malarstwie, który można byłoby nazwać neoiluzjonizmem. Jest bardzo młoda, pomyślał, kiedy szli do altanki. Nie była ani ładna, ani tajemnicza. Arne Carlman wiedział, że równie ważny jak malarstwo jest image artysty. Zastanawiał się, co mógłby zrobić z tej chudej, bladej dziewczyny.

Trawa jeszcze nie obeschła, ale wieczór był piękny. Nadal tańczono, choć sporo gości powoli gromadziło się przed telewizorami. Za pół godziny rozpoczynała się transmisja meczu Szwecja - Rosja. Chciał to z nią załatwić teraz, żeby potem w spokoju obejrzeć mecz. Umowę miał w kieszeni.

W zamian za trzyletnią wyłączność dysponowania jej pracami oferował jej sporą sumę w gotówce. Na pierwszy rzut oka umowa wydawała się bardzo korzystna. Prawa do wszystkich obrazów, łącznie z tymi, które dopiero miały powstać, zostały zapisane tak drobnym drukiem, że nikt tego nie przeczyta w słabym świetle czerwcowej nocy. Kiedy weszli do altanki, wytarł dwa krzesła chusteczką do nosa i poprosił, żeby usiadła. Przekonanie jej do zawarcia umowy zajęło mu niespełna pół godziny. Wręczył jej jedno z piór zamówionych we Włoszech - i podpisała.

Potem stanowczo będzie utrzymywać, że opuściła altankę i wróciła do obory dokładnie trzy minuty przed północą. Idąc ogrodową alejką, po prostu spojrzała na zegarek. Z podobną stanowczością stwierdziła, że Arne Carlman był taki, jak zawsze. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Na nikogo nie czekał. Powiedział jej, że jeszcze przez kilka minut chce posiedzieć w altance i porozkoszować się rześkim powietrzem.

Ani razu się nie odwróciła. Mimo to była pewna, że w ogrodzie nikogo innego nie było. Nie spotkała też nikogo idącego do altanki. Przez cały wieczór Hoover leżał ukryty na wzgórzu. Marzył. Chociaż przestało padać, ziemia była wilgotna. Od czasu do czasu wstawał, żeby się rozruszać. Tuż po jedenastej zobaczył przez lornetkę, że nadchodzi odpowiednia chwila. Ogród się wyludniał. Wyjął broń i włożył ją za pasek. Buty i skarpety schował do plecaka. Potem ostrożnie, przykucając, zsunął się ze wzgórza i polną drogą, pod osłoną rzepaku, pobiegł na tyły ogrodu. Tutaj opadł na mokrą ziemię i zza żywopłotu obserwował ogród.

Czekał niespełna godzinę. Arne Carlman szedł w jego stronę w towarzystwie młodej kobiety. Usiedli w altance. Hoover nie mógł się zorientować, o czym rozmawiają. Mniej więcej po trzydziestu minutach kobieta wstała, a Arne Carlman siedział dalej. W ogrodzie nie było nikogo. Z obory nie dobiegały już dźwięki muzyki. Dał się za to słyszeć ryk kilku aparatów telewizyjnych. Hoover wstał, wyjął siekiere i przecisnął się przez żywopłot tuż obok altanki. Po raz ostatni rozejrzał się po ogrodzie.

Nikogo. Kiedy zniknęły wszelkie wątpliwości, objawienia jego siostry kazały mu działać. Wpadł do altanki i zamierzył się siekierą w głowę Arne Carlmana. Potężny cios przeciął czaszkę aż po szczękę. Przepołowiona twarz patrzyła w dwie różne strony. Hoover wyjął nóż i odciął włosy. Potem zniknął równie szybko, jak się pojawił. Zabrał plecak ze wzgórze i pobiegł do żwirówki, gdzie za barakiem zarządu dróg zostawił motorower.

Dwie godziny później zakopał skalp obok pierwszego, pod oknem siostry.

Wiatr ucichł. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Zapowiadał się ładny i ciepły dzień świętego Jana.

Nadeszło lato. Szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Skania 25-28 czerwca 1994Ystadzka policja została zaalarmowana tuż po drugiej w nocy. W tym samym momencie Thomas Brodin strzelił dla Szwecji gola z rzutu karnego w meczu z Rosją. Wielka radość zapanowała w tę czerwcową, wyjątkowo spokojną noc. Policjant odebrał wiadomość na stojąco, ponieważ właśnie padła bramka, więc się zerwał z krzesła i wrzeszczał jak opętany. Od razu jednak zrozumiał, że to poważna sprawa. Kobieta krzycząca mu do ucha wydawała się trzeźwa. Jej histeria wynikała z autentycznego szoku. Policjant zadzwonił do Hanssona, na którym tymczasowe obowiązki szefa policji ciążyły do tego stopnia, że tej nocy nie odważył się opuścić komendy. Na bieżąco oceniał, dokąd wysłać uszczuplony personel. O jedenastej doszło do dwóch awantur na prywatnych imprezach. W pierwszym wypadku chodziło o zazdrość, w drugim burdę wywołał szwedzki bramkarz Thomas Ravello. Z protokołu sporządzonego później przez Svedberga wynikało, że zachowanie Ravellego podczas obrony drugiej bramki dla Kamerunu rozpętało ostrą kłótnię, która skończyła się odwiezieniem trzech osób do szpitala. Kiedy dostał wiadomość z Bjaresjö, jeden wóz patrolowy już wrócił. Zazwyczaj zła pogoda była najlepszą gwarancją spokojnej nocy świętojańskiej. Ale w tym roku tradycji nie stało się zadość.

Hansson poszedł do centrali operacyjnej porozmawiać z policjantem, który odebrał telefon.

- Naprawdę powiedziała, że ma głowę przerażaną na pół? Policjant potwierdził.

- Poprosimy Svedberga, żeby tam pojechał - zdecydował Hansson po namyśle.

- Svedberg zajmuje się sprawą pobicia w Svarte.

- A, zapomniałem. Wobec tego dzwoń do Wallandera.

Po raz pierwszy od przeszło tygodnia Wallanderowi udało się zasnąć przed północą. Przez moment pomyślał, że powinien się zjednoczyć z całym narodem i obejrzeć mecz z Rosją, ale czekając na wyjście drużyn na boisko, usnął. Zerwał się jak oparzony na sygnał telefonu i nie bardzo wiedział, gdzie jest. Po omacku szukał aparatu. Zaledwie parę miesięcy temu zdobył się wreszcie na zainstalowanie dodatkowego gniazdka, dzięki czemu nie musiał wstawać z łóżka, żeby odebrać.

- Obudziłem cię? - spytał Hansson.

- Tak. O co chodzi?

Zdziwił się, że tak powiedział. Dotychczas, bez względu na porę dnia, zawsze twierdził, że nie śpi.

Hansson zreferował sytuację. Później Wallander nieraz będzie się zastanawiał, dlaczego od razu nie skojarzył tego, co się stało w Bjaresjő, ze sprawą Gustafa Wetterstedta. Czy dlatego, że nie chciał dopuścić do siebie myśli, że oto mają do czynienia z seryjnym mordercą? A może całkiem zwyczajnie nie był w stanie sobie wyobrazić, że przypadek Wetterstedta nie jest odosobniony. Wtedy, dwadzieścia po drugiej, poprosił o wysłanie do Bjaresjő patrolu z drogówki. Przed domem Carlmana był za pięć trzecia. W radiu samochodowym usłyszał, że Martin Dahlin strzelił główką drugiego gola dla Szwecji. Szwecja pewnie wygra, a on straci kolejne sto koron. Kiedy Noren wybiegł mu na spotkanie, natychmiast zrozumiał, że stało się coś poważnego. Ale tak naprawdę dotarło to do niego, dopiero kiedy wszedł do ogrodu i zobaczył oniemiałych i rozhisteryzowanych ludzi. Mężczyzna siedzący na krześle w altance rzeczywiście miał przepołowioną głowę. Na lewej połowie brakowało kawałka skóry z włosami. Wallander przeszło minutę stał bez ruchu. Noren coś do niego mówił, ale on nic nie słyszał. Wpatrywał się w martwego mężczyznę i myślał, że to na pewno dzieło tego samego mordercy, który kilka dni wcześniej zabił Wetterstedta. Przez chwilę ogarnął go niewytłumaczalny smutek. Potem próbował wyjaśnić Bajbie to nieoczekiwane i nieprofesjonalne uczucie. Jakby pękła w nim ostatnia tama. Od początku była tylko iluzją. Już wiedział, że w tym kraju nie istnieją żadne umowne granice. Przemoc, do niedawna skupiona w dużych miastach, zadomowiła się także w jego okręgu. Świat się jednocześnie skurczył i rozrósł.

Uczucie smutku przyćmił strach. Odwrócił się do Norena.

- To chyba ten sam sprawca - powiedział Noren. Wallander pokiwał głową.

- Kto to jest? - spytał.

- Arne Carlman. Właściciel tego gospodarstwa. Mieli tu przyjęcie.

- Dopilnuj, żeby nikt stąd nie wyszedł, i dowiedz się, czy ktoś czegoś nie zauważył.

Wallander wybrał numer komendy i poprosił Hanssona.

- Źle to wygląda - zakomunikował.

- Jak źle? - spytał Hansson.

- Nie wyobrażam sobie czegoś gorszego. To z pewnością ten sam człowiek, który zabił Wetterstedta. Tego też oskalpował.

Wallander słyszał oddech Hanssona. - Pchnij tutaj wszystkich ludzi, jakich mamy. Poza tym chcę, żeby przyjechał Per Akeson.

Zakończył rozmowę, zanim Hansson zdążył go o cokolwiek zapytać. I co teraz? - pomyślał. Kogo szukać? Psychopaty? Kogoś, kto działa ostrożnie i z wyrachowaniem? Wgłębi duszy wiedział, co trzeba robić. Między Gustafem Wetterstedtem i Arne Carlmanem musiał istnieć jakiś związek. I tego przede wszystkim powinien się dowiedzieć.

Po dwudziestu minutach zaczęły przyjeżdżać radiowozy. Wallander natychmiast zaprowadził Nyberga do altanki.

- Ładnie to nie wygląda - skomentował Nyberg.

- To z pewnością ten sam człowiek, który zabił Gustafa Wetterstedta. Znowu zaatakował.

- Tym razem chyba nie ma wątpliwości co do miejsca zbrodni - stwierdził Nyberg i pokazał na krew, która rozbryznięła się na żywopłocie i stoliku.

- Jemu też zdarł włosy - powiedział Wallander.

Nyberg zawołał współpracowników i wziął się do roboty. Noren zebrał wszystkich uczestników przyjęcia w oborze. Ogród opustoszał.

Noren wyszedł do Wallandera.

- Tam jest jego żona i troje dzieci - powiedział, wskazując na dom. - Są wstrząśnięci.

- Może powinniśmy wezwać lekarza.

- Żona już to zrobiła.

- Porozmawiam z nimi. Jak przyjedzie Martinsson, Ann-Britt i inni, powiedz im, żeby przepytali tych, którzy coś widzieli. Reszta może wracać do domu. Ale spisz ich nazwiska. I niech się wylegitymują. Są jacyś świadkowie?

- Nie, nikt się nie zgłosił.

- Masz jakieś dane czasowe? Noren wyjął z kieszeni notes. - O wpół do

dwunastej widziano Carlmana żywego. Znalaziono go o drugiej. W tym czasie został zamordowany.

- Na pewno da się to ustalić dokładniej - powiedział Wallander. - Dowiedz się, kto go widział najpóźniej. I oczywiście, kto go znalazł.

Wallander wszedł do domu. Część mieszkalna została z pietyzmem odrestaurowana. Duży pokój był jednocześnie kuchnią, jadalnią i salonem. Wszędzie na ścianach wisiały obrazy. W rogu, na kanapie i fotelach z czarnej skóry, siedziała rodzina zmarłego. Kobieta około pięćdziesiątki podniosła się i podeszła do niego.

- Pani Carlman? - spytał Wallander.

- Tak. To ja.

Widział, że płakała. Szukał w jej twarzy jakichś oznak załamania nerwowego, sprawiała jednak wrażenie wyjątkowo opanowanej.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało - powiedział.

- To straszne.

W jej odpowiedzi wyczuł coś mechanicznego. Zastanowił się, zanim zadał pierwsze pytanie.

- Czy domyśla się pani, kto to mógł zrobić?

- Nie.

Odpowiedziała za szybko. Jakby była przygotowana na to pytanie. Znaczyłoby to, pomyślał, że niejedna osoba mogłaby pozbawić życia jej męża.

- Wolno spytać, czym zajmował się pani mąż?

- Był handlarzem obrazów.

Wallander zeszywniał. Źle odczytała jego skupione spojrzenie i powtórzyła odpowiedź.

- Słyszałem - powiedział Wallander. - Przepraszam na chwilę. Wszedł na podwórze. Wytężył wszystkie zmysły. Lars Magnusson mówił o pogłoskach towarzyszących kiedyś Gustafowi Wetterstedtowi. Chodziło o kradzieże obrazów. A teraz handlarz obrazów nie żyje, zginął z tej samej ręki, która zgładziła Wetterstedta. Z ulgą pomyślał o tak szybkim odnalezieniu związku między ofiarami. Już miał wracać do rodziny zmarłego, kiedy zza węgła wyszła Ann-Britt Hóglund. Była bledsza niż zwykle. I spięta. Wallander przypomniał sobie swoje pierwsze lata w dochodzeniówce. Do każdego przestępstwa podchodził bardzo osobiście. Rydberg wpajał mu od samego początku, że policjantowi nie wolno się zaprzyjaźniać z ofiarami przemocy. Nauczenie się tego zajęło Wallanderowi dużo czasu.

- Jeszcze jeden? - spytała.

- Ten sam sprawca - odpowiedział Wallander. - Albo sprawcy. Wzór się powtarza.

- Też został oskalpowany?

- Tak.

Cofnęła się odruchowo.

- Chyba znalazłem coś, co łączy tych dwóch mężczyzn - kontynuował Wallander i wyjaśnił, co ma na myśli.

W tym czasie pojawił się Svedberg i Martinsson. Wallander podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

- Porozmawiajcie z gośćmi - powiedział na koniec. - Jeśli dobrze zrozumiałem Norena, jest ich co najmniej stu. I wylegitymujcie ich.

Wallander wszedł do domu. Usiadł na krześle obok rodziny. Oprócz wdowy po Carlmanie byli tam dwaj dwudziestoparoletni synowie i trochę od nich starsza córka. Wydawali się niezwykle opanowani.

- Obiecuję zadawać tylko te pytania, które są absolutnie konieczne - zaczął. - Wszystko inne może poczekać. Zapadła cisza. Milczeli. Wallander uznał pierwsze pytanie za oczywiste.

- Czy wiecie, kim jest sprawca? - spytał. - Czy to ktoś z gości?

- A któżby inny? - odpowiedział jeden z synów.

Miał krótko obcięte blond włosy. Z niemiłym uczuciem Wallander zauważył, że jest podobny do mężczyzny, którego zniekształconą twarz widział w altance.

- Czy myślisz o jakiejś konkretnej osobie? Chłopak pokręcił głową.

- To raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś obcy zdecydował się tu przyjść w trakcie tak dużego przyjęcia - powiedziała pani Carlman.

Ktoś, kto potrafi zachować zimną krew, pewnie by się nie zawahał, pomyślał Wallander. Albo ktoś dostatecznie szalony, kogo ani ziębi, ani grzeje, czy go złapią, czy nie.

- Pani mąż był handlarzem obrazów - kontynuował Wallander. - Może mi to pani dokładniej wyjaśnić?

- Mąż miał przeszło trzydzieści galerii w Szwecji i kilka galerii w innych krajach skandynawskich. Prowadził sprzedaż wysyłkową, wypożyczał obrazy różnym firmom, co roku obsługiwał dużo aukcji dziełami sztuki. Między innymi.

- Czy mógł mieć wrogów?

- Człowiek, któremu się wiedzie, nigdy nie jest lubiany przez ludzi o podobnych ambicjach, ale pozbawionych odpowiednich umiejętności.

- Czy mąż kiedykolwiek mówił o tym, że czuje się zagrożony?

- Nie.

Wallander spojrział na dzieci siedzące na kanapie. Niemal równocześnie pokręciły głowami.

- Kiedy widziała pani męża po raz ostatni? - Tańczyłam z nim około wpół do jedenastej. Potem kilka razy widziałam go przelotnie. Ostatni raz chyba około jedenastej.

Żadne z dzieci nie widziało go później. Wallander uznał, że wszystkie inne pytania mogą poczekać. Schował notatnik do kieszeni i wstał. Szukał słów współczucia, ale ich nie znalazł. Skinął głową i wyszedł.

Szwecja wygrała 3:1. Bramkarz Ravelli był wspaniały, mecz z Kamerunem poszedł w niepamięć, a Martin Dahlin genialnie główkował. Wallander wyłowił strzępki toczących się wokół rozmów, zebrał je i złożył do kupy. Ann-Britt Hóglund i dwóch innych policjantów wytypowało dobry wynik. Wallander miał pewne obawy, że tylko się umocnił na pozycji najgorszego. Nie wiedział, czy go to irytuje, czy cieszy.

Najbliższe godziny spędzili na żmudnej pracy. Wallander założył w połączonym z oborą magazynie prowizoryczną kwaterę główną. Tuż po czwartej rano weszła Ann-Britt Hóglund z młodą kobietą, która mówiła z wyraźnym góteborskim akcentem.

- Ona ostatnia widziała go przy życiu - powiedziała Ann-Britt. - Była z Carlmanem w altance tuż przed północą.

Wallander poprosił ją, żeby usiadła. Powiedziała, że nazywa się Madelaine Rhedin i jest malarką.

- Co robiliście w altance? - spytał Wallander.

- Arne chciał, żebym podpisała umowę.

- Jaką umowę?

- Miał się zająć sprzedażą moich obrazów.

- I podpisała ją pani?

- Tak.

- I co było potem?

- Nic.

- Nic? - Wstałam i odeszłam. Spojrzałam na zegarek. Była za trzy dwunasta.

- Dlaczego spojrzała pani na zegarek?

- Zwykle to robię, kiedy dzieje się coś ważnego.
- Ta umowa była ważna?
- W poniedziałek miałam dostać dwieście tysięcy koron. Dla biednego artysty to ważne wydarzenie.

- Czy kiedy siedzieliście w altance, był ktoś w pobliżu?
- Nikogo nie widziałam.
- A kiedy pani odchodziła?
- Było pusto.
- A co wtedy robił Carlman?
- Siedział.
- Skąd pani wie? Odwróciła się pani?
- Powiedział, że chce się porozkoszować świeżym powietrzem. Nie słyszałam, żeby wstawał.

- Czy wydawał się niespokojny?
- Nie, był w dobrym humorze.
- Proszę się dobrze zastanowić - powiedział Wallander na zakończenie. - Może coś jeszcze sobie pani przypomni. Wszystko może być ważne. I proszę się wtedy do nas odezwać.

Kiedy wyszła, z drugiej strony pojawił się Per Akeson. Błady jak kreda. Ciężko opadł na krzesło, które przed chwilą zwolniła Madelaine Rhedin.

- To najgorszy koszmar, jaki w życiu widziałem - powiedział.
- Nie musiałeś patrzeć. Nie po to cię tutaj poprosiłem.
- Nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz.
- Ja też nie rozumiem.

Per Akeson natychmiast spowaźniał.

- Czy zrobił to ten sam człowiek, który zabił Wetterstedta?
- Bez wątplenia. >Popatrzyli na siebie i wiedzieli, że myślą to samo.
- Czyli znowu może zaatakować? Wallander skinął głową. Akeson wykrzywił się.

- Jeśli do tej pory nie było priorytetów, to tym razem będą. Domyślam się, że potrzebujesz więcej ludzi? Pociągnę za odpowiednie sznurki.

- Nie teraz. Więcej policjantów może pomóc w ujęciu kogoś, kogo wygląd i nazwisko znamy. Nie jesteśmy na tym etapie.

I opowiedział o tym, co usłyszał od Larsa Magnussona. A Arne Carlman był

handlarzem obrazów.

- Istnieje związek - zakończył. - I to nam ułatwi pracę. Per Akesson miał wątpliwości.

- Co nagle to po diable.

- Nie zamykam żadnych drzwi. Ale muszę się oprzeć o tę ścianę, którą mam.

Per Akesson został jeszcze godzinę i wrócił do Ystadu. O piątej rano w Bjaresjo pojawili się pierwsi dziennikarze. Wallander zadzwonił do komendy i wściekły, zażądał, żeby Hansson zajął się prasą. Nie mogli ukrywać faktu, Arne Carlman został oskalpowany. Hansson przeprowadził zaimprovizowaną i dosyć chaotyczną konferencję prasową na drodze, przed domem Carlmanów. W tym czasie Martinsson, Svedberg i Ann-Britt Hóglund przesłuchiwali gości i stopniowo ich wypuszczali. Wallander odbył dłuższą rozmowę z pewnym pijanym rzeźbiarzem, który znalazł denata.

- Dlaczego wyszedł pan do ogrodu?

- Żeby wymiotować.

- I wymiotował pan?

- Tak.

- Gdzie pan wymiotował?

- Pod jabłonią. - Co było potem?

- Postanowiłem posiedzieć przez chwilę w altance.

- I co się stało?

- Znalazłem go.

Po tej odpowiedzi Wallander musiał przerwać przesłuchanie, bo rzeźbiarzowi znów się zbierało na wymioty. Wstał i poszedł do altanki. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Pomyślał, że dzień świętego Jana będzie ciepły i ładny. Poczł ulgę, widząc, że Nyberg przykrył głowę Carlmana ceratowym obrusem. Sam klęczał pod żywopłotem oddzielającym ogród od pola rzepaku.

- Jak idzie? - zapytał Wallander z otuchą w głosie.

- Są nikłe ślady krwi na żywopłocie. Aż tak daleko raczej nie bryznęła.

- Jak to rozumieć?

- To już twoja sprawa - odparł Nyberg i pokazał na żywopłot. - Tutaj jest przeredzony. Ktoś nie największej postury mógłby się tędy precyzyjnie przemieszczać do ogrodu i tą samą drogą się ulotnić. Zobaczymy, co znajdziemy po drugiej stronie. Ale proponuję, żebyś ściągnął psa. Jak najszybciej.

Wallander skinął głową.

O wpół do szóstej przyjechał przewodnik z wilczurem. Ostatni goście opuszczali gospodarstwo. Wallander skinął na Eskilssona. Pies policyjny był stary i doświadczony. Wabił się Strzelec.

Natychmiast podjął trop w altance, ruszył do żywopłotu i chciał przejść w tym miejscu, w którym Nyberg odkrył ślady krwi. Eskilsson i Wallander musieli skorzystać z innego prześwitu w żywopłocie i wyszli na drogę poznaczoną śladami traktorów. Pies podjął trop i poszedł polną drogą w kierunku gospodarstwa. Wallander zaproponował, żeby go spuścić. Czuł rosnące napięcie. Pies węszył wzdłuż drogi, na skraju pola rzepaku na moment zgubił ślad, podjął go pod wzgórzem koło wypełnionej do połowy wodą grobli. Na wzgórzu trop się urwał. Eskilsson próbował różnych miejsc, ale bez skutku.

Wallander rozejrzał się. Na wzgórzu rosło samotne, pochylone wiatrem drzewo. Z ziemi wystawała częściowo zakopana, stara rama roweru. Stanął pod drzewem i patrzył na gospodarstwo. Bardzo dobry widok na ogród. Przez lornetkę można rozróżnić postacie. Wzdrygnął się. Zeszłej nocy ktoś mógł stać tutaj, w tym samym miejscu. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Poszedł do ogrodu. Hansson i Svedberg siedzieli na schodkach domu. Mieli szare ze zmęczenia twarze.

- Gdzie jest Ann-Britt? - spytał Wallander.

- Wypuszcza ostatniego gościa - odpowiedział Svedberg.

- A Martinsson?

- Rozmawia przez telefon.

Wallander usiadł na schodkach. Słońce zaczęło przygrzewać.

- Musimy jeszcze trochę z siebie dać - powiedział. - Kiedy Ann-Britt skończy, wracamy do Ystadu. Musimy wszystko podsumować i zdecydować, co dalej.

Nie zareagowali. Nie było to zresztą konieczne. Ann-Britt Hóglund wyszła z obory i kucnęła przed nimi.

- Że też tyle ludzi może widzieć tak mało - powiedziała zmęczonym głosem. - W głowie się nie mieści.

Obok przeszedł Eskilsson z psem. Po chwili z altanki usłyszeli poirytowany głos Nyberga.

Zza węgła wyszedł Martinsson. Z telefonem w ręku.

- To może teraz nie najważniejsze - powiedział - ale jest wiadomość z Interpolu. Mają informacje o tej dziewczynie, która się spaliła. Chyba wiedzą, o kogo

chodzi.

Wallander spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dziewczyna z rzepaku Salomonssona? - Tak. Wallander wstał.

- Kto to jest?

- Nie wiem. Wiadomość czeka w komendzie. Chwilę później pojechali do Ystadu. "Dolores Maria Santana".

Była za kwadrans szósta, kiedy Martinsson przeczytał odpowiedź Interpolu, która przywracała dziewczynie jej tożsamość.

- Skąd ona pochodzi? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Dane przesłano z Dominikany - odparł Martinsson. - Przez Madryt.

Popatrzył pytająco na kolegów.

- Dominikana jest częścią Haiti - wyjaśniła Ann-Britt Hóglund. - Indie Zachodnie. Czy to się nie nazywa Hispaniola?

- Jak ona, u diabła, tutaj trafiła - zdziwił się Wallander. - Na pole Salomonssona? Kim ona jest? Co jeszcze pisze Interpol?

- Nie zdążyłem się zapoznać ze szczegółami - przyznał Martinsson. - Ale jeśli dobrze rozumiem, ojciec zgłosił jej zaginięcie w listopadzie ubiegłego roku. W Santiago.

- To chyba w Chile? - wtrącił Wallander.

- To miasto nazywa się Santiago de los Treinta Caballeros - powiedział Martinsson. - Czy naprawdę nie mamy tu żadnej mapy świata?

- Mamy - odezwał się Svedberg i zniknął. Po chwili był z powrotem. Pokręcił głową. - To musiała być prywatna mapa Bjórka. Nie mogę jej znaleźć.

- Obudź księgarza - zdecydował Wallander. - Chcę mieć mapę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nie ma jeszcze szóstej - zauważył Svedberg.

- Nic na to nie poradzę. Dzwon. I pchnij tam samochód.

Wallander wyjął z portfela sto koron i dał je Svedbergowi, który od razu poszedł dzwonić. Zerwał księgarza z łóżka, samochód był w drodze.

Przynieśli sobie kawę do konferencyjnego i zamknęli drzwi. Hansson wydał polecenie, żeby przez najbliższą godzinę nikt im nie przeszkadzał. Z wyjątkiem Nyberga. Wallander rozejrzał się wokół stołu. Widział szare, zmęczone twarze. Z niechęcią pomyślał o tym, jak on sam musi wyglądać.

- Do dziewczyny z rzepaku wrócimy później - zaczął. - Teraz trzeba się skoncentrować na tym, co się stało ostatniej nocy. Od razu możemy przyjąć, że mamy

do czynienia z tym samym człowiekiem, który zabił Gustafa Wetterstedta. Nieważne, że Carlman otrzymał cios w głowę, a Wetterstedt w kręgosłup. Obaj zostali oskalpowani.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - przyznał Svedberg. - To ktoś wyjątkowo okrutny. Wallander uciszył go ruchem ręki.

- Pozwól mi skończyć. Wiemy coś jeszcze. Arne Carlman był handlarzem obrazów. A teraz wam opowiem, czego się dowiedziałem wczoraj.

I zreferował przebieg rozmowy z Larsem Magnussonem.

- Mamy więc prawdopodobny związek - zakończył. - Wspólny mianownik to obrazy, kradzieże obrazów i paserstwo. W punkcie przecięcia być może jest sprawca.

Zapadła cisza. Wszyscy rozważali słowa Wallandera. - Inaczej mówiąc, wiemy, na czym powinniśmy się skupić - kontynuował Wallander. - Na szukaniu punktu styczności między Wetterstedtem i Carlmanem. Co wcale nie znaczy, że nie mamy innych problemów.

Popatrzył po kolegach. Rozumieli, do czego zmierza.

- Ten człowiek może znowu zaatakować - powiedział. - Ponieważ nie znamy powodu, dla którego zabił Wetterstedta i Carlmana, nie wiemy, czy nie ma w planach kolejnych morderstw. Możemy jedynie liczyć na to, że jego ewentualne, przyszłe ofiary zdają sobie sprawę z zagrożenia.

- Nie wiemy jeszcze jednego - wtrącił Martinsson. - Czy mamy do czynienia z szaleńcem, czy nie, czy motywem jest zemsta, czy coś innego. A może sprawca wymyślił sobie taki motyw, który nie ma żadnego związku z rzeczywistymi zdarzeniami. Nikt przecież nie jest w stanie przewidzieć reakcji zaburzonego mózgu.

- Naturalnie masz rację - zgodził się Wallander. - Będziemy się poruszać wśród wielu niewiadomych.

- Może to dopiero początek - ponuro zauważył Hansson.

- Czy naprawdę jest tak źle, że mamy na karku seryjnego mordercę?

- Może być tak źle - odparł Wallander stanowczo. - Dlatego uważam, że od razu powinniśmy ściągnąć kogoś do pomocy. Przede wszystkim z psychiatrii sądowej ze Sztokholmu. Nasz człowiek działa nietypowo, myślę tu o skalpach, więc może udałoby im się sporządzić jego portret psychologiczny.

- Czy on już kiedyś mordował? - spytał Svedberg. - Czy dopiero zaczyna?

- Nie wiem - odparł Wallander. - W każdym razie jest ostrożny. Mam przeczucie, że dokładnie wszystko planuje. I kiedy uderza, nie waha się. Powody mogą

być co najmniej dwa. Pierwszy, że całkiem zwyczajnie nie chce wpaść. Drugi, że nie chce być zatrzymany, dopóki nie skończy tego, co sobie zamierzył.

Ostatnie słowa Wallandera wzbudziły niechęć i odrazę.

- No więc mamy punkt wyjścia - kontynuował. - Związek między Wetterstedtem i Carlmanem. Gdzie przecinają się ich drogi. Musimy to rozwikłać. Najszybciej, jak się tylko da.

- I chyba nie powinniśmy zapominać, że nie będziemy pracować w spokoju - zauważył Hansson. - Dziennikarze nas nie odstąpią. Wiedzą o skalpie Carlmana. Dostali to, o czym marzyli. Nie wiedzieć czemu, Szwedzi uwielbiają czytać o morderstwach, kiedy mają urlop.

- Może ma to i swoje dobre strony - powiedział Wallander.

- Będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy mają powody przypuszczać, że są na ewentualnej liście mordercy.

- Powinniśmy wyraźnie dać do zrozumienia, że liczymy na informacje - wtrąciła Ann-Britt Hóglund. - Zakładając, że morderca rzeczywiście ma listę i że niektóre osoby mogą się poczuć zagrożone, któraś z nich może znać sprawcę albo się domyślać, kto nim jest.

- Masz rację - przyznał Wallander. - Czym prędzej skrzyknij dziennikarzy - zwrócił się do Hanssona. - Powiemy im wszystko, co wiemy. Że szukamy jednego sprawcy. I że potrzebujemy wszelkich możliwych informacji.

Svedberg otworzył okno. Martinsson ziewnął głośno.

- Wszyscy jesteście zmęczeni - powiedział Wallander.

- Mimo to nie możemy sobie pozwolić na przerwę. Próbujcie spać, kiedy tylko znajdziecie wolną chwilę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Policjant przyniósł mapę. Rozłożyli ją na stole i odszukali Dominikanę i Santiago.

- Dziewczyna musi poczekać - stwierdził Wallander. - Teraz nie damy rady. - W każdym razie wyślę odpowiedź - powiedział Martinsson. - Możemy ich poprosić o więcej szczegółów.

- Ciekawe, jak tutaj trafiła - mruknął Wallander.

- Interpol ustalił, że miała siedemnaście lat - powiedział Martinsson. - I ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Prześlij opis medalika - zaproponował Wallander. - Jeśli ojciec go zidentyfikuje, sprawa jest jasna.

Dziesięć po siódmej opuścili konferencyjny. Martinsson pojechał do domu porozmawiać z rodziną i odwołać podróż na Bornholm. Svedberg zszedł do piwnicy wziąć prysznic. Hansson zajął się organizowaniem spotkania z prasą. Wallander poszedł z Ann-Britt Hóglund do jej pokoju.

- Złapiemy go? - spytała poważnie.

- Nie wiem. Mamy dosyć wyraźny trop. Możemy zapomnieć o tym, że nasz człowiek zabija tych, którzy mu przypadkiem wpadną w ręce. O coś mu chodzi. A skalpy to jego trofea.

Usiadła na krześle, Wallander oparł się o futrynę.

- Po co ludziom trofea? - spytała.

- Żeby się nimi chwalić.

- Przed sobą czy przed innymi?

- Jedno i drugie.

Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego spytała o trofea.

- Myślisz, że wziął skalpy, żeby je komuś pokazać?

- Nie można tego wykluczyć.

- Fakt. Nie można. Ani tego, ani wszystkiego innego. Już miał wyjść z pokoju, kiedy o czymś sobie przypomniał.

- Zadzwoń do Sztokholmu?

- Dzisiaj świętego Jana - powiedziała. - Wątpię, żeby mieli dyżur.

- Zadzwoń do kogoś do domu. Nie mamy czasu do stracenia, bo nie wiemy, czy znowu nie zaatakuje. Wallander poszedł do swojego pokoju i usiadł na krześle dla gości. Niepokojąco zatrzeszczało. Ze zmęczenia bolała go głowa. Odchylił ją i zamknął oczy. Po chwili już spał.

Obudził się gwałtownie, kiedy Nyberg wszedł do jego pokoju. Spojrzał na zegarek. Spał blisko godzinę. Ćmiący ból głowy nie minął, ale nie był już tak bardzo zmęczony.

Nyberg miał przekrwione oczy i zmierzwioną czuprynę.

- Nie chciałem cię budzić - powiedział przepaszająco.

- Tylko się zdrzemnąłem. Masz coś nowego? Nyberg pokręcił głową.

- Niewiele. Zabójca Carlmana musi mieć pokrwawione ubranie. Gdybym miał uprzedzać wyniki badań lekarzy medycyny sądowej, powiedziałbym, że cios zadany siekierą padł z góry, co wskazywałoby na bardzo bliską odległość napastnika od ofiary.

- Jesteś pewien, że to siekiera?

- Niczego nie jestem pewien. Mogła być solidna szabla. Albo coś innego. Ale głowa wyglądała tak jak przerażane polano.

Wallanderowi zrobiło się niedobrze.

- Wystarczy - powiedział. - Czyli sprawca miał pokrwawione ubranie. Ktoś mógł go widzieć. Wyklucza to poza tym gości. Nikt nie był upapwany krwią.

- Szukaliśmy pod żywopłotem - kontynuował Nyberg. - Przeszliśmy obok rzepaku do wzgórza. Rolnik, który ma pole sąsiadujące z działką Carlmana, zapytał, czy może kosić rzepak. Zgodziłem się.

- I dobrze zrobiłeś. Czy to nie wyjątkowo późno w tym roku?

- Też tak myślę. Już świętego Jana.

- Wzgórze - podpowiedział Wallander. - Ktoś tam był. Trawa była zdeptana. W jednym miejscu chyba ktoś siedział. Wzięliśmy próbki trawy i ziemi.

- Nic poza tym?

- Stary rower chyba nas nie interesuje.

- Pies policyjny zgubił tam trop - powiedział Wallander. - Dlaczego?

- Zapytaj przewodnika psa - odparł Nyberg. - Może jest tam jakiś inny, silniejszy zapach, który zabija ten tropiony przez psa. Może być dużo powodów.

Wallander zastanawiał się nad słowami Nyberga.

- Idź do domu i się wyśpij - powiedział później. - Wyglądasz na wykończonego.

- Nie tylko wyglądam, jestem.

Kiedy Nyberg wyszedł, Wallander zrobił sobie kanapkę w kuchni. Dziewczyna z recepcji przyniosła mu plik kartek z numerami telefonów. Przejrzał je. Dzwonili dziennikarze. Pomyślał, czyby nie wpaść do domu zmienić ubranie. Szybko jednak zdecydował inaczej, zapukał do Hanssona i powiedział, że jedzie do Bjaresjó.

- O pierwszej mamy spotkanie z prasą - przypomniał Hansson.

- Do tego czasu będę z powrotem. Nie chcę, żeby mi tam przeszkadzano. Chyba że się wydarzy coś poważnego. Muszę pomyśleć.

- Wszyscy potrzebujemy snu - powiedział Hansson. - Nigdy nie przypuszczałem, że rozpęta się takie piekło.

- Pojawia się zawsze wtedy, kiedy się go najmniej spodziewamy.

Wallander pojechał do Bjaresjó. Był piękny letni poranek. Opuścił szybę. Pomyślał, że dzisiaj musi odwiedzić ojca. Poza tym powinien zadzwonić do Lindy. Jutro Bajba wraca z Tallina. Za niespełna czternaście dni będzie miał urlop.

Zaparkował przed policyjną blokadą. Na drodze stały grupki ciekawskich. Skinął na policjanta pilnującego blokady. Potem obszedł ogród i ruszył polną drogą na wzgórze. Zatrzymał się tam, gdzie pies zgubił trop. Bardzo starannie wybrał to wzgórze, pomyślał. Stąd mógł widzieć, co się dzieje w ogrodzie. Na pewno słyszał muzykę w oborze. Późnym wieczorem ogród pustoszeje. Goście zgodnie twierdzili, że wszyscy weszli pod dach. Około wpół do dwunastej Carlman idzie do altanki z Madelaine Rhedin. Co wtedy robisz?

Wallander nie odpowiedział na pomyślane pytanie. Zszedł z drugiej strony. Na dole widniały ślady opon traktorów. Trawiastym zboczem dotarł do polnej drogi, która prowadziła do innej bitej drogi, a ta z kolei wychodziła na szosę Malmö-Ystad. Wallander wybrał przeciwny kierunek i ruszył po śladach opon do zagajnika. Rosły tu wysokie buki, promienie słońca połyskiwały w liściach, pachniała ziemia. Ślady opon skończyły się przy wyrębie, gdzie czekało na wywózkę kilka powalonych drzew. Bez skutku szukał jakiejś ścieżki. Próbował odtworzyć w pamięci mapę okolicy. Gdyby ktoś chciał dotrzeć do szosy od strony zagajnika, musiałby minąć dwa gospodarstwa i pola uprawne. Oszacował odległość na dwa kilometry. Potem wrócił tą samą drogą i udał się w przeciwnym kierunku. Liczył kroki. Niespełna kilometr do bocznej drogi prowadzącej do E65. Boczna droga znaczyła liczne ślady opon. Przy drodze stał barak zarządu dróg. Drzwi były zamknięte. Rozejrzał się i poszedł na tył baraku. Leżał tam zwinięty brezent i kilka rur. Już miał odejść, kiedy wyłowił spojrzeniem skrawek papieru, wydarty z brązowej torby. Było na nim kilka ciemnych plam. Podniósł go ostrożnie kciukiem i palcem wskazującym. Nie potrafił powiedzieć, co to za plamy. Odłożył go. Przez najbliższe minuty dokładnie przepatrywał teren za barakiem. Dopiero kiedy zajrzał pod barak, wsparty na czterech betonowych blokach, znalazł resztę torby. Wyciągnął ją. Skrawek papieru został oddarty z tej torby. Ale na torbie nie było plam. Stał bez ruchu i myślał. Potem położył torbę na miejsce i zadzwonił do komendy. Złapał Martinssona, który właśnie wrócił z domu.

- Potrzebny mi Eskilsson z psem - powiedział Wallander.

- Gdzie jesteś? Coś się stało?

- Jestem koło Carlmana. Chcę się tylko o czymś upewnić. Martinsson obiecał skontaktować się z Eskilssonem. Wallander wytłumaczył mu, gdzie będzie czekał. Eskilsson zjawiał się po półgodzinie.

- Pójdiesz na wzgórze, tam gdzie pies zgubił trop - wyjaśnił Wallander. - A potem tutaj wróćcie.

Po około dziesięciu minutach Eskilsson był z powrotem. Pies przestał węszyć, ale kiedy podszedł do baraku, zareagował. Eskilsson spojrzał na Wallandera ze zdziwieniem.

- Spuść go - polecił Wallander.

Pies natychmiast podszedł do kawałka papieru. Kiedy Eskilsson próbował go nakłonić do dalszych poszukiwań, szybko zrezygnował. Ślad znów się urwał.

- Czy to krew? - spytał Eskilsson, wskazując na oderwany kawałek papieru.

- Chyba tak. W każdym razie znaleźliśmy coś, co ma związek z człowiekiem, który był na wzgórzu.

Eskilsson odjechał. Wallander miał dzwonić po Nyberga, kiedy się zorientował, że ma w kieszeni torebkę foliową. Włożył ją tam podczas oględzin Willi Wetterstedta. Ostrożnie wsunął do środka oderwany kawałek papieru.

Przejście od Carlmana do baraku zajęło ci kilka minut, pomyślał. Przypuszczalnie stał tu rower. Przebrałeś się, bo byłeś pokrwawiony. I wytarłeś jakiś przedmiot. Nóż albo siekierę. Potem odjechałeś w kierunku Malmö albo Ystadu. Raczej tylko przeciąłeś główną drogę i wybrałeś jedną z bocznych, których tutaj nie brakuje. Na razie mogę dojść za tobą do tego miejsca. Ale nie dalej.

Wallander wrócił do gospodarstwa Carlmana po samochód. Spytał policjanta pilnującego blokady, czy rodzina jeszcze tu jest.

- Nikogo nie widziałem - usłyszał w odpowiedzi. - Ale nikt nie wychodził z domu.

Wallander skinął głową i poszedł do samochodu. Przy blokadzie stało wielu ciekawskich. Obrzucił ich szybkim spojrzeniem i pomyślał, że kiedy ludzie zwietrzą krew, są gotowi poświęcić swój wolny czas, byle tylko móc się pogapić.

Dopiero kiedy odjechał, uświadomił sobie, że zauważył coś ważnego, na co nie zareagował. Zwolnił i próbował sobie przypomnieć. Miało to jakiś związek z ludźmi, którzy stali przy blokadzie. O czym myślał? Że poświęcają swój wolny czas w letni poranek, bo zwietrzyli krew?

Zahamował i zawrócił. Ciekawscy ciągle stali przy blokadzie. Wallander rozejrzał się, ale nie znalazł wyjaśnienia swojej reakcji. Spytał policjanta, czy któryś z gapiów przed chwilą nie odszedł.

- Możliwe. Cały czas przychodzą i odchodzą.

- Nikogo nie zapamiętałeś?

- Nie - odparł po namyśle.

Wallander poszedł do samochodu.

Było dziesięć po dziewiątej rano, 25 czerwca. Wallander wrócił do komendy tuż przed wpół do dziesiątej. Dziewczyna z recepcji, która pracowała tutaj latem na zastępstwie, powiedziała mu, że ma gościa, który czeka w jego pokoju. Tym razem Wallander stracił panowanie nad sobą. Wydarł się na dziewczynę, wrzasnął, że nikogo, ktokolwiek by to był, nie wolno wpuszczać do jego pokoju, po czym ruszył tam wściekły i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Na krześle dla gości siedział jego ojciec.

- Ale się pastwisz nad drzwiami - zauważył. - Można by pomyśleć, że jesteś zły.

- Dowiedziałem się, że ktoś tu na mnie czeka, ale nie że to ty - powiedział na swoje usprawiedliwienie zaskoczony Wallander.

Pomyślał, że po raz pierwszy ojciec odwiedził go w miejscu pracy. W tym okresie, kiedy był w służbie mundurowej, nie wpuszczał go za próg, jeśli nie miał na sobie cywilnego ubrania. A teraz siedział na krześle dla gości w swoim najlepszym garniturze.

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczony - powiedział Wallander. - Kto cię tu przywiózł?

- Mam żonę, która dysponuje prawem jazdy i samochodem - odparł ojciec. - Pojechała z wizytą do krewnego, a ja do ciebie. Oglądałeś mecz?

- Nie. Pracowałem.

- Był wspaniały. Pamiętam mistrzostwa świata w Szwecji, w pięćdziesiątym ósmym.

- Chyba nigdy się nie interesowałeś piłką nożną?

- Zawsze lubiłem piłkę nożną. Wallander popatrzył na niego zdziwiony.

- Nie wiedziałem.

- Wielu rzeczy nie wiesz. W pięćdziesiątym ósmym grał w obronie Sven Axbom. Pamiętam, że miał spore kłopoty z jednym z brazylijskich skrzydłowych. Zapomniałeś?

- Ile ja miałem lat w pięćdziesiątym ósmym? Ledwie się urodziłem. - Nigdy nie przepadałeś za piłką. Może dlatego zostałeś policjantem.

- Postawiłem na Rosję - przyznał Wallander.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ja obstawiałem dwa do zera, Gertruda była ostrożniejsza, myślała, że będzie remis, jeden do jednego.

Wyczerpali temat piłki nożnej.

- Napijesz się kawy? - spytał Wallander.

- Dziękuję, chętnie.

Wallander przyniósł kawę. W korytarzu zderzył się z Hans-sonem.

- Mógłbyś dopilnować, żeby przez najbliższe pół godziny nikt mi nie przeszkadzał? Hansson zmarszczył czoło.

- Bezwarunkowo muszę z tobą pomówić. Wallandera zirytował jego ton.

- Za pół godziny możesz mówić, ile wlezie. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

- Muszę powiedzieć, że się nie spodziewałem. Nigdy nie sądziłem, że cię zobaczę w komendzie.

- Też się nie spodziewałem - odparł ojciec. - Nie przyszedłbym, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

Wallander odstawił kawę na biurko. Od razu powinien był zrozumieć, że za wizytą ojca w komendzie kryje się coś poważnego.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Poza tym, że jestem chory, nic - zwyczajnie odpowiedział ojciec.

Wallander poczuł ucisk w żołądku.

- To znaczy?

- Tracę rozum. Ta choroba jakoś się nazywa, ale nie pamiętam, jak. Przypomina zgrzybiałość. Ma się ataki wściekłości. I to szybko postępuje. Wallander wiedział, o czym ojciec mówi. Matka Svedberga zapadła na tę chorobę. Ale on też nie pamiętał nazwy.

- Skąd wiesz? - spytał. - Byłeś u lekarza? Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

- Byłem nawet u specjalisty w Lundzie. Gertruda mnie zawiozła.

Ojciec umilkł i pił kawę. Wallander nie wiedział, co powiedzieć.

- Właściwie przyszedłem tutaj, żeby cię o coś prosić. Jeśli nie żądam zbyt wiele.

W tym momencie zadzwonił telefon. Wallander odłożył słuchawkę.

- Mam czas - powiedział ojciec.

- Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzali. Powiedz, o co ci chodzi.

- Zawsze marzyłem o podróży do Włoch. Chciałbym tam pojechać, zanim będzie za późno. I pomyślałem, że pojedziesz ze mną. Gertruda nie ma we Włoszech nic do roboty. Myślę, że nawet nie chce. Ja za wszystko zapłacę. Mam na to pieniądze.

Wallander popatrzył na ojca. Wydawał się mały i skurczony, jakby dopiero teraz wyglądał na swoje lata. Niedługo stuknie mu osiemdziesiątka.

- Jasne, że pojedziemy do Włoch - powiedział. - Kiedy chciałbyś jechać?

- Wolalbym nie czekać zbyt długo. Podobno we wrześniu nie ma tam upałów.
Ale może wtedy nie będziesz miał czasu?

- Tydzień wolnego mogę wziąć bez problemu. Chyba że chciałbyś zostać dłużej.

- Nie, tydzień wystarczy.

Ojciec pochylił się, odstawił kubek i wstał.

- Nie będę ci już dłużej przeszkadzał. Poczekam na Gertrudę przed komendą. -
Lepiej posiedź tutaj.

Ojciec odmownie machnął laską.

- Masz dużo pracy. Poczekam na zewnątrz. Wallander odprowadził ojca do
recepcji i posadził na kanapie.

- Nie czekaj ze mną - powiedział ojciec. - Gertruda niedługo przyjedzie.

Wallander skinął głową.

- Jasne, że pojedziemy do Włoch - powtórzył. - Wpadnę do ciebie najszybciej,
jak tylko będę mógł.

- To może będzie przyjemna podróż. Nigdy nic nie wiadomo.

Wallander zostawił ojca i podszedł do dziewczyny z recepcji.

- Przepraszam - powiedział. - Bardzo dobrze zrobiłaś, że pozwoliłaś mojemu
ojcu zaczekać w pokoju.

Wrócił do siebie. Miał łzy w oczach. Chociaż jego kontakty z ojcem były napięte i
podszyte wyrzutami sumienia, ogarnął go dotkliwy smutek, że go traci. Stał przy
oknie i patrzył na piękny letni dzień.

Kiedyś byliśmy sobie tak bliscy, pomyślał, że nic nie mogło nas rozdzielić. To
było wtedy, kiedy Rycerze Jedwabnego Szlaku przyjeżdżali swoimi lśniącymi
amerykańskimi limuzynami i kupowali twoje obrazy. Już wtedy mówiłeś o podróży do
Włoch. Innym razem, zaledwie kilka lat temu, wyruszyłeś do Włoch pieszo. Znalazłem
cię na polu, w piżamie, z walizką w ręku. Ale teraz pojedziemy. I nic nam w tym nie
przeszkodzi.

Wallander usiadł za biurkiem i zadzwonił do siostry do Sztokholmu.
Automatyczna sekretarka poinformowała go, że będzie w domu wieczorem.

Długo nie mógł zapomnieć o wizycie ojca i skupić się na dochodzeniu. Wciąż
nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał. Nie chciał pogodzić się z tym, że to
prawda. Po rozmowie z Hanssonem dokonał gruntownej oceny sytuacji. Przed
jedenastą zadzwonił do Pera Akesona i zreferował mu swój punkt widzenia. Potem

pojechał na Mariagatan, wziął prysznic i zmienił ubranie. O dwunastej był z powrotem w komendzie. Zabrał do swojego pokoju Ann-Britt Hóglund i opowiedział jej o pokrwawionym papierze, który znalazł za barakiem zarządu dróg.

- Skontaktowałaś się z psychologami ze Sztokholmu? - spytał.

- Znalazłam jednego - odparła. - Złapałam go w domu letniskowym pod Vaxholmem. Niejaki Roland Móller. Potrzebne jest tylko oficjalne pismo od Hanssona jako p.o. szefa.

- Rozmawiałaś z nim?

- To już załatwione.

- To dobrze. Porozmawiajmy teraz o czymś innym. Jeśli ci powiem, że mordercy wracają na miejsce zbrodni, to co ty na to?

- Że to i mit, i prawda.

- W jakim sensie mit?

- W takim, że zawsze jest aktualny.

- A prawda?

- Ze to się niekiedy zdarza. Historia naszego sądownictwa zna taki klasyczny przypadek. Stąd, ze Skanii. Na początku lat pięćdziesiątych pewien policjant zamordował kilka osób i brał udział w śledztwie.

- To nie jest dobry przykład. On musiał wracać. Mówię o tych, którzy wracają dobrowolnie. Dlaczego to robią?

- Żeby rzucić wyzwanie policji. Żeby wzmocnić poczucie własnej wartości. Albo żeby sprawdzić, co policja wie. Wallander pokiwał głową w zadumie.

- Dlaczego o to pytasz? - Miałem dziwne uczucie - zaczął - miałem uczucie, że koło domu Carlmana zobaczyłem kogoś, kogo już widziałem przed willą Wetterstedta.

- I co w tym dziwnego?

- Naturalnie nic. Ale w tym człowieku było coś szczególnego. Nie mogę sobie przypomnieć, co.

- Tutaj ci nie pomogę.

- Wiem - powiedział Wallander. - Ale chciałbym, żeby od tej pory tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, fotografować ludzi przy blokadzie.

- Od tej pory?

Wallander przyznał, że palnął na wyrost. Trzy razy odpukał w blat biurka.

- Mam, rzecz jasna, nadzieję, że nic podobnego już się nie wydarzy - powiedział. - Ale gdyby.

Poszedł z Ann-Britt Hóglund do jej pokoju. Później opuścił komendę. Ojciec już nie siedział na kanapie. W kiosku przy drodze wylotowej z miasta kupił hamburgera. Termometr wskazywał dwadzieścia sześć stopni. Za kwadrans pierwsza znów był w komendzie.

Konferencja prasowa w dniu świętego Jana w gmachu ystadzkiej komendy policji okazała się pamiętna, ponieważ Wallander stracił panowanie nad sobą i wyszedł w trakcie. Potem nie zamierzał niczego odkręcać. Większość kolegów była po jego stronie. Dzień później zadzwonił jakiś przemądrzały oficer policji z głównego zarządu i zwrócił uwagę na niestosowność obrzucania dziennikarzy obelgami. Stosunki między mass mediami a policją były już dostatecznie napięte.

Stało się to pod koniec konferencji. Dziennikarz pewnej popołudniówki zaczął nękać Wallandera pytaniami o skalpy. Wallander, nie chcąc ujawniać zbyt krwawych szczegółów, poprzestał na informacji, że i Wetterstedtowi, i Carlmanowi odcięto trochę włosów. Ale dziennikarz nie ustępował, bez przerwy domagał się dokładniejszych danych, mimo że Wallander wyraźnie odmówił, powołując się na dobro śledztwa. Rozbolała go głowa. Dziennikarz utrzymywał, że Wallander powinien się od razu powołać na dobro śledztwa i nic nie mówić o skalpach, bo to zakrawa na czystą obłudę. I tu Wallander miał dosyć. Huknął pięścią w stół i wstał.

- Wypraszam sobie - wrzasnął - żeby jakiś wścibski dziennikarzyna, który nie zna umiaru, dyktował policji, co ma robić, a czego ma nie robić!

Eksplodowały flesze. Wallander szybko zakończył konferencję i wyszedł. Później, kiedy się uspokoił, przeprosił Hanssona za to, że się zagalopował.

- Nie sądzę, żeby to wpłynęło na treść nagłówków w jutrzejszych gazetach - skonstatował Hansson.

- Trzeba było wytyczyć jakąś granicę - powiedział Wallander.

- Ja się z tobą zgadzam, ale podejrzewam, że inni nie.

- Możecie mnie zawiesić w obowiązkach albo zwolnić, ale nigdy w życiu nie przeproszę tego cholernego pismaka.

- Zrobi to dyskretnie główny zarząd - stwierdził Hansson. - Bez naszej wiedzy.

O czwartej po południu grupa dochodzeniowa zamknęła za sobą drzwi. Hansson wydał bezwzględny rozkaz, żeby nikt im nie przeszkadzał. Na prośbę Wallandera ściągnięto Pera Akessona. Zdawał sobie sprawę, że decyzje, jakie teraz podejmą, mogą się okazać ostateczne. Muszą działać wielotorowo, wszystkie furtki muszą być szeroko otwarte. Jednocześnie Wallander wiedział, że nie wolno im stracić

z oczu głównego tropu. Ann-Britt Hóglund dała mu kilka tabletek od bólu głowy i przez piętnaście minut, siedząc u siebie w pokoju, jeszcze raz przemyślał to, co usłyszał od Larsa Magnussona i co pozwoliło odnaleźć związek między Wetterstedtem i Carlmanem. A może coś przeoczył? Nękał swój zmęczony mózg, ale nie dopatrywał się żadnej przyczyny, żeby zmienić zdanie. Na razie skoncentrują się na głównym tropie, czyli handlu obrazami i kradzieży obrazów. Będą się musieli dokopać do liczących przeszło trzydzieści lat pogłosek o Wetterstedcie, i to szybko. Nie miał złudzeń, że ktoś im w tym pomoże. Lars Magnusson mówił o przedsiębiorcach pogrzebowych, którzy sprząтали w oświetlonych salach i w ciemnych zaułkach, gdzie grasowali ludzie na usługach władzy. Będą musieli tam poświecić swoimi latarkami, a to bardzo trudne.

Zebranie zaczęło się punktualnie o czwartej i było bodaj najdłuższe w dotychczasowej karierze Wallandera. Siedzieli blisko dziewięć godzin. Wszyscy byli szarzy ze zmęczenia. Pojemnik z tabletkami od bólu głowy okrążył stół i ział pustką. Na stole piętrzyły się kubki po kawie. W kącie poniewierały się kartony z niedojedzonymi pizzami.

Wallander uznał, że to długie zebranie było jednym z najlepszych, jakie pamiętał. Maksymalnie skupieni, wszyscy wyraźnie określili swoje stanowisko i końcowy plan działania powstał jako rezultat ich wspólnego wysiłku. Kiedy Svedberg zreferował przebieg rozmów telefonicznych z dziećmi Wetterstedta i jego ostatnią była żoną, w dalszym ciągu nie mogli się dopatrzeć żadnego sensownego motywu. Hansson opowiedział o swoim spotkaniu z blisko osiemdziesięcioletnim starcem, który za czasów urzędowania Wetterstedta pełnił funkcję sekretarza partii. Niewiele jednak uzyskał. Po twierdziły się opinie, że Wetterstedt był postacią dyskusyjną, choć bez wątpienia ogromnie lojalną wobec partii. Martinsson odbył dłuższą rozmowę z wdową po Carlmanie. Nadal była opanowana, ale zdaniem Martinssona brała jakieś środki uspokajające. Ani ona, ani dzieci nie potrafili podać żadnego wyraźnego motywu zbrodni. Wallander najpierw omówił przebieg spotkania z „wycierusem” Sara Bjórklund, a potem powiedział o wykręconej żarówce przy furtce do ogrodu i o zakrwawionym kawałku papieru, który znalazł za barakiem zarządu dróg.

Nikt z zebranych się nie zorientował, że przez cały czas myślał również o swoim ojcu. Później, przy jakiejś okazji, zapytał Ann-Bntt Hoglund, czy nie zauważyła, jaki był wtedy rozkojarzony. Odpowiedziała, że to dla niej zaskoczenie. Wydawał się bardziej niż zwykle zdeterminowany i skupiony.

O dziewiątej wieczorem wywietrzyli pokój i zrobili przerwę. Martinsson i Ann-

Britt Hóglund zadzwonili do domu, a Wallanderowi nareszcie udało się złapać siostrę. Rozpląkała się, kiedy opowiedział o wizycie ojca. Próbował ją pocieszać najlepiej, jak umiał, sam jednak walczył z uczuciem dławienia w gardle. Ustalili, że ona następnego dnia porozmawia z Gertrudą i postara się jak najszybciej przyjechać. Na koniec spytała, czy jego zdaniem ojcu starczy sił na podróż do Włoch. Odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie wie, ale obstawał przy wyjeździe i przypomniał jej, że jeszcze kiedy byli dziećmi, ojciec marzył o tym, żeby chociaż raz w życiu zobaczyć Włochy.

W przerwie usiłował się też skontaktować z Lindą. Po piętnastu sygnałach zrezygnował. Zirytowany, postanowił, że da jej pieniądze na automatyczną sekretarkę.

Drugą część zebrania Wallander zaczął od punktu wspólnego. To tego powinni szukać, nie wykluczając, rzecz jasna, innych ewentualności.

- Żona Carlmana była przekonana, że jej mąż nigdy nie miał nic wspólnego z Wetterstedtem - powiedział Martinsson. - Jej dzieci też nic o tym nie wiedziały. Przeszukali wszystkie jego notesy z telefonami i nie znaleźli Wetterstedta.

- Arne Carlmana nie było też w notesie Wetterstedta - zauważyła Ann-Britt Hóglund.

- A więc punkt wspólny jest niejawnym - powiedział Wallander. - Niejawnym albo raczej podejrzanym. Gdzieś musimy go znaleźć. Jeśli nam się to uda, być może dostrzeżemy ewentualnego sprawcę. Albo przynajmniej motyw. Musimy kopać szybko i głęboko.

- Dopóki znowu nie zaatakuje - dodał Hansson. - Jeśli zaatakuje.

- I nie wiemy, kogo ostrzec - powiedział Wallander. - Wiemy tylko tyle, że sprawca planuje swoje działania. Albo sprawcy.

- Wiemy? - zdziwił się Per Akeson. - To chyba przedwczesny wniosek.

- W każdym razie nic nie wskazuje na przypadkowego mordercę, który na dokładkę ot tak, spontanicznie zrywa skalpy swoim ofiarom - odparł z irytacją Wallander.

- Moja reakcja na wniosek - powiedział Per Akeson - nie jest równoznaczna z negowaniem poszlak.

Na chwilę zapanował pełen napięcia nastrój. Nie uszło niczyjej uwagi iskrzenie między tymi dwoma mężczyznami. Normalnie Wallander wdałby się w kłótnię z Akesonem, ale tego wieczoru wolał się wycofać. Był bardzo zmęczony, a czekało go jeszcze wiele godzin intensywnej pracy.

- Zgadza się - skwitował krótko. - Skreślamy wniosek i poprzestajemy na

prawdopodobnym planowaniu.

- Jutro przyjeżdża psycholog ze Sztokholmu - poinformował Hansson. - Odbieram go na Sturupie. Miejmy nadzieję, że nam pomoże. Wallander skinął głową, po czym poruszył kwestię, której wprawdzie do końca nie przemyślał, ale właśnie teraz była odpowiednia okazja, by ją podjąć.

- Morderca - zaczął. - Dla uproszczenia mówimy, że to jeden człowiek. Jakie są wasze wyobrażenia? Co widzicie?

Co myślicie?

- Jest silny - stwierdził Nyberg. - Cios siekierą został zadany z dużą siłą.

- Przeraza mnie to, że zbiera trofea - powiedział Martinsson. - Tylko szaleniec może robić coś takiego.

- Albo ktoś, kto chce nas wyprowadzić w pole - wtrącił Wallander. - A skalpy to fałszywy trop.

- Nie mam zdania - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Ale wydaje mi się, że to ktoś poważnie zaburzony.

Pytanie o sprawcę zawisło w próżni. Wallander zmobilizował ich do kolejnego podsumowania, uzgodnili przebieg prac i podzielili się zadaniami. Około północy Per Akeson miał dosyć. Poinformował, że kiedy uznają to za konieczne, pomoże w załatwieniu posiłków, i wyszedł. Chociaż wszyscy byli wykończeni, Wallander jeszcze raz omówił czekające ich zadania.

- Przez najbliższe dni nie będziemy sobie mogli pozwolić na dłuższy sen - powiedział na koniec. - Poza tym zdaję sobie sprawę, że spowoduje to niezłe zamieszanie w naszych planach urlopowych. Ale musimy zmobilizować wszystkie siły, jakie mamy. Nie widzę innej możliwości.

- Potrzebujemy posiłków - powiedział Hansson.

- Zdecydujemy o tym w poniedziałek - zaproponował Wallander.

Kolejne spotkanie ustalili na popołudnie następnego dnia. Do tego czasu Wallander i Hansson mieli wprowadzić w sprawę psychologa ze Sztokholmu.

Skończyli i rozeszli się do swoich zajęć. Wallander stał przy samochodzie i patrzył w blade nocne niebo. Próbował myśleć o ojcu, ale cały czas coś mu w tym przeszkadzało. Lęk, że nieznaną sprawca znowu zaatakuje. O siódmej rano w niedzielę, 26 czerwca, ktoś zadzwonił do drzwi mieszkania Wallandera przy Mariagatan w śródmieściu Ystadu. Wyrwany z głębokiego snu, pomyślał, że to telefon. Dopiero po drugim dzwonku szybko wstał, podniósł z podłogi szlafrok, ubrał

się i otworzył. Za drzwiami stała jego córka Linda z przyjaciółką, Kajszą, którą Wallander widział po raz pierwszy. Ledwie poznał własną córkę, bo obcięła długie jasne włosy na jeża i ufarbowała na czerwono. Na jej widok odczuł ulgę i radość. Miał mnóstwo pytań. Przede wszystkim był ciekaw, skąd się tu wzięły o siódmej rano. Czyżby było takie połączenie? Linda wyjaśniła, że przyjechały poprzedniego dnia wieczorem i spędziły noc u jednej ze szkolnych koleżanek Lindy, której rodzice akurat wyjechali. Będą tam mieszkać przez najbliższy tydzień. A przyszły tak wcześnie, bo Linda, przeczytawszy gazety, uznała, że w innych porach jej tata może być nieuchwytny. Wallander zrobił im śniadanie z resztek, które znalazł w lodówce. Przy śniadaniu dowiedział się, że dziewczęta będą się przez tydzień przygotowywać do autorskiego występu, a potem pojedą na Gotlandię, na kurs teatralny. Słuchał, próbując ukryć niepokój. Do niedawna Linda marzyła o tym, żeby zostać tapicerem, osiąść na stałe w Ystadzie i otworzyć własną firmę. Poza tym odczuwał potrzebę porozmawiania z nią o ojcu. Wiedział, że łączą ją z dziadkiem bliskie stosunki. Był pewien, że go odwiedzi. Wykorzystał moment, kiedy Kajsa poszła do ubikacji. - Tyle się dzieje - zaczął. - Chciałbym z tobą spokojnie porozmawiać. W cztery oczy.

- Najlepsze w tobie jest to - powiedziała - że zawsze się cieszysz, kiedy mnie widzisz.

Zapisała mu swój numer telefonu i obiecała przyjść, kiedy do niej zadzwoni.

- Czytałam - powiedziała. - Czy naprawdę jest tak źle, jak piszą?

- Gorzej. Mam tyle pracy, że nie bardzo wiem, jak sobie poradzę. To czysty przypadek, że mnie zastałaś w domu.

Rozmawiali do ósmej. O ósmej zadzwonił Hansson. Był na lotnisku, psycholog ze Sztokholmu właśnie wylądował. O dziewiątej mieli się spotkać w komendzie.

- Muszę już iść - powiedział do Lindy.

- My też pójdziemy.

- Czy ta wasza sztuka ma jakiś tytuł? - spytał, kiedy wyszli na ulicę.

- To nie jest sztuka - odpowiedziała Linda. - To kabaret.

- Aha - odparł Wallander, zastanawiając się nad różnicą. -1 nie ma żadnego tytułu?

- Jeszcze nie - przyznała Kajsa.

- A będzie można ją obejrzeć? - zapytał ostrożnie.

- Dopiero kiedy będziemy gotowe - powiedziała Linda.

- Może was gdzieś podwieźć?

- Nie, chcę jej pokazać miasto - powiedziała Linda.

- Skąd jesteś? - spytał Kajse.

- Z Sandviken. Pierwszy raz jestem w Skanii.

- No to remis - powiedział Wallander. - Ja nigdy nie byłem w Sandviken.

Zniknęły za rogiem. Piękna pogoda się utrzymywała. Zapowiadał się jeszcze cieplejszy dzień. Był w dobrym humorze, bo nieoczekiwanie przyjechała córka. Ciągłe nie mógł się przyzwyczać do jej eksperymentów z własnym wyglądem. Kiedy tego ranka stanęła w drzwiach, po raz pierwszy zauważył, że jest do niego podobna. O czym mu zresztą wiele osób mówiło. Nagle w jej twarzy zobaczył swoją twarz.

Wchodząc do komendy, poczuł przypływ nowych sił. To dzięki Lindzie. Pomyślał z ironią, że oto dudni korytarzem jak utuczony słoń. Wszedł do pokoju, zdjął kurtkę i zanim usiadł, podniósł słuchawkę. Poprosił centralę o odszukanie Svena Nyberga. Poprzedniej nocy przyszło mu do głowy, że jedną rzecz trzeba sprawdzić. Dziewczyna z centrali zlokalizowała Nyberga w dwie minuty.

- Tu Wallander. Pamiętasz naszą rozmowę o sprayu z czymś w rodzaju gazu łzawiącego, który znalazłeś przy blokadzie na brzegu?

- Jasne, że pamiętam - odparł Nyberg.

Wallander w ogóle się nie przejął złym humorem Nyberga.

- Powinniśmy zdjąć odciski palców i porównać je z tymi na zakrwawionym kawałku papieru.

- Okej. I tak byśmy to zrobili, nie musiałeś prosić.

- No tak, ale sam wiesz, jak to jest.

- Nic nie wiem. Jak tylko będę coś miał, to ci powiem.

Wallander z trzaskiem odłożył słuchawkę na widelki. Rzeczywiście poczuł przypływ energii. Stał w oknie i patrząc na starą wieżę ciśnień, układał w myślach plan zajęć. Z doświadczenia wiedział, że bardzo rzadko się sprawdza. Jeśli zdąży wykonać połowę tego, co zamierza, nie będzie źle. O dziewiątej poszedł po kawę i udał się do jednego z mniejszych pokoi, gdzie siedział Hansson i psycholog ze Sztokholmu. Ten drugi, sześćdziesięcioletni mężczyzna, przedstawił się jako Mats Ekholm. Miał silny uścisk dłoni. Od razu zrobił na Wallanderze korzystne wrażenie. Podobnie jak inni policjanci, wątpił w przydatność psychologów w śledztwie. Ale głównie dzięki rozmowom z Ann-Britt Hóglund uznał swoje negatywne nastawienie za nieuzasadnione i być może stronnicze. Teraz, siedząc przy jednym stole z Matsem Ekholmem, postanowił dać mu szansę pokazania tego, co potrafi. Mieli przed sobą

materiał dochodzeniowy.

- Przeczytałem najlepiej, jak umiałem - powiedział Mats Ekholm. - I proponuję, żebyśmy zaczęli od tego, czego nie ma w papierach.

- Wszystko tu jest - obruszył się Hansson. - Jeśli jest coś, czego policjanci musieli się nauczyć, to pisanie raportów.

- Zdaje się, że chcesz wiedzieć, co myślimy - wtrącił Wallander. - Tak?

Mats Ekholm skinął głową.

- Według pewnej elementarnej zasady psychologicznej policjanci zawsze czegoś szukają - powiedział. - Jeśli nie wiedzą, jak wygląda sprawca, wstawiają w jego miejsce zastępcę. Ale często jest tak, że fantom wykazuje podobieństwo do ujętego sprawcy.

Wallander rozpoznał własne reakcje. W czasie śledztwa bez przerwy nosił w sobie obraz przestępcy. Nigdy nie szukał w absolutnej próżni.

- Popołniono dwa morderstwa - mówił Mats Ekholm. - Sposób działania jest ten sam. Mimo kilku interesujących różnic. Gustaf Wetterstedt został zabity od tyłu. Morderca zadał mu cios w plecy, nie w głowę. Co też ciekawe. Wybrał trudniejszą ewentualność albo nie chciał masakrować głowy Wetterstedta. Tego nie wiemy. Po zabójstwie zrywa skalp i chowa zwłoki. Przechodząc do Carlmana, łatwo możemy określić podobieństwa i różnice. Carlman też został zarąbany. I oskalpowany. Ale cios padł z przodu. Ofiara musiała widzieć zabójcę. Poza tym sprawca wybrał taką okazję, kiedy w pobliżu było dużo ludzi. A zatem sporo ryzykował. Nie ukrywa ciała, uznaje, że to w zasadzie niemożliwe. Pierwsze pytanie, jakie można by sobie zadać, jest proste: Co jest ważniejsze? Podobieństwa czy różnice?

- Zabija - powiedział Wallander. - Wybiera dwie osoby. Planuje. Kilkakrotnie musiał być przed domem Wetterstedta. Miał nawet czas na wykręcenie żarówki, żeby zaciemnić teren.

- Czy Gustaf Wetterstedt każdego wieczoru wychodził na brzeg? - spytał Mats Ekholm.

- Tego niewierny - przyznał Wallander. - Ale powinniśmy się dowiedzieć.

- Kontynuuj - poprosił Mats Ekholm.

- Na pierwszy rzut oka w wypadku Carlmana mamy całkiem inny wzór. Wokół niego jest pełno ludzi. Ale może morderca widział to inaczej. Może myślał, że wykorzysta pustkę, która jest wkalkulowana w każde przyjęcie. Że nikt nic nie widzi. Zawsze najtrudniej o szczegóły od ludzi z dużych zbiorowisk.

- Żeby na to odpowiedzieć, musimy sprawdzić jego możliwości - skostatował Mats Ekholm. - Arne Carlman był biznesmenem, bardzo często w ruchu, zawsze otoczony ludźmi. Może więc przyjęcie to mimo wszystko dobry wybór?

- Podobieństwa i różnice - powiedział Wallander. - Co jest decydujące?

Mats Ekholm rozłożył ręce.

- Za wcześnie, żeby na to odpowiedzieć. Możemy się tylko domyślać, że starannie wszystko planuje i jest wyjątkowo bezwzględny.

- Skalpuje - przypomniał Wallander. - Zbiera trofea. Co to znaczy?

- Ma władzę. Trofea świadczą o jego czynach. Podchodzi do tego tak samo, jak myśliwy, który wiesza na ścianie poroża.

- Ale skalpy? Dlaczego akurat skalpy? - Nie ma w tym nic szczególnie dziwnego

- powiedział Mats Ekholm. - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale która część ludzkiego ciała najlepiej się nadaje na trofeum? Ciało gnije. Kawałek skóry z włosami łatwiej przechować.

- Mimo to nie mogę się opędzić od myśli o Indianach.

- Oczywiście nie można wykluczyć, że sprawca jest zafascynowany jakimś indiańskim wojownikiem - przyznał Mats Ekholm. - Ludzie, którzy żyją w psychotycznym obszarze granicznym, często uciekają w tożsamość innego człowieka. Albo przeobrażają się w jakąś mityczną postać.

- Jak rozumieć „obszar graniczny”? - spytał Wallander.

- Twój sprawca popełnił dwa morderstwa. Ponieważ nie znamy jego motywów, nie można wykluczyć, że będzie ten proceder kontynuował. Oznaczałoby to, że się wyzbył wszelkich zahamowań. Człowiek może zabić w afekcie. Ale ktoś, kto powtarza swoje czyny, kieruje się zupełnie innymi zasadami. Jest w krainie zmroku, gdzie tylko częściowo możemy go obserwować. On sam wyznacza sobie granice. Pozornie może żyć całkowicie normalnie. Na przykład codziennie rano chodzi do pracy, ma rodzinę, wieczory spędza na grze w golfa albo zajęciach w ogrodzie. Może siedzieć z dziećmi na kanapie, oglądać wiadomości, w których mówi się o jego morderstwach, i oburzać się, że tacy ludzie chodzą wolno. Ma dwie tożsamości. I w pełni je kontroluje. Pociąga za własne sznurki. Jest jednocześnie marionetką i jej animatorem.

Wallander zastanawiał się nad słowami Matsa Ekholma.

- Kto to jest? - spytał po chwili. - Jak wygląda? Ile ma lat? Nie mogę szukać chorego mózgu, który pozornie wydaje się całkiem normalny. Mogę szukać tylko człowieka.

- Za wcześnie na to. Potrzebuję czasu, żeby się zapoznać z materiałem i naszkicować portret psychologiczny sprawcy. - Mam nadzieję, że nie potraktujesz niedzieli jak dnia wolnego - powiedział Wallander, zmęczony. - Potrzebujemy tego portretu tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Postaram się coś przygotować na jutro. Ale ty i twoi koledzy musicie pamiętać, że margines błędu może być duży.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale każda pomoc nam się przyda.

Po rozmowie Matsem Ekholmem Wallander wyszedł z komendy i pojechał do portu. Usiadł na molo, tam gdzie kilka dni wcześniej usiłował skłecić mowę pożegnalną na cześć Bjórka. Patrzył na wypływający w morze kuter. Rozpiął koszulę i przymknął oczy. Gdzieś blisko usłyszał śmiech dzieci. Próbował nie myśleć, tylko rozkoszować się słońcem. Po kilku minutach wstał i opuścił port.

„Twój sprawca popełnił dwa morderstwa. Ponieważ nie znamy jego motywów, nie można wykluczyć, że będzie ten proceder kontynuował”. Słowa Matsa Ekholma mogły być jego słowami. Dopóki nie złapią mordercy Gustafa Wetterstedta i Arne Carlmana, niepokój go nie opuści. Wallander znał siebie. Jego siłą było to, że nigdy się nie poddawał. Czasami potrafił błysnąć nieoczekiwaną przenikliwością. Ale jego słabość też nie była trudna do zidentyfikowania. Obowiązki służbowe stały się jego prywatną sprawą. „Twój sprawca” - powiedział Mats Ekholm. Nic dodać, nic ująć. Człowiek, który zabił Wetterstedta i Carlmana, to rzeczywiście jego sprawa. Czy tego chciał, czynnie.

Wsiadł do samochodu i postanowił trzymać się planu, który ustalił rano. Pojechał do willi Wetterstedta. Blokady nie było. Góran Lindgren i starszy mężczyzna, przypuszczalnie ojciec, skrobali łódkę. Nie chciało mu się do nich podejść, żeby się przywitać. Ciągle miał przy sobie pęk kluczy. Otworzył. Poraziła go cisza. Usiadł na skórzanym krześle w salonie. Słabo słyszał odgłosy z plaży. Rozejrzał się po pokoju. Co mówią przedmioty? Czy sprawca kiedykolwiek był w domu? Z trudem zbierał myśli. Podeszedł do dużego, panoramicznego okna, które wychodziło na ogród, brzeg i morze. Gustaf Wetterstedt z pewnością stał tutaj nieraz. Parkiet był w tym miejscu przetarty. Wyjrzał przez okno. Ktoś zakręcił wodę w fontannie. Błądząc spojrzeniem, odnalazł myśl przewodnią, która mu wcześniej towarzyszyła. Na wzgórzu koło domu Carlmana stał mój sprawca i obserwował przyjęcie. Mógł tam być kilka razy. Tam miał władzę: widział, nie będąc widzianym. Gdzie jest takie wzgórze, na którym miałeś taką samą władzę nad Gustafem Wetterstedtem? Skąd mogłeś na niego

patrzeć, nie będąc widzianym? Obszedł willę, zatrzymywał się przed każdym oknem. Z okna w kuchni długo przyglądał się drzewom rosnącym na sąsiedniej działce. Ale te brzoźki nie udźwignęłyby człowieka.

Dopiero kiedy wyjrzał przez okno gabinetu, uznał, że chyba zna odpowiedź. Z dachu garażu można było tutaj zajrzeć. Wyszedł z domu i obszedł garaż. Młody wysportowany mężczyzna mógł podskoczyć, chwycić się gzymsu i podciągnąć. Wallander przyniósł drabinę, oparł ją o dach garażu i wszedł. Dach pokrywała papa. Ponieważ nie był pewien, czy wytrzyma jego ciężar, na czworakach szukał miejsca, skąd mógłby zajrzeć do gabinetu Wetterstedta. W końcu znalazł, daleko od okna, ale z doskonałym widokiem. Na czworakach lustrował papę. Niemal od razu zauważył kilka przecinających się zarysowań. Przesunął po nich opuszkami palców. Ktoś zrobił je nożem. Rozejrzał się. Nie było go widać ani z brzegu, ani z drogi koło domu. Zszedł i odstawił drabinę na miejsce. Potem przepatrzył ziemię pod garażem. Znalazł tylko kilka brudnych, podartych kartek z komiksu, który przywiało na działkę. Wrócił do środka. Znowu porażająca cisza. Wszedł na piętro. Z okna sypialni widział, jak Góran Lindgren i jego ojciec odwracają łódź. Tak, musieli to robić we dwóch.

A jednak teraz już wiedział, że sprawca był sam i tutaj, i u Arne Carlmana. Choć śladów było niewiele, intuicja mówiła mu wyraźnie, że na garażu Wetterstedta i na wzgórzu koło Carlmana siedział jeden człowiek.

Mam do czynienia z jednym sprawcą, pomyślał. Samotnym mężczyzną, który wychodzi poza swój obszar graniczny i zarąbuje ludzi, a potem zrywa skalpy jako trofea.

O jedenastej opuścił willę Wetterstedta. Na zewnątrz odczuł ogromną ulgę. W drodze powrotnej do komendy zajrzał do baru przy stacji benzynowej OK. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku skinęła mu głową i powiedziała „hej”. Odpowiedział, nie bardzo wiedząc, kto to jest. Dopiero kiedy wyszła, przypomniał sobie. Kasjerka z banku, Britta-Lena Boden. Kiedyś jej wspaniała pamięć pomogła mu w śledztwie.

O dwunastej był w komendzie. Ann-Britt Hóglund czekała na niego w recepcji.

- Zobaczyłam cię przez okno.

Wallander od razu się zorientował, że coś się stało.

- Mamy jeden punkt styczności - powiedziała. - Pod koniec lat sześćdziesiątych Arne Carlman przez pewien czas siedział w więzieniu. Na Langholf. W tym samym czasie Gustaf Wetterstedt był ministrem sprawiedliwości.

- To za mało.

- Jeszcze nie skończyłam. Arne Carlman napisał list do Gustafa Wetterstedta. I kiedy wyszedł z więzienia, spotkali się. Wallander znieruchomiał.

- Skąd to wiesz?

- Chodź do mnie do pokoju, to ci powiem. Wiedział, co to znaczy, ustalając punkt styczności, pierwsza, najtwardsza skorupa została rozbita.

Zaczął się od tego, że zadzwonił telefon.

Ann-Britt Hóglund szła porozmawiać z Martinssonem, kiedy została wywołana przez głośniki. Wróciła do siebie i podniosła słuchawkę. Mężczyzna mówił bardzo cicho, pomyślała, że może jest chory albo ranny. Zrozumiała jednak, że chce rozmawiać z Wallanderem. Tylko z nim, a już na pewno nie z kobietą. Wyjaśniła, że Wallander wyszedł, nie wiedząc, gdzie jest ani kiedy wróci. Mężczyzna był uparty, zdziwiła się, że ktoś, kto mówi tak cicho, może być do tego stopnia stanowczy. Zastanawiała się, czy go nie połączyć z Martinssonem, który poudawałby Wallandera, ale zrezygnowała. Coś w jego głosie mówiło jej, że on może znać Wallandera.

Zaczął od tego, że ma ważne wiadomości. Spytała, czy dotyczą one śmierci Gustafa Wetterstedta. „Może” - bąknął. Spytany o Arne Carlmana, odpowiedział tak samo. Postanowiła go jakoś przytrzymać, mimo że nie chciał podać ani swojego nazwiska, ani numeru telefonu. W końcu on sam to rozwiązał. Po długim milczeniu, kiedy Ann-Britt Hóglund pomyślała, że rozmowa została przerwana, zapytał o numer policyjnego faksu. „Proszę go doręczyć Wallanderowi - powiedział. - Do rąk własnych”.

Godzinę później przyszedł faks. Leżał teraz na jej biurku. Wallander usiadł na krześle dla gości. Ze zdumieniem stwierdził, że nadawcą był sklep z artykułami metalowymi Skoglunda w Sztokholmie.

- Odszukałam numer telefonu i zadzwoniłam - powiedziała. - Zdziwiło mnie, że sklep jest otwarty w niedzielę. Za pośrednictwem automatycznej sekretarki dotarłam do właściciela. Nie miał pojęcia, jakim cudem ktoś mógł faksować z jego biura. Wybierał się na golfa, ale obiecał to sprawdzić. Pół godziny później oddzwonił i wzburzony, oznajmił, że ktoś się tam włamał.

- Dziwna historia - powiedział Wallander.

Przeczytał faks. Był napisany ręcznie, miejscami nieczytelny. Pomyślał, że musi sobie obstać okulary. Litery skakały mu przed oczami. Nie mógł tego już dłużej tłumaczyć chwilowym zmęczeniem lub niedyspozycją. List, mieszanina pisma odręcznego i drukowanego, został napisany w dużym pośpiechu. Wallander

przeczytał go po cichu, a potem na głos, żeby się upewnić, czy niczego nie przekręcił.

- Wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku Arne Carlman siedział na Langholmen za paserstwo i malwersacje. W tym czasie Gustaf Wetterstedt był ministrem sprawiedliwości. Carlman napisał do niego list. Chwalił się tym. Po wyjściu z więzienia spotkał się z Wetterstedtem. Nie wiemy, ani o czym rozmawiali, ani co robili, ale potem Carlmanowi dobrze się wiodło. Już nie trafił do więzienia. A teraz nie żyją. Obaj. Czy dobrze zrozumiałem?

- Doszłam do tego samego - powiedziała.

- Nie ma podpisu. O co mu właściwie chodzi? Kto to jest? Skąd o tym wie? Czy to w ogóle prawda?

- Nie wiem, ale intuicja mi podpowiada, że on wie, co mówi. Poza tym łatwo sprawdzić, czy Carlman siedział na Langholmen wiosną sześćdziesiątego dziewiątego. Że Wetterstedt był wtedy ministrem, to już wiemy.

- Czy w tym czasie nie zlikwidowali tego więzienia? - zapytał Wallander.

- Nie, to było kilka lat później. Chyba w siedemdziesiątym piątym. Jeśli chcesz, mogę to sprawdzić. Wallander zaprzeczył.

- Dlaczego chciał rozmawiać tylko ze mną? - spytał. - Nie podał żadnego powodu? - Wydaje mi się, że słyszał o tobie.

- Nie twierdził, że mnie zna?

- Nie.

- Miejmy nadzieję, że pisze prawdę - powiedział po namyśle. - Jeśli tak jest, to mamy nasz punkt styczności.

- Nie powinniśmy chyba mieć kłopotów z ustaleniem, czy to się zgadza. Mimo że jest niedziela.

- Tak. Od razu pojedę porozmawiać z wdową. Na pewno wie, czy siedział w więzieniu.

- Pojechać z tobą?

- Nie, dziękuję.

Pół godziny później zaparkował przed blokadą w Bjaresjo. Znudzony policjant siedział w samochodzie i czytał gazetę. Na widok Wallandera wyprężył się służbiście.

- Czy Nyberg ciągle tu jest? - zdziwił się Wallander. - Nie zakończyli oględzin?

- Nikogo od nich nie widziałem - odparł policjant.

- Zadzwoń do Ystadu i spytaj, dlaczego blokada nie jest zdjęta - powiedział Wallander. - Czy rodzina jest w domu?

- Wdowa chyba jest. Córka też. Synowie wyjechali kilka godzin temu.

Wallander wszedł na posesję. Zauważył, że w altance nie ma stołu ani krzeseł. Przy takiej wspaniałej pogodzie wydarzenia sprzed kilku dni wydawały się kompletnie nierzeczywiste. Zapukał do drzwi. Wdowa otworzyła natychmiast.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął Wallander. - Ale mam kilka pytań, na które pilnie potrzebuję odpowiedzi.

Była bardzo blada. Mijając ją, poczuł słaby zapach alkoholu. Gdzieś z głębi mieszkania córka głośno spytała, kto przyszedł. Wallander usiłował sobie przypomnieć imię wdowy. Czy on je w ogóle zna? Po chwili już wiedział. Anita. Padło z ust Svedberga podczas ich długiego zebrania w dzień świętojański. Usiadł naprzeciwko niej, na kanapie. Zapaliła papierosa i przyglądała mu się. Była w jasnej letniej sukience. Pomyślał o niej z dezaprobatą. Nawet jeśli nie kochała swojego męża, to jednak został zabity. Czy ludzie mają w nosie respekt dla śmierci? Czy nie mogła włożyć czegoś mniej jaskrawego? Po chwili zdziwił się, skąd ma takie konserwatywne poglądy. O żałobie i respekcie nie musi przecież świadczyć skala kolorów.

- Czy pan komisarz czegoś się napije? - spytała.

- Nie, dziękuję - powiedział Wallander. - Będę się streszczał.

Popatrzyła gdzieś obok niego. Odwrócił się. Do pokoju bezgłośnie weszła córka i usiadła na krześle w głębi. Palila, wyglądała na zdenerwowaną.

- Mogę posłuchać? - spytała tonem, który Wallander odebrał jako agresywny.

- Oczywiście - powiedział. - Proszę usiąść z nami.

- Tu mi dobrze.

Jej matka ledwie zauważalnie pokręciła głową, jakby w ten sposób chciała wyrazić uczucie rezygnacji wobec własnej córki.

- Przyjechałem tutaj dlatego, że dzisiaj, w niedzielę, trudno zdobyć informacje z różnych rejestrów i archiwów. A chcemy jak najszybciej uzyskać odpowiedzi na nasze pytania.

- Nie musi się pan tłumaczyć tym, że jest niedziela - powiedziała kobieta. - Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy pani mąż siedział w więzieniu wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku?

Odpowiedziała szybko i stanowczo.

- Siedział na Langholmen od dziewiątego lutego do ósmego czerwca. Sama go tam zawiozłam i przywiozłam. Został skazany za paserstwo i malwersacje.

Jej szczerość sprawiła, że Wallander przez moment stracił wątek. A czego się

właściwie spodziewał? Że zaprzeczy? - Czy po raz pierwszy został skazany na karę więzienia?

- Pierwszy i ostatni.

- Za paserstwo i malwersacje?

- Tak.

- Może pani powiedzieć coś więcej?

- Został skazany, mimo że się nie przyznał. Nie miał żadnych kradzionych obrazów ani nie sfalszował żadnych czeków. Inni posłużyli się jego nazwiskiem.

- Myśli pani, że był niewinny?

- Nie ma znaczenia, co ja myślę. Mąż był niewinny. Wallander zmienił temat.

- Pojawiły się informacje, z których wynika, że pani mąż znał Gustafa Wetterstedta. Mimo że i pani, i pani dzieci twierdzicie co innego.

- Gdyby znał Gustafa Wetterstedta, wiedziałabym o tym.

- Czy mógł się z nim kontaktować bez pani wiedzy?

- To mało prawdopodobne - odpowiedziała po namyśle.

Wallander od razu wyczuł, że nie mówi prawdy. Nie bardzo jednak wiedział, jak ma to zinterpretować. Ponieważ nie miał więcej pytań, wstał.

- Chyba pan trafi do drzwi - powiedziała, nagle bardzo zmęczona.

Kiedy przechodził obok siedzącej na krześle i obserwującej każdy jego ruch córki, ta się podniosła i stanęła przed nim. Z papierosem w dłoni.

Policzek, jaki mu wymierzyła, pojawił się znikąd. Siarczysty policzek. Wallander był tak zaskoczony, że się cofnął i przewrócił.

- Dlaczego do tego dopuściliście?! - krzyknęła.

I zaczęła go bić. Próbując się podnieść, z trudem trzymał ją na dystans. Wtedy wdowa przyszła mu na odsiecz. Mocno uderzyła córkę w twarz. Kiedy ta się uspokoiła, zaprowadziła ją na kanapę i podeszła do Wallandera. Stał z piekącym policzkiem, miotany sprzecznymi uczuciami, od wściekłości do zdumienia.

- Bardzo jest przygnębiona rym, co się stało - wyjaśniła Anita Carlman. - Straciła panowanie nad sobą. Proszę jej wybaczyć.

- Może powinna się skontaktować z lekarzem - powiedział Wallander lekko drżącym głosem.

- Już to zrobiła.

Skinął głową i wyszedł. Zszokowany tym nieoczekiwanym policzkiem, próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mu się coś podobnego przytrafiło.

Przeszło dziesięć lat temu. Przesłuchiwał człowieka podejrzanego o włamanie. Nagle tamten zerwał się od stołu i uderzył go pięścią w twarz. Wtedy Wallander oddał. Był tak wściekły, że złamał mu nos. Mężczyzna oskarżył go o pobicie, ale, rzecz jasna, Wallander został uniewinniony. Potem złożył doniesienie do rzecznika praw obywatelskich, ale nawet go nie rozpatrywano.

Nigdy dotąd nie uderzyła go kobieta. W chwilach niehamowanej złości jego eks-żona ciskała w niego różnymi przedmiotami. Ale nigdy go nie uderzyła. Często myślał z niepokojem, co by było, gdyby to zrobiła. Czyby oddał? Wiedział, że to bardzo prawdopodobne.

Stał w ogrodzie i trzymał się za policzek. Jakby uszła z niego cała energia, jaką czuł rano, kiedy w drzwiach jego mieszkania pojawiła się Linda w towarzystwie przyjaciółki. Był zanadto zmęczony, żeby zachować ten zastrzyk sił.

Poszedł do samochodu. Policjant likwidował blokadę. Włożył kasetę z Weselem Figura. Nastawił tak głośno, aż zadudniło. Policzek ciągle piekł. Zobaczył we wstecznym lusterku, że jest czerwony. W Ystadzie zatrzymał się na dużym parkingu przed zamkniętym domem meblowym, otworzył drzwi i słuchał muzyki. Barbara Hendricks pozwoliła mu na chwilę zapomnieć o Wetterstedcie i Carlmanie. Tylko płonąca dziewczyna nadal nie opuszczała jego świadomości. Pole rzepaku wydawało się nie mieć końca. Biegła i biegła. I płonęła, płonęła.

Przyciszył muzykę i krążył po parkingu. Myśląc, jak zawsze spuścił głowę. Dlatego nie zauważył fotografa, który przypadkiem go wypatrzył i robił mu zdjęcia, kiedy Wallander chodził po kratkach parkingu, na którym tego letniego dnia nie było żadnych samochodów. Kilka tygodni później Wallander ze zdumieniem zobaczył swoje zdjęcie. Zdążył już zapomnieć, że się tam w ogóle zatrzymał, żeby spokojnie pomyśleć o śledztwie.

W tę niedzielę spotkali się o drugiej na bardzo krótko. Mats Ekholm podsumował to wszystko, o czym wcześniej rozmawiał z Hanssonem i Wallanderem. Ann-Britt Hóglund omówiła anonimowy faks, a Wallander poinformował, że Anita Carlman potwierdziła zawarte w nim informacje. Ani słowem nie wspomniał o policzku. Na ostrożne pytanie Hanssona, czy nie porozmawiałby z zebranymi przed komendą dziennikarzami, którzy zawsze skądś wiedzieli o spotkaniach grupy dochodzeniowej, odpowiedział odmownie.

- Musimy ich nauczyć, że pracujemy zespołowo - powiedział, czując, jak to górnolotnie brzmi. - Ann-Britt może się nimi zająć. Ja nie chcę.

- Czy czegoś mam nie mówić? - spytała.

- Tego, że mamy podejrzanego. Bo to nieprawda. Po zebraniu Wallander zamienił parę słów z Martinssonem.

- Czy przyszło więcej danych o dziewczynie, która się spaliła? - spytał.

- Jeszcze nie.

- Informuj mnie na bieżąco. Wallander poszedł do siebie. Zadzwoił telefon. Drgnął. Ile razy teraz dzwonił, zawsze myślał, że to z operacyjnego z wiadomością o kolejnym morderstwie. Zadzwoiła siostra. Rozmawiała z Gertrudą, była opiekunką ojca, a obecną żoną, i dowiedziała się, że ojciec cierpi na Alzheimera. Była smutna.

- Niedługo skończy osiemdziesiąt lat - powiedział na pocieszenie. - Prędzej czy później coś się musi stać.

- Ale mimo to...

Dobrze wiedział, co ma na myśli. Mógłby powiedzieć to samo. Zbyt często przestawało się na bezsilnym „ale minio to”.

- Nie będzie miał sił na podróż do Włoch - stwierdziła.

- Jeśli zechce, to oczywiście będzie je miał. Poza rym mu obiecałem.

- Może ja też powinnam pojechać?

- Nie. To nasza podróż. Jego i moja.

Zakończył rozmowę, niepewny, czy się nie obraziła, że sobie nie życzył jej towarzystwa. Ale odpędził te myśli i zdecydował, że teraz nareszcie pojedzie do ojca. Odszukał kartkę z numerem telefonu do Lindy i zadzwonił. Nie spodziewał się, że ją zastanie w domu w taki ładny dzień, i zdziwił się, słysząc głos Kajsy. Zapytał Linde, czy mogłaby się wyrwać z próby i pojechać z nim do dziadka.

- Czy możemy zabrać Kajkę?

- Możemy, ale nie dzisiaj. Dzisiaj wolałbym, żebyśmy pojechali tam tylko we dwoje. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Pół godziny później zabrał ją z Ósterportstorg. W drodze do Loderupu opowiedział jej o wizycie ojca w komendzie i o jego chorobie. - Nikt nie wie, jak szybko się to rozwinie - powiedział. - W każdym razie on od nas odchodzi. Jak niknący na horyzoncie okręt. My będziemy go widzieć wyraźnie, a on nas jak we mgle. Nasz wygląd, nasze słowa, nasze wspólne wspomnienia - wszystko będzie się rozmywać, aż w końcu zniknie. Może być złośliwy, nie zdając sobie z tego sprawy. Może być całkiem innym człowiekiem.

Linda posmutniała.

- Czy nie można nic zrobić? - spytała po długim milczeniu.

- Tylko Gertruda zna odpowiedź. Ale chyba nie ma na to żadnych lekarstw.

Opowiedział o podróży do Włoch.

- Tylko on i ja. Może nareszcie wszystko sobie wyjaśnimy.

Gertruda stała na schodkach, kiedy wjechali na podwórze. Linda poszła do dziadka, który malował w atelier, urządzonej w starej części obory. Wallander usiadł w kuchni i rozmawiał z Gertrudą. Było tak, jak myślał. Nic nie można zrobić, trzeba próbować żyć jak dawniej i czekać.

- Czy będzie miał siły na podróż do Włoch? - spytał.

- O niczym innym nie mówi. Gdyby nawet tam umarł, nie byłoby to wcale najgorsze.

Powiedziała, że przyjął wiadomość o chorobie z dużym spokojem. Wallander się zdumiał, bo ilekroć ojcu cokolwiek dolegało, był uciążliwy.

- On chyba dogonił swój wiek - powiedziała Gertruda. - Myśli, że gdyby miał jeszcze jedną szansę, przeżyłby swoje życie tak samo.

- Na pewno by nie dopuścił do tego, żebym został policjantem.

- To straszne, co czytam w gazetach. Straszne, czym musisz się zajmować. - Ktoś to musi robić - powiedział Wallander. - Tak po prostu jest.

Zostali na obiedzie, który jedli w ogrodzie. Ojcu cały czas dopisywał humor. Wallander podejrzewał, że to zasługa Lindy. Kiedy wracali do domu, była jedenasta.

- Dorośli bywają tacy dziecinni - powiedziała nagle. - Czasami udają. Czasami chcą uchodzić za młodszych, niż są. Ale dziadek jest autentycznie dziecinny.

- Twój dziadek jest wyjątkowy. Zawsze taki był.

- Wiesz, że zaczynasz go przypominać? Z każdym rokiem jesteś coraz bardziej podobny.

- Wiem - przyznał Wallander. - Ale nie wiem, czy mi się to podoba.

Zostawił ją tam, skąd ją zabrał. W najbliższych dniach miała do niego zadzwonić. Patrzył, jak znika za szkołą, i ku własnemu zdumieniu uświadomił sobie, że przez cały wieczór nie poświęcił ani jednej myśli trwającemu śledztwu. Natychmiast opadły go wyrzuty sumienia. Ale na krótko. Wiedział, że zrobił wszystko, co mógł.

Na chwilę wpadł do komendy. Z dochodzeniówki nie było nikogo. Nikt też nie zostawił dla niego żadnej ważnej wiadomości, która wymagałaby natychmiastowego działania. Pojechał do domu.

Długo siedział tej nocy. Przez otwarte okna wpadało ciepłe letnie powietrze. Słuchał Pucciniego. Nalał do kieliszka resztki whisky. Po raz pierwszy odnalazł w sobie radość podobną do tej, jaką odczuwał tego popołudnia, kiedy jechał do Salomonssona. Zanim wydarzyło się nieszczęście. Teraz prowadził śledztwo, które miało dwie podstawowe cechy. Po pierwsze, mieli bardzo mało śladów umożliwiających identyfikację sprawcy. Po drugie, mogło być tak, że w tym momencie dokonuje trzeciego morderstwa. Mimo to Wallander uznał, że tej nocy może zapomnieć o śledztwie. Przez chwilę nie nękała go nawet płonąca dziewczyna. W końcu nie sam jeden walczy ze wszystkimi przestępstwami w okręgu ystadzkim. Nie mógł zrobić więcej. Nikt nie mógł.

Położył się na kanapie i drzemał przy muzyce z kieliszkiem whisky w zasięgu ręki.

I znowu coś go ściągnęło na ziemię. Coś, o czym wspomniała Linda w samochodzie. Kilka słów podczas rozmowy, które nagle nabrały innego znaczenia. Usiadł na kanapie. Zmarszczył czoło. Co ona takiego powiedziała? Że dorośli bywają tacy dziecinni. Było w tym coś, co nie do końca rozumiał. Dorośli bywają tacy dziecinni.

Wreszcie sobie uświadomił, co to było. Jak mógł być taki lekkomyślny. Włożył buty, z szuflady w kuchni wziął latarkę i wyszedł z mieszkania. Pojechał Ósterleden, skręcił w prawo i zatrzymał się przed ciemną willą Wetterstedta. Otworzył furtkę do ogrodu. Drgnął. Wśród krzaków porzeczek przemknął jak cień kot. Oświetlał latarką ścianę garażu. Nie musiał długo szukać. Podniósł podarte kartki komiksu i poświecił. Z „Fantoma”. Włożył je do torebki foliowej.

Potem pojechał do domu, ciągle zirytowany swoim niedbalstwem. Powinien był wiedzieć lepiej. Dorośli są jak dzieci.

Dorośli mężczyzna mógł równie dobrze siedzieć na dachu garażu i czytać „Fantoma”.

Wallander obudził się wcześniej rano. Tuż przed piątą nad Ystad nasunęła się od zachodu gruba warstwa chmur. Był poniedziałek, 27 czerwca. Jeszcze nie padało. Wallander leżał w łóżku i bezskutecznie usiłował zasnąć. Przed szóstą wstał, wziął prysznic i napił się kawy. Zmęczenie i brak snu dokuczały mu jak ćmiący ból. Z utęsknieniem pomyślał o czasach, kiedy był dziesięć, piętnaście lat młodszy i nie wiedział, co to znaczy poranne zmęczenie. Te czasy minęły bezpowrotnie.

Za pięć siódma wszedł do komendy. Ebba już była i z uśmiechem przekazała

mu kilka kartek z telefonami.

- Myślałem, że masz urlop - zdziwił się Wallander.

- Hansson mnie poprosił, żebym jeszcze kilka dni została. Kiedy tyle się dzieje.

- Jak ręka?

- Tak, jak mówiłam. Starość to nic przyjemnego. Wtedy wszystko jest do dupy. Wallander nie pamiętał, żeby Ebba kiedykolwiek wyraziła się równie dosadnie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien jej opowiedzieć o swoim ojcu i jego chorobie. Ale dał temu spokój. Przyniósł sobie kawę i usiadł za biurkiem. Przejrzał kartki z telefonami, położył je na kupce, którą dostał poprzedniego dnia wieczorem, po czym podniósł słuchawkę i zadzwonił do Rygi. Natychmiast opadły go wyrzuty sumienia, bo była to rozmowa prywatna, a on starym zwyczajem nie lubił naciągać firmy na pokrywanie jego wydatków. Pomyślał o sytuacji sprzed kilku lat, kiedy Hansson oszalał na punkcie koni. Godzinami wydzwaniał do wszelkich możliwych torów wyścigowych w poszukiwaniu najświeższych, poufnych informacji. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nic nie mówił. Wallander był zdumiony, że tylko on jeden uznał, że ktoś powinien o tym z Hanssonem porozmawiać. I któregoś dnia wszystkie programy wyścigów i do połowy wypełnione kupony nagle zniknęły z jego biurka. Wallandera doszły słuchy, że Hansson całkiem zwyczajnie postanowił z tym skończyć, zanim po uszy wpadnie w długie. Bajba odebrała po trzecim sygnale. Wallander był zdenerwowany. Ilekroć ze sobą rozmawiali, zawsze miał wrażenie, że nie będzie się już chciała z nim spotykać. Był w takim samym stopniu niepewny jej uczuć, jak był pewny swoich. Teraz, sądząc z jej głosu, była zadowolona. Udzieliło mu się jej zadowolenie. Decyzję o wyjeździe do Tallina podjęła bardzo szybko. Przyjaciółka zaproponowała jej tę podróż. W tym tygodniu nie miała akurat żadnych zajęć na uniwersytecie, a praca przekładowa nie była szczególnie pilna. Pokrótce opowiedziała mu o podróży i spytała, co słyhać w Ystadzie. Wallander postanowił na razie nic nie mówić o tym, że ich wspólna wyprawa do Skagenu stoi pod znakiem zapytania z powodu ostatnich wydarzeń. Powiedział, że wszystko jest w porządku, i obiecał, że się do niej odezwie tego samego dnia wieczorem.

Siedział z ręką na słuchawce. Już teraz zaczął się niepokoić, jak ona zareaguje, jeśli będzie musiał przelożyć urlop. Ta cecha jego charakteru z wiekiem coraz bardziej się nasilała. Przejmował się na zapas. Niepokoił się, że pojechała do Tallina, martwił się, że dopadnie go jakaś choroba, martwił się, że zaśpi albo że popsuje mu się samochód. Sam sobie fundował czarne chmury. Z grymasem pomyślał, czy Mats

Ekholm nie mógłby sporządzić jego portretu psychologicznego i doradzić, jak się tego pozbyć.

W dalszych rozmyślaniach przeszkodził mu Svedberg. Zapukał do półotwartych drzwi i wszedł. Dzień wcześniej przesadził ze słońcem, łysina, czoło i nos połyskiwały czerwienią.

- Nigdy się nie nauczę - mruknął Svedberg ponuro. - Piecze jak cholera.

Wallander pomyślał o swoim piekącym policzku, ale nic nie powiedział. - Wczorajszy dzień poświęciłem na rozmowy z sąsiadami Wetterstedta - poinformował Svedberg. - Okazało się, że Wetterstedt często chodził na spacer. Rano i wieczorem. Zawsze był uprzejmy i witał się z tymi, których spotykał. Ale z nikim z sąsiedztwa nie utrzymywał żadnych kontaktów.

- Miał więc zwyczaj spacerować wieczorem? Svedberg zajrzał do notatek.

- Chodził na plażę.

- Taki miał zwyczaj.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, tak. Wallander skinął głową.

- Tak myślałem.

- Wyszła na jaw jeszcze jedna ciekawa sprawa - kontynuował Svedberg. - Emerytowany szef kancelarii w gminie, niejaki Lantz, twierdzi, że w poniedziałek, dwudziestego czerwca, zadzwonili do jego drzwi ludzie z jakiejś gazety i spytali, jak trafić do Wetterstedta. Lantz zrozumiał, że chcieli zrobić o nim reportaż. Znaczyłoby to, że ktoś był w jego willi w ostatnim dniu jego życia.

- I że są zdjęcia - dodał Wallander. - Jaka to była gazeta?

- Lantz nie wiedział.

- Posadź kogoś, niech podzwoni. To może być ważne. Svedberg skinął głową i ruszył do drzwi.

- Powinieneś sobie posmarować tę opaleniznę - poradził Wallander. - Nie wygląda to dobrze.

Kiedy Svedberg wyszedł, Wallander zadzwonił po Nyberga. Kilka minut później Nyberg zjawił się u niego i zabrał wyrwane kartki „Fantoma”.

- Nie wydaje mi się, żeby przyjechał na rowerze - powiedział Nyberg. - Ślady za barakiem wskazują na motorower albo motocykl. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy z zarządu dróg, którzy korzystają z baraku, mają samochody. Wallanderowi coś zaświtało w głowie, ale nie potrafił tego sprecyzować. Zapisał w notatniku słowa Nyberga.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał Nyberg, trzymając w ręku torebkę z kartkami komiksu.

- Zbadaj odciski palców. Może się pokrywają z innymi.

- Myślałem, że tylko dzieci czytają „Fantoma”.

- Nie. Mylisz się.

Kiedy Nyberg poszedł, Wallander przez chwilę się zastanawiał, co dalej. Nauczył się od Rydberga, że policjant zawsze musi wybrać to, co w danej chwili najważniejsze. Ale co jest najważniejsze? Na tym etapie śledztwa wszystko jest mętne i o niczym nie da się z całą pewnością powiedzieć, że jest najważniejsze. Wiedział, że trzeba się zdać na cierpliwość.

Wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi pokoju, który udostępnił Matsowi Ekholmowi. Ekholm siedział z nogami na biurku i coś czytał. Wskazał na krzesło dla gości i rzucił papiery na stół.

- Jak idzie? - spytał Wallander.

- Źle - radośnie odparł Ekholm. - Trudno tę osobę osaczyć. Szkoda, że nie mamy więcej materiału.

- Czyli powinien popełnić więcej morderstw?

- Mówiąc wprost, to by ułatwiło zadanie. Z amerykańskich badań dotyczących seryjnych morderców wynika, że przełom w śledztwie często następuje przy trzecim lub czwartym zabójstwie. Wtedy można odrzucić to, co przypadkowe, i zacząć budować jeden wzór. Bo szukamy wzoru, który posłużyłby jako lustro pozwalające dostrzec kryjący się za tym wszystkim mózg.

- Co można powiedzieć o dorosłych, którzy czytają komiksy? - spytał Wallander. Ekholm uniósł brwi.

- Czy ma to coś wspólnego z tą sprawą? - Może.

Wallander opowiedział o swoim wczorajszym odkryciu. Ekholm słuchał w skupieniu.

- Ludzi, którzy dopuszczają się seryjnych przestępstw, niemal zawsze cechuje niedojrzałość emocjonalna albo emocjonalna deformacja - powiedział Ekholm. - Są pozbawieni zdolności identyfikowania się z obcym systemem wartości. Dlatego nie reagują na cierpienie, jakie zadają innym ludziom.

- Nie wszyscy dorośli, którzy czytają „Fantoma”, zabijają - zauważył Wallander.

- Znane są przykłady seryjnych morderców, specjalistów od Dostojewskiego. Trzeba położyć jeden puzzel i zobaczyć, czy gdzieś pasuje. A może jest z całkiem innej

układanki.

Wallander zaczął się niecierpliwić. Nie miał czasu na wdawanie się w rozwlekłe dyskusje.

- Zapoznałeś się z materiałem - powiedział. - Jakie wyciągasz z niego wnioski?

- Właściwie tylko jeden. Że znowu zaatakuje. Wallander czekał na ciąg dalszy, ale się nie doczekał.

- Dlaczego?

- Jest coś w obrazie ogólnym. Mogę to uzasadnić tylko doświadczeniem. I porównaniem z innymi łowcami trofeów.

- Co widzisz? - spytał Wallander. - Powiedz, o czym w tej chwili myślisz. Cokolwiek. Bez żadnych zobowiązań.

- Widzę dorosłego mężczyznę - zaczął Ekholm. - Biorąc pod uwagę wiek ofiar i jego związek z ofiarami, sądzę, że ma co najmniej trzydzieści lat. Przepuszczalnie więcej. Ewentualne identyfikowanie się z mitem, może z Indianinem, odsyła do świetnej kondycji fizycznej. Jest jednocześnie ostrożny i zuchwały. Czyli wyrachowany. Myślę, że prowadzi regularny tryb życia. Wewnętrzzną dramaturgię ukrywa pod niedramatyczną normalnością. - I znowu zaatakuje? Ekholm rozłożył ręce.

- Obym się mylił. Ale proszę mnie o podzielenie się swoimi myślami.

- Carlmana zabił w trzy dni po zabójstwie Wetterstedta. Jeśli będzie się trzymał takich przerw, to dzisiaj znowu kogoś zabije.

- Absolutnie nie musi. Ponieważ jest wyrachowany, czas nie odgrywa decydującej roli. Zaatakuje, kiedy będzie pewien powodzenia. Naturalnie, że może się coś stać i dzisiaj. Ale równie dobrze może zaatakować za kilka tygodni. Albo za kilka lat.

Wallander nie miał więcej pytań. Poprosił Ekholma, żeby przyszedł na zebranie ich grupy. Wrócił do siebie i czuł rosnącą niechęć do tego, co usłyszał. Mężczyzna, którego szukają i o którym nic nie wiedzą, znowu zaatakuje.

Przysunął notatnik z zapisanymi słowami Nyberga i próbował przywołać mglisty obraz, które mu wtedy przemknął przez głowę. Czuł, że to ważne. Był pewien, że miało związek z barakiem. Ale sobie nie przypomniał.

Chwilę później poszedł na zebranie. Bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu Rydberga.

Usiadł tam gdzie zawsze, u szczytu stołu, i rozejrzał się. Byli wszyscy. Od razu

wyczuł ten szczególny rodzaj skupienia, jakie pojawiało się wówczas, kiedy wszyscy mieli nadzieję na przełom w śledztwie. Wallander wiedział, że będą rozczarowani. Ale tego po sobie nie okażą. Zebrani tutaj policjanci mieli klasę.

- Omówimy to, co się wydarzyło podczas ostatniej doby w naszym skalpowym śledztwie - zaczął.

Nie chciał powiedzieć „skalpowe śledztwo”, po prostu mu się wysnęło. Ale od tej chwili nie będą o tym śledztwie mówić inaczej. Wallander zazwyczaj składał swój raport na końcu, co głównie brało się stąd, że wszyscy czekali na jego podsumowanie i dalsze dyspozycje. Było czymś naturalnym, że pierwsza zabierała głos Ann-Britt Hóglund. Faks ze sklepu z artykułami metalowymi Skoglunda okrążył stół. W centralnym rejestrze więziennym sprawdzono zamieszczone w nim informacje, które potwierdziła Anita Carlman. Najtrudniejsze było jednak przed nimi. Musieli zdobyć potwierdzenie nadania przez Carlmana listów do Wetterstedta, a najlepiej ich kopie.

- Problem polega na tym, że to było dawno - zakończyła. - Mimo że rejestry i archiwa są dobrze prowadzone, dokopanie się do dokumentów sprzed ponad dwudziestu pięciu lat zajmie dużo czasu. Poza tym wtedy nie obsługiwały tego jeszcze komputery, nie w pełni.

- Ale musimy kopać - powiedział Wallander. - Związek między Wetterstedtem i Carlmanem ma decydujące znaczenie dla naszych dalszych działań.

- Dlaczego ten mężczyzna, który zadzwonił - odezwał się Svedberg, pocierając spalony słońcem nos - nie chciał się przedstawić? Kto się włamuje, żeby wysłać faks?

- Myślałam o tym - przyznała Ann-Britt Hóglund. - Najwyraźniej chciał nas ukierunkować. A chęć zachowania anonimowości może naturalnie wpływać z wielu powodów. Choćby z takiego, że się boi.

W pokoju zapanowała cisza.

Wallander uznał, że Ann-Britt Hóglund rozumuje prawidłowo. Skinął głową, żeby kontynuowała.

- To, rzecz jasna, tylko hipoteza. Ale założmy, że czuje się zagrożony przez mordercę Wetterstedta i Carlmana. Jest więc żywotnie zainteresowany tym, żebyśmy schwytali sprawcę.

- Jeśli tak, to powinien być bardziej precyzyjny - wtrącił Martinsson. - Może nie mógł - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Jeśli się słusznie domyślam, że się z nami skontaktował ze strachu, to przypuszczalnie powiedział wszystko, co wie.

Wallander podniósł rękę.

- Myślmy dalej - powiedział. - Mężczyzna przekazuje nam wiadomości, które dotyczą Carlmana, nie Wetterstedta. To istotne. Twierdzi, że Carlman pisał listy do Wetterstedta i że kiedy Carlman wyszedł z więzienia, obaj panowie się spotkali. Kto może być w posiadaniu takich informacji?

- Współwięzień - rzuciła Ann-Britt Hóglund.

- Też tak pomyślałem - przyznał Wallander. - Ale w tej sytuacji upada twoja hipoteza, że jego kontakt z nami był podyktowany strachem. Jeśli mamy do czynienia z przypadkowym współwięźniem.

- Jest jednak ciąg dalszy - stwierdziła Ann-Britt Hóglund. - Skoro on wie o tym, że ci dwaj spotkali się wtedy, kiedy Carlman wyszedł z więzienia, to znaczy, że kontakt się nie urwał.

- Mógł być świadkiem czegoś - odezwał się do tej pory milczący Hansson. - I z jakiegoś powodu, dwadzieścia pięć lat później, giną dwie osoby.

Wallander zwrócił się do Matsa Ekholma, który siedział osobno, przy dłuższym boku stołu:

- Dwadzieścia pięć lat to kawał czasu.

- W wypadku zemsty okres inkubacyjny może trwać nieskończenie długo - stwierdził Ekholm. - W procesach psychicznych nie ma przedawnienia. Jedną z najstarszych prawd kryminologii powiada, że mściciel może czekać w nieskończoność. Jeśli rzeczywiście chodzi tu o zemstę.

- A o cóż by innego? - spytał Wallander. - Możemy wykluczyć przestępstwo na tle rabunkowym. Z dużym prawdopodobieństwem w wypadku Gustafa Wetterstedta, a na pewno w wypadku Carlmana. - Na motyw może się składać wiele czynników - odparł Ekholm. - Zdarza się, że czysta żądza mordu wynika z motywu, który wydaje się nie istnieć. Seryjny zabójca wybiera swoje ofiary, kierując się logiką niezrozumiałą dla innych i pozornie pozbawioną związków przyczynowo-skutkowych. W wypadku skalpów możemy zapytać, czy sprawcy nie chodzi na przykład o szczególny gatunek włosów. Sądząc ze zdjęć, Wetterstedt i Carlman mieli podobne, gęste siwe czupryny. Niczego nie możemy wykluczyć. Ale jako laik w sprawach dotyczących metod śledczych, zgadzam się, że rzeczą najważniejszą powinno być uchwycenie punktu styczności.

- A czy nie może być tak, że się całkowicie mylimy? - odezwał się nagle Martinsson. - Że dla sprawcy między Wetterstedtem i Carlmanem istnieje wyłącznie związek symboliczny? My się przekopujemy przez rzeczywiste sytuacje i jego

symboliczne powiązania są dla nas niewidoczne. Niewyobrażalne, wykraczające poza zdolności naszego racjonalnego myślenia.

Wallander wiedział, że Martinsson potrafi obrócić śledztwo dokoła własnej osi, żeby je potem ustawić na właściwym torze.

- Masz coś na myśli - powiedział. - Mów dalej. Martinsson wzruszył ramionami, jakby się chciał wycofać.

- Wetterstedt i Carlman byli bogaci - podjął. - Obaj należeli do wyższych sfer. Obaj stanowili symbole władzy politycznej i ekonomicznej.

- Doszukujesz się motywu o podłożu terrorystycznym? - zdziwił się Wallander.

- Niczego się nie doszukuję. Słucham, co mówicie, i próbuję myśleć. Martwię się tak jak wszyscy, że on znowu zaatakuje.

Wallander popatrzył na siedzących wokół stołu. Błede, poważne twarze. Nie licząc spalonego słońcem, czerwonego oblicza Svedberga. Dopiero teraz sobie uświadomił, że nie tylko on odczuwa niepokój. Nie tylko on obawia się kolejnego telefonu.

Skończyli zebranie tuż przed dziesiątą. Wallander poprosił Martinssona, żeby został.

- Co z dziewczyną? - spytał. - Z Dolores Marią Santaną?

- Czekam na odpowiedź z Interpolu.

- Wyślij ponaglenie.

Martinsson popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Czy naprawdę mamy na to czas?

- Nie mamy, ale to nie może leżeć.

Martinsson obiecał wysłać ponaglenie. Wallander poszedł do siebie i zadzwonił do Larsa Magnussona. Długo musiał czekać. Lars Magnusson był pijany.

- Chciałbym kontynuować naszą rozmowę - powiedział.

- Dzwonisz za późno. O tej porze dnia nie prowadzę żadnych rozmów.

- Zrób kawę - zaordynował Wallander. - I usuń butelki. Będę w ciągu pół godziny.

Odłożył słuchawkę, nie przyjmując do wiadomości protestów Larsa Magnussona. Potem przejrzał wstępne protokoły obdukcji, które ktoś położył mu na biurku. Z upływem czasu opanował sztukę czytania tych mało zrozumiałych opisów, sporządzanych przez patologów i lekarzy sądowych. Kilka lat temu był na kursie w Uppsali, zorganizowanym przez główny zarząd policji, i ciągle pamiętał o bardzo

nieprzyjemnych wrażeniach z bytności w sali obdukcyjnej.

W protokołach nie znalazł nic zaskakującego. Odłożył je i patrzył przez okno. Próbował sobie wyobrazić sprawcę. Jak on wygląda? Co w tej chwili robi? Obraz był pusty. Wallander patrzył w ciemność. Zniechęcony, wstał i wyszedł. Mieszkanie Larsa Magnussona opuścił po przeszło dwóch godzinach bezowocnych prób nawiązania sensownej rozmowy. Myślał głównie o tym, żeby pojechać do domu i poleżeć w wannie. Kiedy poprzednio był u Magnussona, nie zauważył starego, wrośniętego brudu. Porażająca ruina. Zastał uchylone drzwi wejściowe, Magnusson leżał na kanapie, w kuchni kipiała kawa. Na powitanie posłał Wallandera do wszystkich diabłów. Niech się tu więcej nie pokazuje i zapomni o istnieniu Larsa Magnussona. Ale Wallander został. Kipiąca kawa świadczyła o tym, że Magnusson mimo wszystko wziął pod uwagę możliwość odstąpienia od swojego zwyczaju nierozmawiania z ludźmi w środku dnia. Wallander bez skutku szukał czystych filiżanek. W zlewie piętrzyły się talerze z zaschniętymi, przypominającymi osobliwe skamieliny, resztkami jedzenia. W końcu znalazł dwie brudne filiżanki, umył je i zaniósł do pokoju. Magnusson miał na sobie tylko brudne krótkie spodenki. Nieogolony, kurczowo obejmował butelkę deserowego wina, jakby to był krucyfiks. Zrobiło to na Wallanderze przykre wrażenie. Z niesmakiem zauważył, że Larsowi Magnussonowi zaczynają wypadać zęby. Leżał na kanapie i nie słuchał, co się do niego mówi. Wallander najpierw się zirytował, a potem wkurzył, wyrwał mu butelkę i zażądał odpowiedzi na swoje pytania. Nie wiedział, na jaki autorytet się powołuje, w każdym razie poskutkowało. Lars Magnusson podniósł się do pozycji siedzącej. Wallander chciał lepiej poznać tamte czasy, kiedy Gustaf Wetterstedt był ministrem sprawiedliwości i krążyły o nim skandaliczne pogłoski. Ale Lars Magnusson o wszystkim zapomniał. Nie pamiętał, co mówił podczas pierwszej wizyty Wallandera. Co nieco mu się przypomniało, kiedy Wallander oddał mu butelkę.

Wyszedł z mieszkania Larsa Magnussona, uzyskawszy tylko jedną ciekawą informację. W nagłym przebłysku świadomości Magnusson przypomniał sobie, że pewien policjant ze sztokholmskiego wydziału oszustw bardzo się interesował Gustafem Wetterstedtem. W dziennikarskim światku chodziły słuchy, że Hugo Sandin, policjant, którego nazwisko Magnusson nie bez trudu sobie przypomniał, miał swoje prywatne archiwum z materiałami o Wetterstedcie. Nic jednak zdaniem Magnussona z tego archiwum nie wypłynęło. Słyszał, że Hugo Sandin, już na emeryturze, przeprowadził się na południe kraju i mieszka pod Hassleholmem z

synem, który trudni się garncarstwem.

- Jeśli jeszcze żyje - dodał Lars Magnusson i uśmiechnął się bezzębny uśmiechem, jakby miał nadzieję, że Hugo Sandin przeszedł na drugi brzeg przed nim.

Wallander postanowił mimo wszystko sprawdzić, czy Hugo Sandin żyje. Zastanawiał się, czy nie powinien najpierw pojechać do domu, żeby zmyć z siebie odór stęchlizny, jakim przesiąkł w mieszkaniu Magnussona. Była pierwsza. Nie czuł głodu, chociaż zjadł byle jakie śniadanie. Wybrał komendę. Chciał natychmiast zweryfikować informację Magnussona. W recepcji natknął się na Svedberga, który nadal cierpiał z powodu poparzonej słońcem twarzy.

- Z Wetterstedtem robiła wywiad dziennikarka z „Maga Zenitu” - powiedział Svedberg.

Wallander nigdy nie słyszał o takim czasopiśmie.

- Rozmawia ze wszystkimi emerytami - kontynuował Svedberg. - Nazywa się Anna-Lisa Blomgren. Był z nią fotograf. Ponieważ Wetterstedt nie żyje, nie opublikują tego materiału. - Skontaktuj się z nią. I poproś fotografa o zdjęcia.

Wallander poszedł do siebie. W trakcie krótkiej rozmowy ze Svedbergiem przypomniał sobie, że natychmiast musi coś sprawdzić. Zadzwoił do centrali i poprosił o odszukanie Nyberga.

Kwadrans później Nyberg się odezwał.

- Pamiętasz, w willi Wetterstedta dałem ci torbę z aparatem fotograficznym - zaczął Wallander.

- Jasne, że pamiętam - odburknął Nyberg.

- Chciałbym tylko wiedzieć, czy film został wywołany. Było tam bodaj siedem zdjęć.

- Nie dostałeś ich? - zdumiał się Nyberg.

- Nie.

- Mieli ci podesłać w sobotę.

- Nie dostałem.

- Jesteś pewien?

- Gdybym dostał, to chyba by tu gdzieś były, prawda?

- Zaraz sprawdzę i oddzwonię.

Wallander odłożył słuchawkę z uczuciem, że za chwilę Nyberg wyładuje na kimś swoją złość. Był zadowolony, że nie na nim.

Odszukał numer policji w Hassleholmie i nie bez kłopotów udało mu się

dopaść intendenta, od którego dostał numer telefonu do Hugona Sandina. Dowiedział się przy okazji, że Sandin ma około osiemdziesięciu pięciu lat i jasny umysł.

- Odwiedza nas kilka razy do roku - poinformował intendent Mórk.

Wallander zapisał numer i podziękował za pomoc. Potem zadzwonił do Malmö. Miał szczęście, od razu połączył się z lekarzem, który robił obdukcję zwłok Wetterstedta.

- W protokole nie ma ani słowa o czasie zgonu - powiedział Wallander. - To dla nas ważne. Lekarz poszedł po papiery. Minutę później był z powrotem.

- Przepraszam, rzeczywiście nie ma. Czasami nawala mi dyktafon. W każdym razie Wetterstedt, kiedy go znaleziono, nie żył od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Ciągłe czekamy na wszystkie wyniki badań z laboratorium, które pozwolą na dokładniejsze ustalenie momentu śmierci.

- My też czekamy - powiedział Wallander i podziękował za informacje.

Potem poszedł do Svedberga, który coś stukał na komputerze.

- Rozmawiałeś z tą dziennikarką?

- Właśnie to spisuję.

- Masz jakieś godziny?

Svedberg zajął do notatki. -

- Przyszli do Wetterstedta o dziesiątej. I zostali do pierwszej.

- Czy po pierwszej ktoś go widział żywego? Svedberg myślał.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, nie.

- No to coś już wiemy - skwitował Wallander i wyszedł. Właśnie miał dzwonić do starego policjanta Hugona Sandina, kiedy zajął Martinsson.

- Masz czas? - zapytał.

- Zawsze. O co chodzi?

Martinsson pomachał kopertą, którą trzymał w ręku.

- Przyszedł dzisiaj. Autor tego listu twierdzi, że w poniedziałek wieczorem, dwudziestego czerwca, podwiózł pewną dziewczynę z Helsingborga do Tomelilli. Sądząc z tego, co przeczytał w gazecie o dziewczynie, która się spaliła, uważa, że to mogła być ona. Martinsson wręczył kopertę Wallanderowi. Wallander wyjął list i przeczytał.

- Nie ma podpisu.

- Ale nagłówek jest interesujący. Wallander skinął głową.

- Parafia Smedstorp - przeczytał. - Autentyczny papier firmowy.

- Chyba trzeba to sprawdzić.

- Jasne, że trzeba. Zajmij się Interpolem i całą resztą, a ja tam od razu pojedę. -
Ciągle nie rozumiem, dlaczego poświęcamy jej czas.

- Dlatego, że musimy.

Dopiero po wyjściu Martinssona Wallander uświadomił sobie, że właśnie oberwało mu się za to, że nie odłożył na bok sprawy zmarłej dziewczyny. Pomyślał, że Martinsson naturalnie ma rację. Cały swój czas powinni poświęcić Wetterstedtowi i Carlmanowi. Uznał jednak, że krytyka była nieuzasadniona. Ich możliwości nie powinny mieć jakichś granic. Po prostu muszą mieć siły na wszystko.

I żeby udowodnić słuszność takiego rozumowanie, opuścił komendę i pojechał do Smedstorpu. Miał czas na myślenie o Wetterstedcie i Carlmanie. Letni krajobraz stanowił dziwnie nierzeczywiste tło. Giną dwaj mężczyźni, pomyślał, zarąbani i oskalpowani. Młoda dziewczyna podpala się na polu rzepaku. A wokół mnie trwa lato. Latem Skania jest najpiękniejsza. Każdy zakątek świata ma swój ukryty raj. Wystarczy tylko mieć oczy szeroko otwarte. Ale być może widzi się także sunące drogami, niewidzialne karawany.

Wiedział, gdzie znaleźć kancelarię parafialną w Smedstorpie. Minął Lunnarp i skręcił w lewo. Parafie miały bardzo nietypowe godziny przyjęć. Na szczęście, przed białym budynkiem stało kilka samochodów. Opoдал jakiś mężczyzna kosił trawę. Wallander nacisnął klamkę. Zamknięte. Zadzwoił. Z mosiężnej tabliczki wyczytał, że kancelaria będzie czynna dopiero w środę. Czekał. Zadzwoił jeszcze raz i załomotał w drzwi. W tle mruczała kosiarka. Już miał odejść, kiedy otworzyło się okno na piętrze i wyrzała jakaś kobieta.

- Przyjmujemy w środy i piątki! - zawołała.

- Wiem. Ale mam pilną sprawę. Jestem z ystadzkiej policji.

Kobieta zniknęła, by po chwili otworzyć drzwi. Naprzeciwko niego stała blondynka w czerni, mocno umalowana, w butach na wysokich obcasach. Zdziwiła Wallandera jej koloratka. Wyciągnął rękę i się przywitał.

- Gunnel Nilsson - przedstawiła się. - Jestem proboszczem tutejszej parafii.

Wallander udał się za nią. Łatwiej bym to wszystko rozumiał, gdybym wchodził do nocnego klubu, przemknęło mu przez głowę. Proboszcze nie wyglądają tak, jak to sobie wyobrażałem.

Zaprosiła go do biura i poprosiła, żeby usiadł. Wallander zauważył, że Gunnel Nilsson jest bardzo atrakcyjną kobietą. Nie mógł się jednak zdecydować, czy miał coś

z tym wspólnego jej zawód.

Na biurku leżała koperta. Rozpoznał nagłówek.

- Dostaliśmy list - zaczął - napisany na waszym papierze firmowym. Dlatego tu jestem.

Opowiedział o dziewczynie, która się spaliła. Gunnel Nilsson była wstrząśnięta. Kilka dni chorowała i nie czytała gazet.

Wallander pokazał jej list.

- Czy wie pani, kto to mógł napisać? - spytał. - Kto ma dostęp do waszego papieru firmowego? Pokręciła głową.

- Kancelaria parafialna to nie bank. Poza tym pracują tutaj tylko kobiety. - Z listu nie wynika płeć nadawcy - zauważył Wallander.

- Nie wiem, kto by to mógł być.

- Czy ktoś z kancelarii mieszka w Helsingborgu? Albo często tam jeździ?

Znów pokręciła głową. Zorientował się, że naprawdę próbuje mu pomóc.

- Ile osób tutaj pracuje? - spytał.

- Ze mną cztery. I Andersson, pomaga w ogrodzie. I Sture Rosell, kościelny. Ale on przeważnie jest albo na cmentarzu, albo w kościele. Każde z nich mogło, rzecz jasna, wziąć nasz papier firmowy. Nie licząc interesantów.

- Nie rozpoznaje pani charakteru pisma?

- Nie.

- Nie ma zakazu zabierania autostopowiczów - powiedział Wallander. - Więc dlaczego ten ktoś nie chciał się podpisać? Żeby nikt się nie dowiedział, że był w Helsingborgu? Ta anonimowość jest dla mnie niezrozumiała.

- Naturalnie mogę sprawdzić, kto z personelu był tego dnia w Helsingborgu - powiedziała. - I porównać charakter pisma.

- Byłbym wdzięczny - powiedział Wallander i wstał. - Proszę o telefon do komendy.

Zapisał numer na kartce, którą mu podsunęła. Odprowadziła go do wyjścia.

- Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety księdza - przyznał.

- Wiele osób ciągle to zaskakuje.

- W Ystadzie mamy pierwszą kobietę komendanta. Wszystko się zmienia.

- Miejmy nadzieję, że na lepsze - odpowiedziała z uśmiechem.

Wallander popatrzył na nią i pomyślał, że jest bardzo ładna. Nie zauważył obrączki na jej dłoni. Idąc do samochodu, nie mógł się opędzić od włochatych myśli.

Naprawdę była bardzo atrakcyjna.

Mężczyzna, który kosił trawę, usiadł na ławce, żeby zapalić papierosa. Nie wiedząc czemu, Wallander się przysiadł i zaczął z nim rozmawiać. Mężczyzna miał około sześćdziesiątki, był w niebieskiej bluzie roboczej, brudnych sztruksowych spodniach i tenisówkach starej daty. Palił chesterfieldy bez filtra. Wallander przypomniał sobie, że dawno temu ojciec palił tę samą markę.

- Poza godzinami przyjęć ona zazwyczaj nie otwiera - odezwał się mężczyzna. - Szczerze mówiąc, zrobiła to pierwszy raz.

- Bardzo ładny proboszcz - zauważył Wallander.

- I sympatyczny. I wygłasza dobre kazania. Nie wiem, czy był tu kiedyś lepszy kaznodzieja. Ale oczywiście niejednego wołałby mężczyznę.

- Naprawdę? - powiedział Wallander w roztargnieniu.

- Nie wyobrażają sobie nikogo innego poza mężczyzną. Skańczycy są konserwatywni. Przeważnie.

Rozmowa umarła. Jakby obaj wyczerpali swoje możliwości. Wallander słuchał śpiewu ptaków. Pachniała świeżo ścięta trawa. Pomyślał, że powinien się skontaktować z kolegą z Ostermalmu, Hansem Yikanderem, który prawdopodobnie już rozmawiał z matką Gustafa Wetterstedta. Ma dużo spraw na głowie. A już na pewno nie ma czasu wysiadywać na ławce przed kancelarią parafialną w Smedstorpie.

- Przyszedł pan po zaświadczenie o zmianie adresu? - nieoczekiwanie zapytał mężczyzna.

Wallander drgnął, jakby go ktoś na czymś przyłapał.

- Nie, chciałem tylko zadać kilka pytań. Mężczyzna patrzył na niego zmrużonymi oczami.

- Poznaję pana - powiedział. - Jest pan z Tomelilli?

- Nie. Z Malmö. Ale od lat mieszkam w Ystadzie. Wstał, odwrócił się do mężczyzny, żeby się z nim pożegnać, i mimowolnie rzucił okiem na biały podkoszulek, widoczny pod rozpiętą bluzą. Była na nim reklama promów kursujących między Helsingborgiem i Helsingórem. W pierwszej chwili uznał, że to przypadek, szybko jednak zmienił zdanie. Usiadł. Mężczyzna zgasił papierosa w trawie i już się podnosił.

- Chwileczkę. Chciałbym o coś spytać. Mężczyzna wyczuł zmianę tonu i wyczekująco popatrzył na Wallandera.

- Jestem policjantem - powiedział Wallander. - Nie przyjechałem tutaj rozmawiać z proboszczem. Przyjechałem porozmawiać z panem. Zastanawiam się,

dlaczego nie podpisał pan listu, który pan do nas wysłał. O dziewczynie, którą pan zabrał w Helsingborgu.

Wiedział, że zagrał ostro. Wbrew wszystkiemu, czego go uczono. Olał jedną z elementarnych zasad, że policjantowi, który chce dotrzeć do prawdy, nie wolno kłamać. W każdym razie nie wtedy, kiedy nie popełniono żadnego przestępstwa.

Ale cios był celny. Mężczyzna drgnął, atak Wallandera przyszedł nieoczekiwanie. Wszelkie obiekcje natychmiast zniknęły. Skąd wiedział, że to on napisał list? Skąd w ogóle cokolwiek wiedział?

Wallander odczytał te reakcje. Teraz, po celnym ciosie, mógł mężczyznę podnieść z ringu i uspokoić.

- Pisanie anonimów nie jest zabronione - powiedział. - Zabieranie autostopowiczów też nie. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego pan napisał ten list, kiedy ją pan zabrał, gdzie wysiadła, o której i czy coś mówiła podczas podróży.

- Teraz pana poznaję - mruknął mężczyzna. - To pan kilka lat temu zastrzelił człowieka we mgle. Na poligonie pod Ystadem.

- Zgadza się, to ja. Nazywam się Kurt Wallander. - Ona stała przy drodze wylotowej na południe - powiedział mężczyzna. - To było o siódmej wieczorem. Pojechałem tam po buty. Kuzyn ma w Helsingborgu sklep z butami. Zawsze trochę mi opuści. Ja z reguły nie zabieram autostopowiczów, ale ona wyglądała na zagubioną.

- I co się stało?

- Nic.

- W jakim języku mówiła?

- Nie wiem, ale na pewno nie po szwedzku. A ja nie znam angielskiego. Powiedziałem, że jadę do Tomelilli. Skinęła głową. Przytakiwała cały czas, bez względu na to, co mówiłem.

- Czy miała jakiś bagaż?

- Nie.

- Nawet torebki?

- Nie, nic nie miała.

- I pojechaliście.

- Usiadła z tyłu. Przez cały czas słowem się nie odezwała. Pomyślałem, że to dziwne. Żałowałem, że ją wziąłem.

- Dlaczego?

- Może wcale nie chciała jechać do Tomelilli?! Kto u licha jedzie do Tomelilli?

- A więc nic nie powiedziała?
 - Ani słowa.
 - Co robiła?
 - Co robiła?
 - Spała? Patrzyła przez okno? Co robiła? Mężczyzna myślał.
 - Nad jednym się potem zastanawiałem. Ile razy ktoś nas wyprzedzał, kulila się na siedzeniu. Jakby nie chciała, żeby ją ktoś zobaczył.
 - Bała się?
 - Chyba tak. - Co było potem?
 - Zatrzymałem się przy rondzie pod Tomelillą i wysiadła. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby wiedziała, gdzie jest.
 - A więc nie jechała do Tomelilli?
 - Raczej chciała się wydostać z Helsingborga. I pojechałem dalej. Kiedy dojeżdżałem do domu, pomyślałem, że nie mogę jej tak zostawić, i wróciłem. Ale już jej nie było.
 - Ile czasu to zajęło?
 - Góra dziesięć minut. Wallander zastanawiał się.
 - Kiedy ją pan zabierał pod Helsingborgiem, stała przy szosie. Czy można było odnieść wrażenie, że ktoś ją tam podwiózł? Czy przyszła z miasta?
 - Z miasta - powiedział po namyśle. - Gdyby ktoś ją podrzucił, nie stałaby w tym miejscu.
 - I potem już jej pan nie widział? Nie szukał?
 - A niby po co?
 - O której to było?
 - Wysiadła o ósmej. Pamiętam dokładnie, bo akurat zaczynały się wiadomości w radiu.
- Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Miał szczęście.
- Dlaczego napisał pan do nas list? - spytał. - I dlaczego anonimowo?
 - Przeczytałem o dziewczynie, która się spaliła. Od razu coś mnie tknęło, że to mogła być ona. Ale wolałem się nie ujawniać. Jestem żonaty. Żona mogłaby to źle zrozumieć. Że wziąłem autostopowiczkę.
- Wallander czuł, że mężczyzna, mówi prawdę.
- Nikt się o tym nie dowie - zapewnił. - Muszę pana jednak poprosić o nazwisko i numer telefonu.

- Nazywam się Sven Andersson. Mam nadzieję, że nie spotkają mnie żadne przykrości. - Jeśli powiedział pan prawdę, na pewno nie. - Zapisał numer telefonu. - Jeszcze jedno. Czy pamięta pan, co miała na szyi?

Sven Andersson pokręcił głową. Wallander wstał i podał mu rękę.

- Bardzo mi pan pomógł.

- Czy to ona?

- Prawdopodobnie. Pozostaje tylko pytanie, co robiła w Helsingborgu.

Poszedł do samochodu. Kiedy otwierał drzwi, zadzwoniła komórka. W pierwszej chwili pomyślał, że zabójca Wetterstedta i Carlmana znowu zaatakował. Wracając do Ystadu, Wallander postanowił jeszcze tego samego dnia pojechać do Hassleholmu i porozmawiać z emerytowanym policjantem Hugonem Sandinem.

Na komórkę zadzwonił Nyberg z wiadomością, że na jego biurku leży siedem zdjęć i że nie mają informacji o następnym ataku zabójcy Wetterstedta i Carlmana. Najpierw Wallander odczuł dużą ulgę. Potem, kiedy wyjechał ze Smedstorpu, pomyślał, że musi lepiej nad sobą panować. Nie było żadnej pewności, że na liście sprawcy jest więcej ofiar. Musi poskromić strach, który przyprawia go o niepotrzebny zamęt w głowie. On i jego koledzy muszą kontynuować śledztwo tak, jakby wszystko, co się miało wydarzyć, już się wydarzyło. Inaczej zamienią się w policjantów skupionych wyłącznie na swoich niepokojach.

Poszedł do siebie i napisał notatkę z rozmowy ze Svenem Anderssonem. Nie udało mu się złapać Martinssona, Ebba wiedziała tylko tyle, że wyszedł z komendy, ale nie powiedział dokąd. Komórkę wyłączył. Wallander się wkurzył. Nie pierwszy raz nie mógł się skontaktować z Martinssonem. Na najbliższym zebraniu zażąda, żeby wszyscy zawsze byli osiągalni. Potem przypomniał sobie o zdjęciach, które zdaniem Nyberga miały leżeć na biurku. Odruchowo przykrył je notatnikiem. Wyjął z koperty, zapalił lampkę przy biurku i oglądał. Nie wiedząc, czego się właściwie spodziewał, był rozczarowany. Zdjęcia były zrobione z piętra willi Wetterstedta. Odwrócona łódź Lindgrena i spokojne morze. Żadnych ludzi, pusta plaża. Dwa były na dokładkę nieostre. Położył je przed sobą i zastanawiał się, dlaczego Wetterstedt je zrobił. Jeśli to on je robił. Wyjął z szuflady szkło powiększające. Bez zmian. Nic ciekawego. Włożył zdjęcia do koperty i zdecydował, że poprosi kogoś z kolegów, żeby je obejrzał, bo a nuż coś przegapił. Chciał dzwonić do Hassleholmu, kiedy do drzwi zapukała sekretarka. Przyniosła faks od Hansa Yikandera ze Sztokholmu. Pięć maczkiem zapisanych stron referujących przebieg rozmowy z matką Wetterstedta. Szybko przeczytał. Staranna

robotą, ale kompletnie bez fantazji. Wallander mógł przewidzieć każde pytanie. Doświadczenie mówiło mu, że przesłuchanie lub rozmowa mająca związek z dochodzeniem musi się składać z zasadniczych pytań i z momentów zaskoczenia. Pół na pół. Jednocześnie przyznał, że jest niesprawiedliwy wobec Hansa Yikandera. Cóż bowiem niezwykłego mogła powiedzieć o swoim synu, którego prawie nie widywała, a z którym prowadziła jedynie krótkie rozmowy telefoniczne, dziewięćdziesięcioczworoletnia staruszka? Po przeczytaniu sprawozdania Hansa Yikandera doszedł do wniosku, że nie ma w nim nic, co posuwałoby śledztwo naprzód. Poszedł po kawę, myśląc w roztargnieniu o proboszczu ze Smedstorpu. Potem zadzwonił do Hassleholmu. Odebrał młodszy mężczyzna. Wallander przedstawił się i powiedział, o co chodzi. Upłynęło nieco czasu, zanim Hugo Sandin podszedł do telefonu. Wallander usłyszał jasny, stanowczy głos. Hugo Sandin był gotów spotkać się z Wallanderem tego samego dnia. Wallander zanotował, jak tam dojechać. Był kwadrans po trzeciej, kiedy opuścił komendę. Po drodze zatrzymał się, żeby coś zjeść. Po piątej podjechał pod przebudowany młyn, na którym szyld informował, że mieści się tutaj garncarnia. Przed domem krzątał się starszy pan i wrywał mleczkę. Kiedy Wallander wysiadł z samochodu, wytarł ręce i podszedł. Wallanderowi nie chciało się wierzyć, że ten żwawy mężczyzna ma przeszło osiemdziesiąt lat. Pomyśleć, że Hugo Sandin i jego ojciec są niemal rówieśnikami.

- Rzadko ktoś mnie odwiedza - powiedział Hugo Sandin. - Wszyscy moi przyjaciele umarli. Został mi tylko kolega z zabójstw. Jest w domu opieki pod Sztokholmem i pamięta tylko to, co było przed rokiem sześćdziesiątym. Starość to jedno wielkie gówno.

Wallander pomyślał, że Hugo Sandin mówi to samo co Ebba. Ale jego ojciec bardzo rzadko, a raczej wcale, nie narzekał na starość.

W starej wozowni, przerobionej na pomieszczenie wystawowe, stał stół, a na nim termos i filiżanki. Wallander uznał, że uprzejmość nakazuje mu poświęcić parę minut na podziwianie ceramiki. Hugo Sandin usiadł przy stole i nalał kawę.

- Jest pan pierwszym policjantem, który się interesuje ceramiką - zauważył z ironią. Wallander usiadł przy stole.

- Szczerze mówiąc, nieszczególnie.

- Policjanci zazwyczaj lubią wędkować. Na odludnych górskich jeziorach. Albo w głębi smalandzkich lasów.

- Tak? Nie wiedziałem. Ja nie wędkuję. Sandin bacznie mu się przyglądał.

- A co pan robi w wolnych chwilach?

- Bardzo trudno mi się odprężyć.

Sandin z aprobatą pokiwał głową.

- Praca policjanta to powołanie. Zupełnie tak jak zawód lekarza. Zawsze na służbie. Bez względu na to, czy jesteśmy w mundurze, czy nie.

Wallander postanowił nie wdawać się w dyskusję. Kiedyś wierzył, że to powołanie, teraz już nie, w każdym razie miał wątpliwości.

- Proszę mówić - powiedział Sandin. - Wiem z gazet, co robicie w Ystadzie. Niech mi pan teraz powie, czego nie ma w gazetach.

Wallander zreferował okoliczności obydwu morderstw. Od czasu do czasu Hugo Sandin wtrącał pytanie, zawsze na temat.

- Inaczej mówiąc, może znowu zabić - skwitował, kiedy Wallander umilkł.

- Nie możemy tego wykluczyć.

Hugo Sandin odsunął się od stołu, żeby rozprostować nogi.

- Mam panu teraz opowiedzieć o Gustafie Wetterstedcie. Chętnie. Ale przedtem chciałbym spytać, skąd pan wie, że dawno temu poświęcałem mu wyjątkowo dużo czasu.

- Powiedział mi o tym pewien dziennikarz z Ystadu, niestety alkoholik. Nazywa się Lars Magnusson.

- Nic mi nie mówi to nazwisko.

- W każdym razie on o tym wiedział.

Hugo Sandin siedział w milczeniu i pocierał palcem wargi. Wallander miał wrażenie, że szuka odpowiedniego punktu wyjścia.

- Prawda o Gustafie Wetterstedcie nie jest skomplikowana - zaczął. - To łajdak. Jako minister sprawiedliwości, miał być może formalne kompetencje. Ale się nie nadawał.

- Dlaczego?

- Myślał przede wszystkim o własnej karierze, a nie o dobru kraju. Gorszej oceny nie można wystawić ministrowi. - A jednak mówiło się o nim jako ewentualnym szefie partii.

Hugo Sandin energicznie pokręcił głową.

- Błąd. To były tylko spekulacje dziennikarzy. W łonie partii nikt nie miał wątpliwości, że on nigdy nie zostanie przywódcą. Jeśli w ogóle był członkiem partii.

- Ale przez wiele lat był ministrem sprawiedliwości. Więc chyba się jakoś

nadawał.

- Jest pan za młody, żeby to pamiętać. Gdzieś tak w latach pięćdziesiątych zaznaczyła się pewna cezura, niewidzialna linia podziału. Szwecja żeglowała z niesamowitym wiatrem. Były nieograniczone środki na likwidowanie resztek ubóstwa. Jednocześnie zachodziły zmiany w życiu politycznym. Politycy stali się zawodowcami. Karierowiczami. Idealizm, który kiedyś dominował, zaczął blednąć. I wysunęli się naprzód ludzie pokroju Gustafa Wetterstedta. Wylegarniami polityków przyszłości stały się polityczne ugrupowania młodzieżowe.

- Pomówmy o skandalach, które mu towarzyszyły - przerwał Wallander, zaniepokojony, że Hugo Sandin ugrzęźnie na dobre w politycznych wspomnieniach.

- Zadawał się z prostytutkami. W czym naturalnie nie był osamotniony. Ale miał szczególne skłonności, które się odbijały na dziewczętach.

- Słyszałem o jednej, która złożyła doniesienie.

- Karin Bengtsson. Nie miała szczęśliwego życia w domu, w Eksjów. Uciekła do Sztokholmu i w pięćdziesiątym czwartym po raz pierwszy została odnotowana w papierach obyczajówki. Kilka lat później znalazła się w grupie, z której Wetterstedt wybierał swoje panienki. W styczniu pięćdziesiątego siódmego złożyła doniesienie. Pociął jej stopy żyłką. Widziałem się z nią. Ledwie mogła ustać na nogach. Wetterstedt zrozumiał, że posunął się za daleko. Doniesienie zniknęło, Karin Bengtsson dostała sporą sumkę za milczenie. Pieniądze poszły na salon damskich kapeluszy w Yasterasie. W pięćdziesiątym dziewiątym, dzięki przelewowi na koncie, było ją stać na willę. Od sześćdziesiątego co roku jeździła na Majorkę.

- Kto przesłał te pieniądze?

- Już wtedy istniały tak zwane gadzinowe fundusze. Szwedzki dwór dał przykład, kupując ludzi, którzy się zanadto spoufalali z królem.

- Czy Karin Bengtsson żyje?

- Umarła w maju osiemdziesiątego czwartego. Nigdy nie wyszła za mąż. Nie widziałem jej, odkąd wyjechała do Yasterasu. Ale czasami dzwoniła. Do samego końca. Tyle że wtedy była najczęściej pijana.

- Dlaczego do pana dzwoniła?

- Skontaktowałem się z nią już wtedy, kiedy zaczęły krążyć pogłoski, że jakaś mewka chce złożyć doniesienie na Wetterstedta. Chciałem jej pomóc. Miała zmarnowane życie. Straciła wiarę w siebie.

- Dlaczego pan się w to zaangażował?

- Byłem oburzony. I dosyć radykalny. Wielu policjantów godziło się na korumpowanie prawa. Ja nie. Teraz też się nie godzę.

- Co się stało potem, kiedy uciszono Karin Bengtsson?

- Wetterstedt dalej robił swoje. Porzwał dużo dziewcząt. Ale żadna nigdy nie złożyła doniesienia. Za to co najmniej dwie panienki po prostu zniknęły.

- To znaczy?

Hugo Sandin popatrzył na Wallandera ze zdziwieniem.

- Zniknęły, słuch po nich zagań. Były poszukiwane. Ale bez skutku.

- Jak pan myśli, co się mogło stać?

- Myślę, że oczywiście zostały zamordowane. Rozpuszczone w wapnie, zatopione w morzu. Czyja wiem? Wallander nie wierzył własnym uszom. - Czy to może być prawda? Wydaje się co najmniej nieprawdopodobne.

- Jak to się mówi? Nieprawdopodobne, ale prawdziwe?

- Wetterstedt miałby się dopuścić morderstwa? Hugo Sandin pokręcił głową.

- Nie twierdzę, że zrobił to osobiście. Jestem przekonany, że nie. Nie wiem, co się konkretnie stało, zapewne nigdy się tego nie dowiemy. Ale wnioski można wyciągnąć. Nawet jeśli brak dowodów.

- Ciągle trudno mi w to uwierzyć.

- Taka jest prawda - powiedział Hugo Sandin stanowczo. - Wetterstedt nie miał sumienia. Ale, rzecz jasna, nigdy niczego nie można mu było udowodnić.

- Krążyło o nim wiele pogłosek.

- Wszystkie były uzasadnione. Wetterstedt wykorzystywał swoją pozycję do zaspokajania perwersyjnych ciągót seksualnych. Był też zamieszany w dosyć mętne interesy, które zapewniły mu pokaźny majątek.

- Handel obrazami?

- Raczej kradzież obrazów. W wolnych chwilach poświęcałem dużo czasu na tropienie tych wszystkich powiązań i układów. Marzyło mi się, że kiedyś rzucę prokuratorowi na stół tak niepodważalne dowody, że Wetterstedt nie tylko wyleci z urzędu, ale i trafi do więzienia. Niestety nigdy tak daleko nie zaszedłem.

- Na pewno ma pan mnóstwo materiałów z tamtego okresu?

- Kilka lat temu wszystko spaliłem. W piecu ceramicznym syna. Co najmniej dziesięć kilo papieru.

Wallander zaklął w duchu. Nie brał pod uwagę takiej możliwości, że Hugo Sandin pozbedzie się materiałów, które tak pracowicie gromadził. - Ciągle mam dobrą

pamięć - powiedział Sandin. - Powinienem pamiętać wszystko, co spałem.

- Kim był Arne Carlman? - spytał Wallander.

- Człowiekiem, który wyniósł obwoźny handel obrazami na wyższy poziom.

- W sześćdziesiątym dziewiątym siedział na Langholmen. Dostaliśmy anonimową informację, że w tym czasie nawiązał kontakt z Wetterstedtem. A kiedy wyszedł z więzienia, panowie się spotkali.

- Carlman pojawiał się od czasu do czasu przy okazji różnych śledztw. Na Langholmen trafił chyba za coś tak banalnego jak sfalszowanie czeku.

- Czy kiedykolwiek znalazł pan jakieś powiązania między nim a Wetterstedtem?

- Podobno spotkali się pod koniec lat pięćdziesiątych. Mieli wspólne zainteresowania, grali na wyścigach. Ich nazwiska wypłynęły przy okazji obławy na torze w Tabach około sześćdziesiątego drugiego. O Wetterstedcie nie wspomniano, uznając za rzecz wysoce niestosowną informowanie ogółu społeczeństwa o obecności ministra sprawiedliwości na wyścigach.

- Co ich łączyło?

- Niczego nie udało się ustalić. Krążyli jak planety na różnych orbitach, które się niekiedy spotykały.

- Potrzebny mi ten punkt styczności - powiedział Wallander. - Jestem przekonany, że bez tego nie uda się nam zidentyfikować sprawcy.

- Jeśli się kopie dostatecznie głęboko, zwykle się znajduje - skostatował Hugo Sandin.

Odezwała się komórka, którą Wallander położył przed sobą na stole. Od razu przeszył go lodowaty strach, że stało się coś poważnego.

Tym razem też się pomylił. Dzwonił Hansson. - Chciałem się dowiedzieć, czy jeszcze tu dzisiaj zajrzysz. Jeśli nie, spotkamy się jutro.

- Czy coś się stało?

- Nic istotnego. Wszyscy siedzą po uszy w robocie.

- Jutro o ósmej rano. Dzisiaj już nie.

- Svedberg pojechał do szpitala opatrzeć swoje oparzeliny - poinformował Hansson.

- Powinien bardziej uważać. Co roku jest to samo. Zakończył rozmowę i odłożył telefon.

- Dużo się o panu mówi - powiedział Hugo Sandin. - Chadza pan chyba

własnymi ścieżkami.

- Większość tego, co się mówi, to nieprawda - wymijająco odpowiedział Wallander.

- Często sobie zadaję pytanie, jak to jest być dzisiaj policjantem.

- Ja też.

Wstali i poszli do samochodu. Był piękny wieczór.

- Czy wyobraża pan sobie kogoś, kto mógłby zabić Wetterstedta? - spytał Wallander.

- Na pewno jest ich wielu. Wallander zatrzymał się w pół kroku.

- Może popełniamy błąd. Może powinniśmy te śledztwa potraktować osobno i zamiast szukać wspólnego mianownika, skupić się na dwóch różnych sprawach. Żeby w ten sposób dojść do punktu styczności.

- Morderca jest ten sam - powiedział Hugo Sandin. - Dlatego śledztwa powinny się zazębiać. W przeciwnym razie możecie wejść na fałszywy trop.

Wallander skinął głową. Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

- Proszę się odezwać - powiedział Hugo Sandin. - Mam mnóstwo wolnego czasu. Starość to samotność i czekanie na nieuniknione.

- Czy kiedykolwiek żałował pan, że został policjantem? - spytał Wallander.

- Nie, nigdy. Dlaczego miałbym żałować?

- Tak tylko pytam. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

- Na pewno go złapiecie. Nawet jeśli to trochę potrwa.

Wallander skinął głową i wsiadł do samochodu. We wstecznym lusterku zauważył, że Hugo Sandin wrócił do wrywania mleczu z trawnika.

Dochodziła za kwadrans ósma, kiedy Wallander dotarł do Ystadu. Zaparkował przed swoim domem i już miał wejść, kiedy sobie uświadomił, że nie ma nic do jedzenia, a jakby tego było mało, zapomniał oddać samochód do przeglądu. Zaklął głośno.

Zjadł kolację w chińskiej restauracji, przy rynku. Był jedynym gościem. Po kolacji poszedł do portu. Przyglądał się na molo kołyszącym się niemrawo łodziom i myślał o dwóch rozmowach, które odbył w ciągu dnia.

Któregoś wieczoru Dolores Maria Santana stała przy drodze wylotowej z Helsingborga i chciała stamtąd odjechać. Nie mówiła po szwedzku i bała się przejeżdżających samochodów. Do tej pory udało im się dowiedzieć tylko tyle, że urodziła się w Dominikanie.

Formułując najważniejsze pytania, patrzył na starą, dobrze utrzymaną łódź. Dlaczego i jak znalazła się w Szwecji? Od czego uciekała? Dlaczego się podpaliła w rzepaku Salomonssona?

Szedł mołem. Na żaglówce odbywało się przyjęcie. Ktoś podniósł kieliszek i przepił do Wallandera. Skinął głową i ułożył dłoń w kieliszek.

Na końcu mola usiadł na pacholku i myślał o rozmowie z Hugonem Sandinem. Wszystko było jakąś przedziwną płataniną. Nie widział żadnych punktów zaczepienia, żadnych tropów, które mogłyby ich doprowadzić do przełomu w śledztwie.

I strach. Nie wyzbył się go. Bał się, że to się powtórzy.

Dochodziła dziewiąta. Rzucił do wody garść żwiru i wstał. Przyjęcie na żaglówce trwało. Wrócił przez miasto. Na podłodze piętrzył się stos brudnych ubrań. Napisał do siebie kartkę i zostawił ją na kuchennym stole. „Przeгляд samochodu, do cholery!” Potem włączył telewizor i położył się na kanapie.

O dziesiątej zadzwonił do Bajby. Słyszał ją bardzo wyraźnie.

- Chyba jesteś zmęczony - powiedziała. - Masz dużo pracy?

- Nie bardzo - odparł wymijająco. - Tęsknię za tobą. Roześmiała się.

- Przecież niedługo się zobaczymy.

- Co robiłaś w Tallinie? Znów się roześmiała.

- Spotkałam innego mężczyznę. A co myślałeś?

- Właśnie to.

- Musisz się wyspać. Słyszę to aż w Rydze. Rozumiem, że Szwecja dobrze sobie radzi w piłce nożnej.

- Interesujesz się sportem? - zdziwił się Wallander.

- Czasami. Zwłaszcza wtedy, kiedy gra Łotwa.

- Tutaj ludzie oszaleli.

- Ale nie ty?

- Obiecuję poprawę. Kiedy Szwecja będzie grała z Brazylią, postaram się oglądać.

Usłyszał jej śmiech. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nic mu nie przyszło do głowy. Po rozmowie wrócił do telewizora. Przez chwilę oglądał film. Potem wyłączył i położył się do łóżka.

Zanim zasnął, myślał o ojcu. Jesienią pojedą do Włoch.

Był wtorkowy wieczór, 28 czerwca. Neonowe wskazówki zegara w kształcie dwóch kurczowo splecionych węży pokazywały dziesięć po siódmej. Za kilka godzin

Szwecja będzie grała z Brazylią. To też wliczył do planu. Wszyscy zasiądą przed telewizorami, nikt nie zwróci uwagi na to, co się dzieje na dworze. Posadzka chłodziła jego bose stopy. Od wczesnego przedpołudnia tkwił przed lustrami. Kilka godzin temu zakończył wielką przemianę. Tym razem zmienił wzór na prawym policzku. Kolisty ornament pomalował niebieskoczarłą farbą. Przedtem używał krwistoczerwonej. Był zadowolony z tej zmiany. Jego twarz wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. Odłożył pędzel i pomyślał o czekającym go zadaniu. Miał złożyć siostrze największą ofiarę. Był nawet zmuszony skorygować swoje plany. Nieoczekiwana sytuacja sprawiła, że przez moment odczuł przewagę złych mocy. Żeby uzyskać jasność, jak sobie z tym poradzić, całą noc spędził pod oknem siostry. Usiadł między dwoma skalpami i czekał, aż przeniknie go ich siła. W świetle latarki czytał świętą księgę swojej siostry. Uznał, że nie ma powodów do trzymania się ustalonej zawczasu kolejności.

Ostatnią ofiarą miał być ich ojciec. Ponieważ mężczyzna, który powinien spotkać swoje przeznaczenie tego wieczoru, nagle wyjechał za granicę, trzeba było zmienić kolejność.

Słuchał uderzeń serca Geronima, które biło w jego piersi. Jak sygnały docierające z przeszłości. Serce wystukiwało wiadomość, że musi wykonać święte zadanie, jakiego się podjął. To najważniejsze. Ziemia pod oknem siostry domagała się trzeciej zapluty. Mężczyzna, poczeka, na jego miejscu będzie ich ojciec.

Tego długiego dnia, siedząc przed lustrami i dokonując wielkiej przemiany, cieszył się na spotkanie z ojcem i wiele sobie po nim obiecywał. Zadanie wymagało pewnych dodatkowych przygotowań. Wcześniej rano, w piwnicy, zaczął szykować sprzęt. Przeszło dwie godziny zajęło mu przylutowanie nowego ostrza do trzonka siekiery zabawki. Dostał ją w prezencie od ojca na siódme urodziny. Już wtedy pomyślał, że pewnego dnia użyje jej przeciwko darczyńcy. Teraz nareszcie nadarzała się okazja. Żeby plastikowy trzonek z marną kolorową dekoracją nie pękł w momencie zadawania ciosu, wzmocnił go specjalną taśmą, jaką hokeiści zabezpieczają kije hokejowe. Nie wiesz, co to takiego. To nie jest zwyczajna siekiera. To tomahawk. Z pogardą pomyślał o słowach ojca, gdy ten wręczył mu prezent. Wtedy była to bezsensowna zabawka, plastikowa kopia wykonana w jakimś azjatyckim kraju. Teraz, z normalnym ostrzem, stała się prawdziwą siekierą.

Począł do wpół do dziewiątej. Ostatni raz wszystko sobie przemyślał. Spojrzał na ręce. Nie drżały. Panował nad sytuacją. Przygotowania, jakie poczynił w

ostatnich dwóch dniach, gwarantowały powodzenie.

Spakował do plecaka broń, butelkę owiniętą w ręcznik i sznury. Potem włożył kask, zgasił światło i zamknął drzwi do piwnicy. Kiedy wyszedł na ulicę, spojrzął w niebo. Zachmurzyło się. Może będzie padać. Zapalił motorower, który ukradł poprzedniego dnia, i pojechał do śródmieścia. Przy stacji kolejowej wszedł do budki telefonicznej. Zawczasu wybrał taką, która stała na uboczu. Na jednej z przeszklonych ścian przykleił afisz reklamujący fikcyjny koncert w nieistniejącym klubie młodzieżowym. W pobliżu nikogo nie było. Zdjął kask i stanął twarzą do afisza. Potem wsunął kartę telefoniczną i wybrał numer. Lewą ręką trzymał przy ustach kłębek bawełnianych kłaków. Była za siedem dziesiąta. Czekał. Był całkowicie spokojny, wiedział, co ma mówić. Ojciec podniósł słuchawkę. Hoover poznał po jego głosie, że jest poirytowany. To znaczy, że zaczął pić i chce mieć święty spokój.

Mówił w kłębek i trzymał słuchawkę w pewnej odległości.

- Tu Peter - powiedział. - Mam coś, co powinno cię zainteresować.

- Co?

Ojciec ciągle był zły. Nie miał jednak wątpliwości, że rozmawia z Peterem. Czyli największa przeszkoda została pokonana.

- Znaczki za co najmniej pół miliona. Ojciec zwlekał z odpowiedzią.

- Czy to pewne?

- Co najmniej pół miliona. Może więcej,

- Nie możesz mówić głośniej?

- Połączenie jest kiepskie.

- Skąd one są?

- Z pewnej willi w Limhamnie.

Ojciec trochę złagodniał. Wyraźnie się zainteresował. Hoover wybrał znaczki, bo ojciec zabrał mu kiedyś cały zbiór i sprzedał.

- Czy to nie może poczekać do jutra? Niedługo zacznie się mecz z Brazylią.

- Jutro jadę do Danii. Albo bierzesz teraz, albo dostanie je kto inny.

Hoover wiedział, że ojciec nigdy nie dopuści do tego, żeby takie pieniądze trafiły do cudzej kieszeni. Czekał w całkowitym spokoju.

- Biorę - powiedział. - Gdzie jesteś?

- Koło jachtklubu w Limhamnie. Na parkingu.

- Dlaczego nie w mieście?

- Powiedziałem, że to z willi w Limhamnie. Nie powiedziałem tego?

- Będę.

Hoover odwiesił słuchawkę i włożył kask. Kartę telefoniczną zostawił w automacie. Miał czas, żeby dojechać do Limhamnu. Kiedy ojciec zaczynał pić, zawsze się rozbierał. Poza tym nigdy się nie spieszył. Był równie leniwy jak chciwy. Wsiadł na motorower, przeciął miasto i wyjechał na szosę prowadzącą do Limhamnu. Na parkingu przed jachtklubem stało kilka samochodów. Wjechał za krzaki i wyrzucił kluczyki. Ostrożnie, żeby nie stłuc butelki, włożył kask do plecaka i wyjął siekierę.

I czekał. Wiedział, że ojciec zwykle parkuje swoją furgonetkę, którą przewoził kradziony towar, w rogu parkingu. Hoover domyślał się, że tym razem będzie tak samo. Ojciec miał swoje nawyki. Poza tym będzie pijany; zmałowany umysł, przytępione reakcje.

Po dwudziestu minutach oczekiwania Hoover usłyszał nadjeżdżający samochód. Światła reflektorów omiotły drzewa, zanim skręcił na parking. Tak jak Hoover przewidział, zaparkował tam, gdzie zawsze. Hoover przebiegł bosy przez parking do furgonetki. Na dźwięk otwieranych drzwi szybko ruszył w tamtą stronę. Tak jak myślał, ojciec patrzył na parking, odwrócony do niego plecami. Podniósł siekierę i uderzył trzonkiem w tył głowy. To był najbardziej krytyczny moment. Nie chciał zadać śmiertelnego ciosu. Musiał jednak uderzyć tak mocno, żeby ojciec, duży i bardzo silny, natychmiast stracił przytomność.

Ojciec bezgłośnie osunął się na asfalt. Hoover odczekał chwilę z podniesioną siekierą. Leżał bez ruchu. Hoover odsunął boczne drzwi furgonetki, podniósł ojca i zaczął wciągać go do środka. Liczył się z tym, że nie będzie to łatwe. Potem przyniósł plecak, wsiadł do samochodu i zasunął drzwi. Kiedy zapalił światło, zobaczył, że ojciec ciągle jest nieprzytomny. Skrępował mu ręce na plecach, nogi przywiązał sznurem do oparcia fotela, taśmą zakleił usta i zgasił światło. Potem usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Kilka lat temu ojciec uczył go prowadzić samochód. Zawsze miał furgonetkę. Hoover wiedział, jak wchodzi biegi i gdzie co jest. Wyjechał z parkingu i skręcił w obwodnicę opasującą Malmö. Z pomalowaną twarzą wołał się nie pokazywać w ulicznym świetle. Wyjechał na E65 i kierował się na wschód. Była za kilka minut dziesiąta. Mecz z Brazylią niedługo powinien się zacząć.

Miejsce znalazł przez przypadek. Wracał do Malmö, spędziwszy dzień w charakterze obserwatora pracy policji na plaży pod Ystadem, gdzie spełnił swój pierwszy święty obowiązek, jaki powierzyła mu siostra. Jechał brzegiem i nagle zauważył pomost, ledwie widoczny z szosy. Od razu uznał, że znalazł właściwe

miejsce.

Minęła jedenasta, kiedy zjechał z drogi i wyłączył światła. Ojciec ciągle był nieprzytomny, ale zaczął pojękiwać. Szybko rozwiązał mu nogi, wyciągnął z samochodu i zawlókł na pomost. Tam odwrócił ojca na plecy i przywiązał ręce i nogi do metalowych obręczy pomostu. Leży jak rozpięta zwierzęca skóra, pomyślał. Miał na sobie pomięty garnitur i rozchełstaną koszulę. Hoover ściągnął mu buty i skarpety i poszedł do furgonetki po plecak. Wiał słaby wiatr. Z rzadka przejeżdżały szosą samochody. Światła reflektorów nie sięgały pomostu.

Kiedy wrócił z plecakiem, ojciec oprzytomniał. Wybąkuszył oczy, poruszał głową. Szarpnął się, ale nie uwolnił ani rąk, ani nóg. Hoover przystanął i patrzył. Nie mógł sobie tego odmówić. Nie widział już przed sobą człowieka. Ojciec się zgodnie z jego wolą przeobraził. Teraz był zwierzęciem.

Hoover wszedł na pomost. Ojciec wytrzeszczał na niego oczy. Nie poznał go. Role się odwróciły. Pomyślał o tych wszystkich sytuacjach, kiedy natrętne spojrzenie ojca przejmowało go lodowatym strachem. Teraz było odwrotnie. Strach zmienił postać. Pochylił się nad ojcem, żeby ten - mimo pomalowanej twarzy - mógł zobaczyć, że ma przed sobą własnego syna. Ostatni widok w jego życiu. Ten obraz zabierze ze sobą do grobu. Hoover odkręcił butelkę, którą trzymał za plecami i szybko wlał kilka kropli kwasu solnego w lewe oko ojca. Spod taśmy wydobył się wrzask. Ojciec szarpał sznury. Hoover siłą otworzył mu drugie oko, wlał kwas i wyrzucił butelkę do wody. Widział miotające się w śmiertelnej walce zwierzę. Popatrzył na swoje dłonie. Palce drżały lekko. I to wszystko. Zwierzę wiło się w drgawkach. Hoover wyjął z plecaka nóż, odciął skórę na ciemieniu zwierzęcia i podniósł skalp ku ciemnemu niebu. Potem wyjął siekiere i zadał cios w czoło z taką siłą, że ostrze uwięzło w deskach pomostu.

Było po wszystkim. Jego siostra zaczęła wracać do życia.

Tuż przed pierwszą wjechał do Ystadu. Miasto było opustoszałe. Długo się zastanawiał, czy zrobił dobrze. Ale utwierdziło go w tym bijące serce Geronima. Widział policjantów na plaży i na terenie gospodarstwa, które odwiedził podczas trwającego tam przyjęcia. Szukali po omacku, poruszali się jak we mgle. Geronimo kazał mu rzucić im wyzwanie. Skręcił przy stacji kolejowej. Już wcześniej wypatrzył to miejsce. Wymieniano stare rury kanalizacyjne. Dół był przykryty brezentem. Wyłączył światła i opuścił szybę. Gdzieś daleko wrzeszczeli jacyś pijani ludzie. Wysiadł z samochodu i odsunął brezent. Nasłuchiwał. Nikogo. Szybko otworzył drzwi furgonetki, wyciągnął ojca, wrzucił do dołu, przykrył brezentem, wskoczył do

samoochodu i odjechał. Za dziesięć druga zatrzymał się na parkingu pod lotniskiem Sturup. Dokładnie sprawdził, czy o niczym nie zapomniał. W furgonetce było dużo krwi. Miał krew na stopach. Pomyślał, że narobił policji niezłego bigosu i że będą się miotać w ciemnościach, których nigdy nie przenikną.

Wtedy coś mu przyszło do głowy. Zamknął drzwi i znieruchomiał. Mężczyzna, który wyjechał za granicę, może nie wrócić. Jeśli tak, będzie musiał znaleźć kogoś w zastępstwie. Pomyślał o policjantach, których widział na brzegu koło przewróconej łodzi i przed domem, gdzie odbyło się przyjęcie. Któryś z nich. Poświęci któregoś z nich, żeby siostra powróciła do życia. Pozna ich nazwiska, a potem rzuci kamieniem w pole pocięte kwadratami, tak jak Gieronimo, i zabije tego, kogo wybierze przypadek.

Włożył kask i poszedł do swojego motoroweru, który dzień wcześniej zaparkował pod latarnią, zamknął na łańcuch i autobusem lotniskowym wrócił do miasta. Zapalił i odjechał. Było już widno, kiedy zakopywał skalp ojca pod oknem siostry.

O wpół do piątej ostrożnie otworzył drzwi mieszkania w Rosengardzie. Nasłuchiwał. Potem zajrzał do pokoju brata. Cisza. W sypialni mamy łóżko było puste. Spała z otwartymi ustami na kanapie w salonie. Obok niej, na stole, stała do połowy opróżniona butelka wina. Ostrożnie przykrył ją kocem. Potem zamknął się w łazience i starł farbę z twarzy. Papier spuścił w klozecie.

Kiedy się rozebrał i położył, dochodziła szósta. Na ulicy jakiś mężczyzna kasłał. W głowie miał kompletną pustkę.

Zasnął niemal natychmiast.

Skania 29 czerwca - 4 lipca 1994

Mężczyzna podniósł brezent i wrzasnął. Jeden z bileterów stał przed budynkiem dworca i palił papierosa. Dochodziła siódma rano 29 czerwca. Zapowiadał się upalny dzień. Bileter, rozmyślający nie tyle o czekającej go sprzedaży biletów, ile o rychłej podróży do Grecji, drgnął i odwrócił głowę. Mężczyzna rzucił brezent i puścił się biegiem. Dziwne, zupełnie jakby kręcili jakiś film, ale nigdzie nie było kamery. Mężczyzna pognał do terminalu promowego. Bileter wyrzucił peta i podszedł do wykopu. Poniewczasie pomyślał, że być może czeka go przykra niespodzianka. Stał z brezentem w garści i wpatrywał się w zakrwawioną głowę. Puścił brezent, jakby go parzył, i pomknął na dworzec, po drodze potknął się o walizki, które jeden z podróżnych dosyć niedbale postawił na środku, i dopadł telefonu w dyspozytorni.

Wiadomość dotarła do ystadzkiej komendy cztery minuty po siódmej.

Svedberg wyjątkowo wcześniej przyszedł tego dnia do pracy i to on odebrał telefon. Słyszając relację oszołomionego biletera o krwawej głowie, zeszywniał. Drżącą ręką napisał jedno słowo, „dworzec”, i zakończył rozmowę. Dwa razy się pomylił, zanim udało mu się połączyć z Wallanderem. Obudził go, mimo że Wallander natychmiast temu zaprzeczył. - Chyba znowu się stało - powiedział Svedberg.

Przez kilka krótkich sekund Wallander nie rozumiał, o co chodzi, chociaż ile razy dzwonił telefon, czy to w domu, czy w komendzie, rano czy wieczorem, zawsze tego właśnie się obawiał. I kiedy to się stało, zdziwił się, a może po prostu bezskutecznie usiłował to wyprzeć.

Wreszcie zrozumiał. Wiedział, że tej chwili nigdy nie zapomni. Jakby przeczuwał własną śmierć. Kiedy nie można już dłużej niczego negocjować. „Chyba znowu się stało”. Znowu się stało. Czuł się jak mechaniczna lalka. Miał wrażenie, że każde słowo Svedberga jest jak obrót niewidzialnego klucza w jego plecach. Został nakręcony, wyrwany ze snu, którego nie pamiętał, ale który mógł być przyjemny. Ubrał się z rozjuszoną nerwowością, oberwał guziki i nie zawiązawszy sznurowadeł, runął schodami w dół, na słońce, którego w ogóle nie zauważył. Wskoczył do samochodu - dzisiaj powinien zaklepać nowy termin przeglądu - i błyskawicznie dotarł na miejsce. Był tam już Svedberg i kilku innych policjantów, którzy pod wodzą Norena rozwijali pasiaste taśmy blokady, obwieszczające kolejne tąpnięcie świata. Svedberg niezdarnie poklepywał po ramieniu płaczącego biletera, paru mężczyzn w niebieskich kombinezonach stało nad wykopem, do którego mieli zejść, a który przypominał teraz prawdziwy koszmar. Wallander nawet nie zamknął drzwi, tylko natychmiast pobiegł do Svedberga. Dlaczego biegł, nie wiedział. Może policyjny mechanizm zegarowy zaczął się spieszyć? A może tak się bał tego, co zobaczy, że po prostu nie miał odwagi normalnie podejść?

Svedberg był kredowobiały. Skinął na wykop. Wallander czuł się jak przed pojedyńkiem, który z całą pewnością przegra. Zanim spojrzał, kilka razy głęboko odetchnął.

Było gorzej, niż mógł przypuszczać. Przez moment pomyślał, że patrzy prosto w mózg martwego człowieka. Było w tym wszystkim coś nieprzyzwoitego, jakby trup został przyłapany w bardzo intymnej sytuacji, gdzie należał mu się spokój. Ann-Britt Hóglund stanęła tuż obok. Drgnęła i odwróciła się. Jej reakcja przywróciła mu jasność umysłu. Sprawiała, że w ogóle zaczął myśleć. Uczucia odpłynęły, znów był policjantem i wiedział, że zabójca Gustafa Wetterstedta i Arne Carlmana zaatakował po raz trzeci.

- Nie ma żadnej wątpliwości - powiedział do Ann-Britt Hóglund. - To znowu on.

Była bardzo blada. Wallander się bał, że zemdleje. Chwycił ją za ramiona.

- Jak się czujesz?.

W milczeniu pokiwała głową.

Przyszedł Martinsson z Hanssonem. Obaj drgnęli, kiedy spojrzeli do dołu. Nagle ogarnęła go wściekłość. Za wszelką ceną muszą powstrzymać sprawcę.

- To na pewno ten sam człowiek - stwierdził Hansson drżącym głosem. - Czy to się nigdy nie skończy? Nie mogę za to dłużej odpowiadać. Czy Bjórk o tym wiedział? Zażądam posiłków z centrali.

- Zgoda, ale najpierw go wyciągnijmy i zobaczymy, czy sami tego nie rozwiążemy.

Hansson z niedowierzaniem wpatrywał się w Wallandera, jakby myślał, że sami zaczną wyjmować ciało z wykopu.

Przed blokadą zebrało się dużo ludzi. Wallander przypomniał sobie o odczuciach związanych z morderstwem Carlmana. Odciągnął Norena na bok i poprosił, żeby pożyczył od Nyberga aparat fotograficzny i dyskretnie robił zdjęcia gapiom stojącym przy blokadzie. W tym czasie przyjechali strażacy. Nyberg zaczął wydawać polecenia swoim ludziom. Wallander podszedł do niego, próbował nie patrzeć na zwłoki.

- Znowu przyszła pora - zauważył Nyberg. Wallander nie dopatrywał się w jego słowach ani cynizmu, ani obojętności. Ich spojrzenia spotkały się.

- Musimy go zgarnąć - powiedział Wallander.

- I to jak najszybciej.

Nyberg położył się na brzuchu, pochylił i studiował twarz zmarłego. Kiedy skończył, zawołał Wallandera, który właśnie szedł porozmawiać ze Svedbergiem.

- Widziałeś jego oczy? - spytał Nyberg. Wallander pokręcił głową.

- Co z nimi? Nyberg wykrzywił się.

- Tym razem skalp mu nie wystarczył. Wygląda na to, że wydłubał mu oczy.

Wallander patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- To znaczy?

- Człowiek wepchnięty do wykopu nie ma oczu. Tam, gdzie kiedyś były, są tylko dziury.

Dwie godziny zajęło im wydobycie ciała. W tym czasie Wallander zdążył

porozmawiać z robotnikiem, który podniósł brezent, i z bileterem, który stał na schodach dworca i marzył o Grecji. Spisał godziny. Poprosił Nyberga o przeszukanie kieszeni zmarłego, żeby mogli ustalić tożsamość. Kieszenie były puste.

- Nic? - zdziwił się Wallander.

- Nic - odparł Nyberg. - Ale oczywiście coś mogło wypaść. Poszukamy w dole.

Wyciągnęli go na uprząży. Wallander zmusił się, żeby spojrzeć na jego twarz. Nyberg wiedział, co mówi. Oskalpowany mężczyzna nie miał oczu. Zerwane włosy nasunęły Wallanderowi skojarzenia z martwym zwierzęciem. Usiadł na schodach dworca. Przystudiował grafik i zawołał Martinssona, który konferował z przybyłym lekarzem. - Tym razem wiemy, że nie leżał długo - powiedział Wallander. - Rozmawiałem z robotnikami, którzy wymieniają rury. Położyli brezent wczoraj o czwartej po południu. Zwłoki musiały się tam pojawić później, przed siódmą rano.

- Wiezorami kręci się tu dużo ludzi - zauważył Martinsson. - Spacerowicze, podróżni, pociągi i promy. To się musiało stać w nocy.

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, od jak dawna nie żyje i kto to jest.

Nyberg nie znalazł portfela. Nie mieli żadnych wskazówek pozwalających ustalić tożsamość zmarłego. Ann-Britt Hóglund przysiadła się do nich.

- Hansson mówi o posiłkach z centrali - powiedziała.

- Wiem - odparł Wallander. - Ale nie zrobi nic, dopóki go o to nie poproszę. Co powiedział lekarz? Zajrzała do notatek.

- Około czterdziestu pięciu lat. Silny, dobrze zbudowany.

- Jak dotąd jest najmłodszy - stwierdził Wallander.

- Dziwne miej scena ukrycie zwłok - przyznał Martinsson.

- Myślał, że w okresie urlopowym wstrzymano prace?

- Może tylko chciał się pozbyć ciała - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

- To dlaczego wybrał wykop? - zdziwił się Martinsson. - Wepchnięcie go tam wymagało nie lada wysiłku. Poza tym ktoś go mógł zauważyć.

- Może chciał, żeby ciało zostało znalezione - powiedział Wallander w zamyśleniu. - Nie możemy wykluczyć tej możliwości.

Spojrzeli na niego pytająco. Ale nie doczekali się ciągu dalszego.

Ciało zostało zabrane. Wallander polecił natychmiast przewieźć je do Malmö. Za kwadrans dziesiąta opuścili zagrodzony teren i pojechali do komendy. Wallander widział, że Noren od czasu do czasu fotografuje dużą grupę ludzi zebranych przy blokadzie.

O dziewiątej pojawił się Mats Ekholm. Długo przyglądał się zwłokom. Wallander podszedł do niego.

- Masz to, czego chciałeś - powiedział. - Jeszcze jeden.

- To nie ja chciałem - obruszył się Ekholm..

Wallander pożałował tych słów. Powinien był wyjaśnić Ekholmowi, co miał na myśli.

Tuż po dziesiątej zamknęli się w konferencyjnym. Hansson wydał kategoryczne polecenie, żeby nikogo z nimi nie łączyć. Ale jeszcze nie zaczęli obradować, kiedy zadzwonił telefon. Hansson z wściekłością podniósł słuchawkę i czerwony na twarzy, mrucał coś w odpowiedzi. Potem wolno osunął się na krzesło. Wallander skonstatował, że dzwonił ktoś z wierchuszki. Nawet tę słabość Hansson odziedziczył po Bjórku. Wtrącał krótkie uwagi, odpowiadał na pytania, ale najczęściej słuchał. Odłożył słuchawkę na widełki, jakby to był bezcenny antyk.

- Niech zgadnę - odezwał się Wallander. - Centrala. Albo prokurator generalny. Albo dziennikarz z telewizora.

- Komendant główny - powiedział Hansson. - Wyraził słowa ubolewania i otuchy.

- Bardzo szczególna mieszanka - zauważyła sucho Ann-Britt Hóglund.

- Jest mile widziany do pomocy - skwitował Svedberg.

- Co on wie o pracy policji - syknął Martinsson. - Absolutnie nic.

Wallander puknął długopisem w stół. Wiedział, że wszyscy są poruszeni i niepewni, co dalej. W każdej chwili mogli eksplodować. Sytuacje krytyczne, często paralizujące prace grupy dochodzeniowej, mogły szybko zniweczyć szansę wyjścia na prostą i doprowadzić do impasu. Wallander podejrzewał, że już wkrótce padną ofiarą bezpardonowej krytyki za pasywność i nieudolność. Nie byli się w stanie do końca uodpornić na presję z zewnątrz. Mogli jej tylko zapobiegać, koncentrując się na śledztwie, i udawać, że koniec śledztwa jest równy końcowi świata.

Próbował się skupić na podsumowaniu, chociaż wiedział, że właściwie nic nie mają.

- Co wiemy? - zaczął i rozejrzał się po zebranych, jakby w głębi duszy miał nadzieję, że ktoś wyciągnie spod stołu nieistniejącego królika.

Zamiast królika czuł na sobie skupione i ponure spojrzenia. Poczł się jak ksiądz, który utracił wiarę. Nie znajduję słów, pomyślał. A przecież musi powiedzieć coś, co ich skonsoliduje albo przynajmniej utwierdzi w przekonaniu, że rozumieją, co

się wokół nich dzieje.

- Mężczyzna musiał się znaleźć w wykopie w nocy - powiedział. - Załóżmy, że było to w późnych godzinach nocnych. Możemy przyjąć, że nie został tam zamordowany. Byłoby dużo więcej krwi. Nyberg to sprawdził. Czyli został tam przewieziony. Możliwe, że ludzie pracujący w kiosku z kiełbaskami coś zauważyli. Zdaniem lekarza, został zabity silnym uderzeniem w przód głowy. Ostrze przeszło na wylot. Innymi słowy, mamy trzeci wariant tego, co może zrobić z twarzą ostre narzędzie.

Martinsson był blady jak ściana. Podniósł się bez słowa i szybko opuścił pokój. Wallander postanowił kontynuować.

- Też został oskalpowany. Poza tym nie ma oczu. Lekarz nie był pewien przyczyny. Wokół oczodołów jest kilka plam, które mogą świadczyć o tym, że wlano mu do oczu jakąś substancję żrącą. Czy nasz specjalista mógłby to nam wyjaśnić?

- Jeszcze nie - odparł Ekholm. - Jest za wcześnie. - Nie oczekuję szczegółowych i wyczerpujących analiz. Na tym etapie musimy myśleć głośno. W naszych niemądrych i fałszywych ocenach może się nagle pojawić iskierka prawdy. Nie wierzymy w cuda, ale jeśli się przypadkiem zdarzą, przyjmujemy je.

- Myślę, że wypalone oczy coś znaczą - powiedział Ekholm.

- Możemy przyjąć, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Ostatni denat był młodszy od pozostałych. Poza tym został pozbawiony wzroku prawdopodobnie jeszcze za życia. To musiało być potwornie bolesne. Tym razem nie tylko zerwał skalp, ale także oślepił. Dlaczego? Za co tym razem bierze odwet?

- Sadystyczny psychopata - odezwał się nagle Hansson.

- Do tej pory myślałem, że seryjni mordercy są tylko w USA. Ale żeby tutaj? W Ystadzie? W Skanii?

- A jednak jest w nim jakaś samokontrola - kontynuował Ekholm. - Wie, czego chce. Zabija i skalpuje. Wypala albo wylupuje oczy. Nic nie wskazuje na furiata. Psychopata, tak, ale panuje nad tym, co robi.

- Są jakieś podobne przykłady? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Nic takiego mi się nie przypomina. W każdym razie nie w Szwecji. W USA badano rolę, jaką odgrywały oczy w wypadku morderców o głębokich zaburzeniach mentalnych. W ciągu dnia odświeżę sobie pamięć.

Wallander w roztargnieniu słuchał wymiany zdań między Ekholmem i kolegami. Coś zaświtało mu w głowie. Coś, co miało związek z oczami. Ktoś coś

powiedział o oczach. Próbował pochwycić to wspomnienie. Ale mu umykało, nie dawało spokoju.

- Masz coś jeszcze? - spytał Ekholma.

- Nie w tej chwili.

Wrócił Martinsson. Nadal był bardzo blady. - Coś mi przyszło do głowy - powiedział Wallander. - Nie wiem, czy to ważne, ale po wysłuchaniu Matsa Ekholma mam jeszcze większą pewność, że miejsce zbrodni jest gdzie indziej. Człowiek, któremu wypalono oczy, musiał krzyczeć. To całkiem po prostu nie mogło się stać przed dworcem, bo na pewno ktoś by coś zauważył albo usłyszał. Oczywiście, sprawdzimy. Ale na razie założmy, że mam rację. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego wybrał wykop na ukrycie zwłok. Rozmawiałem z jednym z robotników. Nazywa się Erik Persson. Powiedział, że wykop jest od poniedziałku, od popołudnia. Czyli od niespełna dwóch dni. Rzecz jasna, sprawca mógł wybrać to miejsce przez przypadek. Ale to by się kłóciło z jego planowym działaniem. Inaczej mówiąc, musiał być pod dworcem najwcześniej w poniedziałek po południu i musiał zajrzeć do wykopu, żeby ocenić, czy jest dostatecznie głęboki. Powinniśmy więc bardzo dokładnie przepytąć wszystkich ludzi, którzy tam pracują. Czy zauważyli kogoś, kto okazywał wyjątkowe zainteresowanie wykopem? Czy personel dworca coś zauważył?

Zebrani nastawili uszu. To go umocniło w wierze, że nie myśli zupełnie od rzeczy.

- Poza tym wydaje mi się, że sprawa miejsca ukrycia zwłok jest decydująca - kontynuował. - Musiał wiedzieć, że ciało zostanie odnalezione już następnego dnia rano. Dlaczego więc wybrał wykop? Czy właśnie dlatego, żeby zostało odnalezione? A może istnieje jakieś inne wytłumaczenie?

Wszyscy czekali, aż sam udzieli odpowiedzi.

- Rzuca nam wyzwanie? - zapytał. - Chce nam na swój chory sposób pomóc? Czy nas nabiera? Prowokuje mnie do takiego myślenia, jakiego jesteście teraz świadkami? A jakby to wyglądało na odwrót?

Przy stole zapadła cisza. - Czas też jest ważny - mówił dalej Wallander. - To morderstwo jest bardzo świeże. To nam może pomóc.

- Sami nie damy rady - wtrącił Hansson, który tylko czekał na okazję, żeby wrócić do sprawy posiłków.

- Poczekajmy - powiedział Wallander. - Zdecydujemy dzisiaj wieczorem albo jutro. O ile wiem, nikt z nas nie wybiera się dzisiaj na urlop. Jutro też nie. Popracujemy

w niezmienionym składzie jeszcze kilka dni. Potem, jeśli będzie trzeba, wzmocnimy grupę.

Hansson ustąpił, a Wallander szybko zadał sobie pytanie, czy Björk zachowałby się tak samo.

- Punkt styczności - przypomniał Wallander. - Jeszcze jednego denata musimy dopasować do obrazu, którego jeszcze nie mamy. Ale dalej będziemy nad tym pracować. - Popatrzył po zebranych. - Oczywiście powinniśmy założyć, że on może znowu zaatakować. Dopóki nie wiemy, o co chodzi, musimy to mieć na uwadze.

Zebranie było skończone. Wszyscy wiedzieli, co mają robić. Wallander został, siedział przy stole i próbował jeszcze raz pochwycić wspomnienie. Teraz nie miał już wątpliwości: ktoś coś powiedział w związku z tym śledztwem, coś o oczach. Cofnął się myślami do dnia, w którym dowiedział się o zamordowaniu Gustafa Wetterstedta. Szukał w najgłębszych zakamarkach pamięci. Ale nic nie znalazł. Zirytowany, odrzucił od siebie długopis i wstał. Z kawą, którą sobie przyniósł ze stołówki, poszedł do swojego pokoju. Postawił kawę na biurku i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, kiedy na korytarzu zobaczył Svedberga.

Svedberg szedł szybko. Chodził szybko tylko wtedy, kiedy działo się coś ważnego. Wallander od razu poczuł kamień w żołądku. Tylko nie jeszcze jeden, pomyślał. Nie damy sobie rady. - Chyba mamy miejsce zbrodni - powiedział Svedberg.

- Gdzie?

- Koledzy ze Sturupu znaleźli zakrwawioną furgonetkę na parkingu.

Wallander zastanowił się i pokiwał głową. Furgonetka. To pasowało. To mogło się zgadzać.

Kilka minut później wyszli z komendy. Wallanderowi się spieszyło. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał tak mało czasu do dyspozycji.

Kiedy wyjechali z miasta, poprosił siedzącego za kierownicą Svedberga, żeby postawił koguta na dachu.

Na polu przy drodze rolnik kosił rzepak. Dotarli do lotniska Sturup chwilę po jedenastej. Powietrze ani drgnęło, zapowiadał się parny dzień. W ciągu niespełna godziny ustalili, że najprawdopodobniej furgonetka jest miejscem zbrodni. I wiedzieli, kim jest zamordowany.

Furgonetka, stary model forda z końca lat 60, z rozsuwanymi bocznymi drzwiami, była dosyć niechlujnie pomalowana na czarno, gdzieśgdzie prześwitywał szary lakier. Karoserię znaczyły liczne stłuczki i rysy. Stojąc na skraju parkingu,

przypominała boksera, który właśnie został wyliczony i wisi na linach w swoim rogu. Wallander poznał już wcześniej kilku policjantów ze Sturupu. Wiedział, że nie jest zbyt popularny z powodu pewnego wydarzenia sprzed roku. Wysiedli ze Svedbergiem z samochodu. Boczne drzwi forda były otwarte. Paru techników kryminalnych dokonywało oględzin. Podeszedł do nich inspektor Waldemarsson. Mimo że jechali z Ystadu jak szaleni, Wallander silił się na spokój. Nie chciał okazywać podniecenia, jakie mu towarzyszyło od momentu porannej rozmowy telefonicznej, która go pozbawiła złudnej nadziei, że jest już po wszystkim.

- Nie wygląda to ładnie - powiedział Waldemarsson, kiedy się przywitani.

Wallander i Svedberg zajrzeli do forda. Waldemarsson poświecił latarką. Podłoga była we krwi.

- Usłyszeliśmy w porannych wiadomościach, że znowu zaatakował - wyjaśnił Waldemarsson. - Zadzwoń do was i rozmawiałem z policjantką, której nazwiska nie pamiętam.

- Ann-Britt Hóglund - poinformował Svedberg.

- Powiedziała, że szukacie miejsca zbrodni - kontynuował Waldemarsson. - I środka transportu. Wallander skinął głową.

- Kiedy znaleźliście samochód? - spytał.

- Kontrolujemy parking codziennie. Mamy tu, jak wiesz, trochę problemów z kradzieżami samochodów.

Wallander znów skinął głową. Biorąc udział w tym beznadziejnym dochodzeniu w sprawie zorganizowanego wywozu kradzionych samochodów do Polski, nieraz się kontaktował z policją na lotnisku.

- Wczoraj po południu tego samochodu nie było - mówił Waldemarsson. - Stoi tutaj nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Kto jest właścicielem? - spytał Wallander. Waldemarsson wyjął z kieszeni notes.

- Björn Fredman. Mieszka w Malmö. Dzwoniliśmy, ale nikt nie odbiera.

- Czy to on mógł leżeć w wykopie?

- Coś już wiemy o Björnie Fredmanie - powiedział Waldemarsson. - W Malmö zebrali dla nas trochę informacji. Fredman był znany jako paser i przy kilku okazjach siedział. - Paser - powtórzył Wallander i poczuł rosnące napięcie. - Chodziło o obrazy?

- Tego nie wiemy. Musisz sam porozmawiać z kolegami.

- Z kim? - zapytał, wyjmując komórkę z kieszeni.

- Z komisarzem Forsfaltem. Sten Forsfalt.

Wallander miał zaprogramowany numer policji w Malmö. Minutę później złapał Forsfalta, przedstawił się i powiedział, że jest na lotnisku. Przez chwilę rozmowę zagłuszył startujący odrzutowiec. Wallander pomyślał o czekającej go jesienią podróży do Włoch, w jaką się uda razem z ojcem.

- Musimy przede wszystkim zidentyfikować ofiarę - powiedział, kiedy samolot zniknął z pola widzenia, kierując się na Sztokholm.

- Jak on wygląda? - spytał Forsfalt. - Spotkałem Fredmana kilka razy.

Wallander podał mu dokładny rysopis.

- To może być on - przyznał Forsfalt. - W każdym razie był duży.

- Czy mógłbyś pojechać do szpitala, żeby go zidentyfikować? - spytał po namyśle. - Musimy jak najszybciej to potwierdzić.

- Tak.

- Przygotuj się na nie najładniejszy widok - uprzedził Wallander. - Denat nie ma oczu. Forsfalt milczał.

- Jedziemy do Malmö. Potrzebna nam pomoc w dostaniu się do jego mieszkania. Czy miał jakąś rodzinę?

- O ile dobrze pamiętam, był rozwiedziony - odpowiedział Forsfalt. - Wydaje mi się, że ostatnio siedział za pobiciem.

- Nie za paserstwo?

- To też. Björn Fredman miał się różnych zajęć w swoim życiu. Ale nigdy legalnych. Pod tym względem był konsekwentny. Wallander zakończył rozmowę i zadzwonił do Hanssona. Pokrótce zrelacjonował, co i jak.

- Dobrze - skwitował Hansson. - Odezwij się, kiedy będziesz miał więcej informacji. Zgadnij, kto dzwonił.

- Czyżby znowu komendant główny?

- Prawie. Lisa Holgersson. Następczyni Bjórka. Życzyła nam powodzenia. Jak się wyraziła, chciała się tylko rozeznąć w sytuacji.

- To dobrze, że ktoś nam życzy powodzenia - skomentował Wallander, nie rozumiejąc, dlaczego Hansson mówi o tym tak ironicznie.

Pożyczył latarkę od Waldemarssona i przepatrywał wnętrze forda. W jednym miejscu zauważył odcisk stopy. Poświecił i pochylił się.

- Ktoś był boso - powiedział zdziwiony. - To nie jest odcisk buta. To lewa stopa.

- Boso? - zdumiał się Svedberg. - Taplał się na bosaka w krwi człowieka,

którego zabił?

- Nie wiemy, czy to on - odparł z wahaniem Wallander.

Pożegnali się z Waldemarssonem i jego kolegami. Svedberg pobiegł do lotniskowej kawiarni po kanapki. Wallander czekał na niego w samochodzie.

- Paserskie ceny - burknął Svedberg, kiedy wrócił.

- Jedź - rzucił krótko Wallander.

Okoloł w pól do pierwszej zaparkowali przed komendą w Malmö. Wychodząc z samochodu, Wallander zauważył idącego w jego stronę Bjórka. Bjórk stanął jak wryty i wpatrywał się w niego, jakby go przyłapał na czymś niedozwolonym.

- Ty tutaj?

- Po myślałem, że cię poproszę, żebyś wrócił - niezbyt zręcznie zażartował Wallander, po czym wyjaśnił, co się stało.

- To okropne - powiedział Bjórk. Bjórk wydawał się autentycznie zaniepokojony. Dopiero teraz Wallander zdał sobie sprawę, że Bjórkowi mogło ich brakować, w końcu pracowali razem sporo lat.

- Nic nie jest jak dawniej - zauważył Wallander.

- Jak sobie radzi Hansson?

- Chyba dobrze się czuje w nowej roli.

- Może do mnie dzwonić, gdyby potrzebował pomocy.

- Przekażę.

Weszli do komendy. Forsfalt jeszcze nie wrócił ze szpitala. Czekając na niego, pili kawę w stołówce.

- Ciekawe, jakby się tutaj pracowało - zastanawiał się głośno Svedberg i obrzucił spojrzeniem policjantów jedzących lunch.

- Któregoś dnia może wszyscy tutaj wyładujemy - powiedział Wallander. - Jeśli nam zlikwidują komendę i ograniczą się do jednej w każdym województwie.

- To bez sensu.

- Owszem, bez sensu, ale mimo wszystko tak może być. Bez sensu czy nie. Główny zarząd i politycznych biurokratów łączy jedno: zawsze próbują udowodnić to, co niemożliwe.

Nagle obok nich stanął Forsfalt. Wstali, przywitali się i poszli do jego pokoju. Forsfalt zrobił na Wallanderze bardzo dobre wrażenie. Na swój sposób przypominał mu Rydberga. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat i miłą twarz. Lekko utykał na prawą nogę. Forsfalt wniósł do pokoju dodatkowe krzesło, Wallander usiadł i patrzył na

fotografie roześmianych dzieci, wiszące na ścianie. Domyślał się, że to wnuki Forsfalta.

- Björn Fredman - stwierdził Forsfalt. - To on. Wygląda okropnie. Kto robi coś takiego?

- Gdybyśmy to wiedzieli - powiedział Wallander. - Kim był Björn Fredman? - Miał czterdzieści pięć lat i nigdy nie podjął normalnej, uczciwej pracy. Poprosiłem o ściągnięcie z komputera wszystkiego, co o nim mamy. Parał się paserstwem i siedział za pobicie. Dosyć poważne pobicie, o ile dobrze pamiętam.

- Czy mógł się zajmować kupnem i sprzedażą obrazów?

- Z tego, co pamiętam, nie.

- Szkoda. Bo mielibyśmy związek między nim a Wetterstedtem i Carlmanem.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Björn Fredman i Gustaf Wetterstedt mieli z siebie jakiś pożytek - powiedział Forsfalt w zamyśleniu.

- Dlaczego nie?

- Odpowiem wprost. Björn Fredman był, jak to się kiedyś mówiło, ordynusem. Chłał i prał. Wykształcenie miał żadne, nie licząc skromnych umiejętności czytania, pisania i rachowania. Nie przejawiał szczególnie wyrafinowanych zainteresowań. Poza tym był brutalny. Kilka razy osobiście go przesłuchiwałem. Nie zapomnę jego słownictwa. Niemal wyłącznie składało się z przekleństw.

Wallander słuchał z uwagą. Kiedy Forsfalt umilkł, popatrzył na Svedberga.

- Śledztwo wkracza w drugą fazę - wolno powiedział Wallander. - Jeśli nie znajdziemy związku między Fredmanem i dwoma pozostałymi, wrócimy do punktu wyjścia.

- Może być naturalnie coś, o czym nie wiem - zastrzegł się Forsfalt.

- Nie wyciągam na razie żadnych wniosków - stwierdził Wallander. - Tylko głośno myślę.

- Czy miał tutaj rodzinę? - spytał Svedberg.

- Od kilku lat był rozwiedziony. Tego jestem pewien.

Forsfalt podniósł słuchawkę i wykręcił numer wewnętrzny. Po kilku minutach sekretarka przyniosła akta personalne Fredmana. Forsfalt szybko je przejrzał.

- Rozwiódł się w dziewięćdziesiątym pierwszym. Żona i dzieci zostały w tym samym mieszkaniu, w Rosengardzie. Jest troje dzieci, najmłodsze ledwie się urodziło, kiedy się rozstali. Björn Fredman przeprowadził się do mieszkania przy Stenbrottsgatan, które miał od wielu lat i wykorzystywał jako biuro i magazyn. Nie

wydaje mi się, żeby żona o tym wiedziała. Tam zapraszał swoje znajome.

- Zaczniemy od mieszkania - zdecydował Wallander. - Rodzina może poczekać. Zakładam, że powiadomicie ich o jego śmierci.

Forsfalt skinął głową. Svedberg poszedł zadzwonić do Ystadu, żeby przekazać informację o denacie. Wallander stanął przy oknie i zastanawiał się, co jest teraz najważniejsze. Niepokoił go brak związku między wszystkimi ofiarami. Po raz pierwszy miał przeczucie, że są na fałszywym tropie. Czyżby przeoczył całkiem inne wyjaśnienie tego, co się stało? Jeszcze tego samego dnia wieczorem postanowił przejrzeć pod tym kątem wszystkie materiały dochodzeniowe.

Svedberg był z powrotem.

- Hanssonowi ulżyło - powiedział.: Wallander skinął głową.

- Podobno przyszły wyczerpujące dane z Interpolu - kontynuował Svedberg - o dziewczynie z pola rzepaku.

Wallander nie słyszał. Poprosił Svedberga, żeby powtórzył. Jakby dziewczyna, którą widział płonąca jak pochodnia, odeszła w przeszłość. Wiedział jednak, że prędzej czy później będzie musiał do tego wrócić.

Stali w milczeniu.

- Nie czuję się dobrze w Malmö - powiedział nagle Svedberg. - Naprawdę dobrze czuję się tylko w Ystadzie.

Wallander wiedział, że Svedberg nie lubi wyjeżdżać poza granice swojego rodzinnego miasta. W komendzie do znudzenia o tym dowcipkowano. Wallander zaczął się zastanawiać, kiedy on sam czuł się naprawdę dobrze. O siódmej rano w niedzielę, kiedy w drzwiach jego mieszkania stanęła Linda.

Forsfalt załatwił kilka spraw i mogli ruszyć w drogę. Zjechali windą do policyjnego garażu i udali się do dzielnicy przemysłowej w północnej części miasta. Zaczęło wiać. Niebo nadal było bezchmurne. Wallander siedział z przodu, obok Forsfalta.

- Znałeś Rydberga? - spytał.

- Czy znam Rydberga? Oczywiście. Zналиśmy się dobrze. Czasami do mnie wpadał.

Wallander był zdziwiony. Zawsze myślał, że Rydberg, stary policjant, dawno temu wykreślił ze swojego życia to, co nie miało związku z pracą.

- To on mnie wszystkiego nauczył - powiedział Wallander.

- Tragiczna była jego śmierć. Powinien był żyć trochę dłużej. Marzył o tym,

żeby kiedyś pojechać na Islandię.

- Na Islandię?

Forsfalt obrzucił go przelotnym spojrzeniem i pokiwał głową.

- Takie było jego marzenie. Pojechać na Islandię. Ale nigdy się nie spełniło.

Wallandera ogarnęło dziwne uczucie, że Rydberg zataił przed nim coś, o czym powinien był wiedzieć. Nawet nie przypuszczał, że Rydberg marzy o Islandii. Nie podejrzewał go o żadne marzenia. A już na pewno nigdy by nie pomyślał, że miał przed nim jakieś tajemnice.

Forsfalt zahamował przed trzypiętrowym domem i wskazał na rząd zasłoniętych okien na parterze. Budynek był stary i źle utrzymany. Szybę w drzwiach wejściowych zastępowała płyta wiórowa. Wallander miał uczucie, że wchodzi do nieistniejącego domu. Czy obecność tej ruiny nie kłóci się ze szwedzką konstytucją? - pomyślał z ironią. Na klatce cuchnęło uryną. Forsfalt otworzył drzwi. Wallander zastanawiał się, skąd wziął klucz. Weszli do przedpokoju i zapalili światło. Na podłodze leżało kilka broszur reklamowych, i to wszystko. Wallander nie był na swoim terenie, dlatego Forsfalt przewodził. Najpierw obeszli całe mieszkanie, żeby sprawdzić, czy nikogo w nim nie ma. Składało się z trzech pokoi i małej kuchni, której okno wychodziło na skład beczek benzyny. Mieszkanie wydawało się nijakie. Tylko łóżko było nowe, inne meble sprawiały wrażenie przypadkowych. Na regale pamiętającym lata 50 stało kilka tanich porcelanowych figurek. W kącie piętrzył się stos gazet i leżały hantle. Na kanapie poniewierała się zalana kawą płyta CD z turecką muzyką ludową. Zasłony były zaciągnięte. Forsfalt zapalał kolejno wszystkie lampy. Wallander szedł kilka kroków za nim, a Svedberg usiadł na krześle w kuchni, żeby zadzwonić do Hanssona z informacją, gdzie teraz są. Wallander otworzył stopą drzwi spiżarki. Stały tam nieotwarte oryginalne kartony Grant's whisky. Z wymiętego listu przewozowego wynikało, że pewna szkocka destylarnia wysłała je do handlarza win w Gencie, w Belgii. Zastanawiał się, jak trafiły do Bjórna Fredmana. Forsfalt znalazł kilka zdjęć właściciela mieszkania. Wallander skinął głową. Nie było wątpliwości, że to on leżał w wykopie przed stacją kolejową. Wszedł do dużego pokoju i zadał sobie pytanie, czego powinien szukać. Mieszkanie Fredmana stanowiło dokładne przeciwieństwo Willi Wetterstedta i kosztownie odremontowanego gospodarstwa Carl-mana. Tak wygląda Szwecja, pomyślał. Różnice są równie duże jak wówczas, gdy część ludzi mieszkała w dworach, a część w kurnych chatkach.

Spojrzał na biurko zawałone pismami antykwarycznymi. Uznał, że mają

związek z paserską działalnością Fredmana. Jedyna szuflada biurka była otwarta. Nie licząc mnóstwa kwitów, popsutych długopisów i papierośnicy, leżało tam oprawione w ramkę zdjęcie rodziny Bjorna Fredmana. Björn Fredman uśmiechał się od ucha do ucha. Obok siedziała żona z niemowlęciem na ręku. Z tyłu stała jedenasto-, dwunastoletnia dziewczynka, której oczy wyrażały lęk przed fotografem. Koło niej, tuż za matką, stał kilka lat młodszy chłopiec. Miał zaciętą twarz, jakby do końca chciał stawić opór fotografowi. Wallander podszedł ze zdjęciem do okna i odsunął zasłonę. Długo się przyglądał, próbując zrozumieć, co widzi. Nieszczęśliwą rodzinę? Rodzinę, która jeszcze nie wie, że jest nieszczęśliwa? Nowo narodzone dziecko, które nie podejrzewa, co je czeka? Coś go w tym zdjęciu przygnębiło, może nawet przybiło, nie potrafił jednak tego nazwać. Zaniósł zdjęcie do sypialni, gdzie Forsfalt klęczał na podłodze i zaglądał pod łóżko.

- Powiedziałeś, że siedział za pobicie - powiedział Wallander.

Forsfalt wstał i spojrzał na zdjęcie.

- Bił żonę niemal do nieprzytomności - stwierdził. - Bił ją, kiedy była w ciąży i kiedy urodziło się dziecko, ale, co ciekawe, nigdy z tego powodu nie trafił do więzienia. Siedział za złamanie nosa taksówkarzowi i za skatowanie kumpla, który go podobno oszukał.

Dalej przeczesywali mieszkanie. Svedberg skończył rozmowę z Hanssonem. Nieważnego się tam nie wydarzyło. Spędzili u Fredmana dwie godziny. Wallander pomyślał, że w porównaniu z tym, co tu zobaczył, jego mieszkanie jest ciepłym i przytulnym gniazdkiem. Nie znaleźli nic ciekawego, nie licząc zabytkowych świeczników, które Forsfalt wyciągnął z zakamarków szafy. Wallander pomału zaczynał rozumieć, co o znaczy, że słownictwo Bjorna Fredmana składało się niemal wyłącznie z przekleństw. Mieszkanie było tak samo puste i bezsilne jak jego język. O wpół do czwartej wyszli na ulicę. Wiatr przybrał na sile. Forsfalt zadzwonił do komendy. Rodzina została poinformowana o śmierci Bjórna Fredmana.

- Chętnie z nimi porozmawiam - powiedział Wallander, kiedy już siedzieli w samochodzie. - Ale może lepiej z tym poczekać do jutra.

Uświadomił sobie, że nie jest szczery. Powinien był powiedzieć, jak jest, że zawsze ma opory, ilekroć musi narzucać się rodzinie, której członek lub krewny poniósł gwałtowną śmierć. Przede wszystkim myślał o rozmowie z dziećmi. Czekanie do następnego dnia nie stanowiło oczywiście dla nich żadnej różnicy. Ale dla Wallandera oznaczało chwilę oddechu.

Pożegnali się przed komendą. Forsfalt miał jeszcze tego samego dnia załatwić z Hanssonem formalności związane z prowadzeniem dochodzenia poza macierzystym okręgiem, a następnego dnia o dziesiątej rano miał się spotkać z Wallanderem.

Przesiedli się do swojego samochodu i wrócili do Ystadu. Wallander miał o czym myśleć. Przez całą drogę nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

W słonecznej mgiele majaczyła Kopenhaga. Wallander zastanawiał się, czy rzeczywiście spotka się tam z Bajbą za niespełna dziesięć dni, czy też morderca, którego szukali i o którym teraz wiedzieli jeszcze mniej; zmusi go do przełożenia urlopu.

Myślał o tym, czekając przed terminalem poduszkowców w Malmö. Był ranek 30 czerwca. Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy wrócił do Malmö, żeby porozmawiać z rodziną Bjórna Fredmana, zdecydował się wymienić Svedberga na Ann-Britt Hóglund. Spytała, czy mogą wyjechać wcześniej, bo zanim się spotkają z Forsfalem, chciałaby jeszcze coś załatwić. Syedberg ani trochę nie był rozżalony na wiadomość o tym, że nie jedzie do Malmö. Ba, odczuł wyraźną ulgę. Ann-Britt Hóglund poszła do terminalu, a Wallander spacerował po molu i patrzył na Kopenhagę. Z basenu portowego wypływał wodolot, na kadłubie miał wymalowaną nazwę „Lóparen”. Było ciepło. Wallander zdjął kurtkę i zarzucił ją na ramię. Ziewał.

Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy wrócili z Malmö, zrobił zebranie z tymi, którzy jeszcze byli w komendzie. W recepcji, wespół z Hanssonem, wziął udział w zaimprovizowanej konferencji prasowej. Na zebraniu był Ekholm. Nadal budował portret psychologiczny sprawcy, w którym znalazłyby swoje uzasadnienie wypalone lub wyłupane oczy, co pozwoliłoby sformułować prawdopodobną hipotezę, dostarczając im tym samym ważnej wskazówki. Uzgodnili, że Wallander może poinformować dziennikarzy, że ścigają mężczyznę, który nie zagraża bezpieczeństwu ogółu, jest natomiast wyjątkowo groźny dla wybranych przez siebie ofiar. Mieli rozbieżne opinie co do zasadności takiego posunięcia. Wallander obstawał przy tym, że muszą uwzględnić możliwość reakcji kogoś, kto uzna się za potencjalną ofiarę i choćby powodowany instynktem samozachowawczym, skontaktuje się z policją. Dziennikarze rzucili się na jego informacje jak sępy. Z przykrością stwierdził, że dostali najlepszą wiadomość akurat w tym momencie, kiedy w całym kraju zaczynał się sezon ogórkowy. Potem, po zebraniu i konferencji, czuł ogromne zmęczenie.

Mimo to poświęcił trochę czasu na zapoznanie się z obszernym teleksem z Interpolu. Już wiedzieli, że dziewczyna z pola Salomonssona zniknęła z Santiago de

los Treinta Caballeros w grudniu zeszłego roku. Jej ojciec, farmer Pedro Santana, złożył doniesienie o jej zaginięciu 14 stycznia. Dolores Maria, która 18 lutego skończyła siedemnaście lat - ten szczegół bardzo przygnębił Wallandera - pojechała do Santiago szukać pracy jako pomoc domowa. Przedtem żyła z ojcem w małej wiosce, siedemdziesiąt kilometrów od miasta. Zamieszkała u dalekiego krewnego, kuzyna ojca, i nagle po prostu zniknęła. Według skromnego materiału dochodzeniowego, dominikańska policja nie zadała sobie zbyt wiele trudu, żeby ją odnaleźć. Dopiero kiedy niestrudzony w poszukiwaniach ojciec zainteresował jej zaginięciem pewnego dziennikarza, policja ustaliła, że Dolores Maria przypuszczalnie wyjechała z kraju, żeby gdzie indziej szukać szczęścia.

I to wszystko. Dochodzenie zawisło w próżni. Komentarz Interpolu był zwięzły. Nie istniały żadne dowody wskazujące na przebywanie Dolores Marii Santany w którymś z krajów współpracujących z Interpolem. Aż do tej pory.

I tyle.

- Znika w mieście Santiago -.powiedział Wallander. - Przeszło pół roku później pojawia się na polu rzepaku Salomonssona. I podpala się. Co to znaczy?

Martinsson pokręcił bezradnie głową.

Mimo że Wallander był tak zmęczony, że nie miał siły myśleć, natychmiast się ożywił. Zirykowała go bierność Martinssona.

- Sporo wierny - powiedział stanowczo. - Wiemy, że była w Helsingboijgu i że podwiózł ją człowiek ze Smedstorpu. Wiemy, że sprawiała wrażenie kogoś, kto przed czymś ucieka. I wiemy, że nie żyje. Przekażemy to Interpolowi. Poza tym poproś ich o sprawdzenie, czy ojciec dziewczyny rzeczywiście został powiadomiony o jej śmierci. Kiedy się przewali nad nami to piekło, dowiemy się, kogo się bała. Już teraz skontaktuj się z kolegami z Helsingborga, najlepiej jutro rano. Może mają jakiś pomysł, co się mogło stać.

Po tym łagodnym proteście przeciwko bierności Martinssona Wallander pojechał do domu. Zatrzymał się przed kioskiem, żeby kupić hamburgera. Afisze z nagłówkami gazet serwowały najnowsze wiadomości o mistrzostwach świata w piłce nożnej. W pierwszym odruchu chciał je zerwać i krzyknąć: „dość już tego!”, ale oczywiście nic nie zrobił. Ustawił się w ogonku i czekał na swoją kolej, potem zapłacił, dostał hamburgera i wsiadł do samochodu.

W domu usiadł przy kuchennym stole i zjadł, popijając hamburgera wodą. Potem zrobił sobie mocną kawę, uprzątnął stół i zmusił się do ponownego przejrzenia

materiału dochodzeniowego. Nie opuszczało go uczucie, że są na fałszywym tropie. Mimo że to nie on określił kierunek śledztwa, on decydował o jego przebiegu, tempie i ewentualnych korektach. Szukał takich miejsc, gdzie być może powinni zwolnić i dokładniej się rozejrzeć. A jeśli punkty styczności między Wetterstedtem i Carlmanem są wyraźnie widoczne, tylko oni tego nie zauważyli? Zapoznał się ze wszystkimi śladami obecności sprawcy, tymi niepodważalnymi i tymi ledwie przeczuwanymi, jak nagle podmuchy chłodnego wiatru. W notatniku spisywał pytania, na które nie znali odpowiedzi. Irytowało go, że do tej pory nie ma wyników wielu badań laboratoryjnych. Minęła północ. Korciło go, żeby zadzwonić do Nyberga i spytać, czy analitycy i chemicy z Linkópingu w lecie nie pracują. Ale przeważył rozsądek. Ślęczał nad papierami tak długo, aż rozboleł go kręgosłup i litery zaczęły skakać przed oczami. O wpół do trzeciej poddał się. W jego zmęczonej głowie pojawił się obraz sytuacji potwierdzający słuszność przyjętych metod śledztwa. Musi być punkt styczności między oskałpowanymi ofiarami. Kto wie, czy właśnie dzięki temu, że Björn Fredman nie pasuje do tej układanki, będą mogli znaleźć rozwiązanie. Coś, co się nie zgadza, może na zasadzie odwróconego odbicia w lustrze powiedzieć, co się zgadza, gdzie jest góra, a gdzie dół. Inaczej mówiąc, powinni iść tym samym tropem, od czasu do czasu wysyłając zwiadowcę na przepatrzenie okolic. Zadba o porządek tyły, a przede wszystkim zmusi się do myślenia wielotorowego.

Na podłodze ciągle leżała sterta ubrań. Pomyślał, że przypomina bajzel, jaki ma w głowie. Znowu się nie umówił na przegląd samochodu. Zastanawiał się, czy jednak nie powinien poprosić centrali o posiłki. Porozmawia o tym z Hanssonem z samego rana, kiedy pośpi kilka godzin.

Ale kiedy się obudził o szóstej, zmienił zdanie. Poczekaj jeszcze jeden dzień. Zadzwonił do Nyberga - wiedział, że wstaje wcześniej - i zwrócił mu uwagę, że ciągle nie ma wyników badań niektórych przedmiotów i śladów krwi, które przesłali do Linkópingu. Liczył się z wybuchem złości, tymczasem, ku jego wielkiemu zdziwieniu, Nyberg zgodził się, że to trwa wyjątkowo długo. Obiecał, że osobiście się tym zajmie. Przez chwilę rozmawiali o oględzinach wykopu, w którym znaleziono Bjórna Fredmana. Ślady krwi wokół świadczyły o tym, że morderca zaparkował samochód tuż obok. Nyberg był już w Sturupie i przyjrzał się furgonetce. Nie ulegało wątpliwości, że użyto jej do przewozu zwłok. Nie sądził jednak, by dokonano w niej morderstwa.

- Björn Fredman był duży i silny - powiedział. - Nie wyobrażam sobie, żeby

można go było zabić w samochodzie. Myślę, że został zamordowany gdzie indziej.

- A więc rodzi się pytanie, kto prowadził samochód i gdzie Fredman zginął.

Tuż po siódmej Wallander był w komendzie. Zadzwoił do Ekholma do hotelu. Został go przy śniadaniu. - Chcę, żebyś się skoncentrował na oczach - powiedział. - Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonany, że to ważne. Może najważniejsze. Dlaczego pozbawia oczu Fredmana, a innych nie? Chcę to wiedzieć.

- Wszystko trzeba widzieć w całości - stwierdził Ekholm. - Psychopaci tworzą z reguły racjonalne wzory, których się trzymają, tak jakby były zapisane w świętej księdze. Oczy trzeba umieścić w tym wzorze.

- Rób, co chcesz - uciął Wallander - bylebym wiedział, dlaczego właśnie Fredman ma wyłupane oczy. Wzór nie wzór.

- To chyba kwas - powiedział Ekholm.

Wallander zapomniał spytać Nyberga o ten szczegół.

- Możemy przyjąć, że to już jest wyjaśnione? - spytał.

- Na to wygląda. Ktoś wlał Fredmanowi kwas do oczu. Wallander skrzywił się.

- Porozmawiamy po południu - powiedział i zakończył rozmowę.

Tuż po ósmej wyjechał z Ann-Britt Hóglund z Ystadu. Z ulgą opuszczał komendę, bo bez przerwy dzwonili dziennikarze i zaczęły się odzywać osoby prywatne. Pościg za sprawcą wyszedł z policyjnych okopów i stał się sprawą publiczną. Wallander wiedział, że to konieczne, wymagało jednak od nich wiele wysiłku, jako że musieli sprawdzać wszystkie informacje, napływające zewsząd wartkim strumieniem.

Ann-Britt Hóglund wyszła z terminalu.

- Ciekawe, jakie będzie lato w tym roku - powiedział w roztargnieniu.

- Moja babcia, która mieszka w Almhulcie, potrafi przepowiadać pogodę. Jej zdaniem, czeka nas długie, ciepłe i bezdeszczowe lato.

- Czy często się myli?

- Prawie nigdy. - A ja myślę, że będzie odwrotnie. Deszczowo, chłodno i obrzydliwie.

- Też przepowiadasz pogodę?

- Nie.

Wrócili do samochodu. Wallander był ciekaw, co robiła w terminalu, ale nie zapytał.

O wpół do dziesiątej byli przed komendą w Malmö. Forsfalt już czekał na

chodniku. Usiadł na tylnym siedzeniu, mówił, któredy mają jechać i gawędził z Ann-Britt Hóglund o pogodzie. Przed domem w Rosengardzie zdał im relację z wczorajszego dnia.

- Była żona Bjórna Fredmana przyjęła wiadomość o jego śmierci ze spokojem. Zdaniem mojej koleżanki, bo ja tego nie wyczułem, załatywało od niej alkoholem. W mieszkaniu był bałagan. Młodszy chłopiec ma zaledwie cztery lata. Nie bardzo rozumie, że ojca, którego prawie nie widywał, już nie ma. Ale starszy zrozumiał. Córki nie było w domu.

- Jak ona się nazywa? - spytał Wallander.

- Córka?

- Nie, żona. Eks-żona.

- Anette Fredman.

- Pracuje gdzieś?

- Z tego, co wiem, nie.

- Z czego żyje?

- Nie wiem. Ale wątpię, żeby Bjorn Fredman był szczególnie hojny dla swojej rodziny. Nie wyglądał na takiego.

Wallander nie miał więcej pytań. Wjechali na czwarte piętro. W kabinie windy leżała stłuczona butelka. Wallander wymienił spojrzenie z Ann-Britt Hóglund i pokręcił głową. Forsfalt zadzwonił do drzwi. Otworzyły się po minucie. Kobieta była chuda i blada, co dodatkowo uwydatniał jej czarny strój. Przerażona, patrzyła na dwie nieznajome twarze. Kiedy się rozbierali w przedpokoju, Wallander zauważył, że ktoś wygląda zza drzwi i szybko się chowa. Pomyślał, że to pewnie starszy syn albo córka. Forsfalt przedstawił Wallandera i Ann-Britt Hóglund. Zrobił to starannie i niezwykle uprzejmie. Nie spieszył się. Wallander uznał, że Forsfalt, podobnie jak kiedyś Rydberg, może go jeszcze sporo nauczyć. Zaprosiła ich do salonu. Sądząc z opisu Forsfalta, musiała posprzątać. Po bałaganie, o którym wspomniał, nie było śladu. W salonie stała kanapa, fotele i ława, prawie nieużywane. Był też gramofon, magnetowid i telewizor „Bang & Olufsen”, marka, na którą Wallander często zerkał, ale nie sądził, żeby kiedykolwiek na to zarobił. Zrobiła kawę. Wallander nasłuchiwał. W rodzinie był czteroletni chłopiec, a dzieci w tym wieku rzadko są cicho. Usiedli przy stole.

- Proszę przyjąć moje kondolencje - zaczął, starając się dorównać uprzejmością Forsfaltowi.

- Dziękuję - powiedziała cicho łamiącym się głosem, jakby za chwilę miał

pęknać.

- Niestety, muszę pani zadać kilka pytań. Mimo że wolałbym z tym poczekać.

W milczeniu skinęła głową. W tym momencie otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju. Do salonu wszedł dobrze zbudowany czternastolatek. Miał szczerą, sympatyczną twarz i czujne oczy.

- To mój syn - powiedziała. - Stefan.

Wallander zauważył, że chłopiec jest bardzo dobrze wychowany. Przywitał się ze wszystkimi, a potem usiadł obok matki na kanapie.

- Chciałabym, żeby przy tym był.

- Nie widzę przeszkód - zgodził się Wallander. - Może tylko powiem, że mi przykro z powodu tego, co się stało z twoim tatą. - Nie widywaliśmy się zbyt często - powiedział chłopiec.

- Ale dziękuję.

Wallander odniósł bardzo dobre wrażenie. Stefan wydawał się niezwykle dojrzały jak na swój wiek. Pewnie dlatego, że musiał zapełnić pustkę po nieobecnym tacie.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, jest jeszcze jeden syn - kontynuował Wallander.

- Jest u przyjaciółki i bawi się z jej synem - odparła Anette Fredman. - Pomyślałam, że bez niego będzie spokojniej. Ma na imię Jens.

Wallander skinął na Ann-Britt Hóglund, która robiła notatki.

- Poza tym jest jeszcze starsza siostra?

- Tak, Louise.

- Ale nie ma jej w domu?

- Pojechała na kilka dni odpocząć.

To chłopiec powiedział, że wyjechała. Zabrał głos, jakby chciał odciążyć matkę. Odpowiedział spokojnie i uprzejmie. Wallander wyczuł jednak, że z siostrą jest coś nie tak. Może odpowiedź przyszła za szybko? A może zbyt późno? Momentalnie wzmógł czujność. Bezgłośnie wysunęły się jego niewidzialne anteny.

- Rozumiem, że musiała to przeżyć - powiedział ostrożnie.

- Ona jest bardzo wrażliwa - odparł jej brat.

Coś się nie zgadza, pomyślał Wallander. Ale postanowił dalej tego nie drażnić. Wróci do dziewczyny później. Obrzucił spojrzeniem Ann-Britt Hóglund. Chyba nic nie zauważyła.

- Nie będę powtarzał pytań, na które już odpowiedzieliście - powiedział,

nalewając sobie kawy, żeby zaznaczyć, że wszystko jest w porządku.

Chłopiec cały czas śledził go wzrokiem. W jego oczach była jakaś ptasia czujność. Pomyślał, że chłopiec za wcześnie musiał wziąć na siebie obowiązki, do których nie dorósł. Zasepił się. Nic go bardziej nie bolało niż widok dzieci lub ludzi młodych, skazanych na ciężkie życie. W każdym razie on nigdy nie kazał Lindzie zajmować się domem, kiedy Mona się wyprowadziła. Mimo że prawdopodobnie był złym rodzicem, na nic takiego jej nie naraził.

- Wiem, że nie widzieliście Bjórna od kilku tygodni - kontynuował. - Zakładam, że dotyczy to również Louise? Tym razem odpowiedziała mama:

- Kiedy ostatnim razem tutaj był, Louise wyszła. Nie widziała go od kilku miesięcy.

Wallander przeszedł powoli do najtrudniejszych pytań. Ponieważ nie można było uciec od przykrych wspomnień, próbował się poruszać jak najdelikatniej.

- Ktoś go zabił - powiedział. - Czy domyślacie się, kto mógł to zrobić?

Anette Fredman spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Trzeba by raczej spytać, kto by tego nie chciał zrobić - powiedziała z nagłą ostrością i jej dotychczasowy spokój zniknął. - Sama nie wiem, ile razy pragnęłam znaleźć w sobie dość siły, żeby go zabić.

Syn objął matkę ramieniem.

- Na pewno tak nie myślałaś. Szybko się opanowała.

- Nie wiem, kto to zrobił - powiedziała. - I nie chcę wiedzieć. Bardzo mi ulżyło, że on już nigdy więcej nie przekroczy progu tego domu. I nie zamierzam mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

Podniosła się gwałtownie i wyszła do łazienki. Ann-Britt Hóglund wahała się przez chwilę, czy za nią nie pójść. Została jednak, kiedy chłopiec zaczął mówić.

- Mama jest bardzo zdenerwowana. - Rozumiemy to - odparł Wallander, nabierając do niego coraz więcej sympatii. - Sprawiasz wrażenie bardzo rozsądnego chłopca. Może ty masz jakieś przemyślenia.

- Nie wydaje mi się, żeby to był ktoś spoza kręgu znajomych taty - powiedział. - Mój tata był złodziejem. I bił ludzi. Podejrzewam, że był jednym z tych, o których się mówi „torpeda”. Ściągał długi, groził ludziom.

- Skąd to wiesz?

- Nie wiem.

- Czy nie myślisz o jakiejś konkretnej osobie?

- Nie.

Wallander milczał, pozwalając się chłopcu zastanowić,

- Nie - powtórzył. - Nie wiem. Anette Fredman wróciła z łazienki.

- Czy coś wam może wiadomo o kontaktach ojca z Gustafem Wetterstedtem?

Był kiedyś ministrem sprawiedliwości. Albo z handlarzem obrazów, Arne Carlmanem?

Oboje przecząco pokręcili głowami.

Wallander poruszał się po omacku. Próbował dopomóc ich pamięci. Od czasu do czasu włączał się Forsfalt. W końcu Wallander uznał, że niczego więcej się nie dowiedzą. Skinął głową na Ann-Britt Hóglund i Forsfalta. Skończył. Kiedy się żegnali w przedpokoju, zaznaczył, że wkrótce znowu się odezwie, może już jutro. Zostawił swój numer telefonu, na policję i do domu.

Kiedy byli na ulicy, zobaczył, że Anette Fredman patrzy na nich z okna.

- Siostra - powiedział Wallander. - Louise Fredman. Co o niej wiemy?

- Wczoraj też jej nie było - odparł Forsfalt. - Naturalnie mogła wyjechać. Ma siedemnaście lat. Wallander myślał przez chwilę. - Chciałbym z nią porozmawiać.

Nie zareagowali. Zrozumiał, że tylko on zauważył tę zmianę, od uprzejmości do czujności, kiedy o nią pytał. Pomyślał o Stefanie Fredmanie. O jego czujnych oczach. Było mu go żal.

- Na razie to wszystko - powiedział Wallander, kiedy się rozstawali przed komendą. - Ale naturalnie będziemy w kontakcie.

Wracali do Ystadu przez skański krajobraz, który o tej porze roku był najpiękniejszy. Ann-Britt Hóglund odchyliła się na siedzeniu i zamknęła oczy. Nuciała jakąś swoją improwizację. Chciałby mieć taką zdolność wyłączania się ze śledztwa, o którym myślał z dużym niepokojem. Rydberg powtarzał, że policjant nigdy nie jest całkowicie zwolniony od odpowiedzialności. W tej konkretnej sytuacji byłby jednak skłonny przyznać, że Rydberg się mylił.

Minęli boczną drogę na Skurup. Ann-Britt Hóglund zasnęła. Starł się prowadzić jak najłagodniej, żeby się nie obudziła. Dopiero kiedy musiał wyhamować przed rondem pod Ystadem, otworzyła oczy. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Skinął na nią, żeby odebrała. Nie mógł się zorientować, z kim rozmawia, w każdym razie rozumiał, że stało się coś poważnego. Słuchała, nie zadając pytań. Skończyła, kiedy dojeżdżali do komendy.

- To Svedberg - powiedziała. - Córka Carlmana usiłowała popełnić

samobójstwo. Leży pod respiratorem w szpitalu.

Wallander odezwał się dopiero po zaparkowaniu i wyłączeniu silnika. Domyślał się, że jeszcze nie powiedziała wszystkiego.

- Co jeszcze mówił?

- Prawdopodobnie z tego nie wyjdzie. Wallander wpatrywał się w przednią szybę. Pomyślał o tym, jak go uderzyła w twarz. Potem bez słowa wysiadł z samochodu.

Upał nie dawał za wygraną.

Wallander uświadomił sobie, że to już środek lata, a on tego do tej pory nie zauważył. Pocił się, idąc z komendy do szpitala. Po powrocie z Malmö nawet nie zajrzał do recepcji, żeby sprawdzić, czy są dla niego jakieś wiadomości. Stał bez ruchu przy samochodzie, jakby nagle stracił wszystkie swoje wewnętrzne azymuty, potem powoli, niemal cedząc słowa, poprosił Ann-Britt Hóglund o zreferowanie kolegom ich rozmowy z rodziną Fredmana i ruszył do szpitala, gdzie umierała córka Carlmana. Nie czekał na odpowiedź, po prostu się odwrócił i poszedł. Dopiero na stoku, kiedy zaczął się pocić, uświadomił sobie, że jest lato, które może będzie długie, ciepłe i bezdeszczowe. Obok przejechał Svedberg i pomachał mu ręką, ale on go nie zauważył. Jak zwykle, kiedy o czymś myślał, a przeważnie myślał, wbił wzrok w ziemię. Tym razem chciał wykorzystać ten krótki odcinek między komendą a szpitalem na rozważenie czegoś zupełnie nowego i trudnego do ugryzienia. Punkt wyjścia był bardzo prosty. W ciągu niespełna dziesięciu dni jedna dziewczyna podpala się na polu rzepaku, druga usiłuje popełnić samobójstwo po nagłej śmierci ojca, trzecia natomiast, której ojca też zamordowano, w niejasny i dosyć tajemniczy sposób dokądś wyjeżdża. Były w różnym wieku, córka Carlmana najstarsza, ale wszystkie młode. Dwie pośrednio otarły się o tego samego sprawcę, trzecia sama była swoim wrogiem i nie miała nic wspólnego z dwiema pozostałymi. W imieniu całego swojego pokolenia Wallander znowu poczuł się odpowiedzialny za wszystko, co się stało, przede wszystkim jako zły ojciec, bo za takiego się uważał. Łatwo się załamywał. Bywał wówczas przygnębiony, ogarniała go trudna do określenia melancholia. Często cierpiał na bezsenność. Ale ponieważ mimo wszystko musiał wypełniać obowiązki policjanta i szefa grupy śledczej, próbował odegnać od siebie niepokój i rozjaśnić mroczne myśli.

Zadał sobie beznadziejne pytanie, co to za świat, w którym młodzi ludzie podpalają się albo w inny sposób próbują pozbawić się życia. Żyją w epoce, którą

można by nazwać czasem niepowodzeń. Coś, w co wierzyli i co budowali, okazało się mniej trwałe, niż przypuszczali. Wierzyli, że wznoszą dom, a okazało się, że stawiają pomnik czemuś, co odeszło i było w połowie zapomniane. Szwecja się waliła, gigantyczny regał mógł w każdej chwili runąć. Nikt nie wiedział, jacy stolarze czekają w przedsiönku, gotowi montować nowe półki. Nikt też, rzecz jasna, nie wiedział, jak te półki miałyby wyglądać. Wszystko było mętne. Z jednym tylko wyjątkiem: jest ciepło, jest lato. Młodzi odbierają sobie życie. Ludzie żyją nie po to, żeby pamiętać, ale żeby zapomnieć. Mieszkania przypominają kryjóWKi, a nie ciepłe, przytulne domy. A policjanci bezradnie czekają chwili, kiedy aresztów będą pilnować ochroniarze.

Wallander otarł pot z czoła i pomyślał, że ma tego dosyć. Wszystkiego nie udźwignie. Pomyślał o chłopcu o czujnych oczach, który siedział obok matki na kanapie. Pomyślał o Lindzie i w końcu nie wiedział, o co mu właściwie chodzi.

Mniej więcej w tym czasie dotarł do szpitala. Svedberg czekał na niego na schodach. Wallander zachwiał się od nagłego zawrotu głowy. Svedberg wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać, ale Wallander ją odsunął i weszli do środka. Żeby się chronić przed słońcem, Svedberg przykrył głowę zabawną i za luźną czapką z daszkiem. Wallander mruknął coś pod nosem i ruszyli do kawiarni, na prawo od wejścia. Błazi ludzie na wózkach, niektórzy z kroplówkami, siedzieli przy kawie w towarzystwie przyjaciół i krewnych, którzy najchętniej wyszliby na słońce i zapomnieli o wszystkim, co ma jakikolwiek związek ze szpitalem i umieraniem. Wallander kupił kawę i kanapkę, Svedberg zadowolili się szklanką wody. Wallander wiedział, że przerwa na posiłek jest czymś wysoce nieostosownym w sytuacji, kiedy córka Carlmana umiera, był to jednak rodzaj zaklinania rzeczywistości. Przerwa na kawę stanowiła jego jedyny bastion. Ostatnią walkę, bez względu na jej charakter, stoczy dopiero wtedy, kiedy się upewni, że nie zabraknie mu kawy.

- Dzwoniła wdowa po Carlmanie - powiedział Svedberg. - Była w hysterii.

- Co dziewczyna zrobiła?

- Wzięła proszki. Ktoś ją znalazł przez przypadek. Była już nieprzytomna. Puls ledwie wyczuwalny. Kiedy ją przywieźli do szpitala, ustała praca serca. Jest z nią bardzo źle. Nie masz co liczyć na rozmowę.

Wallander skinął głową. Przespacerował się do szpitala raczej z uwagi na siebie niż na nią.

- Co powiedziała jej matka? - spytał. - Czy zostawiła jakiś list? Jakies wyjaśnienia?

- Najwyraźniej stało się to całkiem nieoczekiwanie. Wallander znów pomyślał o policzku.

- Kiedy ją widziałem, wyglądała na niezrównoważoną. - powiedział. - Naprawdę nic nie zostawiła?

- W każdym razie matka nic o tym nie wspomniała.

- Zrób mi przysługę - zdecydował po namyśle. - Pojedź do niej i wyegzekwuj odpowiedź. Jeśli zostawiła jakiś list, dokładnie go przeczytaj.

Wyszli z kawiarni i wrócili do komendy. Wallander uznał, że równie dobrze może zadzwonić do lekarza i spytać o stan dziewczyny.

- Położyłem ci na biurku sprawozdanie z telefonicznego przesłuchania dziennikarki i fotografa, którzy odwiedzili Wetterstedta w dniu jego śmierci. - Dało to coś?

- Potwierdza tylko nasze ustalenia. Wetterstedt zachowywał się normalnie. Nie czuł się zagrożony. Nic z tych rzeczy.

- Czyli nie muszę tego czytać? Svedberg wzruszył ramionami.

- Co dwie pary oczu to nie jedna.

- Nie jestem tego pewien - odparł Wallander, nieobecny myślami.

Wyglądał przez okno samochodu.

- Ekholm szlifuje portret psychologiczny - powiedział Svedberg.

Wallander mruknął coś w odpowiedzi. Svedberg zostawił go przed komendą i pojechał porozmawiać z wdową po Carl-manie. Wallander wziął z recepcji czekające na niego wiadomości. Siedziała tam nowa dziewczyna. Ebba była w szpitalu, zdejmowali jej gips. Mogłem ją odwiedzić, pomyślał Wallander. Skoro już tam byłem. Jeśli można odwiedzić kogoś, komu zdejmują gips.

Poszedł do siebie i otworzył okno na oścież. Na stojąco przejrzał papiery od Svedberga. Nagle przypomniał sobie o zdjęciach. Gdzie one są? Z niehamowaną złością odszukał numer komórki Svedberga i zadzwonił.

- Gdzie są zdjęcia? - spytał.

- Nie leżą na twoim biurku?

- Nic tu nie ma.

- No to są u mnie. Musiałem zapomnieć. Przyszły z dzisiejszą pocztą.

Zdjęcia leżały w brązowej kopercie na pedantycznie uporządkowanym biurku Svedberga. Wallander rozłożył je przed sobą i usiadł. Wetterstedt pozował w domu, w ogrodzie i na plaży. Na jednym zdjęciu była odwrócona łódka. Wetterstedt uśmiechał

się. Siwe włosy, które niebawem straci, potargał wiatr. Ze zdjęć emanowała harmonia, mężczyzna wydawał się pogodzony ze swoją starością. Nic nie zapowiadało tego, co się niebawem miało stać. Wetterstedt miał przed sobą niespełna piętnaście godzin życia. Tak wyglądał w swoim ostatnim dniu. Wallander przyglądał się zdjęciom jeszcze przez kilka minut, zanim je włożył do koperty i wyszedł z pokoju Svedberga. Ruszył do siebie, ale się nagle rozmyślił i stanął przed jak zwykle otwartymi drzwiami Ann-Britt Hóglund. Siedziała nad papierami.

- Przeszkadzam? - spytał.

- Ani trochę.

Wszedł i usiadł na krześle dla gości. Zamienili parę słów o córce Carlmana.

- Svedberg szuka listu pożegnalnego - powiedział Wallander. - Jeśli takowy istnieje.

- Pewnie była bardzo zżyta z ojcem.

Wallander nie odpowiedział. Zmienił temat rozmowy.

- Czy nie zauważyłaś niczego dziwnego, kiedy byliśmy u Fredmanów?

- Dziwnego?

- Jakby nagle przez pokój przeciągnął chłodny wiatr. Od razu pożałował tych słów. Ann-Britt Hóglund zmarszczyła czoło, jakby powiedział coś niestosownego.

- Że wymijająco mówili o Louise - wyjaśnił.

- Nie. Ale zauważyłam, że ty się zmieniłeś. Powiedział jej, co wtedy czuł. Zastanawiała się, próbując przywołać wspomnienia.

- Może masz rację. Rzeczywiście sprawiali takie wrażenie, jakby się mieli na baczności. Zimny wiatr.

- Pozostaje pytanie, czy dotyczyło to ich obojga - mętnie zauważył Wallander.

- Jesteś pewien? - Nie. Nie wiem. Mówię o swoim odczuciu.

- Czy nie było tak, że chłopiec zaczął odpowiadać na pytania, które zadawałaś matce? Wallander skinął głową.

- Otóż to. I zastanawiam się, dlaczego.

- Nie wiem, czy to jest takie ważne.

- Tak, czasami czepiam się nieistotnych szczegółów - przyznał. - Ale mimo wszystko chciałbym porozmawiać z tą dziewczyną.

Tym razem to ona zmieniła temat.

- Zimno mi się robi na myśl o tym, co powiedziała Anette Fredman. Że jej ulżyło, że mąż już nigdy nie przekroczy progu ich domu. Nie bardzo chyba rozumiem,

co to znaczy żyć w takich warunkach.

- On ją bił - powiedział Wallander. - Możliwe, że znęcał się też nad dziećmi. Ale żadne z nich nie złożyło doniesienia.

- Chłopiec wydawał się zupełnie normalny. Poza tym jest dobrze wychowany.

- Dzieci uczą się, jak przeżyć - powiedział Wallander i przez moment pomyślał o własnej młodości i tej, jaką zgotował Lindzie.

Wstał.

- Spróbuję złapać Louise Fredman. Jeśli się uda, to już jutro. Mam przeczucie, że nigdzie nie wyjechała.

Przyniósł sobie kawę do pokoju. Po drodze niemal się zderzył z Norenem i przypomniał sobie o zdjęciach gapiów przy blokadzie.

- Dałem rolki Nybergowi - powiedział Noren. - Ale nie wydaje mi się, żebym był dobrym fotografem.

- A kto powiedział, że jesteś? - odparł Wallander bez cienia złośliwości. Zamknął drzwi, usiadł i wpatrywał się w telefon. W końcu zebrał się w sobie i zadzwonił do stacji kontroli pojazdów. Wściekł się, słysząc, że najbliższy wolny termin mają akurat wtedy, kiedy będzie z Bajbą w Skagenie. Opowiedział o wszystkich makabrycznych sprawach, nad jakimi pracuje, i okazało się, że może się zgłosić wcześniej. Zastanawiał się, dla kogo zarezerwowali ten wcześniejszy termin. Odłożył słuchawkę i postanowił, że tego dnia zrobi pranie. Jeśli wszystkie pralki będą zajęte, wpisze się na listę.

Zadzwoił telefon.

- Miałeś rację - odezwał się Nyberg. - Odciski palców na zakrwawionym papierze, który znalazłeś za barakiem, zgadzają się z odciskami na podartym komiksie. Nie ma wątpliwości, że to była ta sama osoba. Za parę godzin dowiemy się, czy się zgadzają z tymi z furgonetki. Poza tym spróbujemy zdjąć odciski palców z twarzy Bjórna Fredmana.

- To możliwe?

- Jeśli ktoś wlał mu kwas do oczu, jedną ręką musiał przytrzymać powiekę - powiedział Nyberg. - Przyjemne to nie jest, ale tak się sprawy mają. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam odciski.

- Dobrze, że nikt nas nie słyszy.

- A może źle. Może wtedy trochę bardziej by nas szanowali za to, że staramy się utrzymać jaki taki porządek w tym kraju.

- Co z lampą? - spytał Wallander. - Tą przy furtce do ogrodu Wetterstedta.

- Właśnie miałem do tego przejść. Znowu miałeś rację. Znaleźliśmy odciski palców.

Wallander wyprostował się na krześle. Przygnębienie odpłynęło. Poczł narastające napięcie. Śledztwo powoli ruszało z miejsca.

- Mamy je w archiwum? - spytał. - Niestety, nie. Ale poprosiłem, żeby sprawdzili w rejestrze centralnym.

- Założmy jednak, że jest tak, jak mówisz. To by oznaczało, że mamy do czynienia z osobą dotąd niekaraną.

- Możliwe.

- Pchnij odciski do Interpolu. I do Europolu. Poproś o priorytet. Powiedz, że chodzi o seryjnego mordercę.

Nyberg obiecał to załatwić. Wallander odłożył słuchawkę i natychmiast ją podniósł. Poprosił dziewczynę z centrali, żeby odszukała Matsa Ekholma. Po kilku minutach oddzwoniła z informacją, że jest na lunchu.

- Gdzie? - spytał Wallander.

- Zdaje się, że w „Continentalu”.

- To go tam złap i przekaż, żeby jak najszybciej tu przyszedł.

Mats Ekholm zgłosił się o wpół do trzeciej. Wallander rozmawiał akurat przez telefon z Perem Akesonem. Wskazał na krzesło i poprosił Ekholma, żeby usiadł. Udało mu się przekonać sceptycznego Akesona, że powiększenie zespołu już teraz nie wpłynie na postępy w śledztwie. Akeson uległ i postanowili przesunąć decyzję o kilka dni.

Wallander odchylił się na krześle i splótł dłonie na karku. Powiedział Ekholmowi o zgodności odcisków palców.

- Te, które zdejmemy z Bjórna Fredmana, będą identyczne - powiedział. - Nie musimy już niczego zakładać ani domniemywać. Od tej chwili wiemy, że mamy do czynienia z tym samym mordercą. Pozostaje tylko pytanie, kto to jest.

- Myślałem o oczach - zaczął Ekholm. - Z dotychczasowych doświadczeń wynika, że oczy, zaraz po narządach płciowych, są najczęstszym obiektem finalnej zemsty.

- Co to znaczy? - Mówiąc po prostu, rzadko się zaczyna od wydłubywania oczu. Kończy się tym.

Wallander poprosił, żeby kontynuował.

- Można do tego podejść z dwóch stron. Można spytać, dlaczego akurat Björn Fredman stracił oczy. Ale można pytanie odwrócić i spytać, dlaczego dwaj pozostali mają oczy nietknięte.

- I jaka jest twoja odpowiedź? Ekholm podniósł ręce.

- Nie znam odpowiedzi. W kwestii ludzkiej psychiki, zwłaszcza w wypadku zaburzeń i zdeformowanych relacji mentalnych z otoczeniem, poruszamy się po grząskim terenie, gdzie nie istnieją żadne absolutne odpowiedzi.

Wydawało się, że Ekholm czeka na komentarz. Wallander pokręcił przecząco głową.

- Domyślam się pewnego wzoru - podjął Ekholm. - Sprawca wcześniej wybrał swoje ofiary. Istnieje jeden zasadniczy powód tych zbrodni: jakiś stosunek do tych osób. Nie musiał ich znać osobiście. To może być związek symboliczny. Z wyjątkiem Bjórna Fredmana. W tym wypadku jestem przekonany, że oczy zdradzają kontakt bezpośredni, że sprawca znał swoją ofiarę. Dużo przemawia za tym, że byli sobie bliscy.

Wallander pochylił się i spojrzał badawczo na Ekholma.

- Jak bliscy? - spytał.

- Przyjaciele. Koledzy z pracy. Rywale.

- I coś się stało?

- Coś się stało. Naprawdę albo w wyobraźni sprawcy.

Wallander zastanawiał się, jakie znaczenie dla śledztwa mają słowa Ekholma. Jednocześnie pytał sam siebie, czy w to wierzy.

- Inaczej mówiąc, powinniśmy się skoncentrować na Björnie Fredmanie - powiedział po namyśle. - To jedna z możliwości.

Zirytował się, że Ekholm próbuje się wykręcić od jednoznacznych ocen. Jednocześnie przyznawał mu rację, rozumiejąc powody, dla których zostawiał aż tyle furtek.

- Wyobraźmy sobie, że jesteś na moim miejscu - powiedział. - Obiecuję, że nie będę cię cytował. Ani oskarżał, jeśli się pomylisz. Co byś zrobił?

Ekholm odpowiedział bez wahania.

- Skoncentrowałbym się na przeanalizowaniu życia Bjórna Fredmana. Ale miałbym przy tym oczy otwarte i często patrzyłbym przez ramię.

Wallander skinął głową. Zrozumiał.

- Jakiego typu człowieka szukamy?

Ekholm odpędził pszczołę, która wleciała przez okno.

- Wnioski możesz wyciągnąć sam. To mężczyzna. Przymuszczalnie jest silny. Praktyczny, dokładny i nie boi się krwi.

- I nie figuruje w rejestrze - dodał Wallander. - Czyli debiutant.

- To utwierdza mnie w przekonaniu, że prowadzi normalne życie - powiedział Ekholm. - Starannie ukrywa swoje psychotyczne „ja” i rozchwianie mentalne. Może usiąść do stołu ze skalpami w kieszeni i ze smakiem jeść obiad. Jeśli mnie rozumiesz. Wallander chyba rozumiał.

- To znaczy, że są tylko dwa sposoby, żeby go ująć - powiedział. - Albo przyłapiemy go na gorącym uczynku, albo zbierzemy taki materiał dowodowy, w którym jego nazwisko będzie wypisane ognistymi zgłoskami.

- Mniej więcej. Nie macie łatwego zadania.

Na koniec Wallander zadał jeszcze jedno pytanie.

- Czy on znowu zaatakuje?

- Nie musi - powiedział Ekholm. - Björn Fredman i jego oczy mogą stanowić akcent końcowy. - Wierzysz w to?

- Nie. Zaatakuje. To, co widzieliśmy do tej pory, wygląda mi raczej na początek bardzo długiego łańcucha.

Kiedy Wallander został sam, kurtką wypędził pszczołę za okno, a potem siedział z zamkniętymi oczami i myślał o tym, co powiedział Ekholm. O czwartej poszedł po kolejną kawę i udał się do konferencyjnego, gdzie wszyscy już na niego czekali.

Poprosił Ekholma o powtórzenie swoich przemyśleń. Później zaległa cisza. Wallander jej nie przerywał, wiedział, że każdy próbuje ogarnąć znaczenie tego, co przed chwilą usłyszał, i po swojemu to interpretuje.

Zgadzał się z Ekholmem. Skoncentrował się na Björnie Fredmanie, nie zapominając przy tym o oglądaniu się za siebie.

Ułożyli harmonogram zajęć i tuż po szóstej rozeszli się. Wrócili do pracy, tylko Martinsson pojechał odebrać dzieci.

Wallander stanął przy oknie i patrzył w letni wieczór. Ciągle odczuwał niepokój. A może są na fałszywym tropie. Czego on nie widzi? Odwrócił się i rozejrzał po pokoju, jakby do środka wszedł niewidzialny gość. Tak to jest, pomyślał. Ścigam ducha. Zamiast szukać żywego człowieka, który może jest gdzie indziej, nie tam, gdzie chwilowo patrzę.

Pracował do północy. Dopiero kiedy wyszedł z komendy, przypomniał sobie o stercie brudnych ubrań, która wciąż leżała na podłodze.

Następnego dnia o świcie na wpół śpiący Wallander zszedł do pralni i ze zdumieniem zobaczył, że ktoś już tam był. Chcąc nie chcąc, wpisał się na listę tego samego dnia po południu. Próbował sobie przypomnieć sen, jaki miał tej nocy. Był erotyczny, przesycony napiętnością. Na jawie nigdy czegoś takiego nie doświadczył. To nie Bajba otworzyła w jego śnie drzwi do sypialni. Dopiero kiedy wracał z pralni, uświadomił sobie, że kobieta była podobna do pani pastor, którą poznał w kancelarii parafialnej w Smedstorpie. W pierwszej chwili się zdziwił, potem lekko zawstydził, w końcu, kiedy wrócił do mieszkania, sen stał się tym, czym był: kierującym się własnymi prawami marzeniem, które pojawiło się i odpłynęło. Usiadł przy kuchennym stole i pił kawę. Przez na wpół otwarte okno wpadało gorące powietrze. Może babcia Ann-Britt Hóglund się nie pomyliła, przepowiadając prawdziwie piękne lato. Było parę minut po szóstej. Pił kawę i myślał o ojcu. Często, zwłaszcza rano, cofał się myślami do czasów Rycerzy Jedwabnego Szlaku, kiedy łączyły ich dobre stosunki i codziennie budził się z uczuciem, że ojciec go kocha. Teraz, przeszło czterdzieści lat później, nie bardzo wiedział, jaki ojciec był naprawdę w młodości. Malował te same obrazy, pejzaże z głuszcem albo bez, nic w nich nie zmieniał. Wallander miał wrażenie, że namalował w swoim życiu tylko jeden obraz. Od razu był zadowolony z rezultatu. Nigdy nie próbował niczego poprawiać. Pierwsza próba okazała się znakomita. Dopił kawę i usiłował sobie wyobrazić sytuację, w której ojca już nie ma. To było trudne. Zastanawiał się, jak zapełni puste miejsce, jak sobie poradzi ze stale obecnymi wyrzutami sumienia. Ich wspólna podróż do Włoch we wrześniu jest być może ostatnią szansą porozumienia się, pogodzenia i połączenia szczęśliwych dni z czasów Rycerzy Jedwabnego Szlaku z okresem późniejszym. Nie chciał, żeby pamięć o ojcu zatrzymała się na tej chwili, kiedy wynosi obrazy, wkłada je do jakiegoś wystrzałowego wozu, a potem stoi obok ojca i macha na pożegnanie ręką Rycerzowi Jedwabnego Szlaku, który znika w obłokach kurzu, żeby sprzedać obrazy trzy-cztery razy drożej, niż zapłacił ojcu, wyłuskując pieniądze z grubego pliku banknotów.

O wpół do siódmej znów był policjantem. Wspomnienia przesunęły się na dalszy plan. Ubierając się, myślał o czekających go zadaniach. O siódmej był w komendzie. Zamienił kilka słów z Norenem. Noren miał być od jutra na urlopie, ale jak wielu innych kolegów przesunął termin.

- Jak złapiecie mordercę, na pewno się rozpada - powiedział. - Który bożek

pogody przejmowałby się jakimś zwykłym policjantem, kiedy po okolicy grasuje seryjny morderca.

Wallander mruknął coś w odpowiedzi. Ale nie wykluczał, że w słowach Norena mogła się kryć ponura prawda.

Zajrzał do Hanssona, który wydawał się nie opuszczać komendy, zdjęty niepokojem o przebieg trudnego śledztwa i przytłoczony obowiązkami p.o. szefa. Jego twarz przybrała barwę płyty chodnikowej. Kiedy Wallander wszedł do jego pokoju, właśnie się golił starą maszynką elektryczną. Miał pomietą koszulę i przekrwione oczy.

- Od czasu do czasu powinieneś się trochę przespać - powiedział Wallander. - Nie ponosisz większej odpowiedzialności niż inni.

Hansson wyłączył maszynkę i posepnie oglądał rezultat w kieszonkowym lusterku.

- Wczoraj wziąłem tabletkę nasenną - przyznał - ale nie zasnąłem. Efekt jest taki, że boli mnie głowa.

Wallander patrzył na Hanssona w milczeniu. Współczuł mu. Szefowanie nigdy nie było w sferze jego marzeń. Na tyle go znał.

- Jadę do Malmö - poinformował. - Chcę jeszcze raz porozmawiać z rodziną Bjórna Fredmana. Zwłaszcza z tymi, których nie było wczoraj.

Hansson spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Będziesz przesłuchiwał czteroletniego chłopca? Tego ci nie wolno.

- Myślałem o córce. Ma siedemnaście lat. I nie zamierzam nikogo przesłuchiwać.

Hansson skinął głową i ciężko wstał od biurka. Na blacie leżała otwarta książka.

- Dostałem ją od Ekholma - wyjaśnił. - Nauka o zachowaniach ze szczególnym uwzględnieniem badań nad seryjnymi mordercami. Wierzyć się nie chce, do czego są zdolni ludzie o chorych głowach.

- Czy jest tu coś o skalpach?

- To łagodniejsza odmiana zbieraczy trofeów. Gdybyś wiedział, co ludzie mają w domach, zrobiłoby ci się niedobrze.

- Już mi niedobrze - powiedział Wallander. - Mogę sobie wyobrazić, co jest w tej książce.

- Zwyczajni ludzie. Pozornie całkiem normalni. A tak naprawdę bestie. Pewien

Francuz, magazynier w składzie węgla, rozcinał swoim ofiarom żołądki i wkładał do środka głowę, bo chciał się udusić. To tylko jeden przykład.

- W zupełności mi wystarczy - powiedział Wallander i podziękował odmownym gestem za następne przykłady.

- Ekholm prosił, żebym ci to dał, kiedy przeczytam.

- Jasne, ale wątpię, czy znajdę czas na lekturę, nie mówiąc o chęciach.

Zanim wyszedł z komendy, zrobił sobie kanapkę w stołówce. Zjadł w samochodzie. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lindy. Dał sobie jednak z tym spokój. Było za wcześnie.

O wpół do dziewiątej dotarł do Malmö. Kanikuła dawała o sobie znać. Ruch na obwodnicach wyraźnie się przerzedził. Skręcił na Rosengard i zatrzymał się przed domem, gdzie był poprzedniego dnia. Wyłączył silnik i próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tutaj wrócił. Postanowili skoncentrować śledztwo na Bjórnie Fredmanie. To był oczywisty powód. Poza tym musiał się spotkać z nieobecną córką. Czteroletni chłopiec był mniej ważny. Wyjął ze schowka brudny kwit ze stacji benzynowej i sięgnął po długopis do kieszonki koszuli. Wkurzył się, widząc, że wyciekł tusz i zrobiła się plama wielkości połowy dłoni. Na białej koszuli wyglądała tak, jakby został trafiony w serce. Koszula była prawie nowa. Dostał ją od Bajby na Boże Narodzenie. Robiąc porządki w jego szafie, powyrzucała wszystkie stare, znoszone ubrania.

W pierwszym odruchu chciał wrócić do Ystadu i położyć się spać. Sam nie wiedział, ile koszul rocznie wyrzucał tylko dlatego, że wkładał do kieszonki otwarte długopisy. Zastanawiał się, czy nie powinien kupić nowej koszuli. Musiałby jednak poczekać co najmniej godzinę, zanim otworzą sklepy. Zrezygnował. Zapaćkany długopis wyrzucił przez szybę i znalazł inny wśród śmieci zalegających schowek. Na odwrocie kwitu ze stacji benzynowej napisał kilka słów: „Przyjaciele B.F. Wtedy i teraz. Nieoczekiwane wydarzenia”. Zmiał kartkę i już miał ją włożyć do kieszonki, ale się powstrzymał. Wysiadł z samochodu i zdjął kurtkę. Tusz nie zdążył się rozmazać na podszewce. Ponuro oglądał koszulę. Potem wszedł do budynku i nacisnął guzik windy. Odłamki szkła ciągle leżały w kabinie. Wysiadł na czwartym piętrze i zadzwonił. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki. Może jeszcze śpią. Odczekał przeszło minutę i znów zadzwonił. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Stefan. Wydawał się zaskoczony, widząc Wallandera. Uśmiechnął się, ale oczy miał czujne.

- Chyba nie przychodzę za wcześnie - powiedział Wallander. - Naturalnie

powinienem był uprzedzić o swojej wizycie.

Ale jestem w Malmö w innej sprawie, więc pomyślałem, że skorzystam z okazji. Marne kłamstwo, pomyślał. Ale poręczne.

Stefan wpuścił go do przedpokoju. Miał na sobie obcięty podkoszulek i dżinsy. Był boso.

- Jestem sam - powiedział. - Mama wyszła z braciszkiem. Pojechali do Kopenhagi.

- Piękny dzień na wycieczkę do Kopenhagi.

- Tak, lubi tam jeździć. Żeby się oderwać od wszystkiego.

Słowa zabrzmiały dziwnie pusto. Chłopiec wydawał się obojętny, kiedy Wallander wspomniał o śmierci ojca. Weszli do salonu. Wallander położył kurtkę na krześle i pokazał na płamę tuszu.

- To u mnie nagminne - powiedział.

- Mnie się to nigdy nie zdarza. - odparł chłopiec z uśmiechem. - Mogę zrobić kawę, jeśli ma pan ochotę.

- Nie, dziękuję.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie. Koc i poduszka na kanapie świadczyły o tym, że ktoś tam spał. Pod krzesłem dostrzegł butelkę po winie. Chłopiec natychmiast to zauważył. Cały czas miał się na baczności. Wallander zastanawiał się, czy ma prawo rozmawiać z nieletnim o śmierci ojca, nie zachowując należytych form, czyli bez obecności dorosłego członka rodziny. Nie chciał jednak stracić okazji. Poza tym chłopiec był jak na swój wiek niesamowicie dojrzały. Wallander miał uczucie, że rozmawia z rówieśnikiem. Nawet Linda, która była dużo starsza, wydawała się dziecinna.

- Co będziesz robił latem? - spytał Wallander. - Jest piękna pogoda.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Mam dużo zajęć - odpowiedział.

Wallander czekał na ciąg dalszy, ale się nie doczekał. - Którą klasę zaczniesz jesienią?

- Ósmą.:

- Dobrze się uczysz?

- Tak.

- Co najbardziej lubisz?

- Nic. Ale matematyka jest najłatwiejsza. Założyliśmy takie kółko, w którym się

zajmujemy magią liczb.

- Nie wiem, co to jest.

- Święte trójki. Siedem trudnych lat. Odczytywanie przyszłości z kombinacji cyfr.

- To ciekawe.

- Tak.

Wallander był coraz bardziej zafascynowany chłopcem. Rosła sylwetka kontrastowała z dziecięcą buzią. Ale jego głowa pracowała bez zarzutu.

Wyjął z kurtki pognieciony kwit. Z kieszeni wypadły klucze do mieszkania. Włożył je i usiadł.

- Mam kilka pytań. Nie jest to przesłuchanie. Jeśli wolisz poczekać na mamę, to powiedz.

- Nie ma potrzeby. Odpowiem, jeśli tylko potrafię.

- Kiedy wróci twoja siostra?

- Nie wiem.

Chłopiec patrzył na niego. Był spokojny. I odpowiedział bez wahania. Wallander zaczął się zastanawiać, czy się poprzedniego dnia nie pomylił.

- Chyba macie z nią kontakt, prawda? Wiecie, gdzie jest?

- Po prostu wyjechała. Nie pierwszy raz. Wróci, kiedy sama będzie chciała.

- Chyba rozumiesz, że może się to wydawać trochę dziwnie.

- Dla nas nie.

Chłopiec był niewzruszony. Wallander nie miał wątpliwości, że zna miejsce pobytu siostry, ale go nie zdradzi. Chociaż, z drugiej strony, nie mógł wykluczyć i takiej ewentualności, że dziewczyna była silnie wzburzona i po prostu od wszystkiego uciekła.

- A czy przypadkiem nie ma jej w Kopenhadze? - zapytał ostrożnie. - I mama pojechała ją odwiedzić?

- Miała kupić buty. Wallander skinął głową.

- Porozmawiajmy o czym innym. Miałeś czas, żeby sobie różne rzeczy przemyśleć. Czy nie przychodzi ci do głowy ktoś, kto mógłby pozbawić życia twojego ojca?

- Nie.

- Zgadzasz się z mamą, że dużo ludzi miałooby na to ochotę?

- Tak.

- Dlaczego?

Po raz pierwszy w układowej uprzejmości chłopca pojawiły się pęknięcia. Odpowiedział niezwykle porywczo.

- Mój ojciec był złym człowiekiem. Dawno temu stracił prawo do życia.

Wallander był niemile dotknięty. Skąd u chłopca tyle nienawiści?

- Tak chyba nie można powiedzieć. Nie można pozbawiać ludzi prawa do życia bez względu na to, co zrobili. Chłopiec znów zobojeźniał.

- Co on takiego zrobił? - spytał Wallander. - Dużo jest złodziei. Dużo ludzi sprzedaje kradzione rzeczy. Ale z tego powodu nie muszą być potworami.

- Straszyl nas.

- W jaki sposób?

- Baliśmy się go.

- Ty też?

- Tak. Ale nie przez ostatni rok.

- Dlaczego nie? - Strach zniknął.

- A mama? -

- Bała się.

- A twój brat?

- Chował się, kiedy myślał, że to ojciec do nas przyszedł.

- A siostra?

- Ona bała się najbardziej.

Wallander usłyszał ledwie zauważalną zmianę w głosie chłopca. Na moment się zawahał.

- Dlaczego? - spytał ostrożnie.

- Była najbardziej wrażliwa. Wallander postanowił zaryzykować.

- Czy twój tata jej dotykał?

- Jak to?

- Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem. Nie, nigdy.

No tak, pomyślał Wallander, starając się nie okazywać żadnej reakcji. Może wykorzystywał własną córkę. I najmłodszego syna. A może i chłopca, z którym teraz rozmawiam.

Wallander nie chciał tego dalej drażnić. Nie chciał sam się zajmować problemem siostry, gdzie jest i przez co mogła przejść. Wstrząsnęła nim myśl o

ewentualnym molestowaniu.

- Czy twój tata miał jakiegoś przyjaciela? - spytał.

- Zadawał się z wieloma, ale czy któryś był jego przyjacielem, tego nie wiem.

- A gdybyś miał wymienić kogoś, kto dobrze znał twój tatę? Kogo byś wymienił? Z kim, twoim zdaniem, powinienem porozmawiać?

Chłopiec mimowolnie się uśmiechnął, ale od razu się opanował.

- Peter Hjelm - powiedział. Wallander zapisał nazwisko. - Dlaczego się uśmiechnąłeś?

- Nie wiem.

- Znasz Petera Hjelma?

- Widziałem go.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Jest w książce telefonicznej pod „Prace różne”. Mieszka na Kungsgatan.

- W jakim sensie się znali?

- Razem pili. To wiem. Co jeszcze robili, nie potrafię powiedzieć.

Wallander rozejrzył się po pokoju.

- Czy twój tata miał tu jeszcze jakieś swoje rzeczy?

- Nie.

- Nic?

- Nic.

Wallander wsunął kartkę do kieszeni spodni. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

- Jak to jest być policjantem? - niespodziewanie spytał chłopiec.

Wallander uznał, że jest tym autentycznie zainteresowany. W czujnych oczach pojawiły się błyski.

- Różnie - odpowiedział, nagle niepewny, co naprawdę myśli o swoim zawodzie.

- Jak to jest łapać mordercę?

- Zimno, szaro i beznadziejnie - odparł, myśląc z niesmakiem o wszystkich kłamliwych serialach, które chłopiec na pewno oglądał.

- A co pan robi, jak pan złapie tego, co zabił tatę?

- Nie wiem. To zależy.

- On musi być groźny. Bo zabił już kilka innych osób. Ciekawość chłopca zaczęła być kłopotliwa. - Złapiemy go - powiedział stanowczo, żeby zakończyć

rozmowę. - Prędzej czy później, na pewno go złapiemy.

Wstał i spytał o toaletę. Chłopiec wskazał mu drzwi w korytarzu obok sypialni. Wallander patrzył na swoją twarz w lustrze. Przydałoby mu się trochę słońca. Kiedy się załatwił, delikatnie otworzył szafkę. Stało tam kilka słoików z tabletkami. Na jednym było nazwisko Louise Fredman. Urodziła się dziewiątego listopada. Zapamiętał nazwę leku i lekarza, który go przepisał. Saroten. Nigdy nie słyszał o takim lekarstwie. Sprawdzi je w policyjnym katalogu.

Kiedy wszedł do salonu, chłopiec siedział tam, gdzie poprzednio. Czy on na pewno jest całkowicie normalny? - pomyślał. Ta przedwczesna dojrzałość i opanowanie sprawiały dziwne wrażenie.

Chłopiec odwrócił się do niego i uśmiechnął. Przez moment jego oczy straciły czujność. Wallander odpędził od siebie tę nagłą myśl i wziął kurtkę.

- Jeszcze się odezwę. Powiedz mamie, że byłem. I powiedz, o czym rozmawialiśmy.

- Czy mógłbym pana kiedyś odwiedzić? Wallandera zaskoczyło to pytanie. Jakby ktoś w niego rzucił piłką, o on jej nie złapał.

- Myślisz o wizycie w ystadzkiej komendzie?

- Tak.

- Jasne, że tak. Tylko przedtem zadzwoń. Często jestem w terenie. No i nie zawsze mam czas.

Wyszedł na klatkę i nacisnął guzik windy. Skinęli do siebie głowami. Chłopiec zamknął drzwi. Wallander zjechał na dół i wyszedł na słońce. To był jak dotąd najładniejszy dzień tego lata. Przez moment stał bez ruchu i rozkoszował się ciepłem. A potem pojechał do komendy. Forsfalt był u siebie. Wallander zrelacjonował mu przebieg rozmowy z chłopcem, podał nazwisko lekarza - Gunnar Bergdahl - i poprosił o jak najszybszy kontakt. Podzielił się swoimi podejrzeniami o ewentualne molestowanie dzieci. Forsfalt nigdy o tym nie słyszał, obiecał jednak, że natychmiast to sprawdzi. Potem Wallander spytał o Petera Hjelm. Hjelm pod wieloma względami był podobny do Bjórna Fredmana. Kilka razy był w więzieniu. Raz odsiadywał karę razem z Fredmanem w sprawie o paserstwo. Według Forsfalta, Hjelm najczęściej dostarczał skradziony towar, a Fredman zajmował się sprzedażą. Wallander spytał, czy mógłby porozmawiać z Hjelmem.

- Będę się tylko cieszył, że mam to z głowy - odpowiedział Forsfalt.

- Chciałbym cię mieć w odwodzie.

Wallander sprawdził adres Hjelma w książce telefonicznej. Podał Forsfaltowi numer swojej komórki. Umówili się na lunch. Forsfalt miał nadzieję, że w tym czasie dotrą już wszystkie materiały o Fredmanie. Wallander zostawił samochód przed komendą i poszedł na Kungsgatan, gdzie w jednym ze sklepów kupił koszulę i od razu ją włożył. Tę poplamioną tuszem po chwili wahania wyrzucił. Przez parę minut siedział na ławce i mrużył oczy od słońca. Potem ruszył do budynku, w którym mieszkał Hjelm. Przy drzwiach wejściowych był domofon. Na szczęście wychodził jakiś starszy pan z psem. Wallander przyjaźnie skinął mu głową i wszedł. Przeczytał na tablicy, że Hjelm mieszka na trzecim piętrze. Kiedy miał otworzyć drzwi windy, zadzwoniła komórka. Forsfalt.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Przed windą w domu Hjelma.

- To dobrze.

- Coś się stało?

- Złapałem lekarza. Okazało się, że się znamy. Kompletnie o tym zapomniałem.

- Co powiedział?

- Coś, czego nie powinien mówić, ale obiecałem, że go nie wydam. Ty też musisz to obiecać.

- Obiecuję.

- Jego zdaniem osoba, o której mówimy, a której nazwiska nie będziemy wymieniać, bo rozmawiamy przez komórki, jest w klinice psychiatrycznej.

Wallander wstrzymał oddech.

- To wyjaśnia jej wyjazd - powiedział.

- Nie, nie wyjaśnia. Jest w klinice od trzech lat. Wallander zamarł. Ktoś uruchomił windę, z chrzęstem pojechała na górę.

- Porozmawiamy później - powiedział.

- Powodzenia z Hjelmem.

Wallander dłuższą chwilę myślał o tym, co usłyszał. Potem ruszył schodami na trzecie piętro.

Z mieszkania Hjelma dochodziły dźwięki muzyki. Wallander już ją kiedyś słyszał. Stał z uchem przy drzwiach. Przypomniał sobie, że swego czasu słuchała jej Linda. Zespół nazywał się bodaj „Grateful Dead”. Zadzwonił i cofnął się o krok. Zadzwonił jeszcze raz. Żadnej reakcji. Dopiero kiedy załomotał, muzyka umilkła i drzwi otworzyły się na oścież. Nie wiedzieć czemu, Wallander myślał, że się tylko

uchyla, więc musiał odskoczyć, żeby nie dostać nimi w twarz. Mężczyzna, który mu otworzył, był nagi. Nie miał na sobie kompletnie nic. Poza tym chyba był pod wpływem czegoś, bo ledwie zauważalnie, ale jednak, się kołysał. Wallander przedstawił się i pokazał legitymację. Mężczyzna w ogóle na nią nie spojrzał, tylko wpatrywał się w Wallandera.

- Widziałem cię - powiedział. - W telewizorze. I w gazetach. Nie czytam gazet, więc musiałem cię gdzieś widzieć na pierwszej stronie. Albo na afiszach. Poszukiwany gliniarz, co to strzela do ludzi bez pytania. Jak się nazywasz? Wahlgren?

- Wallander. A ty jesteś Peter Hjelm?

- Yes.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Mężczyzna zrobił wymowny gest. Wallander zrozumiał, że jest u niego kobieta.

- Nic na to nie poradzę - powiedział. - To nie powinno nam zająć dużo czasu.

Hjelm niechętnie wpuścił go do przedpokoju.

- Ubierz się - zażądał Wallander.

Hjelm wzruszył ramionami, ściągnął z wieszaka płaszcz i włożył na siebie. Jakby Wallander o to prosił, naciągnął też na uszy kapelusz. Poszli długim korytarzem. Stare, przestronne mieszkanie. Wallander czasami o takim marzył. Kiedyś się nawet poważnie zainteresował dużym mieszkaniem w czerwonym budynku koło księgarni przyryнку. Ośłupiał, kiedy usłyszał, jakie jest komorne. W salonie, ku zdumieniu Wallandera, był mężczyzna, owinięty jedynie prześcieradłem. Tego się nie spodziewał. W jego uproszczonym i niekiedy pełnym uprzedzeń pojmowaniu rzeczywistości nie było miejsca na taką oto sytuację, że wymowny gest gołego mężczyzny może oznaczać obecność w mieszkaniu innego mężczyzny. Żeby ukryć zmieszanie, przybrał ton służbowy. Usiadł na krześle i poprosił Hjelma, żeby zajął miejsce naprzeciwko.

- Kim pan jest? - spytał drugiego mężczyznę, dużo młodszego od Hjelma. - Geert nie mówi po szwedzku - odparł Hjelm. - Jest z Amsterdamu. Można powiedzieć, że przyjechał z krótką wizytą.

- Powiedz mu, że chcę zobaczyć dokumenty. Teraz.

Hjelm bardzo źle mówił po angielsku, znacznie gorzej niż Wallander. Mężczyzna w prześcieradle przyniósł holenderskie prawo jazdy. Jak zwykle Wallander nie miał czym pisać. Zanotował nazwisko mężczyzny w pamięci - van Leonen - i zwrócił dokument. Potem zadał kilka krótkich pytań po angielsku. Van Leonen był

kelnerem w jednej z amsterdamskich kawiarni i tam poznał Petera Hjelma. W Malmö był trzeci raz. Za dwa dni wracał pociągiem do Amsterdamu.

Wallander poprosił go o opuszczenie pokoju. Hjelm usiadł na podłodze, w płaszczu i głęboko naciągniętym na czoło kapeluszu. Wallander był zły.

- Zdejmij kapelusz! - wrzasnął. - I usiądź na krześle. Inaczej zadzwonię po radiowóz i porozmawiamy w komendzie.

Hjelm posłuchał. Odrzucił kapelusz szerokim łukiem; wylądował między doniczkami w okiennej wnęce. Kiedy Wallander przystąpił do zadawania pytań, ciągle był zły. Ze złości zaczął się pocić.

- Björn Fredman nie żyje - oświadczył brutalnie. - Ale może już o tym wiesz?

Hjelm znieruchomiał. Nie wiedział o tym, pomyślał Wallander.

- Został zamordowany - kontynuował. - Poza tym ktoś mu wlał kwas do oczu. I odciął kawałek włosów. To się stało trzy dni temu. Szukamy sprawcy. Ten sam człowiek zabił wcześniej dwie osoby. Byłego polityka o nazwisku Wetterstedt i handlarza obrazów, Arne Carlmana. Ale o tym może słyszałeś?

Hjelm wolno pokiwał głową. Wallander bez powodzenia starał się odczytać jego reakcję. - Teraz rozumiem, dlaczego Björn nie odbierał telefonów - powiedział po chwili. - Dzwoniłem do niego wczoraj przez cały dzień. I dzisiaj rano.

- Czego od niego chciałeś?

- Chciałem go zaprosić na obiad.

Wallander uznał to za oczywiste kłamstwo. Ponieważ ciągle był zły na arogancję Hjelma, postanowił go przycisnąć. Tylko dwa razy w swojej policyjnej karierze stracił panowanie nad sobą i uderzył przesłuchiwanym. Najczęściej jednak potrafił kontrolować emocje.

- Nie kłam - powiedział. - Jeśli chcesz, żebym stąd wyszedł o przyzwoitej porze, masz odpowiadać jasno i wyraźnie, a przede wszystkim nie kłamać. Inaczej mocno tego pożałujesz. Mamy do czynienia z obłąkanym seryjnym mordercą. A to daje nam specjalne uprawnienia.

Ostatnie zdanie miało się z prawdą, ale zrobiło na Hjelmie odpowiednie wrażenie.

- Chciałem z nim pogadać o wspólnej broszce.

- Jakiej broszce?

- Eksport, import. Był mi winien trochę szmalu.

- Trochę, to znaczy, ile?

- Trochę. Około stu tysięcy. Nie więcej. Wallander pomyślał, że to wielokrotność jego miesięcznej pensji. Jeszcze bardziej się wkurzył.

- Wrócimy do twoich interesów z Fredmanem - powiedział. - Zajmie się tym tutejsza policja. Wiesz, kto mógł zabić Fredmana?

- Na pewno nie ja.

- Wierzę. Jest ktoś taki?

Hjelm naprawdę się zastanawiał.

- Nie wiem.

- Ale nie jesteś pewny?

- Björn zajmował się tyłoma sprawami, o których nie miałem pojęcia. Nie wiem.

- Odpowiadaj porządnie!

- Do cholery! Nie wiem. Tylko część interesów prowadziliśmy wspólnie. Nie umiem powiedzieć, co Fredman robił z resztą czasu. W tej branży lepiej nie wiedzieć za dużo. Ani za mało. Ale to inna para kaloszy.

- Rzuć jakąś sugestię. Czym Fredman mógł się zajmować?

- Chyba co nieco inkasował.

- Był torpedą?

- Mniej więcej.

- Na czyje zlecenie?

- Nie wiem.

- Nie kłam.

- Nie kłamię. Naprawdę nie wiem. Wallander prawie mu wierzył.

- Co jeszcze?

- Był skryty z natury. Dużo podróżował. A kiedy wracał, zawsze był opalony i miał z sobą suweniry.

- Dokąd jeździł?

- Nie mówił. Ale po podróżach miał kupę szmalu. Paszport Bjórna Fredmana, pomyślał Wallander. Nie znaleźliśmy go.

- Kto oprócz ciebie znał Bjórna Fredmana?

- Na pewno dużo ludzi.

- Kto go znał tak dobrze jak ty?

- Nikt.

- Czy miał jakąś kobietę?

- Co za pytanie. Jasne, że miał kobiety!

- Czy była jakaś jedna?

- Często zmieniał.

- Dlaczego zmieniał? - Dlaczego się zmienia? Dlaczego ja zmieniam? Dlaczego jednego dnia spotykam kogoś z Amsterdamu, a następnego z Bjarredu?

- Bjarredu?

- Na przykład, do cholery! No to z Halmstadu, jeśli tak lepiej!

Wallander zamilkł i przyglądał się Hjelmowi. Czuł do niego instynktowną niechęć. Złodziej, który uważał sto tysięcy koron za małą sumę.

- Gustaf Wetterstedt - powiedział po chwili. - I Arne Carlman. Widziałem po tobie, że wiesz o ich śmierci.

- Nie czytam gazet, ale oglądam telewizję.

- Czy przypominasz sobie, żeby Björn Fredman kiedykolwiek wymieniał ich nazwiska?

- Nie.

- A może zapomniałeś? Może jednak ich znał? Hjelm zamilkł na minutę. Wallander czekał.

- Jestem raczej pewien - powiedział. - Możliwe, że ich znał, ale ja nic o tym nie wiedziałem.

- Ten człowiek, który chodzi sobie na wolności, jest groźny. Jest zimny i wyrachowany. I szalony. Wlał Fredmanowi kwas do oczu. To musiało potwornie boleć. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Porozpowiadaj, gdzie się da, że policja szuka powiązań między tymi trzema mężczyznami. Chyba rozumiesz, że musimy zdjąć tego szaleńca, który oblewa kwasem oczy twojego kumpla.

Hjelm wykrzywił się.

- Jasne. Wallander wstał. - Dzwon do komisarza Forsfalta albo do mnie, do Ystadu. Wszystko może być ważne.

- Björn miał taką jedną dziewczynę, Mariannę - powiedział Hjelm. - Mieszka przy centrum handlowym Triangeln.

- Mariannę i co dalej?

- Chyba Eriksson.

- Gdzie pracuje?

- Nie wiem.
- Masz jej numer telefonu?
- Mogę poszukać.
- To poszukaj.

Hjelm wyszedł z pokoju, Wallander czekał. Usłyszał szepty, jeden z mężczyzn był poirytowany. Hjelm wrócił z numerem i odprowadził Wallandera do przedpokoju.

Hjelm nie wydawał się już czymś oszołomiony, jak na początku. Był jednak kompletnie obojętny na śmierć przyjaciela. Wallandera mierzył ten chłód. Nie rozumiał go.

- Ten szaleniec... - zaczął Hjelm i urwał. Wallander domyślił się reszty.
- Szuka konkretnych ludzi. Jeśli nic cię nie łączyło z Wetterstedtem, Carlmanem i Fredmanem, nie musisz się przejmować.
- Dlaczego go nie złapiecie?

Wallander wpatrywał się w Hjelma. Wróciła złość.

- Między innymi dlatego, że tacy jak ty nie są w stanie normalnie odpowiadać na pytania.

Zostawił Hjelma i nie czekając na windę, zszedł po schodach. Na ulicy zwrócił twarz do słońca i zamknął oczy. Przemyślał rozmowę z Hjelmem i znów miał wrażenie, że są na fałszywym tropie. Otworzył oczy i stanął w cieniu pod ścianą budynku. Nie opuszczało go uczucie, że brnie w ślepią uliczkę. Wielokrotnie wracał myślami do tego, że ktoś powiedział coś, co było ważne. Czegoś nie widzę, pomyślał. Są jakieś punkty wspólne między Wetterstedtem, Carlmanem i Fredmanem, o które się ocieram i nie zauważam. Poczul ucisk w żołądku. Człowiek, którego szukają, może znowu zaatakować, a prawda o postępach w śledztwie jest taka, że nie mają pojęcia, kto to jest. Poza tym nie bardzo wiedzą, gdzie szukać. Wyszedł z cienia i przywołał nadjeżdżającą taksówkę.

Było po dwunastej, kiedy zapłacił i wysiadł przed komendą. W pokoju Forsfalta czekała na niego wiadomość, żeby zadzwonił do Ystadu. Powrócił lęk, że znowu stało się coś poważnego. Odebrała Ebba. Najpierw go uspokoiła, a potem połączyła z Nybergiem. Forsfalt odstąpił Wallanderowi krzesło przy biurku. Wallander notował. Na lewej powiece Fredmana znaleźli odciski palców. Były niewyraźne, ale udało im się je zidentyfikować. Pokrywały się z tymi, które zdjęli w dwóch poprzednich miejscach zbrodni. Nie było już wątpliwości, że szukają tego samego sprawcy. Badania wykazały, że Fredman w chwili znalezienia nie żył od niespełna dwunastu godzin. Lekarz

sądowy był pewien, że kwas został mu wlany do oczu, kiedy jeszcze żył.

Potem Ebba połączyła go z Martinssonem. Otrzymał potwierdzenie z Interpolu. Ojciec Dolores Marii Santany rozpoznał medalik. Martinsson dodał, że ambasada szwedzka w Dominikanie nie była skłonna do pokrycia kosztów przewozu trumny ze zwłokami dziewczyny do Santiago. Wallander słuchał dość nieuważnie. Kiedy Martinsson przestał narzekać na nieuczynność ambasady, zapytał o Svedberga i Ann-Britt Hóglund. Kopia. Ale żadne z nich nie przebiło twardej skorupy oddzielającej ich od mordercy. Wallander poinformował, że będzie w Ystadzie po południu i zakończył rozmowę. Forsfalt stał w tym czasie na korytarzu i kichał.

- Alergia - powiedział i wytarł nos. - Najgorzej jest latem. Poszli w ten piękny dzień do restauracji lunchowej, gdzie Forsfalt był stałym klientem, i zamówili spaghetti. Kiedy Wallander zrelacjonował przebieg rozmowy z Hjelmem, Forsfalt zaczął mówić o swoim domku letniskowym w okolicach - Almhultu. Wallander domyślił się, że nie chciał psuć lunchu dyskusjami o śledztwie. W innej sytuacji Wallanderowi trudno by się było od tego powstrzymać, ale w towarzystwie Forsfalta nie miał z tym problemów. Z rosnącą fascynacją słuchał doświadczonego policjanta, który z wielką miłością opowiadał o restaurowaniu starej kuźni. Dopiero przy kawie uznał, że mogą wrócić do śledztwa. Jeszcze tego samego dnia miał przesłuchać Mariannę Eriksson. Ważniejsza jednak była wiadomość o trzyletnim już pobycie Louise Fredman w klinice psychiatrycznej.

- Domyślam się, że jest w Lundzie - powiedział Forsfalt. - U świętego Łazarza. Tam leczą trudniejsze przypadki.

- Niełatwo będzie pokonać wszystkie blokady, żeby dotrzeć do karty choroby - zauważył Wallander. - To dobrze, że tak jest, ale sprawa Louise Fredman wydaje mi się ważna. Zwłaszcza, że rodzina nie powiedziała prawdy.

- A może nie masz racji. Niechętnie się mówi o chorobach psychicznych. Moja ciotka spędziła całe życie w różnych szpitalach psychiatrycznych. Pamiętam, że prawie nigdy nie rozmawialiśmy o niej przy obcych. Wstydziliśmy się.

- Poproszę prokuratora z Ystadu, żeby się skontaktował z Malmo - zdecydował Wallander. - Trzeba będzie załatwić sporo formalności.

- Na co się powołasz? - spytał Forsfalt. Wallander się zastanawiał.

- Nie wiem. Podejrzewam, że Björn Fredman molestował ją seksualnie.

- To nieprzekonujące - stwierdził Forsfalt. - Wiem. Ale muszę przy tym obstawać. Uzyskanie informacji o Louise Fredman ma duże znaczenie dla śledztwa. O

niej i od niej.

- W czym mogłaby ci pomóc? Wallander rozłożył ręce.

- Nie wiem. Może wiedza o tym, dlaczego jest zamknięta w szpitalu, niczego nie wyjaśni. Możliwe, że nie ma z nią żadnego kontaktu.

Forsfalt w zamyśleniu skinął głową. Wallander zgadzał się z zastrzeżeniami Forsfalta, nie mógł jednak zlekceważyć swojej intuicji, która podpowiadała mu, że Louise Fredman jest ważną osobą w śledztwie. Ale nie będzie rozmawiał z Forsfaltem o intuicji.

Wallander zapłacił za lunch. Kiedy wrócili do komendy, Forsfalt wziął z recepcji czarny plastikowy worek.

- Masz tutaj parę kilo materiałów, które dają niezły wgląd w burzliwe życie Bjórna Fredmana - powiedział z uśmiechem, po czym spoważniał, jakby uśmiech był czymś niestosownym. - Biedny skurczybyk. Na pewno straszliwie cierpiał. Co on właściwie zrobił, żeby na to zasłużyć?

- Otóż to. Co on takiego zrobił? Co zrobił Wetterstedt? I Carlman? Komu?

- Skalpy i kwas w oczy. Do czego to wszystko prowadzi?

- Zdaniem głównego zarządu policji do tego, że okręg ystadzki nie musi zatrudniać ludzi w weekendy. Forsfalt stał przez chwilę w milczeniu.

- Nie sądzę, żeby to był właściwy sposób reagowania na ogólny rozwój sytuacji - powiedział.

- Powiedz to głównemu komendantowi - zaproponował Wallander.

- A co on może? Ma nad sobą zarząd. Aza nim stoją politycy. - W każdym razie może zaprotestować - stwierdził Wallander. - Jeśli posuną się za daleko, powinien odejść.

- Może i tak.

- Dziękuję za pomoc. I za opowieść o kuźni.

- Mógłbyś tam kiedyś do mnie zajrzeć. Nie wiem, czy Szwecja naprawdę jest taka fantastyczna, jak wszędzie można przeczytać, ale na pewno jest piękna. I zdumiewająco dziewicza. Wystarczy dobrze się rozejrzeć.

- Mariannę Eriksson - przypomniał Wallander.

- Zobaczę, czy uda mi się już teraz. Zadzwoń do ciebie później.

Wallander wrzucił do samochodu plastikowy worek i wjechał na E65. Opuścił szybę; ciepły wiatr owiewał mu twarz. W Ystadzie zatrzymał się przed supermarketem i zrobił zakupy. Stojąc przy kasie, przypomniał sobie o proszku do prania. Pojechał do

domu. Kiedy miał otwierać drzwi, okazało się, że zgubił klucze. Przeszukał samochód, ale bez powodzenia. Zadzwoił do Forsfalta, ale go nie zastał. Jeden z jego kolegów poszedł sprawdzić do gabinetu, czy Wallander nie zostawił kluczy na biurku. Nie zostawił. Zadzwoił do Petera Hjelm. Odebrał natychmiast i po kilku minutach poszukiwań wrócił z niczym. Wyjął kartkę z numerem telefonu Fredmanów w Rosengardzie. Był syn. On też nie znalazł kluczy. Wallander zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiedzieć mu o Louise, ale zrezygnował. Mógł zgubić klucze w restauracji, gdzie jadł lunch z Forsfaltem, albo w sklepie, gdzie kupował koszulę. Zirytowany, wsiadł do samochodu i pojechał na komendę. Ebba miała w recepcji komplet zapasowych kluczy. Podał jej nazwę sklepu i restauracji w Malmö. Obiecała sprawdzić. Od razu wrócił do domu, nie zamieniwszy słowa z kolegami. Musiał sobie dokładnie przemyśleć wydarzenia tego dnia. I przygotować się do rozmowy z Perem Akesonem. Powkładał zakupy do spizarki i do lodówki. Minęła już godzina, na którą się wpisał w pralni. Kiedy tam zszedł, z proszkiem i stertą ubrań, nikogo nie było. Posortował pranie, domyślając się, co jakiej wymaga temperatury. Nie bez kłopotu uruchomił dwie maszyny. Zadowolony, wrócił do mieszkania.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, zadzwonił telefon. Forsfalt. Marianne Eriksson jest w Hiszpanii. Będzie jej szukał w hotelu, którego adres podało mu biuro podróży. Wallander opróżnił czarny worek. Papiery przykryły cały kuchenny stół. Z uczuciem nagłej niechęci wyjął z lodówki piwo i usiadł w salonie. Słuchał Jussiego Bjórlinga. Po chwili wyciągnął się na kanapie i zasnął.

Obudził się nagle, kiedy muzyka umilkła. Zostało mu pół puszki piwa. Dopił je, leżąc na kanapie. Myśli krążyły swobodnie. Zadzwoił telefon. Odebrał w sypialni. To była Linda. Spytała, czy przez parę dni mogłaby u niego pomieszkać, bo rodzice przyjaciółki dzisiaj wracają. Wallander poczuł nagły przyływ energii. Zebrał ze stołu w kuchni wszystkie papiery i zaniósł je do sypialni. Potem pościelił w pokoju, w którym Linda zwykła spać, i pootwierał wszystkie okna, wpuszczając do mieszkania ciepły wieczorny wiatr. Przyszła o dziewiątej. Zdążył już wyjąć pranie. Zdziwił się, że nic nie zafarbowało. Rozwiesił ubrania i bieliznę w suszarce i wrócił do mieszkania. Linda nie chciała nic jeść. Ugotował sobie kartofle i usmażył kawałek mięsa. Jedząc, zastanawiał się, czy zadzwonić do Baj-by. Myślał też o zgubionych kluczach, o Louise Fredman, o Peterze Hjelmie, o papierach, które leżały w sypialni, ale przede wszystkim myślał o mężczyźnie, który gdzieś tam teraz jest i którego będą musieli złapać, zanim znowu zaatakuje.

Stał przy otwartym oknie i zobaczył ją na ulicy. - Kocham cię - powiedział głośno do siebie. Potem zrzucił jej klucze. Mimo że rozmawiał z Lindą do późnej nocy, zmusił się do wstania z łóżka już o szóstej. Długo stał na wpół śpiący pod prysznicem, dopóki nie odpłynęło zmęczenie. Cicho krzątał się po mieszkaniu i myślał, że czuje się jak w domu tylko wtedy, kiedy jest tutaj Bajba albo Linda. Kiedy był sam, mieszkanie stanowiło raczej kryjówkę, chwilowy dach nad głową. Ugotował kawę i zszedł do pralni po suche rzeczy. Sąsiadka, która wkładała ubrania do pralki, zwróciła mu uwagę, że powinien po sobie posprzątać. Była to starsza samotna kobieta, której zwykł się kłaniać, ilekroć ją spotkał. Nawet nie wiedział, jak się nazywa. Pokazała mu palcem kupkę rozsypanego proszku na podłodze. Przeprószył i obiecał poprawę. Babsztyl, pomyślał ze złością, wracając do mieszkania. Oczywiście miała rację. Położył pranie na łóżku i wyniósł do kuchni papiery, które dostał od Forsfalta. Miał wyrzuty sumienia, że ich nie przejrzał w nocy. Ale wielogodzinna rozmowa z Lindą była pod wieloma względami bardzo ważna. Siedzieli na balkonie, słuchał jej i myślał, że mówi do niego dorosły człowiek. Nie była już dzieckiem, i to go zdumiewało. Stało się coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Powiedziała mu, że Mona przypuszczalnie znów wyjdzie za mąż. Nie wiedzieć czemu, sprawiło mu to przykrość. Domyślił się, że na Linde spadł obowiązek przekazania mu tej wiadomości. Poczul się dotknięty i po raz pierwszy poważnie zaczął rozmawiać z córką o powodach nieudanego małżeństwa. Z komentarzy Lindy wywnioskował, że wersja Mony była inna. Potem zapytała go o Bajbę. Starał się odpowiedzieć uczciwie, mimo że w ich związku dużo jeszcze było znaków zapytania.

Po rozmowie doszedł do wniosku, że uzyskał odpowiedź w najważniejszej dla niego sprawie. Że Linda nie krytykuje go za to, co się stało, że teraz patrzy na rozwód swoich rodziców jak na rzecz konieczną.

Usiadł przy kuchennym stole i zaczął przeglądać obszerne materiały dotyczące burzliwego i pogmatwanego życia Bjórna Fredmana. Zapoznanie się z całością zajęło mu dwie godziny. Od czasu do czasu coś zapisywał w notatniku. Odłożył ostatnią teczkę i przeciągnął się. Była ósma. Nalał sobie kolejną kawę i stanął w otwartym oknie. Zapowiadał się jeszcze jeden piękny dzień. Nie pamiętał, kiedy ostatnio padał deszcz. Próbował podsumować to, co przeczytał. Björn Fredman był smutną postacią już od chwili narodzin. Miał trudne dzieciństwo, jako siedmiolatek zetknął się z policją w związku z kradzieżą roweru. Potem te kontakty praktycznie nigdy nie ustały. Björn Fredman od początku buntował się przeciwko zastanej rzeczywistości, której

nie zamierzał ulec, jako że nie miał ku temu najmniejszych powodów. Wallander pomyślał, że w swoim policyjnym życiu ciągle jest zmuszony czytać szare, bezbarwne życiorysy, których początek zwiastował fatalny koniec. Szwecja wyszła z ubóstwa w dużej mierze dzięki sobie samej i sprzyjającym okolicznościom. Wallander pamiętał z własnego dzieciństwa ludzi naprawdę biednych, choć wtedy nie było ich już tak wielu. Ale tej drugiej biedy, pomyślał, stojąc z filiżanką kawy przy kuchennym oknie, tej drugiej nigdy nie wytepił. Przetrwiała za fasadami. I dzisiaj, kiedy sukcesy wydają się coraz mniejsze i państwo dobrobytu rwie się i pęka w szwach, wtedy daje o sobie znać ta druga bieda, rodzinne tragedie. Björn Fredman nie był wyjątkiem. Nigdy nam się nie udało zbudować społeczeństwa, w którym tacy jak on czuliby się jak u siebie. Kiedy zburzyliśmy stare struktury, w których rodzina trzymała się razem, zapomnieliśmy je zastąpić innymi. Ceną, którą przyszło za to płacić, okazała się wielka samotność. A może wolimy udawać, że nie istnieje? Włożył papiery do czarnego worka i nasłuchiwał pod drzwiami Lindy. Spała. Nie mógł się oprzeć pokusie, cicho wszedł i patrzył na nią. Leżała zwinięta w kłębek, odwrócona do ściany. Napisał do niej kartkę i zastanawiał się, co zrobić z kluczami. Z sypialni zadzwonił do komendy. Dziewczyna w recepcji powiedziała mu, że Ebba jest w domu. Odszukał jej numer. Miała złe wiadomości. Ani w restauracji, ani w sklepie nie znaleźli kluczy. Dopisał na kartce, żeby Linda zostawiła klucze pod wycieraczką, i pojechał do komendy. Był tuż przed wpół do dziewiątej. Hansson siedział u siebie. Na widok jego poszarzałej twarzy Wallanderowi zrobiło się go nagle żal. Był ciekaw, jak długo Hansson wytrzyma. Razem poszli do stołówki na kawę. Ponieważ była sobota, a poza tym lipiec, nie bardzo było widać, że największe w historii ystadzkiej policji śledztwo idzie pełną parą. Wallander chciał porozmawiać z Hanssonem o posiłkach, a dokładniej o tym, że Hanssonowi przydałby się ktoś do pomocy. W dalszym ciągu uważał, że w terenie sobie poradzą. Hansson próbował protestować. Ale Wallander nie ustąpił. Szara twarz Hanssona i rozbiegane oczy były wystarczającym argumentem. W końcu Hansson obiecał porozmawiać z komendantem wojewódzkim o wypożyczeniu intendenta.

Uzgodnili godzinę zebrania na dziesiątą. Wallander zostawił Hanssona, któremu chyba ulżyło. Od siebie zadzwonił do Forsfalta, ale go nie zastał. Forsfalt zgłosił się po piętnastu minutach. Wallander poruszył sprawę paszportu Bjorna Fredmana.

- Powinien być u niego w mieszkaniu - powiedział Forsfalt. - Dziwne, że nie znaleźliśmy.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, chciałbym się jednak dowiedzieć czegoś więcej o tych podróżach, o których wspominał Peter Hjelm. W Europie nie wbijają już stempli.

- Wydaje mi się, że Hjelm myślał o dużo dalszych wycieczkach. Ale naturalnie mogę się mylić.

Forsfalt obiecał, że natychmiast zaczną szukać paszportu Fredmana.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Marianną Eriksson - powiedział. - Chciałem do ciebie zadzwonić, ale było już bardzo późno.

- Gdzie ją złapałeś?

- W Maladze. Nie wiedziała, że Björn Fredman nie żyje.

- Co miała do powiedzenia?

- Muszę przyznać, że niewiele. Była wstrząśnięta. Niestety, nie oszczędziłem jej szczegółów. Spotykali się od sześciu miesięcy. Odniosłem wrażenie, że bardzo go lubiła.

- No to jest pierwsza. Jeśli nie liczyć Petera Hjelma.

- Myślała, że był biznesmenem. Nie miała pojęcia, że przez całe życie prowadził nielegalne interesy. Nie wiedziała, że był żonaty i miał troje dzieci. Myślę, że była naprawdę wstrząśnięta. Podczas naszej rozmowy porwałem na strzępy jej obraz Bjórna Fredmana.

- Skąd wiesz, że go lubiła?

- Było jej przykro, kiedy usłyszała, że ją okłamywał.

- Czy wypłynęło coś jeszcze?

- Właściwie nie. W piątek wraca do Szwecji i wtedy z nią porozmawiam.

- A potem urlop?

- Taką mam przynajmniej nadzieję. A ty się nie wybierasz na urlop?

- Wolę o tym nie myśleć.

- Wystarczy, żeby drgnęło, to już potem poleci. Wallander nie komentował. Po skończonej rozmowie od razu zadzwonił do centrali i poprosił o odszukanie Pera Akesona. Niespełna minutę później okazało się, że Akeson jest w domu. Wallander spojrział na zegarek. Cztery po dziewiątej. Wyszedł z pokoju. W korytarzu natknął się na Svedberga, który nie rozstawał się ze swoją zabawną czapczką.

- Jak tam poparzenia? - spytał.

- Lepiej. Ale nie mam odwagi chodzić bez czapki.

- Myślisz, że jest jakiś zakład ślusarski otwarty w sobotę?

- Wątpię. Ale jeśli zatrzasnąłeś drzwi, to są ślusarze, którzy mają dyżury.
- Chcę skopiować parę kluczy.
- Zatrzasnąłeś się?
- Zgubiłem klucze.
- Było na nich twoje nazwisko i adres?
- Jasne, że nie.
- No to nie musisz wymieniać zamka.

Wallander uprzedził Svedberga, że może się trochę spóźnić na zebranie. Ma jeszcze ważne spotkanie z Perem Akesonem.

Per Akeson mieszkał w osiedlu willowym koło szpitala. Wallander był już u niego wcześniej i znał drogę. Kiedy dojechał i wysiadł z samochodu, Akeson kosił trawę w ogrodzie. Na widok Wallandera wyłączył kosiarkę.

- Stało się coś? - spytał, kiedy się spotkali przy furtce.

- Tak i nie. Zawsze coś się dzieje. Ale nic przełomowego. Potrzebuję twojej pomocy w sprawdzeniu pewnej osoby.

Weszli do ogrodu. Wallander pomyślał ponuro, że przypomina większość innych ogrodów, w których był. Podziękował za kawę. Usiedli w cieniu, na otwartej przestrzeni, niedaleko grilla.

- Może przyjdzie tu moja żona - powiedział Per Akeson. - Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nic nie mówił o moim wyjeździe do Afryki. To ciągle drażliwy temat. Wallander obiecał, że nic nie powie, i podzielił się swoimi podejrzeniami co do molestowania Louise Fredman. Nie ukrywał, że to być może kolejna ślepa uliczka i że niczego nie wniesie do śledztwa. Nie chce jednak ryzykować, gdyby się miało okazać, że jest inaczej. Uzyskali potwierdzenie, że Fredmana zabił ten sam człowiek, który zgładził Wetterstedta i Carlmana. Kiedy powiedział, że Björn Fredman jest czarną owcą w tej oskałpowanej gromadce, zorientował się, że coś tu nie gra. W jakim sensie pasuje do układanki? A w jakim sensie nie pasuje? Może odnajdą punkty styczności, zaczynając od Fredmana, tam, gdzie były wątpliwe. Akeson słuchał z uwagą. Nie miał żadnych pytań.

- Rozmawiałem z Ekholmem - powiedział, kiedy Wallander zamilkł. - Myślę, że to niezły gość. Zna się na rzeczy. Realista. Na podstawie tego, co mówił, odniosłem wrażenie, że człowiek, którego szukamy, znowu może zaatakować.

- Cały czas o tym myślę.

- Co z posiłkami?

Wallander przytoczył swoją rozmowę z Hanssonem. Per Akeson wahał się.

- Chyba nie masz racji - powiedział. - Wsparcie Hanssona to za mało. Wydaje mi się, że przeceniasz wasze możliwości. To skomplikowane śledztwo, widziałbym w nim miejsce dla większego zespołu. Więcej ludzi oznacza choćby to, że w tym samym czasie można więcej działać. A nie zajmować się poszczególnymi zadaniami po kolei. Mamy do czynienia z kimś, kto znowu może zabić. Inaczej mówiąc, nie dysponujemy czasem.

- Wiem, o co ci chodzi. Bez przerwy się martwię, że już jesteśmy spóźnieni.

- Posiłki. Co ty na to?

- Na razie mówię „nie”. Nie to jest problemem. - Jako prowadzący postępowanie przygotowawcze, nie mogę tego zaakceptować. A ty nie chcesz posiłków. I gdzie jesteśmy?

- W kłopotliwej sytuacji.

- Bardzo kłopotliwej. I nieprzyjemnej. Mógłbym zażądać posiłków wbrew waszej woli, ale wtedy musiałbym to uzasadnić nieskutecznością działań grupy śledczej. Najdelikatniej mówiąc, musiałbym was uznać za ludzi niekompetentnych. A tego nie chcę.

- Zakładam, że tak zrobisz, jeśli musisz. A ja w tym samym momencie pożegnam się z pracą w policji.

- Kurt! Do cholery!

- To ty zacząłeś tę dyskusję. Nie ja.;

- Ty masz swój regulamin, ja mam swój. Jeśli nie zażądaj posiłków, dopuszczę się uchybienia służbowego.

- I psów - odpowiedział Wallander. - Chcę psy policyjne. I helikoptery.

Wallander żałował, że przeciągnął strunę. Nie potrafił jednak do końca zrozumieć, dlaczego był przeciwny posiłkom. Z doświadczenia wiedział, że łatwo wówczas dochodzi do konfliktów, które tylko opóźniają śledztwo. Nie mógł się jednak nie zgodzić z argumentem Pera Akesona, że więcej spraw można byłoby badać jednocześnie.

- Porozmawiaj z Hanssonem - zaproponował Wallander. - To on decyduje.

- Hansson o niczym nie zdecyduje bez ciebie. A potem zrobi to, co mu powiesz.

- Chyba że będę milczał. Tyle mogę dla ciebie zrobić. Per Akeson wstał i zakręcił kran, do którego był przykręcony zielony plastikowy wąż.

- Poczekajmy do poniedziałku - powiedział, siadając.

- Poczekajmy-zgodził się Wallander. I wrócił do sprawy Louise Fredman. Kilka razy zaznaczył, że nic nie wskazuje na to, żeby Björn Fredman napastował swoją córkę, nie można jednak tego wykluczyć, a skoro tak, to będzie mu potrzebna pomoc Akesona w otwarciu drzwi do sali szpitalnej, na której leży Louise Fredman.

- Możliwe, że się mylę. Nie byłby to pierwszy raz. Ale nie mogę lekceważyć żadnych możliwości. Chcę wiedzieć, dlaczego Louise Fredman jest w klinice psychiatrycznej. A kiedy się dowiem, wspólnie zdecydujemy, czy będzie konieczny następny krok.

- Czyli?

- Rozmowa z nią.

Per Akeson skinął głową. Wallander był przekonany, że może liczyć na jego przychylność. Akeson szanował jego intuicyjne oceny, mimo że nie opierały się na mocnych przesłankach.

- To może być skomplikowane. Ale postaram się coś zrobić już w ten weekend.

- Byłbym ci wdzięczny - powiedział Wallander. - Zadzwoń do mnie, do komendy albo do domu.

Per Akeson poszedł sprawdzić, czy ma w notesie wszystkie telefony Wallandera. Napięcie, jakie między nimi powstało, zniknęło. Per Akeson odprowadził go do furtki.

- Mamy ładny początek lata - powiedział. - Ale podejrzewam, że nie masz za dużo czasu, żeby o tym myśleć. Wallander wyczuł współczucie w jego głosie.

- Nie bardzo - odparł. - Ale babcia Ann-Britt Hóglund przepowiedziała długie lato.

- A nie mogłaby powiedzieć, gdzie szukać sprawcy? Wallander z rezygnacją pokręcił głową.

- Cały czas przychodzi mnóstwo tak zwanych informacji. Jak zwykle dzwonią nasi starzy prorocy i ci, którzy się uważają za jasnowidzów. Kilku aspirantów próbuje to jakoś ogarnąć. Potem siedzi nad tym Ann-Britt i Svedberg. Ale na razie bez rezultatu. Nikt nic nie widział ani koło domu Wetterstedta, ani koło domu Carlmana. Informacji o wykopie przed dworcem i o furgonetce na lotnisku jest na razie niewiele i też nic nam nie dały.

- Człowiek, którego ścigasz, jest ostrożny.

- Ostrożny, przebiegły i pozbawiony ludzkich uczuć - powiedział Wallander. - Nie mam pojęcia, jak funkcjonuje jego mózg. Nawet Ekholm wydaje się bezradny. Po

raz pierwszy w życiu mam uczucie, że na wolności grasuje potwór.

Akeson przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Ekholm mówił, że wszystkie dane przepuszcza przez komputerowy program FBI - powiedział. - Może to coś da.

- Oby - odparł Wallander i nie dokończył, ale Akeson zrozumiał.

Dopóki znowu nie zaatakuje. A my nie będziemy wiedzieć, gdzie go szukać.

Wallander wrócił do komendy. Spóźnił się kilka minut. Żeby podnieść na duchu harujący zespół, Hansson osobiście pojechał do cukierni Fridolfa po drożdżówki. Wallander usiadł na swoim miejscu i rozejrzał się. Martinsson po raz pierwszy w tym roku wystąpił w krótkich spodenkach. Na twarzy Ann-Britt Hóglund pojawiły się pierwsze oznaki opalenizny. Pomyślał z zazdrością, jak zdążyła tego dokonać. Przyzwyczajony ubrany był tylko Ekholm, który zajął szczyt stołu.

- Zauważyłem, że jedna z naszych popołudniówek celuje w dobrym smaku - powiedział ponuro Svedberg. - Poświęciła swój dodatek prezentacji sztuki zdejmowania skalpów. Oby nie stała się modna wśród wszystkich wariatów, którzy chodzą na wolności.

Wallander uderzył ołówkiem w stół. - Zaczynamy. Szukamy najgorszego sprawcy, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Popełnił już trzy brutalne morderstwa. Wiemy, że to ten sam człowiek. Ale to wszystko, co wiemy. Poza tym istnieje duże ryzyko, że znowu zaatakuje.

Przy stole zapadła cisza. Wallander nie zamierzał wprowadzać posępnej atmosfery. Wiedział z doświadczenia, że skomplikowane śledztwa ułatwiał lżejszy ton, nawet jeśli przestępstwa miały tragiczny wymiar. Wszyscy byli równie przygnębieni jak on i jak on mieli uczucie, że ścigają bestię, której rodzaj zaburzeń emocjonalnych jest wręcz niemożliwy do ogarnięcia rozumem.

To było jedno z najtrudniejszych zebrań w policyjnej karierze Wallandera. Za oknem pyszniło się nieprawdopodobnie piękne lato, drożdżówki Hanssona rozpuszczały się w upale, a jemu zbierało się na mdłości. Uważnie przysłuchując się wypowiedziom kolegów, myślał, jak on wytrzymuje w tym zawodzie. Czy nie czas uznać, że zrobił swoje? Życie musi być czymś więcej. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że zniechęca go brak jakichkolwiek widoków na przełom w śledztwie. Nie dostrzegli jak dotąd żadnej szpary w murze, którą mogliby poszerzyć i potem się przez nią precyzyjnie. Nie utknęli wprawdzie w martwym punkcie, ciągle mieli dużo tropów, ale brakowało im wytyczonego szlaku. Zazwyczaj pojawiał się jakiś niewidzialny

drogowskaz, który umożliwiał zmierzanie do celu. Tym razem go nie było. Szukanie wspólnego mianownika to za mało. W ogóle zaczęli wątpić w jego istnienie.

Trzy godziny później, po zebraniu, mogli się zająć tylko jednym: kontynuować to, co robili dotychczas. Wallander popatrzył po zmęczonych twarzach kolegów i zaordynował wypoczynek. Odwołał wszelkie spotkania w niedzielę. Zobaczą się w poniedziałek rano. Jeśli, rzecz jasna, nie wydarzyło coś poważnego...

Kiedy wrócił do domu, zastał wiadomość od Lindy, że nie będzie jej do wieczora. Przespał się kilka godzin, potem dwukrotnie i bez skutku próbował się skontaktować z Bajbą. Zadzwoił do Gertrudy, od której się dowiedział, że z ojcem wszystko po staremu, może tylko trochę częściej mówi o wrześniewej podróży do Włoch. Wallander odkurzył mieszkanie i naprawił hak w oknie. Cały czas myślał o nieznanym sprawcy. O siódmej zjadł skromny obiad: usmażył filety z dorsza i ugotował kartofle. Potem siedział z filiżanką kawy na balkonie i wertował stary numer „Ystads Allehanda”. Kwadrans po dziewiątej przyszła Linda. Wypili herbatę w kuchni. Następnego dnia Wallander miał zobaczyć przedstawienie, nad którym pracowała z Kajsą. Była bardzo tajemnicza i nie chciała zdradzić, o czym to jest. Położyli się o wpół do dwunastej.

Wallander usnął niemal natychmiast. Linda długo nie spała, leżała i słuchała nocnego śpiewu ptaków. Potem i ona zasnęła. Drzwi do pokoju zostawiła uchylone.

Żadne z nich nie usłyszało chrzęstu ostrożnie otwieranych drzwi. Było tuż po drugiej w nocy. Hoover stał boso w przedpokoju i nasłuchiwał. Z pokoju po lewej od salonu dobiegło go chrapanie mężczyzny. Ruszył w głąb mieszkania. Drzwi do jednego z pokoi były uchylone. Zobaczył, że ktoś tam śpi. Dziewczyna. Mogła być w wieku jego siostry. Nie potrafił oprzeć się pokusie, wszedł i stanął tuż obok niej. Miał nad nią pełną władzę. Potem odwiedził chrapiącego mężczyznę. Policjant o nazwisku Wallander leżał na plecach, przykryty jedynie skrawkiem prześcieradła. Spał mocno. Klatka piersiowa gwałtownie się unosiła i opadała. Hoover stał bez ruchu i patrzył. Pomyślał o siostrze, która niedługo będzie wolna od wszystkiego, co złe. Która niedługo powróci do życia..

Patrzył na śpiącego mężczyznę. Pomyślał o dziewczynie w pokoju obok, która pewnie jest jego córką. I podjął decyzję. Za kilka dni tutaj wróci.

Opuścił mieszkanie równie bezgłośnie, jak wszedł. Zamknął drzwi na klucz, który wyjął z kurtki policjanta. Chwilę później ciszę przerwał motorower. Potem znów było cicho. Tylko ptaki śpiewały. W niedzielę rano Wallander po raz pierwszy od

bardzo dawna czuł się wyspany. Było po ósmej. Przez szparę w zasłonce widział skrawek bezchmurnego nieba. Kolejny piękny dzień. Leżał w łóżku i nasłuchiwał. Potem włożył świeżo wyprany szlafrok i zajrzał do Lindy. Spała. Przez chwilę miał wrażenie, że cofnął się do czasów, kiedy była jeszcze dzieckiem. Uśmiechnął się na to wspomnienie, po czym poszedł do kuchni zrobić kawę. Na termometrze za oknem było dziewiętnaście stopni. Kiedy kawa się zaparzyła, przygotował śniadanie dla Lindy. Pamiętał, co chciała: jajko gotowane przez trzy minuty, tost, kilka plasterków żółtego sera, jeden pokrojony pomidor i szklanka wody. Wypił kawę, odczekał do kwadrans dziewiąta i poszedł do niej. Obudziła się, kiedy wymówił jej imię. Widząc tacę w jego rękach, wybuchnęła śmiechem. Usiadł w nogach łóżka i patrzył, jak je. Nie poświęcił ani jednej myśli śledztwu, nie licząc przelotnej refleksji tuż po przebudzeniu. Doświadczył czegoś podobnego już wcześniej, kiedy prowadzili trudne dochodzenie w sprawie o zabójstwo starszego małżeństwa rolników spod Knickarpu. Codziennie rano intensywnie o tym myślał, w ciągu zaledwie kilku sekund dokonywał przeglądu wszystkich szczegółów i pytań bez odpowiedzi.

Odsunęła tacę i przeciągnęła się.

- Co robiłeś w nocy? - spytała. - Nie mogłeś spać?

- Spałem jak kamień. Nawet nie chodziłem do ubikacji.

- No to musiało mi się śnić - powiedziała i ziewnęła. - Wydawało mi się, że byłeś w moim pokoju.

- Chyba ci się śniło. Przynajmniej raz przespałem całą noc.

Godzinę później Linda wyszła. Mieli się spotkać na Ósterportstorg o siódmej wieczorem. Spytała, czy wie, że w tym czasie Szwecja rozegra jedną ósmą finału z Arabią Saudyjską. Wallander nie był zainteresowany. Obstawił 3:1 dla Szwecji i dał sto koron Martinssonowi. Próby odbywały się w pustym lokalu sklepowym. Kiedy został sam, zabrał się do prasowania świeżo wypranych koszul. Po dwóch miał dosyć i zadzwonił do Bajby. Odebrała niemal od razu, ucieszyła z jego telefonu. Powiedział o odwiedzinach Lindy i o tym, że po raz pierwszy od tygodni jest wyspany. Bajba miała już ostatnie przed wakacjami zajęcia na uniwersytecie i z dziecięcą radością mówiła o ich wspólnej wycieczce do Skagenu. Po rozmowie, zadowolony i pełen energii, nastawił Aidg, usiadł na balkonie i starannie przejrzał gazety z ostatnich dni. Omówienie śledztwa jednak sobie darował. Nie będzie o tym myślał aż do dwunastej. Ale nie bardzo mu się to udało, bo piętnaście po jedenastej zadzwonił Per Akesson. Rozmawiał z prokuratorem rejonowym w Malmö o prośbie Wallandera. Miał

nadzieję, że w ciągu kilku dni uzyska odpowiedź na część pytań o Louise Fredman.

- Ale czy nie byłoby prościej zapytać o to matkę dziewczyny? - podzielił się swoimi wątpliwościami Per Akeson.

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy powie mi tę prawdę, o którą mi chodzi.

- To znaczy jaką? Jeśli jest więcej prawd niż jedna.

- Matka chroni swoją córkę. To naturalne. Też bym tak zrobił. Nawet gdyby mi powiedziała, myślałaby wyłącznie o ochronie córki. Karta choroby czy ekspertyza lekarska mówią innym językiem.

- Zakładam, że wiesz lepiej - przyznał Akeson i obiecał, że się odezwie w poniedziałek, jak tylko będzie miał coś więcej do powiedzenia.

Po rozmowie z Perem Akesonem Wallander skupił się na śledztwie. Postanowił opracować plan działania na najbliższy tydzień. Ale nie w domu. Zgłódnił i pomyślał, że tej niedzieli zaprosi siebie na lunch do restauracji. Przed dwunastą wyszedł z domu, ubrany na biało, jak tenisista, na stopy wsunął sandały. Wyjechał na Ósterleden, myśląc, że później tego dnia odwiedzi ojca. Gdyby nie miał na głowie śledztwa, mógłby zabrać ojca i Gertrudę na lunch. Teraz potrzebował jednak trochę czasu dla siebie. Stale obracał się wśród ludzi, pochłonięty rozmowami i zebraniem. Teraz chciał być sam. Bezwiednie dojechał aż do Simrishamnu, zaparkował przy łodziach, zrobił sobie spacer, a potem zajrzał do portowej restauracji. Wybrał stolik w rogu i obserwował gości. Jeden z nich, pomyślał, może być tym, którego szukamy. Jeśli teoria Ekholma jest słuszna, sprawca prowadzi zupełnie normalne życie, nie ujawniając swojej zdeformowanej psychiki, która stanowi niesamowite zagrożenie dla innych. Kto wie, może tu teraz siedzi.

W tym momencie piękny letni dzień wyśliznął mu się z rąk. Znow zaczął wracać myślami do tego, co się wydarzyło. Nie wiedzieć czemu, przypomniła mu się dziewczyna z pola rzepaku Salomonssona. Nie miała nic wspólnego z morderstwami, popełniła samobójstwo, którego powodów jeszcze nie znają, nikt nie wbił jej siekiery w plecy ani w głowę. A jednak od niej Wallander zawsze zaczynał, ilekroć przebiegał śledztwo myślami. Tej niedzieli, kiedy siedział w portowej restauracji w Simrishamnie, coś zaczęło nękać jego podświadomość. Ktoś coś powiedział w związku z martwą dziewczyną. Zamarł z widelcem w dłoni. Kto to powiedział? Co powiedział? Dlaczego to było takie ważne? Po chwili się poddał. Prędzej czy później na pewno sobie przypomni. Jego podświadomość zawsze wymagała od niego cierpliwości. I jakby chciał udowodnić, że naprawdę jest cierpliwy, przed kawą zamówił dla odmiany

deser. Zadowolony, skonstatował, że spodnie, które miał na sobie po raz pierwszy w tym sezonie, cisnęły go znacznie mniej niż rok temu. Zjadł jabłecznik i zamówił kawę. W ciągu godziny jeszcze raz przebiegł myślami śledztwo. Próbował na nie patrzeć z dystansu i krytycznie, jak aktor, który po raz pierwszy czyta sztukę. Gdzie są mielizny i chropowatości? Gdzie są myśli nieprzemyślane do końca? Gdzie nieudolnie połączyłem fakty z okolicznościami, wyciągając fałszywy wniosek? Jeszcze raz przepatrzył dom Wetterstedta, ogród i plażę. Teraz to on był sprawcą i nie odstępował Wetterstedta jak cień. Wdrapał się na dach garażu i czytał „Fantoma”, czekając, aż przysza ofiara usiądzie przy biurku i być może zacznie przeglądać zbiór starych zdjęć pornograficznych. Tak samo potraktował Carlmana. Zostawił motocykl pod ścianą baraku i poszedł polną drogą na wzgórze, skąd miał widok na dom Carlmana. Od czasu do czasu robił notatki. „Dach garażu. Co on chce zobaczyć? Wzgórze Carlmana. Lornetka?” Metodycznie rozważał punkt po punkcie, głuchy i ślepy na restauracyjny gwar. Jeszcze raz odwiedził Hugona Sandina, jeszcze raz rozmawiał z Sara Björklund i zapisał, że znów się z nią skontaktuje. Można te same pytania udzieli mu nieco innych, bardziej przemyślanych odpowiedzi? Zatrzymał się dłużej przy córce Carlmana, która uderzyła go w twarz, przy Louise Fredman i jej dobrze wychowanym bracie. Był wypoczęty, zmęczenie zniknęło, myśli płynęły lekko, jakby je unosił łagodny wiatr. Po godzinie przywołał kelnera i zapłacił. Przez godzinę znów był w szponach śledztwa. Spojrzał na swoje notatki, jakby to było jakieś magiczne pismo, i wyszedł z restauracji. Potem usiadł na ławce w parku przed hotelem „Svea” i ‘patrzył na morze. Wiał słaby ciepły wiatr. Załoga jakiejś duńskiej żaglówki zmagala się z opornym spinakerem. Wallander przejrzał swoje zapiski i wsunął notatnik pod udo.

Pomyślał, że punkt styczności się przemieszcza. Od rodziców do dzieci. Córka Carlmana i Louise Fredman. Czy to przypadek, że jedna usiłowała popełnić samobójstwo po śmierci ojca, a druga od dawna jest w klinice psychiatrycznej? Trudno mu było w to uwierzyć. Wetterstedt stanowił wyjątek. Miał dwoje dorosłych dzieci. Przypomniał sobie słowa Rydberga: „Początek wcale nie musi być początkiem”. Czy miałyby to zastosowanie w tym wypadku? Próbował sobie wyobrazić, że sprawca jest kobietą. Nie, to niemożliwe. Siła, której skutki widzieli, skalpy, ciosy zadawane siekierą, kwas w oczach Fredmana. To na pewno mężczyzna. Mężczyzna, który zabija mężczyzn. A kobiety popełniają samobójstwo albo są psychicznie chore. Przesiadł się na drugą ławkę, jakby chciał zaznaczyć, że istnieją inne prawdopodobne wyjaśnienia. Gustaf Wetterstedt maczał palce w podejrzanych aferach, bez względu na to, jak

znakomitym był ministrem sprawiedliwości. Był, słaby wprawdzie, ale oczywisty związek między nim i Carlmanem. Obrazy, kradzieże, może fałszerstwa. Przede wszystkim jednak chodziło o pieniądze. Niewykluczone, że Björn Fredman też się tutaj mieścił. W materiałach, które dostał od Forsfalta, nic nie znalazł, co bynajmniej nie oznacza, że można to odfajkować. Niczego nie wolno odfajkować. To ich problem i szansa jednocześnie.

Przyglądał się w zamyśleniu duńskiej żaglówce; zaczęli związać spinaker. Potem wyjął notatnik i spojrzał na ostatnie słowo: „Magia”. W tych morderstwach było coś z rytuału. Ekholm też im na to zwrócił uwagę na ostatnim zebraniu. Skalpy wpisywały się w rytuał zbierania trofeów. Znaczyły tyle samo, co poroże łosia w mieszkaniu myśliwego. To był dowód. Dowód czego? Dla kogo? Czy tylko dla sprawcy, czy też dla kogoś innego? Dla boga albo diabła, który istnieje w chorej głowie? Dla drugiego człowieka, z pozoru równie skromnego i nierzucającego się w oczy, jak sprawca? Myślał o tym, co Ekholm mówił o zaklęciach i rytuałach inicjacyjnych. Składało się ofiarę, żeby kto inny dostał łaski. Żeby się wzbogacił się, posiadał jakąś umiejętność, odzyskał zdrowie. Możliwości było dużo. Na przykład, żeby zostać członkiem gangu motocyklowego, trzeba sobie na to zasłużyć. W USA nie było niczym niezwykłym, że ktoś stawał się godny przyjęcia do wspólnoty dopiero wówczas, gdy zabił człowieka, osobę przypadkową lub wybraną. Ten makabryczny obyczaj zaczynał docierać nawet tutaj. Wallander zatrzymał się przy motocyklowym gangu, działającym także w Skanii, i pomyślał o baraku nie opodal posiadłości Carlmana. Ślady, a raczej ich brak, miałyby prowadzić do gangu motocyklowego? Odrzucił tę myśl, choć dobrze wiedział, że niczego nie powinno się wykluczać.

Przesiadł się na ławkę, na której siedział wcześniej. Był w punkcie wyjścia. Do czego doszedł? Uznał, że dalej nie ruszy z miejsca, nie mając partnera do rozmowy. Pomyślał o Ann-Britt Hóglund. Czy mógłby jej zmać niedzielne popołudnie? Zadzwoił z samochodu. Była w domu. I chętnie go zobaczy. Miał wyrzuty sumienia, rezygnując z odwiedzin ojca. Teraz musi się jednak z kimś podzielić swoimi przemyśleniami. Gdyby z tym poczekał, mógłby się pogubić. Wracając do Ystadu, minimalnie przekraczał dozwoloną prędkość. Nie słyszał o żadnych kontrolach drogowych tej niedzieli.

Była trzecia, kiedy zahamował przed domem Ann-Britt Hóglund. Przyjęła go w jasnej letniej sukience. Dwójka jej dzieci bawiła się na sąsiednim podwórku. Wskazała mu miejsce na hamaku, sama usiadła na wiklinowym krześle.

- Naprawdę nie chcę ci przeszkadzać - powiedział. - Mogłaś się nie zgodzić.
- Wczoraj byłam zmęczona. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Dzisiaj czuję się lepiej.
- Ostatnia noc była chyba nocą śpiących policjantów. Dochodzi się do takiego momentu, kiedy już nie można z siebie wycisnąć. Zostaje tylko puste, szare zmęczenie. Wczoraj byliśmy w takim punkcie.

Opowiedział o przejażdżce do Simrishamnu, o tym, jak chodził od ławki do ławki.

- Wszystko od początku przebiegłem myślami. Zdarza się, że można odkryć coś nowego. Ale o tym już wiesz.

- Bardzo liczę na Ekholma - powiedziała. - Dobry program komputerowy jest w stanie przeczesać materiał śledczy i wyłuskać najmniej spodziewane warianty. Komputery nie myślą, ale czasami lepiej kojarzą od nas.

- Nie mam do nich zaufania chyba dlatego, że się zaczynam starzeć - przyznał Wallander. - Co wcale nie znaczy, że nie życzę Ekholmowi powodzenia w jego behawiorystycznych poszukiwaniach mordercy. To przecież nieważne, kto zastawi pułapkę, byleby się tylko w nią złapał. Jak najszybciej.

Przyglądała mu się z powagą.

- Znowu zaatakuje?

- Tak myślę. Mam uczucie, że w tym obrazie zabójstw jest, za przeproszeniem, coś niedokończonego. Czegoś brakuje. I to mnie martwi, bo świadczyłoby o tym, że znowu może zaatakować.

- Jak znajdziemy miejsce, w którym został zamordowany Fredman?

- Nie znajdziemy. Chyba że dopisze nam szczęście. Albo jeśli ktoś coś słyszał. - Sprawdzałam, czy nie przyszły jakieś informacje od ludzi, którzy słyszeli krzyki. Nic takiego nie było.

Nad ich głowami zawisł krzyk ofiary. Wallander huśtał się wolno na swojej przykrytej ceratą kanapie.

- Rzadko rozwiązanie pojawia się całkiem nieoczekiwanie - powiedział, kiedy cisza stała się zbyt długa. - Chodząc od ławki do ławki w nadmorskim parku, zastanawiałem się, czy już nie pomyślałem o tym, co może być rozstrzygające. Mogłem mieć rację, ale to przegapiłem.

Rozważała jego słowa w milczeniu. Od czasu do czasu zerknęła na sąsiednie podwórko, gdzie bawiły się jej dzieci.

- Nie uczyliśmy się w szkole policyjnej o ludziach, którzy skalpują swoje ofiary i

wlewają im kwas do oczu - stwierdziła. - Rzeczywistość, co zresztą podejrzewałam, okazała się nieobliczalna.

Wallander skinął głową, po czym wziął głębszy oddech i niepewny, czy sobie poradzi, opowiedział o swoich przemyśleniach w Simrishamnie. Wiedział z doświadczenia, że obecność słuchacza wpływa na zmianę perspektywy. Dzwoniąc do Ann-Britt Hóglund, miał nadzieję, że zlokalizuje źródło informacji, która mu umknęła. Mimo że słuchała w skupieniu, niemal jak uczeń słucha mistrza, nie przerwała mu ani razu, żeby wskazać na jakiś błąd albo źle wyciągnięty wniosek. Była pod wrażeniem jego niesamowitej umiejętności przenikania i ogarniania wszystkich elementów śledztwa, które dla niej było całkowicie mętne. Nie miała nic do dodania ani do zaproponowania. Nawet jeśli wzory Wallandera były poprawnie zbudowane, brakowało im podstawowych komponentów. Ann-Britt Hóglund nie mogła mu pomóc. Ani ona, ani nikt inny.

Przyniosła filiżanki i termos z kawą. Przyszła jej córka i usiadła na hamaku koło Wallandera. Ponieważ nie była podobna do matki, przypuszczał, że jest podobna do ojca, który pracował w Arabii Saudyjskiej. Wallander nie miał jeszcze okazji go spotkać.

- Twój mąż to chodząca zagadka - zauważył. - Zaczynam się zastanawiać, czy istnieje, czy tylko go wymyśliłaś.

- Czasami też sobie zadaję to pytanie - odpowiedziała ze śmiechem.

Dziewczynka weszła do domu.

- Co z córką Carlmana? - spytał.

- Svedberg kontaktował się wczoraj ze szpitalem. Kryzys co prawda nie minął, ale odniosłam wrażenie, że lekarze są trochę bardziej optymistyczni.

- Nie zostawiła żadnego listu?

- Nie.

- Wiem, że przede wszystkim jest człowiekiem. Nic jednak na to nie poradzę, że traktuję ją jak świadka.

- Czego?

- Czegoś, co ma związek ze śmiercią jej ojca. Nie chce mi się wierzyć, że czas popełnienia samobójstwa jest przypadkowy.

- Nie wiesz czemu wydaje mi się, że nie jesteś przekonany do tego, co mówisz?

- Bo nie jestem. Brnę po omacku. Jest tylko jeden konkretny trop w tym śledztwie: nie mamy żadnego tropu.

- Niewierny, czy idziemy w dobrym, czy w złym kierunku?

- Albo chodzimy w koło, albo drepczemy w miejscu, które się przesuwa, a nam się zdaje, że to myje zmieniamy. Wahała się przed zadaniem następnego pytania.

- Może jest nas za mało? - Do tej pory byłem temu przeciwny - przyznał Wallander. - Ale zaczynam mieć wątpliwości. Jutro rano ta kwestia znowu wypłynie.

- Per Akesson? Wallander pokiwał głową.

- A co mamy do stracenia?

- Mniejszym grupom łatwiej się poruszać. Można kontrargumentować, że im więcej głów do myślenia, tym lepiej, i że, jak mówi Akesson, możemy ogarnąć większy teren. Jak idąca szerokim frontem piechota.

- Jakbyśmy urządzali obławę.

Wallander skinął głową. Jej obraz był trafny. Brakowało tylko komentarza, że ich obława odbywa się na nieznanym terenie. I że nie wiedzą, kogo szukają.

- Czegoś tu taj nie widzimy - powiedział Wallander po krótkiej ciszy. - Poza tym usiłuję sobie przypomnieć kilka słów, które ktoś powiedział. To było zaraz po zamordowaniu Wetterstedta. Ale nie pamiętam, kto to był. Wiem tylko tyle, że to ważne. Ale wtedy było za wcześnie, żebym mógł je właściwie zrozumieć.

- Zawsze powtarzasz, że praca policjanta to najczęściej kwestia triumfu cierpliwości.

- Bo tak jest. Ale cierpliwość ma swoje granice. Coś się może wydarzyć akurat w tym momencie. Może zginąć człowiek. Nasze śledztwo nie polega wyłącznie na rozwiązaniu popełnionych zbrodni. Musimy zapobiec następnym.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, że dajemy z siebie wszystko?

Nie znalazła odpowiedzi. Wallander też jej nie znał. Siedział jeszcze przez chwilę, o wpół do piątej podziękował za zaproszenie na obiad i ruszył do wyjścia.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała, odprowadzając go do furtki. - Będiesz oglądał mecz?

- Nie. Umówiłem się z córką. Ale myślę, że wygramy trzy do jednego.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Też tak typowałam.

- No to oboje wygramy albo przegramy.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powtórzyła.

- Za co mi dziękujesz? Że popsulem ci niedzielę?

- Że uznałeś mnie za kogoś, kto ma coś sensownego do powiedzenia.

- Już to mówiłem i chętnie powtórzę, że jesteś zdolną policjantką. Poza tym wierzysz w komputery. Ja raczej nie, ale może mnie przekonasz.

Wallander wszedł do samochodu i pojechał do domu. Po drodze zrobił zakupy. Potem położył się na leżaku na balkonie i czekał, aż będzie siódma. Nie wiedząc kiedy, zasnął. Potrzebował snu. Za pięć siódma był na Österportstorg. Linda zaprowadziła go do pustego lokalu sklepowego tuż obok. Dziewczęta zawiesiły kilka lamp i przygotowały mu krzesło. Natychmiast poczuł się nieswojo; że nie rozumie, o co chodzi, albo będzie się śmiał nie tam, gdzie trzeba. Wyszły na zaplecze. Po kwadransie były z powrotem, w identycznych kostiumach. Ustawily lampy i skromną dekorację i zaczęły. Godzinne przedstawienie traktowało o bliźniaczkach. Wallander był spięty. Zwykle siedział w bezpiecznych ciemnościach wśród wielu innych widzów, kiedy zdarzało mu się oglądać spektakle operowe w Malmö albo w Kopenhadze. Najbardziej niepokoiło go to, że Linda będzie niedobra. Ale już po kilku minutach uznał, że napisały zabawny tekst, pełen drastycznego humoru, pokazujący Szwecję w krzywym zwierciadle. Czasami się gubiły, czasami nie grały przekonująco, ale wierzyły w to, co robią, i to go cieszyło. Po przedstawieniu, kiedy go poprosiły o ocenę, powiedział zgodnie z odczuciami, że jest zaskoczony, że to było zabawne i dawało do myślenia. Linda uważnie go słuchała, sprawdzając, czy nie kłamie. Doszła do wniosku, że mówił to, co myśli, i była bardzo zadowolona. Wyszła z nim na ulicę.

- Nie wiedziałem, że to potrafisz - przyznał. - Myślałem, że chcesz zostać tapicerem.

- Na nic nie jest za późno. Chciałabym spróbować.

- Jasne, próbuj. Mnóstwo czasu to przywilej ludzi młodych. Nie takich starych policjantów jak ja.

Chciały jeszcze pracować przez kilka godzin. Miał na nią czekać w domu.

Był piękny letni wieczór. Szedł wolnym krokiem na Mariagatan, pochłonięty tym, co przed chwilą obejrzał. Nieobecny myślami, zarejestrował, że mijają go trąbiące samochody. Potem sobie uświadomił, że Szwecja wygrała. Zapytał przechodnia o wynik meczu. 3:1 dla Szwecji. Wybuchnął śmiechem. I znowu wrócił myślami do córki. Zastanawiał się, co on właściwie o niej wie. Jeszcze jej nie spytał, czy ma jakiegoś chłopca.

O wpół do dziesiątej otworzył drzwi do mieszkania. Właśnie je zamykał, kiedy zadzwonił telefon. Natychmiast poczuł ucisk w żołądku. Usłyszał, że to Gertruda, i

rozluźnił się. Przedwcześnie. Gertruda była zdenerwowana. Nie bardzo ją rozumiał. Poprosił, żeby się uspokoiła.

- Musisz przyjechać - powiedziała. - Natychmiast.

- Co się stało?

- Nie wiem. Twój tata zaczął palić swoje obrazy. Pali wszystko, co jest w atelier.

I zamknął się. Musisz przyjechać.

Odłożyła słuchawkę, żeby nie zadawał żadnych pytań, tylko od razu wsiadał do samochodu.

Wpatrywał się w telefon.

Szybko skreślił parę słów do Lindy i położył kartkę na wycieracze. Kilka minut później był w drodze do Lóderupii. Tej nocy Wallander został u ojca w Lóderupie.

Kiedy wjechał na podwórze, Gertruda już na niego czekała. Mimo że była opanowana i spokojnie odpowiadała na jego pytania, widział, że płakała. Załamanie nerwowe ojca, jeśli to było załamanie, nastąpiło nagle. Jedli obiad i nic nie wskazywało na atak. Nic nie pili. Po posiłku jak zwykle poszedł malować do przerobionej na atelier obory. I nagle usłyszała hałas. Wyszła na schodki i zobaczyła, że ojciec wyrzuca na podwórze puszki po farbie. Pomyślała, że sprząta, ale kiedy zaczął wyrzucać nowe ramy, spytała go, co robi. Nie zareagował. Sprawiał wrażenie kompletnie nieobecnego myślami, jakby nie słyszał, co do niego mówi. Kiedy chwyciła go za ramię, wyrwał się i zamknął w atelier. Przez okno widziała, jak rozpala w piecu, a potem zaczął drzeć obrazy i wrzucać do ognia. Wtedy zadzwoniła. Szybko przecięli podwórze. Z komina unosił się siwy dym. Wallander zajrzał przez okno do atelier. Ojciec wyglądał jak niepoczytalny furiat. Włosy zmierzwione, okulary chyba zgubił, całe atelier zrównane z ziemią. Brodził boso w kałuży farb, wszędzie poniewierały się podeptane płótna. W piecu paliły się buty. Ojciec darł obrazy i wkładał strzępy do pieca. Wallander zapukał w okno. Ojciec nie zareagował. Drzwi rzeczywiście były zamknięte. Wallander walił w nie i wołał, że to on, nie doczekał się jednak odpowiedzi. Rozejrzał się za czymś do wyważenia drzwi. Ale wiedział, że ojciec trzyma wszystkie narzędzia w atelier. Przyglądał się ponuro drzwiom, które sam kiedyś pomagał montować. Zdjął kurtkę i dał ją Gertrudzie, a potem z całym impetem runął na drzwi. Puściła futryna, Wallander wpadł do środka i uderzył głową w taczkę. Ojciec obrzucił go nieobecnym spojrzeniem i dalej darł obrazy. Gertruda chciała wejść, ale Wallander się nie zgodził. Był już świadkiem podobnego zachowania ojca, tego dziwnego połączenie nieobecności maniakalnego pomieszania zmysłów. Kilka lat

temu maszerował gliniastym polem w piżamie, z walizką w ręku.

Podszedł do ojca, chwycił go za ramiona i spokojnie spytał, czy coś jest nie tak. Powiedział, że nie ma lepszych obrazów niż jego, głuszcze są piękne, wszystko jest w porządku i każdemu może się przydarzyć chwilowe zaćmienie umysłu. Nie ma sensu to palenie w piecu, po co palić w środku lata, spokojnie wszystko posprzątają i porozmawiają o wycieczce do Włoch. Wallander mówił bez przerwy, mocno trzymając ojca za ramiona, nie tak, jakby zamierzał go aresztować, ale jakby go chciał przywrócić rzeczywistości. Ojciec był opanowany i patrzył na niego oczami krótkowidza. Wallander dostrzegł na podłodze rozdeptane okulary. Spytał Gertrudę, która stała z boku, czy ojciec ma jakąś zapasową parę. Miał. Pobiegła po nie. Przetarł okulary rękawem koszuli i wsadził ojcu na nos, nie przestając mówić. Powtarzał słowa, jakby czytał wersety zapamiętanej modlitwy, a ojciec przyglądał mu się najpierw niepewnie, potem ze zdziwieniem, w końcu wydawało się, że wrócił do siebie. Wtedy Wallander go puścił. Ojciec rozejrzał się po zdewastowanym atelier.

- Co się stało? - zapytał.

Wallander zrozumiał, że ojciec miał kompletny odjazd. Że to, co się stało, właściwie się nie stało. Nic z tego nie pamiętał. Gertruda wybuchnęła płaczem. Poprosił ją dosyć ostro, żeby zaparzyła kawę. Oni zaraz przyjdą. Ojciec chyba nareszcie pojął, że sam był sprawcą tych zniszczeń.

- To ja tak narozrabiałem? - spytał, patrząc na Wallandera rozbieganymi oczami, jakby się obawiał twierdzącej odpowiedzi.

- Kto nie ma czasami wszystkiego dosyć? Ale to już przeszłość. Szybko to posprzątamy.

Ojciec spojrział na wyłamane drzwi. - Komu potrzebne drzwi w lecie - powiedział Wallander. - W Rzymie we wrześnie nikt nie zamyka drzwi. Musisz się do tego przyzwyczajać.

Ojcu powoli przechodziła wściekłość, której powodów ani on, ani nikt inny nie umiał wytłumaczyć. Wallander zdał sobie sprawę, że ojciec nie rozumie, co się stało. Nie mógł pojąć, że on to zrobił. Wallander czuł coraz silniejszy ucisk w gardle. W ojcu było coś bezradnego i opuszczonego, nie wiedział, jak się zachować. Podniósł drzwi, oparł je o ścianę obory i zabrał się do sprzątania. Okazało się, że sporo płócien ocalało. Ojciec usiadł na stołku przy swoim blacie roboczym i patrzył na niego. Przyszła Gertruda. Kawa była gotowa. Wallander skinął na nią, żeby zaprowadziła ojca do domu. Potem uprzątnął najgorszy bajzel. Zanim wszedł do kuchni, zadzwonił z

samochodu do Lindy. Już wróciła. Ledwie mogła odczytać jego bazgroły i chciała wiedzieć, co z dziadkiem. Żeby jej nie niepokoić, powiedział, że ojciec poczuł się trochę gorzej, ale już wszystko jest dobrze. Na wszelki wypadek zostanie jednak w Lóderupie na noc. Potem poszedł do kuchni. Ojciec był zmęczony i wkrótce się położył. Wallander siedział jeszcze z Gertrudą kilka godzin przy kuchennym stole. Jedynym wytłumaczeniem tego, co się stało, mogła być postępująca choroba. Wallander nie zgodził się z Gertrudą, kiedy uznała, że w tej sytuacji nie powinien jechać do Włoch. Nie boi się wziąć odpowiedzialności za własnego ojca. Nie boi się ich wspólnej dalekiej podróży. Pojadą, jeśli ojciec nadal tego chce i jeśli starczy mu sił.

Tej nocy spał na rozkładanym łóżku w salonie. Długo patrzył w jasną letnią noc, zanim zasnął.

Rano, kiedy siedzieli przy kawie, wydawało się, że ojciec o wszystkim zapomniał. Nie miał pojęcia, co się stało z drzwiami. Wallander wyjaśnił, że je zdjął, bo w atelier potrzebne są nowe drzwi, które sam robi. - A kiedy ty znajdziesz na to czas? - zdziwił się ojciec. - Nawet nie masz chwili, żeby zadzwonić i uprzedzić o wizycie.

Wallander uznał, że wszystko wróciło do normy. Tuż po siódmej pojechał do Ystadu. Miał świadomość, że nie był to ostatni tego typu wypadek, i z lękiem pomyślał, co by się mogło stać, gdyby nie było Gertrudy.

Kwadrans po siódmej wszedł do komendy. Nadal była piękna pogoda. Wszyscy rozmawiali o piłce nożnej. Wszyscy byli w letnich ubraniach. Tylko ci, którzy musieli chodzić w mundurach, wyglądali jak policjanci. Wallander w swoim białym stroju mógłby być z powodzeniem obsadzony w jakiejś włoskiej operze, jednej z tych, które widział w Kopenhadze. Kiedy mijał recepcję, Ebba przywołała go do telefonu. Dzwonił Forsfalt z informacją, że znaleźli paszport Bjórna Fredmana, był w jego mieszkaniu, schowany razem z większą ilością obcej waluty. Wallander spytał o stemple.

- Muszę cię rozczarować - powiedział Forsfalt. - Miał paszport od czterech lat. W tym czasie wbili mu stemple w Turcji, Maroku i Brazylii. To wszystko.

Rzeczywiście był rozczarowany, chociaż nie bardzo wiedział, czego tak naprawdę oczekiwał. Forsfalt obiecał wysłać faksem wszystkie dane o paszporcie. Miał coś jeszcze do powiedzenia, co nie dotyczyło bezpośrednio śledztwa, ale wyraźnie ożywiło Wallandera.

- Szukając paszportu, znaleźliśmy klucze do komórki na strychu. Pośród najróżniejszych rupieci stała tam skrzynia z kilkoma starymi ikonami. Dosyć szybko

ustaliliśmy, że były skradzione. Zgadnij skąd?

Wallander zastanawiał się.

- Włamanie do domu pod Ystadem - powiedział Forsfalt. - Przeszło rok temu. Dom jest w gestii syndyka do czasu przejścia go przez spadkobiercę. Zmarły był adwokatem, nazywał się Gustaf Torstensson. Wallander pamiętał. To był jeden z dwóch adwokatów, którzy zostali zamordowani rok temu. Na własne oczy widział zbiór ikon w piwnicy starszego prawnika. Jedna wisiała w jego sypialni. Dostał ją w prezencie od sekretarza Torstenssona. Przypomniał sobie też o włamaniu, którym zajmował się Svedberg.

- No to już wiemy. Zdaje się, że tej sprawy nie wyjaśniono.

- Teraz pociągniesz ją dalej.

- Nie ja - powiedział Wallander. - Svedberg. Forsfalt spytał o Louise Fredman. Wallander zrelacjonował mu swoją rozmowę z Perem Akesonem.

- Przy odrobinie szczęścia dowiemy się czegoś jeszcze dzisiaj.

- Mam nadzieję, że będziesz mnie informował na bieżąco.

Wallander obiecał, że będzie. Po rozmowie z Forsfaltem zerknął do swojego spisu pytań bez odpowiedzi. Kilka mógł skreślić, inne poruszy na zebraniu, które się miało niedługo zacząć. Przedtem jednak zajrzał do aspirantów przeglądających informacje, jakie napływały od najróżniejszych ludzi. Spytał, czy nie ma nic, co by im pomogło w odnalezieniu miejsca zamordowania Bjórna Fredmana. Wiedział, że to może mieć duże znaczenie dla śledztwa.

Jeden z policjantów nazywał się Tyren. Ostrzyżony na jeża, o inteligentnym spojrzeniu, podobno zdolny. Wallander nie znał go bliżej. Wyjaśnił pospiesznie, czego szuka.

- Ktoś, kto słyszał krzyk - powiedział Tyren. - I widział furgonetkę w poniedziałek dwudziestego siódmego czerwca?

- Tak.

Tyren pokręcił głową.

- To bym zapamiętał. Krzyczała tylko kobieta w Rydsgardzie. Ale to było we wtorek. I była pijana.

- Natychmiast mnie zawiadom, jak tylko coś przyjdzie - polecił Wallander. Zostawił Tyrena i poszedł na zebranie. W recepcji Hansson rozmawiał z dziennikarzem. Wallander już go kiedyś widział. Był z dużej popołudniówki, ale nie pamiętał, z której. Czekali kilka minut, aż Hanssen pozbył się dziennikarza i zamknął

drzwi. Kiedy usiadł, oddał głos Wallanderowi. Do pokoju wszedł Per Akeson i zajął miejsce u szczytu stołu, obok Ekholma. Wallander uniósł pytająco brew. Akeson skinął mu głową. Wallander uznał, że chodzi o Louise Fredman. Z trudem hamując ciekawość, poprosił o zabranie głosu Ann-Britt Hóglund, która przekazała najnowsze wiadomości o córce Carlmana. Zdaniem lekarzy, kryzys minął i w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie można z nią porozmawiać. Nikt nie miał zastrzeżeń, żeby ona i Wallander poszli do szpitala. Potem Wallander szybko przejrzał listę pytań. Nyberg był jak zwykle dobrze przygotowany i podał wyniki badań laboratoryjnych. Nie stały się one powodem do dłuższych dyskusji, ponieważ większość potwierdzała wnioski, do których już doszli. Ich uwagę wzbudził jedynie fakt, że na ubraniu Bjórna Fredmana znaleziono ślady morskoczynu. Świadczyłoby to o tym, że w ostatnim dniu życia Björn Fredman był nad morzem.

- Gdzie były te ślady? - spytał Wallander po namyśle. Nyberg sprawdził w notatkach.

- Na plecach marynarki.

- Mógł zostać zabity gdzieś nad morzem. O ile pamiętam, tego wieczora wiał słaby wiatr. Może dlatego nikt nic nie słyszał.

- Gdyby to się stało na brzegu, znaleźlibyśmy ziarenka piasku - zauważył Nyberg.

- To mogło się stać na łodzi - wtrącił Svedberg.

- Albo na pomoście - dodała Ann-Britt Hóglund.

Pytanie zawisło w próżni. Nie byli w stanie sprawdzić tysięcy łódek i pomostów, ale powinni być wyjątkowo wyczuleni na informacje od ludzi mieszkających nad morzem. Wallander oddał głos Perowi Akesonowi.

- Udało mi się zdobyć trochę danych o Louise Fredman - zaczął. - Nie muszę chyba zaznaczać, że są ściśle poufne i nie wolno ich upowszechniać.

- Będziemy milczeć jak głazy - obiecał Wallander.

- Louise Fredman jest w szpitalu świętego Łazarza w Lundzie. Została przyjęta przeszło trzy lata temu. Cierpi na głęboką psychozę. Nie mówi, niekiedy musi być przymusowo karmiona, nie okazuje żadnych oznak poprawy. Ma siedemnaście lat. Sądząc z fotografii, którą widziałem, jest bardzo ładna.

W pokoju zapadła cisza. Wszystkich przygnębiły słowa Pera Akesona. Wallander świetnie to rozumiał.

- Psychozę musiało coś wywołać - odezwał się Ekholm.

- Została przyjęta w piątek, dziewiątego stycznia dziewięćdziesiątego pierwszego roku - powiedział Per Akeson, zajrzawszy do papierów. - Jeśli dobrze zrozumiałem, choroba spadła na nią jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Przez tydzień nie było jej w domu. Miała w tym czasie poważne kłopoty w szkole i wagarowała. Brała narkotyki. Najczęściej amfetaminę. Może i kokainę. Znalaziono ją w Pildammsparken. Była całkowicie zaburzona.

- Czy miała jakieś obrażenia? - spytał Wallander, który słuchał z uwagą.

- W materiale, którym dysponuję, nic na ten temat nie ma. Wallander się zastanawiał.

- To znaczy, że z nią nie porozmawiamy - powiedział po chwili. - Ale chciałbym wiedzieć, czy miała jakieś obrażenia, i chciałbym się zobaczyć z tymi, co ją znaleźli.

- To było ponad trzy lata temu - przypomniał Per Akeson.

- Ale sądzę, że uda się te osoby odszukać.

- Pomówię z Forsfaltem z Malmö - powiedział Wallander.

- Przynajmniej jeden z naszych patroli musiał być w to zamieszany. Na pewno jest jakiś raport. - Dlaczego pytasz o obrażenia? - zainteresował się Hansson.

- Żeby mieć w miarę pełny obraz.

Zostawili temat Louise Fredman i zajęli się czym innym. Ponieważ Ekholm ciągle czekał na efekty komputerowych symulacji, Wallander podjął kwestię posiłków. Hansson uzyskał zgodę komendanta wojewódzkiego na wypożyczenie intendenta z Malmö. Miał przyjechać do Ystadu w czasie lunchu.

- Kto to jest? - spytał Martinsson, który dotąd siedział cicho.

- Nazywa się Sture Holmström - powiedział Hansson.

- Nie znam go - przyznał Martinsson. Nikt go nie znał. Wallander obiecał zadzwonić do Forsfalta i pociągnąć go za język. Potem zwrócił się do Pera Akesona:

- Pozostaje pytanie, czy powinniśmy poprosić o posiłki - zaczął. - Co o tym myślicie? Chciałbym, żeby każdy z was się wypowiedział w tej sprawie. Dostosuję się do większości, mimo że w dalszym ciągu nie jestem pewien, czy zastrzyk personalny wpłynie na jakość naszej pracy. Obawiam się, że wytracimy tempo. Przynajmniej w najbliższym czasie. Ale chciałbym poznać waszą opinię.

Martinsson i Svedberg byli za, Ann-Britt Hóglund trzymała stronę Wallandera, a Hansson i Ekholm nie mieli zdania. Wallander uznał, że jeszcze jeden głąz spoczął na jego plecach. Per Akeson postanowił przesunąć decyzję o kilka dni.

- Jeszcze jedno morderstwo i nie będzie innego wyjścia - powiedział. - Na razie

kontynuujemy w niezmienionym składzie.

Skończyli zebranie tuż przed dziesiątą. Wallander poszedł do siebie. Po zmęczeniu, jakie czuł w sobotę, nie było śladu. Zebranie się udało, mimo że nie posunęli się naprzód. Wykazali się energią i zapałem.

Właśnie miał dzwonić do Forsfalta, kiedy w drzwiach stanął Martinsson. O czymś sobie pomyślałem - zaczął i oparł się o futrynę. Wallander czekał na dalszy ciąg.

- Louise Fredman błąkała się po parku, inna dziewczyna krążyła po polu rzepaku. Pomyślałem, że jest między nimi jakieś podobieństwo.

Miał rację. Było podobieństwo, choć odległe.

- Owszem - przyznał Wallander. - Szkoda tylko, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

- A jednak to dziwne - powiedział Martinsson i zmienił temat. - Tym razem dobrze obstawiłeś. Wallander skinął głową.

- Wiem. Ann-Britt też. - Macie do spółki tysiąc koron.

- Kiedy następny mecz?

- Zgłoszę się - powiedział Martinsson i poszedł.

Wallander zadzwonił do Malmö. Czekając na połączenie, patrzył przez otwarte okno. Piękna pogoda ciągle się utrzymywała. Kiedy usłyszał w słuchawce głos Forsfalta, myśli o pogodzie odpłynęły na drugi plan.

Hoover wyszedł z piwnicy tuż po dziewiątej wieczorem. Długo wybierał siekierę spośród kilku leżących na czarnym kawałku jedwabiu. Wszystkie lśniły. W końcu zdecydował się na najmniejszą, jedyną, jakiej jeszcze nie używał. Wsunął ją za szeroki skórzany pas i nałożył kask. I tym razem był boso, kiedy opuszczał piwnicę.

Wieczór był bardzo ciepły. Jechał bocznymi drogami, które dokładnie obejrzał na mapie. Powinien być na miejscu za niespełna dwie godziny, tuż po jedenastej.

Poprzedniego dnia musiał zmienić plany. Mężczyzna, który wyjechał za granicę, nagle wrócił. Wolał nie ryzykować, że znowu gdzieś zniknie. Słuchał serca Geronima. Rytmiczne uderzenia bębnow w jego piersiach przekazały mu wiadomość. Nie powinien czekać. Musi wykorzystać okazję.

Letni krajobraz, na jaki patrzył przez osłonę kasku, miał kolor niebieski. Po lewej widział morze, migotliwe światelka statków i duński ląd. Był w świetnym humorze. Już niebawem przyniesie siostrze ostatnią ofiarę, dzięki czemu wydostanie się ze spowijającej ją mgły i powróci do życia w samym środku pięknego lata.

Przyjechał do miasta tuż po jedenastej. Piętnaście minut później zatrzymał się

przed dużą willą, która stała w głębi starego ogrodu, w otoczeniu wysokich drzew. Oparł motorower o latarnię i zamknął go na łańcuch. Po drugiej stronie ulicy starsi państwo byli na spacerze z psem. Począł, aż odejdą, i dopiero wtedy zdjął kask i schował do plecaka. Potem pobiegł na tył ogrodu, który wychodził na boisko piłki nożnej, ukrył plecak w trawie i przecisnął się przez żywopłot, gdzie jakiś czas temu przygotował sobie przejście. Na nagich ramionach czuł dotkliwe ukłucia, był jednak odporny na ból. Geronimo nie zniósłby żadnych oznak słabości. Czekąło go święte zadanie, spisane w książce, którą dostał od siostry. Wymagało wszystkich jego sił i był gotowy je poświęcić.

Stał w ogrodzie, tak blisko bestii jak nigdy dotąd. Tylko na piętrze paliło się światło. Pomyślał z gniewem, że jego siostra była tutaj. Kiedy opisała mu dom, pomyślał, że pewnego dnia spali go do fundamentów. Ostrożnie podbiegł do ściany i otworzył piwniczne okno, w którym zawczasu odkręcił haki. Bez trudu wśliznął się do środka. Wiedział, gdzie jest. W pomieszczeniu nadal unosił się słaby kwaskowaty zapach jabłek, które tu wcześniej przechowywano. Nasłuchiwał. Cisza. Schodami ruszył na górę, do kuchni. Ciszę zakłócał jedynie szum jakiejś rury. Włączył piekarnik i otworzył drzwiczki. Potem poszedł schodami na piętro. Wyjął siekierę. Był całkowicie spokojny. Przez uchylone drzwi łazienki zobaczył mężczyznę, którego miał zabić. Stał przed lustrem i smarował twarz kremem. Hoover przemknął za drzwi i czekał. Kiedy mężczyzna zgasił światło, podniósł siekierę. Uderzył tylko raz. Ofiara bezgłośnie osunęła się na dywan w korytarzu. Siekierą odciął skalp i włożył do kieszeni. Potem zwał mężczyzną ze schodów. Był w pizamie. Spodnie od pizamy zsunęły się i zatrzymały na stopie. Nie patrzył na niego.

W kuchni dociągnął mężczyznę do piekarnika i włożył mu głowę do środka. Prawie od razu poczuł swąd topiącego się kremu. Opuścił willę tą samą drogą, którą wszedł.

O świcie zakopał skalp pod oknem siostry. Teraz została tylko jedna, dodatkowa ofiara. Zakopie jej skalp, a potem będzie już po wszystkim.

Myślał o tym, co go czeka. O mężczyźnie, którego klatka piersiowa unosiła się i opadała. O mężczyźnie, który siedział naprzeciwko niego w salonie i nic nie rozumiał ze świętej misji.

Jeszcze nie wiedział, co zrobi z dziewczyną, która spała w pokoju obok.

Teraz musi wypocząć. Niedługo świt. Jutro podejmie decyzję.

Skania 5-8 lipca 1994

Waldemar Sjösten, policjant z kryminalnej w Helsingborgu, mężczyzna w średnim wieku, cały swój wolny czas poświęcał mahoniowej łodzi z lat trzydziestych, której właścicielem stał się przez czysty przypadek. We wtorek, 5 lipca, kiedy o szóstej rano z trzaskiem podniósł roletę w sypialni, nie zamierzał odstępować od tego zwyczaju. Mieszkał w wyremontowanej czynszówce w śródmieściu. Od Sundu dzieliła go jedna ulica, tory kolejowe i portowe zabudowania. Pogoda była tak piękna, jak dzień wcześniej zapowiadały prognozy w gazetach. Urlop zacznie dopiero pod koniec lipca, ale już teraz kuka porannych godzin spędzał na łódce, zacumowanej w pobliskim porcie, dokąd jeździł rowerem. Jesienią Waldemar Sjösten kończył pięćdziesiąt lat. Był trzykrotnie żonaty i miał sześcioro dzieci. Teraz planował czwarte małżeństwo. Kobieta, którą poznał, podzielała jego miłość do starej mahoniowej łodzi, noszącej dumną nazwę „Król Oceanów II” na pamiątkę wspaniałego kosterka „Król Oceanów I”, na którym pływał w dzieciństwie z rodzicami. Kiedy miał dziesięć lat, ku jego wielkiemu żalowi ojciec sprzedał łódź komuś z Norwegii. Nigdy o niej nie zapomniał. Często się zastanawiał, czy jeszcze pływa, czy zatonała albo się rozsypała. Wypił kawę i szykował się do wyjścia. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Zdumiała go wczesna pora. Podniósł słuchawkę aparatu, który wisiał na ścianie w kuchni.

- Waldemar? - spytał intendent Birgersson.

- Tak.

- Chyba cię nie obudziłem?

- Właśnie wychodzę.

- Dobrze, że cię złapałem. Przyjeżdżaj natychmiast. Waldemar Sjösten wiedział, że Birgersson nigdy by nie zadzwonił, gdyby się nie wydarzyło coś bardzo poważnego.

- Już jadę - powiedział. - O co chodzi?

- Ogień w starej willi w Tagaborgu. Strażacy znaleźli w kuchni mężczyznę.

- Nie żyje?

- Zamordowany. Zrozumiesz, dlaczego dzwonię, jak go zobaczysz.

Waldemar Sjösten widział rozwiewające się w nicość chwile spędzone na łodzi. Ponieważ był obowiązkowy, a poza tym ciągle go nie opuszczało uczucie przyjemnego napięcia związanego z poszukiwaniem ewentualnego mordercy, szybko się przestawił, zamiast kluczyka do rowerowego zamka chwycił kluczyki do samochodu i wyszedł. Kilka minut później zatrzymał się pod komendą. Birgersson czekał na schodach.

Wsiadł do samochodu i wyjaśnił, dokąd mają jechać.

- Kto nie żyje? - spytał Sjósten. - Ake Liljegren.

Sjósten gwizdnął z wrażenia. Ake Liljegren był znany nie tylko w ich mieście, ale w całym kraju. Jako rewizor, zyskał sławę szarej eminencji w głośnych w latach osiemdziesiątych aferach związanych z tak zwanymi szemranymi spółkami. Nie licząc wyroku w zawieszeniu na sześć miesięcy, policji i sądom nigdy nie udało się go skazać za działalność jawnie sprzeczną z prawem. Ake Liljegren, symbol najgorszej formy przestępczości gospodarczej, był na wolności, co świadczyło o słabościach państwa prawa wobec takich jak on. Pochodził z Bastadu, ale w ostatnich latach mieszkał w Helsingborgu. Sjósten przypomniał sobie artykuł, w którym usiłowano dociec, ile domów miał Ake Liljegren w kraju i na świecie.

- Znamy jakieś godziny? - spytał Sjósten.

- Amator porannego joggingu zauważył dym wydobywający się z przewodu wentylacyjnego. I zawiadomił straż. Przyjechali kwadrans po piątej. Kiedy dostali się do środka, znaleźli go w kuchni.

- Gdzie się paliło?

- Nigdzie.

Sjósten obrzucił Birgerssona pytającym spojrzeniem.

- Liljegren klęczał z głową w piekarniku - wyjaśnił Birgersson. - Hajcowało się na całego. On się dosłownie upiekł.

Sjósten skrzywił się. Zaczął się domyślać, co będzie musiał oglądać.

- Popelniał samobójstwo?

- Nie. Ktoś mu dał siekierą w głowę. Sjósten mimowolnie wcisnął hamulec. Popatrzył na Birgerssona, który pokiwał głową.

- Twarz i włosy są prawie całkowicie spalone. Mimo to lekarz stwierdził, że został oskalpowany.

Sjósten milczał. Pomyślał o tym, co się stało w Ystadzie. Wielkie wydarzenia tego lata. Szalony morderca, który zarąbuje ludzi i bierze skalpy.

Dojechali do willi Liljegrena na Aschebergsgatan. Stał tam wóz strażacki, kilka radiowozów i karetka pogotowia. Duży ogród odgrodzono taśmami i tablicami. Sjósten wysiadł z samochodu i odmownym gestem odprawił spieszącego ku niemu dziennikarza. Minął blokadę i wszedł z Birgerssonem domieszkania. Od razu poczuł dziwny zapach. Swąd spalonego ciała. Zasłaniając usta i nos chusteczką Birgerssona, ruszył do kuchni. Przy drzwiach stał blady na twarzy policjant z drogówki. Widok, jaki

Sjósten zastał, był groteskowy. Przed piekarnikiem klęczał półnagi mężczyzna. Głowę miał w środku. Sjósten z przykrością pomyślał o baśni o złej czarownicy, Hansie i Grecie. Lekarz oświetlał latarką wewnątrz piekarnika. Sjósten zrezygnował z chusteczki i próbował oddychać przez usta. Lekarz skinął na niego. Sjósten pochylił się i zajrzał. Pomyślał o spalonej pieczeni.

- Jezu - jęknął. - Ładne to nie jest.

- Dostał w tył głowy - powiedział lekarz.

- Tutaj, w kuchni?

- Nie, na piętrze - odezwał się stojący z tyłu Birgersson. Sjósten wyprostował się.

- Wyjmij go z tego pieca - polecił. - Czy fotograf jest gotowy?

Birgersson pokiwał głową. Poszli na piętro. Musieli uważać, bo na schodach była krew. Birgersson zatrzymał się przed drzwiami łazienki.

- Jak widziałeś, Liljegren miał na sobie piżamę - powiedział. - Prawdopodobnie był w łazience. Kiedy wyszedł, morderca już na niego czekał, zadał mu cios siekierą w głowę i zawłókł ciało do kuchni. To by wyjaśniało, dlaczego spodnie od piżamy trzymały się tylko na stopie. Ułożył ciało przy piekarniku, nastawił maksymalną temperaturę i się ulotnił. Na razie nie wiemy, którędy tutaj wszedł ani którędy wyszedł. Pomyślałem, że ty się tym zajmiesz.

Sjósten nic nie powiedział. Zastanawiał się. Potem zszedł do kuchni. Zwłoki leżały na podłodze, na ceracie.

- To on? - spytał Sjósten. - Tak, to Liljegren - odparł lekarz. - Mimo że nie ma już twarzy.

- Nie o to mi chodziło. Czy to ten człowiek, który skalpuje? Lekarz uniósł brezent przykrywający spaloną twarz.

- Jestem raczej pewien, że odciął albo zdarł włosy. Sjósten pokiwał głową.

- Zadzwoń do policji w Ystadzie - zwrócił się do Birgerssona. - Złap Kurta Wallandera. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

W ten wtorkowy rano Wallander postanowił zjeść porządne śniadanie. Usmażył jajka i usiadł przy stole z gazetą. I wtedy zadzwonił telefon. Od razu wrócił niepokój, który wzmógł się, kiedy w słuchawce odezwał się głos policjanta z Helmsborg, Sture Birgerssona. To, czego się obawiał, stało się. Nieznany mężczyzna znowu zaatakował. Wallander zaklął pod nosem, ze złości i ze strachu.

Do telefonu podszedł Waldemar Sjósten. Znali się. Na początku lat

osiemdziesiątych wspólnie prowadzili śledztwo w sprawie szajki narkotykowej, która działała na terenie całej Skanii. Mimo dużych różnic natury osobistej dobrze im się pracowało i być może udało im się przygotować grunt pod ewentualną przyjaźń.

- Kurt?

- Tak.

- Dawno nie rozmawialiśmy.

- Co się stało? Czy dobrze usłyszałem?

- Niestety. Twój sprawca pojawił się w Helsingborgu. - Czy to pewne? - Nic nie wskazuje na to, że jest inaczej. Cios siekierą w głowę. I skalp.

- Kto to jest? - Ake Liljegren. Czy to nazwisko coś ci mówi? - Wallander się zastanawiał.

- Sam wielki rewizor?

- Właśnie on. Były minister sprawiedliwości, handlarz obrazów, a teraz rewizor.

- A między nimi paser - przypomniał Wallander.

- Dzwonię, bo chyba powinieneś tu przyjechać. Nasi szefowie i intendenci wezmą na siebie formalności związane z działaniami poza rewirem.

- Przyjadę - powiedział Wallander. - Zastanawiam się tylko, czy nie wziąć naszego technika, Svena Nyberga.

- Bierz, kogo chcesz. Nie stawiam przeszkód. Nie podoba mi się, że on tu przyszedł.

- W ciągu dwóch godzin jestem w Helsingborgu. Czy mógłbyś w tym czasie sprawdzić, czy coś łączyło Liljegrena z pozostałymi zamordowanymi? Bylibyśmy krok do przodu. Zostawił jakieś ślady?

- Niezupełnie. Ale wiemy, jak się to odbyło. Tym razem nie wlewał kwasu do oczu. Upiekł go. A dokładniej głowę i pół szyi.

- Upiekł?

- W piecu. Ciesz się, że nie musisz tego oglądać.

- Co jeszcze wiesz?

- Przed chwilą przyjechałem. Właściwie na nic nie mogę odpowiedzieć.

Wallander odłożył słuchawkę i spojrział na zegarek. Dziesięć po szóstej. Stało się to, czego się obawiał. Odszukał numer telefonu do Nyberga. Nyberg odebrał prawie od razu. Wallander wyjaśnił mu pokrótce, co i jak. Umówili się pod domem Wallkndera na Mariagatan najpóźniej za kwadrans. Wallander zaczął wybierać numer

do Hanssona, ale się rozmyślił, odłożył słuchawkę i zadzwonił do Martinssona. Jak zwykle, zgłosiła się żona. Po kilku minutach Martinsson podszedł do telefonu.

- Znowu zaatakował - powiedział Wallander. - W Helsingborgu. Rewizor, Ake Liljegren.

- Ten rzeźnik firm? - spytał Martinsson.

- Właśnie on.

- Morderca ma rozeznanie.

- Nie pieprz - zdenerwował się Wallander. - Jadę tam z Nybergiem. Zadzwonili i poprosili, żebyśmy przyjechali. Zawiadam Hanssona. Odezwę się, jak tylko będę coś miał.

- To oznacza, że wejdzie centrala - zauważył Martinsson. - Może to i dobrze.

- Byłoby najlepiej, gdybyśmy szybko zdjęli tego szaleńca. Jadę. Zadzwonię później.

Nyberg zjawił się na Mariagatan w swoim starym amazonie. Wallander usiadł obok niego i wyjechali z Ystadu. Był ładny ciepły poranek. Nyberg prowadził szybko. Przy Sturupie skręcili na Lund i główną szosą pomknęli do Helsingborga. Wallander powiedział Nybergowi to, co usłyszał od Sjóstena. Za Lundem zadzwonił Hansson. Był zadyszany. Na pewno bardziej się tego obawiał niż ja, pomyślał Wallander.

- Straszne, że to znowu się stało - wydyszał Hansson. - To wszystko zmienia.

- Na razie niczego nie zmienia - odparł Wallander. - Jeszcze nie wiemy, co się właściwie stało.

- Najwyższy czas, żeby to przejęła centrala.

Wallander domyślał się, że Hansson niczego bardziej nie pragnął niż zrzucenia z siebie odpowiedzialności. Zdenerwował się. W słowach Hanssona kryła się niska ocena pracy ich zespołu.

- To już twoja sprawa i Akesona - powiedział. - Za to, co się stało w Helsingborgu, odpowiadają ludzie z Helsingborga. I to oni poprosili mnie, żebym przyjechał. O tym, co dalej, porozmawiamy wtedy, kiedy to będzie aktualne.

Wallander zakończył rozmowę. Nyberg milczał.

Przy wjeździe do miasta czekał na nich radiowóz. Mniej więcej w tym miejscu, pomyślał Wallander, zatrzymał się Sven Andersson, żeby zabrać Dolores Marię Santanę w jej ostatnią podróż. Pojechali za radiowozem do Tagaborgu i zaparkowali przed domem Liljegrena. Wallander i Nyberg minęli blokadę i przywitali się z Sjóstenem, który stał przy schodkach willi. Wallander przypuszczał, że postawiono ją

na przełomie wieku. Sjösten poznał Nyberga z technikiem z Helsingborga, badającym miejsce zbrodni. Obaj zniknęli w domu.

Sjösten zgasił papierosa i obcasem wdeptał go w ziemię.

- To twój człowiek - powiedział. - Nie ma żadnych wątpliwości.

- Co wiesz o denacie?

- Ake Liljegren był znaną osobą.

- Powiedziałbym, że osławioną. Sjösten pokiwał głową.

- Pewnie niejednen uśmiercał go w myślach. Nie byłoby tak, gdyby sądy lepiej funkcjonowały i gdyby było mniej luk prawnych w przepisach, które mają zapobiegać przestępstwom gospodarczym. Wtedy by siedział. Na razie szwedzkie więzienia nie wyposażają cel ani w łazienki, ani w piekarniki.

Sjösten zaprowadził Wallandera do willi. Śwąd spalonej skóry był nadal intensywny. Wallander dostał od Sjöstena osłonę na usta, którą z wahaniem założył. Zwłoki leżały pod brezentem w kuchni. Wallander chciał je obejrzeć. Wolał mieć to jak najszybciej z głowy. Nie wiedział, co zobaczy. Drgnął. Liljegren nie miał twarzy. Spalona skóra, gdzieś widoczne kości czaszki, zamiast oczu dwie dziury, spalone włosy i uszy. Skinął na Sjöstena, żeby przykrył ciało. Sjösten opisał pokrótce pozycję Liljegrena, w jakiej go znaleziono. Fotograf pokazał Wallanderowi kilka zdjęć. Zdjęcia wydawały się przerastać rzeczywistość. Wallander pokręcił głową, skrzywił się i zwrócił zdjęcia. Sjösten poprowadził go na piętro, pokazując ślady na schodach i relacjonując ewentualny przebieg wydarzeń. Wallander od czasu do czasu pytał o szczegóły. Opis Sjöstena wydawał się przekonujący.

- Czy są jacyś świadkowie? - spytał Wallander. - Ślady mordercy? Jak się dostał do domu?

- Przez okno w piwnicy.

Z kuchni zeszli do przestronnej piwnicy. W jednym z pomieszczeń, w którym Wallander wyczuwał słaby zapach przechowywanych zimą jabłek, okienko było uchylone.

- Myślmy, że tędy wszedł - powiedział Sjösten. - I że tędy wyszedł. Mimo że mógł wparadować drzwiami. Ake Liljegren mieszkał sam.

- Czy zostawił jakieś ślady? Dotychczas starannie tego unikał. Chociaż bez przesady. Zebraliśmy całą kolekcję jego odcisków palców. Według Nyberga brakuje nam tylko małego palca lewej ręki.

- Odciski, które - jak dobrze wie - nie figurują w policyjnych kartotekach -

zauważył Sjösten.

Wallander pokiwał głową. Komentarz Sjöstena był trafny.

- W kuchni koło piekarnika znaleźliśmy odcisk stopy - powiedział Sjösten.

- A więc znowu był boso.

- Boso? - zdziwił się Sjösten.

Wallander opowiedział o odcisku stopy w zakrwawionym samochodzie Bjórna Fredmana. Uznał, że trzeba jak najszybciej przekazać Sjöstenowi i jego kolegom wszystkie materiały dochodzeniowe z trzech poprzednich zabójstw. Wallander obejrzał okno w piwnicy. Ledwie dostrzegalne rysy. Kiedy się pochylił, zobaczył haczyk na ciemnej posadzce. - Jakby go wcześniej poluzował - powiedział.

- Przygotował się?

- Niewykluczone. To by się zgadzało z jego dotychczasową praktyką. Obserwuje swoje ofiary, robi rozpoznanie. Nie wiemy, dlaczego i jak długo to trwa. Nasz specjalista od zachowań, Mats Ekholm, twierdzi, że to cecha typowa dla psychotyków.

Weszli do sąsiedniego pomieszczenia. Tutaj haczyki przy oknie były nietknięte.

- Trzeba poszukać odcisków stóp pod tamtym oknem - powiedział Wallander i od razu tego pożałował.

Nie powinien był tego mówić tak doświadczonemu śledczemu jak Waldemar Sjösten.

Wrócili do kuchni. Właśnie wynoszono Liljegrena.

- Cały czas usiłuję znaleźć punkt styczności - przyznał Wallander. - Między Gustafem Wetterstedtem i Arne Carlmanem w końcu znalazłem. Między nimi a Björnem Fredmanem jeszcze nie, ale jestem przekonany, że istnieje. Teraz też myślę przede wszystkim o tym. Czy można znaleźć jakiś wspólny mianownik między Ake Liljegrenem a tymi trzema? Albo przynajmniej jednym z nich.

- W pewnym sensie jest już bardzo wyraźny związek - zauważył spokojnie Sjösten.

Wallander przyglądał mu się pytająco.

- Takim punktem styczności jest sprawca.

Sjösten skinął na drzwi wejściowe, co Wallander odczytał jako zaproszenie do rozmowy w cztery oczy. Wyszli do ogrodu. Mrużyli oczy od słońca. Zapowiadał się jeszcze jeden ciepły bezdeszczowy dzień. Wallander nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio padało. Sjösten zapalił papierosa i poprowadził Wallandera do stojących opodal krzeseł ogrodowych. Przenieśli je do cienia i usiedli.

- O Ake Liljegrenie krąży dużo pogłosek - zaczął Sjósten. - Szwindle z szemranymi spółkami to zapewne tylko część jego działalności. Słyszeliśmy w Helsingborgu o wielu innych. Na przykład nisko latające cesny, zrzucające kokainę. Heroina, marihuana. Równie trudno udowodnić, co zaprzeczyć. Osobiście nie bardzo mi to pasuje do Liljegrena, ale być może mam zbyt ograniczoną wyobraźnię. Ciągłe mi się wydaje, że przestępcy operują w określonych rewirach. I że powinni się ich trzymać.

- Zdarza się, że myślę podobnie - przyznał Wallander. - Ale te czasy już minęły. Świat, w którym żyjemy, staje się jednocześnie bardziej przejrzysty i chaotyczny.

Sjósten pomachał papierosem w kierunku willi.

- Były też inne pogłoski - powiedział. - Lepiej potwierdzone. Odbywały się tutaj ostre przyjęcia. Panienki, prostytutka.

- Ostre? Musieliście interweniować?

- Nie, ani razu. Sam nie wiem, czemu je tak nazwałem. Czasami zbierało się tu trochę ludzi. A potem szybko znikali.

Wallander zastanawiał się nad słowami Sjóstena. Przyszła mu do głowy niesamowita myśl. Zobaczył Dolores Marię Santanę przy szosie wylotowej z Helsingborga. Czy to miało jakiś związek? prostytutka? Nie, nie dość, że nie było żadnych podstaw do takich przypuszczeń, pomieszał różne sprawy.

- Czeka nas współpraca - powiedział Sjósten. - Ty i twoi koledzy macie kilkutygodniowe wyprzedzenie. Teraz dochodzi Liljegren. Jak to wygląda? Co się zmienia? Co jest wyraźniejsze?

- Myślę, że tym razem centrala na pewno się włączy. To dobrze, tyle że się boję problemów wynikających ze współpracy i niedrożnych kanałów informacyjnych. - Mam te same obawy. Dlatego proponuję, żebyście utworzyli coś w rodzaju grupy nieformalnej, która w razie potrzeby będzie chodzić własnymi ścieżkami.

- Chętnie.

- Obaj pamiętamy starą komisję zabójstw. To, co świetnie się sprawdzało, zniszczono. Od tamtej pory właściwie nigdy nie było tak dobrze jak wtedy.

- Czasy były inne. Inne formy przestępczości i mniej morderstw. Naprawdę groźni przestępcy działali według dobrze nam znanych schematów, nie to, co dzisiaj. Zgadzam się z tobą, że komisja zabójstw była dobra. Ale nie jestem pewien, czy teraz byłaby równie skuteczna.

Sjósten wstał.

- To co, umowa stoi? - spytał.

- Jasne. Jak tylko uznamy, że trzeba, konferujemy na boku.

- Możesz mieszkać u mnie - zaproponował Sjósten. - Gdybyś chciał zostać tu dłużej. Hotele nie są najprzyjemniejsze.

- Dziękuję.

W głębi duszy Wallander nie miał nic przeciwko hotelowi. Potrzebował przynajmniej kilku godzin dziennie spędzonych w samotności.

Ruszyli do willi. Po lewej był duży garaż z dwiema bramami. Sjósten wszedł do domu, a Wallander postanowił rzucić okiem na garaż. Z trudem podniósł bramę. W środku stał czarny mercedes. Patrząc na niego z boku, zauważył barwione szyby, uniemożliwiające zaglądnienie do wnętrza.

Po namyśle pożyczył komórkę od Nyberga, zadzwonił do Ystadu i poprosił o odszukanie Ann-Britt Hóglund. Zdał jej krótką relację z sytuacji, po czym przeszedł do sedna sprawy.

- Skontaktuj się z Sara Bjórklund - powiedział. - Pamiętasz ją?

- Sprzątaczką Wetterstedta?;- Właśnie. Przywieź ją tutaj. Jak najszybciej.

- Po co?

- Chcę, żeby obejrzała pewien samochód. Będę stał obok niej i wierzył, ile sił, że go rozpozna,

Ann-Britt Hóglund nie spytała o nic więcej.

Sara Bjórklund długo się przyglądała czarnemu samochodowi. Wallander stał tuż za nią. Zależało mu na tym, żeby czuła się bezpiecznie, a jednocześnie nie chciał jej przeszkadzać. Wiedział, że potrzebne jej maksymalne skupienie. Czy to ten samochód widziała u Wetterstedta, kiedy pomyliwszy dni, przyszła nie w czwartek, tylko w piątek rano? Czy to właśnie ten samochód wyjeżdżał z willi byłego ministra?

Sjósten zgodził się z Wallanderem, że nawet gdyby Sara Bjórklund, pogardliwie nazywana przez Wetterstedta wycierusem, doszła do wniosku, że był to samochód tej samej marki, uzyskaliby jedynie poszlakę.

Sara Bjórklund wahała się. Ponieważ w stacyjce były kluczyki, Wallander poprosił Sjóstena, żeby się przejechał po podwórzu. Jeśli Sara Bjórklund zamknie oczy i posłucha, może rozpozna dźwięk silnika? Samochody różnie pracują.

Zamknęła oczy i słuchała.

- Może. Wygląda tak samo, jak tamten, który widziałam w piątek rano. Ale czy to był akurat ten, tego nie wiem. Nie widziałam żadnych tablic rejestracyjnych.

Wallander pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedział. - Przykro mi, że musiałem cię tutaj ściągnąć. Ann-Britt Hóglund przezornie wzięła z sobą Norena, który miał odwiedzić Sarę Björklund do Ystadu. Sama chciała zostać.

Mimo że ciągle był wczesny ranek, wydawało się, że cały kraj już wie, co się stało. Sjösten zaimprovizował na ulicy konferencję prasową, a Wallander i Ann-Britt Hóglund pojechali do terminalu promowego na śniadanie.

Przedstawił jej szczegóły.

- Ake Liljegren jest w naszych materiałach dochodzeniowych w związku ze sprawą Alfreda Harderberga - powiedziała. - Pamiętasz?

Wallander cofnął się myślami do ubiegłego roku. Z niesmakiem przypomniał sobie tego słynnego biznesmena i mecenasa sztuki, który mieszkał za murami zamku Farnholm. W końcu udało im się nie dopuścić do jego wyjazdu z kraju, po kilku dramatycznych chwilach zatrzymali go na Sturupie. Nazwisko Liljegrena rzeczywiście pojawiło się w śledztwie, ale dosyć peryferyjnie. Nawet nie był przesłuchiwany.

Wallander siedział nad trzecią kawą i patrzył na Sund, który tego letniego ranka roił się od żaglówek i promów.

- Nie chcieliśmy tego, ale mamy - skonstatował. - Jeszcze jedna śmierć i oskalpowany mężczyzna. Według Ekholma, dotarliśmy do magicznego punktu, w którym możliwości zidentyfikowania sprawcy radykalnie wzrosły. Wszystko zgodnie z rutyną FBI. Co prawdopodobnie może mieć duże znaczenie. Teraz jeszcze wyraźniej powinniśmy dostrzec podobieństwa i różnice.

- Tym razem było więcej brutalności - powiedziała z wahaniem. - Jeśli można stopniować ciosy zadawane siekierą i skalpy.

Wallander z zainteresowaniem czekał na ciąg dalszy. Wiedział, że jej wahanie często bywa oznaką istotnych przemyśleń. - Wetterstedt leżał pod łodzią - kontynuowała. - Został zaatakowany z tyłu. Jego skalp był odcięty. Jakby sprawcy zależało na dokładności. A może nie czuł się pewnie? Carlman zginął od ciosu zadanego z przodu. Musiał widzieć mordercę. Miał zerwane włosy, nie odcięte. Jakby ten człowiek zrobił to w złości, z pogardą albo w furii. I Björn Fredman. Prawdopodobnie leżał na plecach. Związany, bo inaczej by się bronił. Ten, kto to zrobił, musiał mu podnieść powieki, żeby wlać kwas. Cios w głowę został zadany z wielką siłą. A teraz Liljegren i głowa w piekarniku. Coś się nasila. Nienawiść? Czy niepojęta przyjemność chorego człowieka w manifestowaniu swojej władzy?

- Powtórz to Ekholmowi - powiedział Wallander. - Niech wprowadzi te uwagi do komputera. Zgadzam się z tobą. Pewne zmiany w jego zachowaniu są czytelne. Tylko co to nam mówi? Czasami wydaje mi się, że idziemy po śladach, które mają miliony lat. Tropy wymarłych zwierząt, zastygłe w wulkanicznym popiele. Najbardziej mnie zastanawia chronologia. Znaleźliśmy ofiary w określonej kolejności, ponieważ były mordowane według jakiegoś porządku. Ciekaw jestem, czy istnieje inny porządek, którego nie możemy wskazać. Może któraś z ofiar jest ważniejsza od pozostałych?

- Bliższa mordercy? - zapytała po namyśle.

- Właśnie. Czy Liljegren jest bliżej jakiegoś środka niż na przykład Carlman? A kto jest najdalej? A może relacje są jednakowe?

- Relacje, które być może są jedynie wytworem jego zaburzonej świadomości.

Wallander odsunął pustą filiżankę.

- Możemy być pewni tylko tego, że ofiary nie zostały wybrane przypadkowo.

- Björn Fredman się różni - powiedziała, wstając. - Tak, różni się. Gdyby to odwrócić, to ci trzej pozostali stanowią wyjątek.

Ruszyli z powrotem do Tagaborga, gdzie czekała na nich wiadomość, że Hansson jedzie do Helsingborga na spotkanie z komendantem.

- Jutro będą tu kryminalni z centrali - powiedział Sjósten.

- Czy ktoś rozmawiał z Ekholmem? - spytał Wallander. - Powinien tu jak najszybciej przyjechać.

Ann-Britt Hóglund poszła zasięgnąć języka, a Wallander z Sjóstenem jeszcze raz postanowili obejrzeć willę. Nyberg klęczał w kuchni razem z innymi technikami. Kiedy wchodzili na piętro, dogoniła ich Ann-Britt Hóglund. Ekholm jedzie z Hanssonem. We trójkę przepatrywali mieszkanie. Milczeli. Każde z nich szło własnym śladem. Wallander starał się wyczuć obecność mordercy, tak jak w półmroku Willi Wetterstedta i jasnej altance w ogrodzie Carlmana. Morderca był tutaj niespełna dwanaście godzin temu, szedł tymi schodami, ciągle istniały niewidzialne odciski jego obecności. Wallander poruszał się wolniej od kolegów. Często się zatrzymywał i patrzył przed siebie. Albo siadał na krześle i przyglądał się ścianie, dywanowi, drzwiom. Jakby w zadumie podziwiał eksponaty w galerii sztuki. Czasami zawracał i powtarzał tę krótką przechadzkę. Ann-Britt Hóglund miała wrażenie, jakby chodził po wyjątkowo kruchym lodzie. Gdyby znał jej spostrzeżenia, na pewno przyznałby jej rację. Każdy krok oznaczał ryzyko, zajęcie stanowiska, renegecje z sobą samym.

Przebiegał wszystko myślami równie intensywnie, jak się poruszał po miejscu zbrodni. Dom Gustafa Wetterstedta wydawał się dziwnie pusty. Ani razu nie poczuł w nim obecności sprawcy. W końcu uzgodnił z sobą samym, że morderca nie był w mieszkaniu Wetterstedta. Nie podszedł bliżej niż do garażu, gdzie na dachu zabijał czas lekturą „Fantoma”, którego później podarł. Ale w willi Liljegrena było inaczej. Wallander wrócił na schody i popatrzył na łazienkę. Stąd mógł widzieć swoją ofiarę. Jeśli drzwi do łazienki były otwarte. A dlaczego miały być zamknięte, skoro Liljegen był sam? Stał pod ścianą łazienki, potem wszedł do środka, przyjmując na siebie rolę Liljegrena w tej jednoosobowej sztuce. Wyszedł, wyobraził sobie uderzenie, silny cios po skosie z tyłu. Widział siebie, jak osuwa się na dywan w korytarzu. Potem znowu wcielił się w człowieka z siekierą. Trzymał ją w prawym ręku, nie w lewym, co mógł stwierdzić wcześniej, oglądając Wetterstedta. Mężczyzna był praworęczny. Wallander wolno schodził po schodach, ciągnąc za sobą niewidzialne ciało. Kuchnia, piekarnik. Zszedł do piwnicy i patrzył na okienko. Za małe, żeby mógł się przez nie przecisnąć, pomyślał. Ten człowiek nie ma nadwagi. Jest szczupły. Przez kuchnię wyszedł do ogrodu. Pod piwnicznym oknem technicy zabezpieczali odciski stóp. Wallander z góry wiedział, że nic nie znajdą. Morderca był boso, tak jak w poprzednich wypadkach. Spojrzał na żywopłot. Zastanawiał się, dlaczego był boso. Wielokrotnie pytał o to Ekholma, ale nie uzyskał przekonującej odpowiedzi. Chodzenie boso to ryzyko skaleczenia się, potknięcia, narażenia się na ukłucia, rany. A mimo to był boso. Dlaczego? Dlaczego zdejmował buty? To jeszcze jeden wyróżnik, o którym musi pamiętać. Skalpy. Siekiera. Bose stopy. Wallander stał bez ruchu. Myśl przyszła bardzo szybko. Podświadomość wyciągnęła wniosek i przesłała go dalej.

Indianin, pomyślał. Indiański wojownik.

Wiedział, że ma rację. Szukają samotnego wojownika, który chodzi obraną niewidzialną ścieżką. Naśladuje. Zabija siekierą, zdiera skalpy, chodzi boso. Dlaczego latem w Szwecji Indianin zabija ludzi? Kto właściwie popełnia te morderstwa? Indianin czy ten, który się wciela w Indianina? Wallander trzymał się tej myśli, nie chciał jej zgubić, dopóki nie domyśli jej do końca. Przemierza duże odległości. Musi mieć konia. Motocykl. Stał za barakiem zarządu dróg. Samochodem się jeździ, motocykl się dosiada.

Po raz pierwszy w tym śledztwie domyślał się obrazu mężczyzny, którego szukał. Natychmiast wzrosła jego czujność. Na razie chciał jednak zachować te myśli dla siebie.

Na piętrze otworzyło się okno.

- Chodź na górę! - zawołał Sjósten.

Wallander zastanawiał się, co takiego znaleźli. W gabinecie Liljegrena Sjósten i Ann-Britt Hóglund stali przed regałem z książkami. Sjósten trzymał w ręku plastikową torbę.

- Podejrzewam kokainę - powiedział. - Oczywiście, może to być heroina.

- Gdzie to znalazłeś?

Sjósten wskazał na wysuniętą szufladę.

- Naturalnie może być tego więcej - zauważył Wallander.

- Ściągniemy tu psa od narkotyków - powiedział Sjósten.

- I powinieneś posłać trochę ludzi, żeby porozmawiali z sąsiadami. Niech pytają o mężczyznę na motocyklu. Może go widzieli. Nie tylko wczoraj wieczorem, ale i wcześniej. W ostatnich tygodniach.

- Przyjechał na motocyklu?

- Tak myślę. To by się zgadzało z jego dotychczasowym sposobem przemieszczania się. Sam przeczytasz w materiale dochodzeniowym.

Sjósten wyszedł z pokoju.

- W materiale dochodzeniowym nie ma ani słowa o motocyklu - zdumiała się Ann-Britt Hóglund.

- Powinno być - z roztargnieniem powiedział Wallander. - Przecież ustaliliśmy, że przy drodze niedaleko domu Carlmana stał motocykl. Prawda? W tym momencie zobaczył przez okno Ekholma, Hanssona i jeszcze jednego mężczyznę, przypuszczalnie komendanta helsingborskiej policji. Spieszyli żwirowaną alejką, okoloną krzaczkami róż. Birgersson wyszedł im na spotkanie.

- Zejdźmy na dół - powiedział Wallander. - Znalazłaś coś?

- Ten dom przypomina mieszkanie Wetterstedta - powiedziała. - Takie samo, ponure mieszczaństwo. Ale tu jest przynajmniej trochę zdjęć rodzinnych. Nie wiem, czy wpływają rozweselające. Wygląda na to, że w rodzinie Liljegrena byli wyłącznie kawalerzyści. Skańscy Dragoni. Jeśli wierzyć zdjęciom.

- Nie przyglądałem się - przyznał Wallander. - Ale na pewno masz rację. Jego szemrane afery można śmiało porównać z prymitywną sztuką walki.

- Na jednym ze zdjęć jest starsza para przed kurną chatą. Jeśli dobrze odczytałam opis na odwrocie, to jego dziadkowie ze strony matki. Na Ólandii.

Ruszyli na parter. Połowę schodów odgradzono, żeby chronić ślady krwi.

- Starsi samotni panowie - powiedział Wallander. - Mieszkali w podobnych domach, może byli do siebie podobni. Ile lat miał Ake Liljegren? Skończył siedemdziesiąt?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, Ann-Britt Hóglund nie wiedziała.

W jadalni Liljegrena urządzono salę konferencyjną. Ekholm nie był potrzebny, więc Sjösten przydzielił mu policjanta, który mógł odpowiedzieć na interesujące go pytania. Kiedy wszyscy się przedstawili i usiedli, Hansson zaskoczył Wallandera stanowczością. Podczas jazdy z Ystadu do Helsingborga zdążył odbyć telefoniczne rozmowy z Perem Akesonem i kryminalną ze Sztokholmu.

- Byłoby błędem twierdzić, że sytuacja drastycznie się zmieniła z powodu tego, co się stało w tym domu - zaczął. - Była dramatyczna już wtedy, kiedy zrozumieliśmy, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Ale teraz można chyba powiedzieć, że przekroczyliśmy pewnego rodzaju granicę. Nic nie wskazuje na to, że seria zabójstw się skończy. Możemy tylko mieć taką nadzieję. W centrali są gotowi zapewnić nam wszelką możliwą pomoc. Nie powinno być żadnych problemów z powołaniem większego zespołu, który będzie operował w dwóch okręgach, i w jego składzie znajdzie się kilku ludzi ze Sztokholmu. Zakładam, że nikt nie ma nic przeciwko temu, żeby szefem tego nowego zespołu został Kurt.

Nikt nie miał zastrzeżeń. Sjösten z aprobatą pokiwał głową.

- Kurt ma już pewną sławę - powiedział Hansson bez cienia dwuznaczności. - Szef kryminalnej z centrali uznał jego szefowanie za rzecz oczywistą.

- Zgadza się - po raz pierwszy i ostatni odezwał się komendant z Helsingborga.

- Są już kierunki działań w ramach przyszłej współpracy - kontynuował Hansson. - Prokuratorzy mają swoje procedury przygotowawcze. Sprawa najważniejsza to określenie rodzaju pomocy, jakiej będziemy potrzebować ze Sztokholmu.

Wallander słuchał Hanssona z uczuciem dumy i niepokoju. Oceniając własne możliwości, uważał, że rzeczywiście tylko on może poprowadzić śledztwo.

- Czy mieliśmy już w naszym kraju podobną serię zabójstw? - spytał Sjösten.

- Zdaniem Ekholma, nie - odpowiedział Wallander.

- Przydaliby się, rzecz jasna, policjanci, którzy mają doświadczenie z tego typu przestępstwami.

- No to musielibyśmy ich ściągnąć z Europy albo z USA. Co mało

prawdopodobne. W każdym razie jeszcze nie teraz. Na pewno potrzebujemy doświadczonych śledczych. W niepełna dwadzieścia minut podjęli konieczne decyzje. Potem Wallander szybko opuścił pokój i ruszył na poszukiwania Ekholma. Znalazł go na piętrze przed łazienką. Weszli do pokoju gościnnego, który chyba od dawna nie był używany. Wallander otworzył okno, żeby usunąć przykry zaduch. Usiadł na krawędzi łóżka i podzielił się z Ekholmem swoimi przemyśleniami.

- Naturalnie możesz mieć rację - zgodził się Ekholm. - Człowiek zaburzony, który wciela się w samotnego wojownika. Kryminalistyka zna wiele takich przykładów. Ale nie ze Szwecji. Ludzie przybierają cudzą postać, żeby wziąć odwet, który stanowi jeden z najbardziej powszechnych motywów. Przebranie uwalnia ich od winy. Aktora nie gryzie sumienie za czyny, jakich się dopuszcza jego postać. Ale nie wolno zapominać, że niektórzy psychopaci zabijają wyłącznie dla przyjemności.

- W tym wypadku to mało prawdopodobne - powiedział Wallander.

- Trudność polega na tym, że rola, jaką wybrał morderca, na przykład rola indiańskiego wojownika, wcale nie musi sugerować motywu zbrodni. Nie musi tutaj zachodzić żadna zewnętrzna zgodność. Załóżmy, że jest, jak mówisz, sprawca z nieznanymi nam powodów przebiera się za bosego wojownika. Ale przecież równie dobrze mógłby przybrać postać japońskiego samuraja albo haitańskiego tonton macoute. Tylko jedna osoba zna powody takiego, a nie innego wyboru. On sam.

Wallander przypomniał sobie jedną z wcześniejszych rozmów z Ekholmem.

- Mogłoby to znaczyć, że skalpy są fałszywym tropem - powiedział. - Że je zbiera tylko jako niezbędny dla tej roli rekwizyt. Inaczej mówiąc, trofea nie są celem. - Istnieje taka możliwość. Czyli wracamy na pole numer jeden.

- Kombinacje trzeba bez przerwy sprawdzać, ale nigdy się nie wraca do punktu wyjścia. Musimy się poruszać tak jak sprawca. On nie stoi w miejscu. Wydarzenia dzisiejszej nocy to potwierdziły.

- Czy wyrobiłeś już sobie jakąś opinię?

- Piekarnik jest interesujący.

Wallander zareagował na dobór słów Ekholma. Ale nic nie powiedział.

- W jakim sensie?

- Uderza różnica między kwasem a piekarnikiem. W pierwszym wypadku używa środka chemicznego, żeby dręczyć człowieka, który jeszcze żyje. To element procesu zabijania. W drugim wypadku chodziło mu raczej o to, żeby przesłać nam pozdrowienia.

Wallander bacznie przyglądał się Ekholmowi, próbując zinterpretować jego słowa.

- Pozdrowienia dla policji?

- W gruncie rzeczy wcale mnie to nie dziwi. Morderca jest pod wpływem tego, co robi. On rośnie we własnych oczach. Często dochodzi do punktu, w którym musi poszukać z kimś kontaktu. Rozsadza go zadowolenie z siebie. Potrzebuje potwierdzenia własnej wielkości. Ofiary nie zmartwychwstaną, żeby nagrodzić go brawami. Nierzadko zwraca się wtedy ku policji. Do tych, którzy go ścigają i chcą powstrzymać. To może przybierać różne formy. Anonimowe telefony albo listy, albo ułożenie ofiary w groteskowej pozycji.

- Rzuca nam wyzwanie?

- Nie sądzę, żeby tak myślał. Wydaje mu się, że jest niepokonany. Jeśli rzeczywiście wybrał rolę bosego wojownika, nie-wrażliwość jest jedną z jego cech. Znane są przykłady wojowniczych plemion, które smarują się różnymi mazidłami, żeby się uodpornić na miecze albo strzały. W naszych czasach takim mieczem może być właśnie policja.

- Jaki będzie jego następny krok? - spytał po chwili Wallander. - Rzuca nam wyzwanie, wkładając głowę Liljegrena do pieca. Co dalej?

- Jest dużo możliwości. Nie jest na przykład niczym wyjątkowym, że mordercy psychopaci szukają kontaktu z określonymi policjantami.

- Dlaczego? Ekholmowi nie udało się ukryć wahania.

- Zdarzało się, że mordowali policjantów.

- Myślisz, że ten szaleniec ma na nas oko?

- Możliwe. Może się na przykład zabawiać, pojawiając się tuż obok nas. A potem znika. Któregoś dnia może mu to nie wystarczyć.

Wallander wrócił myślami do tego uczucia, jakie go opanowało przy blokadzie koło posesji Carlmana. Miał wrażenie, że kogoś rozpoznaje w grupie ciekawskich podglądaczy pracy policji. Kogoś, kto był na plaży za taśmami, kiedy odwracali łódź i wyciągali zwłoki byłego ministra sprawiedliwości.

Ekholm popatrzył na niego z powagą.

- Chodzi mi o to, że powinienes być tego świadomy - powiedział. - Niezależnie od tej rozmowy i tak miałem zamiar z tobą pomówić.

- Dlaczego akurat ja?

- Ciebie najczęściej widać. Ściganie tego człowieka, który popełnił już cztery

morderstwa, wymaga zaangażowania wielu osób. Ale tylko twoje nazwisko i twoja twarz pojawiają się regularnie.

Wallander skrzywił się.

- Czy mam to potraktować poważnie?

- Sam zdecyduj. Po rozmowie, kiedy Ekholm wyszedł z pokoju, Wallander został. Próbował uzgodnić sam ze sobą, jak naprawdę przyjął słowa Ekholma. Jakby przez pokój przeciągnął zimny wiatr, pomyślał. Tylko tyle, nic więcej.

Po trzeciej po południu Wallander wrócił z kolegami do Ystadu, skąd postanowili kierować śledztwem. Przez całą drogę milczał, na pytania Hanssona udzielał lakonicznych odpowiedzi. W komendzie zrobili krótkie zebranie informacyjne, na którym byli Svedberg, Martinsson i Per Akeson. Svedberg powiedział, że można już porozmawiać z córką Carlmana, która doszła do siebie po nieudanej próbie samobójstwa. Wallander i Ann-Britt Hóglund mieli pójść do szpitala następnego dnia rano.

O szóstej Wallander zadzwonił do ojca. Odebrała Gertruda. Ojciec wydawał się taki jak zwykle. I chyba nie pamiętał, co się stało kilka dni wcześniej.

Potem zadzwonił do domu. Ale Lindy nie było. Wychodząc z komendy, spytał Ebbę, czy jest coś nowego w sprawie kluczy. Nic. Pojechał do portu, przespacerował się po molo i poszedł na piwo do portowej kafejki. Przyłapał się na tym, że obserwuje przechodzących ludzi. Niechętnie przeniósł się na ławkę, pod czerwony barak morskiej służby ratowniczej.

Był ciepły bezwietrzny wieczór. Z łódki dobiegały dźwięki akordeonu. Po drugiej stronie pirsu majaczył prom wpływający do terminalu. Z Polski. Nie wiedzieć czemu, nagle zauważył związek. Siedział bez ruchu, pozwalając pracować myślom. Zaczynał dostrzegać kontury dramatu, gorszego niż wszelkie wyobrażenia. Ciągle dużo było w nim niewiadomych, ale wydawało mu się, że już wie, na czym powinni się skoncentrować. Pomyślał, że dotychczasowy kierunek śledztwa wcale nie był zły. Błędne były wnioski, jakie wyciągał.

Pojechał do domu i zapisał swoje przemyślenia. Tuż przed północą przyszła Linda. Wiedziała z gazet, co się stało.

- Kto to robi? - spytała. - Co to za człowiek?

- Taki sam, jak ty i ja - odparł po namyśle. - Z grubsza rzecz biorąc, taki jak ty i ja.

Wallander obudził się gwałtownie. Otworzył oczy i leżał, bez ruchu. Noc

rzucała siwe światło. Ktoś był w mieszkaniu. Szybko spojrzął na budzik na nocnym stoliku. Kwadrans po drugiej. Poczul lęk. Wiedział, że to nie Linda. Kiedy wieczorem kładła się spać, nie wstawała aż do rana. Wstrzymał oddech i słuchał. Dźwięki były bardzo słabe.

Ten ktoś był boso.

Wallander cicho wyszedł z łóżka i rozejrzał się za jakąś bronią. Służbowy pistolet zamykał w biurku w komendzie. W sypialni było tylko popsute oparcie krzesła. Delikatnie je wyciągnął i znowu słuchał. Kroki dochodziły z kuchni. Nie włożył szlafroka, bo krępowałby mu ruchy. Wyszedł z sypialni i popatrzył na salon. Minął drzwi pokoju Lindy. Były zamknięte. Spała. Bardzo się teraz bał. Pomyślał, że Ekholm miał rację. Czekają go spotkanie z kimś bardzo silnym. Oparcie, które ścisnął w garści, niewiele mu pomoże. Przypomniał sobie o imitacji starych kastetów w szufladzie regału. Idiotyczna nagroda w policyjnej loterii. Uznał, że pięści będą lepszą obroną niż kawałek krzesła. Ciągłe słyszał odgłosy w kuchni. Ostrożnie otworzył szufladę. Kastety leżały pod kopią ostatniej deklaracji podatkowej. Włożył je na prawą dłoń. W tym samym momencie uświadomił sobie, że dźwięki umilkły. Odwrócił się gwałtownie i uniósł ręce.

W drzwiach stała Linda i patrzyła na niego z mieszaniną zdziwienia i lęku. Gapił się na nią.

- Co ty robisz? - spytała. - Co masz na ręku?

- Myślałem, że ktoś się włamał - powiedział, zdejmując kastety.

Była wstrząśnięta.

- To tylko ja, nie mogę spać.

- Drzwi do twojego pokoju nie były otwarte.

- No to je zamknęłam. Chciałam się napić wody. Pewnik się bałam, że trzasną w przeciagu.

- Nigdy się nie budzisz w nocy.

- Te czasy już minęły. Czasami źle śpię. Kiedy mam o czym myśleć.

Powinno mu być głupio. Ale ulga była silniejsza. Jego reakcja świadczyła o tym, że potraktował słowa Ekholma znacznie poważniej, niż myślał. Usiadł na kanapie. Linda patrzyła na niego.

- Często się zastanawiałam, jak ty możesz tak dobrze spać - powiedziała. - Po tym wszystkim, co musisz oglądać i w czym musisz brać udział.

- To rutyna - odparł, wiedząc, że to nieprawda. Usiadła obok niego na kanapie.

- Przejrzałam popołudniówkę, kiedy Kajsa kupowała papierosy. Dużo pisali o tym, co się stało w Helsingborgu. Nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz. - Gazety przesadzają.

- A jaka tu przesada w tym, że ktoś ma głowę w piekarniku?

Wallander starał się wykręcić od odpowiedzi. Nie wiedział, czy ze względu na siebie, czy na nią. - To jest sprawa lekarza sądowego. Ja badam miejsce zbrodni i próbuję zrozumieć, co się stało. Pokiwała głową, zrezygnowana.

- Mnie nigdy nie udało ci się oszukać. Mamę może tak, ale nie mnie.

- Chyba nie okłamywałem Mony?

- Nigdy jej nie powiedziałaś, jak bardzo ją kochasz. A to, czego się nie mówi, można uznać za poświadczenie nieprawdy. Popatrzył na nią zdziwiony. Co za słownictwo.

- Kiedy byłam małą, czytałam ukradkiem wszystkie papiery, jakie przynosiłeś do domu. Czasem zapraszałam kolegów, siedzieliśmy u mnie w pokoju i czytaliśmy stenogramy przesłuchań świadków. To było fascynujące. Wtedy nauczyłam się wielu słów.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- I o to chodziło. Lepiej powiedz, kto według ciebie był w mieszkaniu.

Szybko zmieniła temat rozmowy. On równie szybko postanowił powiedzieć jej część prawdy. Zdarza się, nadzwyczaj rzadko, ale jednak, że policjanci z jego pozycją i tacy, których zdjęcia często są w gazetach albo którzy występują w telewizji, mogą zwrócić na siebie uwagę przestępców, mających na ich punkcie coś w rodzaju obsesji. Albo zaślepienia, to może lepsze określenie. Zazwyczaj nie ma się czym przejmować. Nigdy jednak nie da się niczego do końca przewidzieć. Dobrze o tym wiedzieć i być świadomym zagrożeń. Nie jest to jednak powód do niepokoju.

Ani przez chwilę mu nie wierzyła.

- Człowiek, który tam stał z kastetami, nie przejawiał oznak świadomości. Widziałam tatę, policjanta, który się boi.

- Może przyśnił mi się jakiś koszmar - powiedział z wahaniem. - Wyjaśnij mi teraz, dlaczego nie możesz spać. - Myślę o tym, co zrobić ze swoim życiem.

- To, co pokazałyście z Kajszą, było dobre.

- Ale nie takie dobre, jak byśmy chcieli.

- Masz czas na próby.

- A może chciałabym robić coś całkiem innego.

- Co?

- Nad tym się właśnie zastanawiam, kiedy budzę się nocami. Otwieram oczy i myślę, że ciągle tego nie wiem.

- Zawsze możesz mnie zbudzić - powiedział. - Jako policjant nauczyłem się słuchać. Niestety, w odpowiedziach lepsi są inni.

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Wiem. Ty dobrze słuchasz. Dużo lepiej niż mama. Ale odpowiedzieć mogę tylko ja.

Długo siedzieli na kanapie. Położyli się o czwartej, kiedy było już widno. Jedno go ucieszyło. Że potrafi słuchać lepiej niż Mona. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby we wszystkim być lepszym. Ale nie teraz, kiedy jest Bajba.

Wstał tuż przed siódmą. Linda spała. Przed wyjściem wypił kawę. Pogoda była nadal piękna. Zaczęło wiać. W komendzie spotkał podnieconego Martinssona, który obwieścił urlopowy chaos, bo trudne śledztwo wymagało obecności wielu ludzi.

- Skończy się na tym, że być może dostanę urlop we wrześniu - złościł się. - Kto, do cholery, chce w tym czasie brać urlop?

- Ja - przyznał Wallander. - We wrześniu jadę z ojcem do Włoch.

Wszedł do swojego pokoju i nagle do niego dotarło, że jest już środa, 6 lipca. W sobotę rano, za trzy dni, powinien czekać na Bajbę na kopenhaskim lotnisku. Dopiero teraz sobie uświadomił, że ich podróż trzeba odwołać albo przesunąć. W ostatnich, gorączkowych dniach unikał myślenia o tym, ale tego ranka zrozumiał, że tak dłużej być nie może. Musi odwołać rezerwację biletów i hotelu. Niepokoił się, jak Bajba zareaguje. Rozbolał go brzuch. Musi być jakieś wyjście, pomyślał. Bajba mogłaby przyjechać tutaj. A może uda nam się złapać tego sukinsyna, który zabija ludzi i bierze skalpy.

Obawiał się jej rozczarowania. Mimo że miała męża policjanta, Wallander myślał, że w jej opinii w kraju takim jak Szwecja wszystko wygląda inaczej. Nie mógł dłużej zwlekać, powinien jej powiedzieć, że nie pojedą do Skagenu. Powinien podnieść słuchawkę i zadzwonić do Rygi. Przesunął jednak tę nieprzyjemną rozmowę na później. Nie był przygotowany. Zapisał w notatniku, co trzeba odwołać, a potem znowu stał się policjantem. Przemyślał to, do czego doszedł poprzedniego-dnia wieczorem na ławce morskiej służby ratowniczej. Przed wyjściem do pracy wyrwał strony z podsumowaniem, położył je teraz przed sobą na biurku i czytał. To się trzymało kupy. Połączył się z Ebbą i porosił ją o złapanie Waldemara Sjóstena z

Helsingborga. Kilka minut później oddzwoniła.

- Codziennie rano skrobie łódkę - powiedziała. - Ale już jedzie. Odezwie się w ciągu dziesięciu minut.

Sjósten zadzwonił po kwadransie. Mieli dwoje świadków, starsze małżeństwo, które wieczorem, w dniu morderstwa Liljegrena, widziało motocykl na Aschebergsgatan.

- Dokładnie to sprawdźcie - polecił Wallander. - To może być bardzo ważne.

- Sam chciałem się tym zająć.

Wallander pochylił się nad stołem, jakby potrzebował wsparcia przed następnym pytaniem.

- Chciałbym cię o coś prosić. Sprawa priorytetowa. Chciałbym, żebyś odszukał jedną z kobiet, które bywały na przyjęciach u Liljegrena. - Dlaczego?

- Myślę, że to ważne. Musimy się dowiedzieć, kto tam przychodził. Żebym mógł w tym niejako uczestniczyć. Zrozumiesz, jak przejrzysz materiał.

Wallander dobrze wiedział, że materiał dotyczący trzech poprzednich morderstw nie uzasadnia jego pytania. Nie chciał jednak wchodzić w to głębiej, przez jakiś czas wolał polować w pojedynkę.

- Mam więc wyłuskać jakąś kurwę - powiedział Sjósten.

- Tak. Jeśli to takie panie bywały na przyjęciach.

- Podobno.

- Jak najszybciej daj mi znać. Przyjadę do Helsingborga.

- Jeśli którąś znajde, mam ją zatrzymać?

- Za co?

- Nie wiem.

- Chciałbym tylko porozmawiać. Nic więcej. Powinieneś ją raczej uspokoić, że nie ma się czego obawiać. Po co mi ktoś, kto się boi i dostosowuje odpowiedzi do oczekiwań przesłuchującego.

- Postaram się - obiecał Sjósten. - Ciekawe zadanie w środku lata.

Zakończyli rozmowę. Wallander wrócił do notatek z poprzedniego dnia. Tuż po ósmej zadzwoniła Ann-Britt Hóglund z pytaniem, czy jest gotowy. Wziął kurtkę i spotkali się w recepcji. Zaproponował spacer do szpitala, żeby mogli się przygotować do rozmowy z córką Carlmana. Wallander uświadomił sobie, że nie zna imienia dziewczyny, która go uderzyła w twarz.

- Erika - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Nie pasuje do niej to imię.

- Dlaczego? - zdziwił się Wallander. - Kiedy słyszę imię „Erika”, myślę o silnej osobie. Bufetowa w hotelu, operator dźwigu.

- Pasuje do mnie Kurt? - Przytaknęła, rozbawiona.

- Wiem, że łączenie charakteru z imieniem to głupota. Bawię się tym, ot, zabawa bez większego znaczenia. Chociaż z drugiej strony trudno sobie wyobrazić kota Burka albo psa Kicię.

- Na pewno takie są. Co wiemy o Erice Carlman?

Szli z wiatrem, słońce grało z boku. Ann-Britt Hóglund powiedziała, że Erika Carlman ma dwadzieścia siedem lat. Przez pewien czas była stewardesą w niedużej angielskiej firmie czarterowej. Imiała się różnych zajęć, nigdzie jednak nie zagrzała miejsca. Zjeździła cały świat, wspomagana finansowo przez ojca. Wyszła za mąż za peruwiańskiego piłkarza, szybko się jednak rozwiodła.

- Wygląda mi na typową dziewczynę z wyższych sfer - przyznał Wallander. - Która od początku prawie wszystko ma za darmo.

- Jej matka uważa, że już jako nastolatka miała skłonność do hysterii. Taksie wyraziła. Histeria. Trafniejsze byłoby chyba określenie „neuroza”.

- Czy usiłowała już wcześniej popełnić samobójstwo?

- Nie. W każdym razie nikomu nic o tym nie wiadomo. Matka chyba nie kłamała.

- Musiała myśleć poważnie - powiedział po namyśle. - Naprawdę chciała umrzeć.

- Też mam takie wrażenie.

Wallander nie mógł dłużej ukrywać, że Erika dała mu w twarz. Jeśli dziewczyna napomknie o tym zajściu, nic nie usprawiedliwi jego milczenia. Nie licząc jego męskiej próżności. Zatrzymał się przed wjazdem do szpitala i powiedział. Była zdumiona.

- Wydaje mi się, że był to jedynie atak hysterii, o której mówiła jej matka - dodał.

Poszli dalej. Po chwili Ann-Britt Hóglund przystanąła.

- Może być pewien kłopot - powiedziała. - Ona jest przypuszczalnie w złym stanie. Na pewno zdaje sobie sprawę, że przez kilka krytycznych dni była w przedśmionku śmierci. Nawet nie wiemy, czy żałuje tego, co zrobiła, czy jest wściekła, że próba się nie powiodła. Jeśli ty do niej wejdiesz, może to dodatkowo pogłębić jej wyrzuty sumienia. Albo będzie agresywna, albo wystraszona, albo nieprzystępna.

Wallander od razu przyznał jej rację.

- Dobrze, sama z nią porozmawiaj. Ja poczekam w kawiarni.

- Ale musimy się najpierw zastanowić, czego się właściwie chcemy od niej dowiedzieć.

Wallander wskazał na ławkę przy szpitalnym postoju taksówek.

- W takim śledztwie ma się zawsze nadzieję, że odpowiedzi będą ciekawsze od pytań - zaczął. - Powinnaś wyjść od tego, czyjej próba samobójcza ma jakiś związek ze śmiercią ojca. Jak to zrobisz, to twoja sprawa. Jej odpowiedzi nasuną ci następne pytania.

- No więc założmy, że ona mówi „tak”. Była tak załamana śmiercią ojca, że nie chciała dłużej żyć.

- No to coś już wiemy.

- Ale co właściwie wiemy?

- Powinnaś zadać następne pytanie. Na przykład, co ich łączyło. Czy był to zwykły związek uczuciowy między ojcem a córką, a może było w tym coś innego?

- A jeśli powie, że „nie”? - Wtedy zacznij od tego, że jej nie wierzysz. Ale tego nie mów. W każdym razie nie przyjmujesz do wiadomości, że z innych powodów próbowała urządzić dwa pogrzeby jednocześnie.

- Czyli po jej „nie” powinnam się zainteresować powodami, dla których nie mówi prawdy?

- Mniej więcej. Istnieje naturalnie trzecia możliwość. Że chciała z sobą skończyć, bo wiedziała coś o śmierci ojca, i nie mogła tego rozwiązać inaczej, niż zabierając to z sobą do grobu.

- Widziała mordercę?

- Możliwe.

- I nie chciała, żeby to wyszło na jaw?

- Też możliwe.

- Dlaczego?

- Znowu są co najmniej dwie możliwości. Chce osłaniać mordercę albo chce chronić pamięć po ojcu.

Westchnęła z rezygnacją.

- Nie wiem, czy sobie poradzę.

- Jasne, że sobie poradzisz. Poczekam w kawiarni albo tutaj. I nie spiesz się.

Odprowadził ją do recepcji. Pomyślał o sytuacji sprzed kilku tygodni, kiedy się

dowiedział o śmierci Salomonssona. Nie przeczuwał tego, co miało nadejść. Ann-Britt Hóglund spytała w informacji o pokój chorej i zniknęła w korytarzu. Wallander wszedł do kawiarni, ale po chwili się rozmyślił i usiadł na ławce koło postoju taksówek. Usypując nogą zaczęty przez Ann-Britt Hóglund kopczyk ze żwiru, jeszcze raz pomyślał o wczorajszych wnioskach. Rozważania przerwał mu nagle telefon, który zadzwonił w kieszeni kurtki.

- Dzisiaj po południu przylatuje na Sturup dwóch wywiadowców z centrali, Ludvigsson i Hamren - odezwał się zagonionym głosem Hansson. - Znasz ich? - Tylko z nazwiska. To zdolni ludzie. Hamren brał chyba udział w sprawie laserowca.

- Czy możesz po nich wyjść na lotnisko?

- Nie - odpowiedział Wallander po chwili namysłu. - Przypuszczalnie pojedę do Helsingborga.

- Birgersson nic o tym nie mówił. Przed chwilą z nim rozmawiałem.

- Pewnie mają te same problemy z komunikacją co my - cierpliwie odparł Wallander. - Myślę, że twoja obecność byłaby właściwsza.

- A to niby czemu?

- Dla podkreślenia respektu. Kilka lat temu, kiedy byłem w Rydze, wyjechali po mnie limuzyną. Rosyjską i starą, ale zawsze. To ważne, żeby ludzie czuli się mile widziani.

- Dobrze - zgodził się Hansson. - Tak zrobimy. Gdzie teraz jesteś?

- W szpitalu.

- Źle się czujesz?

- Córka Carlmana. Zapomniałeś?

- Jeśli mam być szczery, tak.

- Powinniśmy się cieszyć, że wszyscy jednocześnie nie zapominamy o tym samym - powiedział Wallander.

Nie wiedział, czy Hansson odczytał jego ironię. Położył komórkę na ławce i patrzył na wróbla, który balansował na krawędzi kosza na śmieci. Ann-Britt nie było już blisko trzydzieści minut. Zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Zastanawiał się, co powie Bajbie. Na ławce usiadł z hukiem mężczyzna z nogą w gipsie. Po pięciu minutach przyjechała taksówka. Mężczyzna odjechał. Wallander pospacerował przed wejściem do szpitala, potem znowu usiadł. Minęła godzina.

Wyszła ze szpitala po godzinie i pięciu minutach i usiadła obok niego na ławce. Nie potrafił odgadnąć z wyrazu jej twarzy, jak poszło.

- Chyba zapomnieliśmy o jeszcze jednym powodzie, dla którego człowiek chce popełnić samobójstwo - powiedziała. - Splin.

- Taka była jej odpowiedź?

- Nie musiałam pytać. Siedziała na krześle, w szpitalnym szlafroku, nieuczesa, blada, nieobecna myślami, w dołku. „Po co żyć?” Takie były jej pierwsze słowa. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ona znowu spróbuje.

Wallander uznał swoją pomyłkę. Przeoczył najzwyczajniejszy motyw samobójców. Że się po prostu nie chce żyć.

- Ale chyba mimo wszystko rozmawiałaś o ojcu.

- Nie znosiła go. I jestem raczej pewna, że nigdy jej nie wykorzystywał.

- Powiedziała to?

- Niektórych rzeczy nie musi się mówić.

- A morderstwo?

- Nie była tym zainteresowana.

- Wyglądało to wiarygodnie?

- Myślę, że powiedziała dokładnie to, co czuła. Dziwiła się, że przyszłam. Wyjaśniłam jej, że szukamy sprawcy. Jej zdaniem, na pewno wielu pragnęło śmierci jej ojca. Za jego bezwzględność w interesach. Za sposób bycia.

- Nic nie wspomniała o tym, że mógł mieć inną kobietę?

- Nie.

Wallander przyglądał się posępnie wróblowi, który wrócił do kosza na śmieci.

- No to coś wiemy - powiedział. - Wiemy, że nic nowego nie wiemy.

Ruszyli do komendy. Była za kwadrans jedenasta. Szli pod wiatr, który teraz przybrał na sile. W połowie drogi zadzwonił telefon Wallandera. Odwrócił się plecami do wiatru i odebrał. Svedberg. - Chyba znaleźliśmy miejsce, w którym został zamordowany Björn Fredman - powiedział. - Pomost na zachód od miasta.

Przygnębienie, jakie odczuwał po bezowocnej wizycie w szpitalu, natychmiast zniknęło.

- Dobrze.

- Człowiek, który do nas zadzwonił, mówił o krwi. Ktoś mógł patroszyć ryby, ale wątpię. Gość jest laborantem, od trzydziestu pięciu lat bada próbki krwi. Poza tym twierdzi, że tuż obok są ślady opon. Stał tam samochód. Czemu nie ford z sześćdziesiątego siódmego roku?

- Za pięć minut możemy wyjeżdżać - powiedział Wallander.

Szli pod górkę, teraz znacznie szybciej. Wallander zrelacjonował Ann-Britt przebieg rozmowy. Już zapomnieli o Erice Carlman.

Hoover wysiadł z pociągu w Ystadzie o jedenastej zero trzy. Motorower zostawił tego dnia w domu. Wychodząc tylnym wyjściem, zobaczył, że nie ma już policyjnej blokady przy wykopie, gdzie wepchnął ojca. Poczł rozczarowanie i gniew. Ścigający go policjanci byli za słabi. Wżyciu nie zdaliby najprostszego egzaminu wstępnego do akademii FBI. Odezwało się w nim serce Geronima. Wiadomość była wyraźna i jasna. Zrobi tak, jak postanowił. Złoży siostrze dwie ofiary. Zakopie pod jej oknem dwa skalpy. I serce dziewczyny. Jako dar. A potem pójdzie do szpitala i wyjdą stamtąd razem. Życie będzie zupełnie inne. Któregoś dnia może oboje przeczytają jej pamiętnik, wspominając wydarzenia, które wyprowadziły ją z ciemności.

Ruszył do centrum. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, włożył buty. Nie podobało się to jego stopom. Z rynku skręcił w prawo i poszedł pod dom policjanta i dziewczyny, która z pewnością jest jego córką. Przyjechał zasięgnąć informacji. Akcję wyznaczył sobie na następny dzień, wieczorem, albo dzień później. Nie ma potrzeby, żeby siostra była w szpitalu dłużej. Usiadł na schodach sąsiedniego domu. Ćwiczył się w zapominaniu o czasie. Nie myśleć, dopóki znowu nie odda się sprawie. Dużo się jeszcze musi uczyć, żeby opanować tę sztukę do perfekcji. Ale nie wątpił, że pewnego dnia mu się to uda.

Czekał dwie godziny. Wyszła. Wyraźnie jej się spieszyło i zmierzała do śródmieścia.

Ruszył za nią i nie spuszczał z oczu. Kiedy znaleźli się przy pomoście, Wallander nie wątpił, że dobrze trafili. Właśnie tak sobie wyobrażał to miejsce. Nad morzem, około dziesięciu kilometrów na zachód od Ystadu. Jechali nadbrzeżną szosą, aż zobaczyli stojącego na poboczu mężczyznę w krótkich spodenkach i koszulce reklamującej klub golfowy w Malmberget. Poprowadził ich boczną drogą i bardzo szybko zauważyli niewidoczny z szosy pomost. Zatrzymali się, żeby nie zniszczyć śladów opon. Pięćdziesięcioletni laborant, Erik Wiberg, wyjaśnił, że lato spędza w domku letniskowym i często czyta na pomoście poranne gazety. Tego dnia, 29 czerwca, też się tam udał i wtedy zauważył ślady opon i ciemne plamy na brązowym drewnie. Ale się nad tym nie zastanawiał. Tego samego dnia pojechał z rodziną do Niemiec i po powrocie, kiedy przeczytał w gazecie, że policja szuka miejsca zbrodni, prawdopodobnie blisko morza, przypomniał sobie o plamach. Ponieważ pracuje w laboratorium, gdzie często badają krew zwierząt hodowlanych, domyślał się, że na

pomoście jest krew. Nyberg, który przyjechał chwilę po Wallanderze, klęczał koło śladów opon. Bolał go ząb i był bardziej wkurzony niż kiedykolwiek. Tylko z Wallanderem miał siłę rozmawiać.

- To może być ford Fredmana - powiedział. - Ale musimy to naturalnie dokładnie zbadać.

Razem poszli na pomost. Wallander przyznał, że mieli szczęście. Pomogło im suche lato. Gdyby padało, pewnie nie zabezpieczyliby żadnych śladów.

- Czy padało po dwudziestym ósmym czerwca? - spytał Martinssona, który miał najlepszą pamięć do pogody.

- Pokropiło rano w sobótkę - bez wahania odpowiedział Martinsson. - Potem nic.

- No to blokujemy - zdecydował Wallander i skinął na Ann-Britt Hóglund.

Poszła zadzwonić po ludzi, żeby zagrodzili teren wokół pomostu.

- Patrzcie, gdzie stawiacie nogi - przypomniał Wallander.

Stanął przy mocowaniach pomostu i patrzył na plamy krwi, potem spojrzął w kierunku szosy. Słyszał szum samochodów, ale ich nie widział. Dostrzegł jedynie kawałek dachu dużej ciężarówki. Coś mu przyszło do głowy. Ann-Britt Hóglund ciągle rozmawiała z Ystadem.

- Poproś, żeby zabrali mapę Ystadu, Malmö, Helsingborga i okolic - powiedział, po czym wszedł na pomost.

Spojrzął w wodę. Dno było kamieniste. Kilka metrów dalej, na brzegu, stał Erik Wiberg.

- Gdzie tu jest najbliższy dom? - spytał Wallander.

- Paręset metrów stąd - odpowiedział Wiberg. - Po drugiej stronie drogi. Na zachód. Nyberg wszedł na pomost.

- Mamy nurkować? - spytał. - Tak. Zaczniemy w promieniu dwudziestu pięciu metrów. - Wskazał na pierścienie w drewnie pomostu. - Odciski palców. Jeśli Björn Fredman został zabity tutaj, musiał być przywiązany. Nasz sprawca porusza się boso i nie wkłada rękawiczek.

- Czego mają szukać nurkowie?

- Nie wiem - powiedział Wallander po namyśle. - Zobaczymy, co znajdą. Wydaje mi się, że na odcinku między pomostem a miejscem parkowania samochodu powinny być ślady morszczyku.

- Samochód nie zawracał. Wyjechał na szosę tyłem. Nie mógł widzieć

nadjeżdżających aut. Są więc tylko dwie możliwości. Jeśli facet nie jest szaleńcem.

Wallander uniósł brwi.

- Jest szaleńcem.

- Ale nie takim - zauważył Nyberg.

Wallander zrozumiał, o co mu chodzi. Nie wyjechałby na szosę bez współnika albo zrobił to w nocy, orientując się po światłach samochodów.

- Nie miał pomocnika - stwierdził Wallander. - To musiało się stać nocą. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego przewiózł zwłoki Fredmana do wykopu pod dworcem w Ystadzie.

- Sam powiedziałaś, że jest szalony - przypomniał Nyberg.

Kilka minut później przyjechała mapa. Wallander poprosił Martinssona o długopis i usiadł na kamieniu przy pomoście. Zakreślił Ystad, Bjaresjö i Helsingborg, zaznaczył pomost tuż przy bocznej drodze na Charlottenlund i ponumerował. Potem przywołał Ann-Britt Hóglund, Martinssona i Svedberga, który dojechał na końcu i tego dnia zamiast czapki z daszkiem włożył brudny słomkowy kapelusz.

Pokazał na mapę, rozłożoną na kolanach. - Tędy się przemieszczał. A tutaj są miejsca zbrodni. To się układa w pewien wzór.

- Jak ulica - zauważył Svedberg. - Od Ystadu do Helsingborga. Skalpujący morderca z Sóderslattu.

- To mało zabawne - przyznał Martinsson.

- Nie próbuję być zabawny - zaprotestował Svedberg. - Mówię, jak jest.

- W ogólnym zarysie to się zgadza - stwierdził Wallander.

- Teren jest dosyć ograniczony. Jedno morderstwo w Ystadzie, jedno być może tutaj, bo na razie nie mamy pewności, i podrzucenie ciała w Ystadzie, inne tuż pod Ystadem, w Bjaresjö, a na końcu Helsingborg.

- Większość ogranicza się do Ystadu - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Czy to znaczy, że ten człowiek tam mieszka?

- Z wyjątkiem Bjórna Fredmana ofiary znaleziono w pobliżu ich domów albo w domu - stwierdził Wallander. - To mapa ofiar, nie mordercy.

- No to Malmö też trzeba zaznaczyć - zwrócił uwagę Svedberg. - Tam mieszkał Björn Fredman.

Wallander zakreślił Malmö. Wiatr szarpał mapą.

- Teraz obraz jest inny - zauważyła Ann-Britt Hóglund.

- Zamiast ulicy mamy dwie prostopadłe. A Malmö jest w środku.

- Björn Fredman cały czas nie pasuje do wzoru - powiedział Wallander.

- A gdybyśmy zaznaczyli jeszcze jeden punkt - wtrącił Martinsson. - Lotnisko.

To co nam wyjdzie?

- Ruch - skwitował Wallander. - W wypadku zabójstwa Fredmana.

Wiedział, że zbliżają się do decydującego wniosku.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę - kontynuował. - Björn Fredman mieszka w Malmö. Razem z zabójcą, który go obezwładnia albo nie, przyjeżdża ffordem tutaj i tutaj Björir Fredman umiera. Potem sprawca z ofiarą jadą do Ystadu, zwłoki lądują w wykopie, samochód wraca na zachód i parkuje koło lotniska, mniej więcej w połowie drogi między Malmö i Ystadem. Tam urywają się wszelkie ślady.

- Ze Sturupu jest dużo możliwości transportu - wtrącił Svedberg. - Taksówki, autobusy lotniskowe, wynajęte samochody. Inny pojazd, który się wcześniej zaparkowało.

- Znaczyłoby to, że morderca raczej nie mieszka w Ystadzie - powiedział Wallander. - Prędeż w Malmö. Chociaż równie dobrze może to być Lund albo Helsingborg, albo czemu nie Kopenhaga?

- Jeśli nas nie wyprowadza w pole - odezwała się Ann-Britt Hóglund. - Mieszka w Ystadzie, ale nie chce, żebyśmy to odkryli.

- To naturalnie możliwe - z wahaniem zgodził się Wallander. - Ale trudno mi w to uwierzyć.

- Inaczej mówiąc, powinniśmy się baczniej przyjrzeć Sturupowi - spointował Martinsson. Wallander skinął głową.

- Myślę, że ten, kogo szukamy, jeździ motocyklem - powiedział. - Już o tym mówiliśmy. Prawdopodobnie widziano motocykl przed domem Liljegrena w Helsingborgu. Są świadkowie. Sjósten się tym zajmuje. Ponieważ po południu dostaniemy posiłki, będziemy chyba mogli dokładnie sprawdzić warianty transportu ze Sturupu. Szukamy mężczyzny, który w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego czerwca zaparkował tam forda i jakoś musiał się stamtąd wydostać. Jeśli nie pracuje na lotnisku.

- Na jedno pytanie w ogóle nie możemy odpowiedzieć - stwierdził Svedberg, - Jak ten potwór wygląda.

- O jego twarzy nic nie wiemy - powiedział Wallander. - Wiemy natomiast, że jest silny. Poza tym okienko piwniczne w Helsingborgu świadczy o tym, że jest szczupły. Sumując, mamy do czynienia z człowiekiem wysportowanym. Który na

dokładkę chodzi boso.

- Wspomniałeś o Kopenhadze - przypomniał Martinsson. - Czy to znaczy, że on może być cudzoziemcem?

- Wątpię - odparł Wallander. - Wydaje mi się, że to rdzennie szwedzki seryjny zabójca.

- To niewiele mamy tropów - zauważył Svedberg. - Czy nie znaleziono ani jednego włosa? Czy to blondyn, czy brunet?

- Nie wiemy - powiedział Wallander. - Ekholm wątpi, żeby zwracał na siebie uwagę. Nie wiemy, jak jest ubrany w czasie popełniania zbrodni.

- Czy wiemy coś o jego wieku? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Nie - odparł Wallander. - Jego ofiary to starsi mężczyźni. Z wyjątkiem Bjórna Fredmana. Ale z tego, że jest wysportowany, chodzi boso i jeździ motocyklem, wyłania się obraz młodego człowieka. Tylko tyle.

- Jeśli prowadzi motocykl - powiedział Svedberg - musi mieć więcej niż osiemnaście lat.

- Albo szesnaście - skorygował Martinsson. - Jeśli to lekki motocykl.

- A może zacząć od Bjórna Fredmana? - zastanawiała się Ann-Britt Hóglund. - Jest dużo młodszy od pozostałych. Może w tym samym wieku, co sprawca? Byłby to więc ktoś poniżej pięćdziesiątki. A trochę wysportowanych w tym wieku pewnie by się znalazło.

Wallander ponuro przyglądał się kolegom. Wszyscy byli poniżej pięćdziesiątki, najmłodszy, Martinsson, miał ponad trzydzieści, żadnego jednak nie dałoby się nazwać wysportowanym.

- Ekholm szkicuje portrety psychologiczne tego człowieka - powiedział Wallander i wstał. - Powinniśmy je codziennie przeglądać. Mogą nam podsunąć jakieś pomysły.

Noren przyniósł Wallanderowi telefon. Wallander kucnął pod wiatr. Dzwonił Sjósten.

- Chyba kogoś ci znalazłem - oznajmił. - Ta kobieta trzy razy była na przyjęciu u Liljegrena.

- Dobrze - powiedział Wallander. - Kiedy mogę się z nią zobaczyć?

- Kiedy chcesz.

Wallander spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej.

- Będę u ciebie najpóźniej o trzeciej. Chyba znaleźliśmy miejsce, gdzie został

zabity Björn Fredman.

- Słyszałem. Wiem też, że Ludvigsson i Hamren jadą ze Sztokholmu. Są w porządku.

- Co ze świadkami, którzy widzieli mężczyznę na motocyklu?

- Mężczyźni nie widzieli, widzieli motocykl. Próbuje się dowiedzieć, jakiej marki. Ale to niełatwe, bo oboje świadkowie to starsi państwo. Poza tym są miłośnikami sportów na świeżym powietrzu i nie znoszą wszystkiego, co jeździ na benzynie. Może się okazać, że widzieli taczkę.

Coś zachrobotło w słuchawce, połączenie odfrunęło z wiatrem. Nyberg stał przy pomocy i pocierał spuchnięty policzek.

- Jak leci? - spytał zachęcająco Wallander.

- Czekam na nurków. - Bardzo cię boli?

- To ząb mądrości.

- Wyrwij go.

- Wyrwę. Ale najpierw chcę tu nurków.

- Czy na pomoście jest krew?

- Najprawdopodobniej. Najpóźniej dzisiaj wieczorem dowiesz się, czy płynęła kiedyś w ciele Fredmana.

Wallander zostawił Nyberga i poinformował innych, że jedzie do Helsingborga. Idąc do samochodu, coś sobie przypomniał. Wrócił.

- Louise Fredman - zwrócił się do Svedberga. - Czy Per Akeson miał dla nas coś więcej?

Svedberg nie wiedział i obiecał porozmawiać z Akesonem. Wallander skręcił przy Charlottenlundzie. Pomyślał, że morderca starannie wybrał miejsce zamordowania Fredmana. Z najbliższego domu nie można było usłyszeć krzyków ofiary. Dojechał do E65 i skręcił na Malmö. Wiatr miotał samochodem. Niebo ciągle było bezchmurne. Pomyślał o rozmowie nad mapą. Wiele przemawiało za tym, że sprawca mieszka w Malmö. A w każdym razie nie w Ystadzie. Tylko dlaczego zadał sobie tyle trudu, wpychając Bjorna Fredmana do wykopu przy stacji kolejowej? Czy nie jest tak, jak powiedział Ekholm, że on rzuca wyzwanie policji? Kiedy skręcił na Sturup, pomyślał, że mógłby pojechać na lotnisko. Ale zrezygnował. Co by załatwił? Ważniejsza była rozmowa w Helsingborgu. Skręcił na Lund i zastanawiał się, jaką kobietę odszukał Sjósten.

Nazywała się Elisabeth Carlen. Była czwarta, kiedy weszła do gabinetu

inspektora Waldemara Sjöstenawhelsingborskiej komendzie. Miała powyżej trzydziestki. Wallander podał jej rękę i pomyślał, że przypomina mu panią pastor, którą tydzień temu poznał w Smedstorpie. Może dlatego, że była ubrana na czarno i mocno umalowana? Poprosił, żeby usiadła. Sjösten trafił w dziesiątkę, opisując ją jako szalenie atrakcyjną z powodu chłodnego, niechętnego światu spojrzenia. Wallander odniósł wrażenie, że chciała stanowić wyzwanie dla wszystkich mężczyzn, którzy znajdą się w jej pobliżu. Nigdy przedtem nie widział takiego spojrzenia. Była w nim pogarda i ciekawość. Kiedy zapalała papierosa, powtórzył w myślach jej życiorys. Sjösten był zwięzły i dokładny.

- Elisabeth Carlen jest kurwą - powiedział. - Odkąd skończyła dwadzieścia lat, nikiem innym bodaj nie była. Jest po podstawówce, jakiś czas pracowała jako kelnerka na promie kursującym po Sundzie. Potem jej się znudziło i próbowała otworzyć z przyjaciółką sklep, ale się nie udało. Zainwestowała pożyczone pieniądze, które podżyrowali jej rodzice. Doszło między nimi do konfliktu i zaczęła wieść wędrowne życie. Najpierw Kopenhaga, potem Amsterdam. Kiedy miała siedemnaście lat, jeździła tam jako kurierka po amfetaminę. Sama też pewnie brała, ale potrafiła to kontrolować. Tak się z nią zetknąłem po raz pierwszy. Potem na kilka lat zniknęła, nic, czarna dziura, by się nagle objawić w Malmö w chytrze zakamuflowanej sieci burdeli.

W tym miejscu Wallander mu przerwał.

- To ciągle są burdele? - spytał zdziwiony.

- Kurewskie domy - poprawił się Sjösten. - Jak go zwał, tak go zwał, ale są. Jasne, że są. Nie macie tego w Ystadzie? Spokojnie, będą.

Wallander o nic więcej już nie spytał.

- Naturalnie nie chodziła po ulicy - podjął Sjösten. - Zainstalowała się w domu. Zapewniła sobie grono ekskluzywnych klientów. Najwyraźniej miała w sobie coś pociągającego, dzięki czemu jej wartość rynkowa sięgnęła szczytów. Nie ogłaszała się w pornusach. Spytaj ją, co w niej takiego szczególnego. To mogłoby być ciekawe. W późniejszych latach jest widywana w kręgach, z którymi ma styczność Ake Liljegren. Bywała w restauracjach z niektórymi jego dyrektorami. Sztokholmska policja kilkakrotnie interesowała się mężczyznami, których akurat trzymała pod rękę. Tyle w skrócie o Elisabeth Carlen. Dosyć szczęśliwa szwedzka prostytutka.

- Dlaczego wybrałeś właśnie ją?

- Jest miła. Często z nią rozmawiałem, nie boi się. Jak jej mówię, że nie jest o

nic podejrzana, to mi wierzy. Myślę, że ma kurewski instynkt samozachowawczy. Przywiązuje wagę do pewnych spraw. Nie lubi policji. Dobrym sposobem pozbycia się nas jest dobry układ z takimi jak ty i ja.

Wallander zdjął kurtkę i przesunął papiery na biurku. Elisabeth Carlen paliła. Śledziła spojrzeniem każdy jego ruch. Wallander pomyślał o czujnym ptaku.

- Wiesz, że nie jesteś o nic podejrzana - zaczął.

- Ake Liljegren upiekł się w piekarniku - powiedziała. - Widziałam to urządzenie. Supernowoczesne. Ale nie ja je włączyłam.

- Nikt tak nie myśli. Potrzebuję informacji. Chcę namalować obraz. Na razie mam tylko ramę. Przydałaby się fotografia z przyjęcia u Liljegrena, w jego willi. Chciałbym poznać jego gości.

- Nie, wcale nie tego chcesz. Mam ci powiedzieć, kto go zabił. Nie mogę.

- Co pomyślałaś, kiedy się dowiedziałaś o jego śmierci?

- Nic nie myślałam. Roześmiałam się.

- Dlaczego? Śmierć raczej nie skłania do śmiechu. - Najwyraźniej nie wiesz, że on miał inne plany. Chciał być pochowany pod Madrytem. Skanska budowała mu mauzoleum według jego rysunków. Marmur z Włoch i tak dalej. A umarł w piekarniku. Myślę, że też by się śmiał.

- Wróćmy do przyjęć - powiedział Wallander. - Podobno były burzliwe.

- Były.

- W jakim sensie?

- W każdym.

- Mogłabyś być trochę dokładniejsza? Kilka razy głęboko zaciągnęła się papierosem. Myślała. Wallander cały czas czuł na sobie jej spojrzenie.

- Ake Liljegren lubił gromadzić ludzi, którzy w nadmiarze korzystali z uroków życia. Można by powiedzieć, że byli to ludzie nienasytzeni. Z apetytem na władzę, pieniądze i seks. Ake Liljegren miał opinię człowieka godnego zaufania. Zapewniał swoim gościom poczucie bezpieczeństwa. Żadnych ukrytych kamer, żadnych wtyczek. Nikt nigdy słowem nie wspomniał o przyjęciach. No i wiedział, jakie kobiety zapraszać.

- Takie jak ty?

- Takie jak ja.

- A poza tym?

Nie zrozumiała pytania.

- Jakie inne kobiety tam były?

- To zależało od życzeń.

- Jakich życzeń?

- Gości. Mężczyzn.

- Na przykład?

- Niektórzy życzyli sobie mojej obecności.

- To już wiem. A te inne?

- Nie wymienię żadnych nazwisk.

- Jakie one były? - Młode, bardzo młode, jasne, brązowe, czarne. Czasami starsze, czasami przy kości. Różnie.

- Znałaś je?

- Nie zawsze. Rzadko.

- Jak je załatwiał?

Zgasila papierosa, nie spuszczać z niego wzroku, i zanim odpowiedziała, zapaliła następnego.

- Jak taki człowiek, jak Ake Liljegren, dostawał to, czego chciał? Miał nieograniczone fundusze. Miał pomocników. Miał kontakty. Potrafił ściągnąć dziewczynę z Florydy. Wątpię, czy wiedziała, że trafiła do Szwecji. A zwłaszcza do Helsingborga.

- Mówisz, że miał pomocników. Kto to był?

- Jego kierowcy. Jego asystent. Często zatrudniał kamerdynerów. Rzecz jasna, Anglików. Ale oni się zmieniali.

- Jak się nazywali?

- Żadnych nazwisk.

- I tak się dowiemy.

- Na pewno. Ale nie ode mnie.

- Co by się stało, gdybyś podała kilka nazwisk?

- Mogłabym umrzeć - odpowiedziała ze spokojem. - Może nie z głową w piekarniku, ale w równie nieprzyjemny sposób.

Zastanawiał się. Uznał, że nie wyciągnie z Elisabeth Carlen żadnych nazwisk.

- Czy dużo gości to były osoby publiczne?

- Dużo.

- Politycy?

- Tak.

- Były minister sprawiedliwości Gustaf Wetterstedt?

- Powiedziała, żadnych nazwisk.

Zorientował się, że jednak przekazała mu wiadomość. Wiedziała, kim był Gustaf Wetterstedt. Ale nie uczestniczył w przyjęciach. - Biznesmeni?

- Tak.

- Handlarz obrazów Arne Carlman?

- Nazywał się prawie tak jak ja?

- Tak.

- Żadnych nazwisk. Jeszcze raz tego nie powtórzę. Po prostu wstanę i wyjdę. On też nie, pomyślał Wallander. Jej sygnały były wyraźne.

- Artyści? Tak zwane gwiazdy?

- Parę razy. Ale rzadko. Ake raczej im nie ufał. Prawdopodobnie słusznie.

- Mówiłaś o młodych dziewczętach. Czarne. Masz na myśli ciemnoskóre, nie brunetki, prawda?

- Tak.

- Czy spotkałaś kiedykolwiek dziewczynę o imieniu Dolores Maria?

- Nie.:

- Z Dominikany.

- Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- A Louise Fredman? Siedemnaście lat, Może mniej. Jasnowłosa.

- Nie.

Wallander skierował rozmowę na inne tory. Nie wydawała się zmęczona.

- Przyjęcia były burzliwe?

- Tak.

- Opowiedz.

- Chcesz szczegółów?

- Chętnie.

- Opisy nagich ciał?

- Niekoniecznie.

- To były orgie. Resztę możesz sobie dośpiewać - Mogę? Nie jestem pewien.

- Gdybym się rozebrała i położyła na twoim biurku, byłoby to dosyć zaskakujące, prawda? Mniej więcej o to chodziło.

- Nieoczekiwane sytuacje?

- Tak to jest, kiedy się spotykają ludzie nienasyчени.

- Nienasytzeni mężczyźni?

- Właśnie.

Wallander dokonał w myślach szybkiego podsumowania. Ciągłe skrobał powierzchnię.

- Mam propozycję - powiedział. - I jeszcze jedno pytanie.

- Ciągłe tu siedzę.

- Proponuję, żebyśmy się jeszcze raz spotkali. Za kilka dni.

Pokiwała głową twierdząco. Wallander miał niemiłe uczucie, że zawiera coś w rodzaju umowy. Mgliście przypomniał sobie okropny pobyt w Indiach Zachodnich parę lat temu.

- Moje pytanie jest proste - podjął. - Wspomniałaś o kierowcach Liljegrena i zmieniających się kamerdynerach. Ale asystenta miał tylko jednego. Zgadza się?

Dostrzegł lekką zmianę na jej twarzy. Zrozumiała, że się wygadała, chociaż nie padło żadne nazwisko.

- Ta rozmowa zostanie wyłącznie w zakamarkach mojej pamięci - zapewnił. - No więc, dobrze usłyszałem czy źle?

- Źle. Oczywiście miał więcej niż jednego asystenta. A więc dobrze, pomyślał Wallander.

- Na ten raz wystarczy - powiedział i wstał.

- Pójdę, kiedy skończę palić - odparła.

Po raz pierwszy podczas rozmowy spuściła z niego wzrok. Otworzył drzwi na korytarz. Sjósten siedział na krześle i czytał jakąś żeglarską gazetę. Wallander skinął głową. Zgasła papierosa, wstała i podała mu rękę. Sjósten odprowadził ją do wyjścia i wrócił. Wallander stał przy oknie, patrząc, jak Elisabeth Carlen wsiada do samochodu. - Dobrze poszło? - spytał Sjósten.

- Może. Zgodziła się na ponowne spotkanie.

- Co powiedziała?

- Właściwie nic.

- I to według ciebie dobrze?

- Interesuje mnie to, czego nie wie - przyznał Wallander. - Chcę mieć całodobową obserwację domu Liljegrena. I zarządz obserwację Elisabeth Carlen. Prędzej czy później wpłynie ktoś, z kim warto będzie porozmawiać.

- To mało przekonujący argument - zauważył Sjósten.

- Ja tu decyduję - przyjaźnie powiedział Wallander. - Jednogłośnie wybrano

mnie na szefa.

- Cieszę się, że nie mnie. Zostaniesz na noc?

- Nie, wracam do domu. Zeszli na parter.

- Czytałeś o dziewczynie, która się podpaliła na polu rzepaku? - spytał Wallander, zanim się rozstali.

- Czytałem. Okropna historia.

- Zabrała się stopem z Helsingborga. Bała się. Zastanawiam się, czy miała z tym coś wspólnego. Mimo że wydaje się to całkowicie niedorzeczne.

- Chodziły słuchy o Liljegrenie i handlu dziewczętami - powiedział Sjösten. - Wśród tysiąca innych pogłosek.

Wallander przyjrzał mu się z uwagą.

- Handel dziewczętami?

- Chodziły słuchy, że Szwecja jest krajem tranzytowym w przewozie biednych dziewcząt z Ameryki Południowej do burdeli w Europie. Do byłych państw bloku wschodniego. Znaleźliśmy kilka takich dziewcząt, którym udało się uciec. Nigdy jednak nie złapaliśmy handlarzy i nie mogliśmy nic udowodnić. Ale co myślimy, to nasze.

Wallander wpatrywał się w Sjöstena. - I mówisz mi o tym dopiero teraz? Sjösten pokręcił głową.

- Bo wcześniej o to nie pytałeś.

Wallander stał bez ruchu. Wrócił obraz płonącej dziewczyny.

- Zmieniłem zdanie - powiedział. - Zostaję tutaj na noc. Była piąta. Nadal środa, 6 lipca. Pojechali windą do gabinetu Sjöstena. Tuż po siódmej w piękny letni wieczór Wallander i Sjösten popłynęli promem do Helsingóru, gdzie zjedli kolację w znanej Sjöstenowi restauracji. Jakby za milczącym porozumieniem Sjösten bawił Wallandera opowieściami o łódce, o swoich licznych małżeństwach i jeszcze liczniejszych dzieciach. Dopiero przy kawie wrócili do śledztwa. Wallander z przyjemnością słuchał porywających gawęd Sjöstena. Był bardzo zmęczony. Po dobrej kolacji poczuł się sennie. Ale głowa mu odpoczęła. Sjösten wypił kilka sznapsów i piwo, Wallander trzymał się wody mineralnej. Przy kawie zamienili się rolami. Sjösten słuchał, a Wallander mówił. O wszystkim, co się wydarzyło. Po raz pierwszy rozpoczął od dziewczyny z pola rzepaku, by przejść do serii morderstw, która być może jeszcze się nie zakończyła. Mówiąc do Sójstena, był jednocześnie zmuszony głośno myśleć. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wyciągnął błędne wnioski albo po

prostu źle myślał, uznając związek między śmiercią Dolores Marii Santany a późniejszymi wydarzeniami za całkowicie niedorzeczny. Sjosten był uważnym słuchaczem, natychmiast mu przerywał, kiedy mówił niejasno. Potem będzie myślał o wieczorze w Helsingørze jako tym, w którym śledztwo przyjęło inny obrót. Potwierdził się wzór, który mu się objawił na ławce morskiej służby ratowniczej. Wypełniły się luki, dziury się załatały, pytania doczekały się odpowiedzi albo przynajmniej zostały wyraźniej i przejrzyściej sformułowane. Przemierzając krajobraz śledztwa, po raz pierwszy widział spójny obraz. Jednocześnie nękało go poczucie winy, że nie zobaczył tego dużo wcześniej, tylko z niepojętym uporem szedł fałszywym tropem. Zadawał sobie pytanie, czy któregoś z morderstw, przynajmniej ostatniego, nie można było uniknąć. Nie znał odpowiedzi, mógł tylko pytać, i wiedział, że to pytanie długo nie da mu spokoju i być może nigdy nie otrzyma satysfakcjonującej go odpowiedzi.

Pozostawał jedynie problem sprawcy. Nie było ani sprawcy, ani bezpośrednich tropów, które by prowadziły w określonym kierunku. Nie mieli żadnego podejrzanego, nie dotarli też do grupy ludzi, gdzie mogliby zarzucić sieci i liczyć na udany połów.

Po wyjściu Elisabeth Carlen, kiedy Sjosten mimochodem wspomniał o Szwecji, a dokładniej o Helsingborgu, jako punkcie tranzytowym w handlu dziewczętami z Ameryki Południowej, Wallander natychmiast zareagował. Wrócili do gabinetu, gdzie mimo otwartego okna nadal unosił się zapach papierosów Elisabeth Carlen. Sjostena zdziwił ten jego nagły przypływ energii. Wallander usiadł na krześle Sjostena i opowiedział mu o Dolores Marii Santanie, konkludując, że prawdopodobnie uciekała z Helsingborga. Sjosten zaczął rozumieć jego podniecenie.

- Do Gustafa Wetterstedta raz w tygodniu przyjeżdżał czarny samochód - powiedział Wallander. - Co przypadkiem odkryła sprzątaczką. Jak wiesz, miała wrażenie, że był to ten sam samochód, który obejrzała w garażu Liljegrena. Jaki wyciągnąłbyś z tego wniosek?

- Żadnego. Jest dużo czarnych mercedesów z barwionymi szybami.

- Połącz to z pogłoskami o Liljegrenie. Z pogłoskami o handlu dziewczętami. Dlaczego miałyby się ograniczać do organizowania przyjęć u siebie? Dlaczego nie mogłyby na przykład dostarczać panienek wszystkim chętnym?

- Mógłby - przyznał Sjosten. - Tyle że to bardzo gołosłowne.

- Chcę wiedzieć, czy ten samochód wyjeżdżał z willi Liljegrena w czwartki i wracał w piątki.

- A jak się tego chcesz dowiedzieć?

- Sąsiedzi mogli coś widzieć. Kto prowadził samochód? Wokół Liljegrena jest jakaś dziwna pustka. Zatrudniał ludzi. Miał asystenta. Gdzie oni się podziiali?

- Pracujemy nad tym.

- Ustalmy priorytety. Motocykl jest ważny. I asystent Liljegrena. I samochód w czwartki. Zaczniij od tego. Podziel ludzi, jakich masz, i niech się tym zajmą.

Sjósten poszedł wydać stosowne dyspozycje. Potwierdził, że Elisabeth Carlen jest pod obserwacją.

- Co ona robi? - spytał Wallander.

- Jest u siebie. Sama.

Wallander zadzwonił do Pera Akesona.

- Nie uda mi się wykluczyć Louise Fredman - powiedział.

- Muszę z nią porozmawiać.

- Wobec tego przedstaw żelazne powody - odparł Akeson.

- Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

- Wiem, że to może być ważne.

- Musisz mieć konkrety, Kurt. - Zawsze jest jakaś droga, którą można obejść te wszystkie biurokratyczne komplikacje,

- Czego się właściwie po niej spodziewasz?

- Na przykład chcę wiedzieć, czy ma pocięte stopy.

- Boże. Dlaczego?

Wallander podarował sobie odpowiedź.

- Czy jej matka nie mogłaby mi dać pozwolenia? - spytał. - Wdowa po Fredmanie.

- Właśnie o tym myślę. To jedyne wyjście.

- Wobec tego jutro jadę do Malmö. Potrzebny mi jakiś papier od ciebie?

- Jeśli dostaniesz pozwolenie, nie. Ale nie możesz jej zmuszać.

- Czy ja mam zwyczaj grozić ludziom? - zdziwił się Wallander. - Nie wiedziałem.

- Ja cię tylko informuję, nie poza tym.

Kiedy zakończył rozmowę z Perem Akesonem, Sjósten zaproponował przejażdżkę po Sundzie i wspólną kolację, gdzie mogliby pogawędzić w ciszy i spokoju. Wallander nie miał nic przeciwko temu. Na telefon do Bajby było za wcześnie. To znaczy, nie za wcześnie, żeby dzwonić, ale za wcześnie dla niego. Nie był

przygotowany. Pomyślał, że może Sjósten ze swoimi doświadczeniami małżeńskimi poradzi mu, jak wyjaśnić Bajbie, że muszą zrezygnować ze wspólnej podróży, na którą się cieszyła, albo przesunąć ją na czas nieokreślony. Popłynęli przez Sund, Wallander nie zmartwiłby się, gdyby to mogło trwać dłużej, a potem zjedli kolację, którą fundował Sjósten. Około wpół do dziesiątej ruszyli przez miasto do promu.

Sjósten zatrzymał się przed jednym z domów.

- Mieszka tu pewien człowiek, który troszczy się o Szwedów - powiedział z uśmiechem. Wallander dowiedział się z tabliczki przy bramie, że przyjmuje tutaj lekarz.

- Przepisuje zabronione w Szwecji środki odchudzające - kontynuował Sjósten.

- Codziennie ustawiają się tu kolejki Szwedów z nadwagą.

- A dokąd jeżdżą Duńczycy? - spytał Wallander w drodze do terminalu promowego.

Sjósten nie wiedział.

Wjeżdżali schodami do hali odjazdów, kiedy zadzwoniła komórka Sjóstena.

- Larsson trafił na żyłę złota - oznajmił Sjósten, zakończywszy rozmowę. - Sąsiad Liljegrena widział to i owo.

- Co widział?

- Czarne samochody, motocykle. Porozmawiamy z nim jutro.

- Porozmawiamy z nim dzisiaj. W Helsingborgu będziemy o dziesiątej.

Sjósten skinął głową, po czym zadzwonił do komendy i poprosił Larssona, żeby na nich czekał przed terminalem.

Czekał na nich młodszy policjant, który przypominał Wallanderowi Martinssona. Wsiedli do jego samochodu i pojechali do Togaborga. Na wstecznym lusterku wisiał proporzyczek miejscowego zrzeszenia, sportowego.

- Nazywa się Lennart Heineman i był radcą ambasady - zaczął Larsson.

Mówił z tak silnym skańskim akcentem, że Wallander musiał się niesamowicie skoncentrować, żeby go zrozumieć.

- Ma blisko osiemdziesiąt lat. Ale jest bardzo młodzieńczy. Jego żona chyba gdzieś wyjechała. Z ogrodu Heinemanów widać po skosie bramę wjazdową do ogrodu Liljegrena. Zauważył i zapamiętał różne rzeczy.

- Wie, że przyjdziemy? - spytał Sjósten.

- Tak, dzwoniłem. Ucieszył się, rzadko się kładzie przed trzecią w nocy. Podobno pisze pracę krytyczną na temat administrowania szwedzkich placówek

dyplomatycznych. Cokolwiek to znaczy.

Wallander przypomniał sobie z przykrością natrętną kobietę z ministerstwa spraw zagranicznych. Kilka lat temu przyjechała do Ystadu w związku z prowadzonym przez nich śledztwem, które doprowadziło między innymi do tego, że poznał Bajbę. Usiłował sobie przypomnieć jej nazwisko, ale bez powodzenia. Coś z różami, tyle pamiętał.

Zahamowali przed willą Heinemana. Po drugiej stronie ulicy, przed domem Liljegrena, stał radiowóz. Do furtki podszedł rosły siwy mężczyzna. Miał mocny uścisk dłoni. Wallander od razu nabrał do niego zaufania. Duża willa, do której ich zaprosił, była chyba zbudowana w tym samym czasie co willa Liljegrena. Mimo to zasadniczo się różniły. Tutaj zewsząd emanowała energia właściciela. Poprosił, żeby usiedli, i spytał, czego się napiją. Wallander miał uczucie, że starszy pan przywykł przyjmować obcych ludzi. Podziękowali.

- Straszne rzeczy się dzieją - westchnął Heineman. Sjósten ledwie zauważalnie dał znak Wallanderowi, żeby poprowadził rozmowę.

- Dlatego nie mogliśmy czekać z naszą wizytą do jutra - powiedział Wallander.

- A po co czekać? - zdziwił się Heineman. - Nigdy nie byłem w stanie pojąć, dlaczego Szwedzi tak absurdalnie wcześniej chodzą spać. Kontynentalny obyczaj sjesty jest bez porównania zdrowszy. Gdybym się kładł wcześniej, już dawno bym nie żył. Wallandera zastanowiły mocne słowa krytyki pod adresem wcześniej zasypiających Szwedów.

- Interesują nas wszystkie pana spostrzeżenia - powiedział. - O tym, co się działo w willi Liljegrena. Ale parę rzeczy interesuje nas szczególnie. Zacznijmy od czarnego mercedesa Liljegrena.

- Miał ich co najmniej dwa.

Wallandera zaskoczyła ta odpowiedź. W pojemnym garażu Liljegrena zmieściłyby się nawet trzy samochody, zawsze jednak myślał tylko o jednym.

- Co pana skłania do takiej opinii?

- Proponuję przejść na „ty” - powiedział Heineman. - To niedorzeczne „panowanie” obowiązuje bodaj wyłącznie w zwietrzałych kręgach ministerstwa spraw zagranicznych.

- Dwa samochody - przypomniał Wallander. - Dlaczego tak myślisz?

- Nie tylko myślę, ja to wiem. Dwa samochody wyjeżdżały jednocześnie. Albo w tym samym czasie wracały. Kiedy Liljegrena nie było, stały tutaj. Z mojego piętra

widzę kawałek jego ogrodu. Tam właśnie stały.

To znaczy, że jednego brakuje, pomyślał Wallander. Gdzie jest teraz?

Sjósten wyjął notatnik.

- Chciałbym zapytać o czwartki - kontynuował Wallander. - Czy pamiętasz, żeby jeden albo dwa samochody wyjeżdżały z willi Liljegrena późnym popołudniem albo wieczorem w każdy czwartek i wracały tego samego dnia w nocy albo następnego dnia rano?

- Nie mam pamięci do dat - przyznał Heineman. - Ale rzeczywiście jeden samochód wyjeżdżał stąd wieczorem i pojawiał się dopiero następnego dnia rano.

- Ustalenie dnia tygodnia jest dla nas bardzo ważne. - Nie hołdujemy z żoną tej idiotycznej tradycji jedzenia grochówki w czwartki - powiedział Heineman.

Wallander czekał, aż Heineman sobie przypomni. Larsson patrzył w sufit, Sjósten uderzał notatnikiem w kolano.

- Możliwe - zaczął nagle Heineman - możliwe, że uda mi się skompilować odpowiedź. Pamiętam, że w zeszłym roku, kiedy była u nas siostra żony, samochód wyjechał dokądś, jak zwykle. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to wiem. Na pewno się jednak nie mylę. Szwagierka mieszka w Bonn i bardzo rzadko nas odwiedza. Dlatego mi to utkwilo w pamięci.

- A dlaczego myślisz, że to był czwartek? - spytał Wallander. - Zapisalesz w kalendarzu?

- Kalendarze zawsze były mi obce - odparł Heineman z niesmakiem. - Podczas swojej czterdziestoletniej pracy w ministerstwie ani razu nie zapisałem terminu żadnego spotkania. I nigdy o żadnym nie zapomniałem. Zdarzało się to natomiast dosyć często tym, którzy się nie rozstawali z kalendarzami.

- Dlaczego czwartek? - powtórzył Wallander.

- Nie wiem, czy to był czwartek. W każdym razie były wtedy imieniny szwagierki. Tego jestem pewien. Ma na imię Frida.

- Jaki miesiąc? - spytał Wallander.

- Luty albo marzec.

Wallander poklepał się po kieszeni kurtki. W kieszonkowym kalendarzu nie było jednak poprzedniego roku. Sjósten pokręcił głową. Larsson też nie miał kalendarza.

- Czy nie masz przypadkiem starego kalendarza? - spytał Wallander.

- Możliwe, że na strychu poniewiera się jakiś kalendarz adwentowy wnuków -

odpowiedział Heineman. - Żona ma zły nawyk przechowywania śmieci. Ja wszystko wyrzucam. To też doświadczenia z ministerstwa. Pierwszego dnia każdego miesiąca wyrzucałem wszystko, co nie było już potrzebne, z poprzedniego miesiąca. Woląłem wyrzucić raczej za dużo niż za mało. I nigdy nie musiałem tego żałować. Wallander skinął na Larssona.

- Dowiedz się, kiedy są imieniny Fridy. I jaki to był dzień tygodnia w dziewięćdziesiątym trzecim.

- A kto to może wiedzieć? - spytał Larsson.

- Do cholery - zdenerwował się Sjösten. - Zadzwoń do komendy. Masz pięć minut na zdobycie odpowiedzi.

- Telefon jest w przedpokoju - poinformował Heineman. Larsson wyszedł.

- Przyznam, że cenię jasne wydawanie rozkazów - ucieszył się Heineman. - Nawet ta umiejętność wydaje się w ostatnich latach zanikać.

Wallander musiał poczekać na odpowiedź. Dla zabicia czasu Sjösten spytał Heinemana o zagraniczne placówki. Okazało się, że starszy pan był w niejedynej.

- Ostatnio się poprawiło - stwierdził. - Ale kiedy zaczynałem pracę, osoby, które miały reprezentować nasz kraj za granicą, były na żenująco niskim poziomie.

Larsson wrócił po dziesięciu minutach. W rękę trzymał kartkę.

- Frida ma imieniny osiemnastego lutego - powiedział. - Osiemnasty lutego w dziewięćdziesiątym trzecim wypadł w czwartek.

- Tak myślałem - przyznał Wallander.

Na dobrą sprawę, pomyślał, praca policjanta polega na niepoddawaniu się, dopóki decydujące szczegóły nie znajdą potwierdzenia na kawałku papieru.

Wszystkie inne pytania, które chciał zadać Heinemanowi, mogły poczekać. Żeby zachować pewne pozory, zapytał o ewentualne spostrzeżenia dotyczące, jak się niejasno wyraził, kursowania dziewcząt. - Owszem, odbywały się przyjęcia - powiedział Heineman.

- Z piętra trudno było tego i owego nie zauważyć. Naturalnie były tam kobiety.

- Czy kiedykolwiek spotkałeś Ake Liljegrefla?

- Tak. Jeden raz, w Madrycie. To były ostatnie lata mojej służby w ministerstwie. Zabiegał o spotkanie, żeby uzyskać doświadczenia do kilku dużych hiszpańskich firm budowlanych. Rzecz jasna, świetnie wiedzieliśmy, kim jest Liljegren. Szemrane afery były już wówczas głośne. Potraktowaliśmy go z całym szacunkiem. Nie był to miły człowiek.

- Dlaczego?

- Po prostu był niesympatyczny - odpowiedział po namyśle. - Traktował ludzi z jawną pogardą.

Wallander dał do zrozumienia, że nie zamierza przedłużyć rozmowy.

- Moi koledzy jeszcze się z tobą skontaktują - powiedział i wstał.

Heineman odprowadził ich do furtki. Przed willą Liljegrena ciągle stał radiowóz. W willi było ciemno. Wallander pożegnał się z Heinemanem i przeszedł przez ulicę. Policjant wysiadł z samochodu i zasalutował. Wallander podniósł rękę, co mogło oznaczać odpowiedź na przesadne powitanie.

- Działo się coś? - spytał.

- Nie, spokój. Zatrzymało się trochę ciekawskich, to wszystko.

Larsson podrzucił ich na komendę i pojechał do domu. Wallander odbył kilka rozmów telefonicznych, a Sjösten zajął się lekturą swojego żeglarskiego pisma. W pierwszej kolejności zadzwonił do Hanssona. Ludvigsson i Hamren z centrali przyjechali. Zakwaterował ich w Hotelu Sekelgarden.

- Wyglądają na porządných ludzi - powiedział Hansson.

- Wcale nie są nadęci. - A czemu mieliby być? - Wiadomo, jacy są sztokholmczycy. Nie pamiętasz tej pani prokurator, która zastępowała Pera Akesona? Jak ona się nazywała? Bodin?

- Brolin - poprawił Wallander. - Nie, nie pamiętam.

Pamiętał bardzo dobrze. Ogarnęło go niemiłe uczucie, kiedy sobie przypomniał, jak straciwszy rozeznanie, lekko podpity, rzucił się na nią. Najbardziej się tego w swoim życiu wstydził. Nic nie pomogło, że później spędził z Anette Brolin jedną noc w Kopenhadze w dużo przyjemniejszych okolicznościach.

- Jutro będą rozpracowywać Sturup - poinformował Hansson.

Wallander opowiedział w skrócie o rozmowie z Heinemanem.

- No to coś mamy - skwitował Hansson. - Myślisz, że Liljegren raz w tygodniu podsylał Wetterstedtowi prostytutki?

- Tak.

- Czy mogło być tak samo z Carlmanem?

- Może nie całkiem. Ale muszę wierzyć, że kręgi Carlmana i Liljegrena też się stykają. Tylko jeszcze nie wiemy, gdzie.

- A Björn Fredman?

- On jest ciągle wielkim wyjątkiem. Nigdzie nie pasuje. Zwłaszcza do

towarzystwa Liljegrena. Chyba że był jego torpedą. Jutro rano jadę do Malmö porozmawiać z rodziną. Przede wszystkim chciałbym się spotkać z córką.

- Per Akesson mówił mi o waszej rozmowie. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że rezultat może być równie negatywny jak w wypadku Eriki Carlman?

- Oczywiście.

- Jeszcze dzisiaj skontaktuję się z Ann-Britt i Svedbergiem - powiedział Hansson. - Mimo wszystko masz dobre wiadomości. - Nie zapomnij o Ludwigssonie i Hamrenie. Oni też są w zespole.

Odłożył słuchawkę. Sjösten poszedł po kawę. Wallander wykręcił numer do siebie. Ku jego zdziwieniu Linda od razu odebrała.

- Właśnie przyszedłam - powiedziała. - Gdzie jesteś?

- W Helsingborgu. Zostanę na noc.

- Coś się stało?

- Jestem w Helsingborgu i byłem na kolacji.

- Nie to miałam na myśli.

- Pracujemy.

- My też. Znowu zagrałyśmy dzisiaj całość. I znowu miałyśmy publiczność.

- Kto to był?

- Chłopiec. Zapytał, czy może popatrzeć. Słyszał, że pracujemy nad sztuką. Pozwoliłyśmy mu popatrzeć. Przypuszczalnie dowiedział się od ludzi z kiosku z kiełbaskami.

- Nie znałyście go?

- Chyba był w mieście turystycznie. Odprowadził mnie do domu.

Wallander poczuł ukłucie zazdrości.

- Jest teraz w mieszkaniu?

- Podeszedł ze mną do Mariagatan. Pięć minut spacerem. Potem pojechał do domu.

- Tak tylko pytam.

- Ma dziwne imię. Hoover. Ale był bardzo miły. Chyba podobało mu się nasze przedstawienie. Jeśli będzie miał czas, przyjdzie jutro.

- Na pewno.

Sjösten wszedł do pokoju z dwoma kubkami kawy. Wallander spytał o jego telefon domowy i podał go Lindzie. - Moja córka - wyjaśnił, odłożywszy słuchawkę. - W odróżnieniu od ciebie mam tylko jedno dziecko. W sobotę jedzie do Yisby na kurs

teatralny.

- Dzieci przydają życiu trochę sensu - powiedział Sjósten, wręczając Wallanderowi kubek kawy.

Jeszcze raz omówili przebieg rozmowy z Lennartem Heinemanem. Sjósten nie uważał, żeby fakt podsyłania prostytutek Wetterstedtowi stanowił duży krok naprzód w schwytaniu mordercy.

- Zbierz jutro wszystkie materiały o tych dziewczętach, które lądują w Helsingborgu jako punkcie tranzytowym. Dlaczego właśnie tutaj? Jak tutaj trafiły? Musi być jakieś wytłumaczenie. Poza tym nie rozumiem tej pustki wokół Liljegrena.

- Historia z dziewczętami to raczej tylko spekulacje - przyznał Sjósten. - Nigdy nie prowadziliśmy w tej sprawie żadnego śledztwa. Przy jakiejś okazji Birgersson rozmawiał o tym z prokuratorem. Ale prokurator odmówił wszczęcia dochodzenia. Powiedział, że ma ważniejsze rzeczy na głowie. I naturalnie miał rację.

- Mimo wszystko chcę, żebyś to przejrzał i jak najszybciej wysłał mi faksem streszczenie.

Dochodziło wpół do dwunastej, kiedy jechali do mieszkania Sjóstena. Wallander pomyślał, że musi zadzwonić do Baj-by. Nie ma odwrotu. Niebawem czwartek. Pewnie już się pakuje. Nie mógł dłużej zwlekać.

- Muszę zadzwonić na Łotwę - powiedział. - Tylko parę minut.

Sjósten pokazał mu, gdzie stoi telefon. Dopiero kiedy poszedł do łazienki, Wallander chwycił słuchawkę. Po pierwszych sygnałach czym prędzej ją odłożył. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Brakowało mu odwagi. Pomyślał, że zaczeka z tym do jutra, do wieczora, i wtedy skłamię, że wszystko zważyło się całkiem nieoczekiwanie i chciałby, żeby przyjechała do Ystadu. Uznał to za najlepsze rozwiązanie. Przynajmniej dla niego.

Rozmawiali jeszcze pół godziny przy kieliszku whisky. Sjósten zadzwonił, żeby się upewnić, czy Elisabeth Carlen nadal jest pod obserwacją.

- Śpi - powiedział. - My też powinniśmy to zrobić.

Wallander pościelił sobie w pokoju, gdzie na ścianach wisiały dziecięce rysunki. Ledwie zgasił światło, zaraz zasnął.

Obudził się mokry od potu. Pewnie miał koszmarny sen, chociaż nic nie pamiętał. Spojrzał na zegarek. Wpół do trzeciej. Spał zaledwie dwie godziny. Zastanawiał się, dlaczego się obudził. Przewrócił się na bok, ale sen nie przychodził. Nie wiedzieć czemu, ogarnęło go uczucie paniki. Zostawił Linde w Ystadzie samą. Nie

może być sama. Musi wracać. Nie namyślając się dłużej, wstał, ubrał się i naskrobał kilka słów do Sjóstena. Za kwadrans trzecia siedział w samochodzie. Pomyślał, że powinien być do niej zadzwonić. I co by powiedział? Tylko by ją wystraszył. Jechał w jasną letnią noc. Nie rozumiał powodów paniki. Nie opuszczała go.

Tuż przed czwartą zaparkował na Mariagatan. Ostrożnie wszedł do mieszkania. Lęk nie wiadomo przed czym ciągle w nim był. Dopiero kiedy otworzył drzwi do jej pokoju, zobaczył na poduszce jej głowę i usłyszał oddech, uspokoił się.

Usiadł na kanapie. W miejsce lęku pojawiło się zażenowanie. Pokręcił głową, napisał do niej kartkę, wyjaśniając, że zmieniły się plany i wrócił w nocy. Zostawił kartkę na ławie i poszedł do sypialni. Zanim się położył, nastawił budzik na piątą. Wiedział, że Sjósten wstaje bardzo wcześnie, żeby kilka porannych godzin poświęcić łódce. Nie wiedział, jak mu wytłumaczy ten nagły wyjazd.

Leżał w łóżku i zastanawiał się, dlaczego owładnęła nim panika. Ale nie znalazł odpowiedzi. Długo nie mógł zasnąć. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, wiedział, że to nikt inny tylko Bajba. Co dziwne, w ogóle się nie zaniepokoił, mimo że bardzo trudno będzie mu jej wytłumaczyć, dlaczego nic nie powiedział o przesunięciu ich podróży. Usiadł na łóżku. Naturalnie jej nie było. To dzwonił budzik, wskazówki rozdziawiały się jak paszcza, pokazując trzy po piątej. Lekko oprzytomniał, wcisnął guzik budzenia i siedział na łóżku. Pomalu wracał do rzeczywistości. Miasto jeszcze milczało. Do sypialni i do jego świadomości docierał tylko śpiew ptaków. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy śnił o Bajbie, czy nie. Ta nagła ucieczka z pokoju dzieciennego w mieszkaniu Sjóstena wydawała mu się niesamowicie żenującym odstępstwem od jego zazwyczaj przemyślanych zachowań. Głośno ziewnął, wstał i poszedł do kuchni. Linda spała. Zostawiła mu wiadomość na kuchennym stole. Obcuje z własną córką za pośrednictwem niezliczonej ilości kartek, pomyślał. Przeczytał, co napisała, i uznał, że sen o Bajbie i przeświadczenie o tym, że stoi pod jego drzwiami, był ostrzeżeniem. Kiedy wrócił do domu w nocy, nie zauważył kartki. Dzwoniła Bajba i poprosiła Linde, żeby się do niej natychmiast odezwał. W sformułowaniach Lindy domyślał się irytacji Bajby. Ledwie zauważalnej, ale jednak. Nie mógł do niej teraz zadzwonić. Zrobi to późnym wieczorem albo następnego dnia. Albo wyręczy się Martinssonem. Niech przekaże jej tę pożałowania godną wiadomość, że mężczyzna, z którym zamierzała jechać do Skagenu i który za dwa dni miał na nią czekać na Kastrupie, ściga szaleńca zarabującego bliźnich siekierą zdzierającego skalpy. To była prawda i nieprawda. Kłamstwo z parą sztucznych, przyklejonych skrzydeł, przypominające, rzecz jasna,

prawdę. Nic nie mogło jednak usprawiedliwić jego tchórzostwa - a może on się boi Bajby? - że nie zachowuje się, jak powinien, i sam nie dzwoni.

O wpół do szóstej podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Sjóstena i mętnie mu wyjaśnić, dlaczego zerwał się w nocy. Co miał mówić? Mógłby powiedzieć prawdę, że ogarnął go nagły niepokój o córkę, wszyscy rodzice znają to uczucie i nikt nie potrafi zrozumieć jego przyczyn. Ale kiedy Sjósten odebrał, powiedział coś całkiem innego. Miał tego dnia rano umówione spotkanie z ojcem, o którym zapomniał. Sjósten, nawet gdyby chciał, nigdy tego nie sprawdzi. To się nie wyda nawet przez przypadek, bo drogi Sjóstena i jego ojca najprawdopodobniej nigdy się nie skrzyżują. Uzgodnili, że się skontaktują później, kiedy Wallander będzie w Malmö.

Ulżyło mu. Nie po raz pierwszy zaczynał dzień od małych kłamstw, wykrętów, oszukiwania samego siebie. Wziął prysznic, wypił kawę, napisał kartkę do Lindy i tuż po wpół do siódmej wyszedł z mieszkania. W komendzie było bardzo spokojnie. Wallander najbardziej lubił tę wczesną samotną godzinę, kiedy nocna zmiana jechała do domu, a dzienna jeszcze się nie zjawiała. Życie nabierało wówczas innego znaczenia. Nie wiedział, dlaczego tak jest, pamiętał jednak, że uczucie to towarzyszyło mu od blisko dwudziestu lat. Rydberg, jego stary mentor i przyjaciel, też je znał. „Każdy przeżywa krótkie, nadzwyczaj intymne, święte chwile”, powiedział przy którejś z nielicznych okazji, kiedy siedzieli u niego albo u Wallandera nad małą butelką whisky, za starannie zamkniętymi drzwiami. W komendzie nie piło się alkoholu. Ale może coś świętowali? Albo opłakiwali. Wallander nie przypominał sobie powodów. Bardzo mu brakowało tych rzadkich chwil zadumy i refleksji spędzanych z Rydbergiem. To były chwile przyjaźni, niepowtarzalnej zażyłości. Wallander usiadł przy biurku i przeglądał stos papierów. Jedna z notatek zawierała informację, że zwłoki Dolores Marii Santany spoczywają na tym samym cmentarzu, gdzie pochowano Rydberga. Wrócił do śledztwa, podwinął rękawy, jakby miał zamiar się bić z całym światem, i w zawrotnym tempie przeczytał kopie materiałów operacyjnych swoich kolegów. Nyberg opatrzył wyniki badań laboratoryjnych znakami zapytania i uwagami. Informacje od ludzi były bardzo nieliczne, co miało związek z porą urlopów. Tyren jest niesamowicie gorliwy, pomyślał Wallander, nie wiedząc, czy świadczyłoby to o jego dużej przydatności w terenie, czy o skłonnościach biurokratycznych. Czytał szybko, ale uważnie. Niczego wartościowego nie przeoczył. Za najważniejsze uznał potwierdzenie miejsca zabójstwa Bjórna Fredmana.

Odsunął góry papierów i odchylił się na krześle. Co ci mężczyźni mają ze sobą

wspólnego? - pomyślał. Fredman tu nie pasuje, ale należy do tej grupy. Były minister sprawiedliwości, handlarz obrazów, rewizor i złodziejaszek. Zginęli z ręki tego samego sprawcy, który na dokładkę zdziera skalpy. Znajdujemy ich w takiej kolejności, w jakiej zostali zabici. Wetterstedt, pierwszy, niedbale schowany, ale jednak. Carlman, drugi, ginie podczas przyjęcia we własnej altance. Björn Fredman, więziony, przetransportowany na odludny pomost, a potem ulokowany w środku Ystadu. Leży w wykopie, pod brezentem. Jak pomnik, który czeka na odsłonięcie. Wreszcie sprawca przenosi się do Helsingborga i zabija Ake Liljegrena. Prawie natychmiast ustalamy związek między Wetterstedtem i Liljegrenem. Teraz trzeba go znaleźć między pozostałymi. A kiedy do tego dojdziemy, będziemy mogli zadać pytanie: Kto mógł mieć powód, żeby ich zabić? I dlaczego skalpy? Kim jest samotny wojownik? Wallander długo myślał o Björnie Fredmanie i Ake Liljegrenie. Czegoś tutaj było więcej. Wywiezienie i kwas w wypadku Fredmana i głowa Liljegrena w piekarniku. Sprawcy nie wystarczyło ich zabić i wziąć skalpy. Dlaczego? Zrobił jeszcze jeden krok. Woda wokół niego była coraz głębsza, dno mniej bezpieczne. Łatwo się pośliznąć. Różnica między Fredmanem i Liljegrenem. Björn Fredman został potraktowany kwasem solnym, kiedy jeszcze żył. Liljegren został upieczony po śmierci. Znowu próbował sobie wyobrazić sprawcę. Szczupły, wysportowany, bosy, szalony. Jeśli poluje na złych ludzi, Björn Fredman musiał być najgorszy. Potem Liljegren. Carlman i Wetterstedt należeli mniej więcej do tej samej kategorii.

Wallander wstał i podszedł do okna. Coś go niepokoiło w tej kolejności. Björn Fredman był trzeci. Dlaczego nie pierwszy albo nie ostatni? Kwintesencja zła, do usunięcia na początku albo na końcu. Sprawca jest szalony, ale ostrożny i dobrze zorganizowany. Wybrał pomost, bo się do tego świetnie nadawał. Ile pomostów obejrzał, zanim się zdecydował? Czy to ktoś, kto stale jest nad morzem? Przyzwoity człowiek, rybak albo ktoś z ochrony wybrzeża? Albo z morskiej służby ratowniczej, która ma najlepszą ławkę w mieście, kiedy chce się pomyśleć w samotności? Udaje mu się wywieźć Björna Fredmana. W jego własnym samochodzie. Po co tyle zachodu? Bo to jedyny sposób? Gdzieś się musieli spotkać. Znali się. Peter Hjelm wyraził się bardzo jasno. Björn Fredman podróżował, a potem miał dużo pieniędzy. Podobno był torpedą. Znał tylko fragmenty jego życia. Reszta kryła się w mroku i powinni do niej dotrzeć.

Wallander usiadł na krześle. Kolejność się nie zgadzała. Dlaczego? Poszedł po kawę. Zjawił się Svedberg i Ann-Britt Hóglund. Svedberg zmienił czapkę. Miał

czerwone popękane policzki. Ann-Britt Hóglund była coraz brązowsza, a Wallander coraz bledszy. Po chwili przyszedł Hansson, tuż za nim Mats Ekholm. Nawet Ekholm zmienił kolor. Oczy Hanssona nabiegły krwią ze zmęczenia. Patrzył na Wallandera zdumiony, gorączkowo doszukując się jakiegoś błędu w swojej wycieńczonej głowie. Czy Wallander nie mówił, że będzie w Helsingborgu. Jest dopiero wpół do ósmej. Czy coś się stało, że przyjechał już teraz? Wallander domyślił się, co niepokoi Hanssona, i lekko pokręcił głową. Wszystko jest w porządku, nikt niczego źle nie rozumiał. Nie planowali żadnego zebrania. Ludwigsson i Hamren byli na Sturupie, Ann-Britt Hóglund też się tam wybierała, a Svedberg i Hansson mieli nadrobić zaległości w pracach nad Wetterstedtem i Carlmanem. Ktoś wetknął głowę w drzwi i powiedział, że do Wallandera jest telefon z Helsingborga. Przyjął z aparatu obok automatu do kawy. To był Sjósten. Poinformował, że Elisabeth Carlen ciągle śpi. Nikt jej nie odwiedził i nikt, nie licząc paru ciekawskich, nie kręcił się koło willi Liljegrena.

- Czy Ake Liljegren nie miał żadnej rodziny? - zirytował się Martinsson, jakby Liljegren popełnił jakiś potworny nietakt, nie żeniąc się.

- Zostawił po sobie trochę żałobników - zauważył Svedberg. - Rozmontowane przedsiębiorstwa.

- Pracują nad Liljegrenem w Helsingborgu - przypomniał Wallander. - Możemy tylko czekać.

Hansson przekazał wiadomości od Wallandera. Wszyscy byli zgodni, że Liljegren regularnie dostarczał Wetterstedtowi kobiety.

- Czyli sprostą starym pogłoskom - skwitował Svedberg.

- Musimy znaleźć podobny związek z Carlmanem - powiedział Wallander. - Jestem przekonany, że istnieje. Zostawmy na razie Wetterstedta i skupmy się na Carlmanie. Wszystkim się spieszyło. Punkt styczności dał im zastrzyk nowej energii. Wallander wziął Ekholma do siebie i zreferował swoje ostatnie przemyślenia. Ekholm jak zwykle uważnie słuchał.

- Kwas solny i piekarnik - powiedział Wallander. - Usiłuję zrozumieć jego język. On mówi do siebie i mówi do ofiary. Co właściwie mówi?

- Twoje uwagi o kolejności są interesujące - przyznał Ekholm. - Psychopatyczni mordercy bywają pedantyczni w swoim krwawym rzemiośle. Coś mogło pokrzyżować jego plany.

- Co?

- Tylko on może na to odpowiedzieć.

- Spróbujmy.

Ekholm milczał. Wallander uznał, że tym razem niewiele ma do powiedzenia.

- Ponumerujmy ich - zaproponował. - Wetterstedt numer jeden. Co będzie, jak je pozamieniamy?

- Fredman pierwszy albo ostatni - powiedział Ekholm. - Liljegren drugi albo przedostatni, zależnie od tego, który wariant jest słuszny. Pozycje Wetterstedta i Carlmana sytuują się w relacji do tych dwóch.

- Czy możemy przyjąć, że on już skończył?

- Nie wiem - przyznał Ekholm. - Chodzi własnymi ścieżkami.

- Co mówią twoje komputery? Co im się udało wykombinować?

- Właściwie nic.

Ekholm wydawał się zdziwiony swoją odpowiedzią.

- Jak to tłumaczysz? - spytał Wallander.

- Że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, który w najistotniejszych momentach różni się od swoich poprzedników. - Co to oznacza?

- Że będziemy bogatsi o nowe doświadczenia. Jeśli go schwytemy.

- Musimy - powiedział Wallander, słysząc, jak mało przekonująco to zabrzmiało. Wyszli z pokoju.

- Odezwali się badacze zachowań z FBI i ze Scotland Yardu - powiedział Ekholm. - Z dużą uwagą śledzą naszą pracę.

- A może mają jakieś propozycje? Jesteśmy otwarci na wszystkie pomysły.

- Powiem ci, kiedy przyjdzie coś ciekawego.

Rozstali się w recepcji. Wallander zamienił kilka słów z Ebbą, która pozbyła się już gipsu, i pojechał na Sturup. Zastał Ludwigszona i Hamrena w lotniskowym komisariacie. Z niechęcią spojrział na młodego policjanta, który zemdlał, kiedy rok temu ujęli mężczyznę, który chciał uciec z kraju. Wziął go za rękę i wyraził ubolewanie z powodu całego zajścia.

Wallander przypomniał sobie, że miał okazję spotkać Ludwigszona wcześniej, podczas wizyty w Sztokholmie. Rosły, silny mężczyzna o czerwonej twarzy, ale nie od słońca. Przypuszczalnie cierpiał na nadciśnienie. Hamren był jego zaprzeczeniem, mały, szczupły, w mocnych szklach. Wallander przywitał się z nimi z pewną niedbałością i zapytał, jak sobie radzą.

- Wygląda na to, że różne firmy taksówkowe są nieźle skłócone - odezwał się Ludwigszon. - Zupełnie jak na Arlandzie. Na razie nie udało nam się wyjaśnić, jakie

miał możliwości opuszczenia lotniska w interesujących nas godzinach. Nikt nie zauważył żadnego motocykla. Nie zdążyliśmy jeszcze wielu rzeczy sprawdzić.

Wallander wypił kawę, odpowiedział na pytania ludzi z centrali i pojechał do Malmö. O dziewiątej zaparkował przed domem w Rosengardzie. Było bardzo ciepło. Znowu bezwietrznie. Wjechał windą na czwarte piętro i zadzwonił. Tym razem otworzyła mu wdowa po Bjórnie Fredmanie. Od razu wyczuł zapach wina. Przy niej kręcił się kilkuletni chłopczyk. Wyglądał na bardzo nieśmiałego. Albo wystraszonego. Kiedy Wallander się do niego nachylił, był przerażony. W tym momencie zawirował mu w głowie strzęp wspomnienia. Nie był go jednak w stanie odtworzyć. Jeszcze do tego wróci. Podświadomość sygnalizowała coś, co stało się wcześniej, albo coś, co od kogoś usłyszał. Prędzej czy później pochwyci ten ulotny obraz. Zaprosiła go do środka. Chłopiec czepiał się jej nóg. Była nieuczesana i nieumalowana. Koc na kanapie powiedział mu, że tutaj spędziła noc. Usiedli. I wtedy wszedł syn, Stefan Fredman. Miał równie czujne spojrzenie jak za ostatniej bytności Wallandera. Podał rękę i przywitał się. To samo dorosłe zachowanie. Potem usiadł obok matki na kanapie. Wszystko się powtórzyło. Jediną różnicę stanowiła obecność młodszego syna, który zwinął się na kolanach matki. Nie wszystko wydawało się w nim całkiem normalne. Nie spuszczał Wallandera z oczu. Na swój sposób przypominał mu Elisabeth Carlen. Żyjemy w czasach, w których ludzie się nawzajem bacznie obserwują, pomyślał. Kurwa, czteroletni chłopiec, starszy brat. Nieustanny lęk, nieufność, rozedrgana czujność.

- Przyszedłem z powodu Louise - powiedział Wallander. - Wiem, że niełatwo mówić o członku rodziny, który przebywa w klinice psychiatrycznej, ale to, niestety, konieczne.

- Dlaczego nie ma prawa do spokoju? - spytała umęczonym głosem, niepewnie, jakby wątpiła w swoje umiejętności obrony córki.

Wallander od razu się zasępił. Wolałby uniknąć tej rozmowy. Poza tym nie bardzo wiedział, co dalej.

- Oczywiście, że ma - odparł. - Ale do przykrych obowiązków policji należy zbieranie wszelkich dostępnych informacji, pomocnych w rozwiązaniu poważnego przestępstwa.

- Nie widziała ojca od lat. Nie może wam powiedzieć nic istotnego.

Nagle uderzyła go pewna myśl.

- Czy Louise wie, że jej ojciec nie żyje?

- Dlaczego miałyby wiedzieć?

- Nie ma w tym chyba nic niedorzecznego?

Wallander widział, że kobieta zaraz się załamie. Z każdym pytaniem i odpowiedzią czuł się coraz gorzej. Mimo że tego nie chciał, poddał ją presji, której nie była w stanie znieść. Chłopiec siedzący obok niej milczał.

- Proszę zrozumieć, że Louise nie ma kontaktu z rzeczywistością - odezwała się tak cicho, że Wallander musiał się pochylić, żeby ją usłyszeć. - Louise żyje we własnym świecie. Nie mówi, nie słucha, udaje, że jej nie ma.

- To może być dla policji ważne - powiedział po namyśle. - Co sprawiło, że zachorowała. Przyszedłem tutaj prosić o pozwolenie spotkania się z nią. Chciałbym z Louise porozmawiać. Teraz przyznaję, że nie jest to może najwłaściwsze. Wobec tego wy musicie mi udzielić odpowiedzi.

- Nie wiem, co powiedzieć. Zachorowała. To przyszło znikąd.

- Znalaziono ją w Pildammsparken - przypomniał Wallander.

Syn i mama zeszywnieli. Nawet młodszy syn zaraził się ich reakcją.

- Skąd pan o tym wie? - spytała.

- Z raportu o czasie i miejscu jej przewiezienia do szpitala. Nic więcej nie wiem. Wszystko, co dotyczy jej choroby, jest objęte tajemnicą. Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem, zanim zachorowała, miała trochę kłopotów w szkole.

- Nigdy nie miała żadnych kłopotów. Ale zawsze była bardzo wrażliwa. - Z pewnością. Jednak zwykle jest tak, że określone wydarzenia wywołują silne reakcje psychiczne.

- Skąd pan to wie? Jest pan lekarzem?

- Jestem policjantem. A wiem tyle, ile mówię.

- Nic się nie stało.

- Ale chyba pani ciągle o tym myśli?

- Od tamtego dnia nic innego nie robię.

Atmosfera była tak przytłaczająca, że Wallander miał ochotę przerwać rozmowę i wyjść. Odpowiedzi prowadziły do nikąd, mimo że były jego zdaniem prawdziwe. A przynajmniej ich część.

- Czy mógłbym zobaczyć jej fotografię?

- Chce pan?

- Tak.

Wallander zauważył, że chłopiec zamierzał coś powiedzieć, ale błyskawicznie

się rozmyślił. Ciekawe. Czyżby nie chciał, żeby on zobaczył jego siostrę? A jeśli tak, to dlaczego?

Kobieta wstała z wczepionym w nią młodszym synem. Wysunęła szufladę komody i wróciła ze zdjęciami. Wallander położył je przed sobą na stole. Uśmiechała się do niego dziewczyna o imieniu Louise. Była jasnowłosa i podobna do starszego brata. Ale w jej oczach nie było nic z czujności. Uśmiechała się szczerze, bez cienia nieufności do fotografa. Była urocza.

- Ładna dziewczyna - powiedział. - Trzeba wierzyć, że któregoś dnia wyzdrowieje.

- Ja straciłam nadzieję - przyznała. - Dlaczego miałabym wierzyć?

- Mamy zdolnych lekarzy - odparł z wahaniem Wallander.

- Pewnego dnia Louise opuści ten szpital - odezwał się chłopiec.

W jego głosie była stanowczość. Uśmiechał się do Wallandera. - To ważne, że ma rodzinę, która ją wspiera - powiedział Wallander i od razu się wkurzył na swój oficjalny ton.

- Wspieramy ją na wszystkie sposoby - mówił chłopiec. - Policja ma szukać zabójcy naszego taty, a nie przeszkadzać siostrze.

- Jeśli ją odwiedzę w szpitalu, to nie po to, żeby przeszkadzać - powiedział Wallander. - To należy do śledztwa.

- Wolelibyśmy, żeby ją zostawić w spokoju - upierał się chłopiec.

Wallander skinął głową. Chłopiec był bardzo stanowczy.

- Jeśli prokurator prowadzący postępowanie przygotowawcze zdecyduje o konieczności tej wizyty, to będę musiał ją złożyć - oświadczył Wallander. - Co się przypuszczalnie stanie. Niedługo. Dzisiaj albo jutro. Mogę jednak obiecać, że nie wspomnę o śmierci ojca.

- To co pan tam będzie robił?

- Zobaczę ją. Zdjęcie to tylko zdjęcie. Chciałbym je na razie zatrzymać.

- Po co?

Pytanie chłopca przyszło bardzo szybko. Wallandera zaskoczyła niechęć w jego głosie.

- Żeby je pokazać kilku osobom - wyjaśnił. - Żeby sprawdzić, czyją rozpoznają. Tylko tyle.

- Da je pan dziennikarzom - powiedział chłopiec. - Jej twarz będzie we wszystkich gazetach.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zdziwił się Wallander.

Chłopiec uniósł się z kanapy, pochylił się nad stołem i zabrał zdjęcia. Odbyło się to tak szybko, że Wallander nie zdążył zareagować.

- Wobec tego wróć tutaj z nakazem sądowym i będziecie musieli przekazać mi te zdjęcia - skłamał, mocno poirytowany. - Wtedy na pewno się o tym dowiedzą dziennikarze, a ja nie będę mógł ich powstrzymać. Nie musi tak być, jeśli teraz pożyczę jedno zdjęcie do skopiowania.

Chłopiec wbił w Wallandera wzrok. Czujność zmieniła się w coś innego. Bez słowa oddał jedno zdjęcie.

- Mam jeszcze kilka pytań - powiedział Wallander. - Czy Louise kiedykolwiek spotkała mężczyznę o nazwisku Wetterstedt?

Mama spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. Chłopiec wstał i odwróciwszy się do nich plecami, patrzył przez otwarte drzwi balkonowe.

- Nie - powiedziała.

- A czy mówi coś pani nazwisko Carlman? Arne Carlman? Pokręciła głową.

- Ake Liljegren?

- Nie.

Nie czyta gazet, pomyślał Wallander. Pod kocem pewnie leży butelka wina. I w tej butelce jest jej życie. Wstał z krzesła. Chłopiec odwrócił się.

- Odwiedzi pan Louise? - spytał.

- Możliwe - odpowiedział Wallander.

Pożegnał się i opuścił mieszkanie. Kiedy wyszedł z budynku, poczuł ulgę. Chłopiec stał w oknie i patrzył na niego. Wsiadając do samochodu, Wallander zdecydował, że odłoży wizytę u Louise Fredman. Teraz jak najszybciej chciał się dowiedzieć, czy Elisabeth Carlen rozpozna ją na zdjęciu. Opuścił szybę i wykręcił numer do Sjóstena. W oknie na czwartym piętrze chłopca już nie było. Czekał na połączenie i szukał w pamięci obrazu, jaki podsunęła mu podświadomość na widok małego przerażonego dziecka. Niestety, bez rezultatu. Zgłosił się Sjósten. Wallander poinformował go, że jedzie do Helsingborga, żeby pokazać zdjęcie Louise Elisabeth Carlen. - Według ostatniego doniesienia, opala się na balkonie - powiedział Sjósten.

- Co ze współpracownikami Liljegrena?

- Próbujemy namierzyć jego najbliższego przyjaciela, niejakiego Hansa Logarda.

- Czy Liljegren nie miał rodziny?

- Chyba nie. Rozmawialiśmy z biurem adwokackim, które prowadzi jego prywatne sprawy. Co dziwne, nie zostawił testamentu. Nie mieli też żadnych danych o bezpośrednich spadkobiercach. Ake Liljegren żył w swoim wszechświecie.

- To dobrze. Będę w Helsingborgu w ciągu godziny.

- Czy ściągnąć Elisabeth Carlen?

- Ściągnij. Tylko potraktuj ją uprzejmie. Nie zabieraj jej radiowozem. Wydaje mi się, że będzie nam jeszcze potrzebna. Jeśli coś jej się nie spodoba, może stanąć okoniem.

- Osobiście po nią pojedę - odparł Sjösten. - Jak się czuje ojciec?

- Mój ojciec?

- Miałeś się z nim spotkać dzisiaj rano. Wallander zapomniał o wymyślonym powodzie, dla którego musiał wyjechać od Sjöstena w środku nocy.

- Dobrze - odpowiedział. - Ale to spotkanie było dla mnie bardzo ważne.

Wallander odwiesił telefon. Zerknął w górę, na czwarte piętro. Nikt na niego nie patrzył. Włączył silnik i odjechał. Spojrzał na zegarek samochodowy. Powinien być w Helsingborgu przed dwunastą.

Tuż po pierwszej Hoover zszedł do piwnicy. Zamknął drzwi i zdjął buty. Przeniknął go chłód posadzki. Przez odpryski farby, którą zamalował okno, przedostawały się promienie słońca. Usiadł na krześle i przyglądał się swojej twarzy w lustrach.

Nie chciał, żeby policjant odwiedził jego siostrę. Byli bardzo blisko celu, tej błogosławionej chwili, kiedy złe duchy raz na zawsze opuszczą jej ciało. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś jej się narzucał.

Uznał, że myśli prawidłowo. Wizyta policjanta przypomniła mu, że nie może zwlekać. Siostra nie powinna już dłużej być tam, gdzie była. Ze względu na własne bezpieczeństwo.

To, co pozostało mu do zrobienia, musi zrobić teraz.

Pomyślał o dziewczynie, z którą tak łatwo było nawiązać kontakt. W pewien sposób przypominała mu siostrę. To dobry znak. Siostrze będzie potrzebna jego siła.

Zdjął kurtkę i rozejrzał się. Miał tu wszystko. O niczym nie zapomniał. Na czarnym materiale połyskiwały siekiery i noże.

Szerokim pędzlem namalował na czole pierwszą kreskę.

Czas, jeśli w ogóle był, teraz się skończył. Wallander położył odwrócone zdjęcie Louise Fredman. Elisabeth Carlen śledziła jego ruchy spojrzeniem. Miała na sobie

białą letnią sukienkę. Domyślał się, że musiała dużo kosztować. Byli w gabinecie Sjöstena. Wallander za biurkiem, Sjösten w głębi, oparty o futrynę, Elisabeth Carlen na krześle dla gości. Było dziesięć po dwunastej. Przez otwarte okno wpływało ciepłe powietrze. Wallander pocił się.

- Zobaczysz zdjęcie - powiedział - i odpowiesz na proste pytanie, czy poznajesz tę osobę.

- Dlaczego policjanci zawsze dramatyzują bez potrzeby? - spytała. - Próbujemy schwytać człowieka, który zabił cztery osoby - odparł Wallander, tłumiąc złość, jaką w nim wywołała jej wyniosła obojętność. - Który skalpuje, wlewa kwas solny w oczy i wkłada głowy do piekarników.

- Taki szaleniec naturalnie nie powinien chodzić wolno - powiedziała spokojnie. - Obejrzymy to zdjęcie?

Wallander podsunął jej zdjęcie i skinął głową. Pochyliła się i odwróciła je. Promienny uśmiech Louise Fredman. Wallander patrzył na Elisabeth Carlen. Wzięła zdjęcie do ręki i myślała. Minęło prawie pół minuty. Potem pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Nigdy jej nie widziałam. W każdym razie nie przypominam sobie.

- To bardzo ważne - nie ustępował Wallander, czując narastające rozczarowanie.

- Mam dobrą pamięć do twarzy. Jestem pewna, że nigdy wcześniej jej nie spotkałam. Kto to jest?

- To na razie bez znaczenia. Zastanów się.

- Gdzie miałabym ją widzieć? U Ake Liljegrena?

- Tak.

- Oczywiście mogła tam być, kiedy mnie nie było.

- A często cię tam nie było?

- Nie, nie w ostatnich latach.

- To znaczy?

- Mniej więcej od czterech lat.

- Ale mogła tam być?

- Młode dziewczyny mają duże wzięcie u niektórych mężczyzn. Prawdziwe ścierwa.

- Jakie ścierwa?

- Ci, którym tylko jedno w głowie. Żeby pójść do łóżka z własną córką.

Wallander znów się wkurzył. Miała, rzecz jasna, rację, ale drażniła go jej obojętność. W końcu była częścią tego rynku, który wciągał coraz więcej niewinnych dzieci i niszczył im życie.

- Jeśli ty nie potrafisz odpowiedzieć, czy ona kiedykolwiek była na którymś z przyjęć Liljegrena, to kto potrafi?

- Ktoś inny.

- Odpowiedz po ludzku. Kto? Chcę mieć nazwisko i adres.

- Wszystko odbywało się anonimowo. To była jedna z zasad. Znało się tę czy inną twarz, ale nikt się nie wymieniał wizytówkami.

- Skąd były dziewczyny?

- Z różnych stron. Dania, Sztokholm, Belgia, Rosja.

- Przychodziły i odchodziły?

- Mniej więcej.

- Ale ty mieszkasz tutaj, w Helsingborgu.

- Byłam wyjątkiem.

Wallander popatrzył na Sjóstena, jakby szukał potwierdzenia, że rozmowa mimo wszystko ma jakiś sens.

- Ta dziewczyna na zdjęciu nazywa się Louise Fredman - powiedział. - Czy to nazwisko coś ci mówi? Zmarszczyła brwi.

- Czy tak się nie nazywał ten zamordowany? Fredman? Wallander skinął głową. Znów popatrzyła na zdjęcie. Przez moment wydawała się poruszona tym związkiem.

- Czy to jego córka?

- Tak. Pokręciła głową.

- Nigdy jej nie widziałam.

Wallander nie wątpił, że mówi prawdę. Choćby dlatego, że nic nie zyskiwała na kłamstwie. Przysunął zdjęcie do siebie i znów je odwrócił, jakby chciał zaoszczędzić Louise Fredman dalszego uczestnictwa. - Czy byłaś kiedykolwiek u Gustafa Wetterstedta? - spytał. - W Ystadzie?

- Co bym tam miała robić?

- To, z czego żyjesz. Czy był twoim klientem?

- Nie.

- Na pewno?

- Tak.

- Na sto procent?

- Tak.

- A czy byłaś kiedykolwiek u handlarza obrazów, Arne Carlmana?

- Nie.

Wallandera uderzyła pewna myśl. Może chodziło o to, że nigdy nie padały żadne nazwiska.

- Zaraz zobaczysz inne zdjęcia.

Wstał i wyszedł z pokoju razem z Sjóstenem.

- Co o tym myślisz? - spytał. Sjósten wzruszył ramionami.

- Ona nie kłamie - odparł.

- Potrzebne nam zdjęcia Wetterstedta i Carlmana. I Fred-mana. Mamy je w materiale śledczym.

- Który jest u Birgerssona - powiedział Sjósten. - Przyniosę.

Wallander wrócił do pokoju i spytał, czy napije się kawy.

- Wolalabym dżin z tonikiem.

- Bar jeszcze nie otwarty.

Uśmiechnęła się. Spodobała jej się ta odpowiedź. Wallander wyszedł na korytarz. Elisabeth Carlen była bardzo ładna. Jej ciało prześwitywało przez cienką sukienkę. Pomyślał, że Bajba najpewniej jest wściekła, że się nie odezwał. Sjósten wrócił od Birgerssona z plastikową teczką. Elisabeth Carlen paliła papierosa. Wallander położył przed nią zdjęcie Wetterstedta. - Poznaję go - powiedziała. - Z telewizji. Czy to nie on zadawał się z kurwami w Sztokholmie?

- Możliwe, że później kontynuował ten proceder.

- Nie ze mną - odparła obojętnie.

- Nigdy nie byłaś u niego w domu, w Ystadzie?

- Nigdy.

- A znasz kogoś, kto tam był?

- Nie.

Wallander pokazał jej teraz zdjęcie Carlmana. Stał obok abstrakcyjnego malowidła. Wetterstedt był na zdjęciu poważny, Carlman szczyrzył zęby w uśmiechu. Tym razem nie pokręciła głową.

- Tego widziałam - powiedziała zdecydowanie.

- U Liljegrena?

- Tak.

- Kiedy?

Sjósten wyjął notatnik z kieszeni. Elisabeth Carlen myślała. Wallander patrzył ukradkiem na jej powabne kształty.

- Mniej więcej rok temu.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

Wallander skinął głową. Poczł przyływ energii. Jeszcze jeden, pomyślał. Teraz pozostaje tylko znaleźć właściwą kratkę, żeby w niej umieścić Fredmana.

Pokazał jej zdjęcie Bjórna Fredmana. Było stare, zrobione w więzieniu. Fredman grał na gitarze. Długie włosy, dzwony, wyblakłe kolory.

Znów pokręciła głową. Nie, nigdy go nie widziała. Wallander hałaśliwie położył dłonie na biurku.

- Tyle na razie chciałem wiedzieć - powiedział. - A teraz zwalniam miejsce dla Sjóstena.

Zajął pozycję przy drzwiach. Wziął od Sjóstena notatnik. - Jak, do cholery, można tak żyć? - zaczął dosyć nieoczekiwanie Sjósten.

Zapytał z uśmiechem i bardzo uprzejmym tonem. Elisabeth Carlen ani przez chwilę nie wypadła z roli.

- A co ci do tego?

- Nic. Czysta ciekawość. Jak ty ze sobą wytrzymujesz, widząc się w lustrze każdego ranka?

- A o czym ty myślisz, kiedy się widzisz w lustrze?

- Że nie żyję z rozkładania nóg za parę koron. Przyjmujesz karty kredytowe?

- Odpierdol się.

Zamierzała wstać i wyjść. Wallandera zdenerwował sposób, w jaki Sjósten się z nią drażnił. Mogła im się jeszcze przydać.

- Przepraszam - powiedział uprzejmie Sjósten. - Zostawmy twoje życie prywatne. Hans Logard. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Przyglądała mu się w milczeniu. Potem się odwróciła i spojrzała na Wallandera.

- Zadałem pytanie - nie ustępował Sjósten.

Wallander zrozumiał jej spojrzenie. Mogła odpowiadać tylko na jego pytania. Wyszedł na korytarz i dał znak Sjóstenowi. Wytłumaczył mu, że Elisabeth Carlen już mu nie ufa.

- No to ją za trzymamy - oświadczył Sjösten. - Żadna kurwa nie będzie mnie wodzić za nos.

- Za co ją zatrzymasz? - zdziwił się Wallander. - Poczekaj tutaj, sam to załatwię.
I uspokój się, do cholery!

Sjösten wzruszył ramionami. Wallander wrócił do pokoju i usiadł za biurkiem.

- Hans Logard miał konszachty z Liljegrenem - powiedziała.

- Wiesz, gdzie on mieszka?

- Gdzieś na wsi. - A konkretniej?

- Nie mieszka w mieście.

- Nie wiesz, gdzie?

- Nie.

- Czym się zajmuje?

- Tego też nie wiem.

- Ale był na przyjęciach?

- Tak.

- W charakterze gościa czy gospodarza?

- Gospodarza. I gościa.

- Nie wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

- Nie.

W dalszym ciągu miał wrażenie, że Elisabeth Carlen mówi prawdę. Przepuszczalnie nie uda im się znaleźć Logarda przy jej pomocy.

- Jakie były układy między Liljegrenem i Logardem?

- Hans Logard miał zawsze dużo gotówki. Cokolwiek dla Liljegrena robił, dostawał sowitą zapłatę.

Zgasiła papierosa. Wydawało mu się, że on tutaj jest gościem, a nie odwrotnie.

- Pójdę już - powiedziała, wstając.

- Odprowadzę cię - zaoferował się Wallander.

Sjösten dreptał po korytarzu. Mijając go, popatrzyła prosto przez niego. Wallander śledził ją wzrokiem, kiedy szła do swojego nissana, i sprawdził, czy ktoś za nią pojedzie. Ciągle była pod obserwacją. Jeszcze nie spuścili jej z łańcucha.

Wrócił do gabinetu Sjöstena.

- Dlaczego ją drażniłeś? - spytał.

- Prezentuje sobą coś, czego nie cierpię. A tobie się to podoba?

- Jest nam potrzebna - powiedział Wallander wymijająco. - Potem możemy jej

nie cierpieć. Przynieśli kawę i dokonali podsumowania. Sjösten poprosił Birgerssona na pomocnika.

- Problem stanowi Björn Fredman - przyznał Wallander. - Nigdzie nie pasuje. Poza tym mamy trochę nitek, które się z sobą łączą. Kruche punkty styczności.

- Może tak to wygląda - w zamyśleniu powiedział Sjösten. Wallander nastawił uszu. Sjösten nad czymś się zastanawiał. Czekał na ciąg dalszy. Ale daremnie.

- O czym myślisz? - spytał. Sjösten wpatrywał się w okno.

- Dlaczego nie mogłoby być właśnie tak, że Björn Fredman nie pasuje do obrazka. Można przyjąć, że został zabity przez tego samego sprawcę, ale z zupełnie innego powodu.

- To mało logiczne - zauważył Birgersson.

- A co jest w tym wszystkim logicznego? - zaproponował Sjösten. - Nic.

- Inaczej mówiąc, powinniśmy szukać dwóch różnych motywów - powiedział Wallander. - O to ci chodzi?

- Mniej więcej. Ale mogę się oczywiście mylić. Po prostu przyszło mi to do głowy. Nic poza tym.

- Możesz mieć rację - zgodził się Wallander. - Nie powinniśmy wykluczać tej możliwości.

- Falszywy trop - powiedział Birgersson. - Ślepy trop, ślepy zaułek. To dosyć niewiarygodne.

- Zachowajmy to w pamięci - powiedział Wallander. - Tak jak wszystko inne. Tymczasem musimy odszukać Hansa Logarda. To teraz najważniejsze.

- Dom Ake Liljegrena jest bardzo szczególny - zauważył Sjösten. - Nie ma tam żadnych papierów. Żadnych notesów z adresami. Nic. Ponieważ został znaleziony bardzo wcześnie rano i od tamtej pory willa jest pod obserwacją, nikt nie mógł tam wejść i posprzątać. - Co by znaczyło, że nie szukaliśmy dostatecznie dobrze - skwitował Wallander. - Bez Hansa Logarda nie ruszymy z miejsca.

Sjösten i Wallander zjedli szybki lunch w restauracji obok komendy. Po drugiej zaparkowali przed domem Liljegrena. Blokada ciągle była. Policjant otworzył im furtkę i wpuścił do środka. Przez liście drzew sączyło się słońce. Wallander pomyślał, że wszystko jest nierzeczywiste. Potwór kojarzy się z ciemnościami i chłodem. Nie z latem, jakie zawitało do nich tego roku. Przypomniał sobie ironiczną w zamyśle uwagę Rydberga: „Szalonych morderców najstosowniej ścigać jesienią. Latem preferujemy jednego czy drugiego dynamitarda”. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Sjösten

popatrzył zdziwiony, ale nie powiedział. Weszli do willi. Technicy zakończyli pracę. Wallander niechętnie rzucił okiem na kuchnię. Drzwiczki piekarnika były zamknięte. Pomyślał o słowach Sjóstena. Björn Fredman, nie pasując, być może trafił na właściwe miejsce w śledztwie. Sprawca powodowany dwoma motywami? Czy są takie ptaszki? Spojrzał na telefon i podniósł słuchawkę. Jeszcze nie był wyłączony. Zadzwoił do Ystadu. Po pięciu minutach Ebba odszukała Ekholma. W tym czasie obserwował Sjóstena, który przemierzał pokoje na parterze i odsłaniał zasłony. Do środka wdarło się silne światło. Wallander czuł unoszący się zapach chemikaliów używanych przez techników. Kiedy Ekholm podszedł do telefonu, Wallander od razu zadał mu pytanie. Właściwie było adresowane do komputerów. Chodziło o nieco inny układ. Morderca, który dokonuje serii zabójstw, kierując się różnymi motywami. Czy historia zna takie wypadki? Co mogą o tym powiedzieć połączone siły kryminologów zajmujących się zachowaniami? Ekholm jak zwykle uznał jego wypowiedź za interesującą. Wallander zaczął się zastanawiać, czy Ekholm rzeczywiście tak uważa, czy naprawdę zachwyca go wszystko, co powie. Przypomniały mu się najróżniejsze paszkwile o absurdalnej wręcz niekompetencji szwedzkiej służby bezpieczeństwa. W ostatnich latach coraz częściej zwracali się do rozmaitych ekspertów. I nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego.

Wallander nie chciał jednak być niesprawiedliwy wobec Ekholma. Okazał się dobrym słuchaczem. Dzięki temu uświadomił sobie jedną z elementarnych zasad w pracy policji. Policjanci powinni opanować umiejętność słuchania równie dobrze jak umiejętność zadawania pytań. Zawsze powinni słuchać. Wyłapywać ukryte sensy i ewentualne motywy, które może nie od razu są oczywiste. Wyczuwać ślady sprawcy. Tak jak tutaj, w tym domu. Zbrodnia zawsze zostawia po sobie niewidzialne odciski, których nie ujawnią pędzelki techników. Doświadczony policjant powinien tego dociec słuchem. Sprawca może nie zapomniał butów, ale zapomniał swoich myśli.

Wallander zakończył rozmowę z Ekholmem i poszedł do Sjóstena. Milczeli. Duch Liljegrena, jeśli takowym dysponował, unosił się niespokojnie nad ich głowami. Wallander ruszył na piętro i kolejno otwierał wszystkie drzwi. Nigdzie nie było żadnych papierów. Najbardziej znamioną cechą tego domu wydawała się pustka. Wallander wrócił myślami do przyczyn popularności Liljegrena. Szemrane spółki, transfery pieniędzy. Jeździł po świecie i skrzętnie lokował swoje lewe przychody. Czy tak samo postępował w życiu prywatnym? Miał domy wszędzie, gdzie się tylko dało. Ta willa była jedną z wielu jego kryjówek.

Zatrzymał się przed drzwiami na strych. W dzieciństwie, w domu, w którym wtedy mieszkali, zrobił sobie skrytkę na strychu. Otworzył drzwi i wszedł po wąskich, stromych schodach. Przekręcił kontakt. Pod belkami pułapu było prawie pusto. Stały tam narty i trochę mebli. Poczł ten sam zapach, co na dole. Technicy tutaj też byli. Rozejrzał się. Żadnych sekretnych drzwi do równie sekretnych pomieszczeń. Zszedł i zaczął szukać bardziej systematycznie. Przepatrzył ubrania w przestronnych szafach Liljegrena. Ciągle nic. Usiadł na krawędzi łóżka i myślał. To absurd, żeby Liljegren wszystko miał w głowie. Gdzieś musiał być przynajmniej notes z adresami. Ale nie było. Brakowało czegoś jeszcze. Wcześniej na to nie wpadł. Cofnął się myślami i znowu zadał sobie podstawowe pytanie: Kim był Ake Liljegren? Wielki rewizor. Bez przerwy podróżował. Podróżował, ale w domu nie było walizek. Ani aktówki. Wstał i zszedł do Sjóstena.

- Liljegren musi mieć jeszcze jeden dom - powiedział. - Albo przynajmniej biuro.

- Ma domy na całym świecie - z roztargnieniem odparł Sjósten.

- Chodzi mi o Helsingborg. Tu jest za pusto.

- Nie sądzę. Wiedzielibyśmy o tym.

Wallander skinął głową, ale był pewien swego. Kontynuował wędrówkę. Teraz z większym samozaparciem. Zszedł do piwnicy. W jednym z pomieszczeń stała ławka gimnastyczna i leżały hantle. Tutaj też była szafa, a w niej ubrania treningowe i przeciwdeszczowe. Przyglądał się im z namysłem, po czym znowu zajrzał do Sjóstena.

- Czy Liljegren miał łódź?

- Na pewno. Ale nie tutaj. Wiedziałbym o tym. Wallander już miał odejść, kiedy coś go zastanowiło.

- Może była na inne nazwisko?

- Co?

- Łódź. Może była zarejestrowana na inne nazwisko. Na przykład Hansa Logarda?

Sjósten zorientował się, że Wallander mówi serio.

- Dlaczego myślisz, że Liljegren miał łódź? - W piwnicy są ubrania, które przypominają żeglarskie. Zeszli do piwnicy.

- Może masz rację - przyznał Sjósten, kiedy stali przed otwartą szafą.

- Tak czy inaczej, warto to sprawdzić. Ten dom jest podejrzenie pusty.

Wrócili na górę. Sjósten usiadł przy telefonie, a Wallander otworzył drzwi na

taras i wyszedł na słońce. Ledwie pomyślał o Bajbie, od raz poczuł ucisk w żołądku. Dlaczego do niej nie dzwoni? Ciągłe wierzy, że się z nią spotka na Kastrupie w sobotę przed południem? Za niespełna dwie doby? Czuł się nieswojo na myśl, że miałby prosić Martinssona o kłamliwe wyjaśnienia w jego imieniu. Już się z tego nie wykreśli. Na wszystko było za późno. Gardząc sobą, wszedł do willi. Sjósten rozmawiał przez telefon. Wallander zastanawiał się, kiedy sprawca znowu zaatakuje. Sjósten zakończył rozmowę i wykrecił nowy numer. Wallander poszedł do kuchni i napił się wody. Próbował nie patrzeć na piekarnik.

Sjósten z trzaskiem odłożył słuchawkę.

- Miałeś rację - powiedział. - W jachtklubie jest żaglówka na nazwisko Logarda. To mój jachtklub.

- No to jedziemy - zdecydował Wallander, czując rosnące napięcie.

Na przystani spotkali wartownika, który pokazał im, gdzie cumuje łódź Logarda. Ładna i zadbana, z plastiku, ale dek był z drewna tekowego.

- Komfortina - powiedział Sjósten. - Piękna. Poza tym dobry żaglowiec.

Wprawnie wskoczył na pokład. Kajuta była zamknięta.

- Oczywiście znasz Hansa Logarda? - spytał Wallander wartownika. Mężczyzna miał ogorzałą twarz i nosił koszulkę reklamującą norweskie klopsiki rybne.

- Nie jest zbyt rozmowny. Ale się, rzecz jasna, pozdrawiamy.

- Kiedy był ostatnio? Mężczyzna się zastanawiał.

- W zeszłym tygodniu. Ale teraz, w sezonie, łatwo się pomylić.

Sjósten otworzył luk kajuty i od środka otworzył drzwi. Wallander wszedł na pokład. Poruszał się po deku równie niezdarnie jak po świeżo spłukanym wodą lodzie. Z kokpitu dotarł do kajuty. Sjósten przezornie zabrał latarkę. Szybko przeszukali wnętrze i nic nie znaleźli.

- Nie rozumiem - przyznał Wallander, kiedy stali na pomoście. - Skądś musiał doglądać swojego biznesu.

- Sprawdzamy jego telefony komórkowe - powiedział Sjósten. - Może to coś da.

Ruszyli na brzeg w towarzystwie mężczyzny reklamującego klopsiki rybne.,

- Obejrzyjcie przy okazji jego drugą łódź - poradził, kiedy zeszli z pomostu.

Wallander i Sjósten zareagowali jednocześnie.

- Logard ma dwie łodzie?

Mężczyzna pokazał na najdalszy pomost.

- Ta biała, na końcu. Nazywa się „Rosmarin”.

- Bardzo chętnie obejrzymy - powiedział Wallander. Mieli przed sobą solidny, smukły jacht motorowy.

- Taki to dopiero kosztuje - westchnął Sjösten. Weszli na pokład. Kajuta była zamknięta. Wartownik patrzył na nich.

- On wie, że jestem policjantem - wyjaśnił Sjösten. - Nie możemy czekać - powiedział Wallander. - Wyłam drzwi. Tylko zrób to małym kosztem.

Sjösten naruszył jedynie kawałek listwy. Wallander od razu wiedział, że dobrze trafili. Na jednej ze ścian wisiała półka z papierami.

- Teraz najważniejszy jest adres Hansa Logarda - powiedział Wallander. - Resztę przejrzymy później.

Po dziesięciu minutach znaleźli legitymację członkowską wydaną przez klub golfowy pod Angelholmem, w której było nazwisko i adres Hansa Logarda.

- Mieszka w Bjuvie - powiedział Sjösten. - To niedaleko stąd.

Już mieli opuścić łódź, kiedy Wallander, wiedziony instynktem, otworzył szafę. Ku jego zdumieniu były tam damskie ubrania.

- Może na łodzi też urządził przyjęcia - stwierdził Sjösten.

- Może. Nie byłbym jednak taki pewien. Weszli na pomost.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko zobaczysz Hansa Logarda - zwrócił się Sjösten do wartownika i wręczył mu wizytówkę.

- Oczywiście w tajemnicy - powiedział mężczyzna.

- Zrozumiałeś na medal - odparł z uśmiechem Sjösten. - Udawaj, jakby nigdy nic, a potem do mnie zadzwoń. Bez względu na porę dnia.

- W nocy nikogo tu nie ma.

- No to miejmy nadzieję, że się pojawi w dzień.

- A mogę spytać, co on zrobił?

- Pytać możesz - powiedział Sjösten. - Ale odpowiedzi nie będzie.

Wyszli z jachtklubu. Była trzecia.

- Ściągniemy więcej ludzi? - zastanawiał się Sjösten. - Jeszcze nie. Najpierw musimy znaleźć jego dom i zorientować się, czy tam jest.

Pojechali do Bjuvu. Tych okolic Skanii Wallander nie znał. Zrobiło się bardzo duszno. Pewnie wieczorem będzie burza.

- Kiedy ostatnio padało? - spytał.

- W czerwcu, gdzieś tak na świętego Jana - odparł Sjösten po namyśle. - I dosyć skąpo.

Minęli zjazd na Bjuv, kiedy zapiszczała komórka Sjóstena. Przyhamował i odebrał.

- To do ciebie - powiedział, oddając słuchawkę Wallanderowi.

Dzwoniła Ann-Britt Hóglund. Od razu przeszła do rzeczy.

- Louise Fredman uciekła ze szpitala.

W pierwszej chwili Wallander nie zrozumiał.

- Możesz powtórzyć?

- Louise Fredman uciekła ze szpitala.

- Kiedy to się stało?

- Jakaś godzinę temu.

- Jak się dowiedziałaś?

- Ktoś się skontaktował z Perem Afestmem. A on zadzwonił do mnie.

Wallander się zastanawiał.

- Jak to się stało? - spytał po chwili.

- Ktoś ją zabrał.

- Kto?

- Nie wiem. Nikt nic nie widział. Po prostu nagle jej nie było.

- Cholera!

Sjósten zwolnił, zrozumiawszy, że wydarzyło się coś poważnego.

- Oddzwonię za chwilę - zdecydował Wallander. - A ty spróbuj w tym czasie zdobyć wszelkie możliwe informacje. Przede wszystkim, kto ją zabrał. Ann-Britt Hóglund obiecała, że się postara, i skończyli rozmowę.

- Louise Fredman uciekła ze szpitala - wyjaśnił Wallander.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedział po namyśle. - Ale jestem przekonany, że ma to związek z naszym sprawcą.

- Wracamy?

- Nie. Teraz odszukanie Hansa Logarda jest wyjątkowo ważne.

Wjechali do Bjuvu i zatrzymali się. Sjósten opuścił szybę i spytał o ulicę, na której mieszkał Hans Logard.

Trzy nagabnięte osoby odpowiedziały to samo. Nikt nie słyszał o takiej ulicy. Byli bliscy poddania się i wezwania posiłków, kiedy wreszcie zdobyli adres Hansa Logarda. Na Bjuv spadły pierwsze krople deszczu. Burza przeszła bokiem. Bezdeszczowe lato trwało.

Adres, pod którym szukali Logarda, Hórdestigen, nie istniał. Wallander sprawdził to na poczcie. Dowiedział się przy okazji, że Hans Logard nie miał również skrytki pocztowej, w każdym razie nie w Bjuvie. Uznali, że podał fałszywy adres. Wtedy Wallander wmaszerował do cukierni w Bjuvie i kupując cyrulkowe ciasteczka, wdał się w pogawędkę z dwiema ekspedientkami. Jedna z nich wyjaśniła mu, że Hórdestigen nie jest nazwą ulicy, tak się nazywa gospodarstwo położone na północ od miasta. Jeśli się tego nie wie, trudno tam trafić.

- Mieszka tam niejaki Hans Logard - powiedział Wallander. - Znacie go? - Kobiety popatrzyły na siebie, jakby sprawdzały nawzajem swoją pamięć, i jednocześnie pokręciły głowami.

- Kiedy byłam mała, w Hórdestigen mieszkał mój krewniak - wyjaśniła szczuplejsza z kobiet. - Po jego śmierci dom został sprzedany. W każdym razie nazywa się Hórdestigen. Z tym że adres pocztowy jest inny.

Wallander poprosił o plan. Rozerwała torebkę i narysowała, którądy tam dojechać. Sjósten czekał w samochodzie. Dochodziła szósta. Szukali Hórdestigen od wielu godzin. Ponieważ Wallander bezustannie konferował przez telefon w sprawie zniknięcia Louise Fredman, Sjósten był zdany na siebie w poszukiwaniach adresu Hansa Logarda. Już chcieli zrezygnować i zażądać posiłków, kiedy Wallander postanowił zasięgnąć języka w cukierni, klasycznej wylęgarni plotek. I mieli szczęście. Wallander wyszedł z rozerwaną torebką w garści, jak z trofeum. I pojechali na Hórganas. Zabudowań było coraz mniej. Pod wspaniałym bukowym lasem okazało się, że zabłądzili. Wallander wyprowadził Sjóstena z powrotem, wrócili na główną szosę i zaczęli od początku. Następna w lewo, w prawo i w lewo. Droga skończyła się pośrodku pola. Wallander zaklął w duchu, wysiadł z samochodu i rozglądał się za wieżą kościoła, o której wspominały ekspedientki. Pomyślał, że tutaj, na polu, czuje się tak, jakby dryfował na morzu, szukając latarni morskiej. Zobaczył iglicę kościoła, zajrzał do mapki na torebce i zawrócili. Tym razem pojechali dobrze. Stare gospodarstwo Hórdestigen przypominało nieco zagrodę Arne Carlmana, leżało na odludziu, otoczone bukowym lasem i polem. Droga kończyła się przed zagrodą. Wallander zwrócił uwagę, że nie ma tu skrzynki pocztowej. Żaden listonosz nie odwiedzał Logarda pod tym adresem. Poczta musiała przychodzić gdzie indziej. Sjósten wychodził z samochodu, kiedy Wallander go powstrzymał.

- Czego my się właściwie spodziewamy? - zapytał. - Kim jest Hans Logard?

- Pytasz o to, czy jest groźny?

- Nie wiemy, czy to on zabił Liljegrena. I innych. Nic nie wiemy o Hansie Logardzie.

Reakcja Sjóstena zaskoczyła Wallandera.

- Mam w bagażniku strzelbę. I amunicję. Weź to. Ja mam służbowy pistolet.

Sjósten wyjął pistolet spod fotela.

- Wbrew regulaminowi - powiedział z uśmiechem. - Ale gdyby się tak trzymać wszystkich przepisów, nasza praca od dawna byłaby zabroniona przez ludzi, którzy czuwają nad przestrzeganiem ustawy o bezpieczeństwie i higienie pracy.

- Zostawmy strzelbę. Masz licencję na broń?

- Jasne, że mam. A coś ty myślał?

Wysiedli z samochodu. Sjósten wsunął pistolet do kieszeni kurtki. Nasłuchiwali. Gdzieś daleko grzmiało. Wokół nich panowała cisza i było parno. Nigdzie śladu samochodu ani człowieka. Gospodarstwo wyglądało na opuszczone. Budynek mieszkalny miał kształt wydłużonej litery L.

- Jedno skrzydło pewnie się spaliło - zauważył Sjósten. - Albo zostało rozebrane. Ładny dom. Zadbany. Zupełnie jak żagłówka.

Wallander zapukał do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Potem załomotał. Ciągłe żadnej reakcji. Zajrzał przez okno. Sjósten stał trochę dalej, z ręką w kieszeni kurtki. Wallanderowi nie podobało się to, że ma broń. Obeszli dom. Żadnych oznak życia. Wallander stał, zamyślony.

- Wszędzie są informacje o alarmie - stwierdził Sjósten. - Ale to potrwa, zanim ktoś tu przyjedzie. Zdążymy wejść i odjechać. - Coś się tu nie zgadza - powiedział Wallander, jakby nie słyszał komentarza Sjóstena.

- Co?

- Nie wiem.

Podeszli do skrzydła gospodarczego. Na drzwiach wisiały solidne kłódki. Przez okno zobaczyli, że w środku jest rupieciarnia.

- Nikogo tu nie ma. Weźmiemy dom pod obserwację.

Wallander rozejrzał się. Był pewien, że coś się nie zgadza. Tylko co? Jeszcze raz obszedł dom, zaglądał przez okna, słuchał. Sjósten trzymał się z tyłu. Wallander stanął koło czarnych worków na śmieci. Były niedbale obwiązane sznurkiem. Wokół krążyły muchy. Otworzył jeden worek. Resztki jedzenia, papierowe talerze. Wyjął plastikowe opakowanie po mięsie. Sjósten przyglądał mu się z boku. Wallander sprawdził termin przydatności do spożycia, opakowanie zalatywało świeżym mięsem. Otworzył drugi

worek. Były w nim pojemniki po gotowych daniach. Sporo się tu jadło w ciągu kilku dni.

Sjósten zajrzał do worków.

- Pewnie miał przyjęcie.

Wallander myślał. Co w duszącym upale wcale nie było takie proste. Czuł, że za chwilę rozboli go głowa.

- Wchodzimy - zdecydował. - Chcę się trochę rozejrzeć. Czy nie da się jakoś obejść tego alarmu?

- Może przez komin.

- Raz kozie śmierć.

- Mam łom w samochodzie.

Sjósten przyniósł łom. Wallander obejrzał drzwi wejściowe. Przypomnił sobie inne drzwi, te, które niedawno wyważał u ojca. Zapowiadało się na lato drzwi. Poszli na tyły domu. Tutaj drzwi wydawały się łatwiejsze do sforsowania. Wallander postanowił je wyważyć od strony zawiasów. Wsunął łom i popatrzył na Sjóstena. Sjósten spojrział na zegarek.

- Okej - powiedział.

Wallander naparł z całych sił. Zawiasy puściły, tynk i cegły też. Odskoczył, żeby nie oberwać drzwiami.

Weszli. W środku dom jeszcze bardziej przypominał mieszkanie Carlmana. Ściany były wyburzone, duże otwarte przestrzenie, nowoczesne meble, świeżo położony parkiet. Nasłuchiwali. Cisza. Za cicho, pomyślał Wallander. Jakby cały dom wstrzymał oddech. Sjósten pokazał na telefon z faksem. Pulsowała lampka automatycznej sekretarki. Wallander skinął głową. Sjósten włączył odtwarzanie. Coś zachrząściło i trzasnęło, potem odezwał się męski głos. Wallander zauważył, że Sjósten drgnął. Mężczyzna prosił Hansa Logarda o szybki kontakt. I zaległa cisza. Taśma się zatrzymała.

- To był Liljegren - powiedział wyraźnie wstrząśnięty Sjósten. - Cholera.

- No to przynajmniej wiemy, że to stara wiadomość - stwierdził Wallander.

- Logarda od tego czasu nie było.

- Niekoniecznie. Mógł odsłuchać i nie skasował. Jeśli potem jest przerwa w dopływie prądu, lampka znów zaczyna świecić. Mogła być burza. Nie wiemy tego.

Szli przez dom. Wąski korytarz prowadził do załamania litery L. Drzwi były zamknięte. Wallander podniósł rękę, Sjósten stanął za nim jak wryty. Wallander coś

usłyszał. W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, co to takiego. Potem miał wrażenie, że to zwierzę, jakby coś cicho mruczało. Spojrzał na Sjóstena. Dotknął drzwi. Stalowe. Pomruki umilkły. Sjósten też je słyszał.

- Co się, do cholery, dzieje? - szepnął.

- Nie wiem. Tych drzwi nie wyważę łomem.

- Ludzie z firmy ochroniarskiej będą tu za kwadrans. Wallander zastanawiał się. Wiedział tylko tyle, że za drzwiami jest co najmniej jeden człowiek, może więcej. Zrobiło mu się niedobrze. Musi otworzyć te drzwi.

- Daj mi pistolet - powiedział. Sjósten wyjął broń z kieszeni.

- Odejść od drzwi! - krzyknął Wallander. - Będę strzelał w zamek!

Cofnął się o krok i pociągnął za spust. Huk był ogłuszający. Strzelił drugi raz, potem trzeci. Kule odbiły się rykoszetem. Oddał pistolet Sjóstenowi i kopnął w drzwi. W uszach dudniło mu od wystrzałów.

W dużym pomieszczeniu bez okien stało kilka łóżek, za przepierzeniem była toaleta, poza tym lodówka, szklanki, filizanki, termosy. W kącie siedziały przytulone do siebie, przerażone wystrzałami, cztery młode dziewczyny. Dwie przypominały Wallanderowi tę, którą widział z odległości dwudziestu metrów na polu rzepaku Salomonssona. Przez krótką chwilę, ciągle ogłuszony, pomyślał, że teraz wszystko widzi, jedno wydarzenie po drugim, jak się ze sobą łączą, i wszystko jest już jasne. W gruncie rzeczy nic nie widział, miał jedynie takie odczucie, które pojawiło się i zniknęło jak przejeżdżający przez tunel superszybki pociąg pozostawiający po sobie lekkie drżenie ziemi. Nie mieli czasu do namysłu. Dziewczęta stłoczone w kącie były realne, naprawdę się bały i musieli działać.

- Co się, do cholery, dzieje? - powtórzył Sjósten.

- Musimy ściągnąć ludzi z Helsingborga - zdecydował Wallander. - Piorunem.

Ukląkł, Sjósten za nim, mogłoby się wydawać, że zaczną wspólne modły, i Wallander odezwał się do wystraszonych dziewcząt po angielsku. Chyba go nie rozumiały, może zbyt słabo znały angielski. Pomyślał, że są mniej więcej rówieśnicami Dolores Marii Santany. - Może coś umiesz po hiszpańsku? - spytał Sjóstena. - Ja nie znam ani słowa.

- A co mam powiedzieć?

- Umiesz, czy nie?

- Cholera, jasne, że nie. Kto umie? Znam kilka stów. Co mam powiedzieć?

- Cokolwiek! Żeby się uspokoiły.

- Mam powiedzieć, że jestem policjantem?
- Nie! Wszystko, tylko nie to!
- Buenos dias - zaczął z wahaniem Sjósten.
- Uśmiechaj się - syknął Wallander. - Nie widzisz, że się boją?
- Robię, co mogę.
- Jeszcze raz. Teraz uprzejmie.
- Buenos dias - powtórzył Sjósten.

Jedna z dziewcząt odezwała się. Bardzo cicho. Wallander miał wrażenie, że właśnie teraz otrzymał odpowiedź, na którą czekał, odkąd dziewczyna z rzepakowego pola patrzyła na niego wylęknionym spojrzeniem.

W tym samym momencie gdzieś za nimi rozległy się jakieś dźwięki. Dziewczęta też je usłyszały i znowu się skuliły.

- To pewnie ochroniarze - powiedział Sjósten. - Wyjdźmy do nich, bo inaczej zaczną się zastanawiać, co się tu dzieje, i narozrabiają.

Wallander dał znak dziewczętom, żeby zostały. Ruszyli wąskim korytarzem do wyjścia. Tym razem Sjósten szedł pierwszy. I to go mogło kosztować życie. Bo kiedy znaleźli się w przestronnym pokoju o wyburzonych ścianach, zadudniło od wystrzałów, które musiały pochodzić z szybkostrzelnej broni półautomatycznej, zaopatrzonej w regulację częstotliwości repetowania. Pierwsza kula trafiła Sjóstena w lewy bark i strzaskała mu obojczyk. Odrzuciło go i wyrósł przed Wallanderem niczym żywa ściana. Trzy inne pociski śmignęły nad ich głowami.

- Nie strzelać! Policja! - wrzasnął Wallander.

Strzelający puścił kolejną serię. Sjósten znów oberwał, tym razem w prawe ucho. Wallander ukrył się za niewyburzonym fragmentem ściany, który zostawiono z powodów estetycznych. Mętnie pomyślał, że w magazynku powinny być dwa, a może trzy pociski.

Żadnej reakcji. Czekał z bijącym sercem. I z podniesionym, gotowym do strzału pistoletem. W końcu usłyszał odjeżdżający samochód. Podbiegł w kucki do okna. W stronę bukowego lasu mknął czarny mercedes. Sjósten stracił przytomność. Odszukał puls na zakrwawionej szyi. Był przyspieszony. To dobrze, pomyślał Wallander, lepszy taki niż wolniejszy. Ciągle z pistoletem w ręku podniósł słuchawkę i wykręcił 90 000.

- Kolega jest ranny! - zawołał.

Potem trochę się uspokoił, przedstawił i powiedział, co się stało i gdzie są.

Sjósten odzyskał przytomność.

- Wszystko będzie dobrze - raz po raz powtarzał Wallander. - Pomoc jest w drodze.

- Co się stało? - zapytał Sjösten.

- Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze.

Cały czas gorączkowo szukał ran wlotowych. Wydawało mu się, że Sjösten oberwał co najmniej trzy kule. Doliczył się dwóch, jedna trafiła w bark, druga w ucho. Założył dwa opatrunki uciskowe, zastanawiał się, gdzie się podziela firma ochroniarska i dlaczego pomoc jeszcze nie nadeszła. Myślał o mercedesie i o tym, że nie popuści, dopóki nie dorwie człowieka, który strzelał do Sjöstena. Nie dał mu praktycznie żadnej szansy na obronę.

W końcu usłyszał syreny i wyszedł z domu. Najpierw przyjechała karetka, potem Birgersson, za nim dwa radiowozy i straż pożarna. Wszyscy drgnęli na widok Wallandera. Nie zauważył, że jest pokrwawiony. Ciągle trzymał w ręku pistolet Sjöstena.

- Co z nim? - spytał Birgersson.

- Jest w środku. Chyba z tego wyjdzie.

- Co się, do cholery, stało?

- Są tu cztery dziewczyny - powiedział Wallander. - Przypuszczalnie przez Helsingborg trafiają do burdeli w południowej Europie.

- Kto strzelał?

- Nie widziałem. Ale podejrzewam, że Hans Logard. To jego dom.

- Przy wyjeździe na szosę zderzył się z firmą ochroniarską jakiś mercedes - powiedział Birgersson. - Obyło się bez obrażeń. Tyle że człowiek, który prowadził mercedesa, uciekł samochodem ochroniarzy.

- No to go widzieli. To na pewno był on. Ochroniarze jechali tutaj, bo jak się włamaliśmy, włączył się alarm.

- Włamaliście się?

- Przestań! Szukaj wozu ochroniarzy. I ściągnij tu techników. Niech zdejmą wszystkie odciski palców i porównają z tymi, które znaleźliśmy wcześniej. W związku z Wetterstedtem, Carlmanem i tak dalej.

Birgersson zbladł. Dopiero teraz zaczął kojarzyć.

- Czy to był on?

- Prawdopodobnie. Ale pewności nie mamy. Do roboty. I nie zapomnij o dziewczętach. Zabierz je i traktuj uprzejmie. Załatw tłumaczy. Z hiszpańskiego.

- Cholera, dużo wiesz - przyznał Birgersson. Wallander wpatrywał się w niego.
- Nic nie wiem. Idź już.

Wynieśli Sjöstena. Wallander pojechał z nim karetką do miasta. Kierowca pożyczył mu ręcznik. Wytarł się starannie, a potem skorzystał z telefonu, żeby się skontaktować z Ystadem. Było tuż po siódmej. Złapał Svedberga i opowiedział mu, co się wydarzyło.

- Co to za jeden, ten Logard? - spytał Svedberg.

- Musimy się tego dowiedzieć. Czy Louise Fredman ciągle nie ma?

- Nie ma.

Wallander musiał się zastanowić. To, co przez chwilę wydawało mu się logiczne, rozsypało się.

- Jeszcze się odezwę - powiedział. - Powiadom o wszystkim naszą grupę.

- Ludwiggsson i Hamren znaleźli interesującego świadka na Sturupie - doniósł Svedberg. - Nocnego stróża. Widział mężczyznę na motorowerze. Czas się zgadza.

- Na motorowerze?

- Tak.

- Chyba, do cholery, nie myślisz, że sprawca jeździ na motorowerze? To dobre dla dzieci.

Wallander zauważył, że ponoszą go nerwy. Nie chciał tego. Zwłaszcza wobec Svedberga. Szybko zakończył rozmowę.

Sjösten popatrzył na niego z noszy.

- Wszystko dobrze - powiedział Wallander z uśmiechem.

- Jakby mnie koń zrzucił - zajęczał Sjösten. - Dwa razy.

- Nic nie mów. Niedługo będziemy w szpitalu.

Wieczór i noc z czwartku na piątek były bodaj najbardziej chaotyczne w policyjnej karierze Wallandera. Wszystko, co się wydarzyło, miało dziwnie nierzeczywisty charakter. Nigdy nie zapomni tej nocy, ale nigdy nie będzie pewien, czy dobrze ją zapamiętał. Kiedy Sjöstenem zajęli się lekarze i zapewnili, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, Wallander pojechał radiowozem do komendy. Birgersson okazał się sprawnym organizatorem, dobrze zrozumiał jego polecenia, wydane przed domem Logarda. Był dość przezorny, by stworzyć coś w rodzaju zewnętrznej strefy, do której wpuszczano lawinowo napływających dziennikarzy. Do centrum, tam, gdzie prowadzono śledztwo, nie mieli dostępu.

Wallander wyszedł ze szpitala o dziesiątej. Od kolegi pożyczył czystą koszulę i

spodnie. Cisnęły go w pasie i nie mógł zasunąć rozporka. Birgersson zadzwonił do jednego z najelegantszych salonów odzieżowych w mieście i poprosił Wallandera do słuchawki. Z dziwnym uczuciem usiłował sobie przypomnieć obwód w talii. Poślaniec przywiózł do komendy kilka par spodni. Jedna pasowała. Do helsingborskiej komendy przyjechali Ann-Britt Hóglund, Svedberg, Ludwigsson i Hamren i zabrali się do pracy. Trwał pościg za samochodem ochroniarzy. W różnych pokojach odbywały się przesłuchania. Hiszpańskojęzyczne dziewczęta dostały tłumaczy. Ann-Britt Hóglund rozmawiała z jedną, pozostałymi zajęły się policjantki z Helsingborga. Poza tym byli przesłuchiwanie ochroniarze. Technicy porównywali odciski palców. Kilku policjantów siedziało przy komputerach, szukając wszelkich możliwych danych o Hansie Logardzie. Choć pracowali pełną parą, panował spokój. Birgersson krążył wszędzie, pilnując, by nic się nie rozpręgło. Za jego aprobatą Wallander, zasięgnąwszy języka w sprawie aktualnej sytuacji, zebrał swoich kolegów z Ystadu na naradę. Uznał Birgerssona za wzorowego szefa, jednego z nielicznych wyjątków, który nie przejawia żadnych cech tak typowej w ich policyjnym środowisku klikowości, niepozostającej bez wpływu na poziom ich pracy. Zależało mu na ujęciu człowieka, który strzelał do Sjostena, i na tym, żeby jak najwięcej spraw powyjaśniać, zanim nabiorą pewności, co się stało i kto jest sprawcą.

Przynieśli sobie kawę i zamknęli drzwi. Hansson był pod telefonem. Wallander przedstawił swoją wersję wydarzeń. Przede wszystkim chciał jednak zrozumieć powody własnego niepokoju. Zbyt wielu wątków nie udało mu się połączyć w sensowną całość. Czy człowiek strzelający do Sjostena, współpracownik Liljegrena, który trzymał dziewczęta pod kluczem, to rzeczywiście ich samotny wojownik? Wątpił. Miał za mało czasu, żeby się nad tym zastanowić, za dużo się wokół niego działo, mógł to zrobić dopiero teraz, w gronie kolegów, kiedy od świata, w którym prowadzono śledztwo i w którym nie było czasu na namysł, oddzieliły ich drzwi. Sjosten też byłby z nimi, gdyby nie leżał w szpitalu. Musieli teraz zarzucić coś w rodzaju kotwicy, przydatnej w nabierającym nagle przyspieszenia śledztwie. Zawsze istniało ryzyko, że na tym etapie może przejść w galop i ponieść.

Wallander zastanawiał się, dlaczego nie ma Ekholma.

- Dzisiaj rano pojechał do Sztokholmu - wyjaśnił Svedberg.

- Jest nam potrzebny.

- Wróci jutro rano - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Jedno z jego dzieci potrafił samochód. Podobno niegroźnie, ale zawsze.

Wallander skinął głową. Zamierzał kontynuować, kiedy zadzwonił telefon. Hansson chciał z nim mówić.

- Wielokrotnie dzwoniła do ciebie Bajba Liepa z Rygi - oznajmił. - Prosi, żebyś się z nią natychmiast skontaktował.

- Teraz nie mogę - odparł Wallander. - Wytłumacz jej, jeśli znowu się odezwie. - Jeśli dobrze ją zrozumiałem, w sobotę masz na nią czekać na Kastrupie. Chodzi o wasz wspólny urlop. Jak ty sobie to wyobrażasz?

- Nie teraz - powiedział Wallander. - Zadzwonię później.

Tylko Ann-Britt Hóglund wydawała się rozumieć, czego dotyczyła rozmowa z Hanssonem. Wallander pochwycił jej spojrzenie. Uśmiechnęła się.

- Kontynuujmy - powiedział. - Szukamy mężczyzny, który usiłował zabić mnie i Sjóstena. W domu pod Bjuvem znajdujemy zamknięte dziewczęta. Możemy przyjąć, że Dolores Maria Santana była jedną z nich, dziewczęta przewożono przez Szwecję do burdeli i diabli wiedzą, gdzie jeszcze, w innych częściach świata. Ściągali je ludzie powiązani z Liljegrenem. Przede wszystkim Hans Logard. Jeśli to jego prawdziwe nazwisko. Sądzymy, że to on strzelał. Ale nie wiemy tego na pewno. Nie mamy nawet jego zdjęcia. Może ochroniarze, którym ukradł samochód, podadzą dobry rysopis. Są jednak wstrząśnięci. Zdaje się, że widzieli tylko jego pistolet. Teraz go ścigamy. Ale czy rzeczywiście ścigamy naszego sprawcę? Tego, który zabił Wetterstedta, Carlmana, Fredmana i Liljegrena? Chciałbym powiedzieć, że wątpię. Możemy mieć tylko nadzieję, że człowiek, który ucieka samochodem ochroniarzy, zostanie szybko ujęty. My musimy pracować tak, jakby to wydarzenie miało miejsce na obrzeżach śledztwa. Interesuje mnie to, co się stało z Louise Fredman. I jakie są wiadomości ze Sturupu. Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, czy macie jakieś zastrzeżenia do mojej aktualnej oceny sytuacji.

W pokoju zaległa cisza.

- Ja jestem z zewnątrz - odezwał się po chwili Hamren - i nie muszę się bać, że komuś nadepnę na odcisk, bo pewnie depczę wszystkim cały czas, w każdym razie wydaje mi się to słuszne. Mamy czasem skłonności do czepiania się jednej myśli, podczas gdy sprawcy mają ich dziesięć... - Wallander słuchał z aprobatą, mimo że nie był pewien, czy Hamren naprawdę tak uważa.

- Louise Fredman zaginęła bez śladu - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Ktoś ja odwiedził i z tym kimś wyszła. Personel nie widział tego kogoś. Nazwisko wpisane do zeszytu dla odwiedzających jest nieczytelne. Ponieważ ludzie pracują teraz na

zastępstwach, rutynowy system kontroli praktycznie nie funkcjonuje.

- Ktoś musiał przecież widzieć człowieka, który po nią przyszedł - zdenerwował się Wallander.

- Owszem - przyznała Ann-Britt Hóglund. - Salowa Sara Pettersson.

- Czy ktoś z nią rozmawiał?.

- Wyjechała.;

- Dokąd?

- Jeździ pociągami po Europie. Może być wszędzie.

- Cholera.

- Poszukajmy jej przez Interpol - flegmatycznie zaproponował Ludwigsson. - Powinno się udać.

- Tak, chyba tak zrobimy - zgodził się Wallander. - I to bezzwłocznie. Niech się ktoś skontaktuje z Perem Akesonem jeszcze tego wieczoru.

- To podlega Malmö - zaznaczył Svedberg.

- Mam w dupie rejonizację - zdenerwował się Wallander.

- Macie to załatwić. Niech się Akeson tym martwi.

Ann-Britt Hóglund obiecała porozmawiać z Akesonem. Wallander zwrócił się do Ludwigssona i Hamrena:

- Słyszałem o motorowerze - powiedział. - Podobno świadek widział coś ciekawego koło lotniska.

- Tak - przyznał Ludwigsson. - Czas się zgadza. Tej nocy widział motorower wyjeżdżający na E65.

- Dlaczego nas to interesuje? - Dlatego że świadek jest całkiem pewien, że motorower odjechał mniej więcej w tym samym czasie, kiedy się tam zjawił samochód dostawczy. Ford Bjórna Fredmana.

Wallander zdał sobie sprawę, że to bardzo ważne.

- Mówimy o tych godzinach nocnych, kiedy lotnisko jest zamknięte - kontynuował Ludwigsson. - Czyli kiedy nic się nie dzieje. Nie ma taksówek, nie ma ruchu. Wtedy przyjeżdża samochód dostawczy i zatrzymuje się na parkingu. Chwilę później odjeżdża motorower.

W pokoju zaległa cisza, jak makiem zasiał. Wszyscy po raz pierwszy mieli świadomość, że są bardzo blisko sprawy. Jeśli w skomplikowanych śledztwach zdarzają się chwile magiczne, to właśnie takiej chwili doświadczali.

- Mężczyzna na motorowerze - powiedział Svedberg. - Czy to możliwe?

- Mamy rysopis? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Według świadka człowiek na motorowerze był w kasku. Nie widział więc twarzy. Jest stróżem na Sturupie od lat. Po raz pierwszy zobaczył tam w nocy motorower.

- Skąd on wie, że pojechał w kierunku Malmö?

- Nie wie, a tego nie powiedziałem.

Wallander wstrzymał oddech. Głosy kolegów oddaliły się, przypominały niewyraźny szum w eterze. Ciągle nie wiedział, co takiego zobaczył. W każdym razie teraz byli bardzo blisko.

Gdzieś w oddali Hoover słyszał grzmoty. Cicho, żeby nie obudzić siostry, liczył sekundy dzielące błyskawice od piorunów. Burza przechodziła bokiem. Ominie Malmö. Patrzył na nią. Spała na materacu. Chciał jej ofiarować coś zupełnie innego, ale wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nienawistny mu policjant, pułkownik kawalerii w niebieskich spodniach, którego nazwał Perkins, bo uznał, że to do niego pasuje, i Człowiek Ciekawski, zażądał obejrzenia zdjęć Louise i groził, że ją odwiedzi. Wtedy zrozumiał, że musi natychmiast zmienić swoje plany. Zabierze Louise, zanim ostatni skalp i serce dziewczyny zostaną pogrzebane pod oknem. Wszystko odbyło się w pośpiechu, dlatego zdążył jedynie znieść materac i koc do piwnicy. A myślał o czymś zupełnie innym. W Limhamnie był duży pusty dom. Właścicielka każdego lata wyjeżdżała do swoich krewnych, do Kanady. Kiedyś go uczyła. Potem czasami ją odwiedzał i załatwiał różne sprawunki. Stąd wiedział, że jej nie ma. Dawno temu skopiował klucz do drzwi wejściowych. Tam mogliby zamieszkać i spokojnie zaplanować wspólną przyszłość. Ale przeszkodził w tym ciekawski policjant. Dopóki nie umrze, co powinno nastąpić jak najszybciej, muszą się zadowolić materacem i piwnicą.

Spała. Kiedy po nią przyszedł do szpitala, wziął lekarstwa z szafki. Nie pomalował twarzy, ale miał z sobą siekierę i noże, na wypadek gdyby ktoś próbował go powstrzymać. W szpitalu panował dziwny spokój, prawie nie było personelu. Wszystko poszło dużo łatwiej, niż to sobie wyobrażał. Louise w pierwszej chwili go nie poznała, w każdym razie wahała się. Kiedy usłyszała jego głos, nie stawiała oporu. Przyniósł jej ubranie. Przeszli przez szpitalny park, a potem wzięli taksówkę. Po prostu. Nic nie mówiła, nie dziwiła się, dlaczego ma leżeć na materacu, położyła się i od razu zasnęła. Był zmęczony. Ułożył się obok niej i usnął. Przyszłość jest bliżej niż kiedykolwiek, pomyślał, zanim zapadł w sen. Skalpy, które zakopał, zaczynały

przekazywać swoją moc. Louise wracała do życia. Niedługo wszystko się odmieni. Spojrzał na nią. Był wieczór. Minęła dziesiąta. Podjął decyzję. Następnego dnia, o świcie, pojedzie do Ystadu po raz ostatni.

W Helsingborgu dochodziła północ. Tłum dziennikarzy okupował zewnętrzną strefę, którą stworzył Birgersson. Komendant był na miejscu. Pościg za samochodem ochroniarzy na razie nie przyniósł rezultatów. Interpol, po usilnych żądaniach Wallandera, zgodził się na poszukiwania Sary Pettersson, która jeździła z przyjaciółką po Europie. Przy pomocy rodziców dziewcząt naszkicowali przypuszczalną trasę ich podróży. Mieli gorącą noc. Hansson i Martinsson, którzy zostali w Ystadzie, cały czas otrzymywali najświeższe informacje. W zamian przekazywali te fragmenty materiałów dochodzeniowych, których Wallander w danej chwili potrzebował. Per Akesson był pod telefonem w domu. Mimo późnej pory Wallander wysłał Ann-Britt Hóglund do Malmö, do rodziny Fred-mana. Chciał się upewnić, czy to nie oni zabrali Louise ze szpitala. Najchętniej pojechałby sam, ale nie mógł być w dwóch miejscach naraz. Wsiadła do samochodu o wpół do jedenastej, po rozmowie Wallandera z wdową po Fredmanie. Liczył, że będzie z powrotem około pierwszej.

- Kto się opiekuje dziećmi, kiedy jesteś tutaj? - zapytał, kiedy się szykowała do wyjazdu.

- Mam fantastyczną sąsiadkę. Inaczej bym sobie nie poradziła.

Zaraz po jej odjeździe zadzwonił do domu. Linda już była. Wyjaśnił jej najlepiej, jak umiał, co się stało. Nie wiedział, kiedy wróci, może w nocy, może dopiero jutro nad ranem. To zależy od sytuacji.

- Zdązysz się ze mną pożegnać? - spytała. - Pożegnać?

- Zapomniałeś, że płynę na Gotlandię? Kajsa i ja wyjeżdżamy w sobotę. Wtedy, kiedy ty będziesz w Skagenie.

- Jasne, że nie zapomniałem. Do tego czasu na pewno wrócę.

- Rozmawiałeś z Bajbą?

- Tak - skłamał, mając nadzieję, że się nie domyśli.

Podał jej numer telefonu w Helsingborgu. Zastanawiał się potem, czy nie powinien zadzwonić do ojca. Ale było późno. Na pewno się już położyli.

Wszedł do centrali dowodzenia, gdzie Birgersson trzymał w ręku wszystkie nitki. Minęło pięć godzin i nikt nie zauważył ukradzonego samochodu ochroniarzy. Birgersson zgadzał się z Wallanderem, że mogło to znaczyć tylko tyle, że Logard, jeśli to był on, nie poruszał się samochodem.

- Ma do swojej dyspozycji dwie łodzie - powiedział Wallander. - I dom pod Bjuvem, do którego z trudem trafiliśmy. Z całą pewnością ma więcej kryjówek.

- Nasi ludzie przeszukują łodzie - poinformował Birgersson. - I Hórdestigen. Poleciałem im też szukać wszelkich innych możliwych adresów.

- Kim jest ten przeklęty Hans Logard?

- Zaczęli sprawdzać odciski palców. Jeśli kiedykolwiek miał do czynienia z policją, to go wkrótce znajdziemy.

Wallander poszedł tam, gdzie przesłuchiowano dziewczęta. Odbywało się to dość mozolnie, bo za pośrednictwem tłumaczy, a poza tym dziewczęta się bały. Wallander poprosił policjantki, żeby im na wstępie wyjaśniły, że żadna nie jest o nic oskarżona. Zastanawiał się, jak bardzo się boją. Pomyślał o strachu Dolores Marii Santany. Większego chyba nie doświadczył. Teraz, o północy, zaczął się jednak wyłaniać określony obraz. Wszystkie dziewczęta pochodziły z Dominikany. Nie znały się wcześniej, chciały wyjechać ze swoich wiosek do miasta, żeby tam szukać pracy jako pomoc domowa albo w fabryce. Nawiązali z nimi kontakt różni mężczyźni, wszyscy bardzo mili, i zaoferowali pracę pomocy domowej w Europie. Widziały zdjęcia dużych pięknych domów nad Morzem Śródziemnym, ich pensje miały być niemal dziesięciokrotnie wyższe w porównaniu z tymi, na jakie mogły liczyć u siebie, jeśli w ogóle dostałyby jakąś pracę. Niektóre się wahały, inne nie, ale w końcu wszystkie się zgodziły. Dostały paszporty, nie mogły ich jednak zatrzymać. I poleciały do Amsterdamu, przynajmniej dwie z nich myślały, że to miasto tak się nazywa. Potem minibusem przewieziono je do Danii. A mniej więcej tydzień temu, w nocy, przyplłynęły łodzią do Szwecji. Cały czas przebywały w towarzystwie coraz to innych mężczyzn, których uprzejmość malała, w miarę jak się oddalały od swojego kraju. Przestraszyły się nie na żarty wówczas, gdy zostały zamknięte w tym domu na odludziu. Dostały coś do jedzenia, jakiś mężczyzna słabo znający hiszpański powiedział im, że niedługo pojedą dalej i że to już będzie ostatnia podróż. Teraz zaczęły rozumieć, że nic nie było tak, jak im obiecano. I miejsce strachu zajęło paniczne przerażenie.

Wallander poprosił policjantki o zadawanie szczegółowych pytań dotyczących mężczyzn, których dziewczęta widziały w tych dniach, kiedy je zamknięto. Ilu ich było, czy tylko jeden, czy więcej? Czy mogłyby opisać łódź, którą przyplłynęły do Szwecji? Jak wyglądał kapitan? Czy była jakaś załoga? Poleciał zawieźć jedną z dziewcząt do jachtklubu, żeby sprawdzić, czy rozpoznaje kajutę łodzi Logarda. Wiele pytań

pozostawało bez odpowiedzi, ale zaczął się już wyłaniać jakiś wzór. Wallander krążył po komendzie w poszukiwaniu wolnego pokoju, gdzie mógłby się zamknąć i pomyśleć.

Z niecierpliwością czekał na powrót Ann-Britt Hóglund. Powinni wreszcie zidentyfikować Hansa Logarda. Próbował znaleźć jakiś związek między motorowerem pod lotniskiem Sturup, człowiekiem, który skalpuje i zabija siekierą, i innym człowiekiem, który strzela z broni półautomatycznej. Przebiegał myślami całe śledztwo. Pojawił się ból głowy, który wcześniej przeczuwał, próbował go zlikwidować disprilem, ale nie całkiem mu się to udało. Było bardzo duszno. Nad Danią grzmiało. Za niespełna dwie doby powinien być na Kastrupie. Za pięć wpół do pierwszej stał przy oknie, patrzył na letnią jasną noc i myślał, że światem rządzi niesamowity chaos. Do pokoju wszedł Birgersson, triumfująco machając jakimś papierem.

- Wiesz, kto to jest Erik Sturesson? - zapytał.

- Nie.

- A Sture Eriksson?

- Nie.

- To jedna i ta sama osoba. Później jeszcze raz zmienił nazwisko. Ale już się nie zadowolił przestawieniem imienia i nazwiska. Wyszukał sobie coś bardziej wytwornego. Hans Logard.

Wallander zapomniał o chaosie świata. Birgersson wprowadził jasność, jakiej potrzebował.

- Dobrze - powiedział. - Co wiemy?

- Odciski palców zdjęte w Hórdestigen i w łodziach były w rejestrze pod nazwiskami Sturesson i Eriksson. Ale nie pod Logard. Erik Sturesson, bo tak się naprawdę nazywa Hans Logard, ma czterdzieści siedem lat. Urodził się w Skóvde, ojciec był zawodowym żołnierzem, matka nie pracowała. Oboje zmarli pod koniec lat sześćdziesiątych, poza tym ojciec pił. Erik szybko trafił w złe towarzystwo. Jest notowany po raz pierwszy, kiedy ma czternaście lat. A potem to już poszło. Podsumowując, siedział w Ósterakerze, Kumli i Hallu. I krótko w Norrkópingu. Kiedy wyszedł z Ósterakeru, zmienił nazwisko na Eriksson.

- Za co siedział? - Za rozmaite prostsze zajęcia i za bardziej wyspecjalizowane. Najpierw kradzieże i oszustwa, jakieś pobicia, a potem coraz poważniejsze przestępstwa. Oczywiście narkotyki. Podobno pracował w terenie dla szajek tureckich i pakistańskich. To na razie zaledwie streszczenie, w ciągu nocy przyjdzie tego więcej.

Ściągamy wszystko, co się da.

- Potrzebne nam jego zdjęcie - powiedział Wallander. - I trzeba porównać odciski palców z tymi, które znaleźliśmy u Wetterstedta i Carlmana. I Fredmana. Nie zapomnijcie o odcisku z lewej powieki.

- Nyberg nad tym siedzi. Bez przerwy wydaje się wkurwiony.

- Jak go zwał, tak go zwał. W każdym razie jest zdolny.

Usiedli przy stole zastawionym kubkami po kawie. Wokół nich cały czas dzwoniły telefony. Obwarowali się niewidocznym murem. Wpuścili tylko Svedberga. - Ciekawe, że Hans Logard nagle przestaje odwiedzać nasze więzienia - zauważył Birgersson. - Ostatni raz siedzi w osiemdziesiątym dziewiątym. I od tamtej pory cisza, nic. Jakby dostał zbawienia.

- Jeśli się nie mylę, właśnie w tym czasie Ake Liljegren kupuje sobie dom w Helsingborgu? Birgersson skinął głową.

- Jeszcze tego do końca nie sprawdziliśmy, ale wydaje się, że Hans Logard dostał wpis hipoteczny na Hórdestigen w dziewięćdziesiątym pierwszym. Czyli mamy dwa lata przerwy. Oczywiście mógł w tym czasie mieszkać gdzie indziej.

- Zaraz się tego dowiemy - powiedział Wallander, przysuwając do siebie telefon. - Jaki jest numer do Elisabeth Carlen? Jest na biurku Sjóstena. Ciągłe jest pod obserwacją?

Birgersson skinął głową. Wallander podjął szybką decyzję.

- Zdejmijcie ich - powiedział.

Ktoś położył kartkę przed Wallanderem. Wykręcił numer i czekał. Odebrała prawie od razu. - Tu Kurt Wallander.

- O tej porze nie pojedę na komendę - oświadczyła.

- To zbyteczne. Mam tylko jedno pytanie. Czy Hans Logard był widywany w towarzystwie Ake Liljegrena już w osiemdziesiątym dziewiątym? Czy w dziewięćdziesiątym?

Usłyszał, że zapala papierosa. Wydmuchała dym prosto w słuchawkę.

- Tak - powiedziała. - Myślę, że tak. A na pewno w dziewięćdziesiątym.;

- Okej.

- Dlaczego jestem pod obserwacją?

- Zgadnij. Nie chcemy, żeby coś ci się stało. Już ją zdejmujemy. Tylko nie wyjeżdżaj bez uprzedzenia, bo będę zły.

- Aha. Myślę, że możesz być zły. Odłożyła słuchawkę.

- Zdaje się, że Hans Logard pojawia się w towarzystwie Liljegrena w związku z przeprowadzką do Helsingborga - powiedział Wallander. - Dwa lata później załatwia sobie Hördestigen. Najwyraźniej to Ake Liljegen zadbał o jego zbawienie.

Wallander próbował połączyć różne wątki.

- I mniej więcej w tym okresie pojawiły się pogłoski o handlu dziewczętami. Zgadza się?

Birgersson pokiwał głową. Przez chwilę zastanawiali się.

- Czy w przeszłości Logard często używał przemocy? - spytał Wallander.

- Dopuszczał się ciężkiego pobicia, ale nigdy nie strzelał. W każdym razie my nic o tym nie wiemy. - Żadnych siekier?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Tak czy inaczej, musimy go znaleźć. Gdzie on się, do cholery, ukrywa?

- Znajdziemy go. Prędzej czy później wyjdzie z nory.

- Dlaczego strzelał? - Jego o to zapytaj.

Birgersson wyszedł z pokoju. Svedberg zdjął czapkę.

- Czy to na pewno nasz człowiek? - spytał z wahaniem.

- Nie wiem - przyznał Wallander. - Ale wątpię. Chociaż mogę się oczywiście mylić. Obym się mylił.

Svedberg wyszedł, Wallander znów był sam. Bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu Rydberga, który często powtarzał: „Zawsze jest jeszcze jedno pytanie, które możesz zadać”. Jakiego pytania jeszcze sobie nie zadał? Pytania były zadane, ale nie znał odpowiedzi.

Odczuł ulgę, widząc Ann-Britt Hóglund. Była za trzy pierwsza. Znowu jej pozazdrościł opalenizny.

- Louise tam nie ma - powiedziała. - Matka była pijana. Chyba rzeczywiście niepokoi się o córkę. Nie mogła zrozumieć, co się stało. Myślę, że mówiła prawdę. Bardzo mi jej żal.

- Nie miała żadnego pomysłu?

- Nie. Dużo o tym myślała.

- Czy wcześniej zdarzyło się coś podobnego?

- Nie.

- A co na to syn?

- Starszy czy młodszy?

- Starszy. Stefan.

- Nie było go w domu.

- Szuka siostry?

- Jeśli dobrze zrozumiałam matkę, czasami go nie ma w domu. Ale na jedno zwróciłam uwagę. Spytałam, czy mogę się trochę rozejrzeć. Żeby się upewnić, czy Louise na pewno nie ma. I weszłam do pokoju Stefana. Na jego łóżku nie było materaca, została tylko narzuta. Ani materaca, ani poduszki, ani koca.

- Spytałaś ją, gdzie on jest?

- Niestety, nie. Ale podejrzewam, że nie umiałaby odpowiedzieć.

- Wiedziała, jak długo go nie ma? - Zastanowiła się i zajrzała do notatek.

- Od wczorajszego popołudnia.

- Wtedy, kiedy zniknęła Louise. Spojrzała na niego zdziwiona.

- On miałby ją zabrać? No to gdzie oni są?

- Dwa pytania, dwie odpowiedzi. Nie wiem. Nie wiem. Wallandera ogarnęło nieprzyjemne uczucie. Nie potrafił go nazwać. Ale w nim było.

- Czy przypadkiem nie spytałaś jej o to, czy Stefan ma motorower?

Natychmiast zrozumiała, do czego zmierza.

- Nie.

Wallander skinął na telefon.

- Zadzwoń do niej - powiedział. - I zapytaj. Ona pije nocami. Nie obudzisz jej.

Sporo czasu upłynęło, zanim odebrała. Rozmowa była krótka. Ann-Britt Hóglund odłożyła słuchawkę. Wyraźnie jej ulżyło.

- Nie ma motoroweru. W każdym razie ona nic o tym nie wie. Zresztą Stefan chyba jeszcze nie skończył piętnastu lat.

- To była tylko taka myśl. Musimy wiedzieć wszystko. Poza tym wątpię, czy dzisiejsza młodzież przejmuje się tym, co dozwolone, a co nie.

- Kiedy zbierałam się do wyjścia, obudził się młodszy synek. Spał na kanapie obok matki, i to mnie chyba najbardziej poruszyło.

- Że się obudził?

- Nie, to, jak na mnie patrzył. Nigdy nie widziałam u dziecka tak wystraszonego oczu.

Wallander uderzył pięścią w stół. Ann-Britt Hóglund drgnęła.

- Już wiem, czego sobie nie mogłem przez cały czas przypomnieć. Cholera! -
Czego?

- Zaraz, zaraz...

Wallander pocierał skronie, żeby przywołać w pamięci obraz, który od dawna nie dawał mu spokoju. Już go miał.

- Pamiętasz lekarkę z Malmö, która robiła obdukcję Dolores Marii Santany? Jak ona się nazywa? Malm?

- Svedberg ma dobrą pamięć. Pójdę po niego.

- Nie, nie trzeba. Już sobie przypomniałem. Malmström. Musimy ją złapać. Natychmiast. Zajmij się tym. W try miga.

- Dlaczego?

- Później ci wytłumaczę.

Wstała i wyszła z pokoju. Pomyślał, że to nie może być prawda. Czy rzeczywiście Stefan Fredman jest w to wmieszany? Zadzwoił do Pera Akesona. Odebrał od razu. Mimo że Wallander nie miał na nic czasu, zrelacjonował mu sytuację, po czym przeszedł do sedna.

- Chciałbym cię prosić o przysługę - powiedział. - Teraz. W środku nocy. Zadzwoń do szpitala, w którym była Louise, i poproś o przesłanie faksem tutaj, do Helsingborga, tej strony z podpisem osoby, która ją odebrała.

- Jak ty to sobie, do diabła, wyobrażasz?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Ale to może być ważne. Niech przekreślą wszystkie inne nazwiska na tej stronie. Mnie interesuje tylko ten jeden podpis.

- Który był nieczytelny?

- Właśnie. Chcę zobaczyć nieczytelny podpis. Wallander powiedział to bardzo dobitnie. Per Akeson domyślił się, że być może jest na tropie czegoś bardzo ważnego.

- Daj mi numer faksu - zgodził się Per Akeson. - Spróbuję.

Wallander podał mu numer i odłożył słuchawkę. Zegar ścienny wskazywał pięć po drugiej. Ciągle było duszno. Wallander pocił się w swojej nowej koszuli. Roztargniony, zastanawiał się, czy za koszulę i nowe spodnie zapłacił skarb państwa. Dziesięć po drugiej wróciła Ann-Britt Hóglund z wiadomością, że Agneta Malmström spędza urlop z rodziną, żeglując gdzieś między Landsortem a Oxelosundem.

- Czy ich łódka jakoś się nazywa?

- To podobno maks, a nazywa się „Sanborombon”. Mam numer.

- Zadzwoń do Radia Sztokholm. Na pewno mają radio na pokładzie. Poproś, żeby wywołali łódź. Zaznacz, że to pilne. Porozmawiaj z Birgerssonem. Chcę się z nią jak najszybciej skontaktować.

Wallander zauważył, że zaczyna wydawać rozkazy. Ann-Britt Hóglund zderzyła

się w drzwiach ze Svedbergiem, który wszedł z kolejnymi materiałami o ochroniarzach.

- Miałeś rację - powiedział. - W zasadzie widzieli tylko pistolet. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Facet miał jasne włosy, niebieskie oczy i był w czymś w rodzaju dresu. Normalnego wzrostu, mówił ze sztokholmskim akcentem. Wyglądał na naćpanego.

- Co przez to mają na myśli?

- Jego oczy.

- Zakładam, że rysopis jest w drodze.

- Sprawdzę.

Svedberg wyszedł. Na korytarzu dały się słyszeć podniesione głosy. Wallander domyślał się, że jakiś dziennikarz próbuje przekroczyć granicę wyznaczoną przez Birgerssona. Wyjął notatnik i pospiesznie skreślił kilka uwag. Były niespójne, zapisał je w takiej kolejności, jaką podsuwała mu pamięć. Pocił się, bez przerwy patrzył na zegar, a w jego głowie siedziała Bajba, czekająca w swoim spartańskim mieszkaniu w Rydze na telefon od niego. Zbliżała się trzecia w nocy. Samochód ochroniarzy jeszcze się nie odnalazł. Hans Logard gdzieś się zaszyl. Dziewczyna, która obejrzała łódź, nie była całkiem pewna, czy to ta. Za sterem stał człowiek, który nie pokazywał swojej twarzy. Żadnej załogi sobie nie przypomina. Wallander powiedział Birgerssonowi, że dziewczęta powinny się już położyć. Załatwiono im pokoje w hotelu. Jedna z nich uśmiechnęła się nieśmiało do Wallandera, kiedy się mijali na korytarzu. Ucieszył go ten uśmiech. W równych odstępach czasu Birgersson wchodził tam, gdzie Wallander chwilowo przebywał, i zostawiał nowe informacje o Hansie Logardzie. Kwadrans po trzeciej Wallander dowiedział się, że Logard był dwukrotnie żonaty i miał dwoje małoletnich dzieci. Córka mieszkała z matką w Hagforsie, a dziewięcioletni syn w Sztokholmie. Siedem minut później Birgersson doniósł, że Hans Logard ma przypuszczalnie jeszcze jedno dziecko, ale na razie nie udało się tego potwierdzić.

O wpół do czwartej, kiedy Wallander siedział nad filiżanką kawy, z nogami na stole, do pokoju wszedł zmęczony policjant i powiedział, że Radio Sztokholm nawiązało łączność z żaglówką Malmstrómów. Są w odległości siedmiu minut od Landsortu i kierują się na Arkósund. Wallander zerwał się z krzesła i ruszył do centrali dowodzenia. Birgersson przekazał mu słuchawkę.

- Są gdzieś pomiędzy dwoma latarniami, Havringe i Gustaf Dalen - powiedział.

- Będziesz rozmawiał z Karlem Malmstrómem.

Wallander szybko oddał słuchawkę Birgerssonowi.

- Z nią chcę rozmawiać, nie z nim - powiedział. - Jego mam w dupie.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że w okolicy jest mnóstwo łodzi, na których też są radia.

Wallander w ogóle o tym nie pomyślał.

- Lepsza jest komórka - uznał. - Spytaj, czy mają jakąś na pokładzie.

- Już pytałem. Nie są zwolennikami telefonów komórkowych w czasie urlopu. - No to niech dobiją do brzegu. I zadzwonią stamtąd.

- A ile to twoim zdaniem może potrwać? Wiesz, gdzie jest Havringe? Jest środek nocy. Mają teraz stawiać żagiel?

- Sram na to, gdzie jest Havringe. Poza tym mogą żeglować nocą, nie stoją na kotwicy. Może w pobliżu jest jakaś inna łódź i mają komórkę. Powiedz, że chcę mieć połączenie w ciągu godziny. Z nią. Nie z nim.

Birgersson pokręcił głową i zaczął krzyczeć w słuchawkę.

Trzydzieści minut później zadzwoniła Agneta Malmström z komórki, którą pożyczyci od ludzi z mijanej łodzi. Wallander nawet nie przeprosił, że zakłóca im spokój, tylko od razu przystąpił do rzeczy.

- Pamięta pani dziewczynę, która się spaliła? - spytał. - Kilka tygodni temu, na polu rzepaku.

- Naturalnie, że pamiętam.

- A pamięta pani naszą rozmowę? Dziwiłem się, że młodzi ludzie mogą coś podobnego robić. Nie pamiętam dokładnie, jakich słów użyłem.

- Pamiętam jak przez mgłę.

- W odpowiedzi podała mi pani przykład z własnego doświadczenia. Chodziło o małego chłopca, który tak się bał ojca, że próbował sobie wykluć oczy.

- Tak - powiedziała. - Ale nie znałam tego z własnych doświadczeń. Mówił mi o tym kolega.

- Kto taki?

- Mój mąż. Też jest lekarzem.

- Wobec tego chciałbym z nim porozmawiać.

- To chwilę potrwa. Muszę po niego popłynąć jolką. Rzuciliśmy dryfkotwę kawałek stąd.

Dopiero teraz Wallander przeprosił za kłopot.

- Niestety to konieczne - powiedział.

- To chwilę potrwa - powtórzyła.

- Gdzie, do licha, jest Havringe? - Pośrodku morza. Jest tu bardzo pięknie. Teraz żeglujemy nocą na południe. Mimo nie najlepszego wiatru.

Telefon odezwał się po dwudziestu minutach. W tym czasie Wallander dowiedział się, że Karl Malmstrom jest pediatrą.

- Pamiętam ten przypadek.

- Czy przypomina pan sobie nazwisko tego chłopca?

- Tak, ale nie mogę go podawać przez telefon. Wallander rozumiał. Myślał gorączkowo.

- Zróbmy tak - powiedział po chwili. - Zadam panu pytanie. Proszę o odpowiedź „tak” albo „nie”, bez wymieniania żadnego nazwiska.

- Spróbujmy - odparł Karl Malmstrom.

- Czy ma ono związek z Bellmanem? - spytał Wallander. Karl Malmstrom zrozumiał.

- Tak - powiedział od razu. - Rzeczywiście ma.

- Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że nie będę musiał więcej przeszkadzać. Życzę udanego urlopu.

Karl Malmstrom nie wydawał się poirytowany.

- To miłe uczucie, kiedy się wie, że policja ciężko pracuje - rzucił na zakończenie.

Wallander oddał słuchawkę Birgerssonowi.

- Spotkajmy się za chwilę - powiedział. - Potrzebuję kilku minut, żeby coś sobie przemyśleć.

- Usiądź w moim pokoju - zaproponował Birgersson. - Nikogo tam teraz nie ma.

Wallander był nagle bardzo zmęczony. Nieprzyjemne uczucie ćmiło jak ból. Nie chciał wierzyć, że to, co myśli, jest prawdą. Długo z tym walczył, ale dłużej już nie mógł. Obraz, który się wyłonił, był porażający. Strach małego chłopca przed ojcem. Zemsta starszego brata, który wlewa kwas solny w oczy ojca. I bierze obłąkańczy odwet w imieniu zhańbioniej w jakiś sposób siostry. Wszystko stało się nagle bardzo jasne. Wszystko do siebie pasowało i rezultat był przerażający. Pomyślał, że podświadomie od dawna to wiedział, ale nie przyjmował do wiadomości. Wybrał inny trop, który go oddalił od celu. Do drzwi zapukał policjant.

- Przyszedł faks z Lundu - powiedział. - Ze szpitala.

Per Akesson szybko się uwinął. Była to kopia listy gości na oddziale psychiatrycznym, gdzie przebywała Louise Fredman. Wszystkie nazwiska prócz jednego zostały przekreślone. Podpis był rzeczywiście nieczytelny. Wyjął z biurka Birgerssona szkło powiększające i próbował odczytać. Bez skutku. Policjant ciągle stał w drzwiach.

- Poproś tu Birgerssona - polecił Wallander. - I moich kolegów z Ystadu. Co z Sjóstenem?

- Śpi. Wyjęli mu kulę z barku.

Kilka minut później zebrali się wszyscy. Dochodziło wpół do piątej. Byli wykończeni. Hans Logard nie został odnaleziony. Nie było też śladów po samochodzie ochroniarzy. Wallander skinął na nich, żeby usiedli.

Nadeszła chwila prawdy, pomyślał.

- Szukamy Hansa Logarda - zaczął. - Naturalnie będziemy te poszukiwania kontynuować. Postrzelił Sjöstena. Jest zamieszany w przemyt ludzi. Ale to nie on zabijał. To nie Hans Logard brał skalpy.

Zawiesił głos, jakby po raz ostatni chciał to ze sobą skonsultować. Przykre uczucie wzięło górę. Wiedział, że ma rację.

- To Stefan Fredman - powiedział. - Inaczej mówiąc, szukamy czternastoletniego chłopca. Który między innymi zabił własnego ojca.

W pokoju zapadła cisza. Nikt się nie poruszył. Wszyscy wpatrywali się w niego. Wyjaśnienia zajęły mu pół godziny. Potem nikt już nie miał wątpliwości. Uznali, że mogą wracać do Ystadu. Obowiązywała największa dyskrecja. Wallander nie wiedział, które uczucie było wśród kolegów silniejsze, konsternacja czy ulga.

Szykowali się do wyjazdu. Podczas gdy Wallander rozmawiał przez telefon z Perem Akessonem, Svedberg wziął do ręki faks z Lundu.

- Dziwne - powiedział. Wallander odwrócił się do niego.

- Co jest dziwne?

- Ten podpis. Wygląda na to, jakby się podpisał imieniem Geronimo.

Wallander wziął faks. Była za dziesięć piąta. Svedberg miał rację. O świcie wyszli z komendy w Helsingborgu. Wszyscy wykończeni, bladzi, ale przede wszystkim poruszeni prawdą o sprawcy, którego tak długo szukali. Umówili się w komendzie ystadzkiej o ósmej. Oznaczało to w praktyce, że zdążą tylko pojechać do domu i wziąć prysznic. Niewiele ponadto. Muszą kontynuować śledztwo. Wallander powiedział, jak się sprawy mają. Jego zdaniem, wszystko stało się ze względu na chorą siostrę. Nie

mogą być jednak całkiem pewni. Niewykluczone, że Louise grozi niebezpieczeństwo. Powinni zakładać najgorsze. Svedberg pojechał z Wallanderem. Zapowiadał się piękny dzień. Już nie pamiętali, kiedy Skanię nawiedzały prawdziwe deszcze. Niewiele z sobą rozmawiali podczas podróży. Kiedy wjeżdżali do Ystadu, Svedberg stwierdził, że gdzieś zapodział klucze do mieszkania. Przypomniało to Wallanderowi, że jego klucze się nie odnalazły. Zaprosił Svedberga do siebie. Dotarliśmy na Mariagatan przed siódmą. Linda spała. Wzięli prysznic, Wallander pożyczył Svedbergowi koszulę, a potem usiedli w salonie i pili kawę.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi, że drzwi do garderoby sąsiadującej z pokojem Lindy są uchylone. Kiedy przyszli, były zamknięte.

Hoover wśliznął się do mieszkania za dziesięć siódma. Właśnie szedł do sypialni Wallandera z siekierą w dłoni, kiedy usłyszał trzask klucza w drzwiach wejściowych. Szybko schował się w garderobie. Rozróżnił dwa głosy. Kiedy mężczyźni znaleźli się w salonie, ostrożnie uchylił drzwi. Wallander zwracał się do kogoś o nazwisku Svedberg. Hoover przypuszczał, że to też policjant. Ciągłe trzymał siekierę w ręku i słuchał. Początkowo nie wiedział, o czym rozmawiają. Raz po raz padało nazwisko Logard, Wallander coś próbował wyjaśnić koledze. Przysłuchiwał się coraz uważniej, aż wreszcie zrozumiał, że znów odezwała się boska opatrzność, moc Geronima. Hans Logard był najbliższym współpracownikiem Ake Liljegrena. Szmuglował dziewczęta z Dominikany, a może i z innych części Karaibów. To najprawdopodobniej on załatwiał dziewczęta Wetterstedtowi i Carlmanowi. Wallander podejrzewał, że Hans Logard figuruje na liście śmierci Stefana Fredmana. Po chwili rozmowa się urwała. Kilka minut później Wallander i ten drugi, Svedberg, opuścili mieszkanie.

Hoover wyszedł z garderoby i stał bez ruchu. Potem bezgłośnie się oddalił. Ruszył do pustego sklepu, w którym Linda i Kajsa miały próby. Wiedział, że nie będą już z niego korzystać, więc ulokował tam Louise, a sam poszedł na Mariagatan, żeby zabić pułkownika kawalerii Perkinsa i jego córkę. Ale kiedy ukryty w garderobie, z siekierą gotową do ciosu, wysłuchał rozmowy, zmienił zdanie. Jest jeszcze ktoś, kogo musi zabić. Ktoś, kogo przeoczył. Niejaki Hans Logard. Z opisu zrozumiał, że to właśnie on brutalnie zgwałcił i pobił jego siostrę. Stało się to, zanim naszpikowali ją narkotykami i wozili do Gustafa Wetterstedta i Arne Carlmana. W konsekwencji trafiła do krainy ciemności, z której próbował ją wydobyć. Wszystko było zapisane w jej książce, było tam przesłanie, którym się kierował. Sądził, że Hans Logard nie

mieszka w Szwecji. Obcy, podróżujący, zły człowiek. Teraz sobie uświadomił, że się pomylił.

Bez trudu dostał się do pustego lokalu sklepowego. Wcześniej zobaczył, jak Kajsa kładzie klucz na futrynie. Ponieważ był dzień, nie pomalował twarzy. Poza tym nie chciał wystraszyć Louise. Kiedy wrócił, siedziała na krześle i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Już wiedział, dokąd się przeniosą. Zanim poszedł na Mariagatan, pojechał tam motorowerem, żeby sprawdzić, jakie są warunki. Dom stał pusty. Ale przeniosą się dopiero wieczorem. Usiadł przy niej na podłodze i zastanawiał się, jak odszukać Hansa Logarda, wyprzedzając policję. Skoncentrował się i poprosił Geronima o radę. Ale tego dnia jego serce było dziwnie spokojne. Z ledwie słyszalnego dźwięku bębnow nie potrafił odczytać wiadomości.

O ósmej zebrali się w konferencyjnym. Był Per Akeson i policjant z Malmö. Birgersson siedział w Helsingborgu pod telefonem. Byli bladzi, ale przytomni. Wallander popatrzył po zgromadzonych i poprosił o wstępne informacje.

Policja z Malmö dyskretnie szukała kryjówki Stefana Fredmana. Na razie bez rezultatu. Natomiast jeden z sąsiadów niejednokrotnie widział u Stefana motorower, mimo że matka nie miała o tym pojęcia. Zdaniem policji, świadek był wiarygodny. Dom, w którym mieszkała rodzina, był pod obserwacją. Birgersson doniósł z Helsingborga, że Sjösten czuje się dobrze, tyle że, niestety, będzie miał zdeformowane ucho.

- Chirurgia plastyczna potrafi dzisiaj czynić cuda - zapewnił Wallander. - Pozdrów go od nas wszystkich.

Birgersson poinformował, że na podartym „Fantomie”, zakrwawionej torbie papierowej znalezionej za barakiem zarządu dróg, na piekarniku Liljegrena ani na lewej powiece Bjórna Fredmana nie było odcisków palców Hansa Logarda. To potwierdzenie stało się decydujące. Policja z Malmö badała odciski palców Stefana Fredmana, zdjęte w jego pokoju na Rosengardzie. Nikt już nie miał wątpliwości, że będą pasowały tam, gdzie można wykluczyć Hansa Logarda.

Potem zajęli się Logardem. Samochód ochroniarzy nie został znaleziony. Muszą kontynuować pościg za Logardem, w końcu Sjösten i Wallander mogli zginąć. Trzeba przyjąć, że jest groźny, chociaż nie bardzo potrafili wyjaśnić, dlaczego. W tej sytuacji Wallander wskazał na inną okoliczność, o której nie wolno im zapominać.

- Mimo że Stefan Fredman ma tylko czternaście lat, jest niebezpieczny - powiedział. - Oczywiście jest szalony, ale nie głupi. Poza tym jest bardzo silny, reaguje

szybko i zdecydowanie. Inaczej mówiąc, musimy być ostrożni.

- To wszystko jest potworne! - wybuchnął Hansson. - Ciągłe nie mogę pojąć, że to prawda.

- Chyba nikt nie może - przyznał Per Akeson. - Kurt ma naturalnie rację. Wszyscy weźmiemy to pod uwagę.

- Stefan Fredman zabrał siostrę ze szpitala - podjął Wallander. - Szukamy podróżującej po Europie dziewczyny, która go zidentyfikuje. Możemy jednak przyjąć, że identyfikacja wypadnie pozytywnie. Nie wiemy, jakie są jego zamiary względem siostry. Może chce ją skrzywdzić. Musimy ich znaleźć. Musimy go jak najszybciej schwytać, zanim cokolwiek jej zrobi. Tylko gdzie on jest? Ma motorower i jeździ z nią na bagażniku. Nie mogą odjechać daleko. Poza tym dziewczyna jest chora.

- Szalenciec na motorowerze z psychicznie chorą dziewczyną - powiedział Svedberg. - Makabra.

- Umie prowadzić samochód - zauważył Ludvigsson. - Korzystał z forda ojca. Może ukrąść samochód. Wallander zwrócił się do policjanta z Malmö:

- Ukradzione samochody w ostatnich dniach - powiedział.

- Przede wszystkim na Rosengardzie. I w pobliżu szpitala.

Policjant podszedł do telefonu, który stał pod oknem na stoliku na kółkach.

- Stefan Fredman wszystko dokładnie planuje - kontynuował Wallander. - Nie wiemy, czy się odpowiednio przygotował do uprowadzenia siostry. Musimy sobie wyobrazić jego sposób myślenia. Dokąd oni jadą? Cholera, że też Ekholma nie ma właśnie wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebny.

- Będzie za niespełna godzinę - poinformował Hansson, spojrzawszy na zegarek. - Pojedziemy po niego.

- Co z jego córką? - spytała Ann-Britt Hóglund. Wallander się zawstydził, zapomniał o powodzie nieobecności Ekholma.

- W porządku - odparł Svedberg. - Złamana noga. Miała szczęście.

- Jesienią zaczynamy w szkołach wielką kampanię o bezpieczeństwie na drogach - powiedział Hansson. - Za dużo dzieci ginie w wypadkach.

Policjant z Malmö zakończył rozmowę telefoniczną.

- Zakładam, że szukaliście Stefana w mieszkaniu jego ojca - powiedział Wallander.

- I w mieszkaniu, i w innych miejscach. Poprosiliśmy Petera Hjelma o adresy ewentualnych kryjówek, do których Björn Fredman miał dostęp i które syn mógł

znać. Forsfalt się tym zajmuje.

- No to jestem spokojny - powiedział Wallander.

Spotkanie trwało. Na dobrą sprawę siedzieli i czekali, aż coś się wydarzy. Stefan Fredman był gdzieś ze swoją siostrą Louise. Hans Logard też. Szukało ich sporo policjantów. Przynosili sobie kawę, posyłali po kanapki, podsypiali na krzesłach, znów pili kawę. Od czasu do czasu nadchodziły nowe wiadomości. Na dworcu głównym w Hamburgu niemiecka policja znalazła Sarę Pettersson. Od razu rozpoznała Stefana Fredmana. Za kwadrans dziesiąta przyjechał prosto z lotniska Mats Ekholm. Gratulowali mu, że z córką wszystko dobrze. Ciągle był wstrząśnięty i bardzo blady.

Wallander poszedł z Ann-Britt Hóglund do jej pokoju, żeby spokojnie wysłuchać informacji, z którymi się jeszcze nie zapoznał. Przed jedenastą przyszło potwierdzenie: na powiece Bjórna Fredmana, na „Fantomie”, na podartej, zakrwawionej torebce i na piekarniku Liljegrena były odciski palców Stefana Fredmana. W pokoju zaległa cisza. Szumiał jedynie głośnik, za pośrednictwem którego mieli łączność z Birgerssonem. Nie było odwrotu. Wszystkie fałszywe tropy, zwłaszcza te, które mieli w sobie, przestały istnieć. Została tylko prawda i ta prawda była przerażająca. Szukali czternastoletniego chłopca, który z zimną krwią zaplanował i popełnił cztery morderstwa.

Wallander przerwał milczenie. Powiedział coś, czego wielu z nich nigdy nie zapomni.

- Nie ma już wątpliwości, że wiemy coś, czego nie chcieliśmy wiedzieć.

Po chwili ciszy grupa kontynuowała pracę i czekała. Na refleksję przyjdzie czas później.

- Co on robi? - spytał Wallander Ekholma. - Jak on myśli?

- Wiem, że to się może wydać ryzykowne, ale nie sędzę, żeby chciał skrzywdzić siostrę. Pojawia się w jego zachowaniu pewien wzór, możesz to nazwać logiką. Jego celem była zemsta za młodszego brata i za siostrę. Jeśli od tego odstąpi, zawali mu się cała konstrukcja, którą tak mozolnie budował.

- Dlaczego zabrał ją ze szpitala? - zastanawiał się Wallander.

- Może się bał, że w jakiś sposób na nią wpłyniesz.

- W jaki?

- Można się w nim domyślać zagubionego chłopca, który wcielił się w rolę samotnego wojownika. Wielu mężczyzn skrzywdziło jego siostrę. To go napędza. Jeśli

ta teoria jest prawdziwa. Chce trzymać wszystkich mężczyzn z dala od niej. On sam stanowi wyjątek. Poza tym trzeba pamiętać, że on cię zna, wie, że to ty prowadzisz śledztwo, i podejrzewa, że jesteś na jego tropie.

Wallander nagle coś sobie przypomniał.

- Zdjęcia - powiedział. - Gdzie są zdjęcia gapiów przy blokadach, które robił Noren?

Sven Nyberg, który przez większość czasu się nie odzywał, poszedł po zdjęcia. Wallander rozłożył je na stole. Ktoś przyniósł szkło powiększające. Ann-Britt Hóglund go zauważyła.

- Tutaj - powiedziała, wskazując na Stefana. Choć częściowo zasłaniali go inni ciekawscy, można było zobaczyć fragment motoroweru i głowę.

- Cholera! - zaklął Hamren.

- Motorower udałoby się zidentyfikować - stwierdził Nyberg - jeśli powiększymy detale.

- Zrób to - polecił Wallander. - Wszystko jest ważne.

Pomyślał, że teraz jeszcze jedno dręczące uczucie znalazło swoje wyjaśnienie. Skończyły się przynajmniej jego wewnętrzne rozterki i niepokoje. Z jednym wyjątkiem. Bajba. Była dwunasta, Svedberg zasnął na krześle, Per Akesson prowadził tyle rozmów telefonicznych, że się pogubili. Wallander poprosił Ann-Britt Hóglund, żeby z nim wyszła. Usiedli w jego pokoju i zamknęli drzwi. Opowiedział jej bez ogródek, w co się wpakował. Bardzo dużo go to kosztowało i później nie będzie w stanie pojąć, dlaczego złamał swoją żelazną zasadę nie spoufalania się z kolegami. Skończył z prywatnością po śmierci Rydberga. A teraz? Nie był pewien, czy z Ann-Britt Hóglund pozwoli sobie na podobną zażyłość. Zwłaszcza że była kobietą. Ale naturalnie jej tego nie powiedział. Nie miał odwagi. Słuchała go uważnie.

- Co ja mam, do licha, robić? - spytał na koniec.

- Nic. Jak sam mówisz, jest już za późno. Ale jeśli chcesz, ja mogę z nią porozmawiać. Chyba mówi po angielsku? Daj mi jej numer telefonu.

Wallander zapisał numer, ale kiedy wyciągnęła po niego rękę, poprosił, żeby zaczekała.

- Jeszcze kilka godzin - powiedział.

- Cuda zdarzają się bardzo rzadko. W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł Hansson.

- Znaleźli jego kryjówkę - powiedział. - Piwnica w szkole przeznaczonej do

rozbiórki. Bardzo blisko domu.

- Są tam? - spytał Wallander, podnosząc się z krzesła.

- Nie. Ale byli.

Wrócili do konferencyjnego. Podłączono jeszcze jeden głośnik. Wallander usłyszał przyjazny głos Forsfalta. Mówił, co znaleźli. Lustra, pędzle, farby. Magnetofon z odgłosem bębnow. Puścił kawałek. Upiornie to zabrzmiało. Wojenny makijaż, pomyślał Wallander. Jakie on wpisał imię w szpitalnej książce? Geronimo? Na skrawku materiału leżały siekiery i noże. Mimo bezosobowego głośnika, słyszeli, że Forsfalt jest poruszony. Nikt z nich nie zapomni jego ostatnich słów.

- Ale nie znaleźliśmy skalpów - powiedział. - Oczywiście szukamy dalej.

- Gdzie one, do cholery, są? - spytał Wallander.

- Prawdopodobnie ma je przy sobie - odparł Ekholm. - Albo je gdzieś złożył w ofierze.

- Gdzie? Ma własne poletko ofiarne?

- Możliwe.

Czekali. Wallander położył się na podłodze w swoim pokoju i na pół godziny zasnął. Po przebudzeniu czuł się jeszcze gorzej niż przedtem. Wszystko go bolało. Od czasu do czasu Ann-Britt Hóglund rzucała mu pytające spojrzenia. Kręcił głową i coraz bardziej sobą gardził.

Była szósta wieczorem i ani Hansa Logarda, ani Stefana Fredmana i jego siostry nie udało się odnaleźć. Długo dyskutowali nad tym, czy nie należałoby wszcząć ogólnokrajowego pościgu również za Stefanem i Louise. Wahali się. Istniało zbyt duże ryzyko, że Louise coś się stanie. Per Akeson też to rozumiał. Więc czekali dalej. Na długo zapadała cisza.

- Dzisiaj wieczorem będzie padać - nagle oznajmił Martinsson. - To wisi w powietrzu.

Odpowiedziało mu milczenie. Każdy próbował wyczuć, czy Martinsson ma rację.

Tuż po szóstej Hoover zawiózł siostrę do pustego domu, który wybrał z myślą o niej. Motorower zaparkował w ogrodzie, od strony morza. Szybko otworzył wytrychem furtkę. Willa Gustafa Wetterstedta była pusta. Ruszyli zwirową alejką do drzwi wejściowych. Nagle stanął jak wryty i przytrzymał Louise. W garażu zobaczył samochód. Rano, kiedy sprawdzał, czy w domu ktoś jest, samochodu nie było. Ostrożnie posadził Louise na kamieniu, za ścianą garażu. Wyjął siekiere i nasłuchiwał.

Cisza. Podszedł bliżej i popatrzył na samochód. Własność firmy ochroniarskiej. Boczna szyba z przodu była opuszczona. Zajrzał do środka. Na siedzeniu leżały jakieś papiery. Był wśród nich kwit, wystawiony na Hansa Logarda. Wstrzymał oddech. Odezwały się bębny. Przypomnił sobie poranną rozmowę. Hans Logard też uciekał.

A więc i on pomyślał o tym domu i gdzieś tam jest. Geronimo go nie opuścił. Pomógł mu wytropić bestię w jej kryjówce. Nie musiał już szukać. Chłodne ciemności, które osaczały jego siostrę, niedługo znikną. Wrócił do niej i poprosił, żeby przez chwilę spokojnie posiedziała, on szybko znowu z nią będzie. Wszedł do garażu. Stało tam kilka puszek farby. Otworzył dwie i przeciągnął palcem dwie kreski na czole. Czerwoną i czarną. Siekierę już miał w ręku. Zdjął buty i kiedy zamierzał ruszać, coś go zastanowiło. Wstrzymał oddech. Nauczył się tego od Geronima. Im więcej powietrza w płucach, tym jaśniejsze myśli. Uznał, że to dobra decyzja. To wszystko uprości. Już tej nocy zakopie pod oknem szpitala ostatnie skalpy. Dwa. Na końcu pogrzebie serce. I nareszcie będzie po wszystkim. W ostatnim dołku złoży swoją broń. Mocno ścisnął siekierę i poszedł do mieszkania, gdzie ukrywał się mężczyzna, którego zaraz zabije.

O wpół do siódmej Wallander zaproponował Hanssonowi, który z Perem Akesonem formalnie za wszystko odpowiadał, żeby puszczać ludzi do domu. Byli wykończeni. Równie dobrze mogą czekać u siebie. Wszyscy będą do dyspozycji. Cały wieczór i noc.

- A kto zostanie? - spytał Hansson.

- Ekholm i Ann-Britt - powiedział Wallander. - I jeszcze jedna osoba. Wybierz kogoś najmniej zmęczonego.

- Ciekawe, kogo.

Wallander nie odpowiedział. Skończyło się na tym, że zostali Ludvigsson i Hamren. Usiedli przy stole jeden koło drugiego, zamiast się raczej rozproszyć.

- Kryjówki - zaczął Wallander. - Jakie kryteria powinna spełniać trudna do zdobycia twierdza? Jakie wymagania może stawiać człowiek szalony, który się przedziera w samotnego wojownika?

- Myślę, że w tym wypadku jego plany zawiodły - powiedział Ekholm. - Inaczej byliby w piwnicy.

- Mądre zwierzęta wykopują sobie zapasowe wyjścia - zauważył Ludvigsson.

- Chodzi ci o to, że ma coś w rezerwie?

- Może. Na zdrowy rozsądek też gdzieś w Malmö.

Dyskusja umarła. Milczeli. Hamren ziewał. Gdzieś zadzwonił telefon. Po chwili ktoś stanął w drzwiach i powiedział, że to do Wallandera. Był zbyt zmęczony, żeby spytać, kto dzwoni. Nie pomyślał, że to może być Bajba. Przyszło mu to do głowy dopiero wtedy, kiedy trzymał słuchawkę w rękę. Ale to nie była Bajba. Dzwonił jakiś mężczyzna. Mówił bardzo niewyraźnie.

- Z kim rozmawiam? - spytał Wallander z irytacją.

- Hans Logard.

Wallander o mało nie upuścił słuchawki.

- Muszę się z tobą zobaczyć. Teraz.

Miał dziwnie spięty głos, jakby mówienie sprawiało mu niesamowity wysiłek. Wallander zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem naćpany.

- Gdzie jesteś?

- Najpierw chcę gwarancji, że przyjdiesz. Sam.

- Nic z tego. Próbowalesz zabić mnie i Sjóstena.

- Do cholery! Musisz przyjść!

Ostatnie słowa wykrzyczał. Wallander nabrał podejrzeń.

- Czego chcesz?

- Powiem ci, gdzie jest Stefan Fredman. I jego siostra. - Jak mogę być tego pewien?

- Nie możesz. Ale powinieneś mi wierzyć.

- Przyjdę. Powiesz, co wiesz. A potem cię zdejmujemy.

- Dobrze.

- Gdzie jesteś?

- Przyjdiesz?

- Tak.

- Willa Gustafa Wetterstedta.

Przeleciało mu przez głowę, że powinien był pomyśleć o takiej ewentualności.

- Masz broń - powiedział.

- Samochód stoi w garażu. Pistolet jest w skrytce. Drzwi do domu zostawię otwarte. Od razu mnie zobaczysz.

- Przyjdę.

- Sam?

- Tak. Sam.

Wallander odłożył słuchawkę. Myślał gorączkowo. Nie miał zamiaru jechać

sam. Ale nie chciał, żeby Hansson wyprawił go z dużą grupą operacyjną. Ann-Britt i Svedberg, pomyślał. Svedberg był w domu. Zadzwoił do niego i umówili się za pięć minut przed szpitalem. Ze służbową bronią. Wyjaśnił krótko, że będą zdejmować Hansa Logarda. Svedberg miał pytania, ale Wallander mu przerwał. Za pięć minut przed szpitalem. Do tego czasu cisza w eterze. Z szuflady biurka wyjął pistolet. Trzymał go w ręku z odrazą. Załadował i włożył do kieszeni kurtki. Ściągnął z konferencyjnego Ann-Britt Hóglund. Mają się natychmiast spotkać przed komendą. Poprosił, żeby zabrała służbową broń. Pojechali jego samochodem. Powiedział Hanssonowi, że jedzie do domu wziąć prysznic. Hansson skinął głową i ziewnął. Svedberg czekał przed szpitalem. Usiadł na tylnym siedzeniu. - Co się dzieje? - spytał. Wallander zreferował rozmowę telefoniczną. Jeśli w wozie ochroniarskim nie będzie pistoletu, wycofują się. I jeśli drzwi będą zamknięte. Albo jeśli nabierze podejrzeń, że coś jest nie tak. Mają być niewidoczni, ale gotowi.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że ten sukinsyn może mieć inną broń - powiedział Svedberg. - Może cię wziąć jako zakładnika. Nie podoba mi się to. Skąd on wie, gdzie jest Stefan Fredman? Czego od ciebie chce?

- Może myśli, że wynegocjuje złagodzenie kary. Niektórym się wydaje, że w Szwecji jest jak w Ameryce. Ale na razie tam nie jesteśmy.

Wallander pomyślał o głosie Hansa Logarda. Coś mu mówiło, że on rzeczywiście wie, gdzie jest Stefan Fredman.

Zaparkowali w miejscu niewidocznym z willi. Svedberg miał obstawiać plażę. Na brzegu była tylko jakaś dziewczyna. Siedziała na łodzi, pod którą znaleźli Wetterstedta. Wydawała się pochłonięta morzem i nadciągającą burzową chmurą. Ann-Britt Hóglund zajęła pozycję pod garażem. Drzwi wejściowe były otwarte. Wallander szedł bardzo wolno. Samochód ochroniarzy stał w garażu. Pistolet leżał w schowku. Wallander wyjął swoją broń, odbezpieczył i ostrożnie ruszył ku otwartym drzwiom. Nasłuchiwał. Było bardzo cicho. Hans Logard stał w środku, w mroku, z rękami na głowie. Wallanderowi zrobiło się nieswojo. Nie wiedział, dlaczego. Instynktownie przeczuwał niebezpieczeństwo. Ale wszedł. Hans Logard patrzył na niego. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ręka Logarda ześliznęła się z głowy, odsłaniając głęboką ranę od uderzenia siekiery. Ciało osunęło się na podłogę. Za nim stał ten, który go podtrzymywał. Stefan Fredman. Na twarzy miał namalowane kreski. Z impetem rzucił się na Wallandera. Z siekierą gotową do ciosu. Wallander podniósł pistolet, ale na oddanie strzału było już za późno. Instynktownie

zrobił unik i padł na dywan. Siekiera nie trafiła głowy, musnęła tylko ramię. Huknął strzał, kula przeszła obraz olejny wiszący na jednej ze ścian. Jednocześnie w drzwiach pojawiła się Ann-Britt Hóglund. Przyjęła pozycję strzelecką. Stefan Fredman zauważył ją w chwili, kiedy mierzył siekierą w głowę Wallandera, i uskokzył. Wallander był teraz na linii strzału. Stefan Fredman wybiegł przez otwarte drzwi tarasu. Wallander pomyślał o Svedbergu. O flegmatycznym Svedbergu. Krzyknął do Ann-Britt, żeby strzelała. Ale Fredmana już nie było.

Svedberg usłyszał pierwszy strzał i nie wiedział, co ma robić. Krzyknął do dziewczyny na łodzi, żeby się schowała. Ale się nie ruszyła. Potem pobiegł do furtki. Oberwał nią, bo się nagle otworzyła. Zobaczył twarz, której do końca życia nie zapomni. Wypuścił pistolet. Mężczyzna miał siekierę w ręku. Svedberg mógł zrobić tylko jedno. Uciekł, wzywając pomocy. Stefan Fredman wziął siostrę nieruchomo siedzącą na łodzi i zapalił motorower. Odjechali w tym samym momencie, kiedy Wallander i Ann-Britt Hóglund wybiegli z willi.

- Wszczęć alarm! - krzyknął Wallander. - Gdzie, do cholery, podział się Svedberg? Jadę za nimi.

Zaczęło padać. W niespełną minutę lało na całego. Prawdziwe oberwanie chmury. Wallander pognął do samochodu, zastanawiając się, którzy mogli pojechać. Mimo że wycieraczki pracowały pełną parą, widoczność była kiepska. Już myślał, że mu umknęli, kiedy nagle ich zobaczył. Jechali w kierunku Saltsjöbadshotellet. Zachowywał stosowną odległość. Nie chciał ich wystraszyć. Motorower pędził z dużą szybkością. Gorączkowo się zastanawiał, jak ich zatrzymać. Chciał poinformować przez telefon, gdzie w tej chwili jest, ale nie zdążył. Może wskutek gromadzącej się na jezdni wody, motorowerem zaczęło rzucać. Wallander zahamował. Motorower wjechał prosto na drzewo. Dziewczyna uderzyła w nie głową, Stefan Fredman wylądował gdzieś obok niej.

Psia mać, pomyślał Wallander. Zostawił samochód na środku jezdni i podbiegł do motoroweru. Od razu się zorientował, że Louise Fredman nie żyje. Przypuszczalnie pękły kręgi szyjne. Biała sukienka wydawała się jeszcze bielsza w połączeniu ze spływającą z jej twarzy krwią. Stefan Fredman wyszedł z tego prawie bez szwanku. Wallander nie potrafił rozstrzygnąć, co jest farbą, a co krwią. W każdym razie miał przed sobą czternastoletniego chłopca. W milczeniu patrzył, jak Stefan kłeka obok siostry. I płacze. Płacz przypominał Wallanderowi wycie. Kucnął koło chłopca.

- Ona nie żyje - powiedział. - Nic na to nie możemy poradzić.

Stefan Fredman spojrział na niego, twarz wykrzywił grymas. Wallander szybko się podniósł, w obawie, że chłopiec się na niego rzuci. Ale nic się nie stało. Chłopiec był.

Gdzieś za plecami, w deszczu, usłyszał radiowozy. Dopiero kiedy Hansson stanął przy nim, zauważył, że płacze. Przekazał zadania innym. Pokrótce zdał relację Ann-Britt Hóglund. Zaprosił Pera Akesona do swojego samochodu. Deszcz bębnił o dach.

- Już po wszystkim - powiedział Wallander.

- Tak - odparł Per Akeson. - Już po wszystkim.

- Jutro jadę na urlop. Wiem, że trzeba napisać mnóstwo raportów. Ale mimo to zamierzam jechać.

- Jasne - bez wahania zgodził się Per Akeson. - Jedź.

Per Akeson wysiadł z samochodu. Wallander pomyślał, że powinien był spytać, co z jego podróżą do Sudanu. A może do Ugandy?

Pojechał do domu. Lindy nie było. Zanurzył się w wannie. Wstał i wytarł się, kiedy usłyszał trzask drzwi wejściowych.

Tego wieczoru opowiedział jej, co się naprawdę wydarzyło. I co czuje.

Potem zadzwonił do Bajby. - Myślałam, że się już w ogóle nie odezwiesz - powiedziała, nie kryjąc irytacji.

- Przepraszam. Miałem mnóstwo pracy.

- To wyjątkowo kiepska wymówka.

- Wiem. Ale nie mam innej.

Umilkli. Między Ystadem i Rygą wędrowała cisza.

- Do zobaczenia jutro - powiedział wreszcie Wallander.

- Tak. Może i tak.

Zakończyli rozmowę. Wallander poczuł ucisk w żołądku. Może ona nie przyjedzie?

Potem Linda i on spakowali się. Tuż po północy przestało padać. Owiewało ich rześkie powietrze, kiedy stali na balkonie.

- Lato jest takie piękne - powiedziała Linda.

- Tak. Piękne.

Następnego dnia pojechali pociągiem do Malmö. Tam się rozstali i pomachali do siebie na pożegnanie.

Wallander popłynął wodolotem do Kopenhagi. Patrzył na uderzającą o burty

wodę. Roztargniony, zamówił kawę i koniak. Za dwie godziny Bajba wylądował na Kastrupie. Ogarnęło go coś na kształt paniki. Nagle zapragnął, żeby rejs do Kopenhagi trwał dużo dłużej.

Kiedy się pojawiła na lotnisku, czekał na nią.

Dopiero wtedy rozwiązał się obraz Louise Fredman.

Skania 16-17 września 1994

Epilog

W piątek, 16 września, do południowej Skanii zawitała jesień. Zjawiała się nieoczekiwanie, jakby w świadomości wszystkich nadal trwało lato, cieplejsze tego roku i mniej deszczowe niż kiedykolwiek.

Kurt Wallander obudził się bardzo wcześnie. Gwałtownie otworzył oczy, jakby siłą został wyrzucony ze snu. Leżał nieruchomo i szukał w pamięci. Znalazł jedynie słabe echo czegoś, co już nigdy nie wróci. Przekręcił głowę i spojrzał na budzik. Wskazówki połyskiwały w ciemności. Za kwadrans piąta. Odwrócił się na bok, ale świadomość tego, co to za dzień, nie pozwalała mu zasnąć. Wstał i poszedł do kuchni. Pod oknem kołysała się na wietrze samotna latarnia. Słupek rtęci w termometrze opadł. Było plus siedem stopni. Uśmiechnął się na myśl, że za niespełna dwie doby będzie w Rzymie. Tam ciągle jest ciepło. Usiadł przy kuchennym stole i pił kawę. Myślał o przygotowaniach do podróży. Kilka dni temu naprawił ojcu drzwi, które w lecie musiał wyważyć, kiedy staruszek w ataku furii zamknął się w atelier i palił swoje obrazy. Wtedy miał okazję zobaczyć jego nowy paszport. Wymienił korony na liry w Sparbanken i odebrał bloczek z czekami podróжными. Po południu wykupił bilety w biurze podróży. Dzisiaj był jego ostatni dzień pracy przed urlopem. Ciągle wisiało nad nim żmudne dochodzenie w sprawie szajki przemycającej kradzione samochody do państw byłego bloku wschodniego. Niedługo minie rok, odkąd się tym zajmuje. I nadal nie widział końca. Policja w Göteborgu zrobiła ostatnio nalot na warsztat, w którym kradzione wozy nabierały nowego wyglądu i otrzymywały nową tożsamość przed przetrzaniem różnymi liniami promowymi. Wciąż było jednak dużo znaków zapytania. Pewnie po powrocie z Włoch będzie musiał znowu nad tym ślęczyć.

Ostatni miesiąc, nie licząc kradzieży samochodów, był spokojny w ystadzkim okręgu. Wallander zauważył, że koledzy mieli czas zrobić porządek w biurkach. Niesamowite napięcie związane z pościgiem za Stefanem Fredmanem zaczęło powoli ustępować. Na propozycję Matsa Ekholma kilku psychologów podjęto się zbadania ich reakcji na stres, na jaki byli narażeni podczas intensywnego śledztwa. Wielokrotnie

przepytywany Wallander znów musiał przywoływać wspomnienia. Przez dłuższy czas był ogromnie przygnębiony. Ciągłe pamiętał, jak pewnej nocy pod koniec sierpnia, kiedy nie mógł spać, pojechał do Mossby strand i spacerując brzegiem morza, snuł ponure rozważania o czasie i świecie, w którym przyszło mu żyć. Czy to w ogóle można było zrozumieć? Biedne dziewczyny wabiono do europejskich burdeli. Handel młodymi dziewczętami, które trafiały do sekretnych pomieszczeń w paradnych apartamentach ludzi z establishmentu. Tajemnica miała na zawsze pozostać tajemnicą, starannie ukrytą w archiwach. Portrety Gustafa Wetterstedta ciągle będą wisiały w korytarzach, tam gdzie najwyższe kierownictwo policji otrzymuje dyrektywy. Wallander miał wrażenie, że stoi oko w oko ze zwierzchnościami, że ma do czynienia z władzą panów, która swego czasu odeszła w niebyt, żeby znowu powrócić. Od tej myśli zrobiło mu się niedobrze. Nie mógł usunąć z pamięci innej wstrząsającej wiadomości. Stefan Fredman przyznał, że to on zabrał mu klucze i kilka razy był w jego mieszkaniu, żeby zabić jego i Linde. Od tego dnia Wallander nigdy już nie spojrzy na świat tymi samymi oczami.

Stojąc nocą na brzegu, słuchał szumu tysięcy niewidzialnych wędrownych ptaków, które rozpoczęły przeloty na południe. W tej chwili wielkiej samotności, a jednocześnie wielkiej urody, nabrał absolutnego przeświadczenia, że coś się definitywnie skończyło. Nie stracił jednak umiejętności samooceny, kim jest i co czuje.

Przypomniawszy sobie jedną z ostatnich rozmów z Ekholmem. Ekholm przyjechał w połowie sierpnia, żeby przejrzeć cały materiał dochodzeniowy. W przeddzień jego powrotu do Sztokholmu Wallander zaprosił go do domu. Przyrządził spaghetti. Potem siedzieli przy whisky i rozmawiali do czwartej nad ranem. Wallander raz po raz zadawał pytanie, jak to się dzieje, że młodzi ludzie, ledwie wyrosnięte dzieci, dopuszczają się takich okrucieństw. Irytowały go zbyt teoretyczne komentarze Ekholma, przyjmujące za punkt wyjścia psychikę człowieka. Jego zdaniem, dużo większa odpowiedzialność spoczywa na środowisku, na tym niezrozumiałym świecie, który wszystkich deformuje. Ekholm utrzymywał, że obecne czasy niczym się nie różnią od innych. To, że w szwedzkim społeczeństwie coś się chwieje i trzeszczy, nie uzasadnia pojawienia się kogoś takiego jak Stefan Fredman. Szwecja jest w dalszym ciągu jednym z najbezpieczniejszych, najsolidniejszych - Ekholm często powtarzał słowo „najczystsze” - państw na świecie. Stefan Fredman to wyjątek. Nie będzie miał raczej swoich kopii. Wallander myślał tej sierpniowej nocy o wszystkich dzieciach,

które cierpią. Opowiadał o tym Ekholmowi, jakby nie miał żadnego innego rozmówcy. Myślał dość chaotycznie, ale jednego był pewien. Nie opuszczał go niepokój. O przyszłość. O bliżej nieokreślone i niemożliwe do przeniknięcia siły, które coraz wyraźniej się kumulują.

Często myślał o Stefanie Fredmanie. I o tym, dlaczego z takim uporem szedł fałszywym tropem. Nie brał pod uwagę, że za morderstwami kryje się czternastoletni chłopiec. Odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. W głębi duszy zdawał sobie jednak sprawę, może już wtedy, kiedy spotkał go po raz pierwszy na Rosengardzie, że jest bardzo blisko tej straszliwej prawdy. Wybrał fałszywy trop, ponieważ nie był w stanie zaakceptować prawdy.

Kwadrans po siódmej wyszedł z mieszkania. Było chłodno. Zapiął kurtkę i dygotał z zimna. Jadąc do komendy, myślał o czekającym go spotkaniu.

Punkt ósma zapukał do drzwi gabinetu Lisy Holgersson. Wszedł, gdy usłyszał jej głos. Skinęła głową i poprosiła, żeby usiadł. Pomyślał, że chociaż szefuje im dopiero od trzech tygodni, już zdążyła odcisnąć swoje piętno na ich pracy i atmosferze. Wielu miało sceptyczny stosunek do kobiety, która przeniosła się z okręgu smalandzkiego. Poza tym koledzy Wallandera tkwili w zamierzonym przeświadczeniu, że kobiety w ogóle się nie nadają do pracy w policji. A co dopiero mówić o szefach! Lisa Holgersson szybko jednak udowodniła, że się nadaje. Wallanderowi imponowała jej integralność, odwaga i wyjątkowa jasność formułowanych sądów bez względu na rodzaj sprawy.

Dzień wcześniej poprosiła Wallandera o spotkanie. Kiedy usiadł na krześle dla gości, nie wiedział, o czym będą rozmawiać.

- Od przyszłego tygodnia jesteś na urlopie - zaczęła. - Podobno jedziesz z ojcem do Włoch, nie?

- To jego marzenie - odparł. - I przypuszczalnie nasza ostatnia okazja. Ma blisko osiemdziesiąt lat.

- Mój ojciec ma osiemdziesiąt pięć. Czasami myśli bardzo jasno, a czasami mnie nie poznaje. Nigdy jednak nie opuścimy swoich rodziców. Role nagle się zmieniają. Jesteśmy rodzicami własnych rodziców.

- Myślę podobnie - przyznał Wallander. Przesunęła papiery na biurku.

- Nie mam właściwie żadnej sprawy - powiedziała. - Uświadomiłam sobie, że nie miałam dotąd okazji, żeby ci podziękować. To było pod wieloma względami wzorowo poprowadzone śledztwo.

Wallander spojrział na nią ze zdziwieniem. Mówi poważnie.

- Niestety, nie - zaprzeczył. - Popełniłem dużo błędów. Zacząłem od fałszywych tropów. Wszystko mogło się rozlecieć.

- Dobrze prowadzone śledztwo polega również na umiejętności zmiany kierunku. Na powrocie do tych tropów, które się wcześniej skreśliło. Wasza praca była wzorowa pod wieloma względami. Przede wszystkim dzięki waszej wytrwałości. I elastyczności myślenia. Chciałabym, żebyś o tym wiedział. Słyszałam, że komendant główny wyrażał swoje zadowolenie przy różnych okazjach. Podejrzewam, że będziesz poproszony o cykl wykładów w szkole policyjnej na temat tego śledztwa.

Wallander zareagował natychmiast.

- Nie, nie mogę. Niech to zrobi ktoś inny. Nie umiem mówić do ludzi, których nie znam.

- Możemy do tego wrócić po twoim urlopie. Najważniejsze, że powiedziałam, co myślę.

Wstała, dając mu do zrozumienia, że krótkie spotkanie dobiegło końca. Idąc korytarzem, pomyślał, że rzeczywiście mówiła prawdę. Chociaż wolał tego nie przyjmować do wiadomości, cieszyło go jej uznanie. Powinno im się nieźle współpracować.

Poszedł po kawę do stołówki i zamienił kilka słów z Martinssonem o jego córce, która nabawiła się anginy. Od siebie zadzwonił do fryzjera i zaklepał czas. Dzień wcześniej sporządził listę spraw do załatwienia. Chciał wyjść z komendy już o dwunastej.

Podpisał kilka papierów, kiedy zadzwonił telefon. To była Ebba.

- Masz gościa - powiedziała. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zmarszczył czoło.

- Wydaje ci się?

- On nie mówi po szwedzku. Ani słowa. Ma ze sobą list. Po angielsku. Ten list jest do ciebie. Inaczej mówiąc, chce się z tobą spotkać.

Wallander westchnął. Właściwie nie miał czasu.

- Przyjdę po niego.

W korytarzu czekał niski, ciemnowłosy mężczyzna o silnym zarostcie. Był bardzo skromnie ubrany. Wallander przywitał się. Mężczyzna powiedział coś po hiszpańsku, a może po portugalsku, i wręczył mu list.

Wallander przeczytał i ogarnęło go uczucie bezsilności. Popatrzył na

mężczyznę, jeszcze raz podał mu rękę i poprosił, by za nim poszedł. Przyniósł kawę i zaprowadził gościa do gabinetu.

Autorem listu był katolicki ksiądz Estefano. Nazwisko Wallandera uzyskał z Interpolu i zależało mu na tym, żeby poświęcił choć trochę swojego cennego czasu Pedrze Santanie, który w tak przykrych okolicznościach przed kilkoma miesiącami stracił córkę w północnym kraju. List zawierał wzruszającą opowieść o prostym człowieku, który chciał zobaczyć grób swojej córki w obcym kraju. Sprzedał prawie wszystko, co miał, żeby odbyć tę podróż. Niestety, nie mówi po angielsku. Ale na pewno się zrozumieją.

Pili kawę w milczeniu. Wallander był przygnębiony.

Kiedy wyszli z komendy, zaczęło padać. Ojciec Dolores Marii marzył. Pojechali na cmentarz. Minęli rząd płyt nagrobnych i zatrzymali się przy pagórku, gdzie była pochowana Dolores Maria. Jej grób był oznaczony drewnianym patyczkiem z numerem. Wallander skinął głową i cofnął się o krok.

Mężczyzna ukląkł przy grobie i rozplakał się. Pochylił twarz ku mokrej ziemi, jęczał, mówił coś, czego Wallander nie rozumiał. Sam miał łzy w oczach. Patrzył na człowieka, który odbył długą podróż, pomyślał o dziewczynie, która się go bała, a potem zapłoneła jak pochodnia, i poczuł narastający gniew.

Barbarzyństwo ma zawsze ludzkie cechy, pomyślał. Dlatego jest takie nieludzkie. Gdzieś to przeczytał. Teraz wiedział, że to prawda. Niedługo stuknie mu pięćdziesiątka. W ciągu tych lat widział zmiany w społeczeństwie, sam im podlegał, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że jedynie ich część jest widoczna. Coś się odbywało również pod powierzchnią, po cichu, jak choroba wirusowa o długim i bezobjawowym okresie inkubacji. Kiedy był młodym policjantem, siłę stosowano jedynie w sytuacjach najwyższej konieczności. Z czasem nie można już było jej wykluczyć. A dzisiaj zmiana wydawała się oczywista. Czy nie można rozwiązywać problemów bez użycia siły? Jeśli naprawdę tak jest, przyszłość wydaje się przerażająca. Jeśli naprawdę tak jest, znaczyłoby to, że społeczeństwo dokonało obrotu wokół własnej osi, by powrócić bestią.

Słoneczny chłopiec z pudełka zapalek i chłopiec o płowej czuprynie z tubki kawioru.

Istnieli i nie istnieli. Pół godziny później mężczyzna wstał, zrobił znak krzyża i odwrócił się. Wallander spuścił wzrok. Nie mógł na niego patrzeć. Pojechali na Mariagatan. Wallander odwołał fryzjera. Kiedy Pedro Santana leżał w wannie,

przeszukał jego kieszenie. Znalazł paszport i bilet lotniczy. Wracił do Dominikany w najbliższą niedzielę. Zadzwoił do komendy i poprosił Ebbę o odszukanie Ann-Britt Hóglund. Wyjaśnił jej, o co chodzi. Słuchała, nie zadając pytań. Na koniec obiecała, że tak zrobi. Pół godziny później była u niego i wręczyła mu to, na co czekał.

- Oczywiście wiesz, że to niezgodne z prawem - powiedziała.

- Oczywiście. Biorę odpowiedzialność na siebie.

Przywitała się z Pedrem Santana, który siedział wyprostowany na kanapie. Odezwała się do niego skromnym hiszpańskim. A potem Wallander dał mu medalik znaleziony na polu rzepaku. Pedro Santana długo mu się przyglądał, po czym spojrzał na nich i uśmiechnął się.

Pożegnali się w przedpokoju. Pedro Santana miał mieszkać u Ann-Britt Hóglund, która obiecała zawieźć go w niedzielę na lotnisko. Stał przy kuchennym oknie i patrzył, jak wsiadają do samochodu. Gniew mu nie minął. Jednocześnie uznał, że długie śledztwo skończyło się właśnie teraz. Stefan Fredman miał zapewnioną opiekę. Będzie żył. Jego siostra, Louise, nie żyła. Tak jak Dolores Maria.

Śledztwo było skończone. Pozostał gniew.

Tego dnia Wallander już nie wrócił do komendy. Spotkanie z Pedrem Santana sprawiło, że wszystko w nim odżyło na nowo. Spakował walizkę, nie bardzo wiedząc, co robi. Kilka razy stawał w oknie i patrzył na ulicę. Deszcz przybrał na sile. Dopiero późnym popołudniem doszedł do siebie, ale nie wyzbył się gniewu. I nie wyzbędzie. Kwadrans po czwartej poszedł do biura podróży po bilety. Zajrzał do monopolowego i kupił małą butelkę whisky. Kiedy wrócił do domu, zadzwonił do Lindy. Obiecał, że wyśle jej kartkę z Rzymu. Gdzieś się spieszyła, a on jak najdłużej chciał ją zatrzymać. Opowiedział o Pedrze Santanie i jego długiej podróży. Linda albo nie rozumiała, albo nie miała czasu słuchać. Skończyli dużo szybciej, niżby sobie tego życzył. O szóstej zadzwonił do Lóderupu i spytał Gertrudę, czy wszystko jest w porządku. Ojciec ma rajzefiber, ledwie może usiedzieć spokojnie. Wallanderowi wróciła radość. Zjadł obiad w pizzerii. Potem z domu zadzwonił do Ann-Britt Hóglund.

- To bardzo miły człowiek - powiedziała. - Już się dogadał z moimi dziećmi. Nie potrzebują wspólnego języka, on im śpiewa i tańczy. Chyba myśli, że przyjechał do bardzo dziwnego kraju.

- Czy mówił coś o córce? - spytał Wallander.

- Była jego jedynym dzieckiem. Matka zmarła krótko po jej urodzeniu.

- Nie opowiadaj mu o wszystkim. Zaoszczędź mu najgorszego.

- Już o tym myślałam. Powiem jak najmniej.
- To dobrze.
- Przyjemnej podróży.
- Dziękuję. Ojciec cieszy się jak dziecko.
- Ty pewnie też.

Wallander nie odpowiedział. Ale później, kiedy skończyli rozmawiać, przyznał jej rację. Nieoczekiwana wizyta Pedra Santany obudziła uśpione cienie. Teraz muszą odejść. Zasznużył sobie na odpoczynek. Nalał kieliszek whisky i rozłożył mapę Rzymu. Nigdy tam nie był. Nie znał ani słowa po włosku. Ale będziemy razem, pomyślał. Ojciec też nie był w Rzymie, jeśli nie liczyć marzeń. I też nie zna włoskiego. Razem wejdziemy w to marzenie i będziemy dla siebie przewodnikami.

Coś go tknęło, zadzwonił na Sturup i spytał jednego z kontrolerów ruchu lotniczego, czy przypadkiem nie wie, jaka jest pogoda w Rzymie. Znali się z nazwiska.

- Jest ciepło - poinformował kontroler. - Teraz, dziesięć po ósmej, jest dwadzieścia jeden stopni. Wieje z południowego wschodu, prędkość wiatru wynosi jeden metr na sekundę, czyli w praktyce jest bezwietrznie. Poza tym lekka mgła. Prognoza na najbliższe dwadzieścia cztery godziny bez zmian.

Wallander podziękował za dobre wieści.

- Wyjeżdża pan? - spytał kontroler.
- Jadę na urlop z ojcem staruszką.
- Dobry pomysł. Poproszę kolegów w Kopenhadze, żeby was ostrożnie przewieźli. Leci pan Alitalia?
- Tak. Dziesiąta czterdzieści pięć.
- Będę o panu myślał. Przyjemnej podróży.

Wallander jeszcze raz przejrzał bagaż. Przeliczył pieniądze i sprawdził dokumenty podrózne. O jedenastej zadzwonił do Bajby. Nikogo. Przypomniał sobie, że przecież już się pożegnali wczoraj wieczorem. Dzisiaj była z wizytą u krewnych, którzy nie mieli telefonu.

Usiadł z kieliszkiem whisky i słuchał Traviaty. Myślał o wycieczce z Bajbą do Skagenu. Czekał na nią na Kastrupie zmęczony, wyczerpany, nieogolony, kompletnie wypłuty. Wiedział, że jest rozczarowana, chociaż nic nie mówiła. Dopiero w Skagenie, kiedy odespał kilka nocy, opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło. Potem zaczął się ich prawdziwy wspólny pobyt.

Jednego z ostatnich dni spytał, czy za niego wyjdzie. Nie, w każdym razie

jeszcze nie. Nie teraz. Ciągłe żyła przeszłością. Ciągłe myślała o mężu, kapitanie policji, którego Wallander poznał. Jego nagła śmierć była przy niej jak cień. Przede wszystkim nie bardzo sobie wyobrażała ponownego małżeństwa z policjantem. Rozumiał ją, ale najwyraźniej potrzebne mu były deklaracje. Jak długo będzie się namyślała?

Wiedział, że go lubi. Czuł to. Tylko czy to wystarczy? A on? Czy naprawdę chce z kimś być? Nie wiedział. Bajba wyciągnęła go z samotności po rozwodzie z Moną. To było coś, duża ulga. Może powinien się tym zadowolić? Przynajmniej na razie?

Położył się po pierwszej. W głowie miał mnóstwo pytań.

Zastanawiał się, czy Pedro Santana śpi.

Gertruda przyjechała po niego następnego dnia o siódmej rano. Ciągłe padało. Ojciec siedział wyprostowany na przednim siedzeniu, w swoim najlepszym garniturze. Wallander zauważył, że Gertruda go ostrzygła.

- Jedziemy do Rzymu - powiedział ojciec radośnie. - Pomyśleć, że to się w końcu stało.

Gertruda zostawiła ich przed dworcem w Malmö, skąd pojechali autobusem przez Limhamn i Dragör. Na promie ojciec ani myślał schodzić z pokładu, mimo że porządnie wiało. Wskazał na punkt na południe od Malmö.

- Tam dorastałeś, pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć - odpowiedział Wallander.

- Miałeś bardzo szczęśliwe dzieciństwo.

- Wiem.

- Nigdy niczego ci nie brakowało.

- Niczego.

Wallander pomyślał o Stefanie Fredmanie. O Louise. O braciszku, który próbował wydłubać sobie oczy. O wszystkim, czego im brakowało albo czego ich pozbawiono. Zdławił te myśli. Będą w nim, będą powracać. Teraz podróżuje z ojcem. I to było najważniejsze. Wszystko inne musi poczekać.

Samolot wystartował punktualnie o dziesiątej czterdzieści pięć. Ojciec siedział przy oknie, Wallander obok. Po raz pierwszy ojciec leciał samolotem. Wallander patrzył na niego, kiedy nabierali prędkości i wolno odrywali się od ziemi. Pochylił twarz ku oknu, żeby lepiej widzieć.

Wallander zauważył, że się uśmiecha. Uśmiech starego człowieka. Szczęśliwego, że jeszcze raz może się cieszyć radością dziecka.

Postowie

To jest powieść. Oznacza to, że żadna z występujących w niej postaci nie ma odpowiednika w rzeczywistości. Nie zawsze jednak można uniknąć podobieństw i niekoniecznie trzeba ich unikać.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką.

Henning Mankell, Paderne, lipiec 1995